



SZYMON JĘDRUSIAK

ZAWISZA
CZARNY
ARAGONIA

powieść
historyczna

SZYMON JĘDRUSIAK

ZAWISZA CZARNY
ARAGONIA

wydawnictwo
44.pl
literatura

ZAWISZA CZARNY. ARAGONIA

Copyright © Szymon Jędrusiak 2015

Konsultacja naukowa:
prof. Stanisław A. Sroka
dr Rafał Hryszko

Redakcja i korekta: Katarzyna Onderka

Projekt graficzny okładki: Małgorzata Flis

Skład: Marek Szwarnóg

wydawnictwo 44.pl literatura

Global Metro Sp. z o.o.
ul. Juliusza Lea 231
30-133 Kraków

ISBN (ePub) 978-83-63035-72-3

ISBN (Mobi) 978-83-63035-73-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez zgody wydawcy i autora żadna część tej książki nie może być powielana ani w jakikolwiek sposób kopiowana, jak też rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, nagrywających, mechanicznych, kopiujących i innych.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

SPIS TREŚCI

Od autora

Saragossa

Część I. Saragossa

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

Część II. Loarre

I

II

III

IV

V

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[Wybrane postacie historyczne](#)

[Słowniczek](#)

[Przypisy](#)

*Ciury ruszają i potykają się w boju,
a bohaterowie ruszają i zwyciężają¹.*

TALMUD (BERACHOT 53)

OD AUTORA

Narratorem powieści jest młody Żyd z Saragossy, Aaron Abnarrabí. W rzeczywistości nosił on imię Samuel, takie samo jak jego dziadek, sławny finansista i kupiec — Samuel Abnarrabí.

Większość bohaterów powieści wzorowana jest na postaciach historycznych. Wiedzę o nich zaczerpnięto z kronik, źródeł historycznych i opracowań. Krótkie notki biograficzne wybranych postaci znajdzie czytelnik na końcu książki.

Akcja toczy się w latach 1390–1391 na obszarze Korony Aragonii. Nadchodzi koniec XIV wieku, najbardziej burzliwego stulecia w historii Europy: czasu wojen, zarazy, głodu, upadku rycerstwa i rozłamu w Kościele. Wstrząsana kryzysami Stara Europa, gdzie czarna śmierć zabiła jedną trzecią ludności, przygląda się narodzinom nowej potęgi na wschodzie: Polski.

Część z opisywanych wydarzeń jest dziełem inwencji autora, większość jednak faktycznie miała miejsce, jak choćby wojna Dwóch Piotrów i jej skutki dla Korony Aragonii, pogromy Żydów z 1391 roku, walka pomiędzy Koroną i możnowładczym rodem o zamek Loarre, festyn w Daroce, czy wreszcie pojedynek Zawiszy Czarnego z Juanem de Aragón.

To ostatnie wydarzenie wymaga krótkiego komentarza. Nasza historyczna wiedza na ten temat sprowadza się do zaledwie kilku słów napisanych przez Jana Długosza kilkadziesiąt lat później. Nie mamy powodów, by podważać autentyczność samego pojedynku ani to, że odbył się w Perpignan, mieście należącym wówczas do Korony Aragonii. Część historyków podaje jednak w wątpliwość datę zapisaną przez kronikarza. Czytelnik winien zatem mieć świadomość, że czas a przez to i okoliczności opisywanego w powieści pojedynku to *licentia poetica*.

Na stronie www.ZawiszaCzarny.eu zamieszczono pełną bibliografię hiszpańsko- i polskojęzyczną oraz obszernie komentarze historyczne do opisywanych zdarzeń i postaci.

SARAGOSSA

27 dzień miesiąca Elul roku 5146

wedle miary chrześcijan 1 września roku Pańskiego 1386

Szykowałem się do szkoły. Nie spodziewałem się niczego szczególnego po tym dniu. Na koszulę — odkąd pamiętam była na mnie za duża — wciągnąłem tunikę w kolorze wełny, zamiast pasa zacisnąłem zwykły rzemień, a na stopy wsunąłem sandały na cienkim korku, które nie przydawały mi ani powagi, ani wzrostu.

Szkoła znajdowała się w starej dzielnicy żydowskiej, a nasz dom w nowej, przeszedłem więc dzielący obie części trakt el Coso i minąwszy główną bramę, la Ferrizę, znalazłem się w pradawnej części żydowskiej *aljamy*, zamkniętej murami z rozkazu króla dawno temu, tak dawno, że nie żył już nikt w Saragossie, kto pamiętałby czasy otwartego miasta. Panowały tu ciasnota i zaduch; ulice układały się w nieładzie, placyki mające dawać wytchnienie w tym budowlanym natłoku były zbyt małe, domy wpychały się jeden w drugi, każdy łokieć ziemi czy wystający kamień z niestarannie ułożonego ogrodzenia był tu wystarczającym pretekstem do sąsiedzkich kłótni.

Doszedłem do Castillo, czyli wznoszącego się nieopodal głównej bramy zamku — żydowskiego schronienia podczas zamieszek, a więzienia, rzeźni i synagogi w czasach spokojnych. Skręciłem w lewo w calle de la Carnicería, czyli ulicę Rzeźniczą (wychodziła wprost na zamkową rzeźnię), by przeciskając się między przechodniami i ceglanyimi fasadami niewielkich domów wejść w ulicę de la Argentería, czyli Jubilerską, zwaną tak, bo upodobali ją sobie wytwórcy srebrnych precjozów. Tędy dochodziło się do niewielkiego placu z główną synagogą miasta, targiem mięsnym i szkołą talmudyczną, w której uczyłem się już od sześciu lat.

Calle de la Argentería była najwęższą ulicą żydowskiej dzielnicy. Starsi chłopcy, gdy wyciągnęli ramiona, mogli przejść ją całą, dotykając czubkami palców przeciwnych fasad domów. Dzieciom się to nie udawało, tak więc wszyscy co jakiś czas poddawaliśmy się tu próbie dorosłości. Z mojej grupy tylko trzech chłopcy ją zaliczyli: Jacob, Abram i Izaak. Nic dziwnego, byli najstarsi. Wszyscy trzej mnie prześladowali. To przez nich lata szkoły wspominam z goryczą.

Jacob i Abram to bliźniacy zrodzeni z handlarki mięsem i saragoskiego wytwórcy łapci. W szkole często się z nich śmiano, bo wokół ich domu, położonego niedaleko szkoły, cuchnęło bydlęcymi skórami, które łapciarz suszył przy domu. Gdy smród przybierał na sile, dzieci w szkole na widok Jacoba i Abrama ostentacyjnie zatykały nosy. A ci brali wówczas odwet na mnie, bo miałem niepewne pochodzenie i nie umiałem się bronić.

Izaak z kolei uchodził za najsilniejszego w całej szkole; wyrósł na olbrzyma, bo jadał dużo i dobrze — jego ojciec handlował mięsem i pełnił funkcję oficjalnego rzeźnika saragoskiej gminy.

Wszyscy trzej pochodzili z niższych warstw żydowskiej społeczności i trzymali ze sobą. Ja natomiast od śmierci matki mieszkałem w domu wuja, Salomona Abnarrabiego, jednego z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych Żydów Saragossy.

Gdy mijalem kilka ustawionych koło siebie nędznych straganów, z bocznej uliczki prowadzącej do domu łapciarza uderzył mnie wyjątkowo napastliwy smród wyprawianych skór. W szkole wszyscy, którzy szli z tego samego kierunku, gdy tylko zobaczyli Jacoba i Abrama, chwyтали się za nosy. Rozpadało się. Jeden z chłopców poślizgnął się na mokrym progu i wołał poobijać kości niż odjąć rękę od twarzy. Roześmiałem się na ten widok i również zatkałem nos. Gdy Abram to zobaczył, natychmiast podszedł i uderzył mnie łokciem w brzuch.

— Dziś umrzesz ze śmiechu, brudasie!

Pod koniec lekcji znów zaczęło padać. Po szkole zamiast wymierzyć mi zwykle kuksańce, czego się spodziewałem, trzej oprawcy wzięli mnie pod ramiona i zawlekli do małej szopy, gdzie w deszczową pogodę ojciec Jacoba i Abrama chował świeże skóry przeznaczone do suszenia. Tam cisnęli mnie na ziemię.

W szopie stało kilkadziesiąt drewnianych ram z rozpiętymi na krzyż baraniami skórami. Niektóre ruszały się od robaków. Smród odjął mi oddech. Huczalo od much.

Jacob trzymał drzwi otwarte na oścież, żeby było cokolwiek widać. Abram pochylił się nade mną. Prawą ręką trzymał mnie za tunikę pod szyją, a lewą wycelował w środek szopy, wrzeszcząc mi w twarz:

— Patrz, jak skończysz! Zedrzymy z ciebie skórę, jak z tych baranów, padalcu. Śmierdziało ci? To sobie tu posiedzisz, aż skruszejesz.

Najbardziej bałem się Izaaka. Jacob i Abram częściej mi dokuczali, ale Izaak potrafił mocniej bić. Teraz on pochylił się nade mną.

— Zanim ci zedrą skórę — sapał — powieszisz za nogi... przyjdę wieczorem i poderżnę ci gardło, żebyś odciekł, a rano sprzedam mięso gojom. Często u nas kupują. Chciało się mamusi parzyć z gojem? To ty też do nich trafisz... po kawałku.

Podniósł mnie z ziemi i pchnął na ścianę. Uderzyłem tyłem głowy i prawie straciłem przytomność. Słyszałem, jak zamykają za sobą ciężkie drzwi na skobel. W całkowitej ciemności bzyczenie much stało się jeszcze bardziej dokuczliwe. Dusilem się od smrodu, szopa była szczelna, nie miała okien. Siedziałem oparty o ścianę, bojąc się ruszyć z miejsca, by nie wpaść na rozwarłe jak do uścisku baranie skóry.

Po wielu godzinach szum deszczu ustał i wąski snop słonecznego światła przebił dach, rozświetlił w swym wnętrzu gęste od pyłu powietrze i zatrzymał się na stole. Muchy zaczęły się pchać do tej jasnej plamy, by ogrzać tłuste cielska. Zapadałem w drzemkę albo traciłem przytomność. W majakach między snem a jawą widziałem, jak oprawcy wieszali mnie u powały. Chwilami odyskiwałem przytomność umysłu, otwierałem oczy. Słoneczna

plama powoli jak ślimak przesuwała się po stole. Gdy za którymś razem na nią spojrzałem, ukazał się w niej kawałek drewnianej rękojeści. Potem już bez ruchu, nie zważając na muchy wypychające mi się do oczu i ust, śledziłem wzrokiem żółty krąg, jak powoli sunął po szerokim nożu, aż ześlizgnął się z czubka ostrza i zgasł. Po chwili znów usłyszałem krople deszczu bijące o dach.

Musiąło minąć sporo czasu. Aaron oprzytomniał na hałas gwałtownie rozwartych drzwi. Zobaczył w nich Izaaka.

Szopa rozjaśniła się na chwilę, a ukrzyżowane skóry wychynęły z ciemności. Gdy Izaak dojrzał chłopca, puścił drzwi i te zamknęły się z łoskotem, znów pograżając wnętrze w ciemności. Szedł powoli w stronę Aarona, potykając się o ramy. Hałas i gwałtowny napływ świeżego powietrza rozbudził roje much, które znów rozpełtały wściekły jazgot, zagłuszając kroki; uderzały po twarzy, szyi, rękach, jak targany wiatrem suchy deszcz. Aaron wstał i ostrożnie podszedł do stołu. Bardziej w wyobraźni niż oczami zobaczył, jak Izaak nachyla się nad miejscem, gdzie przed chwilą siedział. Oprawca wyciągnął rękę i natrafił na pustkę. Aaron stanął tuż za nim. Izaak wyprostował się i powoli, niepewnie obracał głowę w jedną i drugą stronę, starając się coś dostrzec w mroku. Aaron uniósł nóż. Gdy Izaak gwałtownie się odwrócił, Aaron uderzył na odlew. Ciepła krew zalała mu oczy, a lawina much zwabiona jej słodkim zapachem runęła na niego i przydusiła jak zarzucony na głowę koc.

Znalazł nas ojciec Jacoba i Abrama, właściciel garbarni. Izaak miał rozcięte gardło, ja leżałem nieprzytomny obok. Krew nie zdążyła jeszcze wsiąknąć w ziemię. Obok ciała Izaaka znaleziono ciężki nóż do skórowania.

Miałem wówczas czternaście lat. Sprawę oddano pod osąd *merina*. Groziła mi albo grzywna za nieumyślne zadanie śmierci, albo szubienica za morderstwo. Werdykt zależał od sędziego i od nacisków, jakim zostanie poddany. Sprawa ciągnęła się kilka miesięcy. Abram i Jacob ze łzami w oczach zeznali, że zamknęli mnie w szopie dla żartu, nie zamierzali zrobić mi krzywdy. W sądzie królewskim, dzięki autorytetowi mojego wuja, uznano, że zabiłem Izaaka nieumyślnie. Wieszanie wyrostka nic by królowi nie dało, a tak Salomon Abnarrabí wpłacił do jego kasy pięćset florenów kary przewidzianej prawem w takich przypadkach.

Pomogło mi też to, że w okolicy grasowała szajka złodziei skór. Sędzia musiał brać pod uwagę, że to oni mogli zakraść się do szopy i dokonać zbrodni. Ja nigdy się do niej nie przyznałem. Ani przed sobą, ani przed światem.

Zostałem przeniesiony do szkoły w nowej dzielnicy żydowskiej.

Na skutek tego tragicznego wypadku i poruszenia, jaki wywołał w całej żydowskiej Saragossie, mój wuj zdecydował po roku, że nie będę kontynuował nauki (mimo iż *magid*, nauczyciel, przepowiadał mi karierę rabina), i postanowił znaleźć dla mnie jakiś warsztat, gdzie mógłbym przyuczyć się do zawodu. Jedynym Żydem, który zgodził się mnie przyjąć, był Abraham Abencanyas, przyjaciel domu, wielki kupiec i najlepszy tkacz w Saragossie.

CZEŚĆ I

SARAGOSSA

I

Obudziłem się zziębnięty. Siadłem na brzegu łóżka, narzuciłem na ramiona miękką baranią skórę, w bezruchu czekałem na ciepło i przyptyw myśli. I na wschód słońca.

Rozgrzany, w pełni już świadomy, kim i gdzie jestem, usłyszałem łomot. To nocni strażnicy z bractwa Lelezmuroz, odpowiedzialni za bezpieczeństwo żydowskiej *aljamy*, snuli się po ulicy i walili kijami w okiennice. Schodzili już z patrolu i to było ich ostatnie zadanie: dopilnować, aby nikt nie zaniedbał porannej modlitwy. Przepędzali Żydom sny z głów, gorliwcy.

Gdy po odgłosie kroków poznałem, że są już pod moim oknem, gwałtownie rozwarłem okiennice, wzniosłem na wysokość okna pełny po brzegi nocnik i chlusnąłem na zewnątrz. Na dźwięk przekleństw stanąłem na taborecie i wychyliłem się na ulicę; posłałem dwóm strażnikom gorące przeprosiny, udając zaskoczenie. Byłem usprawiedliwiony: okno, jedyne w mojej izbie, zostało przez budowniczych wybite wyjątkowo wysoko, bo miał tu być skład narzędzi, i mogłem nie widzieć, co działo się po drugiej stronie.

Szybko schowałem głowę, bo w moją stronę już leciały kamienie. Kilka z łoskotem wpadło do izby, obijając się o okiennice i ściany.

Rozpoznałem strażników: byli to Jacob i Abram. Odkąd wstąpili do Lelezmuroz, ich surowe młodzieńcze twarze stężyły z dumy, z psią gorliwością stanęli na straży porządku i pobożności. Teraz pewno pójdą ze skargą do rabina.

Był poranek ósmego dnia miesiąca Tiszri roku 5151, dla chrześcijan niedziela, dwudziesty piąty dzień września roku Pańskiego 1390. Otrząsnąłem się z resztek snu, zacząłem odmawiać poranną modlitwę, ale nie mogłem się skupić.

Wielkim wydarzeniem nadchodzących dni, na które czekali wszyscy Żydzi z Saragossy i okolic, miał być festyn z okazji narodzin królewskiego potomka, następcy tronu, infanta Ferdynanda. Rzecz miała się odbyć za kilka dni w Daroce, położonej pięćdziesiąt mil na południowy zachód od Saragossy.

Festynem tym zapewne by się w Saragossie tak nie ekscytowano, zwłaszcza w żydowskiej *aljampie*, gdyby nie główna atrakcja kilkudniowych zabaw — pojedynek na ostre kopie, w którym miał wystąpić *Il Nero*, rycerz z drużyny turniejowej zamku w Loarre. Owego śmiałka tak wówczas nazywaliśmy (*Il Nero*, czyli Czarny) z uwagi na ciemną barwę zbroi i okrycia, w których pojawiał się na turniejach. W Saragossie wiedziano o nim wówczas tylko tyle, że jest obcokrajowcem i nie pochodzi z żadnego z królestw Hiszpanii², gdyż heroldowie nie rozpoznawali jego znaku. Mówiono też, że przybył z północy Italii, stąd jego włoski przydomek. Wśród Żydów powstała jakiś czas temu plotka, że to płatny zabójca, gdyż zbyt często dochodziło do śmierci

i poważnych okaleczeń jego przeciwników, by było to dziełem przypadku.

Zrobiło się o nim głośno, gdy kilka miesięcy temu, podczas turnieju w Calatayud, trafił kopią w głowę jednego z francuskich rycerzy na służbie aragońskiego rodu Urríesów i rycerz ów na skutek odniesionych obrażeń zmarł. Żydzi przekazywali sobie to z ust do ust jako radosną nowinę, gdyż źle życzyli rodzinie Urríesów, a jeszcze gorzej tym Francuzom bijącym się pod ich herbem. Przyjdzie pora, by wyjaśnić przyczyny tej zapiekłej nienawiści. Gdy miesiąc później, tym razem w Saragossie, *Il Nero* zrzucił z konia i okaleczył kolejnego Francuza ze znienawidzonej drużyny, stał się bohaterem nie tylko saragosskiej gminy, ale wszystkich aragońskich Żydów.

W Daroce Francuzi nie mogli sobie pozwolić na przegraną. Turniejowe pojedynki, nawet jeśli stanowiły część festynu, traktowano bardzo poważnie. Szło w końcu o honor rodu Urríesów i prestiż francuskiej drużyny, nadszarpnięty mocno przez ostatnie porażki. Na dodatek wszystko miało rozegrać się na oczach króla Jana i jego małżonki Violante de Bar, a także przedstawić najznakomitszych aragońskich rodów.

Po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, turniejowe gonitwy wzbudzały tak wielkie emocje wśród Żydów. Kto żyw wybierał się do Daroki.

Pragnąłem tego i ja, ale postanowiłem, iż udam się na festyn tylko pod warunkiem, że los rzuci mi wreszcie dobrą kość do gryzienia. Tego dnia wszystko miało się rozstrzygnąć. A oto jak przedstawiały się moje sprawy.

Co roku ósmego dnia Tiszri mój wuj, jeden z najzamożniejszych i najstawniejszych obywateli Saragossy, rozsyłał przez posłańca zaproszenia do wybranych żydowskich przedsiębiorców, kupców i bankierów. Spotkanie odbywało się zawsze dwunastego dnia Tiszri, tuż po zachodzie słońca. Data była utrwalona przez tradycję, wszyscy w Saragossie ją znali. No, może nie wszyscy, ale na pewno ci, którzy dotykali pieniądza częściej od innych.

Wierzyłem, że to nie przez przypadek polecono mi, bym dziś pozostał w domu i nie szedł do warsztatu, gdzie przyuczałem się do zawodu tkacza.

Obudziła się we mnie nadzieja, że to właśnie ja dostąpię zaszczytu rozniesienia zaproszeń, i że wreszcie odmieni się mój los. Ta nadzieja miała swoje podstawy. Jeszcze do niedawna przebywali pod tym dachem — oprócz drugiej żony mojego wuja, Estery, starego sługi Azmela i niewolnicy Ayhe — dwaj synowie Salomona: Vidal i Dolz. Do tej pory to jeden z nich roznosił zaproszenia, obaj byli bowiem szykowani przez ojca na dziedziców rodzinnego interesu. Ale od jakiegoś czasu widać było coraz wyraźniej, że nie wzięli po ojcu ani błyskotliwego umysłu, ani pracowitości. Upodobniali się do matki: potrafili niestrudzenie godzinami opowiadać nudne historie, ale gdy trzeba było ruszyć głową — szybko się męczyli, czym ranili serce ojca. Wyrośli z jego krwi na postawnych mężczyzn, i zapewne cieszyli się głęboką ojcowską miłością, ale mój wuj, Salomon Abnarrabí, chyba nie zamierzał powierzać im odpowiedzialności za rodzinny majątek. Rok temu kupił winnicę w pobliskiej wiosce, około trzydziestu mil od Saragossy, i wysłał tam synów, by zajęli się wytwarzaniem koszernego wina. Takie wino zawsze znajdzie kupców, niezależnie do talentów winiarzy, zwłaszcza jeśli będzie pochodziło z winnic rodziny Abnarrabích. Handel winem to pewny i nie wymagający specjalnej bystrości interes.

Dolz i Vidal mieli pojawić się dopiero nazajutrz, na kolacji w wigilię Jom Kippur. Ktoś więc musiał ich zastąpić...

Na nowo uświadomiona nadzieją przyspieszyła bicie serca. Zsunąłem skórę z ramion. Na ciepłe ciało wsunąłem chłodną koszulę i tę samą od lat tunikę. Mogłem wprawdzie skorzystać z dużo porządniejszej sukni, po Dolzu, bo byłem od niego drobniejszy i kilka rzeczy zostało mi wspaniałomyślnie podarowanych, gdy przestały już pasować na pierwszego właściciela, ale teraz nie chciałem przypominać żadnego z moich przyrodnych braci, zwłaszcza Dolza, który wyrósł na strojnisia na przekór ojcu. Bo Salomon Abnarrabí, choć zamożny, to na co dzień nosił się bardzo skromnie i występował przeciw zbytkowi w ubiorze. Jedynie na podróż przywdziewał coś elegantszego. „Poza miastem moje szaty, ale w moim mieście — moje imię”, powtarzał synom. Na nic się to zdało, bo Dolz sprawił sobie szkarłatny kubrak, a ostatnio widziano go, jak paradował w modnych wśród saragosskiej arystokracji *cracowes*³, trzewikach o zakrzywionych szpicach, tak długich, że — jak sztychł Salomon — przyspieszając kroku, można się było zranić w policzek.

Wszystko, co nadawało się do ubrania, trzymałem w starym kufrze zdobionym kością słoniową, jedynej pamiętacie po rodzicach. Poza nim wyposażenie pokoju stanowiły dwa taborety, mały stolik i łóżko, które wykonał przed laty stary, samotny, prawie niewidomy stolarz. Ten rzemieślnik korzystał z pomocy mojej przybranej rodziny (wuj często zlecał mu drobne prace), a ja zapamiętałem go jako wiecznie smutnego człowieka. Chyba na pamiętkę swych nieszczęść zbił mi to łóżko z tak świeżego cyprysu, że nadal płakało i brudziło żywicą.

W kącie izby leżało kilka baranich skór różnej wielkości — największy mój skarb. Z powodu bliskości wody i gór powietrze w Saragossie często niesło wilgoć i zimno, a ja z racji mizernej postury byłem wrażliwy na chłód; nawet latem lubiłem na noc owinąć sobie stopy w baranicę.

Mój pokój miał zaledwie dziesięć łokci na sześć, a mieścił się na parterze, przy kuchni. Do jednej ze ścian przylegał kuchenny piec, co w upalne dni bywało przekleństwem, ale podczas chłodniejszych jesiennych i zimowych miesięcy dawało przyjemne schronienie przed chłodem. Każdej zimy spędzałem wiele godzin dziennie, przywierając do ciepłych cegieł. Odkryłem, że to pomaga w nauce: czytałem szybko jak najwięcej wersetów z Talmudu, a potem, przyklejony do ściany i wdzięczny Bogu za dar ciepła, powtarzałem je na głos. Im więcej udało mi się przeczytać i zapamiętać, tym dłużej grzałem plecy o piec. Wyćwiczyłem pamięć na tyle, że potrafiłem po jednokrotnym przeczytaniu całej strony wyrecytować ją bez przekręcenia choćby jednego słowa. Miałem w tym kierunku wyjątkowe uzdolnienia.

Wadą pokoju był niedostatek światła, gdyż miał tylko to jedno małe okno, wychodzące na szeroką ulicę oddzielającą dzielnicę żydowską od reszty Saragossy. Spełniało ono bardzo ważną funkcję — służyło Ayhe, arabskiej niewolnicy, do nocnych potajemnych eskapad. Chcąc nie chcąc, stałem się z powodu tego okna jej powiernikiem.

Tak więc trwałem w oczekiwaniu na to, co się stanie, targany na przemian dobrymi i złymi przeczuciami. Przecież Abraham Abencanyas, właściciel warsztatu, gdzie uczyłem się zawodu, dawał mi już wcześniej do zrozumienia,

że rozmawiał o mnie z Salomonem. Ale może to wszystko złudzenie, płonne nadzieje? A może mój wuj chce mi oznajmić koniec nauki, uczynić ze mnie pastucha albo rolnika w winnicach swych synów, bo nie nadaję się nawet na tkacza? Przecież mistrz wiele razy załamywał nade mną ręce, ubolewał, że nie dość sprawne mam dłonie, by z rzemiosła utrzymać rodzinę. Prawda. I znów z lęku i podniecenia silniej zabiło mi serce. Jeśli tak miałyby się stać, jeśli moje nadzieje miałyby się okazać niedorzecznym przywidzeniem, jeśli Salomon Abnarrabí mnie zawiedzie... Tak, odejdę, ucieknę z tego domu! Choćbym miał się przechrzcić i na zawsze porzucić rodzinę Abnarrabích!

Ubrany usiadłem ponownie na brzegu łóżka, bacząc, by nie pobrudzić się żywicą, i czekałem na przyzywający głos wuja.

Jakże pragnąłem zostać przyzwany! Potrzebowałem jego łask, jego nauk, doświadczenia, ale przede wszystkim — wyznam szczerze — pragnąłem wygodnego i dostatniego życia, które, jak mi się wówczas wydawało, tylko on mógł mi zapewnić. Przerazała mnie samodzielność, zarabianie na kawałek chleba i dzban wina ciężką pracą od świtu do zmierzchu, dzień w dzień, bez żadnej nadziei na odmiannę losu. Ten okropny warsztat, w którym spędziłem ostatnie parę lat, pokrzykiwania majstra, te hałaśliwe młoteczki, kołowrotki i wiecznie płaczące się nici — wszystko to napawało mnie obrzydzeniem. Cierpiałem tam z każdym dniem bardziej. Czulem, że zostałem powołany do innego życia, i błagałem Boga, by dał mi szansę. Obym tylko został przywołany, a będę mojemu wujowi służył jak pies, nie cofnę się przed niczym.

Salomon Abnarrabí był niezwykłym człowiekiem. Posiadał dar zjednywania sobie ludzi. Jego bogactwo miast zawiąsiło mu podziw i szacunek. Wszyscy widzieli, że pomnażał odziedziczony majątek dzięki ciężkiej pracy i wyjątkowym talentom, i to w czasach, gdy inni popadali w ruinę i hańbę.

Starzy Żydzi mówili, że odkąd sięgają pamięcią, widzą same cierpienia. Najpierw nieurodzaje, a od strasznego roku 1348 — zarazy, jedna po drugiej, wyludniały całe wsie i miasta; bankructwa pogrążyły uczciwych, jak i tych, którzy dorabiali się na ludzkiej krzywdzie. Potem na długie lata nastąpiła straszna wojna z Kastylią, wojna Dwóch Piotrów⁴, jak ją nazywano, i znowu śmierć patrzyła ludziom w oczy; hordy najemników przetaczały się przez kraj, by grabić, mordować i palić.

Pierwszym, jak wspominają Żydzi, który powstał z wojennych popiołów, był Salomon Abnarrabí. Udał się do Calatayud, miasta leżącego przy granicy z Kastylią, gdzie przed wojną Dwóch Piotrów rozkwitał handel, głównie za sprawą kupców z Katalonii. Ale na wieść o naddążającej pożodze kupcy ci przenieśli swe kramy do neutralnej Nawarry, by tam przeczekać niepewny czas. Postąpili roztropnie, bo żadne aragońskie miasto nie ucierpiało tak jak Calatayud: nie stawiało wielkiego oporu, mimo to bombardowane ognistymi pociskami z katapult zostało niemal doszczętnie zniszczone; zapadło się, grzebiąc w gruzach wielu mieszkańców. Gdy w końcu po latach nastąpił kres tej strasznej wojny, wydawało się, że handel do Calatayud już nigdy nie powróci. Spalony plac handlowy, poburzone budynki, żałoba po ofiarach i brak jakiegokolwiek nadziei w ludziach — oto co zastał Salomon Abnarrabí, gdy tam przybył.

Za pieniądze swoje i pożyczone odbudował plac; dostał od władz obietnicę beczynszowej dzierżawy na wiele lat, jeśli tylko uda mu się sprowadzić na powrót kupców. I stało się: Katalończycy w kilka miesięcy powrócili z towarami, sklepami i pieniędzmi, gdyż Nawarra, co słusznie przewidział Salomon, nawet w trzeciej części nie dawała takich możliwości handlu, jak leżące u styku dwóch potężnych rynków Calatayud. Salomon pobierał czynsz, dostarczał towary, udzielał pożyczek, jednym słowem — rozkwitał.

Silny finansowo postanowił odbudować nadwątlone przez wojenny czas kontakty ze swoim kuzynem z Majorki, gdzie wojna nie poczyniła szkód, a żydowskie gminy działały prężnie. Jednym z ważniejszych towarów eksportowych Majorki były kusze. Tu, na Półwyspie, wojna spustoszyła arsenały obu walczących królestw, był więc doskonały czas na handel bronią. Wykorzystując rodzinne więzi i swą pozycję w Calatayud, Salomon wystarał się o specjalne zezwolenie i szybko wyrósł na największego dostawcę.

Sięgnąwszy szczytów sławy i bogactwa, postanowił podzielić się fortuną, w jej duchowym i materialnym wymiarze, ze swoimi braćmi. Zaczął zapraszać do domu — nie do synagogi, co nie spodobało się ówczesnemu rabinowi — najbardziej wpływowych i zamożnych żydowskich obywateli Saragossy. Ustanowił przy tym surowe zasady: jeśli mimo jego pomocy, kredytu, dobrych rad, ktoś nie rozwijał handlu należycie i nie przynosił tym samym korzyści gminie — wykluczano go ze spotkań. Przynależność do tego gremium szybko stała się zaszczytem, powodem do dumy dla całej rodziny zapraszanego, ale przede wszystkim zapewniała stabilne i bezpieczne prowadzenie interesów. Ktoś, kto znalazł uznanie w oczach Salomona Abnarrabiego, był chętnie zapraszany do spółek handlowych, szybciej spłacano mu długi i nie oszukiwano w obawie przed potępieniem ze strony swojego wuja.

Trzeba przy tym wiedzieć, że Salomon wspierał datkami różne organizacje, ale najchętniej i najhojniej — Lelezmuroz. Wciągał do niego młodych i silnych Żydów. Nie ukrywał, że chciał uczynić z tego bractwa siłę zdolną do obrony *aljamy* przed atakami chrześcijan. Żydzi nie mogli posiadać ostrej broni, ale pałki i zwarta grupa odważnych mężczyzn gotowych w każdej chwili stanąć do walki miały działać odstrasząco. Mówiło się po cichu, że mój wuj wykorzystywał często tych młodych osiłków do swoich prywatnych celów: nękał dłużników, straszył konkurencję, zapewniał ochronę zaprzyjaźnionym kupcom.

Do Salomona poczęli garnąć się mężczyźni podobnej jak on profesji, z podziwem podpatrując, jak zapełniał i opróżniał magazyny, oraz Żydówki, które zawsze — a w czasach złych szczególnie — sprzyjały majątnym, bo widziały w nich ocalenie przed nędzą, boską karą. Choć tu, trzeba przyznać, Salomon nie ulegał pokusom. Wiele było plotek, gadania, ale dowodów nikt nie zdobył.

Z rozmyślań wyrwał mnie mocny głos dochodzący z patio:

— Aaronie! Przyjdź tutaj, chcę z tobą porozmawiać.

Wzięłem głęboki oddech, uspokoiłem bicie serca. Spojrzałem w okno: słońce było już wysoko i zapewne wypędziło z najwęższych zaułków resztki porannego chłodu. Zapowiadał się ciepły dzień.

Salomon nie oczekiwał, że tak szybko się pojawię, bo zastałem go na patio odwróconego plecami. Pochylał się nad owocami jednego z krzewów figowych, które zasadził trzy i pół roku temu, tuż po śmierci Jamili, pierwszej żony. Wreszcie zaczął owocować.

Słońce rozświetlało patio; białe kamienie podłogi podkreślały blaskiem świeżą zieleń liści, czyniąc wszystkie drzewka miłymi dla oka, a owoce kuszącymi. Nie śmiałem postąpić kroku dalej. Postać w błękitnej sukni wydała mi się piękna i obca zarazem.

— Szalom, *aba...*

— Żeby nie przyszło ci do głowy ich zrywać. — Salomon odwrócił się w moją stronę. — Szalom. Pozwólmy im przejrzeć.

Poszedłem, by złożyć ukłon na powitanie, a on przez chwilę przyglądał mi się uważnie, jakby dawał sobie jeszcze czas na podjęcie decyzji.

— Drogi Aaronie... chcę cię prosić, byś odwiedził dziś kilka domów — oznajmił w końcu, a ja poczułem, jak moje ciało przeszywa dreszcz radości. — Ułożyłem ich listę w takiej kolejności, byś się zbytnio nie włóczył. Tam, gdzie zapukasz i zostanie ci otworzone, powiesz: „Salomon Abnarrabí zaprasza takiego to a takiego do swego domu w dwunasty dzień Tiszri, po zachodzie słońca”.

Przerwał na chwilę, uważnie mi się przyglądając. Po chwili ciągnął dalej, wręczając mi jakieś zapiski.

— Oto lista. Przeczytaj ją, naucz się starannie wymawiać imiona. Jeśli nie jesteś pewien położenia któregoś z domów, pytaj. I musisz wyglądać odpowiednio. Założysz nowy kaftan Dolza.

Spojrzał na moje stopy i skrzywił się z niesmakiem.

— Dam ci też jego buty, nie możesz iść w takich sandałach! Nasza Saragossa ma cię widzieć z głową wysoko uniesioną. Zwłaszcza ci pominięci.

Salomon postąpił krok w stronę cienia; dostrzegłem, że w słońcu łzawią mu oczy.

— Wyruszysz, gdy słońce już nie będzie oślepiac. Idź szybkim krokiem, ale nie biegnij. Zastukaj do drzwi kilka razy, mocno, i nie powtarzaj pukania. I nie wyciągaj ręki po datek, ale jeśli ci go dadzą, nie odmawiaj, zapamiętaj tylko, ile od kogo dostałeś, potem mi powiesz. Czy wszystko zrozumiałeś? To powtórz.

Kiedy, ufając swej pamięci, odpowiadałem wujowi, zawiesiłem wzrok na jego dolnej wardze, która kształtem przypominała wygiętą, jakby dźgniętą patykem gąsienicę. Zawsze tak robiłem, gdy sprawa była poważna. To bezpieczne miejsce, bo jeślibym podniósł nieco oczy, mogłoby to zostać poczytane za zuchwałość, tuż poniżej zaś Bóg osadził staremu Żydowi tak pożytną brodę, że ilekroć na nią zerknąłem, gubiłem wątek na myśl o okropnych tajemnicach, jakie musi skrywać.

Salomon, zadowolony z odpowiedzi, położył mi dłoń na ramieniu w geście

zaufania, a może nawet serdeczności, ale tego nie umiałem wtedy odczytać, gdyż nigdy wcześniej tego nie robił.

— Przeczytaj nazwiska zaproszonych.

Spojrzałem na kartkę, z nabożną czcią wodziłem wzrokiem po zapisanych literach.

— No czytajże! — huknął na mnie z góry.

Mojemu wujowi zawsze brakowało cierpliwości.

— Abraham Abencanyas, Samuel Bienvenist, Mossé Astruch, Ceti Cebada — płynnie odczytywałem na głos hebrajskie litery.

Tylko ostatnie nazwisko zapisane było po aragońsku.

— Tideman Sticker... — przeczytałem je wolniej niż poprzednie i z wyraźnym pytaniem w głosie. Salomon z pewnością to zauważył, ale nie zareagował.

Poza Ceti Cebadą, jedyną kobietą na liście, wszyscy należeli do grona najslawniejszych osobistości żydowskiej Saragossy. Nie mogłem uwierzyć, że wśród zaproszonych jest też Tideman Sticker, goj, handlarz niewolnikami.

— Znakomicie — pochwalili mnie Salomon. — Trafisz do ich domów?

Gdy skinąłem głową, wyciągnął rękę w stronę wąskich i stromych schodów prowadzących na piętro.

— No to chodźmy do mojego gabinetu. Dowiesz się o nich ciekawych rzeczy — i pchnął mnie przed sobą.

Salomon szedł za mną ze zwieszoną głową, każdy stopień pokonywał powoli, jakby z namysłem, głęboko przy tym oddychając.

Izba, którą mój wuj nazywał gabinetem, znajdowała się na piętrze. Do drzwi wejściowych dochodziło się wąską galerijką wychodzącą na patio. W zamyśle saraceńskiego budowniczego to pomieszczenie, jak wszystkie na piętrze, miało służyć jakiejś kobiecie, było więc niezbyt obszerne, choć większe od mojego, a niemal pół wschodniej ściany zajmował zdobiony w kwieciste wzory *ajimez*, ażurowe okno, przez które można było obserwować ulicę, nie będąc widocznym. Takie udogodnienie miał też pokój Estery, wcześniej zajmowany przez Jamilę. Obie kobiety, choć tak różne w obejściu, ten arabski wynalazek bardzo sobie chwaliły.

Biurko Salomona, tonące w powodzi zeszytów, luźnych kartek pergaminu, zwojów papieru i gęsiich piór, kontrastowało z pustą powierzchnią drugiego stołu, przy którym całe dnie spędzał Juda Tuli, kancelista. Puste były również dwa regały ustawione przy ścianie za stołem.

— Dwa dni temu odprawiłem Judę. Chcesz znać powód?

— Tak — odparłem bez namysłu.

— Bardzo proszę — mojego wuja wyraźnie zaskoczyła taka szybka i stanowcza odpowiedź. — Otóż dowiedziałem się, że Juda ma długi. Przegrywał spore sumy, bez opamiętania, w kości i inne gry. Nie przyznał się sam. Ktoś mi doniósł... Nie miałem wyjścia.

Poczułem żal, nie chciałem sięgać głębiej w tę historię. Bardzo Judę lubiłem, choć poza słowami powitania nigdy sobie nic nie powiedzieliśmy.

— Jak widzisz, starannie posprzątał po sobie. Będziesz mógł zasiać za jego biurkiem na dłużej, jeśli ze chcesz przyjąć moją propozycję.

A potem się roześmiał:

— Widzę w twoim spojrzeniu taką niecierpliwłość, jak u teścia, gdy negocjowałem ożenek z jego córką. Powinieneś nauczyć się ukrywać pożądanie. Z takim żarem w oczach nie utargujesz żadnego dobrego kontraktu.

Zakręciło mi się w głowie. Moje marzenia nie sięgały poza funkcje posłańca, pomocnika, no, może prostego skryby, ale... zastąpić Judę Tuli?

Salomon ponaglającym ruchem głowy wskazał mi miejsce za stołem. Przystawił sobie taboret z drugiej strony i usiadł. Oczy miał wciąż żywe i mądre. Otaczały je wszędzie głębokie bruzdy zmarszczek, których wcześniej nie dostrzegalem. Miałem przed sobą twarz starego, umęczonego człowieka.

— Jak pewno pamiętasz, w dniu spotkań po Jom Kippur izba na dole wypełniała się gośćmi. Dolz albo Vidal potrzebowali całego dnia, by zawiadomić wszystkich zaproszonych. Pojutrze przybędzie tylko pięć osób, w tym jeden goj...

Salomon zawiesił głos, a ja nie wiedziałem, czy powinienem coś powiedzieć, czy lepiej na razie tylko słuchać. Nagle padło pytanie:

— Aaronie, kto według ciebie jest największym głupcem?

— Kto stracił wszystko, co otrzymał... — odparłem po chwili, wygrzebując z pamięci przeczytane gdzieś słowa.

— Znakomicie! Tak właśnie! — zawołał nienaturalnie głośno stary Żyd. — Masz więc przed sobą głupca, chłopcze! — Wstał i zaczął chodzić po izbie, nie patrząc na mnie. — Nie miałem ostatnio szczęścia. Źle inwestowałem. Dwa moje statki ze zbożem zagarnęli Portugalczycy w porcie Belém. Spór o nie kosztuje mnie fortunę. I tysiąc innych nieszczęść. I jeszcze ten wąż, Tideman Sticker... Zresztą, mniejsza teraz o szczegóły, i tak je wkrótce poznasz.

— Czy rabin... ktoś w gminie... o tym wie?

— Ależ skąd! Aaronie! Gdyby moje kłopoty wyszły na jaw, teraz... Upadnie wół, zaraz zwiedzą się rzeźnicy! Nie, nikt o tym nie wie. A zwłaszcza ci, którym zaniesiesz zaproszenia.

Salomon patrzył mi w oczy z powagą.

— Mam nadzieję, że doceniasz zaufanie, jakim cię obdarzyłem?

— Tak... ojciec — Salomon mnie usynowił zaraz po śmierci rodziców, ale to słowo wciąż z trudem przechodziło mi przez gardło.

— Wszyscy, których dziś zaprosisz, są mi winni... powiedzmy, że przysługę. Z różnych powodów. Przyszedł czas na spłatę długów wobec starego Salomona.

Po czym podszedł do komody, by z dolnej jej części wyjąć dzban bogato zdobiony w arabskie wzory i taki sam puchar, zapewne pozostałość po arabskich właścicielach domu.

— Ale nie zapraszałbym cię tu dziś, gdyby nie było ratunku... Jest! — kopiąc czubkiem buta, zatrzasnął drzwiczki komody. — Idziemy na wojnę, Aaronie! I o tym chciałem z tobą porozmawiać — nalał sobie do pełna i uniósł puchar w geście pozdrowienia. — Nie ma wojny bez wina! Ale ty nie dostaniesz, byś sobie nie popsuł myślenia.

I powróciwszy do stołu, jął opowiadać o sprawie, którą planował, a która miała zmienić tyle w moim życiu. Opowiadał o ludziach i interesach. Prowadził mnie za rękę przez gąszcz zależności, wrogów, sprzymierzeńców i oszustw. Jeśli przerywał, to jedynie po to, by wychylić kolejny puchar wina, i ani razu nie zapytał, czy rozumiem. Mówił tak długo, że straciłem rachubę czasu. Gdyby

słowa nie padały z ust jednego z najbardziej szanowanych Żydów Saragossy, nie uwierzyłbym w to, co usłyszałem. Czulem dumę i radość z wkroczenia do tego nowego, barwnego świata, w którym chyba nikt nie umiera, mając tylko jedną koszulę. Rozmach planowanego przedsięwzięcia przyspieszał bicie serca.

Rzecz cała, w wielkim skrócie, przedstawiała się następująco. Mój wuj zainwestował przed laty duże pieniądze w obligacje Loarre — zamku i przyległej doń rolniczej osady. Nieoczekiwanie majątek ten stał się przedmiotem zacieklej walki pomiędzy rodem Urríesów a kapitanem Gonzalo Gonzálezem de Lucio, który z ramienia króla zarządzał zamkiem. Urríesowie wszelkimi sposobami chcieli doprowadzić Loarre do finansowej ruiny, by móc łatwiej je przejąć od Korony. Powodzenie ich planu oznaczałoby dla mojego wuja utratę zainwestowanych pieniędzy, a w konsekwencji — wzięwszy pod uwagę skalę pożyczek i problemy, z jakimi się borykał — bankructwo i więzienie. Salomon Abnarrabí musiał zatem za wszelką cenę ratować Loarre.

Po miesiącach poszukiwań znalazł czuły punkt rodu Urríesów. Rozpoczął przygotowania do wojny, w której orężem miały być weksle, kontrakty kupieckie, podatki, cła i znajomości w królewskiej kancelarii. Decydująca bitwa miała rozegrać się o niewyobrażalną kwotę miliona soldów. Właśnie poznawałem jej szczegóły. Takie pieniądze rozsypałyby wszystkie pęta duszące mojego wuja.

Współautorem wojennego planu był Abraham Abencanyas, mój mistrz. Wszystkim Żydom, których domy miałem tego dnia odwiedzić, wyznaczono już role w tym przedsięwzięciu; Salomon żywił nadzieję, że nikt nie odmówi.

— Jeśli plan się powiedzie, stary Urríes będzie szczęśliwy, jak zostanie mu gwóźdź, na którym będzie się mógł powiesić! Zaniecha Loarre na zawsze — wstał, rozprostował ramiona i podszedł do okna, jakby chciał całej Saragossie obwieścić swój plan. — Do tej pory prowadziliśmy tę sprawę we dwóch: Abraham Abencanyas i ja. Tak łatwiej utrzymać wszystko w tajemnicy. Ale teraz potrzebuję dużo pieniędzy. Mam długi, chłopcze, jak te góry wokół Saragossy — przybliżył twarz do *ajimezu*, szukając ich wzrokiem na horyzoncie — muszę zebrać tyle pieniędzy, żeby przetrwać do wiosny. I oni muszą mi je dać. Przedstawię im to jako inwestycję. W zamian dostaną udziały w naszym przedsięwzięciu. Zwycięstwo przyniesie wszystkim majątek a ich rodzinom spokój na wiele pokoleń.

— Stickerowi także?

— Temu gojowi? Ależ skąd! On i tak pójdzie do piachu, uda się sprawa, czy się nie uda.

— Może się nie udać?

— Nie bądź dzieckiem! Cóż za pytanie! Zapamiętaj: jeśli się wieszać, to na wysokim drzewie! — Stary Żyd zaśmiał się nieszczerze. — Jeśli się nie uda... trafimy wszyscy do piekła, prosto w objęcia Samaela. Ale co tam! — machnął ręką. — Wszystko pójdzie dobrze... a nasi goście nigdy się nie dowiedzą, jak bardzo ryzykowali. Na razie, tak jak ci mówiłem, Samuel Bienvenist musi nam pomóc w finansach. Mossé Astruch ma kontakty w Walencji i zna się na dzierżawach podatków. Z nimi wszystko potoczy się sprawniej — zatarł dłoń.

— Namówię ich do współpracy. To główny cel spotkania, na które roznieśiesz zaproszenia. Jak widzisz, nie mam przed tobą nic do ukrycia — Salomon odwrócił się w moją stronę. Zachwiał się nieco, choć głos miał donośny, niezmacony. — Nie zapytałeś o swoją rolę w tym wszystkim. Bo chyba nie chcesz zostać tylko gońcem?

Poruszyłem się na krześle z emocji.

— Będziesz łącznikiem między mną a kapitanem zamku Loarre — oznajmił po dłuższej chwili, jakby bawiła go moja niecierpliwość. — Wojna toczy się także o jego przyszłość, jest więc w nią silnie zaangażowany, to oczywiste. Za dwa tygodnie wyruszysz do Loarre. Do tej pory wdrożę cię w sprawę. Jestem już stary i potrzebuję młodego umysłu, który by to wszystko opanowywał na co dzień. No i powoli będę cię zapoznawał z księgami. Z czasem zostaniesz moim kancelistą.

Byłem upojony emocjami, ale resztki zdrowego rozsądku kazały mi pytać — dlaczego to ja zostałem dopuszczony do zaszczytów i tajemnic? Dlaczego nie ktoś z krewnych, ktoś bardziej zaufany, bieglejszy ode mnie w finansach?

Salomon miał zbyt przenikliwy umysł, by mimo ilości wypitego wina nie odgadnąć moich rozterek.

— Rozmawiałem z twoim mistrzem wiele razy — powiedział z uśmiechem. — Nie mógł się ciebie nachwalić. Ten interes z workami, który mu podsunąłeś, sprawdził się wyśmienicie. Abencanyas dużo na nim zarabia. Był pod wrażeniem twojej wiedzy o handlu, bystrości umysłu. To on podsunął mi pomysł, bym wziął cię bliżej siebie i przerwał twoje męczarnie w warsztacie. Znasz biegle hebrajski, przeczytałeś w nim więcej ksiązek niż ja, nie zaprzeczaj, ja nie miałem tyle czasu w młodości, była wojna. Uczysz się łaciny. Piszesz i mówisz po aragońsku... Masz tu — popukał się placem w czoło — więcej niż niejeden rabin. Ja to wiem. Nauczysz się szybko buchalterii, będziesz w niej mistrzem.

Uznałem te słowa za szczerze. Chciałem już odejść, usta miałem wyschnięte, czułem językiem, że są popękane jak skórka od chleba. Wtedy padło niespodziewane pytanie:

— Słyszałeś zapewne o tym rycerzu, *Il Nero*?

— Tak, ojczcie. Nie znam nikogo, kto by o nim nie słyszał!

— Może się tak zdarzyć, że ten człowiek stanie się dla nas bardzo ważny. Może będziemy musieli się z nim zmierzyć... No, nie na miecze, rzecz jasna — próbował żartować. — Pomożesz mi zebrać jak najwięcej informacji o nim. To będzie chyba twoje pierwsze poważne zadanie w życiu, co?

Wyprostowałem się na krześle zdumiony słowami wuja.

— Zrobię, jak każecie, ojczcie, ale co ten rycerz...

— Wszystko w swoim czasie! Niedługo udasz się do Loarre. Spotkasz go tam, przyjrzyj mu się, poznasz ludzi, którzy żyją z nim na zamku od miesięcy... Dowiedz się o tym cudzoziemcu jak najwięcej.

— Żydzi mówią, że on mści się za nasze krzywdy.

— To były wypadki, Aaronie. Turniej to zabawa. Ubolewam nad tym, co się dzieje z naszymi współbraćmi. Jak nisko upadliśmy.

— Ale w Calatayud...

— Zostawmy już to! — przerwał mi Salomon. Wyciągnął ramię w kierunku

ulicy za oknem. — Żydzi z byle... najemnika, mordercy... robią bohatera. Bo nie mają własnych! Wyglądają mściciela krzywd, a sami nadstawiają policzki. Żadnej godności. Idą pod miecz jak rzeźne bydło. To głupie i smutne, Aaronie.

Chciałem przełknąć ślinę, ale zacisnąłem tylko wyschnięte gardło. Jeszcze raz przesunąłem językiem po spękanych ustach.

— Po sposobie, w jaki zagryzasz wargi, widzę, że jesteś mądry — wiedział, że znam te słowa. — Teraz idź do siebie, przemyśl to, co ci powiedziałem. Zrobiło się już późno, za chwilę wyruszasz. Estera i Ayhe, zdaje się, już wróciły. Niech Ayhe da ci ubranie. Powinna je mieć przygotowane, wczoraj ją o to poprosiłem.

Ach, to stąd to dziwne zachowanie niewolnicy! Te gesty i miny, o których w natłoku innych myśli zupełnie zapomniałem.

Gdy mijałem patio, już nie oświetlało go słońce. Obramowane na biało liście figowych krzewów wydały się teraz uwiędłe, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach przejrzałych owoców.

Ayhe zastałem w kuchni. Ugasiłem pragnienie kilkoma kubkami wody. Nad piecem unosiły się kłęby pary. Na stole leżały dwa wydrążone bochenki chleba, po czym poznałem, że Ayhe przygotowuje na wigilię Jom Kippur ulubione danie Salomona — pasztet z drobiu. Arabka, zajęta oddzielaniem ugotowanego mięsa od kości, powiedziała przez ramię, że moje rzeczy są w pokoju na łóżku. Na dłuższą chwilę zatrzymała na mnie wzrok; uśmiechała się, płonęła ciekawością. Dopiero gdy kropla potu spłynęła jej do oka, potarła powiekę wierzchem dłoni i odwróciła głowę.

Ayhe uchodziła za najpiękniejszą niewolnicę w Saragossie. Na pewno najpiękniejszą wśród niewolnic posiadanych przez Żydów. Przyjaciele z *kahal*, ulicy, dziwili się, iż nie wykorzystują tego, że mieszkamy w izbach oddzielonych jedynie grubą kotarą.

III

Nazajutrz wypadło święto Jom Kippur — Dzień Przebłagania, Dzień Pojednania. Miał się zakończyć czterdziestodniowy czas skruchy. Mędrzy twierdzą, że tego dnia zostanie zamknięta i opieczętowana Księga Życia, co zostanie obwieszzone, jak co roku, dęciem w barani róg. Nie widziałem wokół siebie skruchy ani pokuty, ale jak zwykle do synagog ruszą tłumy, by wyjednywać łaski u Pana, prosić Go o przebaczenie, wyznawać grzechy.

Był to dla mnie wyjątkowy dzień: skończyłem już osiemnaście lat i wreszcie, po raz pierwszy, miałem podlegać nakazowi ścisłego postu. Po jego odbyciu stanę się mężczyzną.

Zgodnie z tradycją powinienem był pościć już dwa lata temu, ale sprzeciwił się temu mój wuj. Wówczas, gdy miałem szesnaście lat, w roku 1388, święto Jom Kippur wypadło w szabat. Salomon uznał, że to zła wróżba dla kogoś, kto do postu ma przystąpić po raz pierwszy. Na nic się zdały zapewnienia rabina, że Jom Kippur to przecież „szabat wszystkich szabatów”, i nie ma powodu, by przekładać pierwszy post, bo co najwyżej potwierdzona nim męskość nabierze podwójnej wartości. Ale Salomon się uparł. Rok później ogłosił z niewyjaśnionych przyczyn, że stanę się mężczyzną dopiero w wieku lat osiemnastu.

Z nadchodzącym Jom Kippur wiązała się jeszcze jedna moja osobista sprawa. Kilka tygodni wcześniej niewolnica Ayhe przyniosła mi dziwny list. A właściwie kilka słów na skrawku pergaminu skreślonych niepewną ręką starej Rachel Abnarrabí, mojej ciotki, której nie widziałem od tak dawna, że zapomniałem, jak wygląda. Spotkałem ją zaledwie kilka razy na rodzinnych uroczystościach. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Teraz prosiła, bym odwiedził ją przed tym tak ważnym dla mnie dniem, gdyż chciała mi ofiarować modlitewnik, pamiętkę po mojej matce.

Ciotka mieszkała w ubogiej dzielnicy leżącej w starej części saragoskiej *aljamy*, w domu, gdzie się urodziłem i spędziłem pierwsze lata życia. Odkąd odeszła moja matka i przeniósłem się pod dach zamożnego Salomona Abnarrabiego, otrzymałem od wuja stanowczy zakaz odwiedzania tamtych miejsc.

Stara Rachel Abnarrabí była blisko związana ze swoją młodszą siostrą, więc jeśli ktoś mógłby wyjawić mi wreszcie prawdę — dlaczego matka porzuciła mnie, Saragossę i żydowską wiarę — to tylko ona.

Przez kilka tygodni od otrzymania listu nie uzbierałem w sobie dość odwagi, by tam pójść. Bałem się konsekwencji złamania zakazu i złych, albo dobrych, wspomnień. Ale ostatnie godziny dodały mi pewności siebie.

Ubrany w czerwony kaftan, obcisłe wełniane spodnie i wiązane nad kostkami skórzane buty, rozczęśliwy i dumny, ruszyłem w stronę starej *aljamy*, by wywiązać się z misji ozniesienia zaproszeń.

Zgodnie z powziętą decyzją nie udałem się do pierwszego na liście domu

Samuela Bienvenista, lecz skręciłem w stronę zakazanej mi dzielnicy biedoty. Wrzesień był tego roku deszczowy, ulice zalegało błoto sięgające kostek. Szedłem z opuszczoną głową, starając się jak najmniej pobrudzić buty Dolza. Gdy unosiłem głowę, napotykałem wrogie spojrzenia; w tym nowym ubraniu wyglądałem jak panicz, a nienawidzono tu majątnych Żydów. Trudno się temu dziwić: to ci ludzie dźwigali brzemień królewskich podatków, nakładanych bez litości i bez umiaru. Takie bogate rodziny jak moja albo Caballería, albo Bienvenist, zawsze znajdowały sposób, by się od podatków wykręcić.

Zostawiwszy za sobą najuboższą część dzielnicy, dotarłem w końcu do drzwi, których szukałem, solidnych, dębowych, wzmocnionych okuciami. W ostatniej chwili opanowało mnie przeczucie, nadzieja, że trzy żeliwne sztaby, zasuwane kiedyś przez rodziców na noc dla ochrony przed złymi duchami, będą zasunięte też teraz, w dzień, na znak, że nie powinno się tam wchodzić.

Pchnąłem lekko, skrzydła ustąpiły. Ruszyłem ciemnym zatęchłym korytarzem wychodzącym, jak pamiętałem, na małe podwórko z tyłu domu, gdzie na wysokości kilku schodów znajdowały się właściwe drzwi. Były otwarte na oścież. Gdy wszedłem do środka, serce biło mi tak mocno, że przez chwilę nie słyszałem nic poza miarowym dudnieniem.

W głównej izbie, przy na wpół domkniętych okiennicach, panował półmrok; rozpoznawałem jedynie kontury przedmiotów, a szczegóły odtwarzałem z pamięci. Środek izby zajmował ten sam okrągły stół z połączanymi nogami, teraz przykryty niechlujnie szarą narzutą. Wokół stołu rozstawione były krzesła o wysokich rzeźbionych oparciach. W rogu, na kredensie, wypełnionym niegdyś bogatą zastawą, stał duży srebrny dzban ze złożoną pokrywą i misa służące do mycia rąk. Ściany pokrywała drewniana boazeria, zdobiona w tajemnicze wzory, w które dawno temu wpatrywałem się co wieczór przed zaśnięciem⁵.

Na kanapie, wsparta na poduchach, siedziała jakaś kobieca postać. Wpatrywała się we mnie nieruchoma. Pomyślałem, że w szarym świetle wypełniającym wnętrze ona też mogła mnie nie poznać i jest przestraszona tym najściem.

— Szalom. Jestem Aaron, syn Solbelidy Abnarrabí.

— Szalom, Aaronie, widzę kim jesteś, jeszcze nie oślepiam — odpowiedziała po dłuższej chwili Rachel Abnarrabí. — Choć ubrany jesteś jak nie ty. Twój wuj pozwolił ci tu przyjść? Pytałeś?

Zaprzeciłem ruchem głowy.

— Pewnie przyszedłeś do tego domu, nie do mnie, chciałeś się tu pokazać w takim pięknym stroju. Otwórz szerzej okiennice, niech się te ściany nacieszą twoim widokiem.

W pełnym świetle zobaczyłem, że drewniana podłoga, kiedyś szorowana co tydzień przed szabatem, była zaplamiona i pokryta kurzem. Kontrast, który pamiętałem z dzieciństwa, pomiędzy ponurym obejściem a czystym, wesoło udekorowanym wnętrzem, gdzieś się zatracił.

— Kiedy byłeś małym chłopcem, mieszkaliśmy przez rok z wami — Rachel mówiła zaskakująco mocnym i dźwięcznym głosem. — Twoja matka nie miała sił na porodzie, aby się tobą zajmować. O mało nie umarła. Potem wszystkie święta Pesach spędzaliśmy razem, ale pewno tego nie pamiętasz. Ja zawsze

przynosiłam macę, a ty z nią potem biegales po pokoju i uciekales z niewoli faraonów.

Pamiętałem bardzo dobrze. Część podłogi pokrywał kiedyś błękitny dywan zdobiony w haftowane srebrną nicią ryby. Ojciec, który zwiedził cały świat, zapewniał mnie, że tak właśnie wygląda morze. I przez ten dywan uciekałem z egipskiej niewoli.

— Gdy twoja matka wyjechała, Salomon pozwolił mi tu zamieszkać. — Ciotka zwiesiła nieco głowę. Widać było, że trzymanie jej prosto kosztowało wiele wysiłku, ale podniosła oczy, tak by cały czas mnie widzieć. — Nie poczęstuję cię niczym. Nie rozpalam już w piecu. Nie gotuję jedzenia. Przychodzą do mnie dobrzy Żydzi i wszystko za mnie robią. Nie pozwalam im tylko sprzątać, boję się, że coś pomylą, albo coś sobie wezmą. Chcesz się przejść po domu? Proszę, tobie ufam.

Ale nie miałem ochoty. Usiadłem za stołem. Ciotka chorowała od lat. Była najstarszą córką Samuela Abnarrabiego, po niej na świat przyszedł Salomon, a najpóźniej urodziła się moja matka. Rachel jako najstarsza z rodzeństwa traktowała młodszą siostrę jak własne dziecko.

— Ciociu, przyszedłem do ciebie. Chętnie wezmę ten modlitewnik. Ale przyszedłem tu po prawdę, chcę wiedzieć...

— Aaronie, jestem chora, wkrótce umrę — opuściła powieki, niemal zamykając oczy. — Chciałam, żebyś przyszedł. Ale nie wiem, czy mam siły, by wracać do wspomnień.

— Ale ja muszę wiedzieć, co się stało. Chcę poznać prawdę, zanim będę pościł w Jom Kippur. Potem nie będę już o nic prosił.

Stara Rachel pokiwała głową, ale nic nie odpowiedziała.

— Dlaczego wtedy, w pierwszy dzień szkoły, odebrał mnie po lekcji Salomon, a nie matka? Dlaczego nie poczekała? Dlaczego nigdy więcej jej nie zobaczyłem? Przecież żyła jeszcze wiele lat!

Pamiętam każdy szczegół tamtego dnia. Gdy po raz pierwszy szedłem do szkoły, miałem już sześć lat, nie pięć, jak każe zwyczaj, bo byłem chorowity i za drobny na szkołę. Bardzo dużo kosztowało mnie to czekanie. Pamiętam tylko matkę z tamtego dnia, ojca już wtedy z nami nie było. Nadchodziło Święto Tygodni, rocznica objawienia na górze Synaj. Dostałem nowe ubranie. Któraś z moich dalekich kuzynek zgodnie ze zwyczajem upiekła mi trzy ciastka z miodem. Mama ugotowała trzy jajka; w całym domu stały miski pełne owoców, a w wazonach cięte kwiaty. Przeszedł rabin i razem, za rękę, udaliśmy się do synagogi. Matka szła za nami. Postawiono mnie na podwyższeniu przed zwojem Tory, z której lektor odczytał Dziesięcioro Przykazań. Potem w grupie kilku chłopców, którzy przede mną przeszli tę ceremonię, poszliśmy do szkoły na pierwszą lekcję hebrajskiego. Każdy z uczniów dostał tabliczkę, a na niej napisane miodem hebrajskie litery. Odczytywaliśmy te litery, a kto zrobił to dobrze, mógł palcem zebrać miód i go zjeść. Co chwilę częstowano nas różnymi smakołykami, by słowa Tory wydały nam się słodkie. Przed budynkiem szkoły, zaglądając co jakiś czas przez okna, czekały mamy⁶. Po tej pierwszej krótkiej lekcji wyszliśmy do nich. Ale mojej matki nie było, zamiast niej czekał na mnie Salomon Abnarrabí — czarny, ogromny, jak jedna z gór wokół Saragossy, i wziął mnie do siebie.

Rachel podparła się ręką na brzegu kanapy i z trudem podniosła. Powoli, szorując bosymi stopami po podłodze, podeszła do komody.

— To modlitewnik twojej matki — podała mi niewielką oprawioną w skórę książeczkę. — Chciałam, żebyś go miał przy sobie podczas postu. Przyda ci się na dorosłe życie. Pomódl się za nią i przyjdź po Kippur. Muszę to sobie wszystko w głowie poukładać. Przyjdiesz, gdy będziesz już mężczyzną. Tak wolę. Jak Bóg pozwoli, przeżyję jeszcze te parę dni. Nie mów Salomonowi, że tu byłeś i że jeszcze będziesz. Potem mu powiesz, potem. Nie byłby zadowolony. A teraz już idź.

I znów znalazłem się na wąskich zacienionych uliczkach. Szedłem wolnym krokiem, co chwilę przystawałem, głęboko wciągałem powietrze, ale ucisk w gardle nie mijał.

Tak znalazłem się na ulicy prowadzącej do synagogi de Bienvenist, nazywanej tak na cześć rodziny, której głową w tamtym czasie był Samuel Bienvenist. To jego dom, stojący tuż obok synagogi, miałem odwiedzić jako pierwszy. Tu miały swe posiadłości najbogatsze i najstarsze żydowskie rody — Alazar, Hallela, Granada, Abenjamín, Trigo, Abenlobel, Saltiel, Abayub, Albalag i Jaba.

Samuel Bienvenist był najpotężniejszym bankierem Saragos-sy naszych czasów, zaufanym pożyczkodawcą króla Jana i królowej Violante. To on w wielkim planie mojego wuja miał zapanować nad finansami, a potem przejmając którąś z dużych spółek kredytowych. W zamian Salomon domagał się zainwestowania sporych pieniędzy w we wspólne przedsięwzięcie. Tyle że te pieniądze Salomon miał zamiar przeznaczyć na... na co? Jeszcze tego nie wiedziałem. Jak wielkim musiał się cieszyć autorytetem, jak pewny siebie był mój wuj, że pozwalał sobie na taką grę z Samuelem Bienvenistem!

Majątek Bienvenista wyrósł na kredytach. Do Saragossy przybył z Sorii wraz z całą rodziną, wypędzoną wcześniej, w czasach wojny Dwóch Piotrów, z Toledo. Choć Samuel był wówczas ledwie wyrostkiem, widział i rozumiał wszystko — za dużo, jak twierdził, by kiedykolwiek wybaczyć chrześcijanom to, co zrobili z Żydami w Toledo. Bardzo to niepokoiło mojego wuja. Dostrzegał w działaniach Samuela oznaki szaleństwa; jego polityka kredytowa podszyta była pragnieniem zemsty, co źle wróżyło. Podobno Bienvenist często sam udawał się na egzekucję długu. Pożyczał królowi i królowej, dworzanom i biskupom, ale wielkiego majątku dorobił się na chłopach. Był bezlitośnie hojny w udzielaniu im kredytów. Największe natężenie pracy miał właśnie teraz, na jesieni, kiedy zbiegał się czas zasiewów i płacenia rent senejalnych. Wiele rodzin chłopskich znajdowało się w rozpaczliwym położeniu: jeśli nie kupiliby ziarna na kredyt, nie obsialiby pól, czekałaby ich głodowa śmierć. Samuel Bienvenist nikomu nie odmawiał, ale też nikomu nie darował długu. Pożyczał chłopom na wysoki procent, nie przejmując się aragońskim prawem ograniczającym koszt kredytu do dwudziestu procent rocznie.

Mówiono, że bez Samuela król musiałby ogłosić bankructwo, nie wspominając o królowej. Bienvenist czuł się więc bezpieczny. Ta pewność siebie brała się też może po części z jego postury — miał silne ramiona i ponad sześć stóp wzrostu. Mimo iż dobiegał sześćdziesiątki, stąpał pewnie po ziemi. Jako jeden z nielicznych Żydów posiadał kompletną zbroję i oręż,

którym podobno umiał się zręcznie posługiwać. Żydzi nie mogli posiadać broni, ale Samuel bez najmniejszego kłopotu uzyskał od króla specjalne pozwolenie. Lekcje pobierał u samego Bellsa hom Affrahima, słynnego żydowskiego mistrza szermierki.

Mój wuj uprzedził mnie, że najpewniej Samuela nie będzie w domu — był wrzesień, czas zasiewów dla chłopów, czas żniw dla Żyda.

Choć budynek wydawał się większy niż te, które mijalem, z zewnątrz prezentował się równie skromnie: wybielony tym samym wapnem, jakiego używała biedota kilka ulic dalej, o okiennicach zbitych z surowych desek. Dopiero za tą fasadą można było poczuć bogactwo. Zostałem wprowadzony od razu do rozległego, jak na warunki tej dzielnicy, ogrodu. Powitała mnie żona bankiera, Bonafilla.

— Niech cię Bóg błogosławi, Aaronie. Cieszy mnie twój widok. Oczekiwaliśmy posłańca od twego wuja — jej ciepły głos sprawił mi przyjemność. Żona Samuela Bienvenista знаła i wymówiła moje imię! Te piękne oczy, które na co dzień sycą się bogactwem i przepychem, spoczęły na mnie.

Bonafilla, u boku męża skromna i cicha, jak każda szanowana Żydówka, podczas jego częstych nieobecności stawała się głową domu i dbała skutecznie o kredytowe interesy. Umiała więc odsunąć na bok wyuczoną skromność i patrzeć rozmówcom prosto w oczy.

— Tobie dobre błogosławieństwo, pani. To zaszczyt dla mnie przekroczyć próg tego domu — odpowiedziałem w niskim ukłonie.

Zgodnie z przewidywaniami Samuela nie było, ale to nie ze względu na obowiązki pożyczkowe, ale wyjazd na festyn do Daroki. Bonafilla potwierdziła w imieniu męża zamiar przybycia na spotkanie.

Przyglądała mi się dłuższą chwilę; miałem wrażenie, że powstrzymywała się od jakiejś uwagi, chyba miłej dla mnie, bo delikatny uśmiech, jaki przemknął przez jej usta, wyrażał znacznie więcej niż uprzejmość. Poprosiła służącą o przyniesienie jednego denara. Gdy wręczała mi monetę, poczułem na dłoni ciepło jej palców. Uchodziła za jedną z piękniejszych Żydówek Saragossy. Bonafilla była drugą żoną Samuela; wyszła za niego jako bardzo młoda dziewczyna, gdy nieoczekiwanie zmarła jego pierwsza żona, a jej starsza siostra. Postanowiłem dowiedzieć się więcej o tej kobiecie od naszej niewolnicy Ayhe, która przez kilka miesięcy była mamką w domu Bienvenistów.

Do następnego domu, do Mossé Astrucha, miałem zaledwie kilkanaście kroków; wszystko działo się tak szybko, że skrajne uczucia — przygnębienia, tęsknoty, ale też dumy i szczęścia siłowały się ze sobą gdzieś poza mną, bez mego udziału.

Mossé Astruchowi, choć nie mógł się równać sławą ani bogactwem z Bienvenistem, powodziło się znakomicie. Pochodził z rodziny francuskich bankierów, z grupy owych słynnych Żydów, którzy w liczbie sześćdziesięciu rodzin osiedlili się wiele lat temu w Barcelonie i zmienili oblicze tamtejszej *aljamy*. Po rodzinnej tragedii opuścił Barcelonę. Mieszkał kilka lat w Walencji. Do Saragossy przybył równo dziesięć lat temu. Do niedawna mieszkał z Francescą, chrześcijanką, która przeszła na judaizm, by móc z nim

zamieszkać w charakterze kontraktowej nałożnicy, *barragany*. Gorszyło to starszyzną gminy. One godziło się, ich zdaniem, by tak znamienny Żyd mieszkał z kobietą, która dla pieniędzy zmieniła wiarę. Oburzone głosy odzywały się również w chrześcijańskiej części miasta. Mossé mimo łagodnego oblicza miał wilczą naturę i nic sobie z tego nie robił. Kiedy jednak Salamó Ruben, złotnik, został zasztyletowany pod łukiem bramy la Ferriza, Mossé — za zgodą starszyny i rabina — poślubił wdowę po nim, by przejąć jubilerski interes, a Francescę odprawił.

Mossé Astruch specjalizował się w dzierżawie podatku (*sisa*) od spożycia mięsa, głównie w Barcelonie i Walencji. Jak nikt znał tamtejsze układy. Nie unikał też jednorazowych spółek handlowych; śmiało powierzał kapitał zaufanym ludziom.

Mój wuj nie ukrywał, że najbardziej zależy mu na obecności na spotkaniu właśnie Mossé Astrucha. Z racji swych francuskich koneksji miał dostęp do nieograniczonych i, co ważniejsze, dyskretnych kredytów. Miał też wyznaczoną bardzo ważną rolę w wojennej operacji przeciwko Urríesom.

Astruch był niskim, drobnym Żydem o nieproporcjonalnie dużych uszach i rzadkiej, zaniedbanej brodzie. Przyjął mnie serdecznie. Po podwórzu i pokojach kręcili się niewolnicy, których gospodarz widocznie potrzebował do pilnowania domu, gdzie zawsze były pieniądze. Dostałem aż pięć denarów.

Z ulgą opuściłem starą część *aljamy*. Przekroczywszy trakt el Coso, ponownie znalazłem się w mojej, nowej części żydowskiej dzielnicy. Miała zupełnie inne oblicze. Narodziła się dzięki koncesji udzielonej ponad sto lat wcześniej przez króla braciom Abinbruc, by ci mogli otworzyć po tej stronie el Coso duże garbarnie — rzecz, ze względu na smród towarzyszący temu rzemiosłu, nie do pomyślenia w gęsto zabudowanej, otoczonej murem starej dzielnicy. Dzięki dostępowi do bieżącej wody z rzeki Huerva warsztaty zostały rozbudowane, a z czasem wokół nich poczęli się skupiać Żydzi uprawiający zawody towarzyszące, aż powstała nowa dzielnica. Zewnętrzne jej obramowanie wytyczały ściany skrajnie położonych domów, w tym nasz, a luki między nimi wypełniono ceglanym murem. Życie toczyło się wokół trzech głównych ulic — [callizo7](#) del Arco, callizo del Medio i callizo de la Acequia. Ulice te, szerokie, równoległe do siebie, a prostopadłe do el Coso, zwieńczone były z obu stron bramami. Ład, przestrzeń, światło i świeże powietrze — wszystko to miało wpływ na ludzi tu zamieszkałych. W starej dzielnicy nie było miejsca ani przyzwolenia na większy warsztat, tu zaś zabudowania gospodarcze występowały równie często jak domy.

Gdy szedłem callizo del Arco, kierując kroki w stronę dobrze mi znanego domu Abrahama Abencanyasa, mojego mistrza, usłyszałem, że ktoś biegnie za mną, a potem woła:

— Aaronie, jeśli to ty, zatrzymaj się!

Nie rozpoznałem głosu. Serce załomotało mi ze strachu, że to Jacob albo Abram — śledzili mnie, a teraz pięściami wezmą odwet za to poranne zdarzenie. Odwróciłem się i zobaczyłem młodzieńca w moim wieku, znacznie jednak ode mnie wyższego, o długich, poskręcanych w gęste pukle włosach. Te te włosy sprawiły, że w pierwszej chwili uznałem całe zajście za pomyłkę. Ale charakterystyczny płaczący wyraz oczu i kilka gestów wystarczyły, bym

rozpoznał dawnego przyjaciela.

— Joshua! Bóg jest wielki, wróciłeś! — zawołałem i padliśmy sobie w ramiona.

— Byłem u ciebie w domu. Ayhe powiedziała, że włączysz się po mieście, ale że łatwo cię rozpoznam. Miałem się rozglądać za małym czerwonym kogutem.

Joshua przyglądał mi się uważnie, a z jego oczu biła szczerą radość.

— Przyjechałem do Saragossy z ojcem, tylko na parę dni. Wreszcie znalazł kupca na swoje cukrowe młyny. Prosił, bym mu tu pomógł z umowami. Mieszkamy w Borja. Ale dużo podróżyję — mówił mocnym niskim głosem, wciąż wodząc po mnie wesołym wzrokiem. — Nie wiesz, jak się cieszę, że widzę cię w takiej kondycji. Chwała Panu, że pozwolił nam się spotkać. Mam czas tylko do jutra. Jutro wyjeżdżamy, świtem.

Założyłem ręce za głowę, dając mu do zrozumienia, że nie chcę następnego spotkania zostawić przypadkowi i zastanawiam się, jak ułożyć wieczór. Joshua mnie uprzedził:

— Widzę, że masz coś do załatwienia. Jeśli chcesz, mogę z tobą przejść parę kroków. Wymyślimy, co później. Do wyjazdu jestem już wolny. Ojca zostawiłem w gospodzie, posiedzi tam jeszcze z godzinę i pójdzie spać. Mieszkamy w domu gościnnym.

Tu poczuł chyba, że musi się wytłumaczyć z tego darmowego noclegu.

— Powodzi nam się dobrze, ale ojca już nic nie zmieni i po tych kilku latach nędzy zrobił się jeszcze większym kutwą.

— Idę do domu Abcnajasa i do domu Ceti Cebady. A potem do miasta, do Tidemana Stickera — oznajmiłem, gdyż nie zamierzałem mieć przed nim tajemnic. — To na prośbę wuja, roznoszę zaproszenia — dodałem, widząc zdziwioną minę przyjaciela. — Chodźmy!

Przeszło mi przez myśl, że Salomon nie będzie zadowolony, jeśli w ceremonii zaproszeń weźmie udział ktoś jeszcze. Ale nie było wyjścia. Chwyciłem Joshuę za rękę i pociągnąłem za sobą. Szliśmy przez chwilę w milczeniu, co chwilę zerkając na siebie. Szukałem różnic i podobieństw do portretu wyrostka, jaki zapisał się w mojej pamięci. W końcu on przerwał milczenie:

— Co się z tobą działo? Wiem, że to trudne pytanie.

Opowiedziałem mu o niedawnych wydarzeniach, streszczając w zasadzie dwa ostatnie dni. Przemilczałem rozmowę z Salomonem o wojnie, na którą się szczykował. Trzy lata w warsztacie tkackim streściłem w jednym zdaniu.

— A gdzie ty się podziewałeś? — spytałem, spodziewając się, że ma znacznie więcej do opowiedzenia. — Nie było cię w Saragossie trzy lata.

Ojciec Joshuy, Joan Benet, zajmował się importem cukru, głównie z Cypru. Interes szedł tak dobrze, że wenecka rodzina Cornaro zaproponowała mu udziały w swej fabryce cukru w Episkopi. Już jako wspólnik zaciągnął kredyt i zamówił u kastylijskich rzemieślników dodatkowe młyny i prasy do trzciny cukrowej; tu miał być jego wkład w spółkę. Tego samego dnia, gdy maszyna stała na barcelońskim piasku gotowa do załadowania na statek, do portu wpłynęła ogromna dostawa taniego cukru z Sewilli. Dzień później jeszcze większa z Sycylii. Nikt nie przewidział, że zajęcie kilka lat wcześniej portu Famagusty przez Genuńczyków tylko na kilka lat zdusi konkurencję. Ta,

przymuszona okolicznościami, rozwinęła z powodzeniem cukrownie na południu Hiszpanii i na Sycylii, czyniąc import z Cypru całkowicie nieopłacalnym. Prasy i koła zamiast na Cypr, powędrowały więc z powrotem do Saragossy. Podwórko przy domu Joshuy niemal w całości wypełniło się drewnianymi mechanizmami, dziesiątkami większych i mniejszych kół, wypiętrzonymi dla oszczędności miejsca na kilkanaście łokci ponad dach domu. Dla ochrony przed słońcem i deszczem obciążnięto to wszystko wołowymi skórami. Powstał stwór, w którym sąsiedzi widzieli jedną z bestii Daniela, a może samego Behemota, w każdym razie — złą wróżbę. I spełniło się: rodzina Abbaków nękana coraz brutalniej przez wierzących przez rok walczyła o przetrwanie, w końcu, ukrywając gdzieś części urządzeń, uciekła z Saragossy.

— Ciężko było. Szliśmy od miasta do miasta, spaliśmy w izbach gościnnych, jak Bóg dał, albo w stodołach. A za nami, jak psy, szli wierzący. Głównie ci Kastylijczycy. — Joshua machnął ręką, jakby chciał przegnać niemiłe wspomnienia. — Dopiero w Borja tamtejszy młody rabin, Jehuda de Gabay, niech Bóg darzy go łaskami na wieki, dał nam chwilę oddechu. W Borja zmarła Istra, moja siostra, pamiętasz ją? Tamtejszy medyk leczył ją za darmo, dawał nam nawet pieniądze na leki, ale nic nie pomogło. Rabin pozwolił nam zamieszkać na jakiś czas w swoim domu.

Potem opowiedział mi jeszcze, jak ojciec i matka starali się zarobić na życie dorywczymi pracami, a on sam znalazł zatrudnienie jako pomoc u medyka w Borja. Zwolniłszy kroku. W końcu przystanąłem, bo od celu dzieliło nas ledwie kilka kroków.

— Rabin w końcu zaufał ojcu i zaproponował rozwinięcie pewnego handlu, na który on sam nie miał czasu. I udało się. — Joshua uśmiechnął się tak szeroko, że musiało być prawdą to, co mówił. — Ojciec pracuje jak wół, ja miesiącami nie zsiadam z osła, a rabi dostaje połowę zarobku.

— Co to za handel?

— Ceramika. Później ci opowiem. Zdaje się, że to dom Abencanyasa.

Podeszliśmy jeszcze kilka kroków.

— Za tą bramą spędziłem ostatnie trzy lata — brodą wskazałem przyjacielowi furtkę prowadzącą na niewielki dziedziniec. — Poczekaj chwilę, szybko to załatwię.

Była jeszcze pora pracy. Hałas maszyn zagłuszał kołatanie, więc pociągnąłem kilka razy za sznurek, który poruszał dzwonkiem tuż na głowami pracujących. Drzwi przysła otworzyć mi Angela, uczennica i służąca. Ucieszyła się na mój widok.

— Aaron! Jak ty pięknie wyglądasz!

Angela miała okrągłą, brzydką buzię, zwłaszcza gdy się uśmiechała, ale bardzo ją lubiłem. Najbardziej ze wszystkich uczniów Abrahama. Była kilka lat młodsza ode mnie.

— Szalom, Angelo — ucałowałem ją w policzek, co bardzo ją ucieszyło. — Mam wiadomość dla Abrahama.

Dziewczyna zgrabnie dygnęła i znikła w przedsionku domu.

Z niewielkiego zadaszonego przedsionka można było wyjść albo na wprost, gdzie za kotarą znajdowało się kilka połączonych izb z krosnami, a dalej

sypialnie dla uczniów, albo na prawo — do pomieszczeń mieszkalnych, odgradzonych od hałasów ciężkimi dębowymi, pomalowanymi na biało drzwiami. Po chwili zza kotary wychyliła się Angela i gestem poleciła mi wejść do mieszkania.

Gdy Abraham mnie zobaczył, uniósł ramiona przygotowane do uścisku i ruszył w moją stronę:

— Aaronie, gratuluję! To właśnie radziłem Salomonowi — wołał — wykorzystaj chłopaka, nie każ mu stać przy krosnach do końca życia, bo cię Bóg pokarze!

— Don Abrahamie, Salomon zaprasza w pierwszy wieczór po Kippur — skłoniłem się nisko, przepełniony wdzięcznością dla tego niskiego, pulchnego mężczyzny.

— Podziękuj wujowi za zaproszenie. I powiedz mu, że oczywiście będę. Masz tu denara należnego posłańcowi przynoszącemu dobre wieści. Dobrze, że Salomon nie przełożył spotkania i trwa w zdrowiu. Czym będziesz się teraz zajmował, Aaronie? Mów! Pewno sam jeszcze nie wiesz...

Opowiedziałem w kilku słowach o swoich nadziejach i obawach. Kiwał tylko głową i nie pytał o szczegóły. Wychodząc, zerknąłem przez uchyloną zasłonę do warsztatu. Ruch kółek, wałków, drążków, osnów, nici, monotony jak co dzień, zabrzmiał mi teraz obco. Francuscy Żydzi uważali tkactwo za zajęcie niegodne mężczyzn, a hiszpańscy — za powód do dumy. Ja czułem, że powrót do krosna i zgłębianie jego niewyczerpanych tajemników jest już niemożliwe. Na zawsze.

Gdy odwróciłem się do wyjścia, niemal wpadłem na żonę Abrahama, Oro Behor, która niespodziewanie wyrosła za moimi plecami. Była równie pulchna jak jej mąż, tyle że przynajmniej dwukrotnie większa.

— To dla Estery. Jej ulubione miodowe ciasteczka. Dziewczęta upiekły na Kippur, wiem że Estera na nie czeka — oznajmiła, podając mi małą paczkę obwiązaną sznurkiem.

Abraham wtrącił nieśmiało, że obarczanie mnie teraz paczką ciastek, skoro mam do przejścia pół Saragossy, jest nierozsądne, że mogę je sobie odebrać wracając, ale Oro uznała, że na pewno zapomnę, a poza tym ona za chwilę wychodzi, a to prezent od niej i nie chce, by potem ktoś inny go przekazywał. Oro, jako chyba jedyna kobieta w *aljampie*, okazywała serdeczność Esterze, drugiej żonie mojego wuja. I te ciasteczka pieczone dla niej na różne święta były tego wyrazem. Było w tym wiele dyplomacji, jednak miałem wrażenie, że Oro naprawdę czuła sympatię do Estery. Obie pochodziły z obcego miasta i obie przez wiele lat zmagaly się z niechęcią ze strony saragosskich Żydówek.

Byłem już za progiem, gdy Abencanyas podszedł do mnie i cicho powiedział:
— Żydzi w Saragossie pamiętają, że kapitan de Lucio często gościł w domu twego wuja. Wszyscy uważają, że *Il Nero* trafił do Loarre za pieniądze Salomona... żeby pozbijać z sodeł te francuskie psy — oczy rozblysły mu wesoło. — Wiem, że to nieprawda, ale mówię ci, żebyś wiedział, co gadają ludzie. Jesteś Abnarrabí, chodź z podniesioną głową!

Joshuę zobaczyłem po drugiej stronie ulicy, jak z zamkniętymi oczami grał się w promieniach popołudniowego słońca. Gdy usłyszał moje kroki, spuścił głowę i ostonił oczy.

— Zmarzłem w nocy tak, że do tej pory czuję zimno pod skórą. Ten dom gościnnie jest dla bydląt.

Stałem koło niego w słońcu.

— Została mi jeszcze Ceti Cebada. I potem ten Sticker.

— Odprowadzę cię do Ceti. Tam się rozstaniemy. Ja w takim stroju — strzepnął dłońmi kurz z tuniki — w pobliże katedry się nie wybiorę. Ty możesz, wyglądasz jak goj, ale też uważaj. W karczmie mówili, że będą dziś wcześniej zamykać bramy, bo może być gorąco, diabli wiedzą.

To prawda. W ten dzień zapowiadano przyjazd do miasta archidiacona z Écija Ferrána Martíneza i jego kazanie; wygłosi je zapewne na którymś z placów, a może w katedrze? Mówi podobno biegle w kilku językach, w tym po aragońsku. Do tej pory Ferrán Martínez pełzał na podobieństwo żmii wyłącznie po Kastylii i jadłem swych kazań zatruwał tylko tamtejsze miasta. Moja macocha, Estera, pochodziła z Sewilli, z której Ferrán Martínez, ten nikczemny gad, uczynił swe gniazdo, i opowiadała nam, jakie straszne rzeczy wygłaszał tam przeciw Żydom. A teraz pojawia się w Aragonii! Jako oficjalny powód zaproszenia go do Saragossy podawano cudowne odnalezienie szczątków Świętej Engracji; kościelne uroczystości trwały już od miesięcy. Wszyscy baliśmy się, co powie tu, w Saragossie, i co przyniosą jego słowa. Bardzo się baliśmy. Kolejny rok nie dopisały plony i bieda, największy sprzymierzeniec takich podżegaczy, niczym robactwo rozlała się po mieście. Nie spodziewaliśmy się niczego dobrego.

Ustaliliśmy po drodze, że Joshua będzie czekał na mnie w gospodzie i tam pogadamy. Okazało się, że mój przyjaciel zna i pamięta Ceti Cebadę.

— Jeszcze kiedy mieszkałem w Saragossie, dużo się o niej mówiło. Nie pamiętasz, bo kobiety nigdy cię nie interesowały.

Joshua zerknął na mnie z ukosa, jakby chciał sprawdzić, czy coś się zmieniło.

— Już wtedy wszystkich dziobało w oczy, że mieszkała sama. Oskarżyli ją o sodomie, ale jakoś się wybroniła. Potem rozpuszczali plotki o tym niewolniku. Że śpią w jednej izbie, że ona mu gotuje. Wielki czarny Saracen. Ma go jeszcze?

Gdy wzruszyłem ramionami, kontynuował:

— Już był skandal, gdy sama pojechała do Walencji i go sobie kupiła. No wyobraź sobie, Żydówka chodzi po placu i ogląda z każdej strony gołych Arabów, zagląda im w zęby, pod pachy, do tyłka i wybiera tego jednego...

Jak sięgałem pamięcią, Joshua zawsze opowiadał o kobietach. Był ode mnie dwa lata starszy, więc zawsze uważałem go za bardziej doświadczonego. Już w szkole spisywał listę najładniejszych Żydówek *aljamy*. Wartych odnotowania, na około trzysta pięćdziesiąt żydowskich domów w Saragossie, było jego zdaniem nie więcej niż trzydzieści kobiet w wieku „strojnym”, czyli od czternastu do trzydziestu lat. Chełpił się, że wszystkie je rozpoznaje i coś o nich wie. Lista była potem omawiana po szkole w wąskim gronie starszych chłopców. Joshua już wtedy zapowiedział, że albo będzie leczył kobiety, albo je zawodowo swatał, bo do obu zajęć czuje powołanie.

— Mógłbym mieć taką żonę jak Ceti Cebada — oznajmił nieoczekiwanie. — Brzydka jak twój wuj, ale ma charakter i... ładnie zawsze pachniała. A przy okazji: wiesz, dlaczego kobiety używają wonności, a mężczyźni nie muszą?

Nie wiedziałem.

— Bo Bóg stworzył Adama z ziemi, która nigdy nie cuchnie. A Ewę z kości. A wytnij kość z mięsa i zostaw na parę dni bez soli, a potem powąchaj...

Pożegnałem się z Joshuą przy jedynym w tej dzielnicy placu targowym, tego dnia wcześniej zamkniętym, zapewne z powodu przyjazdu archidiacona i spodziewanych zamieszek. Odjechały już wozy, kilka psów węszyło nerwowo w poszukiwaniu resztek. Dom Ceti mieścił się tuż przy zamykającej callizo de la Acequia wysokiej spiczastej bramie, której skrzydła — otwarte jeszcze — wbijały się w niebo ponad dachami domów i rusztowaniami opróżnionych kramów.

Otwartą dłoń uderzyłem kilka razy w solidne podwoje. Po chwili stanął przede mną wysoki Saracen, czarny jak heban, o miłej, młodzieńczej twarzy, odziany w płomiennie czerwona tunikę, opiętą na rozlanym na wszystkie strony brzuchu. Potężne choć nieco obwisłe ramiona, olbrzymie dłonie i stopy zwiastowały niedźwiedzią siłę.

— Idź po doń Cebadę — wydałem polecenie poirytowany brakiem jakiegokolwiek uprzejmości ze strony niewolnika.

Saracen bez słowa odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnym przedsiönku, nie zamykając przede mną drzwi. Uznałem to za przyzwolenie przekroczenia progu. Po kilku krokach znalazłem się w obszernym pokoju, służącym zapewne do przyjmowania kontrahentów i oficjalnych gości. Prostokątny stół i leżące na nim w idealnym porządku papiery oraz przybory do pisania wskazywały na zawodowy charakter pomieszczenia. Za stołem przy ścianie stało krzesło pani domu o wysokim bogato zdobionym oparciu, zwieńczonym dwoma lwimi głowami wielkości pięści. Po drugiej stronie dostrzegłem dwa skromniejsze krzesła, przeznaczone zapewne dla interesantów. Kąt naprzeciw wejścia zajmowało kamienne palenisko, a przyległą doń ścianę zdobiły kolorowe wełniane kobierce: wielkie, złożone w szachownicę kwadraty, każdy w innym kolorze; wyglądało to jak fragment stroju jakiegoś rycerza olbrzyma. W powietrzu unosił się delikatny zapach wonnego kadzidła.

W końcu otwarły się drzwi z ogródka i w blasku zewnętrznego światła dostrzegłem kontur wchodzącej postaci.

— Szalom, młodzieńcze. Mów szybko, z czym przychodzisz, przyjmuję dostawę.

Przekazałem jej zaproszenie.

— Widzę, że zastępujesz dziś synów Salomona. Proszę, usiądź. Paco zrobi...

Przerwałem jej odmową. Wymówiłem się brakiem czasu. Przez chwilę wahała się, nie wiedząc, jak mnie potraktować: jak służącego i skarcić za bezczelność, czy jak kogoś bliskiego Salomonowi.

W miarę jak przyzwyczajałem oczy do skąpego oświetlenia, widziałem tę kobietę coraz wyraźniej. Żydzi na ogół nie zezwalali niewiastom na przywdziewanie męskiego stroju; wyjątkiem były podróże, kiedy mogły sobie nawet doklejać brody, by zwieść tym napadających i zapobiec gwałtom. Przebiegła mi przez głowę myśl, że Ceti Cebada nie miała się czego obawiać poza murami miasta i przyklejanie jej brody byłoby zbyt czną fatygą. Miała duże ciemne oczy o kształcie migdałów, żywo patrzące spod gęstych brwi, ułożonych na jasnej skórze czoła w delikatne łuki. Ale Stwórca jakby nagle

zarzucił misternie rozpoczęte dzieło: dodał do tego za duży nos, męskie wąskie usta i kanciasty podbródek. Brzydota zdecydowanie przeważała w tych okrutnych zmaganiach z pięknem.

— Rozumiem, nie chcę cię zatrzymywać — powiedziała, pilnie mi się przypatrując. — Przekaż don Abnarrabiemu, że przyjdę, i że tym zaproszeniem sprawił mi wielką radość.

Zaproszenie Ceti Cebady na to ważne spotkanie było dla mnie niezrozumiałe. Nie sprawiała wrażenia zamożnej. Na pewno byli w Saragossie bogatsi Żydzi, którzy daliby się uwieść Salomonowi. Jak zamierzał wykorzystać tę ambitną, ale niewiele znaczącą handlarkę sukmem? Jej kontakty w Brugii były z pewnością cenne, ale dla wielkiego planu, który rano wyjawiał mi mój wuj, wydawały się bezużyteczne.

Z ulgą opuściłem ten kolorowy dom. Minąwszy wysoką bramę, wszedłem na el Coso i ruszyłem w stronę chrześcijańskiej części miasta. Miałem wrażenie, że otacza mnie zewsząd zapach kadzidła. Powąchałem koniec rękawa i ze zdziwieniem stwierdziłem, że mimo tak krótkiej wizyty zapach zdołał wnikać głęboko w materiał.

Nazajutrz przed południem na jednym z placów Saragossy miał się odbyć targ niewolników. Walenckie galery złupiły kilka tygodni temu jakąś portową osadę w rejonie Bidżaja i wprowadziły ponad dwudziestu Saracenów oraz kilkoro tamtejszych Żydów. Wielkie zyski i wielkie święto dla Walencji. Władze miasta wydały od razu stosowne dokumenty przyznające im status niewolników *de buena guerra* i wystawiły na sprzedaż. Ku ogólnemu zaskoczeniu kupcem okazał się Tideman Sticker, osiadły w Saragossie niemiecki handlarz, mimo iż do przetargu stanęli najślynniejsi *corredores* z Walencji: Pasqual Traver, Antoni Mateu, Arnau Martí i Gil del Port.

Niemiec już dotarł z towarem do Saragossy i szykował się na handel. Nadchodziła więc dla miejscowych notabli rzadka okazja kupienia niewolnika niemiec z pierwszej ręki.

Żydom zezwolono na uczestniczenie w tym wydarzeniu na stanowcze żądanie Stickera — w grupie pojmanych znajdowało się kilkoro naszych współbraci, handlarz spodziewał się więc, że bogata saragoska gmina zechce ich wykupić, nim trafią w obce ręce; ceny w tego typu transakcjach pozwalały osiągać największe zyski. I miał rację, bo gdy tylko rozeszła się wieść o jego zamiarach, starszyzna gminna przystąpiła do sporządzania planu wykupu. Do negocjacji z handlarzem, w nocy lub następnego dnia rano, miał stanąć skarbnik oraz mój wuj.

Podobno w grupie arabskich niewolników było ledwie kilku mężczyzn, a reszta to kobiety i ich dzieci w różnym wieku. Spodziewano się więc dramatycznych scen, które przyspieszą bicie serca i będą rozpamiętywane miesiącami. Ci, którzy widzieli podobną wyprzedaż, mówili, że krzyków kobiet niewprawne uszy nie są w stanie znieść i trzeba je zatykać, a łzy rozdzielanych matek i dzieci nie wysychają z targowego piachu przez wiele dni. Taki teatr rzadko gościł w Saragossie.

Wchodziłem więc teraz do chrześcijańskiej części miasta z bijącym sercem: oto miałem stanąć twarzą w twarz ze słynnym Niemcem! Choć zapewniłem wuja, że znam dokładnie położenie domu Stickera, wiedziałem tylko, że to gdzieś przy ulicy de la Sal, w grupie domów zajmowanych przez handlarzy solą. Te duże bogate domy miały spore podwórza, na których składowano towar. Tam zaopatrywali się w sól drobni kupcy objeżdżający okoliczne wsie i targi. Dom Stickera należał wcześniej do Lop Saltiela, człowieka tej samej profesji co reszta sąsiadów, tyle że Żyda, którego cały majątek runął wraz z upadkiem barcelońskich banków przed paru laty. Miasto przejęło jego posiadłość i sprzedało na bardzo dobrych warunkach właśnie Stickerowi. Dużo się o tej transakcji mówiło; ówczesny rabin Saragossy Isaac ben Shéset Perfet upierał się, że majątek zmarłego winien trafić do abrahamowej wspólnoty, ale przegrał sprawę przed sądem królewskim. Od tego czasu zaczęto postrzegać Tidemana Stickera jako człowieka wpływowego. Mówiło się, że ten dom to

prawdziwy pałac, najpiękniejszy w parafii San Pablo. Jako jeden z kilku w Saragossie miał w oknach, zamiast nasączonego tłuszczem pergaminu albo po prostu zwykłych drewnianych okiennic, duże tafle szkła łączone łożem. Jedno z okien, to w sypialni kupca, mieniło się nawet kolorami, niczym witraż w bogatej chrześcijańskiej świątyni. Miałem nadzieję, że ta niezwykłość pomoże mi go rozpoznać.

Najkrótsza droga do ulicy de la Sal wiodła wzdłuż starego muru, traktem el Coso, poprzez główny saragoski plac targowy. Chciałem jednak uniknąć tego miejsca. Wprawdzie zakaz wchodzenia na targ obowiązywał Żydów w czwartki tylko do południa, ale nie miałem ochoty przepychać się przez ten niekończący się las straganów. A tego dnia należało zachować szczególną ostrożność w związku z przyjazdem Ferrána Martíneza.

Nieznane było jeszcze miejsce wygłoszenia kazania przez archidiacona, lecz wszyscy spodziewali się, że wybór padnie na leżący nieopodal targu kościół San Pablo. Rzeczywiście: Ferrán miał nocować w tej samej dzielnicy, w skromnym klasztorze Dominikanów przy ulicy Predicadores, to już było pewne, poza tym kilka tygodni wcześniej została ukończona przebudowa świątyni, trwały związane z tym uroczystości dziękczynne i kazanie tak znanego duchownego mogło stanowić wspaniałe ich zwieńczenie.

Salomon wyśmiał te przypuszczenia. „Ferrán Martínez wygłosi kazanie w katedrze” — mówił z przekonaniem. „Oczekuje tłumów, których kościół San Pablo nie pomieści. To ważna dla niego wizyta. Nie będzie chciał stracić ani jednego słuchacza!”

Za namową racina złożyłem niedawno przysięgę, jak ostatnimi laty wielu Żydów w Saragossie, że nigdy nie oddam się hazardowi. Dotrzymywałem jej dość łatwo, zwłaszcza że nie posiadałem ani jednego *maravedí*, by zgrzeszyć w którymś z saragoskich domów gry. Nie mogłem jednakże wyzwolić się od zgubnego, głupiego i natrętnego zwyczaju zakładania się z samym sobą o własną przyszłość. Po krótkich wewnętrznych zmaganiach uległem i tym razem. Przyjąłem, że jeśli Salomon trafnie przepowiedział, i archidiacon wygłosi kazanie w katedrze, będzie to dobra wróżba na naszą wspólną przyszłość. Jeśli jednak padnie na San Pablo, to czekają mnie złe lata u boku wuja. Gdyby zaś kazanie odbyło się w jakimkolwiek innym kościele, będzie to oznaczało, że los nie zamierza mi zdradzać swych planów.

Uznałem, że rozsądniej będzie nie skręcać wzdłuż muru, lecz pójść prosto ulicą Barriocurto, gdzie łatwiej wtopić się w tłum: dzięki luźnej zabudowie mniej było tam miejscowych przechodniów, za to sporo przyjezdnych nadciągających od zachodniej bramy miasta.

Idąc niespiesznym krokiem, zapatrzony w półokrągłe, pokryte różnokolorowym błotem czuby butów Dolza, wróciłem pamięcią do porannej rozmowy z wujem. Jeszcze raz przeszedłem w myślach ten — jak go nazywał stary Żyd — „wojenny trakt”. Powodzenie planu zapewniłoby niewyobrażalne zyski, ale jego klęska wpędziłaby do grobu całą rodzinę Abnarrabích i wszystkich, którzy się w to zaangażują. Jeśli Salomon Abnarrabích przegrał tę wojnę, to nad całą Saragossę nadciągną czarne chmury. Mój wuj nie tylko obracał pieniędzmi Żydów i chrześcijan, a powierzano mu przeciwko spore majątki, ale przede wszystkim kredytami utrzymywał przy życiu wiele ubogich

rodzin i niemal całą arabską społeczność Saragossy. Tu nie chodziło o byle krawka, którego gmina może wesprzeć i wyciągnąć z długów, ale o jednego z najbogatszych ludzi w Saragossie. Jak poradziłoby sobie Dolz i Vidal bez kredytów ojca? Co z Esterą? Co ze mną? A w ogóle co znaczyło wyznanie mojego wuja, że pogrążony jest w długach? Może nie jest tak źle, skoro nie przestaje udzielać Arabom kredytów, a my jemy suto?

Zachodziłem też w głowę, jaki związek z całą sprawą mógł mieć ten rycerz, *II Nero*... Miałem może wkrótce spotkać. Muszę wcześniej czegoś się o nim dowiedzieć, to przecież moje pierwsze ważne zadanie, nie mogę zawieść Salomona. Gdzie pytać?

Znalazłszy się na wysokości ulicy Aguadores, skręciłem w nią, tak by minąć po prawej kościół San Pablo i trafić na wylot ulicy de la Sal. W ten sposób miałem pewność, że idąc w stronę targu, nie przeoczę domu Tidemana Stickera.

Podniecenie na myśl o rychłym spotkaniu z tajemniczym handlarzem na chwilę odpuściło ode mnie troski. Nie wiem, czy ktoś budził w tamtych czasach większe emocje wśród mieszkańców Saragossy. Powodowały to głównie plotki, jakie towarzyszyły niemal każdej transakcji. Tideman Sticker specjalizował się w sprowadzaniu niewolnic z Walencji. Wyglądało to tak, że zamawiający opisywał wygląd i kwalifikacje, jakich oczekiwał, oraz deklarował, ile był gotów zapłacić, a zadaniem handlarza było dostarczenie kobiet o takich właśnie cechach, w odpowiedniej cenie, terminie i zdrowiu. Nic w tym nadzwyczajnego, na niewolnice było w Saragossie znacznie większe zapotrzebowanie niż na niewolników, którzy sprawiali więcej kłopotów, jednak o działalności Stickera mówiono, że — zważywszy na wiek i urodę sprowadzanych kobiet — bliżej jej do stręczycielstwa niż do handlu. Nikt nie miał wątpliwości, jakie było przeznaczenie tych jasnowłosych młodych dziewcząt.

Do tego prawdziwą sensację wywołał kilka miesięcy temu jeden z baskijskich marynarzy, który usłyszał o Stickerze i o pozycji, jaką ten wyrobił sobie w Saragossie, wpadł w osłupienie. Zaklinał się, że znał Tidemana Stickera jako kapitana statku przewożącego pielgrzymów z hanzeatyckiego portu Gdańsk do Composteli. Utrzymywał, że płynął z nim podczas feralnego rejsu, równo dziesięć lat temu, gdy u wybrzeży przylądka Finisterre napadli ich angielscy piraci. Anglicy obcięli kapitanowi wszystkie palce, na których miał pierścienie, potem na oczach załogi pozbawili go życia, a trupa wyrzucili za burtę wiele mil od brzegu. Kilku marynarzom, w tym temu, który opowiadał nam tę przygodę, darowano życie, bo ktoś musiał dopłynąć uprowadzonym statkiem do portu. Sticker potem wielokrotnie wyśmiewał historię o piratach, choć przyznał, że w istocie pływał z pielgrzymami i towarami z Gdańska do Composteli.

Posiadłość niemieckiego handlarza rozpoznałem z daleka. Jeśli któryś z domów przy ulicy de la Sal zasługiwał na miano pałacu, to właśnie ten. Sądząc po rozmiarach, posiadał po cztery izby na każdym poziomie i zapewne miał kamienne podpiwniczenie. Okna na piętrze rzeczywiście były szklone. Dom stał na niewielkim wniesieniu, nieco odsunięty od drogi; do drzwi prowadziły ułożone z rozmachem kamienne schody. Pokonawszy je, odłożyłem

pakunek z ciastkami, przetarłem chustką kurz z butów, wydmuchałem nos, aby głos zabrzmiał czysto, otrzępałem kubrak i dopiero wtedy sięgnąłem po mosiężną kołatkę. Drzwi otwały się natychmiast, jakby ktoś czekał, aż dam znak, że doprowadziłem się już do porządku. W progu ukazała się dziewczyna, młodsza ode mnie, ale niewiele, za to dużo wyższa. Nie zaprosiła mnie do środka i najwyraźniej chciała całą sprawę załatwić na zewnątrz, bo musiałem się cofnąć o krok, by zrobić dla niej miejsce na podeście przed drzwiami. Stojąc stopień niżej, podniosłem głowę, by móc się przyjrzeć odzwiernej.

Mówiło się, że Sticker najlepszy towar zostawił dla siebie. Potem taka niewolnica, już nie do sprzedania w mieście, trafiła do jednej z przydrożnych tawern jako służąca i jednocześnie prostytutka. Ale nie dostrzegłem w tej niewolnicy niczego niezwykłego; nie była piękną, tak jak sobie wyobrażałem. Dziewczyna o buzi dziecka ubrana była w prostą sukienkę z najtańszego szarego drelichu, miała rozpuszczone, jasne jak słoma włosy, tak delikatne, że mimo, wydawało się, bezwietrznej pogody były w ciągłym ruchu i musiały je co chwilę odgarniać z twarzy. Całą twarz, szyję i szczupłe ramiona pokrywały piegry, jakby ją ktoś skropił sokiem z pomarańczy. Przez dłuższą chwilę nie mogłem oderwać oczu od jej bosych, białych jak śnieg stóp, tak dużych, że nie mieściły się na kamiennym stopniu i dziewczyna zagięła na nim palce.

— Chciałem rozmawiać z don Tidemanem. Czy możesz mu przekazać, że mam wiadomość od Salomona Abnarrabięgo?

— Mojego pana nie ma w domu. Jest w kościele. Ma przemawiać jakiś ważny ksiądz — odpowiedziała dziewczyna śpiewnym głosem.

Sądząc po niebie, daleko było jeszcze do wieczora, na kiedy to zapowiadano kazanie Farrána Martíneza, ale widocznie handlarz chciał zająć jak najlepsze miejsce. Przekazałem jej informacje o spotkaniu. Dziewczyna nie odpowiedziała, nie dała żadnego znaku, że rozumie, co do niej mówię, tylko znów odgarnęła włosy z policzka. Irytowało mnie, że unikała mojego wzroku.

— Zrozumiałaś?

Kiwnęła głową i wyprostowała palce u nóg, uwalniając kamienny stopień. Wyglądało na to, że wizyta skończona. Spieszyłem się do gospody na spotkanie z Joshuą i taki obrót sprawy był mi na rękę. Czuję lekki zawód, że nie stanąłem twarzą w twarz z Tidemanem Stickerem. Podniosłem rękę na pożegnanie, bo choć dziewczyna miała wzrok skierowany gdzieś w dal, to kątem oka musiała mnie widzieć. Ruszyłem w dół schodów.

— Wiesz, w którym kościele? — zapytałem z najniższego stopnia. Niewolnicy już nie było. Odpowiedź dobiegła z półmroku przedsionka:

— San Pablo.

Słynna na całą żydowską Aragonię gospoda Casa Ferriza znajdowała się w starej dzielnicy tuż przy bramie la Ferriza, stąd jej nazwa. Wino i jadło serwowano tu przeciętne. Swą popularność zawdzięczała przede wszystkim zapleczu, gdzie saragoccy i przyjezdni Żydzi oddawali się swej największej namiętności, hazardowi, oraz pokojom na piętrze, z których korzystały żydowskie i arabskie prostytutki, przez co *de facto* gospoda pełniła też rolę burdelu. Dzierżawiła ją znienawidzona w *aljamie* żydowska rodzina Caballería.

Mimo wczesnej pory wszystkie stoły były zajęte. W izbie panował gwar rozmów, nie tak głośnych, jak wieczorem, gdy wypite wino tępiło słuch, ale na tyle donośny, że można już było omawiać sekretne sprawy bez obaw.

Joshua siedział przy jednym ze stołów na środku izby. Widocznie niecierpliwił się czekaniem, bo ledwie ukazałem się w progu, wstał i wyciągnął ramiona w moją stronę jak ojciec witający syna po długiej rozłące. Ruszyłem między stolami w jego stronę. Patrzyłem pod nogi, udając, że staram się jak najsprawniej omijać siedzących, a w istocie czułem skrępowanie wobec tej przesadnej wylewności i nie wiedziałem, jak się zachować. Uważano nas kiedyś za parę najbliższych przyjaciół, ale on nigdy nie był mi aż tak bliski.

— Wszystko załatwione? — zapytał, gdy już wypuścił mnie z objęć, a potem usiadł ciężko na ławie.

— Do zmroku mamy czas — odpowiedziałem i z ulgą dostrzegłem, że ta przesada w gestach miała swoje wytłumaczenie: na stole stał dzban z winem i kubek; oba naczynia były puste.

Joshua wstał ponownie, tym razem odwrócił się i zaczął gestykulować. Po chwili podszedł do nas karczmarz, skinął w moją stronę na powitanie, postawił nowy dzban z winem i odszedł bez słowa.

— Jestem pod wrażeniem, Aaronie. Pamiętałem cię jako cherlawego Żydką w za dużej tunice. Takiego, co to go wszyscy lubią, z nikim nie zadziera, pilny w szkole. — Oparł się o ławę i założył ręce za głowę, tak że jarmułka zjechała mu prawie na czoło. — Zmieniłeś się. Nie żebyś jakoś specjalnie urósł, ale gęba ci się zrobiła jak kwiatek i w ogóle jakoś cię więcej. Zawsze byłeś ładny, ale teraz to już przesada. Do wujka to ty nie jesteś podobny.

Zawsze uważałem, że nasza przyjaźń (odkąd pamiętam, on częściej o nią zabiegał) służyła poprawie jego samopoczucia: przy mnie czuł się silniejszy, mądrzejszy, atrakcyjniejszy. Już jako chłopiec potrzebował kogoś, kto posłucha o jego sukcesach i będzie mu zazdrościł. Zawsze szedłem krok za nim, jeśli wyciągał mnie ze swojego cienia, to po to, by korzystniej wypaść na moim tle.

Pierwsze duże łyki wina rozgrzały mnie od środka, serce otwarło się szerzej na rozmowę i zwierzenia.

— Jak ci poszło z Ceti?

Chciałem mu streścić wizytę w kilku zdaniach, ale ledwo zacząłem, przerwał mi gwałtownie:

— A co w ogóle z gołębicami? Jesteś już po słowie? Spróbowałaś którejs? Osiemnaście lat, czas na ożenek.

— Joshua, nie chce mi się gadać. W brzuchu mam jeszcze sucho...

Zaczął się śmiać.

— Czyli po staremu...

— A ty? — spytałem, napełniając kubki. — Ty masz już dwadzieścia lat... Dobry Żyd w twoim wieku... Mówią, że człowiek bez żony nie jest człowiekiem...

Spodziewałem się długiej opowieści o ostatnich dokonaniach przyjaciela, tymczasem w półmroku karczemnej izby dostrzegłem, że na moment zagubił wesołą minę, jakby nagły podmuch wiatru sypnął mu w twarz popiołem.

— A jak się ma twój wuj? — zmienił temat. — Gdy wyjeżdżaliśmy, krążyły legendy o nim i jego drugiej żonie... Dalej tyle w nim ognia?

— Co noc się tłuką — odparłem zgodnie z prawdą.

— Ten ślub z Esterą... to było dopiero zaskoczenie! Wtedy wszyscy spodziewali się romansu, może nawet małżeństwa twojego wuja z Tolosaną de Caballería. — Joshua odchylił głowę i zamknął oczy. Na jego usta znów wypetł głupawy uśmiezek — Tolosana de Caballería, piękna stara klacz z jędrnym zadem. Pamiętasz, jak każdy w szkole śnił, że żeni się z jej córką? Poza tobą zapewne.

To prawda, nigdy nie marzyłem o poślubieniu córki Tolosany, Ruth, ale o jędrnym zadzie jej matki nie mogłem nie słyszeć. Dla wyjaśnienia: w żydowskiej Saragossie panował uświęcony tradycją obyczaj, że w pierwszym tygodniu po ślubie matka panny młodej kładła się do łóżka pomiędzy nowożeńcami. Fantazjowanie o poślubieniu Tolosany de Caballería, dojrzałej kobiety, najbogatszej Żydówki Saragossy, byłoby dla twardo stąpających po ziemi wyrostków zbyt niedorzeczne. Co innego marzenia o poślubieniu jej córki, dla tego jednego tygodnia w łóżku obok pięknej Tolosany... To od biedy było do zrobienia.

— Wiesz — kontynuował Joshua — że mąż Tolosany kompletnie uwiądnął? Podobno nie potrafi się już sam ubrać. Wszystko mu się myli. Ona od dawna sama prowadzi interesy i, zdaje się, radzi sobie lepiej niż stary Vidal. Dzisiaj o tym gadaliśmy w karczmie, bo ojciec miał z nimi jakiś proces i się dopytywał. Wielki Vidal de Caballería jest już całkiem skończony. To chyba wiesz, że Tolosana, kiedy zmarła pierwsza żona twojego wuja, chciała wejść z nim w spółkę i robić interesy. W łóżku! Ale Salomon Abnarrabí ją odprawił.

— Joshua, to bujdy, wierzysz w byle plotki.

— Plotki! — prychnął Joshua. — Stara Tolosana pogodziła się ze ślubem Salomona z twoją drugą macochą, Esterą, przybłądą z Sewilli, bo miała nadzieję, że i tak wejdzie Salomonowi pod pierzynę. A tu taka niespodzianka... Salomon się zakochał. Szkoda. Wszyscy mówią, że zamiast zjednoczyć wielkie majątki gminy, ci dwoje się teraz wzajemnie wyniszczają. Plotki? Może plotki. Chcesz więcej?

Wychylił się przez stół tak, że odruchowo cofnąłem głowę:

— Wiesz, dlaczego twojemu wujowi tak zależy na Ceti? Myślisz, że chodzi

o kontakty w Brugii? Oczywiście, tak, tak, przyda się, załatwi mu niższe opłaty portowe... Ale nie o to mu chodzi! — mówił zdecydowanie za głośno, wisząc nade mną przez stół. — Tu chodzi o Tolosanę. Prowadzą wojnę ze sobą. Tolosana tak ciężko zniosła to, że Salomon nawet jej nie spróbował, że psuje mu interesy, gdzie tylko może. Zawzięła się na niego. Ale jak twój wuj przeciągnie Ceti na swoją stronę, to Tolosana zamilknie na wieki. Ja ci to mówię. A wiesz czemu?

— Mów! Tylko ciszej.

— Bo Tolosanę i Ceti... łączy sodomia! Gada już o tym pół Saragossy. I jakby Ceti to zeznała... — Joshua zawiesił głos i usiadł z powrotem na ławie.

Skąd on mógł wiedzieć, o czym gada pół Saragossy, skoro ledwo co się w niej pojawił? Powiedziałem mu to.

— Wystarczy się tu trochę pokręcić... No dobrze — Joshua uniósł ramiona na znak, że nie zamierza się teraz o to spierać. — Ale o tym, że twój wuj utopiłby Tolosanę de Caballería w Ebro, wie cała Hiszpania. Ojciec twierdzi, że to nie siebie powinni mieć teraz za wrogów, ale Italię, zwłaszcza Genuę. Barcelona i Walencja już im się poddały na morzu. Żydzi powinni się teraz trzymać razem, przynajmniej w interesach! Genuieńczycy włączą coraz głębiej. Wiem, co mówię, bo nie ma dziury w Aragonii, gdzie bym nie był. I wszędzie się o nich potykam. Saragossa żyje z handlu w interiorze, jeśli tu wpuścimy Genuieńczyków, będziemy niedługo tylko воск sprzedawać!

— Porozmawiam o tym z wujem. Jestem teraz jego prawą ręką — oznajmiłem niespodziewanie dla samego siebie. Przesadziłem, popisywałem się, lecz nie czułem skrępowania. Chętnie sam zacząłem w to wierzyć. Szybko opróżniłem kolejny kubek, poczułem spokój i lekkość, jakbym się zanurzył w ciepłej wodzie.

Dziękowałem Bogu, że sprawił nasze spotkanie właśnie wtedy, a nie kilka dni wcześniej. Moje słowa chyba zrobiły na wrażenie na Joshui. Wpatrywał się we mnie, a uśmiech nie schodził mu z twarzy. Ja też mu się przyglądałem. Może niesprawiedliwie go oceniałem przez tyle lat?

Joshua znów zamachał do karczmarza. Opróżniliśmy kolejny dzban. Wino stępiło ostry głód, który doskwierał mi od wyjścia z domu Ceti. Rano zjadłem ledwie kawałek suszonej ryby. Zacząłem dość chaotycznie opowiadać o warsztatach i o nudzie, jaką musiałem tam znosić. Wyolbrzymiałem swoje krzywdy.

— Dziwiliśmy się w domu, że Salomon Abnarrabí nie posłał cię dalej do szkoły. Wszyscy myśleli, że zostaniesz rabinem — skomentował to Joshua, choć wiedział, jak wszyscy w Saragossie, co wydarzyło się w garbarni ojca Jacoba i Abrama.

Wspominaliśmy szkolne przygody i przyjaciół, aż wreszcie Joshua zaczął dopytywać się o naszą niewolnicę Ayhe, którą uważał kiedyś za najpiękniejszą istotę na ziemi, tajemniczą i uwodzicielską niczym Dalila. Bywało, że brał ze sobą kolegów i całą gromadą czatowali pod naszym domem, a potem szli za nią na targowisko. Tylko z przekory obwieszczałem wszystkim, że na mnie jej czar nie działa. Z biegiem lat coraz mocniej biło mi serce, gdy słyszałem odgłosy kąpieli za ścianą albo szelest zdejmowanych szat. Opowiadałem chłopcom różne historie na jej temat. Te najciekawsze

pozostawiałem dla Joshuy, gdyż czułem się zobowiązany za kawałki cukru, które przynosił na nasze wspólne lekcje łaciny.

Kiedy że poprosił mnie, bym podejrział Ayhe i opowiedział, jak wygląda naga. Mimo że nasze izby dzieliła tylko kotara, nigdy nie udało mi się zobaczyć nawet skrawka ciała niewolnicy. Ayhe bardzo się pilnowała. Musiałem więc opowiedzieć przyjacielowi o pewnym wydarzeniu sprzed paru lat, z czasów, gdy niewolnica chodziła jako mamka do rodziny Bienvenist. Ayhe urodziła dziecko zaraz po tym, jak kupił ją Salomon, który oczywiście wiedział, że bierze ciężarną. Niemowlę chyba nie wypijało tyle mleka, ile powinno, bo naszą niewolnicę często bolały piersi, co wieczorami, po powrocie, głośno obwieszczała wszystkim domownikom. Którejś nocy zbudziła mnie, prosząc, bym pomógł jej robić okłady. Opowiedziałem więc Joshui, jak w ciepłej wodzie moczyłem jeden po drugim szerokie pasy gazy, których miała u siebie cały stos, i takie ciepłe układałem na jej nabrzmiałych nagich piersiach. Gdy ból minął, pozwoliła mi ich dotknąć, a wtedy z twardych, długich na pół palca sukót trysnęło setkami strumyczków ciepłe mleko, słodkie jak cukier.

Bardzo naszą niewolnicę lubiłem. Zajmując sąsiednie izby, siłą rzeczy wieczory spędzaliśmy razem. Ayhe trafiła do naszego domu tuż przed procesem w sprawie śmierci Izaaka. Gdy dowiedziała się o wszystkim, chciała być dla mnie jak siostra. Ona lubiła mówić, a ja słuchać. Podziwiałem tę jej wiewiórczą łatwość, z jaką potrafiła przeskakiwać z tematu na temat, i godzinami snuć opowieści, nie schodząc na ziemię.

Teraz czułem, że sam mógłbym tak opowiadać do świtu. Głowę miałem coraz większą i lżejszą. Nie wiem, czy Joshua mnie słuchał. Opowieść goniła opowieść i dopiero gdy wypite wino zaczęło już mocno dawać o sobie znać, przerwałem, by udać się za potrzebą.

Karczma miała dla swych gości wygodny wychodek — podwórko otoczone murkiem, wzdłuż którego wykopano wąski rów. Co kilka kroków rów poszerzał się, tak by można było kucnąć i oprzeć się o murek plecami. Zostałem tam tylko dwóch Żydów. Jeden z nich szybko załatwił sprawę i wrócił różnym krokiem. Drugi stał oparty lewą ręką o ścianę, mocno się chwiał. Nogi co chwilę uginały mu się gwałtownie, jakby ktoś kopał go z tyłu pod kolanami. Prawą ręką starał się podnieść tunikę, ale mu się to nie udawało. Trwało to jakiś czas, aż z małych drzwi na tyłach karczmy wyszło dwóch Żydów. Śmiejąc się i lekko zataczając, ujęli pijanego pod ramiona i wciągnęli do środka. Było jeszcze na tyle jasno, że na jego tunice zobaczyłem wielką mokrą plamę od pasa w dół.

Wróciwszy do stołu, opowiedziałem o tym Joshui.

— Za tą ścianą jest inny świat — wskazał ręką za siebie. — Patrz, nie ma drzwi z tej strony. Wejście i wyjście tylko od tyłu, przez wychodek. A złażą się tam Żydzi, i nie tylko Żydzi, z całej Aragonii. Przegrywają majątki.

— Byłeś tam?

— Jeszcze nie, ale mógłbym. Karczmarz to dobry znajomy mojego ojca. Byle kogo nie wpuszczają... — odparł Joshua. Mimo że kręciło mi się w głowie, nie uszła mojej uwadze nagle powaga w jego spojrzeniu. — Słyszałem, że... twój wuj tu zagląda... dość często...

Wzruszyłem ramionami. Znając poglądy Salomona Abnarrabiego na temat

hazardu i rozpusty, uznałem, że to kolejne plotki, których nigdy nie brakowało na jego temat. Nie zamierzałem drążyć tej sprawy.

— Miałeś mi opowiedzieć o twoich zajęciach. Z czego żyjesz? Mówiłeś o handlu.

Joshua wyraźnie się ożywił:

— Mógłbyś mi pomagać. Jeździć ze mną. Włóczę się od miasta do miasta, od zamku do zamku. Podróżowanie samemu jest w tym najgorsze. Z osłem nie zagadasz, nie napijesz się.

— Jeśli mnie potrzebujesz... od tego są przyjaciele! Możemy ruszać choćby jutro — zapewniłem gładko. — Czym handlujesz?

— Talerze, misy, w ogóle ceramika. I jeszcze coś... ale nie mogę teraz mówić. Jedź ze mną do Daroki! Wszystko zobaczysz na miejscu.

— Wybierasz się do Daroki? — ucieszyłem się.

Joshua odchylił się na ławie, uśmiechnął szeroko i rozłożył ramiona.

— Jestem poważnym człowiekiem interesu. Jak mógłbym nie jechać?

Potem znów wjechał niemal cały na stół.

— Powiem ci więcej. Mam układ z takim jednym Baskiem... To rycerz z Loarre. Cała ich drużyna ma zjechać do Daroki... — Joshua rozejrzał się na boki, jakby chciał mi pokazać, że nie jest to najlepsze miejsce na tę rozmowę.

— Handluję z nimi... Powiem ci czym, jak ze mną pojedziesz.

— Byłeś kiedyś w Loarre? — spytałem, gdy przyjaciel wrócił na swoje miejsce.

— Ostatni raz tego lata — powiedział Joshua, napełniając kubki.

— Wiesz coś o tym...

— *Il Nero*? Dzięki niemu drużyna z Loarre znów chodzi w sławie. Tu w Saragossie mówią, że rodzony w Italii, ale to bujda.

— Widziałeś go?

— Nie, ale trochę mi ten Bask o nim opowiadał. W Loarre pojawił się jakoś na wiosnę. Podobno od początku trzyma się z boku. Jakaś dziewczka z Loarre, co się z nim zadawała, przysięgała, że jest owłosiony aż po szyję, jak zwierz! Prawdziwy diabeł! No tak o nim mówią! Nie zna naszego języka, gada tylko po łacinie. Turniejowi go nie lubią, bo im odbiera chleb. Wiesz, że ci z drużyny to szlachta, a dostają tyle łożdu, co zwykły ciura z załogi. Cały ich zarobek to turnieje. Było ich w drużynie trzech, a teraz mają czwartego.

— W Saragossie jest już bohaterem...

Joshua uniósł brwi.

— Bo przorną tych Francuzów? To były gówniane turnieje — oświadczył pogardliwym tonem — nic wielkiego. Zobaczmy teraz, w Daroce. Posłuchaj, on przyjechał do Loarre z Brugii, z kilkoma żołnierzami z zamku. Podobno w ostatniej chwili wzięli go na statek. Nawiewał, bo był ścigany przez miejskie straże. Za morderstwo... — oczy rozbliły mu dumą, że zna takie sekrety. — Utrupił tam jakiegoś ważnego szlachcica. Mój ojciec uważa, że ten *Il Nero* może pochodzić z któregoś wschodniego kraju niemieckiego albo położonego jeszcze dalej na wschód. Tam najłatwiej o takich rzeźników. A ten Bask z kolei twierdzi, że z kraju, który nazywa się Polonia — zrobił minę, która znaczyła, że nie wie, gdzie to jest. — Na zamku wołają na niego Sulima, od jego herbu.

To dobrze, że nie jest Genuńczykiem. Pod wpływem mojego wuja nie

cierpiełem Włochów. Joshua ma rację — kupcy z Italii wypierali nas z handlu. Doprowadzili już do ruiny Katalonię, a teraz wdzierają się w interior i zajmują Aragonię. To śmierć dla kraju. Oddać handel w obce ręce to gorzej niż pozbyć się armii i zamków.

— Co żołnierze z Loarre robili w Brugii?

— Byli na służbie jako eskorta kogoś znacznego, z otoczenia króla, ale nie wiem nic więcej.

W izbie powstał tymczasem nieznośny gwar i zaduch.

— Chodźmy pod szkołę — zaproponowałem, bo poczułem, że wypite wino jak smoła podchodzi mi do gardła. — O tej porze nikogo już tam nie ma. Posiedzimy chwilę na powietrzu. Potem pójdę, powinienem już wracać.

Szkoła mieściła się naprzeciwko synagogi, skąd miałem już blisko do domu. Było mi to na rękę. Spodziewałem się, że Salomon Abnarrabí wyczekuje mnie z niecierpliwością.

Chciałem płacić, pierwszy raz w życiu miałem swoje pieniądze, ale Joshua kategorycznie odmówił, zapewniając, że karczmarz ma wobec jego ojca dług wdzięczności, którego i tak nigdy nie spłaci. Gdy wreszcie wyszliśmy na plac przed karczmą, Joshua z pełnym bukłakiem wina na drogę, panował już zmrok. Rześkie wieczorne powietrze na chwilę przywróciło mi jasność umysłu. Naprawdę powinienem wracać.

Nogi nam ciążyły, raz on, raz ja potykaliśmy się o kamienie. Joshua przystawał co chwilę, by podać mi bukłak i samemu pociągnąć łyk. Poprosiłem go, by opowiedział przynajmniej o tym ceramicznym interesie, który tak odmienił los jego rodziny.

I opowiedział mi, jak to do Borja, kilka lat temu, przywędrowała grupa muzułmańskich garncarzy. Żyli spokojnie, produkowali prostą ceramikę, *obra aspra*, jak ją nazywał Joshua. Okolice obfitowały w dobrej jakości glinę, a w Tarazonie zaopatrywali się w tanią cynę. Któregoś lata do Borja dotarli pośrednicy, którzy na zlecenie włoskich kupców szukali wytwórców ceramiki. Warsztaty w okolicach Walencji nie nadążały z zamówieniami. Włosi, głównie agenci kompanii Datinięgo albo lokalni pośrednicy, ruszyli w głąb Aragonii w poszukiwaniu muzułmańskich warsztatów (motywy arabskie były wówczas w modzie w Italii) i tak trafili aż do Borja. Zachwycili się jakością tutejszej ceramiki i złożyli pierwsze zamówienie. Pojawiali się kilka razy do roku po odbiór towaru. Żeby sprostać zamówieniom, przywódca Arabów Ametto przyszedł do rabina po kredyt. I go dostał. Po pewnym czasie Włosi zaczęli jednak narzekać na transport, który z powodu odległości od wybrzeża był bardzo kosztowny; ponadto chcieli odbierać ceramikę już zapakowaną w ciężkie *giaras*, czyli duże gliniane naczynia, bo doskonale zabezpieczały ją w transporcie, a po rozpakowaniu na miejscu same stanowiły łatwo zbywalny towar jako pojemniki na oliwę, ziarno etc. To podrażało przewóz. Domagali się niższych cen, w końcu zagrozili, że zrezygnują z zamówień w Borja. Nie były to puste groźby, bo do Walencji i okolic, skuszeni koniunkturą, ściągali rzemieślnicy z całego południa Hiszpanii, i rzeczywiście ceny spadały. Ametto poszedł do rabina — co mają zrobić? Rabin udał się do warsztatu i stanął oczarowany w drzwiach: dziesiątki wzorów, kolorowe zdobienia, złoto i srebro. Jego uwagę zwróciło kilkanaście naczyń różnego kształtu, które były właśnie

w produkcji; na wszystkich widniał kolorowy rysunek, nieprzypominający delikatnych arabskich wzorów ani kolorystyką, ani linią. Wyglądał jak herb. Miał rację — był to herb jednej z pomniejszych pizańskich rodzin szlacheckich. Już ponad połowa zamówień dotyczyła kompletnych zastaw stołowych z dodatkową opłatą za naniesienie herbu! Wtedy rabin kazał sobie spisać wszystkie modele naczyń. Arabowie znali je tylko po włosku.

Joshua przerwał opowieść, stanął na środku el Coso. Podniósł pusty już bukłak i głośno wyrecytował:

— *Piatelli, scodelle, scodellini, vassel, alberelli, bacini, piati coperchiati, taglieri, taglini, gradaleti, salseroni.*

Nikt nie zwracał na nas uwagi. Tą drogą często wracali do domów pijani Żydzi z karczmy, więc ludzie byli przyzwyczajeni do ulicznych dziwactw.

— Już wtedy mieszkaliśmy u rabina — ciągnął Joshua. — Po długiej nocnej rozmowie z rabinem mój ojciec odkupił połowę udziałów w fabryczce. I co ty na to?

Kiwnąłem z uznaniem głową.

— Mnie wsadzono na muła i pojechałem do najbliższego dużego miasta, do Tarazony. Dostałem prosty cennik: *scodelle, salseroni, taglini* oraz *piatelli* bez dekoracji za jednego funta i osiem soldów sztuka, a dekorowane za dwa funty i dwa soldy. Jakby ktoś chciał herb, to dodatkowe dwa soldy. Zostawiliśmy włoskie nazwy. Miałem sprzedać kilka talerzy, żeby przetrzeć szlak. Po tygodniu wróciłem z pięcioma zamówieniami na kompletne zastawy: wszystkie z herbem. I tak jeżdżę od tamtej pory. W Aragonii za każdym drzewem czai się jakiś herbowy szlachcic. W miastach jest ich coraz więcej. Rok temu wprowadziliśmy złozenia i odwiedzam teraz wyższą szlachtę. Na pełną zastawę czeka się rok. Kochają mnie wszystkie arystokratki w Aragonii. Nie mogą się na mnie doczekać. Nie wierzysz? Chcesz wiedzieć, co robią niektóre, żeby nie musiały długo wyglądać zamówienia? Mówiłem ci, że byłem w Loarre latem. A wiesz po co? Dostarczyłem herbową zastawę dla żony kapitana, pięknej kondesy Violante de Urrea. Zgadnij, ile czekała?

— Rok, jak wszystkie szlachcianki... — prowokowałem.

— Niecałe dwa miesiące. — Joshua uniósł ramiona i przeciągnął się, jakby dopiero co wstał z łóżka. — Zależało jej, bo urzędowała na zamku wielkie przyjęcie. Dla samej Leonory López de Córdoba.

Machnął ręką na widok mojej niedowierzającej miny.

— Myślisz, że jak kondesa, to się nie położy z Żydem? Nic nie wiesz! Kobieta musi mieć tylko pewność, że nie wypalesz... Na Żyda, jakby się chciał wygadać, zawsze można donieść, że łże, w razie czego. Nie mamy szans w sądach, zwłaszcza ze szlachcianką, więc jesteśmy... bezpiecznymi kochankami. Przekonasz się sam. Ładny jesteś, to zobaczysz, jak cię będą pociągać za rękaw.

Nie miałem ochoty na słuchanie tych łągarstw o jego łóżkowych wyczynach, pamiętałem jeszcze z dawnych lat, że nie znał w nich umiaru.

Wykłaliśmy się coraz częściej. W końcu uznaliśmy, że wspólnymi siłami będzie łatwiej. Joshua odrzucił bukłak i objęliśmy się mocno ramionami. Szliśmy dalej jak atleta o szerokiej piersi i czterech nogach.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Salomon Abnarrabí już dawno, zaraz po

przeprowadzce do nowej dzielnicy, postanowił zadbać o stworzenie dla mieszkających tam Żydów godnych warunków do nauki. Dotąd wszystkie dzieci z naszej strony el Coso chodziły do starej części żydowskiej *aljamy*, ale na ogół nie dostawały się do klas, w których nauczał jakiś sławny rabi. Starszyzna nie chciała przychylić się do prośby Salomona o otwarcie nowej szkoły, bo gmina płaciła już za jedną i ze względu na coraz gorszy stan finansów nie chciała się zgodzić na nowe wydatki. Sprawa śmierci Izaaka pogłębiła determinację mojego wuja. Gwałtownie protestował: wpływ z podatków, *sisy*, od wina i mięsa rosną, a właśnie z nich opłacana jest edukacja, więc na nową szkołę powinno wystarczyć. W końcu zgodę otrzymał, ale gmina zobowiązała się opłacać jedynie wynajem pomieszczenia, a pensję nauczyciela i koszty książek miał pokrywać Salomon Abnarrabi z własnej kieszeni. Mój wuj porozumiał się z szewcem Franceskiem Julià. Córki szewca wyszły już za mąż, jemu zaś choroba powykręcała ręce i nie mógł pracować, chętnie wynajął więc część swojego dawnego warsztatu na szkołę.

To tu, do tej szkoły, zostałem przeniesiony po wypadku z Izaakiem. I tak pośród kawałków skór, narzędzi i szewskich taboretów znów zagłębiałem się w zawilości Pięcioksięgu, Miszny, a potem drobniejszych i większych traktatów Talmudu. Za każdym razem, gdy zaskrzyptały drzwi, drżałem, że idą po mnie, by wznowić proces i zawlec mnie na szubienicę. Nauczycielem został pewien wędrowny kaznodzieja, mądry *magid*, zwabiony wygodami i wysoką pensją.

Dom szewca miał dwa piętra: dolne, wychodzące na ulicę de el Medio, i tam mieściła się szkoła oraz pomieszczenia gospodarcze, w tym kuchnia; oraz górne, gdzie znajdowały się sypialnie rodziny Julià. Z górnego piętra schodziło się stromymi schodami na ulicę de la Acequia. Dzięki temu szkoła była w zasadzie niezależna od rytmu życia właściciela domu. Do szkoły wchodziło się przez niewielki dziedziniec odgradzony od ulicy niskim murkiem z wąską furką.

Gliniany murek sięgał nam ledwie do piersi, ale pokonywaliśmy go dobrą chwilę, szorując po nim brzuchami jak niedołęzne jaszczury. Znalazłszy się po drugiej stronie, wyłamaliśmy jedną z okiennic. Od razu uchwyciliśmy w nozdrza przesycony wspomnieniami zapach drewnianych łąw, kurzu i starych skór. Nie byliśmy tutaj od trzech lat.

Joshua usiadł pod ścianą z wyprostowanymi nogami. Ja trwałem tak z głową wetkniętą do środka, czując, jak coraz mocniej wzbiera we mnie wino.

— Długo patrzyłem, jak umiera moja siostra. Postanowiłem zostać medykiem — oznajmił nagle Joshua. Mówił powoli, dziwnie zmienionym głosem, jakby miał w ustach kamienie. — Prosto z Daroki jadę do Walencji. Chcę zaciągnąć się na galery jako pomocnik medyka. Sram na te talerze... jeszcze ojcu nie mówiłem...

Nic nie odpowiedziałem. Jeszcze przed chwilą, pod wpływem wspomnień sprzed lat, do oczu napłynęły mi łzy. Już wcześniej zauważyłem, że po wypitym winie szybciej się wzruszam. Teraz stałem oparty plecami o ścianę i gwałtownie wciągałem chłodne powietrze, by nie wymiotować.

— Po śmierci Istry — ciągnął niezrażony — zanim przyrosłem do muła, praktykowałem u żydowskiej lekarki w Borja, bo nikt inny nie chciał, a potrzebowaliśmy pieniędzy. To bardzo sławna kobieta, zwą ją Bonanada.

Sama królowa czasami ją woła.

Jakoś się trzymałem, ale czułem zmęczenie walką z własnymi wnętrzościami. Nie słyszałem o Bonanadzie. Chciałem już iść do domu. Nie miałem siły mówić.

— I spodobało mi się... Dowiedziałem się tylu rzeczy o kobietach, że chyba je zacznam rozumieć... Aaronie, ja naprawdę będę leczył.

Joshua też osłabł. Pozwalał głowie powoli osuwać się na pierś, jakby sobie w taki dostojny sposób przytakiwał, po czym podrywał ją gwałtownie. Za którymś razem spojrzął na mnie.

— Źle wyglądasz. Nie kładź się, jak wrócisz do domu... i nie zamykaj oczu. Lepiej... dziś... wujowi... się nie pokazuj... I nie jedz nic słodkiego, radzę...

Mogłem mu powiedzieć to samo. Oczywiście miał tak rozlane, gdy na mnie patrzył, że mogło nas tu stać dziesięciu i tak każdy czułby się obserwowany. Chciał wstać, ale zrezygnował po kilku próbach.

— Wiesz... czego się dowiedziałem... od tej znachorki?

Głowa kiwała mi się na wszystkie strony, jakbym nie spał tydzień, ale gdy tylko zamknąłem oczy, wnętrzości pchały mi się do gardła. Uczucie błogości gdzieś się ulotniło. W ustach czułem piekącą gorycz.

— Na przykład tego, że kobieta ma w sobie pokłady nasienia. Jak mężczyzna. Wiesz, o czym mówię? — Joshua podparł się na łokciu, przetoczył się w moją stronę i pociągnął za rękę, bym usiadł koło niego. Opierałem się.

— Aaron, wiesz czy nie wiesz? Przyyyznaj się!

Wiedziałem, a jakże! Nawet mu przytaknąłem, ale wyszło to niezdarnie, jakby ktoś mi złamał szyję.

— To, co ci mówiłem z tą hrabianką z Loarre, to prawda... Zakochałem się... Ona kładła mi rękę na policzku, dotykała palcami ust, sprawdzała, czy są dość miękkie... żadna kobieta mnie tak nie dotykała... chciałem tam zostać na zawsze. To wszystko... to prawda! — powtórzył głośno. — Ona żyje z mężem jak pies z kotem. A to nasienie kobiety... jak kobieta długo nie kładzie się z mężczyzną... to nasienie wzbiera w niej, bo nie ma ujścia, i się psuje... gnije, wydziela opary, które dochodzą do głowy i zatruwają rozum... Dlatego kobiety samotne wariują. I chętnie biorą kochanków, bo muszą. Uwierzyłybyś?

Nastąpiła długa cisza. Zaciskałem zęby, żeby nie zwymiotować.

— Spisuję to... wszystkie takie rzeczy — oświadczył już bardzo cicho Joshua. — Potem napiszę książkę i będę sławny jak Galen. Mam już tytuł: *Speculum al foder*. Aaron... nikomu o tym nie mówiłem, tylko tobie... tylko tobie...

Nogi nie chciały mnie już dłużej utrzymywać. Osunąłem się po ścianie.

Obudziłem się zdrtwiałym z zimna. W szarobiałym świetle księżycza zobaczyłem, że Joshua spał na boku, skulony, z dłońmi pod głową. Wyglądał jak upadła zjawa. Przez długą chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Przeraziła mnie cisza za szkolnym murem i całkowita ciemność. Powinienem już dawno być w domu i zdać relację Salomonowi. Ale było jeszcze coś... Wracała mi pamięć. Jakaś ważna myśl powoli, niczym bąbel powietrza w gęstej smole, przebijała się do świadomości.

„Nie jedz nic słodkiego...”.

Ciastka! Miałem przynieść Esterze ciastka! To była ważna sprawa. Rozejrzałem się wokół.

Jakoś stanąłem na zeszywniałych nogach. Przy pierwszym kroku omal się nie przewróciłem. Palił mnie wstyd. Gorączkowo usiłowałem przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz trzymałem pakunek w ręku. Chyba nie miałem go już w karczmie...

Zostawiłem śpiącego przyjaciela i ruszyłem szybkim krokiem w stronę domu Tidemana Stickera. Na murze, wzdłuż el Coso, wisiały latarnie, ale tego roku, chyba z oszczędności, ich nie zapalano. Przebijałem się więc przez tą ciemność na wycucie. Skręciłem wzdłuż muru. Poczułem ulgę na widok łuny nad placem targowym. Nie było jeszcze tak późno, skoro są tłumy na placu! Część ludzi miała w rękach pochodnie, przez co sam środek placu był rozświetlony, reszta tworzyła mrowie czarnych, ruchliwych sylwetek. Wszyscy coś wykrzykiwali. Tuż przy placu, u wylotu el Coso, zatrzymała mnie grupa uzbrojonych strażników.

— Żyd? — zapytał jeden z nich.

Wino jeszcze krążyło mi w głowie, bo nie przestraszyłem się i śmiało patrzyłem mu w oczy.

— Nie, idę do Tidemana Stickera, mam sprawę.

I przepuścili mnie.

Dom Niemca był widoczny z daleka. Parter był ciemny, ale jedno oszklone na kolorowo okno na piętrze słało w mrok wielobarwne światło, jakby nagle nocą wstała tęcza.

Zapukałem do drzwi. Tym razem czekałem długo. Musiałem kołatać kilka razy. W końcu dały się słyszeć kroki i drzwi się otworzyły. W świetle księżycy zobaczyłem krępego mężczyznę o obrzęklej twarzy, rzadkich jasnych włosach. Stał przede mną boso, ubrany w białą płócienną koszulę do połowy ud. Domyśliłem się, że to ów sławny handlarz — Tideman Sticker.

— Dobry wieczór, señor, zostawiłem tu kilka godzin wcześniej pakunek, przed drzwiami. Przysyłał mnie Salomon Abnarrabí...

— Ach, tak... — mruknął wyraźnie zaskoczony tym najściem — Margarida powiedziała mi, że przyniosłeś zaproszenie razem z poczęstunkiem. — Nazwisko wuja sprawiło, że na twarzy wcześniej ściągniętej gniewem pojawił się grymas uśmiechu. — Bardzo mi przykro, ciastek już nie ma... Obiję skórę tej dziewczce, zbiera się jej od dawna.

Sticker mówił po aragońsku szybko i twardo, jakby łupał w zębach orzechy. Miał zamiar zamknąć mi już drzwi przed nosem, ale się rozmyślił:

— Poczekaj, skoro już jesteś, zaniesiesz Salomonowi dokumenty. Nie będę musiał mu ich jutro posyłać. Zresztą jutro macie to święto, tak? Będziecie pościć, chodzić boso i kołysać się z głodu na wietrze? Jak Salomon to znosi cały dzień?

I zniknął w ciemnym korytarzu, pozostawiając za sobą kwaśny zapach potu i przetrawionego wina. Potem usłyszałem, jak wykrzyknął w górę schodów kilka przekleństw, przywołując Margaridę, by zeszła z lampą. Mimo iż imię dziewczyny, przez te dwa r, brzmiało w jego ustach jak warczenie, nie wyglądało to wszystko groźnie.

Gdy dziewczyna mijiała mnie w przedsionku, biło od niej takie ciepło, że sama wydawała się płonąć. Słomiane włosy, mokre od potu, lepiły się do jej nagich ramion. W blasku lampy wydała mi się dużo starsza niż za pierwszym

razem. Miała teraz mocno czerwone i jakby opuchnięte usta i silne rumieńce na policzkach. Nie widziałem w jej oczach strachu przed karą, wyglądała raczej na rozbawioną nieporozumieniem. Przysięgłbym, że również od niej czuć było wino, i że sama miała na sumieniu co najmniej jedno ciastko. Zawiesiwszy lampę nad drzwiami, spojrzała mi śmiało w oczy. Pierwszy spuściłem wzrok. Po chwili pojawił się Niemiec i wręczył mi spory rulon oraz kubek wypełniony po brzegi jakimś przeźroczystym płynem.

— Na odwagę! — zaśmiał się. — Uważaj, jak będziesz wracał. Ktoś cię może rozpoznać. Byłem na kazaniu. Ludzie mieli zebrać się na placu. *Christ!* Idą dla was złe czasy, Żydki.

Wychyliłem kubek. Mocny trunek rozpałił mi żołądek. Ledwo wyszedłem poza krąg światła domu Stickera, gdy poczułem, jak mrowieje mi twarz. Stałem w ciemności przez długą chwilę, nie wiedząc, co robić. Kosmaty zwierz, uciszony jakoś pod szkołą, zaczął znów rozpychać mi wnętrzności. Nagle coś, jakby żelazna obręcz, z potworną siłą ścisnęło mnie w pasie. Usłyszałem własne rżenie, nagle zdławione, a potem chlust cieczy na piasek.

Stałem w synagodze nagi, skostniały z zimna, miałem przed sobą zwój Tory i starałem się odczytać zadany mi tekst. Ale hebrajskie litery zamieniły się w robaki, wiły się bezładnie i splatały ze sobą jak w spleśniałym chlebie. Nie umiałem złożyć ani jednego wyrazu. Tłum wołał: „zjedz je, zjedz je! Tora wcale nie jest taka słodka, jak wmawia się dzieciom. Zanim staniesz się mężczyzną, musisz spróbować jej goryczy”. Nalegano coraz natarczywiej, a najgłośniej krzyczał Joshua, zdrajca, olbrzymi, gruby, czarny, a za nim stała Ceti Cebada, a więc on jest jej kochankiem i niewolnikiem! „Zjedz cały zwój, każdy musi to kiedyś zrobić”. Joshua podszedł do pulpitu i począł uderzać weń grubym czarnym kijem wydobytym spod tuniki.

Otworzyłem oczy. Hałas uderzeń nie ustawał. Z ulicy dobiegał głośny śmiech strażników z Lelezmuroz. Potem nastąpiła cisza. Nie miało uczucie przenikliwego chłodu. Za natężenia światła, jakie wdzierało się przez na wpół otwarte okiennice, odczytałem, że to dopiero świt.

Usiadłem na łóżku. Byłem nagi. Bolała mnie głowa i gardło, jakby mnie ktoś mocno pobił. Dłonie miałem usiane małymi rankami, zapewne od drobnych kamyków. Kolana, podrapane i pokryte świeżymi strupami, piekły. Gdy chciałem wstać, poczułem ukłucie w barku. Chyba wszystko mnie bolało, nawet język, który wydał mi się sporo za duży. Ktoś przygotował wodę i misę; nie pamiętałem, bym sam to zrobił. Drżały mi nogi, mogłem oddychać tylko ustami. Obmyłem twarz i ręce, usiłowałem wypłukać resztki ziemi spod paznokci. Wydmuchałem nos, zostawiając w wodzie skrzepy krwi; choć sam nos mnie nie bolał, więc może nie była to krew. Wrócił mi węch i poczułem w ustach gorzko-kwaśny smak wymiocin.

Usłyszałem za sobą szelest odsuwanej kurtyny.

— Bardzo się cieszymy, że żyjesz...

— Czekaj, aż się ubiorę — odpowiedziałem, nie odwracając głowy, tak grubym głosem, że aż zadudniło mi w piersiach. Nie miałem siły, by się czymś okryć.

Usłyszałem kroki bosych stóp Ayhe, a potem dotyk szorstkiego i chłodnego płótna na ramieniu.

— Wczoraj sprawdzałam, co możesz na siebie włożyć, i znalazłam tylko koszulę. Wyprałam to, co miałeś na sobie. Spodnie i kubrak nie nadają się już do niczego.

Przywdziawszy koszulę, odwróciłem się do niewolnicy. O poranku miała zawsze lekko opuchniętą twarz, wyglądała wtedy jak małe dziecko. Zauważyłem, że stojąc boso, jest mi równa wzrostem.

— Sam przyszedłem?

— Przyniósł cię Paco.

— Kto?

— Paco, niewolnik Ceti Cebady...

— Rozmawiałaś z nim?

— Tak, chwilę... tylko chwilę, ale wystarczyło...

Cóż, do diabła, ten tłusty Arab mógł jej nagadać? Że też się napatoczył. Nie chciałem o nic więcej pytać.

— Aaronie, ty w ogóle wiesz, że były wczoraj zamieszki?

— Tak... coś pamiętam... rozmawiałem ze strażnikami, jak szedłem do Stickera...

Usiadłem z powrotem na łóżku i wykrzywiłem twarz w grymasie bólu.

— Tylko tyle? A pamiętasz, jak przyłączyłeś się do palenia żydowskich straganów? — najwyraźniej Ayhe nie zamierzała się nade mną litować.

— Niemożliwe...

— A jak wlałeś na bramę do starej *aljamy* chciałeś...

— Przestań!

— Nie! Spadłeś z niej, na szczęście na właściwą stronę...

— Ayhe, zamknij się, bo...

— Bo co? Poskarżysz się wujowi? — Przybrała surowy ton, ale oczy się jej śmiały. — Paco zostawił cię na patio, ale ty nie umiałeś ustać na nogach. Wciągnęliśmy cię tu z Esterą.

Słuchałem tego jak wyroku. Powróciły mdłości.

— Co na to Salomon?

— Chce się z tobą widzieć...

— Teraz? — jęknąłem.

— Jak wróci. Prosił mnie, bym się tobą zajęła.

Ayhe przyglądała mi się z troską, ale i rozbawieniem.

— Salomon nie widział cię wczoraj, wrócił późno. Był ze skarbnikiem u tego handlarza. Targowali się o jeńców. Dzisiaj też wyszedł jeszcze przed świtem. Powiedziała mi, że pobili cię pijani chrześcijanie.

Wziąłem głęboki wdech. Z drogi do domu nie pamiętałem nic.

— Salomon wyglądała na bardzo przejętego twoim stanem.

— Co z Esterą? Przecież mnie widziała...

— Pomagała mi cię umyć, sama bym cię nie podniosła. Ani drgnąłeś. Jakbyśmy myły trupa. Byłeś cały w rzygach. Musiałyśmy zdjąć z ciebie wszystko. Nawet włosy ci przepłukałyśmy. Bałam się, że cię Salomon zobaczy albo coś poczuje...

Byłem zdruzgotany. Jak mogłem na to wszystko pozwolić? Co się stało? To przynęcenie musiało odmalować się na twarzy, bo Ayhe roześmiała się i postąpiła krok w moją stronę, jakby chciała mnie objąć i pocieszyć.

— Przynajmniej sobie ciebie obejrzałyśmy — spojrzała szybko w głąb kuchni, czy ktoś nas nie podsłuchuje. — Jesteś... — szukała jakiegoś słowa — no, nie spodziewałam się... Estera nie mogła się napatrzeć — roześmiała się w dziwny sposób.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła w kuchni.

— Idź do synagogi — usłyszałem po chwili. Nie podniosłem głowy. — Spacer i mdłota dobrze ci zrobią. Potem zjesz śniadanie.

Poranne powietrze nieco ochłodziło rozpaloną głowę, ale nie przyniosło ulgi w gorączce podsycanej wstydem. Na dziedzińcu synagogi zastałem kilku robotników, którzy jedli śniadanie po skończonych modłach i rozmawiali

o wczorajszych zajściach. Usłyszałem, że spalono kilka kramów Żydom, którzy handlowali na chrześcijańskim placu Albarberos, między innymi Abrahamowi Abencyanasowi. Nie wiadomo, do czego by jeszcze doszło, gdyby nie miejska straż.

Modliłem się gorliwie przez godzinę o ocalenie przed strasznym losem, który sam sobie przyszykowałem. Powoli wracała mi pamięć. Do momentu opuszczenia domu Stickera w zasadzie wszystko sobie przypominałem, przynajmniej tak mi się wydawało. Powinienem coś powiedzieć Esterze o tych ciastkach. Poczulem też wyrzuty sumienia, że zostawiłem Joshuę pod szkołą. Żle, że go nie zbudziłem. A jeśli coś tam po nas zostało? Co za wstyd! Niewiele się zastanawiając, ruszyłem w kierunku szkoły. Z bijącym sercem stanąłem przy niskim murku, który wczoraj z takim trudem pokonywaliśmy, i zerknąłem na dziedziniec. Nie dostrzegłem żadnych niepokojących śladów.

— Aaronie! — usłyszałem głos za plecami. — Co za niespodzianka!

Wyprostowałem się gwałtownie. Potworny ból za oczami, jak cięcie toporem, niemal pozbawił mnie przytomności. Oparłem się jedną ręką o mur, by nie upaść, i powoli odwróciłem głowę.

Uśmiechał się do mnie starszy mężczyzna, w czarnej długiej koszuli o dziwnym kroju, bo rozciętej na piersi prawie do pasa. Dwie głębokie pionowe bruzdy biegnące przez środek wysokiego czoła nadawały jego spojrzeniu wyrazu życzliwego zatroskania. Był to *magid*, mój dawny nauczyciel. Spędziliśmy ze sobą zaledwie rok, ale to wystarczyło, bym uważał go za najmądrzejszego człowieka Saragossy.

— Obchodziłem szkołę, że zobaczyłem otwarte okiennice, ale na szczęście nic nie zginęło... — Mężczyzna położył mi dłoń na ramieniu. — Dobrze się czujesz? Wejdz, dzieci jeszcze nie ma.

Przyznałem mu się do wczorajszego pijaństwa, na co odpowiedział machnięciem ręki. Był bardzo przejęty nocnymi rozruchami.

— Rabin powinien porozmawiać z biskupem — kręcił głową z dezaprobatą. — Skargi do króla to za mało. Biskup Heredia to mądry człowiek, nie wiem, dlaczego godzi się na kazania tego szaleńca w Saragossie!

Po chwili rozmowy okazało się, że *magid* również oczekiwał z niecierpliwością na turniej w Daroce. Bardzo zaintrygowało go to, co o czarnym rycerzu usłyszałem od Joshuy. Wieści, jakie docierały z tamtej odległej części świata, były bardzo skąpe. W zasadzie jedynym ich źródłem byli kupcy, ale ci, którzy pływali po dalekich północnych morzach, do Saragossy zaglądali rzadko. *Magid* obiecał sprawdzić, co na temat tego kraju, Polonii, i jego mieszkańców można przeczytać w saragoskich bibliotekach.

Znał natomiast dość dokładnie, dzięki swym koneksjom w otoczeniu króla, okoliczności przybycia tego cudzoziemca do Loarre.

Otóż jedynym wysokiej rangi dworzaninem, który przebywał w Brugii w tamtym czasie, i faktycznie miał eskortę kilku żołnierzy z Loarre, był don Francisco de Aranda. I to on musiał wyrazić zgodę na wzięcie na pokład młodego rycerza. To niezwykła wiadomość.

Francisco de Aranda karierę na dworze zawdzięczał starszemu bratu, Pero Fernándezowi de Aranda, który posiadał wiedzę o wszystkich najważniejszych ludziach w królestwie, a w czasach wojny z Kastylią odpowiadał za wywiad

wojskowy i werbunek agentów. Francisco de Aranda w wieku piętnastu lat trafił jako paź na dwór poprzedniego króla, Piotra, zwanego Ceremonialnym. Już wtedy starszy brat szykował go na swego następcę, a kilka lat później przekazał mu skrzynię z tajnymi dokumentami, które miały zapewnić politycznemu nowicjuszowi bezpieczeństwo, królewskie fawory i dostatnie życie. Gdy Pero Fernández został zamordowany, a stało się to w roku 1386, młody Francisco umiejętnie przejął po nim wszystkie obowiązki oraz kontakty; z wielkim talentem zaczął zarządzać siatką wywiadowców i posiadał głęboką wiedzę o wszystkim, co działo się w Aragonii i na ważniejszych europejskich dworach.

Francisco de Aranda to jeden z najbliższych i najbardziej zaufanych doradców króla Jana. Ponieważ wykazywał zawsze wielki talent do handlu, rodzina królewska chętnie powierzała mu prowadzenie prywatnych interesów. Od jakiegoś czasu krążyły jednak plotki, że Aranda dąży do usunięcia panującego króla i włożenia korony Aragonii na głowę młodszego brata monarchy, Marcina, na którego, z niewiadomych powodów, miał duży wpływ. Tak duży, że gdyby taka zmiana na tronie rzeczywiście nastąpiła, to władzę w królestwie przejąłby *de facto* Aranda. Mówiło się nawet, że ambitny dworzanin już traktuje Aragonię jako swoje *dominium*. Na razie zarządzał różnymi przedsięwzięciami Marcina i dbał o jego finanse.

Jeśli więc Francisco de Aranda udał się do Brugii, to zapewne w interesach kogoś z rodziny królewskiej. Ale dlaczego zaryzykował konflikt z władzami miasta dla ratowania jakiegoś rycerza z końca świata? Pomoc w ucieczce oskarżonemu o morderstwo to ryzykowna sprawa, zwłaszcza dla reprezentującego aragoński dwór.

Z kolei kapitanem zamku Loarre, gdzie osiadł zbieg, był w owym czasie Gonzalo González de Lucio, Kastyljczyk, były agent króla Aragonii zwerbowany jeszcze za czasów wojny Dwóch Piotrów. Przez wiele lat opiekę nad nim sprawował nie kto inny, jak Francisco de Aranda. Wprawdzie kapitan de Lucio w zamian za usługi wojenne został awansowany przez króla do grona możnych, *nobles*, i pozostał być czynnym agentem Jego Królewskiej Mości, ale kontakty z Arandą, dawnym zwierzchnikiem, pozostały. Zgodził się więc przyjąć *Il Nero* do swojego zamku.

Już miałem pochwalić się nauczycielowi, że zrządem losu właśnie do Loarre udaję się w najbliższą podróż, ale opanowałem tę pokusę.

Gdy wróciłem do domu, Azmel już krzątał się po patio. Rzuciłem coś na powitanie, nie spojrzawszy w jego stronę, i poszedłem prosto do kuchni. Zjadłem kilka jajek i kawałek chleba. Ból w gardle przechodził w miarę jedzenia.

Ayhe wręczyła mi bez słowa rulon pergaminu, który dostałem od Stickera. Rozwinąłem go. Dotyczył jakiejś sprawy sądowej człowieka o imieniu Johan. Pergamin cudem przetrwał nocne przygody, ale cuchnął, był pognieciony i poplamiony wymiocinami. W takim stanie nie mógł trafić w ręce mojego wuja. Postanowiłem go gdzieś schować, powiem, że mi go skradziono podczas zamieszek. Poczuję głęboką wdzięczność dla tej Saracenki.

— Wiesz, kto dziś rano świtem przyszedł do naszego domu? — spytała.

— Kto? Królowa? Pomagała mnie umyć?

— Francisco de Aranda! — odparła poważnym tonem i uniosła brwi. — Wiesz, po co?

— Pytasz, czy chcesz mi powiedzieć?

W głowie cały czas czułem rytmiczne dudnienie. Po tym upadku z bramy serce chyba przesunęło mi się pod czaszkę. Cóż na Belzebuba z tym Arandą? Przed chwilą *magid*, teraz ona. Umówili się?

— Pytam... — Ayhe oparła brodę na dłoni i zatopiła we mnie wzrok.

— Nie wiem, nie ma pojęcia. Chodzi o tych niewolników?

— Nie! Podśluchiwałam chwilę... Jeszcze mi serce bije... — dłoń spod brody powędrowała na pierś — Mówili o dzierżawie jakiegoś podatku w Walencji... A potem długo o tobie! — aż płonęła.

— Jesteś pewna?

— Aaron robi to, Aaron robi tamto, Aaron gdzieś pojedzie ... To na pewno było o tobie! Powiesz mi?

— Nie wiem, Ayhe, skąd mogę wiedzieć... chyba spałem wtedy...

Nie dziwiło mnie to zainteresowanie ze strony dziewczyny. Aranda od jakiegoś czasu siedział w głowach wszystkich chrześcijanek, Żydówek, Arabek, służących, wolnych i niewolnych. I mniejsza tu o jego polityczne ambicje! Chodziło o płomienny romans z największą skandalistką królewskiego dworu, Carozą de Vilaragut. Kobiętę tę podejrzewano wcześniej o romans z królem. Podobno Aranda uwodził ją na polecenie królowej, ale w końcu sam się zakochał aż po dno serca, a potem cierpiał, gdy Carroza znudziła się nim i... i tak dalej, i tak dalej. Plotkom i najrozmaitszym wersjom wydarzeń nie było końca.

— Skoro nie chcesz mówić... Pójdiesz ze mną na targ — pozwoliła sobie na urażoną minę. — Im później spotkasz się z Salomonem, tym lepiej. Rozmawiałam już z Esterą. Nie wyda cię, ale nie cieszyłabym się na twoim miejscu. Ona będzie czegoś chciała w zamian.

Wigilia Jom Kippur to dzień porządków. Estera zamówiła dwie sprzątaczkę, które myły podłogi, drzwi, ściany i okiennice. Dom wypełnił się nieprzyjemnym zapachem mokrych desek. Na patio na kilku złączonych taboretach spoczywał stos czystej pościeli i nowych obrusów.

Udaliśmy się w kierunku dzielnicy muzułmańskiej. Na głównym targu w chrześcijańskiej części miasta lepiej było się tego dnia nie pokazywać, zresztą i tak przed południem Żydów obowiązywał tam zakaz kupowania mięsa i ryb; na targu żydowskim z kolei Ayhe nie lubiła robić zakupów, bo — jak twierdziła — towar był kiepski i drogi. Myślę, że był to tylko pretekst do wychodzenia i spotkań z ludźmi spoza żydowskiej *aljamy*.

Zazwyczaj to mężczyzna odpowiedzialny był za zakup mięsa, zwłaszcza przed takim świętem jak Jom Kippur. Tym razem Salomon zadbał tylko o wołowinę, a kury na świąteczną kolację miała kupić Ayhe i zanieść do rzeźnika. Ja miałem u jej boku odgrywać rolę mężczyzny i czuwać, by jej nie oszukano, choć na drobiu się nie znałem.

Przez całą el Coso szedłem pół kroku za Saracenką, pogrążony w czarnych myślach. Wciąż męczyło mnie pragnienie, a do ogólnego rozbitcia doszedł strach przed tym, co mogłem zrobić i powiedzieć a czego nie pamiętałem. Ayhe założyła, chyba celowo, sandały na korku grubości cegły. Przewyższała mnie

o pól głowy. Nie miałem ochoty z nią rozmawiać. Szła tak szybkim krokiem, że musiałem podbiegać, by nadrobić dystans. Przystanąła dopiero, gdy minaliśmy Puerta de la Meca, bramę wiodącą do muzeumńskiej dzielnicy.

— Pójdziemy najpierw na Plaza de la Victoria zobaczyć tych niewolników — planowała, nawet na mnie nie patrząc. — To się powinno szybko skończyć. Zdążymy z zakupami.

Trudno byłoby postronnej osobie uwierzyć, że to ja, jako członek rodziny Abnarrabich, jestem jej panem, a ona moją niewolnicą. Kiwnąłem tylko głową na zgodę, choć nie rozumiałem tej decyzji. Początek licytacji nie był zazwyczaj ciekawy, długo ciągnęły się formalności; spektakl rozpoczynał się dopiero po kilku godzinach, wraz ze zmęczeniem kupujących i kupowanych.

Skreśliśmy w wąską uliczkę równoległą do ceglanego muru okalającego arabską dzielnicę i już po kilkunastu krokach dobiegł nas gwar podnieconych głosów, a zza rogu jednej z kamienic wyłonił się fragment placu de la Victoria, szczelnie wypełnionego ludźmi. Teraz ja przyspieszyłem kroku i pierwszy wbiegłem się w tłum. Chwyciłem Ayhe za rękę i jak para kochanków przepychaliśmy się na drugą stronę, gdzie panował mniejszy tłok.

Nagle, jakby cały tłum oddychał jedną pierśią, wszyscy zaczęli krzyczeć i zwrócili głowy w stronę wylotu uliczki nazywanej tak samo jak plac — de la Victoria. Nią to bowiem, od zachodniej strony, wtaczały się powoli wozy z kłatkami, a w każdej stało po kilku niewolników mrużących lub zasłaniających oczy przed słońcem. Miejsca strażnicy rozepchnęli tłum halabardami, tak by wozy mogły dojechać pod kolistą arenę, wysypaną żółtym piaskiem i otoczoną palisadą. Wyprzęgnięto konie. Z kłatek wyprowadzono najpierw mężczyzn, potem kobiety, a na końcu dzieci. Wszyscy mieli na sobie zgrzebne wory z otworami na głowę i ręce.

Nie było wśród nich Żydów. Widocznie mojemu wujowi udało się dobić targu z handlarzem wcześniej rano i oszczędzić współbraciom upokorzenia. Stowarzyszenie dla wykupu niewolników, któremu już od kilku lat przewodził Salomon Abnarrabí, dysponowało sporymi środkami, mimo to mój wuj targował się do upadłego i zamęczał handlarzy, często zrywał negocjacje w środku nocy i wznawiał je świtem w dniu licytacji. Tak chyba było i tym razem. Był gotów zapłacić ponadprzeciętną cenę za żydowskiego niewolnika, ale nie — jak zazwyczaj żądano na początku — dwu-, trzykrotnie wyższą od uczciwej. Wszystko po to, by zniechęcać handlarzy do łowów na Żydów.

Arabska mniejszość w Saragossie, znacznie uboższa, nie posiadała takich funduszy; zresztą musiałyby być one ogromne, bo Arabowie popadali w niewolę nieporównywalnie częściej.

Gapie niczym wrony obsiedli okoliczne dachy, część wstała, by lepiej widzieć. Tuż przy palisadzie, w wyróżniających się jasnoniebieskich płaszczach i spiczastych czapach, stali medycy oferujący usługi nabywcom, którzy zechcą sprawdzić stan zdrowia niewolnika. Bogatsi kupcy przychodzili na targ ze swoimi medykami.

Prowadzący licytację gestem uciszył tłum i odczytał standardową formułę, że Saraceni zostali pojmani u brzegów Maghrebu, przeszli w Walencji wymagane prawem przesłuchania przed obliczem samego *bayle general del reino*, a ten potwierdził na piśmie, że są niewolnikami *de buena guerra*, że sprawiedliwej

wojny, że Tideman Sticker jest ich pełnoprawnym właścicielem i może nimi dysponować wedle uznania, w tym sprzedawać, wynajmować i zamieniać. Po zakończonej transakcji w budynku Rady Miasta będzie można wraz z aktem notarialnym na zakup niewolnika uzyskać odpis tego dokumentu. I przystąpiono do handlu.

Z niewolników zdjęto worki, tak by wszyscy mogli dokładnie im się przyjrzeć. Tłum ponownie ożył i podniósł się gwar. Zainteresowani kupnem, dopuszczeni za okazaniem gotówki do samej palisady, ruszyli powolnym krokiem wokół areny. Kobiety, w tym dwie młode matki z małymi dziećmi na rękach, poczęły płakać niemal równocześnie i zbijać się w gromadę. Organizatorzy byli na to przygotowani: natychmiast do grupy przyskoczyło trzech mężczyzn, którzy krótkimi kijami owiniętymi wełną, by nie uszkodzić towaru, poczęli rozdzielać przywarte do siebie ciała i bić szybkimi uderzeniami po przedramionach tych kobiet, które zbyt kurczowo trzymały przy sobie starsze dzieci i zasłaniały się nimi. Niemowlęta pozostawiono przy matkach. Płacze nie ustały, ale kobiety posłusznie się rozdzieliły. Gdy minął czas na pierwsze oględziny, prowadzący licytację położył rękę na ramieniu jednego z trzech mężczyzn, podał do wiadomości jego imię, wiek i cenę wywoławczą — osiemdziesiąt florenów — a potem wypchnął go przed szereg.

Był to wysoki, młody Arab, o delikatnych, jeszcze chłopięcych rysach, szczupłej, ale silnej budowie ciała. Stał wyprostowany, z zamkniętymi oczami i cały drżał jak w gorączce. Jego pojawienie się wywołało gwałtowny śmiech w pierwszych rzędach, chyba przez nieproporcjonalnie długi i cienki członek, który kołysał się przez chwilę na boki. Cena była bardzo atrakcyjna, bo od razu posypały się oferty i ostatecznie stanęło na stu dziesięciu florenach. Nabywcą okazał się Juan Sánchez, jeden z chrześcijańskich karczmarzy i właściciel małej winnicy. Spora kwota, ale młody, zdrowy mężczyzna do pracy w polu był wart takich pieniędzy. Medyk, którego przyprowadził kupiec, wszedł za zgodą licytatora do zagrody i poddał niewolnika starannym badaniom. Potem kiwnął głową na znak, że wszystko w porządku. Pozostali dwaj, starsi i niżsi, zostali szybko sprzedani za sześćdziesiąt i siedemdziesiąt florenów.

Tłum zaczął napierać na pierwsze rzędy, każdy chciał teraz widzieć jak najlepiej, bo przystępowano do sprzedaży kobiet, a to one były bardziej pożądanym towarem. W Barcelonie, a zwłaszcza w Walencji, mężczyzn kupowano chętnie. Ale tu, w interiorze, gdzie niewolników było znacznie mniej niż na wybrzeżu i nie było odpowiednich instytucji do łapania uciekinierów, mężczyzna-niewolnik stanowił kłopot. Arab, zwłaszcza z Maghrebu, wymagał większego starania niż Arabka. Musiał być pilnowany, na noc zamykany w specjalnych klatkach albo przykuwany. Łatwiej nieco było z tatarskimi i ruskimi niewolnikami, którzy za sprawą Genuńczyków handlujących na Krymie szerokim strumieniem napływali do Hiszpanii⁸. Ci nie mieli ojczyzny tak blisko, ani tak wielu współwyznawców, którzy mogliby ułatwić ucieczkę i dać schronienie przed pościgiem. Choć i tak sprawiali kłopoty.

Dlatego najchętniej kupowano kobiety, im młodsze, tym lepiej. Łatwiej godziły się z losem, nigdy nie uciekały. Urodziwa jasnowłosa niewolnica była ozdobą i powodem do dumy dla właściciela. Podobnie piękne Arabki. Jeśli

miały szczęście — jak Ayhe — były dobrze traktowane, często jak członek rodziny niższej rangi.

Zaprezentowano pierwszą kobietę. Chyba znów postanowiono rozpocząć od najdroższej sztuki, by potem ludziom łatwiej było sięgać do sakiewek. Była to smukła, młoda dziewczyna, o małych piersiach układających się w szpic, szczupłych nogach, wąskich biodrach i jędrnych, drobnych pośladkach. Trudno coś było powiedzieć o jej urodzie, bo twarz miała wykrzywioną i napuchniętą od płaczu. Rozpuszczone włosy sięgały jej do połowy pleców. Musiała się chyba wcześniej przewrócić, bo lewy bok, od biodra do stopy, miała cały w piasku, z daleka wyglądał jak pokryty złotą łuską. Z napięciem oczekiwano na podanie ceny. Ale prowadzący wyraźnie się z tym ociągał, by wzbudzić jak największe zainteresowanie. Zrobił więc dwie rundy przy palisadzie, aby można było niewolnicę obejrzeć z każdej strony. Dziewczyna cały czas miała zaciśnięte pięści, jakby chciała w nich przechować resztki godności. Mimo usztywnienia i przerażenia poruszała się z niezwykłą gracją, ostrożnie stawiając stopy na piasku. Kupujący w pierwszym rzędzie stali tak blisko, że mogli dotknąć jej ramienia, a ona zapewne czuła ich oddechy. Starła się iść ze spuszczoną głową, ale drugi z asystentów swym krótkim kijem co kilka kroków unosił jej podbródek.

Zdałem sobie sprawę, że Ayhe cały czas trzymała mnie za rękę i co chwilę wspinała się na palcach, jakby szukała wzrokiem czegoś w uliczkach dochodzących do placu. Nagle jej uścisk stał się mocniejszy, a część ludzi, od południowej strony, zaczęła się rozstępować; wśród mużłmanów rozległy się wrodlive pomruki. Na plac, w asyście służby, wkroczył sam Jucef de Galip, najbogatszy Maur Saragossy, głowa znienawidzonej przez całą *morerię* rodziny. Najpierw podszedł do licytatora, by ten przerwał handel, a potem ruszył w kierunku handlarza Stickera. Z tłumu podnosiły się okrzyki żądające kontynuowania handlu. Obaj mężczyźni chwilę rozmawiali, po czym Niemiec przywołał do siebie licytatora, a ten po chwili wszedł na środek placu i kilka razy skrzyżował ramiona nad głową na znak, że wszyscy niewolnicy zostali sprzedani i handel jest zakończony. Nakazano kobietom i dzieciom przywdziać z powrotem worki. Młoda dziewczyna, której ani imienia, ani ceny już nie poznaliśmy, stała wstrząsana dreszczami i nie reagowała na polecenia. Dwaj pomocnicy oderwali jej ramiona od piersi i siłą nałożyli worek. Gdy upadła na kolana, ujęli ją pod ramiona i wywlekli z areny. Tłum buczał, w stronę wozów poleciały kamienie, kawałki drewna, jakieś jarzyny, co kto miał pod ręką ciskał w organizatorów i niewolników. Nawet mnie ogarnęło poczucie rozczarowania, że nie zobaczę obiecanego przedstawienia.

— Do niego chodzisz? — zapytałem, mając na myśli Jucefa de Galip. Domyślałem się, że była kochanką któregoś z zamożnych Saracenów, ale Ayhe nie chciała mi nigdy zdradzić jego imienia.

— Nie, do jego syna — odpowiedziała po chwili, nie patrząc na mnie.

— Którego? Ma ich trzech.

— Do Faraiga.

Po raz pierwszy w życiu poczułem ukłucie zazdrości. Wówczas wydawało mi się, że to tylko żal. Żal do niewolnicy, że tyle lat skrywała przede mną swoje ciało, a równocześnie oddawała się za pieniądze jakiemuś Arabowi. Gdy

poznałem jego imię, ogarnęła mnie złość, że udostępniałem jej moje okno, pomagając w tych nocnych schadzках.

— Wiedziałaś, że licytacja tak się skończy?

— Tak mi wczoraj Faraig obiecał. Miał przekonywać ojca, żeby kupić wszystkich bez wyjątku. Bałam się, że mu się nie uda... — pochyliła nisko głowę i uśmiechnęła się bezwiednie do swoich myśli.

— Dlaczego on ciebie nie wykupi? Po co ci każe przychodzić do siebie nocami?

— Faraig? On mi nic nie każe — dopiero teraz na mnie spojrziała. — Nie chce mnie wykupić. Mógłby, ale wtedy trafiłabym do haremu ojca. A on nie chce dzielić się mną z innymi. Obiecał, że jak się ożeni i wyprowadzi z domu ojca, wtedy mnie kupi i weźmie do siebie. A potem wyzwoli. Teraz i tak Salomon nie zgodziłby się mnie sprzedać. Nienawidzi tej rodziny, zresztą jak wszyscy w Saragossie. Widziałaś, co się działo, jak Jucef wchodził na plac.

— Wykupienie tylu niewolników to bardzo szlachetny gest... i kosztowny.

— Raczej dobra inwestycja — odparła sucho. — Te kobiety i dzieci będą u niego ciężko pracowały, przynajmniej przez rok, aż mużułmanie z Bidżaja nie wykupią ich za tyle, ile zapłacił, albo za więcej. Jeśli nie wykupią, to je wszystkie sprzeda, dzieci też.

Poczekaliśmy chwilę, aż plac całkiem opustoszał i ruszyliśmy w kierunku Puerta de la Meca.

Saragoska *morería* była wciąż najważniejszym skupiskiem Arabów pod panowaniem króla Aragonii, choć lata świetności miała już za sobą. Jeszcze kilka pokoleń temu liczyła ponad dwieście dymów i rozkwitała. Teraz — po wielkim głodzie, zarazach i wojnach — pozostało ich niewiele ponad sto. Mówiło się też o jej finansowej zapaści. Największym przekleństwem były podatki nakładane przez króla. Krzywo patrzono więc na tych, którzy dzięki różnym przywilejom zwolnieni byli z obowiązku płacenia daniny. Im bogatsza rodzina, tym boleśniej dla mużułmańskiej społeczności była taka odmowa składania się na podatek dla władcy. W przypadku de Galip, najbogatszej rodziny, niechęć przerodziła się w nienawiść. Ujawnienie nocnych schadzek Ayhe z Faraigiem de Galip mogłoby zadać śmiertelny cios kredytowym interesom mojego wuja. Wtedy zobaczyłem to na własne oczy.

Mimo iż liczebność saragoskiej *morerii* nie przekraczała tysiąca mieszkańców, na ulicach było rojno i gwarno dzięki przyjezdnym. Targowisko mieściło na Plaza de la Alfondiga, kilkadziesiąt kroków od głównej bramy. My jednak je ominęliśmy, by wejść w calle de Azoque, szeroką ulicę handlową, nad którą wznosiło się drewniane rusztowanie pokryte skórą. Tym razem to Ayhe chwyciła moją dłoń i pociągnęła w stronę ocienionego bazaru. Mijaliśmy kramy jubilerskie, szewskie, sukiennicze i z jedwabiami. Każdy — szeroki na osiem, dziesięć łokci — wyglądał jak mała izba, której odjęto jedną ze ścian, i mienił się swoimi kolorami. Wnętrza wyłożone były barwnymi kobiercami, a handlarze albo siedzieli na poduszkach, albo — jeśli był to kram rzemieślniczy — pracowali, przerywając jedynie, by obsłużyć klientów. Nad głową kotlarza słońce przebiło się przez rozsunięte skóry, przez co jego sklep wydawał się płonąć miedzianymi ogniami kociołków, garnków, patelni. Na samym końcu ulicy mieścił się kram kowalski z dziesiątkami misternie kutych

lamp wiszących u sufitu⁹. Dopiero tu Arabka puściła moją rękę. Właściciel, potężny Saracen o olbrzymiej głowie i szerokich ramionach, chyba dobrze znał Ayhe, bo gdy tylko nas zobaczył, zniknął na zaplecze. Wrócił po chwili ze skromnie zdobioną w arabskie wzory metalową rękojeścią długości około czterech cali. Podał ją Ayhe bez słowa, a mnie uściśnął dłoń i poklepał po ramieniu.

— Zamówiłam to dla ciebie, żebyś stał się już wreszcie mężczyzną — powiedziała Ayhe, po czym ujęła podarek w dłoń i nagle, jak w kuglarskiej sztuczce, wysunęło się ostrze o tej samej długości co rękojeść.

— Uważaj, jest bardzo ostry.

Pokazała mi potem, jak chować ostrze i jak zamykać dłoń na rękojeści, żeby się ponownie pojawiło. Żydom w Saragossie nie wolno było nosić ostrej broni, groziło za to więzienie albo wysoka grzywna. Taki czarodziejski nóż nie będzie budził podejrzeń.

Gdy oddaliliśmy się na kilkanaście kroków od kramu, Ayhe niespodziewanie ujęła mnie pod ramię; poczułem ciepło jej ust tuż przy uchu:

— Wiesz, komu podawałeś rękę...?

— Mówisz o tym kowalu? Powiniennem go znać?

— Nie powinien... — jej oczy wesoło błyszczały. — Ten kowal, tylko nie mów nikomu, był przez wiele lat... katem.

Przeszył mnie dreszcz. Kaci budzili przerażenie. Tu, w Saragossie, zajęciem tym parali się tylko Arabowie, mimo że było dobrze płatne. Uchodzili za zamożnych: dostawali z kasy miasta trzysta soldów rocznie, a oprócz tego dziesięć soldów za każdego skazańca powieszzonego albo ściętego. Kata nazywano *morro de vaquas*, czyli „krowi ryj”, bo zasłaniał twarz okropną maską. Pełnienie tej funkcji stanowiło pilnie strzeżoną tajemnicę, którą kat był zobowiązany zabrać ze sobą do grobu. Skąd więc Ayhe wiedziała? Spytałem ją o to.

— Był moim... kochankiem.

— Do niego też chodziłaś w nocy? — aż jęknąłem.

Roześmiała się.

— Aaronie, mój panie, pytasz, jakbyś był zazdrosny.

O ile kramarze zachowywali się powściągliwie, o tyle kupcy z arabskiego targu, gdzie się wreszcie udaliśmy, wydzielali nas sobie. Smukła Ayhe otulona w różnobarwne tkaniny prezentowała się wspaniale. Kobiety wołały na nią „piękna señora”, a mężczyźni cmokali lubieżnie na jej widok. Ayhe zachowywała się swobodnie, odważnie patrzyła w oczy zagadującym do niej kupcom i śmiała się, jeśli zaczepka była dowcipna. Co chwilę kogoś pozdrowiała. Wydało mi się niedorzecznością, że jestem tu, by strzec ją przed oszustami. Kupiwszy na jarzynowych straganach cebulę i fasolę na *hamin* dla żony Vidala (jako ciężarna zwolniona była z jutrzejszego postu), udaliśmy się do sprzedawców drobiu. Musieliśmy dostarczyć kury do domu żywe i niezranione. Ayhe wybrała pięć najsilniejszych. Każdą z osobna zawijała w zabrane z domu kawałki płótna, by kura nie mogła ruszać skrzydłami ani nogami, a na głowę zakładała jej kaptur. Tak zapakowane układaliśmy na środku dużego kwadratu z materiału o rzadkim splocie; związałem cztery jego rogi razem i zarzuciłem sobie na plecy. Wpatrzony w ziemię i ugięty pod

ciężarem zakupów niczym juczny osioł posłusznie ruszyłem za niewolnicą.

W pewnej chwili Ayhe zatrzymała się tak gwałtownie, że na nią wpadłem.

— Mam opłaconą wizytę w *hammam*, łaźni — spojrzała najpierw na niebo, a potem na mnie. — Jest jeszcze wcześniej. Chodź ze mną. Im później pokażesz się Salomonowi, tym lepiej. Kury jakoś przeżyją.

Bezczelna niewolnica, pomyślałem, ale skinąłem głową. Wciąż czułem pod powiekami nienaturalne ciepło, nie wiedziałem, jak wyglądam. Może rzeczywiście lepiej odwlec jeszcze trochę powrót do domu.

Salomon pozwalał Ayhe na wiele, a ona odpłacała mu całkowitym oddaniem. Była inteligentna, do tego swojej matce zawdzięczała umiejętność pisania i czytania po aragońsku, co było niespotykane u kobiet w *morerii*. Szybko nauczyła się zasad udzielania pożyczek i stała się wielką pomocą dla Salomona. Arabowie darzyli ją sympatią i zaufaniem. To dzięki niej mój wuj tak rozwinął kredytową działalność dla Arabów, nie tylko z Saragossy. A że był mądrym Żydem, pozwalał jej chodzić do arabskiej dzielnicy, nosić arabskie stroje, często wbrew zarządzeniom władz miasta. Opłacał jej wizyty w łaźni, aby wysłuchiwała tam plotek, a potem piękna i pachnąca towarzyszyła mu w negocjacjach ze współbraćmi. Salomon rozgłaszał wszem wobec, że oto niewolnica arabska żyje u niego jak księżniczka. I ona trochę się tak czuła.

Po wejściu do łaźni rozdzielono nas: Ayhe z korytarza przeszła do dużego ogrzewanego pomieszczenia, z długą kamienną ławą pośrodku, skąd w towarzystwie dwóch łaźiebnych przeszła do parni. Mnie zaś skierowano do przyległej kłitki, przeznaczonej dla służby. Dawniej, gdy *moreria* była najbogatszą dzielnicą miasta, zamożne Arabki przychodziły z *eunuchami*. I tu ich pewno sadzano. Umieściwszy sobie wór między kolanami, usiadłem na niskim taborecie przy ścianie przeciwległej do wejścia. Na wysokości oczu miałem zakratowane okienko, przez które widziałem główne pomieszczenie. Domyślałem się, że miało to taki sens, że służba przynosiła ze sobą ubiór dla swojej pani oraz przybory toaletowe, pachnidła, kremy, i musiała wiedzieć, co kiedy podać.

Przekonany, że tam, za drzwiami parni, odbędzie się całe misterium, zająłem się własnymi myślami. Nagle ciężkie drzwi się rozwarły i do pomieszczenia w asyście tych samych łaźiebnych weszła Ayhe — naga! Nawet nie miała sandałów. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Przez długą chwilę patrzyłem, jak podchodziła do długiej kamiennej ławy, obłożonej białym, bawełnianym ręcznikiem, by się na niej położyć. Byłem blisko, jakieś pięć, sześć kroków, nie dalej, i widziałem wszystko jak na dłoni. Bałem się poruszyć, aby nie zdradzić swojej obecności, bo chyba Ayhe nie wiedziała, gdzie mnie umieszczono!

Najpierw obie łaźiebne nasunęły na dłonie rękawice z szorstkiej wełny i masowały Ayhe, jedna posuwając się od stóp, druga od głowy, co jakiś czas robiły przerwę i obficie polewały dziewczynę ciepłą wodą. Ayhe leżała na brzuchu najpierw z twarzą zwróconą w stronę parni, ale po jakimś czasie odwróciła głowę, tak że mogłem widzieć jej zamknięte oczy. Gdy je otworzyła, długo patrzyła w stronę kratki, jakby szukała mojego wzroku. Przecież nie mogła mnie widzieć! Izba była silnie oświetlona, a ja siedziałem w ciemności.

Jedna z kąpielowych wyszła po wodę, a druga wcierała jakąś białą pastę

w miedziane uda, pośladki, plecy i ramiona niewolnicy. Widać, że Ayhe знаła dobrze tę kobietę, bo rozmawiała ze sobą bez jednej przerwy i co chwilę wybuchały śmiechem. Gdy łaźiebna skończyła, przejęła dzban z chłodną wodą od pomocnicy i zaczęła polewać Ayhe po plecach; ta podparła się wówczas na łokciach, wyginając ciało w delikatny łuk; woda spływała mocnym strumieniem z pleców na pośladki, obłe, twarde jak rzeczne kamienie, odsłaniając idealnie gładką skórę. Potem osuszyły i natarły całe ciało niewolnicy olejkim, który nim wniknął w skórę, rozświetlił smukłe ciało.

Serce chciało rozerwać mi pierś. Oddychałem szybko i głęboko, jakbym toczył zapaśniczą walkę. To podniecenie najwyraźniej udzieliło się kurom, bo poczęły ruszać się coraz niespokojniej. Szczególnie jedna była niesforna, podrywała zaciekle głowę i prężyła szyję pod materiałem.

Ayhe tymczasem oparła plecy na kilku poduszkach i przyjęła pozycję półsiedzącą. Położyła dłonie na piersiach — dużych i ciężkich, jakby wypełnionych miodem z tysiąca pasiek. Jedna z łaźiebnych zajęła się włosami, a druga przystąpiła do pielęgnacji twarzy: masowała ją opuszkami palców, potem cienką jedwabną nicią przesuwiała po policzkach i czole, by usunąć zbędne włoski. Następnie różnymi pędzelkami i patyczkami malowała oczy, brwi, pudrowała policzki. Na koniec nastąpiły zabiegi wokół stóp. Po tym wszystkim Ayhe, siedząc jeszcze naga, uniosła dłonie nad głowę i wykonała nimi kilka tanecznych ruchów. Wypielęgnowane paznokcie zabłysnęły w świetle lamp jak klejnoty [10](#).

W drodze do domu nie wspomnieliśmy słowem o wizycie w *hammam*. Nie czułem ciężaru pakunku z prowiantem, a wszelkie objawy wczorajszego pijaństwa minęły. Poznałem najnowsze plotki z miasta zasłyszane od laziebnych. Zrewanżowałem się opowieścią o śledztwie, jakie na prośbę Salomona prowadziłem w sprawie rycerza z dalekich stron; Ayhe unosiła brwi, udając zainteresowanie, i co jakiś czas posyłała mi przez ramię promienny uśmiech.

W połowie drogi przyspieszyła kroku. Ugięty pod ciężarem kur nie nadążałem za nią. Ayhe w końcu to dostrzegła. Wyciągnęła rękę za siebie, a ja ująłem jej pomocną dłoń.

— Patrz, jak się trzymają!

Tym razem nie miałem wątpliwości, do kogo należał głos za mną. Zwolniłem wilgotny od strachu uścisk.

— E... no, Aaron — zawołał tubalnym głosem Jacob — nie wstydź się, każdy zaczyna od dziwki! Na kimś się trzeba nauczyć. Złap ją jeszcze za paluszki!

— Wiesz, Abram, ile ona bierze?

— Chyba dużo! Patrz, jaka wypindrzona.

— Dwadzieścia *maravedís*. To tania dziwka. A mogłaby brać więcej. Wszyscy to mówią.

Jacob podszedł do Ayhe i pchnął ją lekko.

— Ale ona woli tanio, za to często — odwrócił głowę w moją stronę. — Co się tak gapisz, Aaron. Myślisz, że jesteś pierwszy? — obaj ryknęli śmiechem. — Byłem z nią niedawno! Przyznaj się, dziwko! Co trzymałaś w tej miękkiej ręczce?!

Ayhe odwróciła głowę, ale nie było w tym dumy, tylko strach. Bała się, tak jak ja.

— Za dwadzieścia *maravedís*. Tyle wzięłaś, suko! Chodzisz do synagogi, ale na grzbiecie masz dalej arabską skórę!

Ayhe głęboko oddychała, w końcu potrząsnęła głową, ruszyła przed siebie szybkim krokiem, ale Abram podbiegł do niej i od tyłu kopnął w kostkę. Upadła na kolana, podparła się dłońmi.

Jacob, rozłożywszy ramiona, zagroził mi drogę.

— Trzymaj się od niej z daleka — poczułem kropelki śliny na twarzy. — Pozbędziemy się tego wycierucha. Rabin już wszystko wie!

Był odrażający. Mimo młodego wieku z nosa i uszu wystawały mu kępki włosów, oddech cuchnął. Miał duże sine wargi; im je pogardliwiej wyginał, tym wydawały się większe. Chrześcijanie zamawiali do kościołów wizerunki Żydów, każąc malarzom celowo oszpecać ich oblicza. Mogliby się wzorować na Jacobie! Zabiję go kiedyś. Namacałem żelazną rękonożę w kieszeni, ale nie miałem odwagi. Jeszcze nie teraz.

Ayhe wstała z kolan. Minąłem Jacoba i ruszyłem za niewolnicą. Resztę drogi

przeszliśmy w milczeniu.

— To wszystko nieprawda... — powiedziała, gdy zbliżaliśmy się do domu.

Chwilę po naszym przyjściu zjawili się synowie Salomona, moi przyszywani bracia: Dolz Abnarrabí i Vidal Abnarrabí. Starszy, Vidal, przybył z ciężarną żoną. Flora, bo takie nosiła imię, obdarzyła mnie najpierw pięknym uśmiechem na powitanie, by po chwili, korzystając z zamieszania, spojrzeć na mnie — przysiągłbym, gdyby nie jej status mężatki i błogosławiony stan — zalotnie. Moi kuzyni jak zwykle obojętnością maskowali niechęć pomieszaną z pogardą.

Ayhe i Flora udały się do kuchni, a ja poszedłem z kurami do rzeźnika. Gdy wróciłem, Estera skierowała mnie do izby, gdzie zebrali się mężczyźni. Tam zastałem siedzących na ławie kuzynów oraz Salomona, który stał nad nimi i coś tłumaczył; zawieszona w górze ręce świadczyły, że sprawa była poważna, a oni nie rozumieli.

— Aaronie — przerwał na mój widok i opuścił ramiona — tłumaczyłem właśnie moim synom, dlaczego nie wolno im dostarczać trzydziestu stągwi wina rabinowi z Toledo, jeśli nie mają spisanej umowy, a on nie zapłacił jeszcze za poprzednią partię. Co z tego, że to wielki rabin wielkiego miasta Toledo? Jeśli nie płaci, to żaden zaszczyt z nim handlować. To głupota, niemiła Bogu!

Salomon ostatnie zdanie zakończył już bardzo głośno.

— A zwłaszcza jeśli ma się na szyi kredyt! — zagrmiało w izbie. — Choćby żyrantem był wasz ojciec, sam Salomon Abnarrabí!

Potem znów zwrócił się do mnie, już spokojniejszym tonem:

— Oni mówią, że jadą na jednym wozie, bo jak się nie sprzeda, to razem tracą. Na jednym wozie! Aaronie, oni za pożyczone pieniądze chcą wsiadać na jeden wóz z bogatym rabinem z Toledo i wspólnie ryzykować.

— Jak rzekł Echa Rabba, zanim tłusty schudnie, chudy zdechnie — odrzekłem usługując. Szukałem w oczach Salomona oznak gniewu za wczorajszy wieczór, ale ich nie dostrzegłem.

— Oto święte słowa! — zawołał Salomon. — Słyszeliście? Chudzielcy, macie zsiąść z tego wozu!

Z twarzy obu braci biła wściekłość. Ich ojciec zdawał się tego nie dostrzegać.

— Aaronie, oni i tak robią, co zechcą.

To, że uważał ich za głupców, tylko pogłębiało jego miłość, trudno było tego nie dostrzec. Robił, co mógł, by maskować nieudolność synów. Mimo iż to on pozyskał wiejski majątek, rozповідаł, że młodzi uprawiają winorośl z własnej woli i pomysłu. Stary ojciec odgrywał w ich obecności ignorantę w sprawie produkcji wina, choć i tak najbliżsi rodzinie wiedzieli, że jeśli to przedsięwzięcie się powiedzie, to tylko dzięki zapobiegliwości starego Żyda. Pomógł im wydzierzać słynną w całej Hiszpanii oberżę Ojos de Vaca w żydowskiej dzielnicy Toledo, która w jego zamysle miała się stać także składem wina dla okolicznych Żydów i chrześcijan. Wprawdzie wino aragońskie zawsze uchodziło za lepsze niż kastylijskie, i nie było problemów z jego sprzedażą za granicę, to jednak po raz pierwszy dopuszczono do

tamtejszej *aljamy* bezpośrednich dostawców z Saragossy. Właściciel karczmy, czyli kapituła katedry w Toledo, wydzierżawił ją Dolzowi i Vidalowi dzięki poparciu biskupa Saragossy, z którym od kilku lat współpracował Salomon Abnarrabí. Aura bieglej rolników i winiarzy, jaką rozciągał wokół synów, sprawiła, że i oni uwierzyli w swoje talenty i stali się aroganccy, także wobec ojca. Ten zaś witał to z zadowoleniem, bo wolał mieć za synów chamów niż niedorajdy. Tak twierdziła Ayhe.

— Zostawmy to. Idźcie teraz do łaźni — oznajmił synom i zwrócił się do mnie: — Aaronie, poleciłem Ayhe skompletować dla ciebie przyzwoite odzienie. My też pójdziemy za chwilę i tam się przebierziesz.

W drodze do łaźni zdałem mu relację z wczorajszych wizyt. Była na tyle szczegółowa, że nie zadał mi ani jednego pytania. Dopytywał natomiast o moją drogę powrotną. W związku z nocnymi zajściami rada gminy przygotowywała oficjalny protest, który miał zostać przekazany królowi. Planowali szczegółowo opisać spalenie kramów na placu Albarberos i napaść na jeden z żydowskich domów.

— Podobno pobili cię pijani chrześcijanie... Twoja relacja będzie bardzo ważna. Przypomnij sobie dokładnie, co się wydarzyło. Król jest naszym obrońcą. Staniesz przed rabinem za kilka dni i wszystko mu opisziesz.

W jednej chwili zaschło mi ustach. By jakoś się ratować, zapytałem, czy Aranda bierze udział w naszej wojnie. I po czyjej jest stronie. Nie powinienem był tego robić, ale wyznałem, że wiem od Ayhe o jego pobycie w naszym domu.

— Tak, tak... nie zamierzałem tego ukrywać, ale chciałem ci to powiedzieć później. Zachowaj tę wiedzę dla siebie, jak zresztą wszystko, o czym rozmawiamy. I na Boga, każ tej dziewczce milczeć! Nigdy jej rano nie ma, jak jest potrzebna, śpi do południa jak hrabina, ale jak trzeba ucha nadstawić, to się podniesie z łóżka nawet po ciemku!

Salomon przesadzał z tym południem, ale rzeczywiście chyba jako jedyna niewolnica w Saragossie wstawała najpóźniej ze wszystkich domowników.

— A zatem, skoro już pytasz, tak — powtórzył Salomon — don Francisco de Aranda pełni w naszym planie bardzo ważną rolę. Na szczegóły przyjdzie czas.

Woda w łaźni okazała się cudownie ciepła, osunąłem się w nią cały. Nocny wysiłek, choć go nie pamiętałem, dał o sobie znać; myśli płynęły powoli, na granicy jawy i snu. Usiłowałem przywołać w pamięci, co o Jom Kippur mówił nam nauczyciel. Nadchodził czas duchowego oczyszczenia, zmazania grzesznych brudów z przeszłości, zbliżenia z Bogiem. Ujrzałem postać Aarona, mego imiennika, cierpiącego po stracie synów Nadaba i Abihu. Ich jedyną winą było zbliżenie się do Najświętszego Miejsca w sposób niezgodny z regułą, a Bóg ich ukarał za to śmiercią, a potem ustami Mojżesza nakazał Aaronowi wchodzenie tam tylko raz w roku — w dniu Jom Kippur. Krew i ofiary. Jeden z kozłów zabity, drugi pognany na pustynię w ręce diabła Azazela, jako kozioł ofiarny, unoszący na grzbiecie grzechy Hebrajczyków.

Mimo ciepłej wody przeszył mnie mroźny dreszcz na myśl, że właśnie taką rolę mógł mi wyznaczyć w swoim planie Salomon Abnarrabí: rolę ofiarnego kozła.

W drodze powrotnej Salomon rozmawiał z synami o sprawach winnicy, o długach i wierzycielach. Dawał im rady, co i jak jego zdaniem powinni począć z każdym z kontrahentów. Napominał ich też, by dbali bardziej o jakość wina i jego przechowywanie, bo doszły go cierpkie uwagi od kilku osób. Potem rozpoczął opowieść o nowym pomysle, jaki zrodził się podczas spotkań z biskupem. Dopiero tu nadstawiłem ucha, bo interesy mego wuja z biskupem Saragossy od jakiegoś czasu budziły poruszenie. Ale jako że dochodziliśmy do domu, obiecał dokończyć rzecz przy kolacji.

Kobiety także wróciły już z mykwy. Wszyscy szykowali się do posiłku.

— Ayhe zasiądzie z nami do kolacji, będziemy jej pomagały w podawaniu dań. — Estera kierowała te słowa przede wszystkim do Flory. To był jedyny dzień w roku, gdy w domu Salomona do stołu zasiadała służba. Ponieważ Ayhe oficjalnie przyjęła abrahamową wiarę, zapraszano ją, mimo że była niewolnicą, do wieczornego posiłku, a potem do postu. Teraz poszła się wybrać zgodnie z tradycją święta.

Był jeszcze czas, chciałem więc pójść do siebie, zostawić tam stare ubrania i odpocząć, ale drzwi do kuchni od strony patio były zamknięte. Ayhe często je zamykała, gdy chciała być sama. Wybiegłem na ulicę. Nie spotkałem nikogo, wszyscy Żydzi zasiedli już do kolacji. Okrążyłem dom, podniosłem zamaskowaną kamieniami krótką drabinę, która służyła Ayhe do nocnych wycieczek, i przez okno wślizgnąłem się do swojego pokoju. Miałem nadzieję, że Arabka nie usłyszała hałasu. Uchyliłem ostrożnie skrawek zasłony dzielącej nasze izby. Serce znów załomotało mi w piersi. Ayhe przebierała się do kolacji. Nie miałem odwagi postąpić kroku dalej. Jak bardzo musiała mną gardzić za to, że stchórzyłem, że pozwoliłem, by Jacob i Abram się nad nią pastwili!

Stała do mnie tyłem, w samej koszuli sięgającej do kostek, układała włosy. Na stopach miała sandały na cienkiej skórzanej podeszwie. Gdy skończyła, odwróciła się i podeszła po suknię przewieszoną przez oparcie krzesła stojącego nie dalej niż dwa kroki ode mnie. Sięgnęła po nią. Pochyliła się tak blisko, że poczułem zapach jej włosów. Wstrzymałem oddech. Nagle podniosła głowę i szybko wyciągnęła rękę w kierunku zasłony. Nie zdążyłem odskoczyć. Uchwyciła mnie i przyciągnęła do siebie.

Pierwsze chwile uroczystej kolacji były niczym purimowe przedstawienie. Miałem wrażenie, że wszyscy przy stole zachowywali się nienaturalnie wesoło, przybierali dziwne miny, jakby mieli na twarzach maski. Kobiety o surowych, ostrych rysach zdały mi się brzydkie jak mężczyźni, a mężczyźni, wystrojeni w białe szaty, z utrefionymi włosami, wyglądali jak kobiety. Ja byłem myślami wciąż przy Ayhe, daleko od tego stołu, od święta i tej uroczystej kolacji.

Estera, by rozjaśnić smutki biesiadników, zapaliła tyle świec, ile tylko kandelabrów i lamp znalazła w domu. Gdy Salomon rozpoczął wreszcie modlitwę, ta podziałała na mnie jak puszczenie krwi: powoli odplynęło radosne napięcie, wrócił mi słuch, węch i ostrzejsze widzenie.

W ostatniej chwili do stołu zdążył zasiąść kuzyn Salomona, Mahabud Faquim z Majorki, o którym tyle się tu mówiło, i to zazwyczaj źle. Mój wuj wysłał mu list z zaproszeniem na przyjęcie, ale nie otrzymał odpowiedzi. I gdy wszyscy myśleli, że nie przybędzie — pojawił się niespodzianie tuż przed kolacją. Narzekał na przewoźnika, wynajętego w porcie w Walencji, że opóźniał marsz dla większego zarobku. Ten nagły i niespodziewany przyjazd wywołał duże poruszenie; wszyscy zdawali sobie sprawę, że to nie chęć zobaczenia rodziny sprowadziła go do Saragossy. Ja przyjąłem jego obecność z ulgą, licząc na to, że rozmowa potoczy się w kierunku nowin ze świata i nie skupi się na mnie. Pocieszeniem było też, że kolacja potrwa krótko — z powodu Mahabuda rozpoczęła się z opóźnieniem, a zwyczaj kazał zakończyć posiłek przed zmrokiem.

Do izby weszła Ayhe z pierwszymi potrawami. Kobiety wstały z ławy i poszły do kuchni, by przynieść pozostałe talerze, dzbany i półmiski. Zgodnie z obyczajem wszystkie potrawy podano równocześnie. Na stole znalazły się pocięte na porcje gotowane kury, kawałki chleba w wyplatanych koszach, miód w słoju, misa z owocami, półmiski gotowanej ryby, pasztet na desce i dwa duże dzbany z winem. Kolacja w wigilię Jom Kippur była w domu Abnarrabich zawsze obfita, ale niesmaczna. Unikało się przypraw i szafranu, a nawet soli, aby nie powodowały pragnienia na drugi dzień i by można było jak najgodniej znieść całodzienny post. Nawet wino, z tych samych powodów, rozcieńczało się wodą. Jedyną atrakcją tego wieczoru był przyrządzony przez Ayhe pasztet z drobiu — właściwie doprawiony i osolony.

Zgodnie z oczekiwaniami twarze biesiadników zwróciły się w stronę gościa. Padały pytania i odpowiedzi, ale ich nie słuchałem, słowa zwały się w monotonny szum, jakby rozmowa toczyła się gdzieś na ulicy. Zostałem sam ze swoimi wspomnieniami sprzed chwili. Co wiedziałem o tej Saracence? Niewiele. Jej matka jako młoda dziewczyna została porwana na południu, w hrabstwie Denia, w czasie wojny Dwóch Piotrów. Była niewolnicą jednego z notabli we Fradze. Tam urodziła córkę — Ayhe. Jakim sposobem Ayhe trafiła

jako wolna służąca do domu saragoskiego jurysty Cerdana? Nie wiedziałem. Ten oskarżył ją o jakąś kradzież, a sąd skazał ponownie na niewolę. Jak Ayhe znalazła się w domu Salomona Abnarrabiego? Nie wiedziałem. Co stało się z tym dzieckiem, które urodziła już tu, pod jego dachem? Kto był ojcem? Nie chciano o tym rozmawiać, ja nie dopytywałem. Teraz czuję, że nie ma dla mnie ważniejszych rzeczy na świecie.

— Aaronie! — z zamyślenia wyrwał mnie głos wuja. — Sprawiasz wrażenie nieobecnego. Czy słyszałeś, co Mahabud mówił o nowej wojnie Aragonii?

— Byłem pogrążony w modlitwie — skłamałem. — Tyle się ostatnio wydarzyło... — dodałem i zaraz przekląłem się w duchu za te słowa. Po co prowokowałem?

— Dziś ci wybaczam, ale jako mój przyszły kancelista musisz słyszeć takie słowa nawet przez sen. Drogi Mahabudzie — tu zwrócił się do gościa, gestem nakazując Ayhe dolać wszystkim wina — musisz wiedzieć, że Aaron, którego jeszcze nie poznałeś, syn mojej zmarłej siostry, Solbelidy, mieszka z nami od dziecka. Ma już osiemnaście lat. Jutro będzie po raz pierwszy pościł jak mężczyzna. Postanowiłem wziąć go na naukę. Chcę, by został moim osobistym sekretarzem. A moi synowie odchodzą do winnic pomnażać rodzinny majątek.

Po tych słowach uśmiechnął się do Dolza i Vidala, ale ci nie odpowiedzieli żadnym uprzejmym gestem. Zastygli w bezruchu jak dwie macewy. Spojrzałem na Esterę. W przeciwieństwie do swych przybranych synów nie umiała zapanować nad sobą: wściekłość wybiła jej na twarz, poblądła. By ukryć tę niepohamowaną reakcję, szybko wstała i odeszła od stołu. Czyżby Salomon ich nie uprzedził?

Mahabud z pewnością dostrzegł poruszenie, jakie wywołały te słowa, ale nie dał po sobie nic poznać. Spojrzawszy na mnie z zaciekawieniem, spokojnie oświadczył:

— To musisz, młodzieńcze, posiadać nadzwyczajne uzdolnienia, skoro ktoś taki jak Salomon Abnarrabí chce cię mieć u swego boku.

Powoli zabrałem się do odpowiedzi, gdy wyręczył mnie mój wuj, zniecierpliwiony tą zwłoką:

— Aaron wykazuje wielkie talenty do liczb i ksiąg rachunkowych, a przy tym nie zaniedbuje Talmudu. Znajomością świętych pism dorównuje niejednemu rabinowi.

— Na pewno rabiemu Perfetowi. Wiesz, że odwiedził Majorkę? Był tam witany jak bohater, prześladowany i niesłusznie wygnany z Saragossy bohater — wtrącił prowokująco Mahabud. Ale się zawiódł, bo Salomon nie uległ pokusie wyrażenia kąśliwej opinii o byłym rabinie Saragossy, którego sam przegnał kilka lat temu.

— Aaronie, słuchaj uważnie, bo nowiny, jakie przywozi Mahabud Faquim, są wielce użyteczne — Salomon zdjął ze mnie swój przenikliwy wzrok i przeniósł go na Florę. — Jeśli żyjemy tak, jak żyjemy, i możemy jeść dzisiaj do syta, to tylko dlatego, że ten oto Żyd — tu położył dłoń na ramieniu gościa — dziewięć lat temu wysłał do mnie wiadomość z Majorki, że król zbierze tam najwyżej jedną piątą spodziewanych podatków. I dopisał: to początek końca świata! Nim sam król dowiedział się o finansowej katastrofie, ja tu w Saragossie zdążyłem kupić i sprzedać, co trzeba. Chwała Najwyższemu! A zaraz potem w Barcelonie

upadły banki, a po nich ludzie w całym królestwie.

Mimo tych zyczeńowych słów wiedziałem, że Salomon nie miał o Mahabudzie dobrego zdania. Uważał go za nieudacznika. Mahabud odziedziczył po bracie, Jucefie Faquimie, wielkiej sławy kupcu, znakomite kontakty we Flandrii, Maghrebie i na Cyprze, ale nie potrafił tego wykorzystać. Wcześniej na własną rękę rozpoczął handel z Mamelukami, nie zareagował jednak na czas na polityczne zawieruchy i stracił majątek. Mahabud Faquim przejawiał na dodatek wyjątkową, nawet jak na zamorskich kupców, skłonność do wszelkiej maści prostytutek i latawic. I temu między innymi przypisywano brak sukcesów w handlu; gdy udawał się do Maghrebu, potrafił podobno całymi tygodniami nie wychodzić poza *alhon digas*, otoczone murem enklawy handlowe, w których zapewniano kupcom darmowe burdele, by zapobiec kontaktom z muzułmańskimi kobietami.

Salomon raczył nas też różnymi anegdotami o pobożności kuzyna. Kiedyś, trzęsąc się ze śmiechu, opowiadał, jak to Mahabud tak bardzo chciał udowodnić Bogu i gminie, że kochał swą żonę, że gdy ta zmarła, postanowił z deski, na której myto jej ciało przed pochówkiem, zrobić stół. Jadła potem przy nim cała jego rodzina. Do czasu, gdy o wszystkim dowiedziała się druga żona. Biedaczka przez trzy dni wymiotowała.

Mahabud, uwolniony od konwersowania z towarzystwem, nałożył sobie na półmisek pół kury. Odrywał palcami długie kawałki parującego mięsa i całe wkładał do ust. Chciał przerwać jedzenie i wrócić do przerwanego wątku, widząc, że Salomon zamilkł, ale ten dał mu do zrozumienia gestem, żeby się nie spieszył. Znów odwrócił się do mnie. Zobaczyłem zamglone oczy, jakby były odbiciem duszy nie Salomona Abnarrabięgo, ale jakiegoś pijaczka. Nie miał mocnej głowy, skoro wystarczyło mu kilka łyków wina, albo... pił już wcześniej. Gdyby teraz wstał, pewno by się zatoczył. Spuściłem wzrok, spodziewałem się najgorszego, na przykład pytania, czy czuję się już na tyle mężczyzną, że można mi szukać żony. Nie mogłem się spodziewać wybawienia od Dolza albo Vidala, bo obaj siedzieli sztywno i tylko toczyli wokół wściekłym wzrokiem. Musiałem sam się ratować:

— Ojczy, obiecałeś opowiedzieć o współpracy z arcybiskupem!

— O tak! — ucieszył się Salomon i poklepał po udach. — Słuchajcie wszyscy, bo to wspaniała historia. Otóż García Fernández de Heredia, nasz miłościwie panujący arcybiskup Saragossy, właśnie zakończył wizytę pasterską w swojej diecezji. Od lat dostaje dziesięcinę w naturze od niektórych rolników i hodowców, a ja pomagam kapitule te plody ziemi zamienić na pieniądze, z czego wspólnie czerpiemy korzyści. I tak oto już trzeci rok Żyd — tu uderzył się z dumą w piersi — działa na chwałę Kościoła i pomnaża jego majątek. Bóg jest wielki! — zawołał, wznosząc ramiona. — Otóż nasz arcybiskup zaczął narzekać ostatnio na winiarzy, że i u nich ciężko z monetą. Teraz podczas wizyty spotkał się ze wszystkimi, którzy chcieliby dziesięcinę składać w naturze. Powiedziałem zatem Heredii, które parafie, a odwiedził siedemdziesiąt dwie, mają najlepsze winnice, i gdzie warto się zgodzić, i że zajmę się i tym.

Salomon nalał sobie wina zbyt gwałtownie, szpecąc biały obrus czerwoną plamą wokół kubka.

— I w ten sposób będziemy mieć od tej jesieni winogrona, i to jakie! Po jakiej dwańacie, trzynaście florenów za wóz wybornych walenckich szcepów *negrella* i *albe d'ullada*. Rodzina Abnarrabích będzie produkowała najlepsze koszerne wino w Aragonii. I to z chrześcijańskich krzewów!

— Ile tego będzie, ojczce? — spytał Vidal, a ton jego głosu, a zwłaszcza sposób, w jaki wypowiadał słowo „ojczce”, utwierdziły mnie w przekonaniu, że obaj kuzyni nie spodziewali się decyzji Salomona co do mojej osoby.

— Ile zechcemy — odparł Salomon z entuzjazmem, jakby nie wyczuwał wrogości w tonie syna. — Resztę sprzedam na rynku. Już możecie zapowiedzieć na przyszły sezon nowe wino!

Dopiero teraz do stołu powróciła Estera. Przyniosła w koszyku kilka kawałków chleba, choć go nie brakowało, i dzbanek z wodą.

Rozmowa toczyła się dalej wokół problemów z uprawą winorośli, o potrzebie nowych kredytów, o ochronie upraw. Posiadłość, leżąca trzy mile od Saragossy, między Alfoceą a Juslibol, zamieszkała przez kilkanaście chrześcijańskich rodzin, została przejęta dziesięć lat temu przez Samuela Bienvenista za długi. Od niego odkupił ją Salomon. Ludzie początkowo nie godzili się pracować u Żyda i podburzali okoliczne osady. Salomon na wszelki wypadek opłacał więc w letnich miesiącach strażników pól. To kosztowało. Wielkim wyzwaniem było też zapewnienie koszerności. Zwłaszcza przy takiej skali. O ile uprawa i zbiór winogron mogły odbyć się ręką chrześcijanina lub Maura, to wszystkie późniejsze czynności, od tłoczenia winogron do zlewania gotowego wina musieli już wykonywać Żydzi, a nie było łatwo o tanich żydowskich robotników. Wszystko to podrażało finalny produkt.

Najwięcej mówiła Flora, ożywiona perspektywą przeprowadzki na stałe do wiejskiego majątku, którego z czasem — na pewno na to liczyła — stanie się współwłaścicielką.

Mahabud tymczasem skończył posiłek i teraz on zaczął opowiadać o handlu zbożem, o Genuńczykach, o dalekich krainach, gdzie kupcy albo wzbogacali się ponad wszelkie wyobrażenie, albo tracili wszystko, łącznie z życiem, jeśli trafili na piratów, i o handlu z Flandrią, z Brugią zwłaszcza, który to handel podupadał, bo plaga piractwa wymuszała coraz kosztowniejsze zbrojenia statków. Przy życiu, jak twierdził, trzymał go eksport kusz, których głównym odbiorcą był Salomon.

— Bóg nie kocha już Majorki — oznajmił na koniec, wycierając usta i ręce w obrus. — Król też jej nie kocha. Dusi nas swoimi podatkami, Salomonie. To się źle kończy. Aragonia i jej wojny nas pogrzebią.

— Dzięki wojnom otworzyły się wam rynki. To kupcy z Katalonii, Majorki, Walencji pasą się na trupach żołnierzy. Czy nie tak? A Aragonia? Żyje z rolnictwa. Płaci na wojny, a nic z tego nie ma. Pierwsza zdechnie. Nie Majorka! — odparł Salomon z wyraźną irytacją w głosie.

Nie dziwiłem się wujowi: Mahabud, handlując kuszami, sam zarabiał na wojnach. Wyglądało na to, że przyjechał tu po pieniądze. Był postacią dobrze znaną w Saragossie, wiadano także o jego ciągłych problemach finansowych. Sprawy rodziny Abnarrabích komentowała cała *aljama*. Panowała opinia, że po tym, jak Mahabud uratował mojego wuja przed krachem banków przed dziewięćmi laty, ten powinien teraz pomóc kuzynowi

w oczyszczeniu się z długów.

— Poza tym wszyscy wokół toczą jakieś wojny — głos Salomona stawał się coraz bardziej napastliwy. — Co za pomysł, by ich nie prowadzić!

— Ale to są bogate kraje, Genua, Kastylia, cały Maghreb — odparł spokojnie Mahabud. — Tam jedzą tłusto, Salomonie. Inni też cierpią, ale nasza korona jest biedna i tego nie przetrzyma. Wiesz, że za biednym idzie bieda. Mnie jest coraz ciężej...

— Jak Majorka widzi nowego króla? — Salomon bezceremonialnie zmienił niewygodny temat kłopotów finansowych gościa. Zaczęło szarzeć i czas już było kończyć kolację.

— Naszego króla? Jana, Wielkiego Myśliwego? — Mahabud wytarł znów usta w obrus i sięgnął po wino. — To dziwak. Płynąłem tu do was na statku Lleó Marca, Katalończyka, kupca na służbie miłościwie nam panującego. Kursuje między Cyprem a Barceloną. Wyborna posada! Dobre zarobki, statki mają ochronę, za fracht i załogę płaci król, a Katalończyk zawsze jakiś swój towar wrzuci pod pokład. Tym razem wiozł z Cypru dla króla Jana kilka leopardów. Podobno to nie pierwszy raz. Potrzebne mu są do polowań. Ryk tych bestii do tej pory mam w uszach. A dla królowej — tu Mahabud zwrócił się do Flory i Estery — kilka klatek jakichś ptaszków, skrzynie flakoników z perfumami oraz bursztyny. Podobno nasza królowa, Violante, jest rozkochana w bursztynie.

Mahabud przerwał, bo Ayhe wniosła miskę z perfumowaną wodą do umycia rąk i podawała ją każdemu z biesiadników. Gdy podeszła do Mahabuda, ten przechylił się na krzesło, by lepiej się jej przyjrzeć.

— Jeden z bursztynów był niezwyklej urody — mówił powoli, nie spuszczać wzroku z Ayhe, która wyraźnie się do niego uśmiechała.

Zaległa cisza, nie rozmawiano, a oni przez chwilę, która wydała mi się wiecznością, patrzyli sobie w oczy. Poczułem mdłości, jakby mnie ktoś kopnął w brzuch. W końcu Mahabud zanurzył palce w misie.

— Marc dostał go od jakiegoś rycerza, pielgrzyma z północy, który zatrzymał się na Cyprze w drodze do Jerozolimy. Miał kilka takich kamieni, żeby się opłacać po drodze. A ten najpiękniejszy podarował Marcowi, bo się razem upili i pokochali. Mówił mu ten pielgrzym, że kilka lat temu wzięli sobie na króla poganina z kraju wielkiego jak morze. Ten poganin ochrzcił siebie i cały swój pogański lud. Są teraz jednym królestwem, tam na północy najpotężniejszym. Ale nie pamiętam, jak się nazywa. Za taki czyn, mówił ten pielgrzym, za tyle dusz ochrzczonych bez rozlewu krwi i gwałtów, Bóg im pobłogosławi i uczyni największym mocarstwem w Europie.

Gdy Ayhe podeszła do mnie, nawet na nią nie spojrzałem; z trudem się opanowałem, by jej nie wytrącić miski z rąk.

— Marc mnie całą drogę namawiał — kontynuował Mahabud — żeby założyć spółkę i ruszyć tam z handlem. Zna jednego dworzanina, który z królem Cypru był w tamtejszej stolicy, ale dawno, ponad dwadzieścia lat temu¹¹. Ten dworzanin twierdził, że warto handlować, mimo że to daleko i mowa różna. No więc Marc chce tam jechać, póki się inni nie zwiędą. Kraj ludny, zacofany, kupią wszystko, co się tam przywiezie. Zapłacą drewnem albo zbożem. Podobno drewna tam tyle, że starczy na okręty dla całego świata.

Zboża jeszcze więcej. Żydów, mówił mi, tam całkiem sporo żyje i mają się dobrze. Pomyśl, Salomonie!

— Ten kraj, o którym mówicie, drogi Mahabudzie, nazywa się Polonia! — wyrzuciłem z siebie dławiącą wściekłość. — Nie wyobrażam sobie przywozu zboża ani drewna z tamtych stron.

Salomon, choć mocno już spowolniony w ruchach przez wypite wino, gwałtownie wyprostował się na krześle. Nie tym tonem do gościa!, skarcił mnie spojrzeniem. Było mi wszystko jedno, czułem wściekłość na tego prostaka z Majorki. Gdybym był z nim tu sam, pchnąłbym go nożem.

— To głupota. Za daleko — brnąłem dalej. — Lepiej skupić się na handlu z Maghrebem. Tam zboża zbywa. Trzeba tylko umieć go dobrze kupić!

Mahabud odwrócił głowę w stronę mojego wuja i wykrzywił usta z niesmakiem, jakby chciał powiedzieć „Dlaczego ten pętaś mnie poucza? Czy to jego bierzesz na kancelistę?”. Reszta rodziny patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

Odzyskałem panowanie nad sobą równie szybko, jak je utraciłem. Co się ze mną dzieje? Gorączkowo zacząłem szukać sposobu, by jakoś załagodzić sytuację.

— Pewien rycerz, właśnie z tamtych stron, z północy — powiedziałem w końcu — bardzo podniósł tu naszych braci na duchu. Niedawno na turnieju w Calatayud strącił do piekieł jednego z Francuzów z drużyny Juana de Urríes.

Mahabud nic nie odpowiedział. Wciąż patrzył na mnie z niechęcią.

— Drogi kuzynie, trudno w to uwierzyć, ale ten chrześcijanin stał się dla Żydów w Azornii prawdziwym bohaterem! — przerwał ciszej Salomon.

Wdzięczny wujowi za wsparcie opowiedziałem jeszcze o turnieju w Saragossie, i co o tym rycerzu usłyszałem od Joshuy i *magida*.

— To wszystko prawda, co mówi Aaron — orzekł Salomon. — Rozmawiałem kiedyś z arcybiskupem Heredią. W Brugii doszło do jakiejś bójki. Nikt nie zna szczegółów. Nie jest wcale przesądzone, że to było morderstwo, ale rzeczywiście, ten młody człowiek miał zostać aresztowany i w ostatniej chwili wszedł na aragoński statek. Przyjęto go na pokład z polecenia samego Francisca de Arandy.

— Jeśli Francisco de Aranda maczał w tym palce... — skrzywił się Mahabud — to może lepiej dla tego młodzieńca by było, gdyby pognił trochę w brugijskich lochach?

— Skąd arcybiskup Saragossy wie takie rzeczy? — usłyszałem głos Dolza, chyba po raz pierwszy tego wieczoru.

— Zapewniam cię, jest po temu przyczyna, ale, wybaczcie...

— I tymi dwoma turniejami tak sobie zasłużył na miłość Żydów? — spytał Mahabud.

— Po tylu latach od piekła, jakie nam urządziły te francuskie bydlaki, wreszcie ktoś się na nich zemścił — odparł Salomon.

— Na ich synach...

— Tak, na ich synach, a nawet wnukach. Jaka to różnica? Wilk idzie za wilkiem, jaki ojciec, tak syn — Salomon obrócił na Mahabuda swe pijane oczy. — Żydzi w Saragossie zaczynają mówić o tym rycerzu, że to mściciel krwi!

— Salomonie, bluźnisz! Pradawne hebrajskie prawo! — zawołał Mahabud. —

Mściciel krwi nie może być gojem. Co za pomysł!

— Skoro nie znalazł się żaden mściwy Żyd... — Salomon objął ramieniem Mahabuda — to oczywiście żarty, kuzynie. Sprawa sięga daleko głębiej. Wyjaśnię wam.

Salomon wstał od stołu. Poleciał Ayhe uprzątnąć do koszy resztki po kolacji i uwolnić stół od naczyń. Kazał zostawić tylko kubki; sam rozlał do nich resztę rozcieńczonego wina i szybko wypił swoje.

— Ci Francuzi występują w barwach rodu Urríes — mówił, przechadzając się po izbie. — Odkąd pamiętam, na rodowym tronie zasiadał Pedro Jordán de Urríes, mądry człowiek, znałem go dobrze, był przez lata *bayle general de reino*, drugim w Aragonii po królu. Gdy kilka lat temu stary Pedro stracił urząd i usunął się w cień, na czele rodziny stanął się jego najmłodszy syn, Juan. Tak, Juan de Urríes. Ten ambitny, młody wilk, albo lepiej — hiena, ma wielkie plany wobec siebie i swojego rodu.

Ten wywód Salomona uznałem za uprzejmość wobec gościa, słabo zapewne obeznanego z polityką. Nikt z saragoskich Żydów nie potrzebował wyjaśnień, kim był Juan de Urríes. Urríesowie byli najbardziej zapiękłymi wrogami Żydów spośród wszystkich możnowładczych rodów Aragonii. Odkąd Juan de Urríes zyskał na znaczeniu, wzajemnej nienawiści wyrosły kły i pazury.

— Rodzina Urríesów — ciągnął Salomon — prowadzi interesy z bogatym w pastwiska kastylijskim regionem Molina. Niemal całą Molineę, w ramach zapłaty za służbę, rozdzielono po wojnie między francuskich oficerów z najemnych kompanii. Dostali przy okazji szlacheckie tytuły. Hrabia całej Moliny został ich herszt, Bertrand du Guesclin. Teraz ci dawni najemnicy hodują bydło, wielkie stada bydła.

— Chcesz powiedzieć, Salomonie, że Urríesowie handlują bydłem?

— Drogą Mahabudzie, renty z ziemi się kurczą, na wojnach zarabiają już tylko najemnicy. Z czego Urríesowie mają opłacać zamki, wojsko, ucztę, turnieje? Potrzebują pieniędzy, jak my wszyscy. Co dzień świeżego... Zważ, że nawet szlachta w Nawarze, najbardziej wojenna szlachta w Hiszpanii, inwestuje teraz w kopalnie. Mieczami ryją ziemię... Takie czasy.

Salomon przerwał, pogładził się po swojej potężnej brodzie i przymknął oczy, zastanawiając się, jak to wszystko nam wyłożyć.

— Ci byli najemnicy — mówił po chwili — mają teraz ambitnych synów albo wnuków, którzy pragną wojennej sławy. Juan de Urríes wybrał spośród nich kilku najbardziej bitnych i zaprosił na służbę do Aragonii. Przebiegły ruch, zważywszy na kontakty handlowe z ich ojcami. Wyszkolił i uczynił z tych młodych Francuzów najlepszą drużynę turniejową w Aragonii.

— Jak ich tu przyjęto? — spytał Mahabud.

— Aragończycy, chrześcijanie, zachowali dobre wspomnienie o francuskich najemnikach. Uważają, że to dzięki nim Aragonia oparła się Kastylii. To było ponad dwadzieścia lat temu, czas zatarł złe wspomnienia, zostawił tylko dobre. A samego Juana de Urríes? Wszyscy go tu kochają. Duma Aragonii, lew turniejów, zawsze zwycięzca.

Zauważyłem, że Salomon zrobił się czerwony na twarzy. Miałem wrażenie, że wypite wino jeszcze mocniej uderzyło mu do głowy. Mówił za głośno.

— Ale historia Żydów była pisana innym atramentem! Na czerwono! — głos

Salomona rozbrzmiał nagle tak głośno, że wszyscy się wzdrygnęli. — Ja pamięć o gwałtach, jakie nam zadali Francuzi, mam wypaloną żelazem na skórze! Będę tych suchych synów przeklinać do końca świata, póki Bóg mi nie odejmie mowy! Bertrand du Guesclin, Arnao de Solier, Pierre de Villaines przelali morze żydowskiej krwi! To, że ich synowie stają teraz pod herbem Urríesów, to zniewaga! Ileż razy w ostatnich latach za pieniądze Żydów organizowano turnieje, Żydów zapraszano na trybuny, Żyd fundował nagrody, a potem Juan de Urríes wysyłał w szranki te swoje francuskie psy! Wielu rabinów uważa... i ja się z nimi zgadzam!... to za znak, że szykują się do kolejnej rozprawy z nami.

— Czy nie przesadzasz, Salomonie?

— Nie żyjesz tutaj, Mahabudzie! Od kilku lat zbiera się na burzę. Chmury nadciągają z różnych stron. A każdy turniej, każdy festyn, na który ściągnęły te francuskie psubraty, kończył się jakąś burdą w żydowskiej dzielnicy. Przypadek?

Mahabad nic nie odpowiedział. Stracił zainteresowanie rozmową. Oświadczył mojemu wujowi, że chętnie wziąłby Ayhe do oporządzenia kwatery i rozpakowania rzeczy po podróży, i że zwróciłby ją jutro rano. Salomon się zgodził.

Poza kilkoma kawałkami kury nie przeknąłem tego wieczoru nic więcej. Ayhe jeszcze kilka razy starała się zatrzymać mój wzrok, ale udawałem obojętność, choć w środku udręka szarpała mi wnętrze. W końcu przestała zerkać w moją stronę.

Estera, wstrząśnięta deklaracją Salomona co do mojej osoby i jakby nieobecna podczas kolacji, teraz się ożywiła. Widziałem, że wypita więcej wina niż zazwyczaj i płonęła na twarzy. Wyraźnie szukała okazji, aby ze mną porozmawiać. Aż w końcu dałem jej taką sposobność: widząc, jak wynosi kosz z resztkami na patio, podbiegłem i zaproponowałem, że go poniosę. Przeszliśmy przez patio pod część domu, gdzie mieszkał Azmel. Tam, w półmroku, byliśmy niewidoczni dla patrzących z rozjaśnionego dziesiątkami świec salonu. Staliśmy przez chwilę bardzo blisko, tak że czułem jej ciepły oddech na policzku. Estera wpatrywała mi się w oczy tak intensywnie, jakby chciała wyczytać z nich swoją przyszłość.

— Teraz ty potrzebujesz mnie, a ja potrzebuję ciebie, Aaronie — powiedziała cicho. Położyła mi dłoń na piersi. — Dolz i Vidal zrobią wszystko, żeby się ciebie pozbyć. Nawet nie wiesz, jak zabolęła ich decyzja Salomona. Mogę ci pomóc to przetrwać, Aaronie. Oni są dziedzicami fortuny Abnarrabích, nie ty.

Czułem, że stoimy za blisko. Ciepło jej dłoni wprawiało mnie w zakłopotanie.

— Do czasu, aż gmina wpłynie na Salomona, by oddał zarządzanie swoim majątkiem w lepsze ręce, chcę wiedzieć, co się dzieje w księgach Salomona. Dla jego dobra. Moja rodzina z Sewilli jest majątna, gotowa do dyskretnej pomocy. Aaronie, ja czuję każdym skrawkiem skóry, że coś jest nie tak. Salomon nie widzi wszystkiego. Wybór ciebie na kancelistę to... szaleństwo...

zrodzi plotki, prędzej czy później uderzy to w ciebie, potem w Salomona i w całą rodzinę.

Mówiła szybko, przechodząc co jakiś czas w szept.

— Jak to przyjmie gmina, wielki rabin? Salomon Abnarrabí to nie pierwszy lepszy Żyd... Wiesz, ile spraw w naszej *aljampie* zależy od jego pieniędzy!? I teraz ty będziesz jego kancelistą? Jesteś nikim. Bez doświadczenia, bez wpływów... Myślisz, że ludzie zapomnieli, co zrobiłeś? A Mahabud jutro wszystkim rozpowie... Jak my mamy rozumieć decyzję Salomona? Ukrywa coś przed rodziną? Twoi bracia odebrali to jako karę za to, że nie robią wszystkiego tak, jak chciałby ich ojciec, ale ja zdążyłam poznać Salomona. On ich kocha nad życie. Jeśli zrobił to, co zrobił, musiał mieć inne powody! Gdy oddalił Judę Tuli, wszyscy myśleliśmy, że robi miejsce dla kóregoś ze swoich synów. Ty nie jesteś jego synem. To, że cię przyjął pod dach, niczego tu nie zmienia. To wszystko ośmiesza naszą rodzinę.

Estera pochyliła głowę, tak że jej włosy załaskotały mnie w usta, a czołem niemal dotykała mego ramienia

— Aaronie, pomóż mi, a ja pomogę tobie. Wiem, że pomagasz Ayhe, że ona nocami wychodzi. Nie chcę wam szkodzić... Widzę też, że nie jest ci obojętna... Mogę wam pomóc.

Milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu odeszła. Zapomniałem wspomnieć o ciastkach. Jeden dzień cieszyłem się z nowej roli, jaką wyznaczył mi Bóg. Estera przywróciła mi rozsądek: byłem nikim i dla tych Żydów pozostanę nikim na zawsze. Gdy runie pałac, jeszcze zwać go będą pałacem, ale gdy wzniesie się stos śmieci, zawsze będzie stosem śmieci.

Zatęskniłem za warsztatem tkackim, choć jeszcze wczoraj wydawało mi się to niepodobieństwem.

O poranku następnego dnia szedłem w towarzystwie Salomona Abnarrabiego do synagogi. Mimo szabatu Salomon nie przywdział najlepszych białych szat, by nie wywyższać się ponad rzesze biedaków w Domu Bożym. Mieliśmy na sobie skromne tuniki. Po drodze rozdawaliśmy jałmużnę. Salomon pielęgnował zwyczaj, aby w dzień postu oddać biednym tyle, ile wydałoby się tego dnia na jedzenie i picie. Każdy w swym sercu przeprowadził taki rachunek i składał odpowiedni datek.

Nie czułem uniesienia, wzruszenia. Nadszedł czas, by podziękować Bogu za ubiegły rok, ale bałem się, że nie zatrzymam myśli w synagodze. Ayhe pojawiła się w moim życiu nagle, jak skorpion. Wszystko odsunęło się w cień, straciło barwę i smak. Jak mesjasz wypełniła mój świat szczerlnie, bez jednej luki.

Bolały mnie stopy ranione drobnymi kamykami. Przeklinałem zwyczaj, który nakazywał chodzenie tego dnia boso.

Salomon tak zorganizował wyjście, by Dolz i Vidal opuścili dom przed nami. W ten sposób mogliśmy spokojnie rozmawiać. Powiedziałem, że zmartwiła mnie reakcja rodziny.

— Pogodzą się z tym, Aaronie. Poza tym... przecież oni nie wiedzą, czym się będziesz zajmował. Esterę uspokoję dziś wieczorem — mrugnął do mnie okiem — a Dolzem i Vidalem się nie przejmuję.

— Przepraszam cię, ojczu, za moje słowa... to, co powiedziałem Mahabudowi...

— Nic takiego. Należało mu się. Ale na przeszłość, panuj nad sobą. Ten łachudra przyjechał tu zebrać o pieniądze — Salomon pokręcił głową. — Jest gotów pójść do rabina na skargę, że mu nie płacę.

Salomon zrelacjonował szczegółowo ich wczorajszą wieczorną rozmowę w cztery oczy. Okazało się, że Mahabud wraz z kilkoma kupcami z Barcelony i Walencji zawiązał spółkę, by zająć się korsarstwem. Skompletowali załogę, teraz kończą wyposażanie galery, co kosztuje majątek. Mahabud jest gotów poruszyć niebo i ziemię, by wydrzeć zapłatę od mojego wuja za dostarczone kusze.

— Żyd, a głupi jak cap! — prychnął Salomon. — Nic nie wie, nic nie rozumie. Kastylia zawarła pokój z Portugalią pięć lat temu i wszyscy baskijscy piraci z tamtych wód są już tutaj. A teraz mają pokój z Anglikami, niedawno podpisali traktat. Jak mógł o tym nie wiedzieć? Morze na północy będzie za chwilę spokojne jak woda w mykwie. Gdzie sfrunie na żer ta baskijska plaga? No, gdzie? Oblepią Majorcę jak muchy gównu, bo tam najłatwiej. I Mahabud między nimi! Myśli, że wystarczy najać kilku pijaczków i wsadzić ich na galere — przerwał na chwilę, a potem dodał: — I jeszcze sobie lubieżnik na noc niewolnicę wypożycza! Co za bezczelność! W Jom Kippur!

Salomon zatrzymał się i chwycił mnie za rękę.

— On tu przyjechał, żeby na oczach całej Saragossy wbić mi nóż w plecy!
Na dziedzińcu głównej synagogi Saragossy stała spora grupa Żydów. Wdrusnę byli bosy. Z ulgą zauważyłem, że sprzed wejścia usunięto ogromną drucianą wycieraczkę.

Nim weszliśmy Salomon jeszcze raz się zatrzymał.

— Powtarzam, nie zaprzataj sobie głowy Esterą i moimi synami. Oni myślą, że oddam ci w zarząd mój majątek, jak Tuliemu. Ty się dopiero będziesz uczył. Ja sam zajmę się swoimi sprawami. Wyjaśnię im to w stosownej chwili. Nie chcę im mówić, dlaczego zwolniłem Tuliego. Chyba rozumiesz... Niech Bóg wyprostuje jego ścięgna.

Wewnątrz synagogi panował gwar jak na targowisku. Tego dnia przychodzą tu wszyscy Żydzi, ci mniej i ci bardziej pobożni. Dla Żydów synagoga to miejsce, gdzie się modlą, ale też — gdzie żyją, i należy być wyrozumiałym w chwilach, kiedy czują się swobodniej. Wielu z nich modli się tego dnia wcześniej rano w domu i przychodzą do synagogi głównie po to, by dołączyć do grupy krewnych.

Każda grupa odmawiała swoje modlitwy. Wielu rozmawiało. Tylko ci bliżej *teva*, podwyższenia, słuchali chazana, który czytał ustępy Tory za wszystkich wezwanych, niezależnie od pozycji i wykształcenia, po to, by słabiej znający hebrajski nie odczuli skrępowania. Dołączyliśmy do grupy, gdzie obok Vidala i Dolza stało jeszcze dwóch młodzieńców, jakiś chłopiec i dwóch starszych mężczyzn — zapewne męska część rodziny Flory. Wszyscy powitali nas skinieniami głowy, nie przerywając odmawianej wspólnie modlitwy. Chłodny, szorstki kamień posadzki przynosił ulgę obolałym stopom.

Nie doskwierało mi pragnienie ani głód; raczej lęk, że je pocuję i będę cierpiał aż do pojawienia się pierwszej gwiazdy. Udałem, że pogrążam się w modlitwie, lecz myśli wciąż krążyły wokół wczorajszej kolacji i Ayhe. Jak mogła odwzajemnić to łakome, natarczywe spojrzenie Mahabuda? Tak kupcy jego pokroju, po miesiącach żeglowania, patrzą na portowe dziewczki. A może taką właśnie dziewczkę w niej rozpoznał? A jeśli ona taka właśnie jest? Może Jacob i Abram mówili prawdę? Jak to możliwe, że przez tyle miesięcy z lekkim sercem pozwalałem jej na nocne schadzki? Co będzie dalej? Spojrzałem ku górze, gdzie na galerii gromadziły się kobiety. Dostrzegłem Bonafillę de Bienvenist; wydało mi się, że ona i jeszcze kilka kobiet patrzą w moją stronę. Speszony spuściłem wzrok. Estera miała rację. Zaczną mnie obgadywać, pewnie już to robią.

Nagle poczułem żal do tych wszystkich Żydów za swój los. Skoro tak obnoszą się ze współczuciem, jałmużną, dobrocią, dlaczego nie podali ręki mojej matce? Otaczał mnie tłum bosych mężczyzn, gwar modlitw i rozmów, puste brzydkie brodate twarze, wszystkie takie same. Kim oni są? Nauczyciel sam przyznawał, że setki lat temu, gdy kalifowie wypędzali Żydów z hiszpańskich ziem, ci mądrzejsi i zamożniejsi udawali się za Majmonidesem na wschód, w kierunku światła Jerozolimy, a tylko ciemna, prosta masa dała się zwieść obietnicom katolickich królów i ruszyła na północ. Oto ich potomkowie wokół mnie. Zdani na kaprysy chrześcijańskiego władcy, żebrzący o jego łaski, wpatrzeni w jego majestat, gotowi na każde skinienie, byle tylko się od nich nie odwrócił, nie uznał, że są mu już niepotrzebni.

Mijał czas, sączyły się modlitwy. Zaduch stawał się trudny do wytrzymania. W pewnej chwili przed oczami zaczęły mi wirować białe płatki śniegu albo strzępy pierza, tak jak kilka tygodni temu, gdy zemdlałem w warszacie. Jakoś doszedłem do wyjścia. Domyślałem się, że Salomon odprowadzał mnie wzrokiem. Nie powinienem wychodzić w taki dzień z synagogi przed zakończeniem modłów. Nie miałem prawa zaniechać głodówki. Tak, dawniej karano za to batami. Chwilę stałem na dziedzińcu, mocno wciągając do płuc chłodne wrześniowe powietrze. Gdy odzyskałem siły, nie powróciłem do synagogi. Ruszyłem w stronę domu starej Racheli Abnarrabi. Znow pod stopami czułem każdy kamyk. Saragossa zadawała mi ból, a ja nienawidziłem tego miasta.

Tym razem zamiast zapachu kurzu i starości w domu Racheli unosił się aromat *haminu*. Przez rozwarne okiennice wpadało dość światła, by zobaczyć, że wolontariusze wreszcie wzięli się do porządków, wyszorowane deski podłogi lśniły jak nowe. Ciotka leżała w łóżku przy ścianie, głowę miała opartą na kilku poduchach, nie spała. Leżała w świeżej białej pościeli, przykryta po szyję delikatnym kocem w kolorze słomy. Musiała być bardzo wychudzona, bo gdyby nie dwa wzgórki na wysokości stóp, można by pomyśleć, że to jakaś makabryczna kuglarska sztuczka, w której sama głowa żyje i mruga oczami.

— Aaronie, czy nie miałeś przyjść jutro?

— Niech Bóg cię błogosławi, droga Rachel, niech da ci zdrowie — przywitałem ją w niskim ukłonie. — Chciałem zobaczyć, jak się czujesz. Wszyscy są w synagodze.

— Ayhe była tu przed chwilą, przyniosła *hamin*. Trochę mnie pokarmiła. Nie czułam się zapomniana... Bardzo jestem dziś słaba. Teraz miałam spać.

— Jeśli wolisz, odwiedź cię jutro.

— Nie, nie, zostań. Już nie zasnę.

— Ayhe często cię odwiedza?

— Kilka razy w tygodniu. Salomon ją przysyła — staruszka wysunęła ręce na koc. — Ta Arabka ma tyle ciepła w oczach, pomaga mi z serca. Dobrze mi się z nią rozmawia. Salomon powinien ją uwolnić, zwłaszcza że przecież przyjęła naszą wiarę.

Ciotka uniosła się na łokciach, poprawiła poduszki i przyjęła pozycję półsiedzącą.

— Skoro już jesteś, możesz mi podać jeszcze trochę *haminu*? Jest pyszny. Żydówka nie umiałaby zrobić tak dobrego.

Posłusznie zdjąłem z ciepłego pieca (Ayhe musiała w nim napalić) gliniany garnek. Usiadłem na krześle u wezgowia łóżka z *haminem* na kolanach. Na koniec drewnianej łyżki nabierałem odrobinę potrawy i podawałem staruszce do ust.

— Jest naprawdę smaczny — powtórzyła.

Przez długi czas milczeliśmy. Rachel starannie ściągała ustami porcje z łyżki, potem przeżuwała je bezzębnymi dziąslami.

— Już dość, niech zostanie coś na jutro — zacisnęła usta i odwróciła głowę.

A potem zaczęła mówić.

— Twoja matka, Solbelida Abnarrabí, była, jak wiesz, młodszą siostrą Salomona. Jako jedyna z całej rodziny otrzymała od Boga urodę. Ty jesteś do niej podobny. Zazdrościły jej tego wszystkie kuzynki, a twoja babka, Mira de Abnarrabí, kochała ją bardziej niż mnie i Salomona i nie umiała tego ukryć.

Stara Rachel przerwała, by poprawić włosy. Jej usta poruszały się, choć nie dobiegał z nich żaden dźwięk. Czekałem cierpliwie.

— Twoja matka nie miała jeszcze szesnastu lat, gdy rodzina wydała ją za Davida Bonjorna za Perpignan. To Tolosana de Caballería była swatką, sprawczynią tego małżeństwa. Tak, tak... Tolosana prowadziła interesy z ojcem pana młodego i chciała mu wyświadczyć przysługę. A Salomon potrzebował czegoś, co podbudowałoby jego pozycję. Nawet nie wiesz, ile go kosztowała walka z rabinem Perfetem. Narobił sobie wielu wrogów. Był osłabiony, słabiutki, jak ja teraz... A ściągnięcie do Saragossy bogatego Żyda z Perpignan to byłoby coś. I poparł to małżeństwo. Był już wtedy głową rodziny.

— Ale mówi się przecież, że mój wuj i Tolosana de Caballería okrutnie są na siebie zawzięci...

— Teraz tak, teraz skaczą sobie do oczu... Ale w tamtych latach tak nie było... Różne były plotki. Podobno się nawet miłowali...

Ciotka odwróciła się w moją stronę. Uśmiechnęła się, a wtedy z jej ust na chwilę zniknęły zmarszczki.

— Moje dziecko, baby plotą różne rzeczy, musisz się przyzwyczaić. Z dziesięciu miarek gadulstwa, jakie Bóg zesłał na świat, dziewięć wzięły kobiety...

— To dobra cecha kobiet... — powiedziałem.

Uśmiechnęła się zaskoczona.

— Od pierwszego dnia małżeństwa stało się jasne, że nie będzie to udany związek. David Bonjorn nie zajmował się młodą żoną.

Stara Rachel znów odwróciła głowę w moją stronę.

— Czy ty masz już narzeczoną? Żony nie masz, Ayhe by mi powiedziała...

— Nie, ciociu, nie mam... Ayhe o mnie opowiada?

— Tak, często!

— Co mówi? — spytałem i wbiłem wzrok w jej usta. Serce załomotało mi w piersi. Ale Rachel nie odpowiedziała. Przymknęła powieki, bałem się, że zasnie.

— David Bonjorn nie był złym Żydem — odezwała się wreszcie ciotka — ale całkowicie zamykał się w tej swojej astrologii. Noce spędzał wśród naukowych instrumentów. Zamiast swą piękną młodą żonę, podglądał niebo. Gapił się Bogu w okno, jak jakiś szpieg. Okazał się też pijakiem i hazardzistą. Szybko doprowadził do ruiny siebie i twoją matkę. Wyszły przy tym na jaw różne rzeczy. Okazało się, że to wszystko już robił wcześniej, dlatego rodzina go wydziedziczyła, a potem to ukrywała. Salomon poczuł się oszukany. Pretensje miał zwłaszcza do Samuela Bienvenista, który ręczył za uczciwość i wypłacalność rodziny Bonjornów. Tolosana, która wcześniej namawiała do tego ślubu, odwróciła się od całej sprawy.

— A ja? Kto jest moim ojcem?

— David, oczywiście, nie mam wątpliwości — odparła natychmiast. — Twoja matka była dobrą i uczciwą kobietą. Nie kochała Davida, bo najpierw go nie znała, a potem on sam na to nie pozwolił. Ale nigdy... nie, nie... — mówiła z wielką emocją w głosie. — Przyszedłeś na świat rok później. Ja zajmowałam się tobą, gdy byłeś niemowlęciem, a potem dzieckiem. Pokochałam cię jak własnego syna. Nigdy nie miałam dzieci, jak wiesz. Były to ciężkie lata dla twojej matki. Zażądała w końcu rozwodu. Rozpętała się wojna przed sądami o zwrot posagu. Ostatecznie doszło do ugody i twój ojciec wyjechał z Saragossy. Już następnego dnia do waszego domu zaczęli schodzić się swaci.

Tak, to pamiętałem doskonale. Byli okropni — cuchnący perfumami, z wymalowanymi ustami i policzkami. Chowałem się do kufrów, gdy przychodzili.

— Nikt nie chciał już niczego narzucać twojej matce — mówiła dalej stara Rachel — a ta nie chciała słyszeć o ślubie i po kilku wizytach przestała wpuszczać swatów do domu. Pewnego dnia oświadczyła rodzinie, że zakochała się w chrześcijaninie, synu kupca, od którego kupowała wełnę, i postanowiła się przenieść, by wziąć ślub. Było to dla całej gminy niczym piorun z jasnego nieba.

Rachel znów uniosła się na łokciach. Teraz zobaczyłem, że wystąpiły jej rumieńce. Kazała sobie poprawić poduszki i podać wodę.

— Tego już twoja babka nie wytrzymała. Zmarła kilka tygodni później. W testamencie dziedzicem majątku uczyniła Salomona. Zapisała jednak, chyba za podszeptem Belzebuba, olbrzymią sumę dla twojej matki, ale pod pewnym warunkiem. Otóż ty, jej jedyny syn, miałeś pozostać przy abrahamowej wierze i wychowywać się w żydowskiej rodzinie. Gdyby tak się nie stało, zapisana twojej matce suma miała zostać przekazana Salomonowi. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową, a ona ciągnęła:

— Twoja matka w pierwszym odruchu odrzuciła testament. Została wtedy bez jednego *maravedí*, cały majątek odziedziczył Salomon. Chciała wyjechać z Saragossy z tym chrześcijaninem i zabrać ciebie ze sobą. Ani on, ani ona już tu życia nie mieli. Ale to był młody chłopak, niewiele umiał. Do tego rodzina przeklęta go za romans z Żydówką i odmówiła jakiegokolwiek wsparcia. Nie mieliby za co się utrzymać. Młodzieniec pożyczył pieniądze od tego strasznego Samuela Bienvenista, nie cierpię go!, i wyjechał sam do Borja, żeby zainwestować w przygraniczny handel, ale nie zarobił dość, nawet by spłacić odsetki od długu. Gdy przyszedł dzień zwrotu pieniędzy, nie pojawił się w kantorze Bienvenista. Bienvenist był zawsze taki bezwzględny! Chrześcijaninowi groziło więzienie, którego pewno by nie przetrzymał. Wtedy twoja matka się złamała. Oddała cię do domu Salomona i przyjęła spadek. Ale Salomon wypłacił jej tylko część! Tylko małą część tego, co jej zostało zapisane!

— Dlaczego tylko część? — spytałem.

— Tyle, ile było potrzeba na spłatę długu. Twoja matka nie chciała całosci. Miała nadzieję, że cię odzyska. Tak mówiła.

— Dlaczego Salomon nie pożyczył jej pieniędzy? Pożycza całemu światu. To przecież była jego siostra...

— Nie wiń go! — odparła Rachel. — Może chciał, by twoja matka się opamiętała, żeby wróciła i zamieszkała w jego domu, z tobą, jak Żydówka.

Jak mogłem go nie winić? To wszystko nie mogło być prawdą.

— Żebyś widział, jak ona płakała w dzień wyjazdu... — dodała już zmęczonym głosem ciotka Rachel. Zobaczyłem, że ma zaczerwienione oczy.

— Dlaczego nie wróciła?

— Solbelida i ten chrześcijanin za bardzo ryzykowali. Szukali szybkiego zarobku. Twoja matka chciała oddać jak najszybciej pieniądze i cię odzyskać. Zainwestowali w przygraniczny handel oliwą. Żeby zaoszczędzić, nie wędrowali w grupach, z opłacaną ochroną, ale sami. A tam roiło się od wilków i dezertów. W końcu dopadła ich jakaś banda...

Hamin, który miałem na kolanach, wystygł już całkiem. Postawiłem garnek na rozgrzanym jeszcze piecu, kucnąłem i oparłem się plecami o ciepłą ścianę.

— Aaronie... tyle razy chciałam ci powiedzieć, żebyś tu przyszedł, do twojego dawnego domu. Zwłaszcza po tym strasznym wypadku, z tym chłopcem... Ayhe obiecywała, że ci powie, ale bałam się złamać zakaz Salomona. Wiem, że ludzie mówili, że to ja zaparłam się siostry i zmusiłam ją do handlu, żeby zamieszkać w jej domu. Nie wierz w to! Posłuchaj, wypełnił się warunek testamentu babki, należy ci się dużo pieniędzy. Po śmierci matki ty powinieneś je dostać, jak tylko staniesz się dorosły. Zaraz po pierwszym poście.

— Czy to dlatego Salomon odwlekał moje Jom Kippur o dwa lata? Czekał, aż umrzesz? Żeby nikt się o tym nie dowiedział? — pytałem, by po chwili tego pożałować. Czy ja postradałem zmysły?

Po powrocie zastałem w domu tłumy nieznanym mi ludzi, zapewne przechrztów. Dowiedziałem się od Flory, że za chwilę ma przyjść sam Hasday Crescas, rabin. Salomon, dobry Żyd, w Jom Kippur udostępnił swój dom wszystkim przechrztom, którzy dla korzyści lub z lęku się ochrzcili, ale w głębi serca pozostali wyznawcami religii mojżeszowej. O ile Saragossa dla samych Żydów była raczej spokojnym miejscem, to zawistni sąsiedzi tylko czekali, by przyłapać kogoś przechrztę, jak idzie do synagogi albo oddaje się judaistycznym praktykom, i donieść inkwizycji.

Udałem się do swojej izby i zostałem tam aż do pojawienia się pierwszej gwiazdy. Postanowiłem nie rozmawiać z Salomonem o wizycie u Racheli. Musiałem sobie to wszystko poukładać w głowie. Leżąc w łóżku, bo nie miałem sił, by paść na kolana, złożyłem uroczystą przysięgę — Bogu, mojej matce i sobie — że pewnego dnia odzyskam spadek.

Festyn w Daroce już się rozpoczął, ale Salomon nie chciał mnie puścić, nie wyłożywszy mi wpieryw w najdrobniejszych szczegółach pewnej sprawy związanej z nieruchomościami, którą miałem załatwić tam na miejscu. Potem kazał mi jeszcze czekać na listy.

Korzystając z wolnego przedpołudnia, udałem się do *magida*. Naszego nauczyciela nazywaliśmy *magidem*, bo — jak twierdził — spędził pół życia, przemierzając dalekie wschodnie kraje, a tam, na Wschodzie, tak właśnie nazywano wędrownych mędrców. Mimo to o kraju nazywanym Polonia albo Polska wiedział niewiele. Wyraźnie czuł się zakłopotany, gdy przekazywał mi ledwie garść informacji, i to wątpliwej jakości — jak ta, że żyjący tam ludzie, Polacy, to potomkowie straszliwych Wandali, którzy pustoszyli przed wiekami hiszpańską ziemię, albo że przodkowie Polaków bili wojska Aleksandra Macedońskiego i Juliusza Cezara. Siebie zwą „Polakami”, gdyż uważają się za niezwykłych w bitewnym „polu”. Uchodzili za lud gościnny, bardzo religijny, wierny papieżowi, ale też wielce przyjazny Żydom. W księdze pewnego włoskiego podróżnika nauczyciel wyczytał, że Polonia to piękny, ale dziki kraj, *regio inculta*. Gdzie indziej zaś, że *hic proba gens et ebria, in hoc facit male*, czyli że to dzielny lud, lecz pijacki i to pijaństwo ich gubi. O skłonności Polaków do pijaństwa wzmiankowało jeszcze kilku autorów; równie często pisano też o ich nienawiści, *naturale odium*, do Niemców, których mają za swą zachodnią granicą¹². Ale wszystkie te teksty pochodziły z odległych lat. Teraz kraj ów podobno urósł bardzo w potęgę i patrzy łakomie na wschód.

Z Saragossy wyruszyliśmy późnym popołudniem, spod południowej bramy, na osłach, które zgodnie z umową przyprowadził Joshua. Był niepokieszony, że ominą nas atrakcje pierwszego dnia i spora część drugiego. Ku mojemu zdziwieniu zwierzę Joshuy zaprzęgnięte było do pustego wozu. Moje pytanie o powód wleczenia za sobą wozu zbył tajemniczą miną. Dopiero gdy odjechalśmy dobrych kilka mil od bram Saragossy i zostaliśmy sami na trakcie, zaczął mówić:

— Aaron, twój wuj robi duże interesy z Loarre. Załatw tak, żeby drużyna turniejowa z Loarre tylko ze mną handlowała. Żeby z nikim innym nie gadali. Zaczniemy już od Daroki. Dostaniesz... dwadzieścia... dwadzieścia pięć procent mojego zarobku... Co... Aaron? Jedną czwartą!

— Co im chcesz sprzedawać? Dzbany na wino?

— Kupować, Aaronie. Chcę kupować od nich zbroje — oświadczył, zrównując swojego osiołka z moim. — W Borja mieszka taki jeden sprytny Żyd, David Barbut. Gdy dowiedział się, że bywam z ceramiką u szlachty, często w zamkach, zaproponował współpracę. Skoro włóczę muły, to co mi szkodzi. Zaproponował mi dziesięć procent od zysku. Ten Żyd skupuje zbroje, od rycerzy albo

żołnierzy. Kompletne albo na części, nowe albo poobijane, wszystko jedno, oczywiście inaczej się płaci. Potem to żelastwo reperuje w swojej kuźni i sprzedaje w miastach.

— W miastach?

— Tak, w miastach, miastach. W tym cała rzecz. Bogatym kupcom, rzemieślnikom, każdemu, kto chce albo raczej musi mieć zbroję, a nie stać go na zamówienie takiej na miarę, bo to kosztuje majątek.

— Po co kupcom zbroje? — spytałem, ziewając. Nieprzespane noce dawały mi się teraz we znaki.

— Już od mniej więcej dziesięciu lat obowiązuje prawo, że każdy obywatel królewskiego miasta o jako takich dochodach musi się uzbroić na własny koszt. Wszystko zależy do tego, ile masz pieniędzy — rzucił mi szybkie spojrzenie, sprawdzając, czy słucham. — Na przykład, gdy cię wycenią na 6 tysięcy soldów, wliczając w to posag żony, musisz mieć już najprostszą, ale kompletną zbroję, potem im jesteś bogatszy, tym więcej musisz mieć blach. Naprawdę bogaty mieszczanin, jeśli ma więcej niż 80 tysięcy soldów majątku, musi mieć aż trzy komplety zbroi. Komplety, czyli wszystko: hełmy, napierśniki, naramienniki, pancerz kolczy, trzewiki, rękawice. To kosztuje majątek.

— A broń? — udawałem zainteresowanie.

— To już większy kłopot. Żydom nie wolno handlować bronią. Trzeba mieć specjalne zezwolenia, jak ma twój wuj. Zajmujemy się tylko zbrojami.

— Nie słyszałem, by ktoś tak handlował...

— Bo to niedawna nikt się tym nie przejmował — odparł z przejęciem. — Aż kilka lat temu król zarządził kontrolę. Dwa razy w roku wysłał inspektorów, którzy z listą w ręku chodzą po domach i sprawdzają, czy gospodarz ma wymagane uzbrojenie. W miastach wybuchła panika, a dla Davida zaczęły się złote żniwa.

— Tylko on na to wpadł? — spytałem już całkiem rozbudzony.

— No co ty! Powstało wiele kramów. Ale David szuka, a nie czeka, aż do niego przyjdą. I wprowadził dwie rzeczy. Zaczął do Barcelony. Po pierwsze, od razu przekupił jednego z inspektorów. Dostawał listę tylko tych mieszczan, u których znaleziono braki. Nie tracił czasu na łażenie po wszystkich domach. Po drugie, dawał od ręki kredyt. Na rok! Na dwadzieścia procent. A kto go brał, temu David obniżał od razu cenę blach o dziesięć procent. Rozumiesz?

Skinąłem głową z uznaniem.

— Nikt tak nie robi — oświadczył Joshua, zadowolony z mojej reakcji. — Trzeba było zatrudnić kowali, no i ludzi do skupowania tego żelastwa. Bo dość szybko zabrakło towaru w okolicznych zamkach. Wcześniej żołnierze sprzedawali swoje blachy bez umiaru, potem okazywało się, że na trzydziestoosobową załogę zamku została jedna kompletna zbroja! Reszta u handlarzy. Król wprowadził surowe kary, nawet kilku powieszono, i żołnierze już nie chcą sprzedawać. Trzeba się teraz najeździć. Obstawia się podrzędne turnieje i kupuje zbroje, jeszcze ciepłe. Inni handlarze też nie śpią.

— No, ale zbroja musi pasować... Chyba... Czy nie?

— Powinna, ale kogo to obchodzi? Ci mieszczanie i tak nie zamierzają w nich walczyć. Chodzi o to, żeby raz do roku włożyć na paradę i mieć w kufrze do pokazania podczas kontroli.

— Byłeś na jakimś turnieju? — spytałem.

— Czy byłem?! — zawołał Joshua. — Jestem znawcą turniejów. Znam wszystkie zasady, sztuczki, herby, rycerzy...

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu, kołyszając się na osiołkach w tym samym rytmie.

— A! To cię zainteresuje! — Joshua klasnął w dłonie. — Wiele razy kupowałem zbroje od tego *Il Nero*, Sulimy... Wcale się nie targowałem, a ja i tak nieźle mu płaciłem. I chyba dzięki temu mnie polubił, bo zawsze mnie pierwszego woła, kiedy ma coś do sprzedania — powiedział z dziecinną dumą i poprawił się w siodle. — On tu się w rok dorobił na turniejach majątku. Nigdy go jeszcze z konia nie zbili. W ogóle jakiś taki zawzięty, jakby na wojnie. Już ma sławę! I jeszcze jak włoży na siebie to czarne żelastwo, to mniej uprawieni, jak mają mu stanąć, to gnojem popuszczają na sam widok.

Do Daroki dotarliśmy wczesnym przedpołudniem, drugiego i ostatniego dnia festynu. Jak się dowiedzieliśmy od przybyłych tu wcześniej saragoskich Żydów, ominęło nas kilka spektakli i pierwszy dzień potyczek. Wszyscy przyznawali, że dawno nie było w Aragonii podobnej fiesty. Na otwarcie odbył się pokaz prawdziwej bitwy morskiej. Cech stolarzy stworzył repliki dwóch galer, które ciągnięte na drewnianych balach symulowały bitwę. Na pokładach znajdowało się po dwudziestu żołnierzy przebranych za chrześcijan i Saracenów, wyposażonych w drewniane tarcze i miecze. Dla większości mieszkańców Daroki była to pierwsza i ostatnia okazja zobaczenia uzbrojonej galery. Potem goniono z bykami po uliczkach miasta. Ściągnięto najlepszych *matatoros* z okolicy, którzy po gonitwie na ogrodzonym parkanami rynku zakłuli włóczniami wszystkie byki. Na zakończenie odbył się turniej, w którym potykało się sześć par¹³. Joshua aż się przygarbił na wieść, że Bask, na którego tak liczył, przegrał walkę z jednym z rycerzy Urríesów. Podobno dzielnie stawał; obaj skruszyli po kilkanaście kopii, aż w końcu Bask został wysadzony z siodła.

Owego dnia miał się odbyć tylko jeden pojedynek — Sulimy z którymś z Francuzów. Rzadko się zdarzało, by cały turniejowy wieczór poświęcano tylko dwóm zawodnikom, zwłaszcza jeśli na łoży zasiadał król. Podobno nalegał na to sam Juan de Urríes, który pragnął nadać zwycięstwu swego rycerza odpowiedni rozgłos.

Ponieważ teraz na miejskim rynku odbywały się walki zapaśnicze i konkurs strzelania z kuszy, zawody, które nas nie interesowały, mieliśmy dla siebie całe przedpołudnie. Joshua udał się do znajomego Baska, ja zaś pospieszyłem załatwiać sprawę mojego wuja.

Salomon Abnarrabí już od lat kupował w Daroce nieruchomości. Początki były obiecujące. Salomon inwestował nadwyżki z handlu w tanie budynki umęczonego wojną miasta, które powoli podnosiło się gospodarczo. Pierwsza inwestycja, dom za 5 tysięcy *maravedís* kupiony w 1374 roku i od razu wydzierżawiany za trzysta pięćdziesiąt *maravedís* rocznie, już się zamortyzowała. Salomon słusznie zakładał, że to handel i miasta wydobędą ludzi z marazmu, a nie ziemia; że koszmar wojny, lata głodu, spowodują

napływ ludności do miast i wyludnianie wsi. W dużym stopniu się to sprawdziło, tyle że nie poszedł za tym spodziewany wzrost cen budynków ani poprawa warunków dzierżawy. Ludzi nie stać było na płacenie przyzwoitego czynszu. Przynajmniej w Daroce. Kupowane na przestrzeni lat całe ulice, jak Los Leones, teraz przynosiły straty.

Spraw Salomona doglądał tu na miejscu Martín de Linsa, kleryk kościoła San Andrés, młody duchowny o otwartej głowie; przypadliśmy sobie do gustu od pierwszego spotkania. Martín de Linsa większość wolnego czasu, i noce, spędzał z kobietą o imieniu Ana, która, choć nazywana konkubiną, urodziła mu dziecko i dostarczała tyle samo trosk i radości co żona. Tak zresztą postępowała większość duchownych w Daroce. Na utrzymanie rodziny Martín potrzebował dużo pieniędzy, gorliwie wypełniał więc zadania powierzone mu przez Salomona, nawet jeśli stały w sprzeczności z interesami kurii, która również walczyła o przejmowanie jak najlepszych nieruchomości w mieście.

Kobieta mieszkała z dzieckiem w południowej części miasta, w małej drewnianej chatce, doklejonej jedną ścianą do szeregu wyższych, dwupiętrowych kamienic. Tam spodziewałem się zastać Martina.

Gdy dotarłem na miejsce, zobaczyłem Anę siedzącą na progu z tyłu domu, podpartą na ramionach z wyciągniętymi nogami i buzią wystawioną do słońca. Z domu dobiegał płacz dziecka, ale młoda matka nie zwracała na to uwagi, rozkoszując się chwilą odpoczynku. Była drobną, ładną dziewczyną o wąskich ustach, prostym, ostro zarysowanym nosie. Po jakiejś ciężkiej chorobie ścięła włosy niemal do skóry; teraz odrosły jej nieco, ale wciąż były na tyle krótkie, że odślaniały małe, lekko odstające uszy. Na odgłos kroków przysłoniła dłonią oczy przed słońcem i chwilę patrzyła w moją stronę. Uśmiechnęła się na powitanie, wstała, ujęła mnie za rękę i zaprowadziła do izby.

Stał tam Martín umęczony ciężarem dziecka na rękach. Ubrany był w kościelną wełnianą tunikę sięgającą kostek; wyglądał jak chrześcijański święty, którego obraz, też z ciężkim dzieckiem na ręku, gdzieś niedawno widziałem. Tyle że tamten przechodził przez jakąś wodę. Martín ucieszył się na mój widok:

— Aaron, tak myślałem, że się pojawisz, skoro wszyscy Żydzi Aragonii tu zjeżdżają. Przywiozłeś listy?

Powiedziałem mu o swojej nowej roli, że nie będę już tylko przypadkowym postaćem, jak kiedyś. Pochylił z uznaniem głowę, potem z ulgą oddał dziecko Ani. Ta przytuliła i pocałowała niemowlę, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Anie się coś stało? Nic nie mówi... — spytałem nieco speszony.

Ana roześmiała się i wyszła na podwórko.

— Wspominaliśmy dzisiaj ciebie — powiedział wesoło Martín. — Ana powiedziała, że gdybyś nosił sutannę, też by się w tobie zakochała.

Słyszałem, że wiele kobiet traciło głowy dla księży. Chrześcijaństwo zdawali się z tym pogodzić. Ana, gdy zakochała się w Martinie, miała już męża. Nic o nim nie wiedziałem, poza tym, że nazywał się Miguel i był złotnikiem. Skąd się brał ten pociąg do sutanny? Mogłem się tylko domyślać. Księża byli dobrze odżywieni, zadbani, nie musieli tyle pracować i mieli więcej czasu dla kobiet i dzieci, zapewniali utrzymanie. Chociaż Ana, żona złotnika, chyba nie

cierpiała głodu...

Chata miała tylko jedną izbę; Martín zmiotł rękawem resztki ze stołu i usiedliśmy, by omówić sprawy nieruchomości. A te przedstawiały się źle.

Ja też nie miałem dobrych informacji: Salomon nie przysłał ani należnego klerykowi wynagrodzenia, ani środków niezbędnych do administrowania budynkami. Martín nie ukrywał rozczarowania. Sporo wyłożył z własnej sakiewki. Jeśli nie dostanie szybko tych pieniędzy...

Zanotowałem wszystkie informacje, zapakowałem jakieś papiery dla Salomona i zacząłem się żegnać.

— Aaronie, poczekaj, pójdę z tobą. Na mnie też pora. Dziś mamy wizytę naszego ulubionego duszpasterza, Ferrána Martíneza. Wszyscy musimy się stawić.

Wyszliśmy razem, nie pożegnawszy się z Aną.

— Gratuluję, Ana wypiękniała. I dziecko ładne. Jesteście chyba szczęśliwi. Tak wyglądacie.

— Tak wyglądamy? Ana bardzo przeżywa to, że Inés, nasza córka, nie chodzi i w ogóle... Ma już dwa lata, i jest cały czas jak niemowlę. Ja tam się nie znam, wszystko w ręku Boga, ale Ana popłakuje nocami. To źle.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu.

— Słuchaj, Aaronie. Tu, w Daroce, Żydzi mają coraz gorzej...

— To normalne, zawsze jak pojawia się ta żmija, robi się szaro.

— Nie, to nie tylko Ferrán Martínez. Od jakiegoś czasu ludzie gadają o was coraz straszniej.

— Może to sprawa tutejszych księży? — rzuciłem bez zastanowienia. — Mówił mi Salomon, że tutejsza kapituła sama uruchamia pożyczki i dąży do wojny z Żydami, żeby się pozbyć konkurencji...

— Bzdury! — przerwał mi Martín. — Wy Żydzi wszystko sprowadzacie do pieniądza!

— Wszystkie członki ciała zależą od serca, a serce od kieszeni... Tak mówi Talmud, Martínie.

— Nie żartuj sobie!

Przystanęliśmy, kleryk wyglądał na przejętego.

— Twój wuj dobrze wie, że Kościół w Daroce pożycza od Żydów, bo dajecie nam dobre kredyty, i nie chcemy tu żadnej wojny. Nie ma teraz czasu, żeby to wszystko tłumaczyć — machnął ręką. — W każdym razie uważaj dzisiaj. Ty nie wyglądasz na Żyda, ale twoi bracia tak. Dziś w moim kościele, Santa María, będzie wystawiona największa relikwia Aragonii, w ludziach rozbudzi się wielka pobożność, przybędą tłumy.

— Co to za relikwia?

— Korporał z krwią Chrystusa — odparł Martín i wykonał znak krzyża. — Duma Daroki. Cały rok mamy dzięki temu pielgrzymów.

— Skąd krew Chrystusa w Daroce? — zapytałem, gdy przystanęliśmy na skraju rynku, na którym trwał jeszcze strzelniczy konkurs.

Martín nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle wpadło między nas ze śmiechem kilka młodych kobiet. Jedna z nich potknęła się o moje nogi i mimo rozpaczliwych prób utrzymania równowagi upadła na plecy. Chciałem pomóc wstać dziewczynie, ale uprzedził mnie goniący ją opierzony bosy stwór: rzucił

się na kolana i wsunął jej pod sukienkę ogromny drewniany penis przyczepiony do podbrzusza. Dziewczyna, śmiejąc się i piszcząc, wypchnęła drąg spomiędzy nóg i uciekła.

Martín wyjaśnił mi, że nazywa się ich *emplumados*. To bezrobotni kuglarze, którzy za pieniądze organizatorów festynu smarują się smołą i oblepiają piórami. Przyczepiają sobie drewniane penisy i napastują kobiety w każdym wieku. Podobno dotknięcie taką maczugą przynosi szczęście.

— Wieczorem ulice zaroją się od tych pierzastych szaleńców — dodał. — Znów kilku biedaków spłonie. Podpalanie ich stało się ostatnio modne.

Przeszliśmy jeszcze parę kroków.

— Za chwilę jest msza, będzie kazanie — powiedział Martín, zatrzymując się i osłaniając dłonią oczy przed słońcem. — Dopiero potem wszyscy pójdą na błonia. Aaronie, muszę iść. Kiedyś opowiem ci historię korporatu.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie. Kleryk zrobił ruch, jakby odchodził, ale jeszcze się odwrócił:

— Dla Urríesów byłby to silny cios i upokorzenie, gdyby przegrali dzisiaj z tym cudzoziemcem. W łoży zasiądzie archidiakon Ferrán Martínez i ma udzielić błogosławieństwa Francuzowi. Taki jest plan. Nie wiem, czy rozumiesz... Gdybyś widział wczoraj orszak Juana! Było tego ze dwadzieścia koni; wszyscy w barwach Urríesów. Czegoś takiego tu jeszcze nie widzieli. Zrobią wszystko, żeby wygrać...

— Wola boska, Martínie.

— Tak, wola boska — powtórzył. Wciąż nie odchodził. — Bardzo się zmieniłeś, Aaronie. Kiedy cię widziałem trzy miesiące temu, byłeś... młodzieńcem, wyrostkiem jeszcze. Nowa funkcja cię tak odmieniła? Czy jeszcze coś?

Joshuę spotkałem już na błoniach, tuż przed wejściem na ogrodzony teren turnieju. Nieopodal, na niskim podeście zbitym z kilku desek, przemawiał kaznodzieja. Przystanęliśmy przy małej grupce słuchających. Jak głosił klecha, szlachetny Juan de Urríes wywodził się w prostej linii od don Recareda de Urríes, dowódcy chorągwi w armii Karola Wielkiego. Ów Recaredo de Urríes towarzyszył królowi Franków w wyprawie na muzułmańską jeszcze wtedy Saragossę. Gdy armia powracała do kraju, poprosił króla, by mógł zostać na hiszpańskiej ziemi i dalej walczyć z Saracenami. Król wyraził zgodę. Don Recaredo nie wziął przez to udziału w sławnej bitwie pod Roncesvalles i już nigdy nie wrócił do swej ojczyzny, Francji.

— Nie wiedziałem, że Urríesowie to ród francuski...

— Nie myślisz chyba, że ten klecha to wszystko gada tak sam od siebie... Zapłać mu, to cię wywiedzie od samego Saula! Choć z tym don Recaredo to chyba prawda... — powiedział Joshua i pociągnął mnie za sobą.

Do rozpoczęcia turnieju pozostawało sporo czasu, ale i tak weszliśmy już na część trybun przeznaczoną dla Żydów, by zająć jak najlepsze miejsca. Cała widownia miała półkolisty kształt ze wznoszącymi się schodkowo rzędami stojących miejsc. Otaczała plac turniejowy od południa. Po północnej stronie placu ustawiono łożę dla honorowych gości. Teren turnieju okalał gruby sznur, obwieszony kolorowymi szmatami. Wejście było płatne: dla chrześcijan cztery denary, dla Żydów – dwa. Miasto liczyło, że wpływy pozwolą opłacić stolarzy, którzy wzniesli widownię, łożę oraz inne zabudowania, i jeszcze sporo zarobić. Daroca miała gościć jeszcze jeden turniej w tym miesiącu.

Joshua spotkał się już ze swoim Baskiem i przyniósł garść nowin. Do tej wyjątkowej walki z *Il Nero*, jak go wciąż nazywaliśmy, Urríesowie wystawili Jacques'a de Villaines, najmłodszego syna jednego z głównych kapitanów najemnych kompanii Pierre'a de Villaines. Mówiło się o tym młodzieńcu, że był bękartem samego Bertranda du Guesclin, ale to raczej tylko plotki, bo młodzieniec był podobny do ojca, jakby ich odbijali jedną pieczęcią. W łoży honorowej miała zasiąść jego matka. Wszyscy spodziewali się remisu w gonitwie na ostre, ale w pojedynku na miecze, a potem na topory, górą miał być Francuz, podobno silny jak bawół.

— Jak się czuje twój Bask? — zapytałem, rozglądając się po turniejowym majdanie.

— Potłuczony, na szczęście kości całe. Ale zbroja przepadła, interesu dziś z nim nie zrobię...

— A tego *Il Nero* widziałeś?

— Nie, był cały czas w namiocie — odparł Joshua. — Ale powiedziano mu już, że zjechali prawie wszyscy Żydzi z Saragossy, żeby zagrzewać go do walki. Bardzo się zdziwił.

Za obrębem sznurów stało kilkanaście namiotów i dwa drewniane budynki.

Jak wyjaśnił mi Joshua, ten mniejszy służył za jadalnię i skład żywności. W większym mieściła się stajnia; tam rycerze przy pomocy giermków dosiadali koni, by następnie ażurowym, zadaszonym korytarzem wyjechać na plac otoczony drewnianymi szrankami. Sam plac mierzył jakieś sto pięćdziesiąt na osiemdziesiąt kroków. Namioty przeznaczone były dla rycerzy, którzy zjeżdżali do nich ze swych miejskich kwater i tam przywdziewali zbroję i turniejowe szaty; zajmowali je też lekarze, heroldzi i różnego fachu rzemieślnicy: kowale, stolarze, płatnerze oraz skryby. Joshua zwrócił mi uwagę na ogromny kołowy stojak obok łoża. Tkwiło w nim około dwudziestu, może trzydziestu kopii, wszystkie w kolorze krwistej czerwieni. Każda miała wyraźne nacięcia na całej długości, żeby łatwiej się złamała przy uderzeniu w tarczę, i metalowy szeroki pierścień w trzech czwartych długości dla osłony dłoni.

— Tym razem nie ma handlu kopiami — oznajmił Joshua — król opłacił wszystkie. Wczoraj skruszono ich tu ponad sto. To majątek. Jedna kosztuje tyle co dobra krowa¹⁴. Każda kopia ma królewską pieczęć, żeby nie było oszustw... Obejrzałem je sobie. Mają dwanaście stóp długości i jakieś trzy cale średnicy, wagą ponad trzydzieści funtów.

Żydów rzeczywiście przyjechało dużo; nasza część trybun zapełniła się już prawie cała. Poprzedniego dnia chętnych Żydów było tylu, że za opłatą wpuszczano ich też na gołą ziemię pomiędzy oboma sektorami, żydowskim i chrześcijańskim. Teraz zapowiadało się podobnie.

Dopiero po kościelnych dzwonach obwieszczających koniec nabożeństwa wąskim wejściem zabezpieczanym przez strażę na turniejowe pole zaczęli wlewać się chrześcijanie.

— Nie widziałem jeszcze takiego turnieju! — wykrzyknął Joshua, rozglądając się na wszystkie strony. — Już tu jest ponad tysiąc ludzi!

Nagle tłum zaczął wznosić radosne okrzyki, bo na łożę honorową wszedł król z małżonką w otoczeniu dam i dworzan, a tuż za nimi, w narzuconej na ramiona fioletowej, sięgającej do łokci pelerynce, archidiakon Ferrán Martínez. To on pierwszy podniósł rękę i pobłogosławił wszystkich. Okrzyki wzmożły się, gdy król wziął z rąk piastunki niemowlę i uniósł wysoko, by pokazać wszystkim, komu zawdzięczają ten festyn.

Gdy wiwaty na cześć infanta nieco przycichły, na środek wysypanego piaskiem turniejowego pola wyszedł herold — niski, korpulentny mężczyzna ubrany w krótką tunikę w biało-niebieskie ukośne pasy. W rękach miał laskę, którą poruszał rytmicznie, wypowiadając słowa powitania dla króla, królowej i gości. Wymienił potem z pamięci wszystkie ważne osobistości, kłaniając się każdemu, w tym Samuelowi Bienvenistowi, którego zauważyłem dopiero teraz: siedział w drugim szeregu wysokiej łoży, tuż za królem.

Potem odwrócił się w naszą stronę i mocnym głosem wykrzyczał reguły zawodów: w pojedynku na ostre kopie rycerze będą uderzać na siebie pięć razy. Zwycięży ten, który skruszy więcej kopii lub pierwszy zrzuci przeciwnika z konia. Druga walka odbędzie się na miecze, a trzecia na topory. Tu, jeśli nie nastąpi zranienia lub poddanie się któregoś z walczących, liczyć się będą celne trafienia oceniane przez sędziów.

Gdy skończył, spuścił głowę, trwał chwilę w milczeniu, a potem gwałtownie

uniósł ramiona, zwrócił twarz ku niebu i zawołał jakby do samego Pana Boga:

— *Zawissus Niger de Garbow de domo Sulima! Miles Polonicus!*

Gwar unoszący się nad tłumem nagle ucichł.

— *Suae aetatis temporibus nulli secundus!* — głos herolda wybrzmiał donośnie już w kompletnej ciszy.

Wszyscy skierowali spojrzenia w kierunku wylotu ażurowego korytarza. Minęła dłuższa chwila, nim ukazał się w nim postawny giermek, w żołnierskim stroju, z herbem hrabiego de Lucio na piersi. Trzymał za uzdę potężnego, odkrytego czarnym kropiczem rumaka bojowego, o silnej piersi, długich mocnych nogach i potężnych kopytach. Gdy z cienia wyłaniał się siedzący na nim jeździec, gwałtowny podmuch wiatru podniósł z areny lżejszy piasek i sypnął nim w oczy widzów. Podniósłszy głowę, ujrzałem rycerza już na arenie. Jego opancerzony tułów okrywała luźna czarna tunika zdobiona srebrno-czerwonymi kwadratami. Nie widziałem nóg, bo zakrywał je rozbudowany przedni łąk siodła. Lewa dłoń, jak odlana z czarnego żelaza, mocno trzymała wodze. Na gładkim stalowym przedramieniu, zapewne za pomocą pasków, trzymała się trójkątna tarcza z prostą krawędzią górną i zaokrąglonymi bokami. Tarcza była przedzielona w pas: w górnym połu, srebrnym, widniał czarny połuorzeł, w dolnym — trzy złote kamienie. Prawą ręką, również zamkniętą aż do łokcia w żelazie, rycerz dotykał szyi konia, starając się go uspokoić.

Głowę zakrywał hełm, który wyglądał jak łeb wielkiego jaszczura: szeroka rura tworząca część dolną i zwężająca się część górna. Hełm zdobiony był dziwnym malowidłem w postaci czerwonych ostrzy albo kłów odchodzących symetrycznie w górę i w dół od wąskich szczelin na oczy [15](#). Wieńczył go ten sam co na tarczy olbrzymi czarny połuorzeł z rozpostartymi skrzydłami i zwróconą w prawy bok głową.

Joshua pochylił się do mnie, nie spuszczać rycerza z oczu:

— Oto masz syna piekieł... — wyszeptał. — To zbroja bojowa. On tu przyjechał zabić tego Francuza...

Po krótkiej rozmowie giermka z sędziami jeden z nich wręczył rycerzowi kopię i jeździec ruszył turniejowym obyczajem pokłonić się królowi i damom. Dopiero teraz dał się słyszeć pomruk podziwu; wielu, a zwłaszcza ci stojący najbliżej, uczyniło znak krzyża. Królowa i damy, przywykłe do niezwykłych rycerskich strojów, nie zlekły się tej na poły diabelskiej postaci, nagradzając rycerza uśmiechami i oklaskami.

Herold znów wyszedł na środek.

— *Jacques de Villaines...*

Reszta słów utonęła w ogłuszającym aplauzie; widziałem tylko rozwarłe nieme usta i czerwoną od wysiłku twarz herolda usiłującego przekrzyzczeć tłum.

Jacques de Villaines lepiej panował nad rumakiem, który najpierw wyjechał na arenę paradnym krokiem, a teraz stał nieruchomo niby wykuty w skałę. Francuz różnił się od swego przeciwnika niemal w każdym elemencie stroju. Bombiasta płyta napierśnika wykonana z jednej blachy, nie pokryta tkaniną, lśniła w słońcu; ręce pokryte były żelazem aż do ramion. Hełm, zdobiony pękiem pawich piór, miał kształt dzwonu i posiadał ruchomą zastonę

wydłużoną do przodu, przypominającą psi pysk. Do hełmu doczepiony był szeroki pas kolczy chroniący szyję i opadający na ramiona. Czołoci stroju dopełniał paradny płaszcz z błękitnego adamaszku, obramowany gronostajem, który zlewał się z kropierzem tej samej barwy, również obramowanym jasnym futrem. Na czworobocznej tarczy widniał herb Urríesów.

— Taka zbroja — wrzeszczał mi do ucha Joshua — to tylko na turnieje! Jest warta jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć złotych florenów! To skarb. Patrz na hak przy napierśniku i wycięcie w tarczy! To do opierania kopi. Ciężko będzie...

Francuz, ujawszy kopię żelazną rękawicą, otworzył przyłbicę i pojechał pokłonić się monarszej parze oraz dostojnym gościom z łoży. Ferrán Martínez uczynił nad nim znak krzyża, a jedna z dam towarzyszących królowej rzuciła rycerzowi chustkę, którą ten zręcznie złapał i wsunął za napierśnik.

— Ha! Jeśli myślisz, że to zabawa, to się mylisz... — powiedział Joshua. — Królowa chce go zmotywować. Nie znam dwórk, ale daję głowę, że dziś w nocy dobrze pozna ją ten Francuz. Jeśli przeżyje...

W arkadach pod łożą honorową ukazało się czterech trębaczy, którzy odegrali sygnał do rozpoczęcia pierwszej gonitwy. Rycerze ustawili się na przeciwległych krańcach areny. Jacques de Villaines stał tak blisko nas, że widziałem wyraźnie wzory tłoczone na kolorowych rzemieniach oplatających łeb rumaka; nerwowość jeźdźca musiała udzielać się koniowi, bo uderzał kopytem o ziemię i głośno wydmuchiwał powietrze przez rozdęte chrapy.

Prowadzącym zawody był dziś sam Juan de Urríes. Teraz on powstał i przez dłuższą chwilę cieszył się owacją dla swej osoby. Wreszcie skinął głową do sędziego, a ten, spojrzawszy na obydwu rycerzy, jakby jeszcze raz upewniając się, że mają dość odwagi, by uderzyć na siebie, podniósł i gwałtownie opuścił chorągiewkę. Konie ruszyły, a ziemia aż ugięła się pod ich ciężarem.

Staliśmy z Joshua w pierwszym rzędzie; pod naporem stojących za mną naciskałem brzuchem na poprzeczną belkę odzielającą widownię od areny. Konie przez trzecią część dystansu szły klusem, by w tym samym momencie, jak na komendę, przejść w cwał, wyrzucając spod kopyt fontanny piachu. Widzieliśmy unoszący się pod wpływem pędu płaszcz Francuza i zbliżającą się coraz szybciej gadzią głowę Sulimy. Gdy dzielił ich dystans nie większy niż dziesięć kroków, Sulima mocno wychylił się na lewą stronę i pchnął kopią. Nastąpiły dwa głucho uderzenia o żelazo, trzask łamanego drzewca i setki drzazg posypały się na głowy stojących widzów. Sulima osadził gwałtownie konia tuż przy nas. Jego kopia była cała. Francuz triumfalnie wznosił nad głowę ukruszoną pozostałość swojej. Tłum zawył z radości. Rozległ się głos trąb i werbli, a sędzia potwierdził zwycięstwo Jacques'a de Villaines.

Druga gonitwa miała identyczny przebieg. Kopia Sulimy uderzyła Francuza z taką siłą, że ten omal nie wyleciał z siodła, ale drzewce się nie złamało. Za to kopia Francuza trafiła na opór i znów posypały się drzazgi. Chrześcijańska część widowni skandowała imię podwójnego zwycięzcy.

Tym razem Sulima, zamiast wrócić na swoją pozycję, pojechał do sędziego i cisnął mu kopię pod nogi. Wywołało to okrzyki oburzenia ze strony mieszczan, w stronę rycerza poleciało nawet kilka kamieni i grudek ziemi.

I po naszej stronie podniosła się wrzawa. Joshua krzyknęła mi do ucha:

— Sulima zarzuca sędziemu, że dopuścił sfałszowane kopie! Będzie skandal, bo wszystkie są obite królewską pieczęcią!

Juan de Urries wstał ze swego miejsca w łoży i gestem wydał polecenie sędziemu. Ten przywołał jednego z pomocników i kazał podać Sulimie nową kopię. Czarny rycerz przyjął ją, ale nie wrócił na arenę, tylko podjechał jeszcze bliżej sędziego, pochylił nad nim swą żelazną głowę i chyba coś do niego mówił. Potężny rumak chodził nerwowo pod jeźdźcem i z każdym drobnym krokiem zbliżał się do przerażonego sędziego, aż przygniótł go swym potężnym bokiem do jednej z drewnianych podpór łoży. Gdy wydawało się, że biedakowi popękają kości, Sulima ściągnął wodze i klusem powrócił na arenę.

— Tak jest! Precz z oszustami! — wrzeszczał Joshua. — Francuzi przepłacili sędziów!

Kilku najbliższych stojących podchwyciło te słowa i na żydowskiej trybunie zaczął podnosić się gwar. Oszustwo! Sam król wstał i wznosząc ramiona, uspokoił publiczność. A potem na jego znak rycerze ruszyli na siebie po raz trzeci. Sulima spał konia i niemal od razu przeszedł w cwał. Tym razem to on skruszył kopię, a Francuz, celnie trafiony, niemal uderzył plecami o grzbiet konia, nadludzkim wysiłkiem utrzymując się w siodle.

— Już trzy razy powinien spaść — krzyknęła Joshua.

W czwartym, przedostatnim natarciu obaj uderzyli w siebie tak gwałtownie, że konie aż przysiadły na zadach. Obie kopie połamały się, ale Francuz szybko opanował wierzchowca. Okręcił konia w miejscu i ruszył paradnym krokiem wzdłuż szranków; na końcu szczególnie zawrócił i stanął w samym polu. W łoży rozległy się oklaski możnych, potrafiących docenić kunszt jeźdźca.

— Jest źle — pokręcił głową Joshua. — Została ostatnia gonitwa.

Serce waliło mi w piersi, jakby chciało ją rozsadzić. Zamknąłem oczy. Usłyszałem głośnie rżenie. Przywarłem do barierki, tak że całym ciałem czułem narastający tętent ciężkich kopyt. Joshua ścisnął mi ramię i wtedy rozległo się głucho uderzenie w pancerz. Ale zamiast okrzyków radości nad tłumem podniósł się jęk zawodu i zdziwienia. Otworzyłem oczy. W pierwszej chwili nie rozumiałem tego, co działo się na arenie.

Wierzchowiec Jacques'a de Villaines biegł wzdłuż szranków, wlokąc za sobą Francuza na długim powrozie i wzniesając tumany kurzu. Lewa noga rycerza była oplątana sznurem wysoko aż po udo; Francuz nadaremnie starał się unieść i uwolnić z więzów.

Joshua pierwszy wydusił z siebie:

— Oszukiwał... Przywiązał się do siodła...

Na arenę wbiegło dwóch giermków. Ruszył też Sulima, zatrzymując się na środku areny, tak by zagrozić drogę spłoszonemu wierzchowcowi. Giermkowie zręcznie zatrzymali konia i przewiązali mu szmatę na oczach. Jeden z nich ruszył uwalniać nogę pana z więzów. Drugi, uspokoiwszy konia, zajął się odpinaniem ciężkiego płaszcza. W ich stronę pospieszyło jeszcze kilku pomocników. I wtedy koń, spłoszony nadbiegającymi ludźmi, znów zerwał się gwałtownie do przodu i pociągnął za sobą nieuwolnionego jeszcze rycerza. Zrobiwszy kilka susów na oślep, wpadł na Zawiszę. Ten, szarpiąc za wodze i uderzając wściekle ostrogami, chciał rozdzielić zwarte ze sobą konie.

Wszystko działo się na tyle blisko, że słyszeliśmy tłumione zamkniętą przyłbicą krzyki Francuza, wciągniętego pod kopyta szamoczących się zwierząt. Joshua wspiął się na barierkę, by pospieszyć z pomocą. W tej samej chwili bojowy rumak Sulimy, przyuczony do prawdziwych bitew i traktowania ciał, stanął dęba, jakby chciał zrzucić swego jeźdźca, i runął na brzuch Francuza ciężkimi jak kowadła kopytami. Dobiegł nas trzask pękającej blachy, a potem mdły smród rozerwanych wnętrzności.

Giermkowie usiłowali okiełznać wierzchowce. Koń Francuza jeszcze raz się wyrwał i powlókł za sobą część rozerwanego tułowia, znacząc piasek szerokim pasem krwi i strzępami wnętrzności.

Rozległy się przerażone krzyki widzów, kobiety z łoży zasłaniały usta dłońmi, jedna z dwórek, nie mogąc oderwać wzroku od areny, płakała.

Niespodziewanie z żydowskiej części widowni dały się słyszeć początkowo nieśmiało, a potem coraz głośniejsze okrzyki:

— Dawać następnego Francuza! Samego Urríesa!

Radosne głosy zaczęły dochodzić także ze strony Żydów wpuszczonych na trawę pomiędzy sektory. Joshua wychylił się przez barierkę i krzyczał w dół, by zamilkli.

— Durnie, co oni robią... — mówił do mnie z przerażeniem w oczach.

Kilku chrześcijan, którzy stali na skraju swojej trybuny, przeszło pod barierką i trzymając się jedną ręką, wychylali się jak najdalej, by kopać w głowy stojących poniżej triumfujących Żydów. Ci złapali jednego z nich za nogę i ściągnęli na ziemię. Natychmiast co bardziej krewcy mieszcianie ruszyli z pomocą; poczęli zeskakiwać pomiędzy Żydów i okładać ich pięściami. Rozpętała się bójka.

Joshua chwycił mnie za rękę i zaczęliśmy przeciskać się przez tłum w stronę wyjścia.

Zaraz po powrocie z Daroki udałem się do gabinetu Salomona, by zrelacjonować mu spotkanie z Martínem oraz zdarzenia z turnieju.

Salomon wcześniej widział się już Bienvenistem i innymi Żydami, którzy byli w Daroce, ale chciał usłyszeć, co ja sądzę o tych wydarzeniach, zwłaszcza o napaści na Żydów, a potem burdach, jakie miały miejsce na ulicach Daroki po śmierci Francuza. Opowiedziałem, jak Joshua wyprowadził mnie z placu, zanim zburzono żydowską trybunę, i jak potem z okien na poddaszu naszej kamienicy obserwowaliśmy polowanie na powracających Żydów. Podpalono kilka domów, na szczęście obecność króla zapobiegła pogromowi i nikt nie zginął. Władze miasta natychmiast przystąpiły do tłumienia zamieszek. Były bardzo dobre do tego przygotowane: straż zainteresowała już na polu turniejowym, a w samym mieście około setka obywateli, odpowiednio wcześniej wyszkolonych i uzbrojonych, podzielonych na kilka drużyn, szybko zapanowała nad tłumem. Kilku podpalaczy aresztowano. Otwarcie powiedziałem wujowi, co sądziłem o zamieszkach: że nasi bracia niepotrzebnie wiwatowali po tym nieszczęśliwym wypadku, bezczęścili okrzykami stratowane ciało Francuza.

— Bienvenist twierdzi, że zamieszki zostały sprowokowane — rzekł na to Salomon. — Żydzi w Daroce żyją w strachu, Aaronie. Nie ośmieliliby się na coś takiego. Ferrán Martínez chciał zamieszek i je dostał. Ponoć jego ludzie, wmieszani w tłum Żydów, mieli obrzucić kamieniami Francuza po jego zwycięstwie, mieli rzucać nawet w trybunę. Ale sprawy potoczyły się nie tak, jak planowali, i musieli wymyślić coś innego. Żaden z podpalaczy nie pochodził z Daroki, nie wiadomo skąd się tam wzięli. Mówię ci, że to byli opłaceni ludzie.

— Nawet jeśli zaczęli prowokatorzy — odparłem — to wszyscy Żydzi się cieszyli i...

— Aaronie, dziwisz się? — przerwał mi Salomon. — Ja też się cieszę. Ty nie?

Pokręciłem głową. Nie tak wyobrażałem sobie mściciela krzywd, żydowskiego bohatera.

— Bienvenist i tak złożył skargę do króla. Jeden z jego służących został pobity. Będzie udowadniał, że to jednak była prowokacja — oświadczył Salomon i uderzył dłonią w stół na znak, że kończy ten temat. — Jak ci się podobała walka? Widziałeś turniej pierwszy raz, tak?

— Wielkiej trzeba odwagi...

— O tak! Też tak myślę — zaśmiał się stary Żyd. — Wycofują się i zderzają, potem znów się cofają i jeszcze raz uderzają... Nie przypomina ci to trykania baranów? Oni pod tymi hełmami mają mniej więcej tyle samo rozumu — tu postukał się pięścią w czoło. — Ale Bienvenist wrócił zachwycony naszym Sulimą, że nacierał bez lęku i wybornie panował nad kopią, i że gdyby Francuz nie przywiązał się powrozem do siodła, spadłby z konia już po pierwszym

natarciu. Tak było?

Przytaknąłem wujowi. W żydowskiej Saragossie szybko zapanowała opinia, że *Il Nero* celowo stratiwał Francuza; znów zrobiono z niego mściciela krwi. Podobno zaraz po turnieju Juan de Urríes domagał się aresztowania polskiego rycerza, ale król wziął go w obronę. Uznał, że to Francuz oszukiwał. Króla nie oburzyła też reakcja Sulimy, gdy o mało nie połamał sędziemu kości — skoro podano mu wadliwie wykonaną kopię, miał do tego prawo, przecież narażał życie, żeby dostarczyć widzom rozrywki.

W czasie podróży do Daroki, a potem w drodze powrotnej wiele razy odtwarzałem w pamięci rozmowę ze starą Rachelą. Zapamiętałem każdy szczegół tak dokładnie, że gdy zamykałem oczy, słyszałem jej głos, jakby była tuż obok. Na niewiele się to zdało, bo wciąż nie wiedziałem, jak mam postąpić wobec mojego wuja. Powiedzieć mu, że wiem o testamencie? Jak? Nie byłem jeszcze gotów, by pójść z tą sprawą do rabina.

Postanowiłem natomiast przystać na propozycję Estery. Wiedziałem, że wkrótce przyjdzie mi stoczyć ciężką walkę o Ayhe, i że będę potrzebował pomocy. Instynktownie czułem, że Estera będzie w tej wojnie lepszym sojusznikiem niż mój wuj. Czy Salomon wierzył w moją lojalność? Zapewne tak. Postanowiłem jej nie dochować. Chciałem to zamierzenie doprowadzić do skutku jak najszybciej, przy pierwszej nadarzającej się okazji, gdy tylko Estera będzie sama.

Nazajutrz po powrocie z Daroki miało się odbyć owo ważne spotkanie, na które rozniosłem zaproszenia. Liczyłem, że Salomon już bardzo wcześniej uda się na poranną modlitwę do synagogi. Od świtu wyczekiwałem więc jakichś odgłosów z patio. Wreszcie dobiegły mnie urywki rozmowy pomiędzy Azmelem i moim wujem. Zaskrzyphiała furka. Chwilę zastanawiałem się, czy nie poczekać, aż Ayhe pójdzie na targ, ale uznałem, że to za duże ryzyko. Salomon mógł wrócić w międzyczasie. Minąłem śpiącą jeszcze niewolnicę, kilka skokami pokonałem schody i znalazłem się na piętrze przed drzwiami do sypialni Salomona i Estery. Kilka razy uderzyłem dłonią w drzwi, odczekałem chwilę i wszedłem.

Pokój, wielkości gabinetu Salomona, miał duże okna wychodzące na wschód. Okiennice były zamknięte. Przez pionowe szpary wdzierały się płaskie smugi ostrego porannego światła. Uderzył mnie bałagan w izbie: porozrzucone na podłodze koszule i buty, pootwierane kufry, na stole resztki wczorajszego posiłku, mokra jeszcze plama z wina rozlanego wokół dzbana.

Estera leżała na boku, plecami do ściany, przyglądała mi się szeroko otwartymi, ale niewidzącymi jeszcze oczami. Schowała pod koc nagie ramię, gdy dotarło do niej, kim jestem. W powietrzu unosił się zapach potu i oddechów, charakterystyczny dla niewietrzonego po nocy małego pomieszczenia.

— Aaronie, nie powinieneś tu wchodzić. Azmel na pewno cię widział...

Estera przesunęła się na łóżku, tak że głowę oparła o ścianę. Pierwszy raz widziałem ją nienuczesaną. Przy poprawianiu rozpuszczonych włosów uniosła ramiona, tak że mignęły mi jej owłosione pachy. Uświadomiłem sobie, że leży pod pościelą naga, a rzucone na podłogę ubrania to koszule nocne jej

i Salomona.

— Proszę cię, abyś natychmiast stąd wyszedł. Jeszcze brakuje plotek, że odwiedzasz mnie w sypialni. I nie patrz!

— Azmel mnie nie widział.

Podszedłem do krawędzi łóżka. Przysiągłbym, że dostrzegłem wtedy w jej oczach rozbawienie i ani śladu lęku czy skrępowania.

— Miałeś nie patrzeć!

— Chciałem ci powiedzieć, że się zgadzam. Będziemy sobie pomagać...

— Dobrze, ale idź teraz. Wymyślę inne miejsce na rozmowy. Idź, proszę cię.

Posłusznie odwróciłem głowę i wyszedłem. Gdy wracając do pokoju, przechodziłem przez kuchnię, Ayhe już nie spała. Leżała na plecach i przeciągała się. Zobaczywszy mnie, odwróciła się twarzą do ściany. Nie rozmawiałem z nią od tamtego popołudnia. Cierpiałem, ale byłem gotów karać ją jeszcze długo za to rozwiązłe spojrzenie na Mahabuda i za noc spędzoną w jego domu. Odsuwałem już zasłonę do swojego pokoju, gdy dobiegł mnie jej głos:

— Gówniarz!

Przed południem, jak w każdy poniedziałek, Salomon otworzył swój kantor. Odkąd Vidal i Dolz zamieszkali na wsi, przyjmował Saracenów, bo głównie im pożyczal pieniądze, w jednej z izb na dole. Zazwyczaj zamykali się tam z Ayhe nieco wcześniej, aby wymienić się informacjami o petentach z danego dnia i przedyskutować strategię ich obsłużenia. Teraz w takiej krótkiej naradzie miałem uczestniczyć również ja.

— Dziś zgodziłem się przyjęc tylko dwie sprawy — rozpoczął Salomon, gdy tylko wszedłem do kantoru.

Ayhe siedziała już za stołem, w miejscu przeznaczonym dla kredytobiorców. Dosunąłem sobie krzesło i zająłem miejsce obok niej.

— Będzie Calema Xalafax z Nawarry oraz ktoś z Saragossy. Ilu Saracenów z Nawarry pożyczło ode mnie pieniądze? — zwrócił się do Ayhe.

Teraz zauważyłem, że Ayhe miała przed sobą kilka zeszytów.

— Sześciu — odparła, nie zaglądając do notatek.

— To dobrze. Ten będzie siódmy i ostatni. Wstrzymamy na jakiś czas kredytowanie Nawaryjczyków — oznajmił Salomon i choć starał się nadać słowom lekki ton, wyczułem napięcie w jego głosie.

— Sprawa tego Calemy Xalafaxa to ciekawy przypadek — powiedziała Ayhe.

— Jego syna oskarżono o romans z chrześcijanką, ma zostać ukamienowany. Wyrok zatwierdził osobiście sam król Karol.

— Mam już dość tej Nawarry! — zawołał niespodziewanie Salomon. — I tego ich zidiociałego króla... Czy on musi w taki sposób łupić tych biedaków?

Saraceni z Nawarry od lat przeżywali gehennę. Król wprowadził przepis, ma mocy którego wszelkie kary cielesne i więzienne sędziowie mogli zamieniać na grzywny. Wyłączono z tego jedynie ciężkie wykroczenia przeciwko wierze chrześcijańskiej oraz zabójstwa. Z jednej strony mniej Arabów trafiało do więzień, z drugiej jednak sędziowie, dla podreperowania królewskiego skarbcza, orzekali coraz surowsze kary za coraz mniejsze wykroczenia. Każdy

oskarżony starał się zamienić karę chłosty czy więzienia na grzywnę. Nie mówiąc o karze śmierci. Całe rodziny składały się na wykup. Gminy arabskie, jedna po drugiej, popadały w długi i osuwały się w jeszcze większą nędzę.

— Ojciec będzie prosił o pieniądze na wykupienie kary dla syna... I co ja mam mu powiedzieć? Nie będziesz się odzywała. Notuj sumę i uzgodnione warunki. Tu może chodzić nawet o tysiąc soldów.

— Tak, panie — Ayhe posłusznie skinęła głową.

Teraz dopiero odważyłem się odwrócić głowę w jej stronę. Skóra Saracenki miała barwę złocistego miodu. Znowu chyba żuła betel, bo jej usta przybrały krwistoczerwony kolor i wydawały się pełniejsze.

— Kto potem?

— Rodzina Hametów.

— Nie słyszałem o nich. To bardzo biedni ludzie?

— To ubodzy rolnicy, panie. Ojciec, matka, córka i trzech synowie.

— Znasz ich dobrze?

— Tak, panie — odparła Ayhe i sięgnęła po jeden z zeszytów. — Osiedlili się w Saragossie niedawno, pochodzą z południa. Mają niewielkie gospodarstwo kilka mil od Saragossy. Tylko jeden syn pomaga w polu. Dwóch pracuje u Jucefa de Galip. Naprawiają mury. Przyjdą prosić o pieniądze na życie. Dwa razy z rzędu mieli złe plony. Spłacili długi, ale cierpią głód.

— Znakomicie! — Salomon skinął głową zadowolony ze swej niewolnicy. — Podam im wysoki procent. Potem ty potwierdzisz po arabsku, że i tak wyświadczam im przysługę, bo mam już pustą kasę na ten miesiąc, a ich współbracia ociągają się z zapłatą. Co zresztą jest zgodne z prawdą. Oni wtedy poproszą cię o wstawiennictwo po arabsku, a ty zwrócisz się do mnie. A ja im zaproponuję, aby tych trzech osiłków odpracowało pożyczkę w naszej winnicy.

— Obawiam się, panie, że oni nie mówią po arabsku. Myślę, że znają tylko aragoński, to prości chłopci...

— Mówiłaś, że są z południa.

— Z jakiejś wioski za Orihuelą, nie z Granady.

Salomon machnął ręką.

— Zobaczmy, jak potoczy się rozmowa. Dostaną trochę więcej pieniędzy, niż powinni, pod warunkiem że odpracują cały kredyt u Dolza i Vidala w winnicy. Coraz trudniej o tanich robotników.

Tak po prawdzie, ta metoda mojego wuja pozyskiwania taniej siły roboczej tylko pogłębiała nędzę arabskich chłopów. Z jednej strony Salomon ratował ich pożyczką od głodu, z drugiej zaś, zabierając im czas pracy w porze zasiewów i żniw, skazywał na vegetację w kolejnym roku, by znów musieli prosić o pieniądze. I tak bez końca.

Było uderzające, że ci niedawni władcy hiszpańskiego świata zostali tak zdegradowani. Przypadła im rola chłopów i drobnych rzemieślników. Chylili głowy przed silnym chrześcijaninem, bo bali się jego bata, i przed bogatym Żydem, bo bez jego pieniędzy powymieraliby z głodu. Nic nie znaczyli. Jedyną dobrą stroną tej nędzy, w jaką stoczyli się tutejsi Arabowie, było to, że nie padali ofiarą chrześcijańskiej agresji, bo nie podsycała jej zawiść, jak to miało miejsce w przypadku Żydów.

Pożyczanie Maurom, pomimo ich biedy, było bezpiecznym interesem.

Zwłaszcza dla Żydów. Wystarczyło wskazać urzędnikom królewskim nierzetelnego dłużnika, a ci natychmiast przystępowali do działania. Król żył z podatków płaconych przez Żydów i nie mógł sobie tu pozwolić na straty. A ponieważ nawet najmniejsza kwota zabezpieczana była zastawem — droga do odzyskania należności była bardzo prosta. Do tego wszystkiego Arabowie uchodzili za uczciwych pożyczkobiorców. Więcej znaczyło dla nich dane słowo niż podpisany papier, którego i tak nie umieli przeczytać.

Ayhe bardzo dobrze знаła arabską społeczność i podpowiadała Salomonowi, na jakich warunkach powinien udzielić pożyczki. Była nieocenionym pomocnikiem. Arabowie przychodzili po pieniądze w najróżniejszych konfiguracjach: mąż z żoną albo z bratem, albo całym rodzeństwem; przychodziły też całe rodziny, wtedy tylko małżonkowie byli zapraszani do środka, a reszta czekała na zewnątrz. Podnosili w ten sposób swoją wiarygodność. Im liczniejsza grupa, tym większa gwarancja spłaty kredytu. Istniały trzy główne kategorie pożyczek: inwestycyjne, jak je nazywał Salomon, najbezpieczniejsze, bo szły na ziarno pod nowy zasiew albo rozbudowę warsztatu, albo naukę rzemiosła; druga to te, które przeznaczano na zapłatę nowych podatków nakładanych przez króla i bezlitośnie egzekwowanych, zwłaszcza na potrzeby wojenne; trzecia kategoria, najniebezpieczniejsza dla mojego wuja, to pożyczki głodowe, brane na przetrwanie. Ayhe ustaliła granice dwustu soldów jakeańskich dla tej ostatniej grupy. Jeśli arabska rodzina chciała pożyczyć więcej, musiała wykazać, że pieniądze przeznaczy na coś innego niż tylko jedzenie. Była to z jednej strony dbałość o interesy mojego wuja, a z drugiej troska o muzułmańskie rodziny, by nie zadłużyły się ponad miarę, co było powszechną praktyką w innych miastach.

Klienci Salomona w większości byli analfabetami. Umowę sporządzał notariusz chrześcijański, bo zgodnie z prawem żaden dokument spisany po arabsku nie miał mocy prawnej, zresztą większość znała tylko język aragoński. Ci muzułmanie, którzy mówili z kolei tylko po arabsku, mieli oczywiście prawo do obecności swojego notariusza podczas spisywania umowy, ale często nie mogli sobie na niego pozwolić; arabskich notariuszy było niewiele i kosztowali dużo więcej niż chrześcijańscy. Ayhe pełniła więc często rolę zaufanego lektora pism, jeśli klienci Salomona znali aragoński, lub tłumacza, jeśli mówili tylko po arabsku.

Nie należało się zatem dziwić, że Salomon dbał o utrzymanie swojej pozycji najważniejszego kredytodawcy dla saragoskich Maurów. Jakże szalone i ryzykowne były te nocne schadzki Ayhe. Ich wykrycie mogło zniweczyć wysiłek starego Żyda.

Salomon musiał liczyć się z konkurencją. Najgroźniej wyglądało to ze strony młodziutkiego Juce'a Bienvenista, wnuka Samuela, oraz saragoskiego szewca Açacha Almachuquíego. Juce, członek rodziny Bienevenistów, był przewidywalny, trzymał się pewnych zasad, jakie obowiązywały żydowską arystokrację. Gorzej z Açachem — ten ubogi kiedyś szewc, człowiek z nizin, wykazał się wielkim talentem bankowym i nieoczekiwanie wyrósł na konkurenta silnego, a do tego groźnego, bo gotowego na wszystko.

— Ayhe, nakryj stół suknem, rozstaw krzesła. Wprowadź gościa, jak się

zjawi, i wtedy przyjdź po mnie. — Salomon wstał i skinął na mnie ręką. — A ty, Aaronie, choźdź ze mną. Od dziś zaczniesz zapoznawać się z księgami rachunkowymi.

I udaliśmy się do jego gabinetu. Głównym meblem był tu dwuskrzydłowy sięgający sufitu regał, zavalony zeszytami i zwojami papieru. Wykonany został, podobnie jak moje łóżko, z tego samego świeżego cyprysu, obficie spływającego żywicą. Ustawiono go przy rozgrzewanej przedpołudniowym słońcem zachodniej ścianie, którą później nazwałem ścianą płaczu, bo mieszały się na niej krople żywicy z moimi łzami, gdy stawałem oparty czołem o ścianę i płakałem z bezradności.

— Tu spędzisz najbliższe tygodnie — oznajmił mi Salomon, gdy stanęliśmy przed regałem, obaj z dłońmi splecionymi za plecami. — Zapoznam cię ze wszystkimi sprawami, które prowadzę. Poznasz wszystkie moje ziemie, nieruchomości, spółki.

Salomon pokazywał mi, jak segregował i układał dokumenty mój poprzednik. Potem brał wrywkowo któryś z zeszytów i sprawdzaliśmy, czy potrafię odczytać znaki i teksty. Poza arabskim dawałem sobie radę ze wszystkimi językami. Zadał mi też kilka pytań związanych z księgowymi zapisami, na które odpowiadałem, kierując się wyłącznie intuicją.

— Aaronie — odezwał się nagle Salomon poważnym tonem, gdy odkładałem jeden z dokumentów — postanowiłem, że nie weźmiesz udziału w wieczornym spotkaniu. Nie mam, jak widzisz, nic do ukrycia przed tobą. Dobrze się sprawiłeś, roznosząc zaproszenia, i wywarłeś na wszystkich dobre wrażenie. Myślę jednak, że twoja obecność dzisiaj... mogłaby zostać źle odczytana. W innych okolicznościach nie przejmowałbym się tym, ale dziś będę musiał bardzo delikatnie szarpać struny.

Salomon swoim zwyczajem patrzył mi prosto w oczy, zaglądając głęboko w duszę. Chyba dostrzegł tam ulgę, bo uśmiechnął się lekko i poklepał mnie po ramieniu.

— Widzę, że poradzisz sobie z dokumentami. Będziesz znakomitym księgowym. Jestem tego pewien.

Potem podszedł do komody, skąd podczas naszej pierwszej rozmowy wyjął dzban z winem, ale widocznie nie znalazł tego, czego szukał, bo zatrzasnął drzwiczki z wściekłością. Kucnął z trudem, szukając czegoś pod meblem. Tak zastała go Ayhe, która przysłała z zawiadomieniem, że Calema Xalafax już czeka. Wstałem od stołu, ale Salomon dał mi znak, że nie ma powodu do pośpiechu i jeszcze chwilę porozmawiamy. Niewielkie spóźnienie, oznajmił, nie powoduje głębokiej urazy u gościa, a jednocześnie jasno wskazuje, kto jest sługą, a kto panem.

— Przynieś nam wina — rzucił do Ayhe i ponownie usiadł za stołem.

— Rozmawiałem dziś z Francisco de Arandą. Nie chciał za wiele powiedzieć o naszym Sulimie. Ty poznasz go w Loarre osobiście... — powiedział, jakby perspektywą wyjazdu do Loarre chciał mi wynagrodzić odmowę udziału w spotkaniu. — Proszę cię, abyś poważnie potraktował swoje zadanie. Chcę o nim wiedzieć jak najwięcej. Dowiedziałem się, że przyjechał do Brugii z polską delegacją kupców i dyplomatów. Dowodził eskortą.

— To dziwne — oznajmiłem zaskoczony tak nagłą zmianą tematu. — Joshua

twierdzi, że ten Sulima ma ledwie dwadzieścia lat, to mało, jak na taką funkcję.

— Może tam są inne zwyczaje — Salomon wzruszył ramionami. — Nieważne. Pamiętasz? Wszyscy dziwili się, skąd o sprawie wiedział aragoński biskup... Otóż kupcy z Polski przywieźli podobno świętopietrze dla Awinionu, stąd zainteresowanie Kościoła i papieża. Kupcy już pierwszego dnia spotkali się z bankierami papieża w Brugii. Mówił mi to już biskup Heredia, a on zna sprawę, bo sam był papieskim kolektorem w Aragonii, ale nie chciałem wtedy wam o tym mówić przy Mahabudzie.

Z tego co pamiętałem ze słów *magida*, Polonia stała wiernie przy papieżu rzymskim. Dlaczego jej wysłannicy mieliby składać daninę papieżowi w Awinionie? Powiedziałem o tym mojemu wujowi.

— Otóż właśnie! Kolejne pytanie — zgodził się Salomon. — Może chcą zmienić front? Albo szukają sojuszników po tej stronie świata? Do czego? W każdym razie sprawa jest intrygująca, bo juryści papiescy od razu rzucili się do tuszowania tej sprawy z morderstwem... Polska to dla papieża prawdziwy skarb, kopalnia skarbów. Takie ludne ziemie, ledwo wydarte pogaństwu. Wiesz, ile pieniędzy będzie można stamtąd wyciągnąć? Nie dziwię się, że papieżowi zależy na wyciszeniu tego skandalu. Gdyby tak Polacy przeszli na jego stronę... [16](#)

W tym momencie weszła Ayhe z dzbanem wina. Teraz dopiero dostrzegłem, że miała na stopach te same sandały co w wigilię Jom Kippur — na cienkiej jak liść odeszwie, łożone wysoko pod kolanami. Gdy podeszła do stołu, nie mogłem oderwać oczu od smukłych, długich palców opieszłych jasnymi rzemykami. Ayhe wyznała mi kiedyś, że nigdy nie chodziła boso; odziedziczyła po matce tak delikatną skórę, że najdrobniejszy kamyczek sprawiał jej ból niczym wbijany gwóźdź.

— Interesuje cię, co mówię? — zapytał Salomon, gdy wyszła.

— Tak, oczywiście, naprawdę... — odparłem pospiesznie, z trudem otrząsając się ze wspomnień. Ledwo powstrzymałem się, by nie wybiec za niewolnicą.

Stary Żyd skrzyżował ręce na piersiach, odchylił głowę do tyłu i uważnie mi się przyglądał.

— Nie bądź głupcem, Aaronie...

Zapadła długa cisza, którą przerwało nieoczekiwane pytanie Salomona.

— Co sądzisz o Tidemanie Stickerze?

— Mówią, że pochodzi z Niemiec — odparłem skwapliwie. — Ma dom w Saragossie, ale jest obywatel Walencji. Podobno nawiązał bliskie kontakty z Genuńczykami, którzy sprowadzają z Krymu niewolników. To dlatego ma zawsze młode, zdrowe niewolnice, w najlepszych cenach... Ale mówią też, że uczciwie je sprzedaje, bo za chore kobiety zwraca pieniądze, nawet jeśli...

— To oszust, Aaronie. Drobnny, ale oszust — przerwał mi spokojnie Salomon. — Od lat okrada mnie z towaru i pieniędzy — patrzył mi prosto w oczy, sprawdzając, jakie wrażenie wywarły na mnie te słowa. — A wiesz, dlaczego cię o niego pytam? — i nie czekając na odpowiedź, dokończył: — Bo Estera przestrzegła mnie przed nim od razu, gdy tylko spojrzała mu w oczy. To za jej

namową zacząłem uważniej sprawdzać rozliczenia. Śledziłem go przez jakiś czas.

Estera — tak, ta kobieta zawsze wiedziała lepiej. Podobno korzenie jej sewilskiej rodziny sięgały pewnego astronoma wywodzącego się z grona owych słynnych dwudziestu siedmiu Żydów, *judios del Rey*, których Alfons X osiedlił w Sewilli i obdarował sporymi majątkami. Jej przodek posiadał niezwykle magiczne zdolności; podobno w Esterze obudziły się te pradawne talenty. Nie wiem, czy była to prawda czy nie, dość, że Salomon w to uwierzył i wśluchiwał się w opinie młodej żony.

— I słuchaj dalej — mówił stary Żyd. — Jeśli w tamtym rozpoznała oszusta, to podczas turnieju w Saragossie Estera zobaczyła w tym rycerzu, w tym Sulimie... zobaczyła w nim... diabła! Wcielenie Samaela. Podobno przemienił się na jej oczach! Ostrzegła mnie, że ten człowiek sprowadzi na nas nieszczęście. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Zebrałem się na odwagę:

— *Aba*, to tylko niewiasta... Niewiasta wielkiej mądrości, ale może się mylić.

— Co do tego parszywego Niemca się nie myliła! — wykrzyknął i wstał raptownie. — Chcesz wiedzieć, jak było? Rabin Walencji wysłał do mnie list z rekomendacją, że Tideman Sticker jest życzliwy i pomocny Żydom. Że to wprawdzie taki *ger arajot*, lwi konwertyta, który u Żydów szuka wsparcia, ale odpłaca w dwójnasób. — Pokręcił teatralnie głową, jakby sam niedowierzał własnym słowom. — A Estera mi mówi, Salomonie, nie ufaj mu! To zły duch. Słowa kobiety, naprzeciw słowom rabina... Co byś zrobił? Nie posłuchałem jej. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że rabin Walencji to wielki przyjaciel i dłużnik samego Isaaca ben Shéset Perfeta. Tak, tak, dłużnik sławnego Perfeta, najgorszego rabina Saragossy, którego ja, tymi rękoma, przepędziłem, ryzykując wojnę z całą *aljamą*! Wołałem w synagodze: „Grzeszyliście, to Bóg dał wam za przewodnika ślepego barana. Poprawcie się i przepędźcie rabina”. I na jego miejsce przyszedł Hasday Crescas, niech Bóg nadal oświeca jego ścieżki. I co?

Uniosłem dłonie nad stołem w kapłańskim geście, który mógł znaczyć wszystko.

— Tak właśnie! Dziś cała gmina mnie za to błogosławi! — mówił podniesionym głosem. — Ale tamten się zemścił, podsuwając mi tę niemiecką kanalię. Tak, to nic innego jak zemsta. Estera to czuła, a ja okazałem się głupcem.

Stary Żyd uśmiechał się ponuro i ciągnął dalej:

— Bo byłem zaślepiony, a biada ludziom, którzy widzą, a nie wiedzą, co widzą. Widziałem chrześcijanina, z obywatelstwem Walencji, z którym zawiążę spółkę i zyskam na podatkach. Mogłem dzięki niemu sprowadzać towar z Maghrebu o połowę taniej! Nie tylko z Genuńczykami się dogadywał. Słynął z układów w Radzie Miasta. Umiął podobno załatwić wszystko. Poza tym wydawał się tani, brał najmniejszy procent ze wszystkich chrześcijan, którzy świadczą podobne przysługi. No to go zatrudniłem. A że człowiek idzie za osłem — ruszyli za mną inni Żydzi z Saragossy. Wszyscy na wyścigi wpychali mu do rąk pieniądze, byle tylko nimi obracał.

Słyszałem o tym. Mieszkańcy Walencji byli wrogo nastawieni do Żydów, zwłaszcza przyjezdnych; aby Żyd mógł wjechać do miasta i chwilę tam pobyc, musiał się za nim wstawić jakiś chrześcijanin. W tym ów Sticker mógł być faktycznie pomocny. Ale najważniejsze były podatki: jeśli dostawę od Żydów z Maghrebu — a z nimi robiło się najlepsze interesy — cilił chrześcijanin, nie płacił *dret del vinté*, dokuczliwego podatku, który jeśli już raz został nałożony, to potem niczym garb ciążył na towarze.

Pochwaliłem się swoją wiedzą, ale Salomon mnie nie słuchał.

— Przeprowadziłem śledztwo, jak już mówiłem — ciągnął dalej — i wiem wszystko. Oszukuje nie tylko mnie. A najgorsze, że to mnie obarczą odpowiedzialnością, jak się wyda. Ja będę winny!

Stary Żyd przez długi czas milczał. Chodził po pokoju ze zwieszoną głową. W końcu usiadł ponownie przy biurku.

— Dlaczego zatem zaprosiłeś go na spotkanie, ojczyste?

Jakby czekał na to pytanie: rozwinął jeden z pergaminów i podsunął mi go do przeczytania. Zobaczyłem szczegółowe opisy kilku statków: rozpiętość żagli, długość, szerokość, pojemność ładowni, wyporności przy pełnych ładunkach i wiele innych danych. A pod każdym opisem widniała cena w funtach flamandzkich i jej ekwiwalenty w funtach barcelońskich. Całość zapisana była po łacinie.

— Oto propozycja Stickera — oznajmił — w sprawie kupna statków, którą mam zamiar dziś przedstawić. Goście, których zaprosiłeś, mają dość pieniędzy do zainwestowania. Zresztą, wszyscy są mi winni przysługę, więc nie spodziewam się odmowy.

Potem dodał jakby na usprawiedliwienie:

— Póki nie zastawię się na Stickera, nie ujawnię jego oszustw nikomu. Jeśli go spłoszę, wszystko przepadnie. Aaronie, tu nie chodzi o pieniądze, bo to nie są wielkie sumy. To sprawa honoru. Nie mogę pozwolić, by ten szpetny goj, przybłąda, wodził mnie za nos w mojej Saragossie. Rozumiesz? Muszę go przykładnie ukarać. To sprawa mojego honoru i całej naszej gminy! Dopóki mam sandały na stopach, będę deptał takie żmije!

— Chcesz, ojczyste, kupić od niego te statki?

— Oczywiście! Posłuchaj, w czym rzecz. Pero Sánchez, właściciel dwóch *cocas*, wynajął je razem z załogą pewnemu barcelońskiemu kupcowi. Ale ten kupiec zwlekał z załadunkiem towaru. Statki stały w Walencji w porcie i nie zarabiały. Marynarze złożyli protest, wzięli nawet notariusza, żeby udokumentował ich straty, i zażądali od właściciela odszkodowania za przestój. Pero Sánchez ani myślał płacić za stanie w porcie, bo podobno nie tak się z nimi umawiał. Dwa dni później znaleziono go martwego na dnie jakiejś łodzi. Znikły też załadowane wcześniej towary kilku drobnych kupców. Podejrzenia padły na marynarzy. Ponieważ notariusz wskazał ich z nazwiska, więc szybko ich aresztowano.

— No, przecież nie oni go zabili — wtrąciłem — to byłby nonsens.

— Nie dla sędziego. Zostali aresztowani, szybko skazani i zaraz potem powieszani. Konsulat Morski nie znalazł spadkobierców Pero Sáncheza. Zresztą krótko szukał. Jak wiesz, albo nie wiesz, statki przechodzą wówczas na własność konsulatu i są sprzedawane na licytacji. Czysty interes dla miasta,

a przede wszystkim dla urzędników, bo jeszcze żadna taka licytacja nie odbyła się bez sakiewki pod stołem. Podobno kosztuje to dziesięć procent faktycznej wartości, nie tej licytowanej, rzecz jasna. No więc prawdziwa wartość tych statków to mniej więcej 1800 funtów barcelońskich za sztukę. Tak, tak, To świetne baskijskie *cocas*. Wiesz, za ile zostały sprzedane?

Zrobiłem minę, która miała znaczyć, że nie wiedziałem.

— Za 1260 funtów... Obydwa. — Z satysfakcją oznajmił Salomon. — A teraz dwa pytania: jak nazywał się kupiec, który spóźnił się z towarem, a jak szczęśliwy zwycięzca licytacji?

I nie czekając na odpowiedź, rzekł:

— Tak, nie mylisz się. To Tideman Sticker we własnej osobie, w dwóch rolach jednocześnie.

— Ale w jego propozycji jest dużo większa kwota! — wykrzyknąłem, wskazując na leżący przed nami pergamin.

— Oczywiście. Choć myślałem, że bardziej przerazi cię świadomość, że ten Niemiec ma krew na rękach... — zaśmiał się Salomon. — Tak, tak, oczywiście, on chce 2500 funtów. Jego bezczelność nie zna granic. Wydaje mu się, że tylko on ma oczy i uszy w Walencji. Ale ja dowiedziałem się wszystkiego. Nie martw się, Aaronie.

Stary Żyd zatarł ręce.

— Gdzie zbój mordował, tam będzie wisiał! Kupię te statki, ale mu nie zapłacę. A będzie chciał pieniędzy, to przeczołgam go jak gadzinę przez weksle i namioty w całej Aragonii. Pozna smak żydowskiej zemsty! A tak między nami... te 2500 funtów to i tak się opłaca. On pisze tu o tych statkach *kogge*, po niemiecku, a to są, powtarzam, baskijskie *cocas*, nic lepszego po naszych morzach nie pływa.

Salomon zamilkł i wpatrywał się w stół.

— Na spotkaniu uspię jego czujność. A potem załatwię go tak, że nawet nie będzie wiedział, kiedy mu urwało ten niemiecki łeb!

Bezkrzytycznie przyjmowałem słowa wuja. Podziwiałem go za spryt. Imponowała mi jego bezwzględność. Opowiadał mi o tym wszystkim jak równemu sobie.

— Ale wróćmy do naszego rycerza... Czy dalej wątpisz w przenikliwość Estery? — spytał. — Powtarzam ci, niepokoi mnie ten... *Il Nero*, Sulima czy jak go tam zwą. Jak myślisz, po co Aranda sprowadził go do Loarre? Chyba nie wierzysz w ludzki odruch tego... dworzanina.

— Może Aranda chce kupować w tamtych stronach i ktoś taki jest mu potrzebny?

— Bzdura, Aaronie, tam trzeba sprzedawać. A do tego potrzebni są miejscowi kupcy, nie rycerze. Tam trzeba sprzedawać — powtórzył Salomon. — Tak jak mówił Mahabud, to głupiec, ale tu ma rację: to wielki, dziki kraj, dużo ludzi i nic tam nie ma. Można brać od nich drewno, zboże, można, ale jako zapłatę za towary, rozumiesz?

Salomon chyba przypomniał sobie o czekającym na dole petencie, bo nagle gwałtownie opuścił ręce na kolana, pochylił się do przodu, chwilę patrzył na mnie spod brwi i wstał.

— Już niedługo dowiesz się, dlaczego ten rycerz budzi aż taką moją

ciekawość... i niepokój. Ale to jak wrócisz. Teraz, jak pojedziesz, nie musisz wiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedział! Teraz, powtarzam, wejrzyj w niego — zatrzymał się jeszcze w drzwiach. — Jutro rano czekam tu na ciebie.

Zostałem ze swoimi myślami i setkami zeszytów. Słyszałem, jak schodzili się goście, potem przez cały wieczór dobiegał mnie gwar rozmów, choć nie rozumiałem słów. Nikt ani razu nie podniósł głosu.

Gdy zmęczenie splątało mi myśli, udałem się na spoczynek. Przechodząc przez patio, zajrzałem przez uchylone skrzydło okiennicy do głównej izby. Spotkanie jeszcze trwało. Stickera i Ceti Cebady już nie było. To zrozumiałe, Salomon musiał pozbyć się Niemca przed przystąpieniem do omawiania wojennej operacji. Ceti jako kobieta też została odesłana do domu. Czterech Żydów nachylało się nad rozpostartymi na stole rysunkami i mapami. W mocnym płomieniu oliwnej lampy ich skupione, naznaczone bruzdami zmarszczek twarze wyglądały dostojnie i groźnie. Zjednoczeni, potężni, wpływowi. Wyglądali jak pradowi wodzowie hebrajskich plemion szykujący się do wojny.

W kuchni Ayhe dała mi kawałek pasztetu, który został z wigilii Jom Kippur, i kilka fig. Zachowywała się jak dawniej, jakby zapomniała o piątkowym wieczorze i pogodziła się z moją ponurą miną. Kilka razy nawet się do mnie uśmiechnęła; smukła, krucha, ale znów obca, niczym Rut, Moabitka. Zасыpiając, wyobrażałem sobie, że przychodzi do mojego posłania, kładzie się u mych stóp, a ja, jak Booz, okrywam ją płaszczem i biorę za żonę.

Zbudziło mnie szarpanie za ramię i ciepło kobiecej dłoni na ustach. Potem usłyszałem szept przy uchu:

— Aaronie, wychodź. Jest zimno, ale nie zatrzasnij okiennicy, musisz jakoś wytrzymać...

— Nie chcę, żebyś szła...

Było ciemno, więc nie widziałem, czy na mnie patrzy.

— Sługa Faraiga już na mnie czeka.

— Nie pozwolę ci — ścisnąłem ją za rękę. — Umrę, jeśli teraz pójdziesz.

— Od tego się nie umiera. Przez ostatnie dni nie wyglądałaś na umierającego, przynajmniej nie z mojego powodu — wyrwała mi dłoń z uścisku.

Wróciła tuż przed świtem. Usłyszałem delikatne skrzywienie okiennicy. Wstałem posłusznie, ogłuszony nieprzespaną nocą i czarnymi myślami. Jak zawsze musiałem naprowadzać jej stopy na szczeble drabiny. A potem przytrzymałem ją, by nie odpadła od ściany. Zazwyczaj czuć od niej było wino, ale wtedy wydawała się bardziej pijana niż zwykle. Po zejściu z drabiny stała przez chwilę, jakby przypominając sobie, gdzie ma teraz iść i w ogóle — co ma dalej robić.

— Aaronie, mój piękny Aaronie — powiedziała śpiewnym głosem, zdecydowanie za głośno. Teraz ją położyłem jej dłoń na ustach. Ayhe wykręciła głowę. Lekko zachwiała się na nogach. Ująłem ją pod bok, rękę przełożyłem przez ramię i zaprowadziłem do postania. Pochyliłem się, by powoli, ostrożnie ułożyć wiotkie ciało na sienniku. Niewolnica zaplotła mi ręce na szyi; nie mogąc oprzeć się ciężarowi, przywarłem do jej ciała, tylko kolanem wsparty o podłogę. Szeptala mi do ucha:

— Potrzebuję jeszcze stu florenów. Obiecuj, że je zdobędziesz, a przestanę do niego chodzić. Będę przychodziła do ciebie.

Chciałem się podnieść i zostawić ją, by przespała przynajmniej te kilka godzin, jakie pozostały do świtu, ale nie pozwoliła mi, zaciskając uchwyt.

— Widziałam, jak Estera cię wabi — szeptala mi do ucha z tak bliska, aż przeszły mnie ciarki — jestem zazdrosna.

— O kogo? O Esterę czy o mnie?

Zaskoczona zwolniła nieco uchwyt, a mnie udało się wyswobodzić głowę, jak psu z połuźnionej nagle obroży.

— Nie rób tyle hałasu i chodź do mnie — nie dawała za wygraną. A bardziej czując niż widząc moje wahanie, dodała: — Nie bój się, mam dość na dziś...

— Opowiesz mi o Esterze — poprosiłem.

— Opowiem ci o Salomonie i Esterze — zgodziła się szeptem. — I tak nie mogę zamknąć oczu... kręci mi się w głowie. Potem sam zdecydujesz, czy

zadawać się z tą czarownicą...

Ayhe, nim zaczęła swoją opowieść, kazała mi przynieść baranice. Gdy ją nimi przykryłem, zdjęła przez głowę koszulę, potem wysunęła nagie ramię i szarpnęła mnie za tunikę, bym też się rozebrał. Byłem tak zaskoczony, że postłuchałem.

Wślizgnąłem się nagi pod skóry. Ayhe przysunęła się do mnie; poczułem jej gorące udo na brzuchu; potem uniosła jeszcze nogę, tak że kolanem dotykała mi piersi. I tak poznałem historię zaręczyn i ślubu mojego wuja Salomona Abnarrabiego z jego drugą żoną, Esterą.

Salomon Abnarrabí, będąc młodzieńcem gotowym do żeniaczki, uwierzył chyba w słowa ojca, Samuela Abnarrabiego, że tylko brzydka kobieta zapewni mu szczęście, czyli powodzenie w interesach, bo bez sprzeciwu przyjął w darze od rodziny chudą i bladą jak księżyc Jamilę, i nie szukał pociechy u innych niewiast, a te, które mu się narzucały — odprawiał. Jamila urodziła mu dwóch zdrowych synów, Dolza i Vidala, potem żywiła ich, wychowywała, ile Bóg dał sił, więc Salomon dobrze ją traktował, znacznie lepiej, niż niejeden zakochany i zazdrosny mąż swą żonę. Jednak mimo wygodnego i zadbanego domu, obfitości jedzenia i wszelkich wygód, kobieta zmarła. Medyk nie znalazł konkretnej przyczyny i wskazał raczej na wolę boską. Najbliższa przyjaciółka Jamili, jedna z nielicznych w Saragossie osób nieżyczliwych Salomonowi, otoczona przez kobiety na galerii w synagodze, gdzie winna się oddawać modlitwie, a nie plotkować, otóż tam, w porywie szczerości, odkryła przed nimi prawdę: Jamila była kobietą o wielkim sercu, kochała Salomona, jakby była z nim zrośnięta, a nie zaznawszy od męża miłości i ani krzty pożądania, cierpiała bez jednego dnia przerwy, wysychała od środka, a że chuda była z przyrodzenia, to umarła szybciej niż inne kobiety, które spotyka podobny los.

Wkrótce po jej śmierci do Salomona dotarła wiadomość, że pragnie się z nim widzieć finansista i kupiec z Sewilli, Mayr aben Yex, jeden z najbogatszych Żydów sewilskich. Salomon starał się u niego — bez skutku od wielu lat — o kontrakt na dostawę sukna, którego produkcja u skupionych wokół Salomona *pañeros* bardzo się rozwinęła. Yex był największym dystrybutorem w Sewilli, ale miał już swoich dostawców: kupował sukno francuskie, z Walencji, Sardynii i innych źródeł. A przede wszystkim od Anglików, którzy przyjmowali zapłatę oliwą, a tej — tanio — miał Yex pod dostatkiem.

Posłaniec przywiózł propozycję: pięcioletni kontrakt na dostawę sukna, ale w zamian za to Salomon poślubi jego córkę Esterę; małżeństwo musi trwać co najmniej pięć lat, tyle ile kontrakt. Co do skali potencjalnych interesów i zysków, nikt nie powinien mieć wątpliwości — to byłaby wielka sprawa i umocniłaby pozycję Salomona; a przecież już zazdrośnicy przebąkiwali, że słabiej mu się wiedzie. Z drugiej strony propozycja ożenku miała drugie dno. Zresztą Yex nie ukrywał tego, stawiając obie propozycje w oczywistej parze: *do ut des*, daję, abyś dawał.

Salomon zakładał, że dowie się wszystkiego na miejscu, ale chciał wykorzystać drogę na przemyślenie wszystkich aspektów umowy, zasięgnął

więc języka u Żydów na co dzień handlujących z Sewillą. Dowiedział się wszystkimu. Choć początkowo sprawa wydała się ciemna i niebezpieczna, po przemyśleniu Salomon uznał, że warto. Było tak:

Córka Mayra aben Yexa, Estera, wciąż młoda — choć już od paru lat na wydaniu — została oskarżona o romans z jedną z najważniejszych postaci na dworze króla, Pedrem Sánchezem. Pedro Sánchez to nazwisko, jakie na chrzcie przyjął Żyd, od lat w najwyższej służbie króla Kastylii — Samuel Abrabanel. Zarówno rodzina Estery, jak i sam Pedro Sánchez gorąco zaprzeczali romansowi, oskarżając żydowską społeczność o zawiść i próbę złamania kariery. Nie tak dawno sewilscy Żydzi doprowadzili intrygami do zniesławienia i śmierci dwóch wielkich Żydów związanych z królewskim dworem: don Samuela ha Leviego i kilka lat później — Yosefa Pichona. Obie oskarżone strony, czyli Estera i Pedro Sánchez, miały się więc czego obawiać. Król cenił swego doradcę, ale gdyby sprawy zaszyły daleko, wołałby zapewne go poświadczyć niż wchodzić w konflikt z żydowską gminą z Sewilli, która co roku przynosiła mu dochód do skarbcza w wysokości 120 tysięcy *maravedís*.

Zniknięcie Estery załatwiłoby sprawę. Należało się spieszyć, Yex nie mógł czekać dłużej, a dobrego kandydata nie miał. Gdy doszła go wieść o śmierci Jamili, natychmiast pchnął posłańca do mojego wuja. Przeprowadzka do Aragonii i ślub z szanowanym Żydem, przyjacielem samego Hasdaya Crescasa, największego rabina w dziejach sefardyjskich Żydów, zamknęłyby usta oszczercom. Ba, dałyby silny argument Yexowi do kontraktaku.

Salomon z kolei dostrzegł wiele pozytywów w tej sprawie. Po pierwsze kontrakt na sukni dałby mu potężny impuls w interesach, a tego bardzo potrzebował. Uratowanie skóry Sánchezowi mogło zaprocentować w przyszłych relacjach z Kastylią. Sądząc po dotychczasowym przebiegu kariery Pedra Sáncheza, miał on szansę na wiele lat trwania u boku króla. Wreszcie — Salomon zbliżał się powoli do kresu swych męskich możliwości. Obudziło się w nim pożądanie, a jako bogobożny Żyd nie korzystał z domów publicznych. Nie mógł też zdecydować się na zakontraktowanie *barragany*, nalożnicy, co mu doradzano. Było to wprawdzie jakieś wyjście, ale młoda żona była wyjściem dużo lepszym. A że ciążyło na niej oskarżenie? Trudno. Prędzej czy później wyjdzie na jaw — Salomon głęboko w to wierzył — że to była tylko podła kalumnia. A jeśli nie, to czas zatrze ślady. Poza tym, skoro to Esterę Żydzi wybrali do tej intrygi, to można było założyć, że była na tyle urodziwa, by całą sprawę uprawdopodobnić. Trzy zalety wobec jednej wady. Salomon był kupcem, całe życie liczył, a ten rachunek podsuwał mu jasne rozwiązanie.

Yex nalegał, by ślub odbył się w Sewilli, na co Salomon chętnie przystał — nie chciał hucznego wesela, zabawy na jego koszt, a przede wszystkim komentarzy, które zawsze towarzyszyły takim ślubom. I pojechał.

Wystarczył jeden wieczór, kilka godzin razem, by Salomon postradał zmysły. Wieść o niesłychanej namiętności, jaka zawładnęła Salomonem Abnarrabím, dotarła do Saragossy na kilka dni przed nowożeńcami. Dzielnica żydowska liczyła nieco ponad trzysta dymów, łatwo więc było znaleźć plotce drogę do uszu wszystkich. Przywiózł ją wynajęty do podróży woźnica, który w połowie drogi otrzymał zmiennika. Dotarłszy do Saragossy, opowiadał po karczmach za kwartę wina zdarzenia, jakie miały miejsce w wozie Salomona podczas

postojów, a nierzadko też podczas drogi. Opowieści te szybko dotarły do uszu najzamożniejszych Żydów Saragossy, Salomon nie uniknął więc komentarzy. Ale te były znacznie bardziej pochlebne niż zazwyczaj przy okazji podobnych ożeńków. Jeden tylko Abraham Abencanyas zaproponował, by ująć woźnicę i na torturach wy badać, czy aby nie zmyśla, żeby się opić darmowego wina, albo czy przypadkiem sam Salomon nie opłacił gawędziarza, by przysporzyć sobie sławy. Ponieważ nikt pomysłu nie podchwycił, nie zadano kłamu opowieściom i Salomon Abnarrabí został przywitany w Saragossie skrywanymi, lecz życzliwymi uśmiechami.

Małżeński kontrakt Estery wygasnął za rok. Miała więc powody do niepokoju o swoją przyszłość.

Ayhe zmęczona opowiadaniem i nocną schadzka odwróciła się do mnie plecami i od razu zasnęła. Pierwszy raz leżałem z kimś w łóżku. Nie wiedziałem, co zrobić z rękami. W końcu również obróciłem się na bok, objąłem niewolnicę i przywarłem do niej każdym skrawkiem ciała. Poczułem żar, jakbym trzymał w ramionach słońce. Leżałem bez ruchu, by nie przerywać jej snu. Na każdy odgłos z ulicy zaciskałem powieki z lęku, że to okropne miasto już budzi się do życia, a potem cieszyłem się powracającą ciszą. Gruba warstwa baranich skór odgradzała nas od świata. Nigdy jeszcze nie było mi tak gorąco. Strużki potu łaskotaniem sprawiały mi przyjemność, choć czułem, jak z każdą kroplą bezpowrotnie uchodzi ze mnie wolna dusza. Gdy w końcu za oknem wstał szary świt, Ayhe była mokra od stóp po szyję, a ja byłem zakochany.

Zgodnie z poleceniem stawilem się w gabinecie mojego wuja z samego rana. Wyglądał na zmęczonego. W pomieszczeniu panował nieprzyjemny kwaśny zapach, podobny do tego, jaki zastałem wczoraj w jego sypialni.

— Szalom, Aaronie, może chociaż ty się wyspałeś. Bo ja nie zmrużyłem oka. Mam dobre wieści — powiedziawszy to, odchylił głowę do tyłu i zaczął przeciągle ziewać. — Uzgodniłiśmy wszystkie szczegóły planu. Zbiorę tyle pieniędzy, ile chciałem!

Odwrócił głowę w moją stronę i chwilę mi się przyglądał.

— Nie wyglądasz dobrze...

— A Sticker — spytałem szybko. — Jak statki? Udało się?

— Tak... Ten parszywy Niemiec już mi się nie wymknie...

Znów odchylił głowę do tyłu; już nie ziewał, tylko przymknął oczy. Wydawało mi się, że zasnął, ale nagle zaczął mówić.

— Najłatwiej poszło z Astruchem. Zgodził się od razu. Astruch wie, że zwycięstwo jest warte górę złota — westchnął ciężko. — Nasza Ceti też, jak na niewiastę, szybko się zdecydowała... Pamiętasz? Byli u mnie ci Arabowie z Mequinenzy. Mówiłem ci? Proponowali mi za bezcen duże udziały w spółce kontrolującej szław na Ebro pomiędzy Mequinenzą a Tortosą. Dla Ceti to wielka sprawa, zawładnęłaby transportem między Saragossą i wybrzeżem. No więc oddałem jej ten interes. Musisz przyznać, że jestem hojny!

Salomon poprawił się na fotelu. Mimo zmęczenia był wyraźnie w dobrym humorze.

— A Bienvenist? — spytałem.

— Bienvenist... Z nim najtrudniej. Ostatecznie zgodził się zainwestować, ale w zamian chce przejąć spółkę Meyrów, przynajmniej większościowe udziały.

— To nie będzie proste... — wtrąciłem. — To kredytodawcy kastylijskiego dworu... Jak on sobie to wyobraża?

— Och, jeśli nasz plan się powiedzie, to już ci mówiłem, Meyrowie znajdują się w podłej sytuacji, tracą fortunę... Przecież oni kredytują Urriesów. I jak wtedy Bienvenist przyjedzie do nich z gotówką, to z wdzięczności oddadzą mu nie tylko udziały, ale i żony. I córki!

— Czyli wszystko po myśli?

— W kwestii naszych planów, tak, Bóg jest mi łaskaw — Salomon pokiwał głową. — Ale mówiłem ci już, jaki mamy kłopot z Bienvenistem. My wszyscy, cała gmina. Zobaczyłem wczoraj, że jeszcze bardziej zapiekl się w tej swojej nienawiści... Dziwne, przecież nie jest taki stary...

Salomon westchnął, wyprostował się w fotelu; wspomnienie o starym bankierze przepędziło mu z głowy i senność, i dobry nastrój. Podszedł do okna.

— Idą ciężkie czasy, Aaronie. Wiem, już to mówiłem. Ale naprawdę idą ciężkie czasy — powtórzył. — A on jakby tego nie widział. Jest coraz więcej

skarg do sądów na Bienvenista. Oczywiście, nie tylko na niego, ale z nim jest najgorzej. Kilka dni temu zbuntowała się cała wieś pod Saragossą, słyszałeś o tym? Bienvenist pojechał zlicytować jakiegoś wieśniaka, i ledwo wyniósł głowę z zawieruchy. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Mam informację z sądów królewskich, że tylko w tym miesiącu z samej Saragossy i okolic wpłynęło ponad czterdzieści donosów na Żydów za stosowanie lichwy. Z tego ponad trzydzieści przeciwko spółce Bienvenista!

Salomon już wcześniej na niego narzekał. Bienvenista gubiła chciwość i poczucie całkowitej bezkarności. Łamał prawo i się z tym nie krył. W Aragonii nie wolno było pożyczać na wyższy procent niż dwadzieścia, jednak Bienvenist stosował, zwłaszcza na przednówku, pewne zabiegi, które pozwalały mu osiągać trzydzieści, a nawet więcej procent. Często pożyczał zdesperowanym chłopom określoną kwotę, ale przeliczał ją na miary zboża i kazał sobie oddawać również w zbożu. Ponieważ umiał znacznie lepiej niż oni przewidywać ruchy cen, najczęściej wygrywał i zgarniał znacznie wyższy procent. I nie miało znaczenia, czy pożyczał kilka soldów czy tysiąc florenów.

Omawianie szczegółów spotkania zajęło całe przedpołudnie.

Kilkanaście dni dzielących mnie od wyjazdu do zamku Loarre spędziłem w gabinecie mojego wuja, sam albo w jego towarzystwie, ucząc się handlu i księgowania. Rachunki opanowałem dość szybko. Salomon objaśniał mi różnice pomiędzy zapisywaniem operacji handlowych, kredytowych i tych związanych z nieruchomościami; wprowadzał stopniowo regułę podwójnego zapisu, nową metodę prowadzenia ksiąg rachunkowych, podpatrzoną u znieawidzonych Genuńczyków. Najwięcej starania przykładał Salomon do pokazywania mi, jak ukrywać długi, jak najefektywniej egzekwować zapłatę i jak najskuteczniej unikać płacenia za towary. Interesy, grzmiał, trzeba prowadzić uczciwie, ale taka jest potrzeba chwili, nic nie poradzimy.

Powoli zapoznawałem się z rozległym imperium stworzonym przez mojego wuja. Równocześnie byłem wtajemniczany w coraz drobniejsze szczegóły planu pokonania Urríesów. Ogarnęło mnie przerażenie, gdy zobaczyłem w księgach, jak wiele środków preliminowanych na finansowanie operacji Salomon przeznaczał na swoje interesy — na łatanie dna statku, który tonął.

Któregoś dnia zapytałem o stojącą w kącie gabinetu solidną dębową komodę z czterema szufladami zamykanymi na klucz. Salomon przyznał wówczas, że chowa w niej dokumenty przedsięwzięć „píjajackich”, czyli takich, które przynosiły same kłopoty i straty. Na razie nie było powodu, mówił, bym się nimi zajmował. Nawet mój poprzednik, Juda Tuli, miał do nich ograniczony dostęp. O tym, że szuflady tej komody nie były puste, świadczyły pozwy, jakie do nas przychodziły. W ciągu dwóch tygodni przysły trzy. Salomon utyskiwał, że musi stawiać się w sądach, zamiast pracować, i że tak to jest w interesach, zawsze szuka się naiwnych, ale on do nich nie należał i sądami go nie przestrasza.

Choć pozwy trafiały najpierw do rąk Salomona, a potem od razu do dolnej szuflady dębowej komody, to jeden z nich udało mi się podejrzeć. Pochodził od konsula kastylijskiego na Majorce. Niejaki Martín Pérez z Bilbao domagał się

zadośćuczynienia za straty, jakie poniósł, będąc w spółce handlowej z moim wujem. Żądał trzystu franków za niedostateczne wyposażenie wspólnie wynajętego statku oraz brak zakontraktowanego towaru; sto franków za jakiś siedmiomiesięczny areszt statku w Sewilli z powodu niezapłaconych przez Salomona portowych długów; sześćdziesiąt franków za trzykrotne nieprzekazanie księgi rachunkowej spółki, którą zobowiązał się w umowie prowadzić mój wuj i na każde żądanie okazywać ją wspólnikowi; potem widniała lista towarów zakupionych za wspólne środki i nigdy nie rozliczonych; wreszcie na koniec Martín Pérez domagał się dwustu franków zadośćuczynienia za afront, jaki spotkał go ze strony mojego wuja, który przy świadkach uderzył i obraził wspólnika i to podczas wspólnej wieczerzy, która miała być przedsądową próbą zażegnania sporu. Łącznie domagał się blisko siedmiuset franków! Jak można spać z taką padliną pod poduszką? A co z innymi pozwami?

Spędzając coraz więcej czasu z moim wujem, zauważyłem też, że pił wino od rana. Do śniadania rozcieńczał je wprawdzie wodą, ale później było coraz mocniejsze. Wieczorami już na ogół bełkotał. Szybko zrozumiałem, że naukę mogę od niego czerpać do południa, popołudniami wyciągać różne, bardziej poufne informacje, a wieczorami najlepiej zostawić go samego. Słyszałem o takich wypadkach. W Saragossie była to dość częsta przypadłość. W wielu żydowskich domach dochodziło do rodzinnych tragedii. Kobiety skarżyły się rabinowi, a ten robił co mógł, by przywołać mężów do porządku. Najczęściej w parze z pijaństwem szedł drugi diabeł — hazard. Przypomniałem sobie słowa Joshuy z gospody Casa Ferriza. Wtedy uznałem to za plotkę, teraz chętnie pociągnąłbym przyjaciela za język.

Skłamałbym jednak, mówiąc, że zaprzętałem sobie wówczas głowę problemami mojego wuja, jego grzechami czy długami, jeśli w ogóle je miał. Całym moim sercem i duszą, od świtu do zmierzchu, władała podła, ponura zazdrość. Czuwanie nad Ayhe przerodziło się w bolesną obsesję. Wynajdowałem najróżniejsze preteksty, by towarzyszyć jej podczas zakupów. Wychwytywałem pożądlive spojrzenia, jakie jej rzucono na targu. W arabskiej dzielnicy, gdzie Ayhe czuła się swobodnie, jej ulubioną odpowiedzią na cmokanie sprzedawców, pożądlive spojrzenia albo komplementy, albo nawet, co też się zdarzało, wulgarnie propozycje, było uniesienie podbródka, dumne spojrzenie, a potem wybuch śmiechu. Gdy zły i zazdrosny zarzucałem jej, że prowokuje w ten sposób mężczyzn do coraz śmielszych zaczepek i prosi się o coś złego, tylko wzruszała ramionami.

Na chrześcijańskim targu Ayhe zachowywała się podobnie. Ubierała się tylko inaczej. Na prostą płócienną koszulę albo sukienkę zarzucała dwie duże chusty w stonowanych kolorach. Ta, która okrywała jej ramiona, plecy i głowę, miała przeważnie kolor ciemnej purpury. Na szczupłe nadgarstki zakładała po kilkanaście metalowych bransoletek, a na stopy sandały na grubym korku. Przychodziliśmy tu rzadziej, bo Żydom wolno było kupować tylko w określone dni tygodnia i to dopiero po południu, abyśmy nie wykupili najlepszego towaru. Ayhe, ponieważ przyjęła naszą wiarę, również to dotyczyło. Niedawno, wzorem innych miast, wprowadzono też przepis zabraniający nam dotykania towaru. Każdy Żyd kupujący na chrześcijańskim targu musiał mieć

więc patyk, którym wskazywał pożądany towar, a dopiero sprzedawca brał go do ręki, pokazywał, ważył i podawał cenę. Ayhe przechadzała się dumnie pomiędzy straganami i ledwie muskała patykiem owoce, mięso, jarzyny, patrząc przy tym sprzedawcom głęboko w oczy. Potem negocjowała cenę. Miała kilku wybranych handlarzy, z którymi przekomarzała się zdecydowanie za długo; szczególnie jeden z nich pozwalał sobie wobec niej na zbyt wiele. Wysoki młodzieniec o długich do pasa i jasnych jak pszenica włosach; zapewne potomek wschodnich niewolników, bo przypominał w postawie i ruchach Margaridę, niewolnicę Tidemana Stickera. Widziałem kilka razy, jak stali tak blisko siebie, że niemal się dotykali, a potem Ayhe odsuwała się od niego ze śmiechem, rzucając przy tym szybkie spojrzenia na boki, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie podsłuchiwał.

Wieczorami, gdy Azmel, Estera i Salomon udawali się już na spoczynek, Ayhe zamykała drzwi do kuchni, a ja rozsuwałem dzielącą nasze izby zasłonę. Żyliśmy wtedy jak mąż i żona.

Przez te wszystkie chłodne noce przynosiłem stos baranic i zarzucałem nimi niewolnicę; Ayhe pod przykryciem zsuwała z siebie odzienie, a potem ja wchodziłem nagi pod rozgrzane już skóry, jak do wnętrza kosmatego stwora. Ayhe domagała się teraz miłości, nie chciała już ani mówić, ani słuchać. Tylko co chwilę jak wąż syczała mi do ucha bezwstydną pochlebstwa.

W przeddzień wyjazdu do Loarre Salomon kazał mi zostać po kolacji, a Saracence polecił posprzątać ze stołu, ale zostawić naczynia na wino, i przynieść pełny dzban.

— Pamiętasz, co mówiłem Mahabudowi o Juanie de Urries i jego Francuzach? — zaczął Salomon. — Musisz wiedzieć, drogi Aaronie, że jeszcze do niedawna najślawniejszą w Aragonii była turniejowa drużyna kapitana Gonzalo González de Lucio, hrabiego i pana na zamku Loarre. Mojego przyjaciela...

— Przyjaciela? Raczej mówią, ojczce, że to chudy goj, który żywi się przy twoim stole, choć go nie zapraszałeś!

Pamiętałem, jak dużej pożyczki udzielił Salomon kapitanowi de Lucio i jak potężne sumy zainwestował w obligacje *villi* Loarre.

— Chudy goj, powiadasz... — uśmiechnął się Salomon. — Tak, jada z mojego stołu, to prawda — przyznał, a po uśmiechu nie było już śladu. — Nie zapraszałem go, ale też go nie przeganiem. Jego dług tak urósł, iż przestał być jego kłopotem a stał się moim. Nie mam teraz innego wyjścia, jak otaczać go przyjaźnią, żeby... trochę przytył.

— Jaką twarz mam mu pokazać w Loarre?

— Swoją, swoją, Aaronie, nie musisz niczego udawać! Zresztą, on ci się nie będzie przyglądał. Nie dlatego, żeby się wywyższał, nie... on ma teraz po prostu za dużo kłopotów, za dużo... To w gruncie rzeczy przyzwoity chrześcijanin, choć przerosła go rola hrabiego...

Salomon wstał, założył ręce za plecy i zaczął mówić.

Drużyna kapitana de Lucio, jak twierdził, była nadal sławna, ale on sam nie cieszył się w Aragonii wielkim poważaniem. Gonzalo González de Lucio

pochodził z Nawarry. Podczas wojny Dwóch Piotrów, trzydzieści lat temu, jako młody szlachcic służył po stronie Kastylli. Widział z bliska szaleństwa Piotra Okrutnego i w kluczowym momencie wojny poddał twierdzę Tarazonę, której obroną dowodził, i wydał ją w ręce Aragończyków. Mówiono, że król Aragonii nigdy by nie zdobył Tarazony, i że był to kluczowy moment wojny. De Lucio przeszedł na stronę Aragończyków i dokonał wielu mężnych czynów, ale piętna zdrajcy nigdy nie zmywał. Tym bardziej że za poddanie twierdzy został hojnie wynagrodzony: otrzymał od króla 40 tysięcy florenów, a za żonę Violante Ximénez de Urrea z rodu aragońskich wielmożów, a wraz z nią tytuły i majątki. Aragońscy możni, z Urríesami na czele, nigdy się z tym nie pogodzili, mając go za zdrajcę, który został Aragończykiem dla pieniędzy i awansu.

Kilka lat temu de Lucio dostał pod opiekę królewski zamek w Loarre i został jego kapitanem. Tam zamieszkał ze swą piękną młodą żoną i tam stworzył kilkuosobową drużynę, by rozślawiała jego imię na turniejach. I zarabiała. I tak było, aż nastał czas Francuzów. Rycerze kapitana de Lucio nie dotrzytywali im pola.

— Domyślam się, że kapitan de Lucio i Juan de Urríes są zawzięci na siebie jak wilki.

— Nie inaczej, Aaronie — odparł Salomon. — I kłają się do krwi! Ale nie zazdrością o tytuły ani turniejowymi potyczkami karmi się ta wrogość.

Było tak, że Pedro Jordán de Urríes, wysoki dostojnik i bliski doradca króla Piotra, zadbał o to, by ród Urríesów objął w posiadanie spora część północnej Aragonii. Ale brakowało im otwarcia na żyzną równinę ciągnącą się od północnych gór aż do Saragossy. Okazja nadeszła wraz ze straszną wojną Aragonii z Kastyllią. Zapamiętano ją jako wojnę Dwóch Piotrów, gdyż starli się aragoński Piotr Ceremonialny, nazywany tak ze względu na sztywną etykietę jego dworu, z Piotrem Okrutnym, królem Kastylli. Obaj zasłużyli na swoje przydomki. Król Aragonii rychło znalazł się w finansowej potrzebie i w 1357 roku sprzedał staremu Urríesowi zamek Loarre wraz z przyległościami za 12 tysięcy soldów jakeńskich. Ten zaraz potem kupił Alquézar za 50 tysięcy eskudów. A trzy lata potem — Ayerbe za 10 tysięcy funtów jakeńskich. Wielka równina leżała teraz u ich stóp. Ale stary Urríes dał się wywieść w pole — w umowie sprzedaży Loarre król zawarł klauzulę, która pozwalała Koronie odkupić zamek za tę samą kwotę, bez doliczania kosztów utrzymania i remontów.

Król skorzystał z tego zapisu w 1381 roku i ponownie przekształcił Loarre w domenę królewską. Urríesów opadła głucha wściekłość. Ayerbe leżące piętnaście mil od Loarre nie przedstawiało teraz żadnej wartości. Politycznej, rzecz jasna, bo przecież ziemia nie przestała dawać plonów.

— Patrz! — Salomon podszedł do stołu i zaczął rozstawiać na nim puste kubki. — Baronía Ayerbe, czyli siedziba Urríesów, to zamek z przyległymi wioskami: Biscarrués, Fontellas, Losanglis i Piedramorrera. Urríesowie dokupili jeszcze Aniés oraz *señorios* Biniés i Larrés leżące po obu stronach Jaki — mówił wskazując na kolejne kubki — chcąc zamknąć żyzne ziemie na północy w kluczu swoich zamków. — A to — sięgnął po jeden ze świeczników i postawił go między nimi — jest Loarre. Jak widzisz, wszystkie te posiadłości

są tyle warte co kozie bobki, jeśli góruje nad nimi obcy zamek. Loarre uwiera jak cierni.

Gdy stary Urríes został pozbawiony urzędów i zniedołężniał, o interesy rodziny postanowił zadbać jego syn Juan de Urríes (starsi bracia wybrali kariery kościelne). Przysiągł na prochy przodków, że odzyska Loarre za wszelką cenę, wszelkimi sposobami.

Juan de Urríes zakładał, że łatwo doprowadzi osadę Loarre do bankructwa i wykupi wraz z zamkiem od króla. Ale tak się nie stało. Gonzalo González de Lucio okazał się sprawnym dowódcą i dobrym gospodarzem... I to dla tej właśnie sprawy są gotowi przelewać krew.

— Nie jest to błahy powód, ojcze... — zgodziłem się, przybierając poważny ton.

Salomon skinął głową, zadowolony, że podążam za jego wywoдем. A potem ciągnął dalej:

— Kapitan de Lucio musiał zapewnić osadzie i zamkowi stałe i spore dochody. Postawił na szafran. Słusznie! Ale potrzebował pieniędzy, których król mu nie mógł dać, bo nigdy ich nie ma...

— To stąd ta wasza przyjaźń...

— Tak, Aaronie. Ale to miał być interes, nie przyjaźń! Przegapiłem jednak czas, kiedy pożyczki poszły za daleko, a ich spłata okazała się niemożliwa. Nie spodziewaliśmy się, ani ja, ani kapitan de Lucio, że Juan de Urríes tak mocno będzie kasał Loarre za plecami króla. Robił wszystko, by osłabić *villę* i skłonić króla do sprzedania Loarre. Opłacił nawet bandy almogawarów, żeby niszczyły pola i obległy zamek. W Loarre zapawowała bieda, załodze nie płaci się żołdu, nie ma pieniędzy na wykup papierów dłużnych...

Salomon rozłożył ręce, a jego twarz wykrzywił kwaśny grymas.

— Dlatego muszę jak najszybciej podnieść kapitana de Lucio z kłopotów. Cóż innego mi pozostaje? Muszę być silny jak tygrys, lekki jak orzeł, prędko jak jeleń, potężny jak lew, czyli ruszać na wojnę! — wznosił kielich. — Nie ma innej drogi, chłopcze.

Tego samego wieczoru postanowiłem, że zanim udam się w drogę i rozstanę się z Ayhe na długie dwa tygodnie, poznam wreszcie jej przeszłość. W ostatnią noc przed podróżą nie zasnęliśmy ani na chwilę. Niewolnica wciąż znajdowała nowe siły na miłosne zmagania. Wreszcie chwyciłem ją za biodra tak, by nie mogła się ruszać. Zastygła zdziwiona, ciężko oddychając. Pocułem na twarzy jej ciężkie od potu włosy, a na ustach kilka słonych kropel. Przesunąłem dłonie z bioder na jej plecy; były mokre jak od deszczu. Chciała zsunąć się ze mnie, ale nie pozwoliłem.

— Co? — poczułem na twarzy gorący oddech.

— Za kilka godzin wyjeżdżam — powiedziałem cicho. — Chcę usłyszeć twoją historię, tak jak mówiłaś mi o Esterze... teraz, zanim wyjadę.

Pocułem gorący i mokry pocałunek.

— Jestem zmęczona... Co chcesz wiedzieć? — spytała, a usta miała tak blisko moich, że czułem, jak się poruszają i mogłem czytać słowa z ich ruchu.

— Wszystko, od początku. Jak trafiłaś do mojego wuja? Podobno urodziłaś się

wolna...

Ayhe długa milczała. Oparła się łokciami na posłaniu. Odgarnęła włosy i poczułem na twarzy chłodne powietrze. Oddychałem z rozkoszą.

— Piękny ty... piękny, Aaronie... — szeptała. — Wszystko ci powiem...

Za oknem było już szaro, zostało tylko parę chwil do świtu.

— Moja matka urodziła się wolna. Została porwana i potem sprzedana — mówiła powoli. — Od handlarzy kupił ją pewien kupiec z Walencji, bardzo dobry chrześcijanin. Tak dobry dla mojej matki, że aż mnie urodziła. Jestem jego córką. Tak, masz rację, ja byłam wolna. W naszej rodzinie tylko matka była niewolnicą. Ale i tak to ona wszystkim mówiła, co mają robić.

— Masz to po niej, ty też rządzisz, mną przynajmniej.

Ayhe cicho się zaśmiała.

— Ty się nie nadajesz na pana, masz za dobre serce, nie powinieneś mieć nawet psa.

— I co dalej?

— Nie chce mi się... — znów dotykała mnie ustami i każde słowo łaskotało wargi.

— Ale ja ci każę!

— Ojciec zmarł, gdy miałam czternaście lat — kontynuowała posłusznie — przed śmiercią uwolnił moją matkę. Ale jego rodzina szybko się nas pozbyła. Nie miałyśmy pieniędzy. Wtedy pojawił się ten Cerdan. Wielki pan z Saragossy — znów zaczęła mnie całować — sławny prawnik. Ja umiałam czytać i pisać, znałam arabski. Nauczyła mnie matka. Zanim ją porwano, uczyła w szkole. Cerdan wziął mnie na służbę i dobrze płacił.

— Kazał ci to robić?

— Na pewno chcesz wiedzieć? — Ayhe uniosła się na łokciach i zaplotła mi dłonie na ustach, jakby nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

Kiwnąłem głową.

— Jesteś moim pierwszym Żydem... Wszyscy tacy jesteście? Zmarnowałam tyle lat... — i znów próbowała poruszać biodrami.

— A Mahabud? — wydusiłem pytanie przez jej palce.

— Szkoda, że nie widziałeś... tak jak z nim, to się nie liczy...

Szarpnąłem ją za rękę. Nie mogłem znieść tego lekkiego tonu. Przecież rozmawialiśmy o końcu świata!

— Mogę już się położyć obok? — westchnęła. — Niewygodnie mi tak, skoro już nie chcesz...

— Nie chcę. Mów dalej!

— Ach! Jak ty groźnie... — znowu się cicho roześmiała i położyła na skraju łóżka.

— Mów!

— Był miły, dobrze mnie traktował — szeptała mi do ucha. — Dziękowałam Allahowi, że oddał mnie w takie ręce.

— Ale czy to z nim robiłaś...

— A jak mogłam nie robić? — odpowiedziała po chwili wahania.

Coś ścisnęło mnie w gardle.

— Mieszkał sam. Już pierwszej nocy kazał mi przychodzić do siebie.

— Lubiałaś to?

— Aaronie, mój panie... — znów usłyszałem jej westchnienie.

— Proszę cię, nie żartuj teraz...

— Po co ci to? — spytała sucho.

Ayhe na pewno poczuła, jak serce waliło mi ze strachu.

— Lubiłam. I co z tego? — wyszeptała w końcu ze złością. — Jak chcesz tak wszystko wiedzieć, to jeszcze bardziej lubiłam to robić wtedy z tym katem, a najbardziej...

Zaparłem się plecami o ścianę i pchnąłem z całej siły nogami i ramionami. Niewolnica wypadła z naszego skórzanego kokonu na klepisko jak żrebię z brzucha samicy.

Wstała niezdarnie, naga, mokra, porwała z krzesła ubranie i zniknęła w mojej izbie. Zerwałem się z łóżka i ruszyłem za nią. Zasunęła zasłonę. Chciałem ją odsłonić, ale trzymała z drugiej strony.

— Jeśli tu wejdziesz, przebiję cię nożem! — usłyszałem cichy syk.

Tuż przed wyjazdem Ayhe przyjęła przeprosiny. Wydusiłem z siebie, że to wszystko z miłości. Wprawdzie powiedziała, że takiej miłości to ona nie chce, że już taką miała, ale widziałem w jej oczach, że cieszy się z tych słów i jest gotowa mi wybaczyć.

Mimo to opuszczałem Saragossę w ponurym nastroju. Ayhe wymogła na mnie przyrzeczenie, że nigdy więcej nie będę wypytywał o jej przeszłość. Mroczne myśli rozjaśniało jedynie uczucie czegoś na kształt dumy z tych tajemniczych nocnych zdarzeń, za które Ayhe okazywała mi tyle wdzięczności.

Przemierzałem bezkres rozległej równiny, nie bacząc na mgły, zimne wieczory i poranki, przenikliwą wilgoć. Szedłem na północ jak do ziemi obiecanej, wierzyłem, że ta misja przyniesie mi sławę i pieniądze, za które wykupię Ayhe. Pamiętam, kiedy wynurzyłem się z niskich jesiennych mgieł i ujrzałem po raz pierwszy strone skały z osadzoną na nich potężną twierdzą Loarre. Wierzyłem, że z tych skał, niczym z góry Garizim, spłyną na mnie błogosławieństwa po wsze czasy.

Towarzyszili mi dwaj młodzi żołnierze: Bernat Barutell, Katalończyk z Fragi, oraz Aragończyk Rodrigo Cervera. Mieli ochraniać mnie podczas drogi. Zbyteczna to jednak ostrożność ze strony Salomona — bo to on wysłał w tej sprawie pismo do de Lucio, kapitana zamku — gdyż trudno o spokojniejszy trakt. Spośród wszystkich dróg Hiszpanii ta z Saragossy do Hueski uchodziła za najbezpieczniejszą. Tylko nieznośny chłód dawał się nam we znaki. W Lupiñén, gdzie stanęliśmy na nocleg, odbyło się nasze pierwsze wielkie pijaństwo. Piliśmy mocne koszerne wino cały wieczór i całą noc; uwolnieni od wszelkich trosk wynawaliśmy najgłębsze tajemnice. Nad ranem padliśmy sobie w ramiona: ja, Aaron Abnarrabí, skromny Żyd, Rodrigo Cervera, szlachcic o wysokich aspiracjach, i Bernat Barutell, mieszczanin, który upierał się, że jest spowinowacony z rodziną królewską. Połączyła nas gorąca, niespodziewana przyjaźń.

Zamek, ku wielkiemu zaskoczeniu i rozczarowaniu, zastałem prawie pusty. Poza strażnikami przy bramie, kilkoma żołnierzami na murach, powitał mnie tylko Francisco Solsona, garbaty przechrzta, prawa ręka kapitana de Lucio, jego buchalter, zarządca, człowiek do wszystkiego, z którym miałem omówić nasze sprawy. Piękna Violante de Urrea kilka dni temu udała się do Fragi. Kapitan de Lucio z większością załogi wyruszył na wojenną wyprawę do Baskonii. Towarzyszyl mu też, czego najbardziej żałowałem, Sulima. Wyzaszono nawet kuchnię, a kucharki zwolniono do domów.

Na posiłki i nocleg musiałem zjeżdżać na osiołku do San Esteban, małej wioski należącej formalnie do Loarre, ale nie opasanej murami, położonej u stóp wzniesienia, jakieś trzy mile od zamku. Zaprzyjaźniłem się tam

z winiarzem Martínem i jego konkubiną, Marią, bardzo serdecznymi ludźmi, którzy prowadzili niewielką gospodę.

Salomon, jak później mnie przekonywał, celowo zaplanował moją podróż do Loarre w tym czasie. Miało mi to ułatwić nawiązanie bliższych relacji z Sulimą. Nie wiedział jednak, że ten, wbrew pierwotnym planom, udał się na wyprawę do Baskonii. Wówczas, spacerując po pustym dziedzińcu w przerwach między naradami z don Solsoną, doszukiwałem się w tym jakiegoś ukrytego zamiaru mojego wuja. Nie dopuszczałem myśli, że może to być zwykły błąd, niedopatrzenie, że ten stary człowiek żywiący się i oddychający Esterą, prawie nie czytał już korespondencji, nie odpisywał na listy, całkowicie zatracił się w miłości, w zazdrości, hazardzie i pijaństwie.

Całe dni spędzałem w komnacie don Solsony na omawianiu finansowych aspektów wojny przeciwko Urriesom. Mój rozmówca nie znał planu w całości, mógł najwyżej domyślać się jego ogólnego zarysu. Wiedział jedynie, że ma przynieść ratunek osadzie Loarre i kapitanowi de Lucio. Tłumił w sobie ciekawość i nie pytał mnie o niektóre szczegóły. Był za to niezwykle rad z pozyskania do sprawy takich sojuszników jak Samuel Bienvenist i Mossé Astruch; obaj cieszyli się sławą sięgającą daleko poza granice Saragossy.

Przekazałem listy i najnowsze wieści od mojego wuja, ale wszystkiego, co mówił don Solsona — liczb, nazwisk, nazw miejscowości — musiałem się nauczyć na pamięć. Niczego nie wolno mi było zanotować.

Wieczorami stary przechrzta oprowadzał mnie po wyludnionym zamku. Zajrzałem nawet do komnat kapitana i jego żony. Uderzyło mnie, że zajmowali sypialnie w dwóch osobnych wieżach. Nie zebrałem w sobie dość odwagi, by zapytać o powody tak ostentacyjnej separacji.

Ostatni wieczór udało mi się spędzić z Bernatem i Rodrigiem. Potwierdziły się słowa Joshuy, że Sulima nie był tu lubiany i to nie tylko przez szlachciców z drużyny, ale też i zwykłych żołnierzy. Bernat i Rodrigo mieli mu za złe, że choć przybłęda, to traktował wszystkich z góry. Żaden z żołnierzy nie chciał służyć Sulimie jako giermek. Wyłamał się tylko jeden z nich, niejaki Joan, który za pieniądze był gotów zrobić wszystko, i to on pojechał z Sulimą do Daroki. Moi towarzysze określili Joana jako niezbyt rozmownego tępego osiłka, wiecznie jątrzącego i wszczynającego bójki, co może w zwyczajnym wojsku było normą, ale nie w Loarre. Tu na służbę kapitan zaciągał najlepszych — ludzi, którzy mieli coś więcej w głowach; nawet prości żołnierze się tu szanowali i wymagali szacunku od innych. Moi przyjaciele uważali, że Joan i Sulima byli siebie warczi; wszyscy czekali tylko, kiedy jeden rzuci się drugiemu do gardła.

Gdy już wyjeżdżaliśmy, na dziedziniec wybiegł sześć-, może siedmioletni chłopiec, a za nim pojawiła się młoda dziewczyna. Nie widziałem ich tu wcześniej. Wedle słów Bernata chłopiec miał na imię Perito i był sierotą. Doña Violante jeszcze we Fradze otoczyła go opieką, a teraz zamierzała adoptować. Bernat nie wiedział, kim byli jego rodzice; słyszał jedynie, że pochodzili ze szlacheckich rodzin.

Dziewczyna nosiła imię Dolores i była kochanką Sulimy. Przyglądałem się jej z zainteresowaniem. Miała szlachetne, surowe rysy, zgrabną postawę. Nie nazwałbym jej pięknnością. Może dlatego, że ukazała się nam boso, w prostej,

podniszczonych i poplamionej tunice, sięgającej do połowy łydek. Nieuczesane włosy rozwiewały się w nieładzie, jakby nie wiedziały, w którym kierunku uda się ich właścicielka. I rzeczywiście: podbiegała co chwilę do chłopca, starając się nie okazywać, jak jest wściekła, a Perito z głośnym śmiechem zręcznie umykał na wszystkie strony przed jej pościgiem. Zarumieniała się na nasz widok i odruchowo dygnęła, co jeszcze bardziej ją speszyło, gdy zdała sobie sprawę, z jakiej kondycji ludźmi ma do czynienia.

Dolores została dwórką hrabiny już tu, w Loarre. Wykształcona, ocytana, znająca biegle łacinę, miała umilać czas żonie kapitana. Na dziewczynę spadł też obowiązek zajmowania się chłopcem. Pochodziła z Bolei. Jej ojciec, podobnie jak kapitan de Lucio, walczył z Juanem de Urríes o zachowanie swych ziem. A w Bolei młody baron poczynał sobie jeszcze śmieiej niż tu, w Loarre — jego żołdacy niszczyli pola, napadali wieśniaków, gwałcili kobiety, podpalali zabudowania, kradli bydło. *Sobrejuntero* z Hueski, który sprawował z ramienia króla sądowniczą władzę nad całym regionem, siedział po uszy w sakiewce Urríesów i przymykał oko na te akty jawnego bezprawia.

Kilka lat temu Juan de Urríes posunął się nawet do oskarżenia rodziców Dolores o kryptojudaizm. Ponoć doszukał się w ich rodzinnych kronikach jakichś żydowskich antenatów sprzed wielu pokoleń. Czyste szaleństwo, ale w tych okropnych czasach szaleństwo było groźnym orężem. Urríesowie przekupili kilku mieszkańców Bolea, by zeznali przed sądem, że rodzina Dolores zachowywała żydowskie tradycje, że w Jom Kippur pościła, unikała fizycznych prac w soboty, że mięso płukano w wodzie tyle razy, że robiło się aż białe, i tym podobne szczegóły. Donos był niezbędnym warunkiem, by inkwizycja mogła wszcząć dochodzenie.

W miarę nasilania się agresji Urríesów coraz więcej ludzi, za pieniądze, decydowało się na fałszywe zeznania. Gdyby trybunał *Sanctum officium* uznał te oskarżenia, ojciec Dolores musiałby zrzec się majątku, który z pewnością przejęliby Urríesowie, a cała rodzina trafiłaby na lata do lochów. Na razie jednak ojciec Dolores walczył, znajdując wsparcie u kapitana de Lucio. Obaj uzgodnili, że służba dziewczyny na zamku Loarre będzie znakiem ich przymierza.

Do Saragossy wracałem najszybciej jak mogłem. Żołnierze towarzyszyli mi tylko do Lupiñén; stamtąd ruszyłem sam. Poganiałem osiołka z takim zapałem, że omal nie wyzionął ducha.

Nastał szczęśliwy okres w moim życiu. Salomon zadowolony z wyników misji do Loarre i sposobu, w jaki ją odbyłem, powierzał mi coraz trudniejsze zadania; zdradzał wiele szczegółów ze swoich przedsięwzięć. Dużo się uczyłem i coraz lepiej rozumiałem świat wielkich interesów.

Noce spędzałem z Ayhe. Ona również postanowiła mnie uczyć. Pewnego razu oświadczyła, że nastąpi właśnie dni, podczas których miałem, jak się wyraziła, „uważać”. Dowiedziałem się wszystkiego ze szczegółami, ale i tak pierwszej nocy to ona uważała. Wyglądało to tak, że w odpowiednim momencie wypchnęła mnie gwałtownie spomiędzy ud, uniosła się na postaniu i szybko ujęła mnie w dłonie. Po chwili to, co zawsze znikało gdzieś

bez kłopotu i bez śladu w jej wnętrzu, teraz gwałtownie uwolnione zaczęło spadać na nią raz za razem jak smagnięcia biczem. Gdy wreszcie wszystko się już we mnie skończyło, Ayhe opadła na plecy. Nie pozwoliła się dotknąć ani przykryć skórą. Powiedziała coś przez zaciśnięte usta i wyciągnęła nagie ramię w kierunku krzesła, na którym wisiał płócienny ręcznik. Wstałem i szybko go jej podałem. Gdy przetarła twarz, stwierdziła z rozbawieniem, że pachnie tu teraz takim urodzajem, że można by siać pszenicę. Byłem słaby, ledwo trzymałem się na nogach; stałem tak nad nią nagi, trzęsący się z zimna i nie mogłem się doczekać, aż skończy wycierać piersi i brzuch. Na widok jej zniecierpliwienia, gdy odkrywała na sobie wciąż nowe plamy, ogarniała mnie coraz większa wesołość. A gdy na koniec niewolnica, chcąc odgarnąć włosy, aż zasyczała ze złości, że i te ma posklejane, zgąłem się wpół twarzą do ziemi i ryknąłem śmiechem.

Wtedy właśnie, jak później wyznała mi Estera, Salomon oznajmił, że coś z tym, czyli ze mną i Ayhe, trzeba zrobić.

Tego samego dnia wziąłem niewolnicę w ramiona i powiedziałem na ucho, że ją kocham, że ją wykupię, wyzwolę i poślubię. A ona skinęła głową.

Ayhe była już więc prawie moją żoną, gdy nagle oświadczyła, że musi w nocy iść do Faraiga. Ostatni raz. Obiecała, że nie będzie robiła z nim nic, co by mi się nie podobało. Zadawała się z nim tylko dla pieniędzy, żeby móc sobie kupić wolność. Teraz, skoro obiecałem, że ją wykupię i wyzwolę, nie będzie już do niego chodzić. Ale ten ostatni raz musi. Mówiła to takim tonem, jakby planowała wyjście na targ. Wpierw nie wierzyłem, że chce to zrobić, ale szybko przekonałem się, że mówi poważnie, a ja nie potrafię jej zatrzymać. Pierwszy raz pozwoliła mi asystować w przygotowaniach do nocnej schadzki: toalecie, ubieraniu, namaszczaniu zapachowymi olejkami.

Wyszła tuż po zapadnięciu zmroku.

Z półsnu wyrwał mnie trzask okiennicy, którą zawsze, gdy Ayhe zniknęła na noc, zostawiałem uchyloną. Wspiąłem się do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Widniało. Ze wchodu parły gęste chmury, zbite w gromadę, czarne jak smoła. Dziwne, coraz gwałtowniejsze zrywy wiatru uderzały w miasto, unosiły co tylko napotkały po drodze i tarły tym o ściany domów; musiało to poczynić jakieś szkody, bo nagle, gdzieś niedaleko, podniósł się krzyk zrozpaczonej kobiety, a potem dołączył do niej męski głos, zapewne jej męża. Wszystkie okoliczne psy jeden po drugim zaczęły ujadać. Wiatr ciągle się wzmagił, by nagle sychnąć lodowymi kulami, które niczym kamienie wystrzelone z procy uderzały z łoskotem o ściany i okiennice. Schowałem głowę. Nie wiedziałem, co robić. Za chwilę obudzi się Estera, Azmel na pewno już nie śpi. Zastanawiałem się gorączkowo, jak wytłumaczyć nieobecność Ayhe. Jeszcze raz wyjrzałem przez okno. Ulica wciąż była pusta. Lód bił mnie w twarz, ale nie zważałem na to. W końcu wszystko ucichło. Spojrzałem w prawie jasne już niebo: czarne chmury przesuwały się powoli nad chrześcijańską część Saragossy.

Wtedy na usłanej białymi kulami ulicy zobaczyłem Ayhe: bosą, w samej koszuli do kolan. Jeszcze była szansa, że nikt jej nie zobaczy. Ciężko oddychając, dobiegła pod nasze okno, wydobyła spod kamieni krótką drabinę i przystawiła do ściany. Rozwarłem szeroko okiennicę, wychyliłem się najdalej jak umiałem i wyciągnąłem rękę. Teraz dopiero zobaczyłem, że jest cała poplamiona ziemią, a jej bosa stopy krwawią. Stała już na pierwszym szczeblu, gdy dobiegł nas odgłos biegnących kroków. Zamarliśmy. Ani ona, ani ja nie spojrzeliśmy w bok.

— Wchodź, szybko! — krzyknąłem, już nie zważając na nic.

— Widzieli mnie... to oni, szli za mną...

— Wchodź! Powiem, że to ja byłem za murami!

Wisiałem wychylony niemal całym tułowiem. Ayhe patrzyła na mnie przerażona. Wspięła się jeszcze o dwa szczeble, gdy jakiś mężczyzna rzucił się na nią i zwałił z drabiny. Poznałem go — to był Abram. Jacob dobiegł tuż za nim. Wrzeszczeli coś, że złapali mordercę, złodzieja. Abram szarpnął Ayhe za koszulę i rozerwał materiał. Potem chwycił za włosy i przydusił do ziemi. Jacob stanął z boku, wzięł mocny zamach i kopnął niewolnicę w brzuch, tak że opadła z jękiem na ścianę. Wciąż wisiałem przewieszony przez okienny otwór, nie mogłem wydobyć z siebie głosu, krew pulsowała mi w skroniach. Patrzyłem bezradny, jak obaj strażnicy stanęli nad Ayhe i na zmianę kopali ją ciężkimi skórzanymi buciorami, co chwilę tracąc równowagę i wywracając się na lodzie.

Porwałem ze skrzyni żelazną rękojeść i wybiegłem z domu, potracając po drodze Azmela. Gdy obiegłem dom, Jacob zrywał z dziewczyny ostatnie strzępy koszuli.

— To ta arabska niewolnica — wysapał Jacob, zmęczony pościgiem i katowaniem dziewczyny.

Ayhe leżała pomiędzy nimi naga. Skulona trzęsła się z bólu i strachu. Ruszyłem biegiem w stronę strażnika. Miałem zamiar zwałić go z nóg, ale zobaczyłem mnie w ostatniej chwili i uskoczył w bok. Runąłem na ziemię kilka kroków za nim.

— Zostawcie ją! — krzyknąłem, podnosząc się z ziemi.

Zobaczyłem, że ludzie wychylają się z okien.

— Bo co? — warknął Jacob. — To dziwka. Chodzi do arabskiej dzielnicy i tam się puszcza. Pójdzie za to siedzieć, a ty razem z nią! Już dawno powinienesz wisieć, morderco!

Pochylił się nad Ayhe i splunął na nią.

Owładnęła mną ślepa wściekłość. Wysunąłem ostrze noża i ruszyłem w jego stronę.

— Jacob, uważaj! — krzyknął Abram.

Jacob błyskawicznie odwrócił się w moją stronę, zręcznie uniknął zamasztyego cięcia, a potem kopnął w nadgarstek ręki, w której trzymałem nóż. Gdy schyliłem się, by go podnieść poczułem kilka tępych uderzeń w głowę. Nie wiem, czy to były pięści czy pałka. Na krótką chwilę osunąłem się w niebyt. Gdy wróciła mi świadomość, nie byłem w stanie utrzymać się nawet na czworakach. Zobaczyłem tylko, że Abram trzyma w ręce mój nóż, prezent od Ayhe.

— Arabski — uniósł go wysoko nad głowę i pokazał wszystkim gapiom, jakby grał w jakimś przedstawieniu.

Potem podszedł szybkim krokiem do klęczącej Ayhe i z całej siły uderzył ją pięścią w twarz. Niewolnica, nie wydawszy nawet jęku, upadła na plecy.

Na ulicę wylegli mieszkańcy okolicznych domów i patrzyli wraz z oprawcami na Ayhe — jak leżała naga, bez ruchu, na dywanie z mieniących się w porannym słońcu lodowych pereł.

Estera okryła czymś Ayhe i uklękła nad nią. Chwilę później przyszło jeszcze kilku stróżów i gdzieś zabrali półprzytomną dziewczynę. Nie pozwoliłem nikomu, by mi pomagał ani do mnie podchodził. Prosiłem, by mnie zostawiono w spokoju. Gdy ulica wreszcie opustoszała, podniosłem się na kolana, nabrałem pełną garść lodu i przyłożyłem do rozpalonej twarzy.

Aaron przez trzy dni nie jadł, nie pił, nie spał. Pragnął śmierci, umierał w męczarniach. Czwartego dnia się poddał.

Wyruszył nocą. Umysł miał tak wyostrzony, że bliżej mu było do wilka niż do człowieka. Wiał chłodny, już prawie zimowy wiatr. Jacob spał w jednej izbie z rodzicami i młodszą siostrą. Łóżko Abrama było puste. Dopiero gdy Aaron wszedł do ich domu, po ciemku, jak złodziej, zdał sobie sprawę, jak uboga była to rodzina. Obaj musieli mu bardzo zazdrościć. Przycisnął Jacobowi szmatę do ust i wbił długi nóż prosto w serce tak mocno, że ostrze przeszło materac.

Abram w tym czasie patrolował dzielnicę, nie był sam. Aaron szedł za nim kilka godzin; zaczął się bać, że zastanie ich świt i odłoni jego zamiary. W końcu Abram rozstał się z kompanem i ruszył w kierunku domu. Aaron podniósł oburącz kamień wielkości bochenka chleba. Nawet nie musiał się wysilać, siła w ciężarze kamienia była ogromna: mimo nakrycia głowy rozległ się trzask pękającej czaszki. Potem, klęcząc, uderzył na wszelki wypadek jeszcze dwa razy.

Już następnego dnia w domu Salomona zjawił się wysłannik *merina*, odpowiedzialnego za wyjaśnienie zagadki śmierci Jacoba i Abrama. Gdy mnie zobaczył, uznał, że w takim stanie nie dałbym rady zrobić nawet kroku, a co dopiero zabić dwóch silnych młodych Żydów. Po jego raporcie wykluczono mnie z grona podejrzanych. Śledztwo trwało jeszcze pięć miesięcy. Nie wykryto sprawców.

W dzień po aresztowaniu Ayhe przyznała się do wszystkiego, to znaczy do romansu z Faraigiem de Galip. Zresztą i tak nie sposób było ukryć prawdy. Cała *morería* zawyla najpierw z niedowierzania, potem z oburzenia. Ayhe stała się dla mojego wuja ciężarem. Teraz żaden saragoski Arab nie przyjdzie już do niego po pożyczkę. Ayhe została skazana na sto pięćdziesiąt batów, co dla tak kruchej istoty równało się śmierci lub kalectwu. Salomon Abnarrabí, aby ratować niewolnicę, zawarł porozumienie ze Stickerem: wspólnymi siłami przekonali sędziego, by zamienił chłostę na karę pieniężną. Stanęło na stu pięćdziesięciu florenach, które zobowiązał się wypłacić Sticker, stając się tym samym właścicielem niewolnicy. Nie było już żadnej nadziei na wykupienie Ayhe — stała się dla niemieckiego handlarza zbyt cenna.

Wytoczono mi proces o rajfurzenie. Akt oskarżenia przed merinem zdążyli jeszcze wnieść Jacob i Abram. Zeznali, że wielokrotnie słyszeli odgłosy miłości dochodzące z mojej izby. Znów dzięki wstawiennictwu i koneksjom mojego wuja sprawę zawieszono.

Kilka dni po tym, jak Salomon sprzedał Ayhe, oświadczyłem, że chcę zamieszkać w chrześcijańskiej dzielnicy. Usprawiedliwiałem to swoją misją, koniecznością odbywania częstych podróży do Loarre.

— Będę miał do czynienia z chrześcijanami i powinienem się do nich

przyzwyczajaić, lepiej ich poznać — oznajmiłem tak stanowczo, że Salomon się zgodził i o nic nie pytał.

Estera także nie protestowała. Uzgodniłem z Salomonem, że będę przychodził codziennie, z wyjątkiem szabatu, i pracował w jego domu aż do wieczora. Spodziewała się więc, że każdego dnia nadarzy się sposobność, by do mnie przyjść, kiedy będę sam.

Pokój znalazłem u karczmarza Juana Sáncheza. Okazało się, że oprócz gospody dzierżawił jeszcze dom publiczny w dzielnicy San Pablo. Gdy dowiedział się, dla kogo pracuję, zgodził się wynająć mi małą izbę na parterze, pod warunkiem że zajmę się również jego księgami. Interes wprawdzie szedł nieźle, ale uważał, że można wiele poprawić. Przyjąłem tę propozycję. Miałem nie płacić za czynsz, poza tym mieszkając tak blisko domu Stickera, zwiększałem szanse na widywanie Ayhe.

Juan Sánchez twierdził, że cała sprawa z naszą niewolnicą, bardzo głośna z uwagi na nazwisko Abnarrabích, a potem nazwisko Stickera, największego stręczyciela Saragossy, została sprowokowana. Żydowscy strażnicy nie mieli prawa się tam znaleźć, ktoś musiał im zdradzić, którejdy przemykała się Ayhe. Dziwne też, że moją sprawę — to absurdalne oskarżenie o rajfurstwo — sędzia tylko zawiesił, że nie zostałem uniewinniony.

Dni mijały powoli jak miesiące, a miesiące wlokły się niczym lata. By zabić czas, zagłuszyć natrętne myśli, zająłem się księgami mojego gospodarza staranniej, niż tego ode mnie oczekiwano. Zaproponowałem też kilka reform, które — początkowo bez przekonania — Juan Sánchez zaprowadził w swoich przybytkach. Pierwszym odważnym posunięciem było zniesienie nakazu wchodzenia do burdelu w wierzchnim okryciu. Wpadłem na ten pomysł podczas rozmów z dziewczkami, które skarżyły się, że tak mało Żydów korzysta z ich usług. W Walencji, gdzie wcześniej pracowała jedna z nich, oczywiście też obowiązywał zakaz kontaktów cielesnych pomiędzy Żydami i chrześcijańskimi prostytutkami, ale nikt się tym nie przejmował. Większość Żydów nie nosiła tam oznaczeń na ubraniu. A prostytutki chwaliły sobie żydowskich klientów: zachowywali się przyzwoicie, byli czysti i bardzo dobrze płacili. Juan Sánchez dał się przekonać i któregoś dnia ogłosił pismem przybitym do drzwi wejściowych, że na skutek licznych kradzieży zabrania się wchodzenia do przybytku w wierzchnim okryciu. Po kilku tygodniach liczba klientów wzrosła o jedną trzecią. Wielu przyjezdnych Żydów, którzy odwiedzali Saragossę w interesach, zaglądało do naszego Maison Lupanarde, jak z francuska nazywała się karczma i przyległy doń burdel, aby bezkarnie zakosztować chrześcijańskich kapłanek miłości.

Dzięki pozytywnym skutkom reform zyskałem zaufanie, a z czasem i szczerą przyjaźń mojego gospodarza. Udało mi się też poprawić nieco los prostitutek: Juan Sánchez zgodził się, aby same sobie gotowały i nie musiały płacić kroci za stołowanie się w jego karczmie; podobnie z praniem odzieży; gospodarz zaczął też uczciwiej liczyć za czynsz. Zaskarbiłem sobie tym taką wdzięczność kobiet, że poczęły wieszać mi się u szyi i proponować swoje usługi za darmo. Nie przyjmowałem tych darów, chętnie natomiast siadałem z nimi do stołu —

odkąd pozwolono im korzystać z kuchni, jadały suto i smacznie.

Podjąłem także naukę łaciny. *Magid*, którego spotkałem szczęśliwie kilka razy na ulicy, zgodził się udzielać mi lekcji. Miałem dobre wspomnienia z czasów szkolnych, kiedy nauka języka Rzymian nie była obowiązkowa. Po szkole zostawaliśmy wtedy tylko we dwóch: Joshua i ja. Joshua przynosił w skórzanym woreczku przypominającym sakiewkę kawałki cukru, a *magid* pozwalał nam je ssać podczas zajęć. Twierdził, że jeśli nauczymy się wyraźnie mówić z bryłkami cukru w ustach, to bez nich będziemy prawdziwymi oratorami. Do dziś łacina kojarzy mi się ze słodyczą. Zapewne dlatego z taką przyjemnością odwiedzam chrześcijańskie kościoły i uczestniczę w mszach.

Tym razem lekcje pobierałem sam i nie nosiłem już ze sobą słodyczy. *Magid* kilka razy zadał mi pracę domową: miałem napisać w paru słowach, co ciekawego wydarzyło się danego dnia. Budowałem łacińskie zdania na tyle składnie, że nauczyciel namówił mnie, bym moje zapiski prowadził codziennie. Pożyczył mi na wzór kopię pamiętników Leonory López de Cordoba, która za pomocą pergaminu usiłowała przekazać rodakom prawdę o bohaterskim ojcu, niesłusznie oskarżonym i potem zamordowanym przez króla Kastylii, Henryka. Oto, mówił *magid*, masz przykład, jak bez literackiego przygotowania można piórem walczyć o sprawiedliwość, o pamięć, ile tu szczegółów, ile tu miłości, ludzkich uczuć. Po przeczytaniu tych pamiętników postanowiłem, że i ja będę opisywał tylko prawdziwych ludzi, prawdziwe zdarzenia, wszystko, co naprawdę wydarzyło się w moim życiu. Zapisywane kartki pergaminu chowałem do podarowanej mi na ten cel przez nauczyciela płaskiej szkatuły zamykanej na mocne żelwne zawiasy.

Mimo przeprowadzki i ciągłych starań widywałem Ayhe bardzo rzadko. Sticker zobowiązał się w kontrakcie, że będzie wykorzystywał niewolnicę tylko w swoim przedsiębiorstwie kredytowym, które właśnie rozwijał, i że nie każe jej wykonywać ciężkich fizycznych prac ani uprawiać nierządu. Od Estery dowiedziałem się, że złamał umowę już następnego dnia po jej podpisaniu; od razu uczynił Ayhe swoją nałożnicą, a za pieniądze posyłał do domów ważniejszych klientów. Kilka razy widziałem ją na ulicy, jak szła, zawsze w towarzystwie służącego, w odwiedziny do zamożnego mieszczanina albo wracała po takiej wizycie do domu Stickera, do tego posępnego domu o oknach zdobionych jak w kościele — szklanymi tafłami kolorowego szkła.

Gdy w końcu nie wytrzymałem i wyrzuciłem mojemu wujowi, że pozwala, by ten plugawy Niemiec hańbił Ayhe, Salomon odparł wzburzony:

— Sticker zna się na niewolnicach jak nikt inny w tym mieście! Skoro zobaczył w niej kurwę, i w ten sposób postanowił na niej zarabiać, nie będę się wtrącał. On za nią zapłacił, to jego własność, nie zapominaj! — Prawie krzyczał. Nie rozumiałem tego wybuchu złości. — A poza tym, Aaronie, ta dziewczka ma taką właśnie naturę! Ileż z nią było już przez to kłopotu. Nawet ten dureń Mahabud od razu się na niej poznał. Co cię opętało, że zawracasz mi tym głowę? I to takim tonem! Będiesz jeszcze dziękował, że cię od niej uwolniłem.

Estera zdradziła mi, że Sticker miał coraz większe kłopoty w związku ze splątą należności za statki. Salomon, tak jak zapowiedział, nie zapłacił mu ani

solda, a jednocześnie sprytnie zwodził wymówkami i obietnicami. Konsulat Morski z Walencji tracił cierpliwość i coraz brutalniej domagał się płatności. Podobno już od kilku miesięcy Sticker uciekał z Saragossy, gdy tylko zwietrzył, że do miasta zbliżali się urzędnicy z Walencji. Niestety zawsze zabierał ze sobą Ayhe. Gdy Estera doniosła mi, że handlarz znów opuścił w popłochu Saragossę, zdecydowałem się na szalony krok i nie bacząc, że mogę zostać rozpoznany, zakradłem się do domu Stickera.

Jak bardzo to potem żałowałem!

— Ayhe nie będzie chciała z tobą być, Aaronie — oświadczyła mi na powitanie Margarida. Te kilka miesięcy, jakie upłynęły od naszego pierwszego spotkania, uczyniły z niej kobietę. Mówiła już biegle po aragońsku, choć wciąż pobrzmiwała w jej głosie jakaś melodia z odległych krain.

Dowiedziałem się, że Ayhe żyła ze Stickerem jak żona. Zajęła w sypialni miejsce Margaridy. I nie było tu gwałtów ani szantażu. Sticker miał nawet obiecać Ayhe, że ją wyzwoli. Podobno zadurzył się w niej bez reszty, co nie przeszkadzało mu stręczyć ją bogatym mieszkańcom Saragossy.

Pewnego marcowego dnia Salomon niespodziewanie oznajmił, że musimy pilnie dowiedzieć się czegoś więcej o wydarzeniach w Brugii, w które zamieszany był Sulima.

Jedynym bliskim źródłem takich informacji mogła być Ceti Cebada, to wiedzieliśmy obaj. Salomon przyznał się, że nie jest z nią w najlepszych stosunkach: interes z rzeczonym spławem do Mequinenzy, znajdujący się w rękach arabskich przewoźników, wymagał dużych nakładów, a mój wuj niespodziewanie wycofał się z obietnicy pożyczki. Udałem się więc do domu Ceti Cebady sam. Czas był po temu odpowiedni, bo właśnie wybierała się w coroczną podróż do swych braci, którzy w Brugii pełnili wysokie funkcje w Radzie Miasta. Obiecała dowiedzieć się o interesującej nas sprawie jak najwięcej.

Wróciła po dwóch tygodniach i natychmiast wezwała mnie do siebie. Zostałem poczęstowany słodkim flandryjskim winem. Wonności unoszące się mgiełką w każdym zakątku domu poplątały mi nogi i myśli do tego stopnia, że spędziłem w silnych ramionach handlarki całą noc. Nie wiem, gdzie na ten czas pozbyła się swego olbrzymiego czarnego niewolnika.

Rano wsunęła się cała pod pościel i niewidoczna, spod prześcieradła, oświadczyła wesołym tonem to, na co nigdy wcześniej nie miała odwagi — że ogień grzechu rozpalał jej łono (dokładnie tak się wyraziła!) za każdym razem, gdy przywoływała w pamięci mój obraz, że wiele razy musiała go gasić sama, by nie oszaleć, i że więcej jest w Saragossie Żydówek, które dziękowały Bogu za wydanie na świat tak niezrównanie pięknej istoty jak ja...

A potem opowiedziała wreszcie to, co usłyszała od swoich braci o wydarzeniach w Brugii.

Otóż wiosną poprzedniego roku w jednym z miejskich hoteli, przy ulicy Vlamingstraat, zatrzymała się delegacja polskich kupców i rycerzy. W tym samym czasie w kamienicy tuż obok kwaterę wynajął don Francisco de

Aranda, któremu towarzyszyło kilku aragońskich żołnierzy. Trudno orzec, czy zdecydował o tym przypadek. Polacy i Aragończycy spotkali się na wspólnej wieczerzy w jednej z karczem gdzieś pomiędzy Wielkim Targiem a placem Żurawia. Podczas toastów doszło do słownej sprzeczki z grupą hanzeatyckich kupców. Kłótnia przeniosła się na zewnątrz, do hanzeatów przyłączyło się kilku zamożnych Brugijczyków, a potem wszyscy ruszyli spod karczmy. Obrzucając się wyzwiskami i poszturchując, doszli aż do placu Beurs. Tam dobyto broni. Rannych zostało kilku Niemców, a jeden z Brugijczyków, Pieter Howoschild, wnuk samego Lubertusa Howoschilda, zginął pchnięty sztyletem. Świadkowie zeznali, że stało się to w skutek pojedynku między nim a jednym z polskich rycerzy. Była sobota, 14 maja roku 1390.

Gdy w poniedziałek rano sędzia wysłał żandarmów do polskiej kwatery, by aresztowali oskarżonego o morderstwo, ten znajdował się już wiele mil od brzegu na aragońskim statku, który niespodziewanie wyszedł w morze w niedzielę, łamiąc wszelkie portowe przepisy. Dalszych kroków władze miasta nie podjęły, gdyż do sprawy jeszcze tego samego dnia przystąpili papiescy juryści uzbrojeni w sakiewki o rozmiarach worków na rzepę. Howoschildowie nie dali jednak za wygraną i do dziś szukają w Brugii sojuszników — podobno przy wsparciu hanzeatyckich kupców, z którymi zawsze łączyły ich silne więzy — by wznowić śledztwo.

Salomon wysłuchał tych informacji uważnie, kiwając głową z uznaniem nad skrupulatnością Ceti Cebady.

A potem oznajmił, że czeka mnie kolejna podróż do Loarre. Tym razem miało się obyć bez niespodzianek. Stary Żyd planował, że pozostanę na zamku dłużej, nawet kilka tygodni. Poczytnił już odpowiednie uzgodnienia z kapitanem de Lucio w sprawie mojego zakwaterowania: zamieszkać w jednej izbie z Zawiszą. W ten sposób łatwiej będzie mi się do niego zbliżyć.

— To będzie znacznie trudniejsza misja. Myślę, że czas już, byś poznał prawdę o tym Sulimie — oznajmił niespodziewanie, gdy zamierzałem opuścić gabinet. — Musiałeś się nieraz zastanawiać, skąd to zamieszanie wokół jego osoby. Usiądź jeszcze, Aaronie.

Posłusznie wróciłem do stołu.

— Wiesz już, że don Francisco de Aranda bierze udział w naszym przedsięwzięciu. Domyślasz się, jaka jest jego rola?

— Przypuszczam, że chodzi o królewską kancelarię...

— Oczywiście! Tylko on może sprawić, by monarcha nie tylko podpisał odpowiednie dekryty, ale też by nikt się o tych dekretach nie dowiedział i nie namawiał potem króla do ich odwołania. Bienvenistowi nie udało się nawet to pierwsze. Choć zapewniał... Nieważne! W całej Koronie Aragonii ledwie kilku ludzi ma zawsze otwarte drzwi do królewskich komnat. Dla Arandy są one otwarte najszerzej.

— Czy spotkam go w Loarre?

— To mało powiedziane! — Salomon wziął mały łyk wina i długo smakował w ustach. — Aranda żąda ujawnienia wreszcie naszego planu. Dłużej nie możemy z tym zwlekać. Przedstawisz go wszystkim: jemu, kapitanowi de Lucio, don Solsonie. W najdrobniejszych szczegółach.

Upił jeszcze kilka łyków z kubka, potem wziął do ręki pękaty dzban, pochylił

się nad nim i pociągnął głośno nosem. Na twarzy starego Żyda pojawił się wyraz nieprzyjemnego zaskoczenia. Wstał szybko od stołu, podszedł do swojego biurka i zanotował coś na kawałku pergaminu. Domyśliłem się, że nie był zadowolony z nowej partii wina Dolza i Vidala. Wydawało mi się, że mruczy pod nosem „raz jest dobrze, a raz źle, nigdy się nie nauczą”.

— Aranda zobowiązał się kiedyś — dobiegł mnie jego głos z drugiego końca gabinetu — do zainwestowania w nasze przedsięwzięcie 10 tysięcy soldów. To olbrzymia suma. Oczywiście to ledwie kopczyk przy górze złota, jaką dzięki nam zarobi. Kopczyk — powtórzył i podszedł do stołu. Stał się za mną. — Aranda to chytry goj, ale musisz te pieniądze od niego wydobyć. Potrzebujemy ich jak powietrza. Hojnie cię wynagrodzę. Musisz tak przedstawić nasz plan, żeby się nim zachwyił, rozumiesz? Musisz odpowiedzieć na każde pytanie tak, aby nie padł nawet cień podejrzenia na stan finansów naszej rodziny.

Skinąłem głową w stronę pustego krzesła przede mną.

— Aaronie, mam przecucie, poparte donosami, że Aranda wyruszy do Loarre pełen wątpliwości. I nieufności. Po drodze będzie miał za towarzysza bardzo niechętnego nam urzędnika z kancelarii, Eximeno Dostę, też go poznasz. Jedynie osiołki pod nimi będą na pewno po naszej stronie. Słuchaj! — poczułem jego dłoń na ramieniu. Lekką, suchą i chłodną. — Jeśli on wyjedzie z Loarre nieprzekonany... — Salomon wzmocnił uścisk — wolę nie myśleć! Bez niego cały nasz plan... Urríesowie rzucają nas na pożarcie psom.

— Jak to się stało...

— ... że ten wpływowy dworzanin przyłączył się do nas? — dokończył moje pytanie Salomon. — Można by sądzić, że to przez wspólny interes. Ja nie chcę, by Loarre upadła i dostała się w łapy Urríesów, bo straciłbym wszystko, co tam zainwestowałem. Aranda też tego nie chce, bo Loarre to strategiczny zamek na północy Aragonii. A jak słyszałaś, Aranda szykuje się do przejęcia władzy po śmierci obecnego króla... Ale to nie polityka skłoniła go do współpracy.

— Pieniądze?

— Naturalnie! Sam wiesz, o co toczy się gra. O milion soldów! Nawet dla Arandy to niewyobrażalny majątek. Dostanie jedną czwartą zysku.

— 250 tysięcy soldów? — aż jęknąłem.

— Och, Aaronie, jestem hojny! — zaśmiał się Salomon. — Ale słuchaj! Może się tak zdarzyć, że te nasze tysiące i jego tysiące, że to wszystko będzie mniej warte niż polne zioła wokół Loarre.

Salomon zdjął wreszcie dłoń z mego ramienia. Szybkiem krokiem obszedł stół i ciężko opadł na krzesło.

— Wszystko przez ten skandal, jaki niedawno wybuchł na dworze! Słyszałaś?

— Nie wiem, ojczu, chyba nie...

— Dwa lata temu w tajemniczych okolicznościach zmarł sześćioletni syn króla Jana, prawowity następca tronu, infant Jaime. Pewien możnowładca blisko spokrewniony z rodziną królewską, hrabia de Prades, ogłosił, że ma dowody, iż dziecko zostało otrute, a za morderstwem stał nie kto inny jak Francisco de Aranda! Motywu nie trzeba długo szukać. Aranda usunął z tego świata prawowitego następcę tronu, by po śmierci króla władzę mógł objąć jego młodszy brat, Marcin. Gdyby sędzia uznał te dowody, Arandę najpewniej

by powieszono za zdradę Korony.

— Tak, o tym słyszałem, oczywiście! — zawołałem. — Ale to było przecież dawno. I został niewinny!

— Owszem, został niewinny — skinął głową Salomon — ale na pierwszym procesie. Dowody, jakie wówczas przedstawił hrabia, były za miękkie. Ale niespodziewanie, krótko po tym, jak dogadałem się z Arandą w naszej sprawie, ktoś podrzucił sędziom zeznania pewnego skruszonego saragoskiego aptekarza. Ów aptekarz potwierdził, że to na zamówienie don Francisco de Arandy sprowadzał z Italii mordercze mikstury, które ten przez wiele miesięcy dodawał infantowi do posiłków, powodując powolną śmierć chłopca.

Salomon zawiesił głos i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć „moce piekielne się przeciw nam sprzyściły”.

— Nie mam wątpliwości, że za tym oskarżeniem stoją Urríesowie... Nie zmienia to jego ciężaru, a ten jest przyniatający! Aronie, to czwarty królewski syn, który umiera... Żył najdłużej, miał szansę dożyć korony! Klątwa? Sędzia nie uwierzył w klątwy! Medycy stwierdzili, że dziecko naprawdę przez długi czas było podtruwane!

Wówczas nie miałem dzieci, nie wiedziałem, co oznacza ból po ich utracie. Czy król, królowa, cierpią tak samo? Chyba nie... Kilka dni temu dowiedziałem się, że infant Ferdynand, to niemowlę, które na moich oczach król Jan z taką dumą nosił nad tłumem na festynie w Daroce, również zmarł. Poczułem na plecach chłód. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że schodzimy głęboko w jakąś mokną, zimną pieczarę.

— To straszne, ale cały czas nie rozumiem, ojcze, co ja mogę...

— Po kolei, po kolei — uspokajał mnie Salomon gestem dłoni. — Jak mówiłem, nowe dowody przeciwko Arandzie były mocniejsze. Nie na tyle jeszcze, żeby go powiesić, ale wystarczające, by królewski sąd oddał sprawę pod osąd Stwórcy. Wiesz, co to jest pojedynek boży?

Kiwnąłem głową. Chrześcijanie wierzyli, że Bóg zawsze staje po stronie sprawiedliwego. Także podczas walki na miecze Pan jest przychylny temu, kto walczy za słuszną sprawę. W przypadku sporu między chrześcijanami sądy dopuszczają czasami, by sprawiedliwy z bronią w rękę — i z Bożą pomocą — wykazywał swą niewinność w pojedynku.

— Oczywiście ani Aranda, ani tym bardziej stary hrabia de Prades nie staną z mieczami naprzeciw siebie — mówił Salomon. — Obie strony przekazały królowi nazwiska rycerzy, którzy ich zastąpią. Te nazwiska, aż do dnia pojedynku, winny być utajnione, ale jak łatwo przewidzieć, tak się nie stało.

— Czy my je znamy? — spytałem.

— O tak! Hrabia de Prades, oczywiście za pieniądze Urríesów, wynajął najlepszego szermierza Europy, Bellsa hom Affrahima. To chyba jedyny Żyd w Aragonii władający mieczem. I popatrz, od razu jest najlepszy — zaśmiał się Salomon.

— A Aranda?

— No i tu dochodzimy do sedna sprawy, chłopcze. Aranda wyznaczył tego *Il Nero!* Sulimę, rozumiesz? Tego *Polono!* — twarz Salomona zniekształcił nerwowy grymas, którego nigdy wcześniej u niego nie zauważyłem.

— Jakie ma szanse w tym pojedynku? — spytałem.

— Kto, *Il Nero*? Żadnych! Przynajmniej tak twierdzi Bienvenist i wszyscy, którzy znają się na broni. Bells hom Affrahim to prywatny nauczyciel króla, ma swoją szkołę fechtunku na Majorce, podobno nikt mu nie dotrzyma pola, ani w Hiszpanii, ani w całej Europie. Sulima padnie przy pierwszym złożeniu.

Salomon nachylił się nade mną:

— Bells hom Affrahim to siepacz... Jest jak wściekły lis. Mówią, że ma coś z głową... Nawet podczas walk pokazowych tak potrafił zadać sztych, że wypruwał flaki. W końcu przestał zarabiać na pojedynkach, bo nikt nie chciał z nim stanąć. Nie dziwię się.

— Jeśli Sulima przegra to...

— Jeśli ten *Polono* przegra, to z nami koniec, chłopcze...

Przez długą chwilę panowała cisza.

— Aranda to szaleniec...?

— Szaleniec albo przebiegły wąż — wykrzyknął Salomon. — Aranda wiedział, że hrabia de Prades zaangażuje wybitnego szermierza, najlepszego i najdroższego. Zważ, że hrabia złożył w królewskiej kancelarii odpowiedni dokument dwa dni wcześ-niej, tak więc Aranda znał już od dawna nazwisko przeciwnika, a mimo to... Dlaczego postawił na tego *Il Nero*? Ma do niego aż takie zaufanie? Wierzy, że jest niepokonany? To jedna z możliwości. Ale jest też druga!

Wstał gwałtownie od stołu. Zaczął przemierzać szybkim krokiem gabinet. Trwał to jakiś czas. Wodziłem za nim oczami.

— Nie ma dnia, żebym nie łamał sobie głowy nad tą zagadką! — oznajmił w końcu. — Nie wiem, czy ten pojedynek zadecyduje o przyszłości Aragonii, ale na pewno zadecyduje o naszej. Mojej, twojej, całej rodziny Abnarrabích, ba!, całej żydowskiej Saragossy.

— Czy poza słowami Estery, ojczy... — mówiłem cicho — jest coś, co wskazywałoby, że Sulima na pewno przegra ten pojedynek?

— Ależ ona ani słowem nie wspomniała o pojedynku! Nie mówiła, czy Sulima wygra czy przegra! Zobaczyła w nim złego ducha, diabła, który sprowadzi na nas nieszczęście... To przecucie. Ale przecucia są więcej warte niż godziny rozmyślań.

— Co zatem zamierzasz, ojczy?

— Miałem do podjęcia bardzo trudną decyzję — oświadczył stary Żyd. — Rozważaliśmy różne sposoby wykluczenia go z pojedynku. Ja chciałem wykorzystać tę sprawę z Brugii, ale z tego co mówisz, to nie będzie takie proste. Sam donos może nie wystarczyć...

— A inni? — spytałem.

Salomon machnął wzgardliwe ręką.

— Nikt nic mądrego nie wymyślił. Tymczasem Aranda wysłała do Loarre kolejnych szermierzy, którzy od miesiący szkolą Sulimę w fechtunku. Kapitan de Lucio rozmawiał z kilkoma na zamku. Przyznawali zgodnie, że ten młody rycerz ma wielki talent do miecza i dużo potrafi, ale nigdy nie osiągnie poziomu Bellsa hom Affrahima. A już na pewno nie w ciągu najbliższych kilku miesięcy.

— Co zatem? — powtórzyłem oszołomiony tym, co usłyszałem. — Aranda

ryzykuje stanowiskiem, wciąż, swoją głową? Przecież mu ją zetną, jeśli Bóg to jego uzna winnym! Nie rozumiem tego.

— Nie sądzę, by oszalał. Możliwe, że postępuje bardzo przebiegle! I to jest ta druga możliwość. Gdy rozeszła się wieść, że Urríesowie opłacili Affrahima, było oczywiste, że trudno będzie znaleźć kogoś, kto zechce walczyć. A przecież walczyć to za mało, ten pojedynek trzeba wygrać! A tu... pomyśl! Taki przybłąda pasuje idealnie. Nawet jeśli przegra, to wystarczy, że ktoś o odpowiedniej pozycji, wcześniej przez Arandę opłacony, podważy szlachectwo tego *Il Nero*. A wtedy, dopóki rzecz nie zostanie dowiedziona, nie można wykonać wyroku! Bywało już tak! Aranda zostanie odsunięty od urzędów, ale ocali chwilowo głowę, i będzie mógł działać, szukać dla siebie ratunku. Rozumiesz? Zyska na czasie! Natomiast gdyby z Bells hom Affrahimem przegrał jakiś znany szermierz, to wyrok zostanie wykonany od razu! Żadnych protestów by wtedy być nie mogło. Więzienie albo kat! Tego samego dnia! A tak... Wiesz, ile potrwa ustalanie szlachectwa rycerza z końca świata? Nawet kilka lat!

— To dobre wyjście...

— Na Behemota, Aaronie! To jest dobre wyjście dla Arandy, ale nie dla nas! To klęska. Klęska! Aranda odsunięty od urzędów, żywy czy martwy, to dla nas śmierć — wykrzyczał Salomon. A potem oddychał głęboko, tłamsząc tunikę na wysokości serca. — Dlatego nie możemy się zgodzić na takie rozwiązanie.

Zaprzagnąłem stąd uciec, bałem się tego, co za chwilę usłyszę.

— I tu możesz... musis mi pomóc. Słuchaj! — mój wuj znów stanął nade mną, władczy, silny. — W chrześcijańskim kalendarzu kończy się już luty, a dziewiątego dnia marca, czyli na cztery miesiące przed datą pojedynku, pergaminy z nazwiskami rycerzy zostaną zalakowane i opatrzone królewską pieczęcią. Potem, bez zgody króla, żadna siła ludzka nie będzie mogła odwołać szermierzy. Chyba, że byłaby to siła boska, czyli śmierć...

— Nie rozumiem...

— Czy byłbyś gotów pozbawić kogoś życia?

— To straszliwy grzech, *aba...* — odparłem cicho.

— Ale już go popełniłeś! I to nie raz! — podniósł głos, a potem wykonał gest, który miał znaczyć „ty i ja wiemy, jak było, nie zaprzeczaj teraz”. — Nie będzie grzechem, jeśli zrobisz to dla ratowania twojego ludu, twojej *aljamy*, twojej rodziny! Przecież mówiłem ci, że idziemy na wojnę!

Głos Salomona wydawał się dudnić w ścianach gabinetu, jakby ten przemienił się nagle w jaskinię. Potem zapadła długa cisza.

— Długo szukaliśmy, aż w końcu się udało. Bienvenist wynegocjował już warunki z pewnym Genueńczykiem — Salomon splunął pod nogi. — Ta włoska gnida zgodziła się walczyć z Bells hom Affrahimem, bo uważa się za lepszego szermierza. Wielu twierdzi, że naprawdę tak jest.

— Czy nie można by skłonić don Arandy...

— Próbowaliśmy przekonać go do zmiany szermierza. Wszystko na nic — Salomon rozłożył ręce. — Może się okazać, że pozbycie się tego Sulimy będzie jedyną szansą na nasze ocalenie. Kapitan de Lucio już dawno chciał to zrobić. Okazji po temu było aż nadto. Ale ja się sprzeciwiłem i nadal się sprzeciwiam... Morderstwo to prostacka metoda, godna zbójów... Poza tym

Aranda to nie byle pacholek, zacząłby nas podejrzewać... Szukam innego rozwiązania, ale go nie znajduję, a czasu coraz mniej. Dlatego muszę mieć taką możliwość w zanadru.

— Kto podejmie decyzję?

— Ja, Aaronie, ja sam. Mam nadzieję, że mi ufasz... Tak wszystko zaplanowałem, że do dnia pojedynku będziesz blisko Zawiszy. Zaufasz mi?

Nie umiałem znieść wyczekującego napięcia we wzroku wuja i lekko skinąłem głową.

— Dlaczego ja?

— Bo za chwilę Aranda otoczy Zawiszę murem, nikt nie będzie miał do niego dostępu, ale ty pozostaniesz w jego otoczeniu. Zadbam o to. Ciebie nie będą podejrzewać. Tak już jest....

Salomon wciąż wbijał we mnie wzrok.

— Zostały cztery miesiące. Zaufaj mi! — powtórzył. — Możesz zmazać swoje winy, spłacić dług wobec *aljamy*, wobec mnie. Nie czynem, nie, samą gotowością. Musisz mi ją obiecać, a przebaczę ci, *aljama* ci wybaczy... te wszystkie straszne rzeczy, które popełniłeś.

CZEŚĆ II

LOARRE

I

Gdy minęliśmy Puerta del Puente, północną bramę Saragossy, uderzył w nas silny, chłodny wiatr. Drogę przez most oświetlały pochodnie rozpalane przez strażników dla pierwszych podróżnych opuszczających miasto jeszcze o zmroku. Nagłe podmuchy porywały znad Ebro strzępy mgły i pchały je w stronę murów, by za chwilę znów gdzieś je unieść; w migotliwym świetle pochodni wyglądało to jak gonitwa topielczych duchów siłą wiatru uwolnionych z odmętów rzeki.

Świt 31 dnia marca 1390 roku miał dopiero nadejść. W całkowitych ciemnościach wjechaliśmy na stary rzymski trakt w kierunku Hueski.

Tak rozpoczynałem moją drugą podróż do Loarre. Towarzyszyli mi, tak jak poprzednio, Rodrigo i Bernat. I tak jak wówczas podróż upływała w milczeniu — do pierwszego postoju i pierwszego opróżnionego bukłaka. Potem już każdy będzie miał tyle do powiedzenia, że nie starczy dnia ani nocy.

Powoli wstawał dzień, ciemność ustępowała, aż w końcu wyłoniła się z niej tak dobrze mi znana rozległa, nudna równina, urozmaicona jedynie zielonymi wstęgami drzew ciągnącymi się wzdłuż rzecznych koryt. Ciemnoszare zwały chmur i zimny wiatr wpędzały w ponury nastrój. Przywołałem w pamięci pierwszą podróż do Loarre. Szedłem tą samą drogą, po tych samych kamieniach, patrzyłem na te same widoki. Ale wszystko wtedy było inne.

Ayhe miałem zobaczyć w święto Pesach. Wyprosiłem u Salomona zgodę na powrót do Saragossy na ten czas, mimo iż czternasty dzień Nisan wypadał już za siedem dni. Mój wuj, za namową żony, zaprosił Saracenkę na ucztę sederową, a Sticker, jej nowy właściciel, wyraził zgodę. Po raz pierwszy od tamtego strasznego poranka Ayhe miała spędzić z nami cały wieczór i zostać na noc. To miało być jej ostatnie żydowskie święto, gdyż Sticker zapowiedział, że wkrótce ją ochrzci. Estera zapewniła mnie, że coś wymyśli, aby zatrzymać niewolnicę u siebie przez kilka dni dłużej. Miała swoje sposoby na handlarza, nie wiedziałem jakie, nie obchodziło mnie to; Niemiec bał się mojej macochy, bał się jej bardziej niż Salomona.

Powiedziałem Esterze, że Sticker musi zgodzić się na co najmniej siedem dni. Tyle potrzebowałem czasu, aby przemycić Ayhe do Maghrebu. Juan Sánchez doradził mi, jak sprawnie i bezpiecznie tego dokonać.

Plan zakładał, że już pierwszego dnia po Pesach ja i Ayhe wyjedziemy z Saragossy, a Estera zgłosi ucieczkę niewolnicy dopiero w ostatnim dniu. Wówczas powinniśmy już być w Walencji. Tam Ayhe miała dołączyć do grupy prostytutek wysyłanych do jednej z enklaw handlowych, *alhondigas*, w Maghrebie. Jako że w *alhondigas* kobiety były cenniejsze niż złoto, kupcy udający się na afrykańskie wybrzeże chętnie składali się na łapówkę dla

strażników portowych, by ci, kontrolując ładownie, omijali wzrokiem kolorowe spódnice. Trzeba było tylko umieścić niewolnicę na statku. Juan Sánchez utrzymywał dobre relacje z pewnym kapitanem i obiecał wyposażyć mnie w list polecający, dzięki któremu Ayhe miała zostać wzięta na pokład bez zbędnych pytań. Moim zadaniem było wręczenie kapitanowi odpowiednio ciężkiej sakiewki.

Dzięki temu, że Salomon uczynił mnie prokurentem kilku spółek handlujących z Maghrebem, poznałem wielu tamtejszych Żydów. Jeden z nich obiecał odebrać Ayhe ze statku i przetrzymać u siebie w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. Najbliższy statek z zaprzyjaźnionym kapitanem odpływał na początku kwietnia. Znalezienie kryjówki w Walencji nie powinno przysporzyć większych trudności. To wszystko miało potrwać najwyżej dwa tygodnie. Tak wszystko zaplanowałem, by wrócić do Loarre i wypełnić misję zleconą mi przez Salomona.

Nie byłem tylko pewien, czy Ayhe się na to zgodzi. To ona ryzykowała największej. Przyłapaną na ucieczce zapłaciłaby srogą karę. Ale muszę ją przekonać! Tylko tak możemy być razem. W Maghrebie, Aragonii czy na dnie morza.

Wszystko zależało teraz ode mnie — jak wypadnę przed Arandą i jego urzędnikiem. Od kilku tygodni informatorzy Salomona donosili, że Aranda przestraszył się otwartego konfliktu z możnowładczym rodem Urríesów. Jeśli to była prawda i nie zyskalibyśmy jego wsparcia w królewskiej kancelarii... wszystko runie. Przyszłoby mi się pożegnać z bogactwem, do którego tak się już przyzwyczaiłem, nawet go nie zakosztowawszy. Jak opłacam ucieczkę Ayhe? Co się ze mną stanie? Trafię na ulicę?

Pogrążony w myślach zupełnie zapomniałem o moich towarzyszach. Rodrigo zrównał się ze mną i pytając uniół brwi.

— Co to za ponura twarz? — zagadnął. — Następca tronu pyta, czy mamy wino.

Spojrzałem za siebie. Bernat pochylał się z siodła nad wozem i unosił w różnych miejscach derkę zakrywającą prowiant. Wstrzymałem konia, aż wóz i Katalończyk zrównali się ze mną.

Wtedy opowiedziałem im o aresztowaniu i sprzedaży Ayhe. Już podczas pierwszej podróży otworzyłem przed nimi duszę, więc nie musiałem nic więcej tłumaczyć. W geście współczucia zwiesili głowy.

— Znamy tego Stickera. To wieprz. Szliśmy z nim od Almuđer do Pampeluny. Kilka razy do Ayerbe — oznajmił Bernat.

Sticker, jak mi wyjaśnili, wynajmował żołnierzy z Loarre jako eskortę. Wszystkie załogi zamków zarabiała w ten sposób. Ciężkie czasy.

— Czego on szukał u Urríesów w Ayerbe? — spytałem.

Bernat wzruszył ramionami.

— Pewno pieniądze. Obsadza niewolnicami przydrożne karczmy. Nie na głównych traktach, ale tych bocznych, gdzie ludzie są mniej dociekliwi, gdzie się jedzie z towarem, a nie gada, rozumiesz. Do Ayerbe też woził niewolnice. Tam pożera je stary Urríes i młody baron, Juan. Ten Juan gustuje właśnie w Saracenkach, takich jak twoja, tylko każe je sobie wcześniej ochrzcić. To przecież bogobojni chrześcijanie...

— Sticker to może i wieprz, ale nie osioł — przerwał mu Rodrigo. — Dużo z nim gadałem po drodze. Handlarz oddaje do karczmy taką dziewczkę na dwa lata. Niby na służbę. Karczmarz nic nie płaci. Ma ją tylko odziać, nakarmić i zapewnić dach nad głową. I oddawać Stickerowi połowę zarobków, jakie wyciśnie z jej skóry. W jaki sposób ją wykorzysta, Stickera to nie obchodzi. Ale nie może to być mniej niż cztery soldy miesięcznie. Tyle na przykład uzgodnił z karczmarzem z Lupiñén, gdzie spaliśmy. Teraz też się tam zatrzymamy — mrugnął do mnie okiem. — No jak ma taka zarobić cztery soldy w miesiąc? Przędzeniem? Wróceniem z ręki?

Rodrigo przerwał, bo mijaliśmy grupę *yangüeses*, kastylijskich mulników prowadzących kilkanaście zwierząt załadowanych sztabami żelaza. Rodrigo wlepił w nich swoje puste oczy, jakby szukał zaczepki.

— Po dwóch latach niewolnica wraca do niego — ciągnął po chwili — trochę zużyta, ale co, zwykła baba się nie zużywa? Aaron, nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to interes. U mądrego Żyda służysz, ale i od tego Niemca byś się dużo nauczył.

Nie wątpiłem. Już zdążyłem się dowiedzieć od mojego gospodarza, że w Saragossie podatki z burdela zapewniają jedną piątą wpływów do miejskiej kasy. Dlaczego w podróży ludzie mieliby mniej płacić?

— De Lucio powinien zainwestować w handel. Ci tragarze — Rodrigo odwrócił się w siodle za mulnikami — szli z Nawarry, nie ze swoim towarem. Tam teraz każdy, kto ma trochę oleju w głowie, sprzedaje stada, stawia piece i kopie w ziemi. To jest przyszłość. W Saragossie i Calatayud sprzedasz każdą ilość żelaza i miedzi.

Spojrzałem na Rodriga. Mówił poważnie. Nie spodziewałem się usłyszeć takich słów z jego ust. A potem powrócił do przerwanej wątku.

— Aaron, wykup Ayhe — mówił — walcz! Sticker to oszust. Ma układy, ale ty też masz. Prędzej czy później coś na niego znajdziesz. Jak go skażą, to zlicytuj majątek i kupisz Ayhe. I spiesz się. Sticker takiej sarenki do byle gospody nie odda, ale diabli wiedzą, co mu do łba przyjdzie. To świnią, ciągnie go do błota.

Bernat, patrząc na mnie, nieznacznie kiwnął głową. Mieli rację, należało się spieszyć. Gdybym mógł, zawróciłbym już teraz do Saragossy.

Moi towarzysze byli dwa, może trzy lata starsi ode mnie. Rodrigo Cervera przypominał niedźwiedzia; z pozoru ciężki, niezdarny, ale podobno nie miał równego sobie w walce na pięści. Zadawał piekielnie szybkie i mocne ciosy z obu rąk. Miał też talent do miecza. Urodził się jako trzeci syn Rodriga Cervery, jednego z najwierniejszych wasali Alfonsa d'Aragó, hrabiego Denii i markiza Villeny. W jego żyłach płynęła więc gęsta szlachecka krew, już dawno powinien być pasowany na rycerza. Wydarzyło się jednak coś, co sprawiło, że Rodrigo Cervera, ojciec, cudem uniknął więzienia, a starsi synowie, już na służbie u Alfonsa d'Aragó, zostali zdegradowani na pośledniejsze funkcje. Najmłodszy, noszący po ojcu imię Rodrigo, nie został przyjęty do orszaku hrabiego, odroczone też jego pasowanie na rycerza. Jak sam twierdził, trzeba poczekać kilka lat, aż cała brudna woda spłynie do morza. Na ten trudny czas ojciec wybrał dla niego służbę u kapitana de Lucio, a ten, z uwagi na ich dawną znajomość, nie odmówił. Rodrigo przewyższał mnie o głowę, ale nie było tego widać, gdyż się garbił. Idąc, zamaszycie

wymachiwał rękami, jakby był niespełna rozumu. Jego brzydka twarz, o grubych, chłopskich rysach, wyrażała najczęściej zadowolenie — z życia, z siebie, z towarzystwa, ze wszystkiego.

Bernat Barutell z kolei pochodził z Fragi, z rodziny osiadłych tam katalońskich kupców. Nazwisko mogło się wydać pomyłką, ale jak twierdził Bernat, nią nie było. Już niedługo miało się okazać, czy rzeczywiście Bernat miał prawo je nosić. On sam upierał się, że tak. Utrzymywał, że jest nieślubnym dzieckiem Berenguera Barutella, szwagra samej Sybilli de Fortià, czwartej żony Piotra IV, króla Aragonii. Łączyłoby go więc powinowactwo — dalekie wprawdzie, ale jednak — z rodziną królewską. Wyśmiewano się z niego. Kapitan de Lucio nakazał jednak, by tak go wołano, Barutell, więc załoga się podporządkowała. Mimo rozkazów kpinom nie było końca. Prości żołnierze z zamku znaleźli upodobanie w nękaniu i znęcaniu się nad Bernatem. Z jednej strony mu nie wierzono, z drugiej zaś — poniżanie w zupełnej bezkarności członka królewskiej rodziny, choćby tylko domniemanego, stanowiło nie lada atrakcję. Przeżył ostatni rok w zdrowiu tylko dzięki Rodrigowi, bo ten, choć także nie wierzył w błękitną krew Bernata, stanął po jego stronie.

Barutell był postury mizernej, ale od dziecka ćwiczył się w strzelaniu z łuku, przez co potrafił go napiąć z siłą, o jaką go nie podejrzewano. Sposób poruszania się, ułożenie ramion, postawa, nadawały mu wygląd tchórza. Sam przyznawał, że boi się bitew, nie wyobrażał sobie walki wręcz, patrzenia wrogowi w oczy. Ustępował nawet w zwykłej kłótni, by nie prowokować rozmówcy. To wrażenie niepewności potęgowały kłótnie z wysokim łukiem brwi i duże, okrągłe, nieco wylupiaste oczy, nadające jego twarzy wyraz nieustannego zdziwienia. Trudno się było do tego przyzwyczaić. Mimo że była to już druga nasza wspólna podróż, za każdym razem, gdy na mnie spojrzał, zastanawiałem się gorączkowo, cóż go tak we mnie dziwi.

Te uniesione przez naturę brwi musiały wycisnąć piętno na jego charakterze, bo często popadał w zadumę i wąpił w rzeczy, które inni przyjmowali za oczywiste. Dziwił się na przykład, dlaczego ludzie tak łatwo dają się nabierać na piekło. Albo — skoro Bóg stworzył trzy religie abrahamowe, to skąd wiadomo, która jest najlepsza. W ogóle w bluźnierstwie znajdował wielkie upodobanie. Mówił, że boi się tylko tego, co jest zbyt blisko, by to ustrzelić z łuku. A Bóg jest daleko; jakby chciał podejść, człowiek zawsze zdąży wycelować.

Nie chodził do spowiedzi.

— Chrześcijanie z Fragi — powiedział mi kiedyś — wyznawali grzechy mojemu bratu, gdy ten miał jedenaście lat, bo w tym wieku zrobiono z niego przeora, wy Żydzi kiwacie się przed ścianą, jakby to coś wam miało pomóc, a nie pomaga. To ja, kiedy mi przyjdzie ochota, wypowiadam się przed ogonem mojego konia. Może być? Zawsze mam go pod ręką.

Nazywano go przez to heretykiem, złym chrześcijaninem, *mal cristiano*. Kiedy przesadził i został aresztowany: podczas mszy w kościele San Pedro i uczczenia relikwii Świętej Urszuli (które swą cudowną mocą odwracały od grzechu rozpusty kobiety Fragi), gdy kościół pełen był rozmodlonych kobiet, zadarł tunikę i wykrzyknął w ich stronę „Oto wasz święty!”.

— Wszystko przez to — tłumaczył — że mam brata duchownego i wiem, jak to wszystko wygląda od środka.

Ów domniemany brat, Berenguer Barutell, robił dzięki królowej Sybilli zawrotną karierę: gdy miał dziesięć lat, został klerykiem katedry w Gironie, jako jedenastolatek otrzymał godność przeora kościoła San Pedro we Fradze. Gdy był gospodarzem Kortezów, które odbywały się w tym kościele sześć lat temu, miał zaledwie czternaście lat. Bernat twierdził, że Berenguer nie chce się do niego przyznać, by nie narażać na uszczerbek swojej kariery i nie kompromitować nazwiska Barutell. Bernat jako dowód na to, że przeor Fragi jest naprawdę jego bratem, podawał swoją bezkarność. Mimo swych bluźnierstw nie poniósł żadnych poważnych konsekwencji! Nie wytoczono mu procesu. A on chętnie stanąłby przed sądem, by tam wszystko ogłosić.

Ale Rodriga to nie przekonywało.

— Nie trafił na dłużej do lochów, bo mieli go za wariata, poza tym zawsze był pijany — orzekł.

Bernat wrócił tymczasem do poszukiwań wina. Bukłaki wrzuciłem na mały wóz, na którym moi towarzysze wieźli żywność oraz broń i kolczugi, gdyż podczas drogi, dla wygody, zakładali na siebie jedynie gęsto pikowane ciepłe tuniki i wełniane nogawice. Mnie również wyposażył Salomon w wygodne odzienie: dostałem płócienną koszulę, przesywany kaftan do połowy ud, krótkie kalessony i ciepłe nogawice, które mogłem sobie rolować pod kolanami, jeśli robiło się za ciepło. Dostałem to wszystko w prezencie od Bienvenista. Ten dość wygodny i, sądząc po zdobieniach, bogaty strój dostał w zastaw pod pożyczkę dla jakiejś chrześcijanki, której mąż zginął jeszcze w wojnie Dwóch Piotrów. Kobieta pieniędzy nie oddała, więc ubiór został u Żyda. Jak wytłumaczył mi Salomon, było to odzienie, które rycerze wkładali pod kolczugę. Kiedyś było nie do pomyślenia, by wystąpić w czymś takim publicznie, ale teraz moda się zmieniła i nie miałem się czego wstydzić. W każdym razie — wyglądałem jak chrześcijanin i to znacznie wyższy rangą i majątkiem niż moi towarzysze.

— Takie samo jak ostatnio? — krzyknął Bernat w moją stronę, podnosząc ponad głowę znaleziony bukłak.

— Dużo lepsze!

Bernat przytknął naczynie do ust i zadarł głowę na tak długo, że gdyby świeciło słońce, wypaliłoby mu oczy.

— Ile...!? — Rodrigo podjechał do niego i wyrwał mu bukłak. Opróżnił go do połowy, zakorkował i rzucił prosto w moje ręce. Nie ujechaliśmy jednej mili, gdy rozwiązały się nam języki. Każdy miał znów coś ważnego do powiedzenia.

— Aaron, po co ty właściwie jeździsz do Loarre? — spytał w końcu Rodrigo.

Wiedziałem, że kiedyś padnie to pytanie. Bolało mnie, że nie mogłem zdradzić im całej prawdy. Przed pierwszą podróżą ustaliliśmy z Salomonem, że jako powód moich podróży do Loarre będą podawał negocjowanie zwrotu pożyczek, które przez lata zaciągał de Lucio. Zresztą było w tym dużo prawdy.

Tak też im powiedziałem. Rodrigo nie wydawał się przekonany.

— Wczoraj miał do Loarre przyjechać Aranda. Czekaj na ciebie. Francisco de Aranda we własnej osobie. Rozumiem, gdyby chciał się spotykać z Bernatem... w końcu rodzina królewska...

Bernat wzruszył ramionami na znak, że nudzą go te przycinki.

— Nie wiem, po co przyjechał Aranda — odparłem. — Wiozę kilka listów. Do Saragossy mam wrócić z informacją, kiedy de Lucio odda pieniądze.

— Chcesz wiedzieć kiedy? — zaśmiał się Rodrigo. — Nigdy! Loarre jest zrujnowana. Kapitan robi co może, ale nie daje rady. Jeszcze raz postawił na szafran. Ale jak w tym roku znów mu zniszczą plony, to koniec! — Przerwał, spojrzał na Bernata, by zachęcić go do mówienia, ale ten milczał, więc ciągnął dalej: — Ludzie widzieli już małe grupy almogawarów na północ od Aniés, dwie godziny marszu od Loarre. To zwiadowcy. Za nimi przyjdą całe bandy. Kapitan twierdzi, że oplaca ich Juan de Urriés. Poleje się krew, Aaronie. Almogawarzy są jak zaraza. Wystarczy, że podejdą pod mury. Ludzie się schowają, ale upraw i ziemi ze sobą nie wezmą. To dla Loarre jak śmierć.

— Od sześciu miesięcy nie dostajemy żołdu. Żarcie jest coraz podlejsze — wtrącił teraz Bernat. — Bunt wisi w powietrzu. De Lucio jest sławny, ma posłuch, ale o nim też zaczynają już różnie gadać. Obiecuje nam ziemię, jeśli Loarre się wybroni. Każdy z żołnierzy będzie mógł się osiedlić na własnym. Tylko to ich trzyma w korbach, ale to kwestia czasu, bo coraz mniej ludzi w to wierzy.

Na posiłki zatrzymywaliśmy się przy rosnących bliżej traktu grupach dębów, które nie gubiły na zimę liści i dawały wrażenie dachu nad głową. Zsiedliśmy z koni przy pierwszym napotkanym drzewie. To był piękny dąb: gęstą, rozłożystą koroną podtrzymywały trzy muskularne ramiona splecione w jeden pień.

Nim usiedliśmy, opierając plecy o szorstką korę, moi przyjaciele zabrali z wozu nowy bukłak wina, a ja stos pergaminowych kartek o takim samym formacie, pasujących dokładnie do wymiarów drewnianej skrzynki, w której je przechowywałem. Mniej więcej połowę kart pokrywało z obu stron drobne pismo, reszta była czysta.

— Co to? — spytał Bernat, zaglądając mi przez ramię. — Listy?

— Nie. Kronika, pamiętnik — odparłem.

— Czyli co?

— Od kilku miesięcy zapisuję wszystko, co widzę i słyszę. I trochę z przeszłości...

Rodrigo, nie odstawiając ust od bukłaka, rzucił mi szybkie spojrzenie.

— O nas też piszesz? — spytał, gdy przełknął wino.

— Sprawię, że zmartwychwstaniecie...

— Błuznisz! — zawołał Rodrigo, ale w jego oczach pojawiło się zaniepokojenie. — Jak?

— W kościele w Lasieso arabscy kamieniarze wymieniają podłogę. Już z nimi wszystko ustaliłem. Skrzynię z pergaminem owinę szczelnie w kozią skórę i umieszczę pod posadzką kościoła. Podobno następny taki remont będzie potrzebny za dwieście, trzysta lat. Wyobrażasz sobie? Waszych kości już nie będzie, ani kości waszych wnuków nie będzie, ale wasze słowa zostaną, na zawsze.

— Na królewskich dworach spisywane są kroniki. Kto będzie czytał te twoje?

— Tamte kroniki zapamiętują tylko wielkie czyny królów, a ludzie chętnie powietlają o drobnych grzechach Bernata Barutella... Znam mnichów, którzy za niewielkie pieniądze zrobią mi wiele kopii. Pochowam je pod posadzkami kościołów na całym świecie. Stanę się nieśmiertelny! Wszyscy, których opiszę, będą żyli wiecznie.

Nagle poczęli się kłócić i przekrzykiwać jeden drugiego, jaką to opowiedzieć mi historię, tak bym zapisał ją teraz, pod tym drzewem, na pamiątkę naszej przyjaźni.

— Napisz, że Trastámarowie mają kastylijski tron tylko dzięki kapitanowi de Lucio — uzgodnili w końcu. — Pod Nájera uratował Henryka Trastámarę. Żaden królewski kronikarz o tym nie napisze.

Bernat zerwał się na nogi i chwiejąc się lekko, stanął naprzeciw mnie, abym go lepiej słyszał.

— Nájera! Co to była za bitwa! Angielscy łucznicy zgotowali Kastylijczykom i Francuzom rzeź. Aaron, to było jak pod Crécy! Aragonia trzymała się z boku. Ale nasz król zawsze wspierał Trastámarów, więc trochę rycerzy i piechoty poszło. W tym mój brat. Napisz o nim! De Lucio miał zwać nad bezpieczeństwem Henryka. Sam dobrał sobie do tego dwunastu konnych. Nasz król przeczuwał klęskę Trastámarów, ale nie chciał śmierci ani niewoli Henryka, bo to oznaczałoby powrót do władzy tego kastylijskiego wariata Piotra i nową wojnę.

Uważnie notowałem. Nie słyszałem nigdy o Crécy ani o bitwie pod Nájera. Wino rozgrzewało mi trzewia i umysł. Zadrościłem chrześcijanom wojennych bohaterów. Żydzi czcili tylko mędrców i męczenników.

— De Lucio, gdy już było wiadomo, że bitwa jest przegrana, otoczył Henryka w dwanaście koni i siłą wyciągnął z pola bitwy. Wszyscy myśleli wtedy, że Trastámar uciekł w kierunku Sorii. Owszem, ale tylko jego koń i jego giermek. Zresztą zaraz dopadli ich Anglicy. De Lucio tymczasem ruszył na most w Nájerce.

Bernat pociągnął spory łyk z bukłaka.

— Napisz jeszcze o tym moście. Na nim zginął mój brat. Napisz, że był bohaterem.

Skinąłem głową i zawiesiłem pióro nad pergaminem.

— Pisz! Most szeroki na sześć łokci. Jedyna droga ucieczki. A na moście setka angielskich łuczników, bo już zdążyli okrążyć wojska Trastámary. De Lucio poszedł wprost na nich. Dwanaście koni, a w środku przerażony Henryk. Podobno ludzie przestali walczyć, żeby móc to zobaczyć. Gdy w pełnym galopie wpadli na most, to strzepy angielskiego ścierwa wyrzucało aż pod chmury. Przedarli się, zostawiając za sobą krwawą miazgę. Potem na moście zaczęła się rzeź, bo Anglicy pchnęli tam trzy razy więcej ludzi i uciekająca piechota Trastámarów już nie miała jak przejść. Topili się setkami w rzece, a kto nie utonął, to go dźgali na jednym lub na drugim brzegu. Gdyby de Lucio zwlekł choćby jeden pacierz, nie byłoby dziś Trastámarów na kastylijskim tronie. A Aragonia pewno byłaby już Kastylią.

Rodrigo podparł się na łokciach i przytaknął Bernatowi.

— Dobrze mówi. No więc jak de Lucio ogłaszał rekrutację załogi do zamku, to nikt nie pytał o żołd. Każdy stawał i modlił się, żeby go wzięli. Mogłem

służyć u hrabiego d'Aragó, wiesz, co to znaczy? A wybrałem służbę pod naszym kapitanem. Bo on docenia wojenne rzemiosło. Ten chuchrak, patrz — wskazał nogą na Bernata — jaki mały konus. Wiecznie zdziwiony wytrzeszcz. Ale pokazał, co potrafi zrobić z łukiem i kuszą... De Lucio sam po niego pojechał. Bernat, jak to było?

— Na drugi dzień po zaciągu. Żadne tam pisma. Pod dom podjechał sam de Lucio. I jeszcze czterech. Wszyscy w pełnej gali. Konie waliły kopytami w ziemię, aż się dom zatrzęsł. Miałem chwilę na spakowanie i tyle dom widziałem. Od bitwy pod Nájera de Lucio ceni łuczników.

Bernat stał przed nami wyprostowany, a z jego oczu biła duma.

— Nie patrzy, czy szlachta, czy chłop, czy mieszczanin — mówił dalej Katalończyk. — Załoga Loarre to prości żołnierze, ale jest trochę drobnej szlachty, ze trzech, czterech.

— Co to za szlachta! — oburzył się Rodrigo. — Jakieś kundle, jak ty...

A potem zaczął wyliczać:

— Jest Jimeno de Samper, Fernando Vélez de Guevara, Martín Clavilla... To szlachta i rycerze, owszem, i czasami stają na murach, ale to drużyna turniejowa, a nie załoga zamku. Zarabiają na turniejach.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Zapytałem ich o tę trójkę rycerzy.

— Tylko oni z całej załogi dorzucają coś sobie do sakiewek — powiedział Rodrigo. — Połowę zarobku oddają kapitanowi, ale to uczciwy interes. Nie ma miesiąca, żeby nie stawiali na jakimś turnieju. Przeważnie przywożą broje, trofea, czasami też jakąś nagrodę. Ale sama taka broja to trzydzieści, czterdzieści florenów, a nawet więcej, jak się trafi jakiś synalek hrabiego. Majątek. Jest taki Żydek, który się kręci wokół nich i skupuje te broje.

— Rodrigo miał nadzieję, że wejdzie na miejsce Jimeno de Sampera, ale chyba nic z tego. Na turniej do Daroki pojechał ten *Polono* — wtrącił się Bernat.

— Czemu on? — spytałem.

Rodrigo strzyknął czerwoną od wina śliną pod kopyta mojego konia.

— Miguel de Bernabé go wystawia. A to on decyduje. Wiesz, kto to jest Miguel de Bernabé?

Pokręciłem głową.

— To stary towarzysz broni de Lucio, jeszcze z czasów wojny z Kastylią. Teraz w Loarre dowodzi załogą. Tyle że Bernabé to baba — Rodrigo pogardliwie wyduł wargi — Jimeno de Samper, jeden z tych turniejowych, już od dawna jeżył na niego grzbiet jak zbuntowany pies, co to nie ugryzie, ale warczy i nie słucha. A Bernabé nic, nadstawiał tylko drugi policzek, jakby święcenia przyjął. Za przykładem Sampera cała trójka turniejowych zaczęła robić, co im się podobało. Kiedy szli na turniej, to potrafili na chędożeniu po gospodach kilka tygodni zwłóczyć, nim się z powrotem stawili. Reszta załogi to wszystko widziała i już zwykle ciury zaczęły szczać dowódcy pod nogi. Wszystko się zmieniło, jak się ten Sulima pojawił. Po kilku miesiącach Bernabé zaproponował, że go zrobi swoim zastępcą, a kapitan to poparł.

— Przyjął? — spytałem.

— Młody, głupi, to przyjął. I wziął się do roboty, to trzeba przyznać. Prostych żołnierzy, jak mu który krzywo spojrział, to walił po pysku. I dobrze, bo tak

z chamami trzeba. Szybko wróciła dyscyplina. Ale tak się przejął rolę, że nawet na szlachtę zaczął hardo spoglądać, na tych turniejowych... No i w końcu musieli sobie do gardeł skoczyć. Tydzień temu, tak, Bernat?, w ubiegłą sobotę pobili się z Samperem. Mieli ćwiczyć w parach, jak zwykle, ale jak tylko stanęli w kole, to rzucili się na siebie jak koguty. Jakby ich diabeł opętał. No i Sulima go pobił...

— Pobił? Ośmieszył Sampera — Bernat, który się pilnie wszystkiemu przysłuchiwał, aż uniósł się w siodle — wkręcił go w piasek. Walił w niego jak pastuch kijem po krowie. Mieli drewniane miecze, a i tak powybił mu zęby, złamał nos...

— Bo Samper źle chodzi — przerwał mu Rodrigo. — Za sztywno stoi na nogach, zawsze to mówiłem. Na turniejach sobie radzi, ale z kimś naprawdę szybkim nie ma szans. Ręce ma silne, ale jest za wolny w nogach. Ja też bym Samperowi dał radę. Temu przybłędzie też. Na prawdziwe miecze, nie na patyki.

— Mówię tylko, że go ośmieszył, a nie powinien — upierał się Bernat. — Jest tu gościem. Nie mówię, że miał się dać obić. Ale nie powinien tak ośmieszać Sampera. Ma teraz całą załogę przeciwko sobie. Wiem, bo stałem z ludźmi, i wszyscy byli za Samperem. Teraz Samper wypowiedział służbę. A to źle.

— Mówią, że ten Sulima... że to ze strachu... — powiedział Rodrigo.

— Nie wierzę! — zakrzyknął Bernat.

— Aaron — pytał Rodrigo — słyszałeś o tym pojedynku sądowym? U nas wszyscy już o tym wiedzą...

Gdy kiwnąłem głową, odwrócił się do Bernata:

— Gdybyś wiedział, że za chwilę staniesz do koła z Bellsem hom Affrahimem... ciekawe, Bernat, jak byś ty... co? Chciałbym cię zobaczyć z takim wyrokiem śmierci.

— No, ale to pojedynek... wszystko się może zdarzyć...

— Nie z tym Żydem, Bernat, to szatański pomiot i nikt nie da mu rady.

Przy Almuódevar pożegnaliśmy główny trakt, kamienny, wygodny, szeroki na dwa wozy i odbiliśmy w lewo na podlegszą bitą drogę. Mijaliśmy podróżnych i sporo wozów kupieckich. Mimo że droga była gorsza, szlak wydawał się bardziej uczęszczany.

Do Lupiñén dotarliśmy tuż przed zapadnięciem zmroku. Byliśmy głodni, bolały nas głowy od wypitego wina i ostrego wiosennego wiatru. W gospodzie nie było już miejsca, więc karczmarz zaoferował nam pokój w jednym z pobliskich domów. W miejscowościach leżących przy szlakach gospody były często przepelnione i ludzie dorabiali sobie, wynajmując izby na jedną noc. Zapytał od razu moich kompanów, czy chcą kobiety.

— Co cię tak dziwi, chłopcze? — zapytał karczmarz Bernata. — Nie chcesz, to mów.

Nim Bernat zdążył odpowiedzieć, Rodrigo wyszedł przed niego, by omówić szczegóły i cenę. Ja jako Żyd nie byłem brany pod uwagę przy ustalaniu stawki za prostytutkę. Zresztą i tak nie miałem ochoty skorzystać.

Nasz pokój był niewiele większy od mojej izby w domu Salomona. Miał małe zakratowane okno; bo zapachu i zniszczonych belach można się było domyślić, że jeszcze niedawno służył za chlewik.

Rodrigo oznajmił nam, że zapłacił całe dwa soldy karczmarzowi. To była cena za nocleg, śniadanie i prostytutkę.

— Zachwalał tak, że się dałem namówić — powiadał. — To jakaś świeża niewolnica, ale już ochrzczona. Magdalena. Boże, ci ludzie nie mają wstydu! Ale obiecał, że na rozliczeniu podpisze nam kwotę jako całość. Don Solsona każe nam za dziwki płacić z własnych sakiewek. Aaron, tylko się nie wygadaj.

Czuliśmy wszyscy znuzenie drogą i chłodem. Bernat odwrócił się do ściany i zasnął natychmiast. Zaczął chrapać jak stary pies i puszczać wiatry. Rodrigo walił go łokciem, ale to pomagało tylko na chwilę.

Znajdowałem się już na granicy snu, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Rodrigo podniósł się z siennika i odciągnął zasuwę. Do izby weszła młoda dziewczyna z lampą w ręku. Jej rozpuszczone włosy, postać, sposób chodzenia wydały mi się znajome, ale wypite wino sprawiło, że pamięć miałem popłataną w węzły.

Rodrigo zrzucił z siebie ubranie. Izba wypełniła się kwaśnym smrodem jego zwalistego ciała. Dziewczyna postawiła na małym stoliku w kącie pokoju cienką świecę, która miała odmierzać czas jej pobytu. Poznałem te zasady u mojego gospodarza w Saragossie. Specjalnie odlewane świecek wyznaczały czas, jaki dziewczyna ma spędzić z klientem. Płaciło się za grubość i długość świecy. prostytutki, które pracowały w tym systemie, nazywano *chicas de la candela*, czyli „świecowe dziewczki”.

— Zgaś to. Zapłaciłem tyle, że zostaniesz do rana.

Nim dziewczyna zdmuchnęła płomień, zobaczyłem, jak Rodrigo ruszył w jej stronę na czworakach. Plecy i pośladki miał owłosione niczym niedźwiedź. Sięgał po nią łapą, gdy pokój pogrążył się w ciemności.

Rodrigo stękał i chrypiał przez pół nocy. Dziewczyna od pewnego momentu nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Słychać było tylko głucho, miarowe uderzenia łokci albo kolan o deski podłogi. W końcu wszystko ucichło, nawet Bernat przestał chrapać. Przerazenie na myśl, że tak może skończyć Ayhe, długo nie pozwoliło mi zasnąć.

Na granicy jawy i snu doznałem nagłego olśnienia. Już wiedziałem, skąd znałem prostytutkę — to była ta młoda arabska niewolnica z placu de la Victoria, której nikt nie zdążył kupić, bo przerwano licytację.

Gdy się obudziliśmy, dziewczyny nie było. Odetchnąłem z ulgą. Bałem się, że Rodrigo zadusił ją swym wielkim cielskiem i rano znajdziemy ją martwą.

Gospodyni dała nam śniadanie: gęstą zupę fasolową, duży bochen chleba do podziału i po plasterze twardego sera. Pierwszy raz w życiu jadłem ciepłą fasolę na śniadanie. Im dalej na północ, tym zwyczaję były dziwniejsze. Ruszyliśmy w dalszą drogę, nie zaglądając już do karczmy. Pochwaliłem się, że rozpoznałem dziewczynę.

— To możliwe — potwierdził Rodrigo. — Karczmarz zdążył mi się poskarżyć, że Sticker dowiózł mu nowe niewolnice kilka tygodni temu. Są jeszcze nie wprawione, szybko się męczą i przez to marnie zarabiają.

Postanowiłem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ją wyzwolić.

Im dalej na północ, tym robiło się chłodniej. Gdy droga przybliżała się do rzeki, spowijały nas mgły. Nie robiliśmy już postojów, jedliśmy i piliśmy w siodle. Trzeba przyznać, że wino Dolza i Vidala Abnarrabich smakowało tego roku wybornie.

Salomon za każdym razem, gdy udawałem się w drogę, upychał na wozie beczkę albo dwie. Nigdy nie były to podarki. Pieniądze ze sprzedaży wina miały pokryć koszty, jakie ponosiłem w drodze. Podróż to zawsze okazja do interesu, mawiał stary Żyd. Nie skorzystać — grzech. Ciężki grzech, po którym można się spodziewać srogiej kary. Nie nazywał tego chciwością, ale przywoitością, bo kiedyś może takiego uczciwie zarobionego solda zabraknąć komuś potrzebującemu. Byłem szczerze zdziwiony, gdy odkryłem w dokumentach, jak wielkie sumy przeznaczał na cele dobroczynne.

Salomon Abnarrabí opuszczał Saragossę tylko wtedy, kiedy musiał, w interesach. Nie ciągnęło go w obce krainy. Tu, mówił, jest wszystko — góry, doliny, lasy, deszcze, śnieg i mgły. Odrywać się od zajęć, tracić czas i pieniądze, bo gdzieś indziej wyglądają inaczej? Po co?

— Idź w nasze góry zimą, wiosną, latem, o poranku i o zachodzie słońca — mówił — wejdiesz na nie tysiąc razy i za każdym razem będą inne.

A poznawanie ludzi? To samo. Żłuda. Widzisz tylko ich zewnętrzną powłokę. Nie jest mędrcom ten, kto zna okładki setek ksiąg, a nie przeczytał żadnej do końca. Żeby poznać jednego człowieka, trzeba lat, całego życia.

— Po co mam się gdzieś tłuc, męczyć muła, skoro widzę, że życia mi już nie starczy, by zrozumieć tę jedną kobietę? — mówił o Esterze. — Każdego dnia znajduję w niej coś nowego i nie mogę się nadziwić.

I tak do Loarre, Daroki i w inne miejsca zawsze wyruszałem sam.

Salomon od jakiegoś czasu zadreślał się przeszłością Estery. Nawet rozmyślał, czyby mnie nie wysłać do Sewilli, w jej rodzinne strony, bym tam popytał. Gdy brał ją za żonę, znał jej historię dość dokładnie, sam przecież wypytywał, ale nie wnikał w szczegóły, przyjął to, co mu powiedziano. Po jakimś czasie okazało się, że te dawne sprawy nie są mu tak obojętne, jak początkowo zakładał. Trawiła go zazdrość. Zaczął wierzyć w plotki.

Nie sądzę, by Estera odwzajemniała to uczucie. Niepokoiło mnie, że nasze kontakty, te rozmowy odbywane w tajemnicy, stawały się zbyt częste. Bardziej niż na ochronie przed zemstą braci, o ile taka w ogóle groziła, zależało mi na pomocy w kontaktach z Ayhe. Estera co jakiś czas przynosiła od Stickera informacje o niewolnicy i łudziła mnie obietnicą, że w końcu doprowadzi do naszego spotkania.

Początkowo uspokajałem moją macochę — kłamiąc — co do stanu finansów Salomona, jednak od pewnego czasu zmuszony byłem przekazywać coraz prawdziwsze informacje, aż w końcu, gdy pojawił się plan ściągnięcia Ayhe na Pesach, wręczyłem Esterze odpisy z ksiąg kilku ważnych spółek imperium Abnarrabich.

Od tamtego dnia zachowanie Estery zaczęło przekraczać wszelkie granice przywoitości. Zwierzała się z różnych, często bardzo osobistych spraw, co mnie peszyło. Kilka razy na przykład dała do zrozumienia, że spodziewała się wszystkiego po Salomonie, ale nie tak gorącej miłości, takiej witalności, i że czuła się tym zmęczona. Podczas naszych już niemal codziennych spotkań

Estera wykorzystywała każdą okazję, by się do mnie zbliżyć: dotykała ramieniem, dłonią, jej włosy nieraz załaskotały mnie w usta.

Owiewani mgłami unoszącymi się znad rzeki Sotón dotarliśmy do Bolei. Moi towarzysze wieźli listy dla tutejszego seniora i mieli chwilę zabawić u niego na zamku. Pierwszy raz zobaczyłem to miejsce: wzniesienie wynurzające się niespodziewanie z morza biało-zielonych traw niczym grzbiet Jonaszowego wieloryba. Od strony drogi dostępu do szczytu broniony urwiste skarpy i wydawało się niemożliwością, by człowiek mógł wystawić tam kamienne budowle. A przecież je widziałem. Dopiero gdy objechaliśmy górę od południa, zobaczyłem pas murów i usiane domami łagodne wzniesienie, pnące się aż do zamku na szczycie.

Zostałem przy wozie i koniach, pod jedyną bramą wiodącą do miasta. Zrobiło się chłodno. Salomon ostrzegwał mnie, że im dalej od Saragossy, a bliżej gór, tym bardziej wiosna uprzykrza życie podróżnikom. Zaczął wiać porywisty wiatr, a potem poczułem na twarzy i dłoniach krople zimnego deszczu.

Moi towarzysze zjawili się dopiero po kilku godzinach.

— Podobno coraz więcej almogawarów włóczy się po okolicy. Ludzie tu w Bolei nie wiedzą, co robić — oznajmił Rodrigo, wrzucając na wóz jakieś pakunki. — To od tutejszego kapitana dla jego córki, Dolores, dwórki doñi Violante. Poznałeś ją ostatnim razem... Nadal jest kochanką tego waszego Sulimy, jeśli cię to interesuje.

Rodrigo skończył pakowanie. Byłem już gotowy do drogi, gdy podszedł do mojego konia i chwycił go za uzdę.

— Ludzie są wściekli na tutejszego seniora, bo jest w sojuszu z de Lucio. Gdyby nie to, twierdzą, dogadaliby się z Urríesami i mieliby spokój na jakiś czas. Aaron, wiemy, że nie jedziesz do Loarre tylko po zwrot pożyczki...

Nic nie odpowiedziałem. Uderzył w nas podmuch deszczu i musieliśmy osłonić oczy.

— Loarre to wszystko, co mamy. I chcemy o to walczyć. Bernat i ja pomożemy ci, bo będziesz potrzebował pomocy. Tylko przychodź po nią — Rodrigo wskoczył zręcznie na konia.

Przekroczyliśmy brodem płytką rzekę opływającą Boleę i ruszyliśmy na północny zachód. Wysoki wiatr przegonił chmury.

— Przed wieczorem musimy być w Loarre. Podobno chłopci z Aniés poczuli się bezkarni i już napadają na drogach.

Poczułem ukłucie niepokoju. Najdalej pojutrze będę wracał tą drogą do Saragossy. Chyba nie zostawią mnie bez eskorty...

— Aaronie, mamy dla ciebie dobrą wiadomość — głos Rodriga wyrwał mnie z niepokojących rozmyślań. — Tym razem zastaniesz na zamku doñę Violante. Zobacysz ją jutro.

Doña Violante, żona kapitana Loarre, uchodziła za najpiękniejszą kobietę w Aragonii. I za najokrutniej pokaraną przez los. To dodawało jej powabu. Kaprys starego króla sprawił, że Violante Ximénez de Urrea jako trzyletnie dziecko została przeznaczona na nagrodę dla Gonzalo Gonzáleza de Lucio za jego wkład w zwycięstwo nad Kastylią. Już sam fakt, że tym wkładem była

zdrada, nieważne czy w złej, czy słusznej sprawie, oburzył arystokrację. Do tego możne rody Aragonii widziały w de Lucio prostaka, człowieka niskiego stanu, niegodnego wstąpienia w ich szeregi. Ale de Lucio odczekał piętnaście lat i upomniał się o nią.

— Oni się nienawidzą. To znaczy ona go nienawidzi. De Lucio chyba sobie nią głowy nie zaprzęta. — Rodrigo zerknął na mnie zadowolony. — Kobiety z Loarre dotąd chętnie wypełniały mu czas...

— Ale wyszło zarządzenie króla, że wszyscy kapitanowie zamków mają mieszkać z żonami. No to mieszkają razem — dodał Bernat.

Zaskoczyło mnie, że załoga zamku tak wiele wie o prywatnych sprawach swego kapitana i jego żony. Rodrigo mi to wyjaśnił:

— Bernat sypia od kilku tygodni w kuchni i ma najświeższe wieści.

Nie dopytywałem już o szczegóły, bo dostrzegliśmy wreszcie znajome skały i usadowiony na nich zamek Loarre, który w ostatnich promieniach zachodzącego słońca przybrał płomienistą barwę, jakby podłożono pod nim ogień.

U podnóża góry zwieńczonej zamkiem Loarre rozciągała się osada złożona z około trzydziestu domów. Zamieszkiwali ją rolnicy, którzy, zmęczeni uciążliwymi warunkami życia na spadzistym terenie w obrębie murów, przenieśli się na bardziej wypłaszczony teren, bliżej uprawianych pól. Pierwsi odważni wprowadzali się do starych, ale solidnych kamiennych domów, opuszczonych dawno temu przez muzułmańskich osadników. Następni musieli już wznieść swoje siedziby od fundamentów. Ziemia była tu gliniasta, więc uprawiano głównie pszenicę, winorośl i oliwki. Mieszkańcy wskrzesili dawną nazwę osady — San Esteban. Z San Esteban do zamku wiodła szeroka na jeden wóz droga pnąca się idealnie równymi zakrętami, jakby wycyczył ją jakiś olbrzymi wąż. Droga pod górę, pieszo, zajmowała około godziny.

Zabrawszy swoje rzeczy i mojego konia, Bernat i Rodrigo ruszyli do zamku, a mnie polecili udać się na nocleg do San Esteban. Tak zdecydował kapitan de Lucio. Ucieszyłem się. Właściciela gospody, w której miałem się zatrzymać, zapamiętałem jako człowieka bystrego i przy tym chętnego do pogawędki. Martín Ortiz de Agoncillo zdecydował się na rozbudowanie swojego domu o kilka pokoi gościnnych oraz jedną większą izbę, gdzie urządził wynyszynk i sprzedawał wino ze swojej winnicy. Gości nie brakowało. Przy jego winnych krzewach przez cały rok pracowali najemni robotnicy. W gospodzie zatrzymywali się też przypadkowi kupcy wędrujący od zamku do zamku oraz regularni dostawcy.

San Esteban zamieszkiwali sami rolnicy, z jednym wyjątkiem. Kilka lat temu do osady dołączył stary mnich z klasztoru w Verueli. Nie chciał mówić, dlaczego opuścił zakon. Przywitano go z otwartymi ramionami. Kazał wołać na siebie *fray* Pedro. Dwóch obywateli poświadczyło o jego uczciwości, zgodziło się też poręczyć za niego w razie kłopotów, tak więc spełniwszy te prawne wymogi, został przyjęty do grona obywateli Loarre, mieszkańców San Esteban. Sam zresztą sporządził odpowiedni dokument. Jako jedyny w wiosce umiał pisać i czytać, także po łacinie. A do tego znał się na roli i dawał wieśniakom cenne rady, jak zwiększyć plony. Miał nawet jedną książkę, którą — sam się przyznał — ukradł z klasztornej biblioteki. Była to *Rerum rusticarum* rzymskiego pisarza Warrona.

To *fray* Pedro namówił Radę Loarre, aby wydzierżawiła winiarzowi Martínowi więcej ziemi pod uprawę krzewów, tak aby z czasem zaprzestać kupowania wina na zewnątrz. Dokonał odpowiednich wyliczeń: dla obu osad należących do Loarre, załogi zamku, gości i robotników sezonowych trzeba wyprodukować 8 tysięcy *arobas* wina. To olbrzymia ilość, ale winiarz podjął się tego zadania. Pamiętam, że gdy dowiedział się o tym mój wuj, wpadł we wściekłość. Liczył na to, że to do Loarre trafi większość produkcji Dolza i Vidala. Przed rokiem, gdy byłem tu jesienią, Martín szykował się do pierwszych obfitych zbiorów winogron z nowych krzewów.

Ośla i wóz zostawiłem przed gospodą. Martín natychmiast mnie rozpoznał.

— O, Aaron Abnarrabí! Znow na zamek? — zawołał, gdy stanąłem w drzwiach. Przyglądał mi się uważnie. — Przywiozłeś znów beczułkę dla kapitana? Twój wuj się nie poddaje? Stary Żyd nie może się pogodzić z utratą takiego odbiorcy, co?

— Dzień dobry, panie Martínie. Wiecie, że Salomon Abnarrabí z ulgą przyjął powiększenie waszych winnic. Ciężko się handluje z waszym kapitanem. Sami się przekonacie, co to znaczy dawać komuś perłę, a dostawać w zamian skorupę.

— Żyd zawsze górą! Nawet jak jest na dole. Mam pierwsze próbki swojego wina, już z nowych krzewów. Za parę lat nie będzie miało sobie równego. Może ulejemy trochę z twojej beczułki i zmierzmy się dziś wieczorem?

Poprzednim razem, gdy nocowałem w jego gospodzie, przegadaliśmy przy winie całą noc. Oczywiście Martín gadał, ja słuchałem, aż zasnęliśmy przy stole. Zapewniał mnie potem rano, że dawniej tak się z niego nie wylewało. To starość. Gadulstwo, pierwsza oznaka starości. Taki jak ja, mówił, czuje, że już do grobu blisko i czasu ubywa, a ludzie wokół wydają się coraz głupszy, więc trzeba się spieszyć, żeby te wszystkie mądrości, co siedzą w człowieku, nie przepadły, nawet nocy żal.

— Tak, panie Martínie, ja na zamek, z beczułką dla pana de Lucio. Wciąż jeszcze kapitan woli dobre koszerne. Ale zmierzmy się wieczorem.

— Ha, tyle że moje niekoszerne... I co będzie? Spadniesz ze swojej drabiny do nieba...

— Nie martwcie się, panie Martínie. Mam dyspensę od rabina. On bierze na siebie wszystkie moje grzechy w tej podróży.

Gospodarz wyszedł na podwórze bocznymi drzwiami, coś wołając, i po chwili pojawiła się Maria, jego żona. Gdy byłem tu ubiegłego lata, miała na sobie sukienkę z odsłoniętymi ramionami i moją uwagę przykuły jej szczupłe, silne ręce. Teraz, w chłodny wieczór, ubrana była w wąską jasną tunikę z długimi rękawami i odsłonięte pozostały tylko dłonie — drobne, białe, o smukłych długich palcach, pokryte delikatną siatką niebieskich żył. Rodrigo, który cheplił się, że pewnego popołudnia, w zamkowej łaźni, posiadał Marię, twierdził, że przekroczyła już dawno trzydziesty piąty rok życia. Zdradził mi też sekret powstania osady: ona i Martín jako pierwsi przenieśli się do San Esteban, a powodem nie była wcale konieczność lepszego nadzorowania pól, ale prowadzenie się Marii. Wówczas za winiarzem poszło kilka innych rodzin i tak właśnie — z nierządu — poczęło się San Esteban.

— Zostaniesz u nas? — Maria uśmiechnęła się do mnie na powitanie.

— Tak, pani.

— Widziałam wóz przed domem. Twój? Wprowadź go na podwórze.

Potem zdjęła z głowy płócienną chustę i powiedziała, że idzie mi przygotować pokój, i że bardzo się cieszy. Nic nie odpowiadałem. Pierwszy raz zobaczyłem ją bez nakrycia głowy. Nie mogłem oderwać oczu od jej gęstych, falujących, jasnych jak len włosów, które uwolnione spod materiału opadły na ramiona. W połowie schodów przystanąła.

— Masz ochotę na rybę? Tylko to mam na kolację.

— Tak, pani, z przyjemnością.

Z góry dobiegł jej śmiech:

— Pani, pani, moja pani... — powtarzała. — Jesteś najmilszym Żydem, jakiego znam. — I zniknęła w cieniu na piętrze.

Gdy wyszedłem z karczmy zająć się wozem, poczułem narastające drżenie ziemi pod stopami, potem usłyszałem tętent koni, stłumiony bujną wiosenną trawą. Na podwórzu zatrzymało się pięciu zbrojnych. Jeden z nich, najroślejszy, zsiadł z konia i ruszył do drzwi, nawet na mnie nie spojrzawszy. Po chwili wyszedł z karczmy.

— Wiesz, gdzie jest Martín? Są gospodarze?

Gdy mu odpowiedziałem, że są, Martín pewno za domem, przygotowuje miejsce na wóz, a María na górze, uważnie mi się przyjrzał. Nie mówiłem jak wieśniak z San Esteban.

— Ty jesteś Aaron z Saragossy?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Poznałem go, to był jeden z żołnierzy zamkowych, zdaje się Joan. Tak, to był Joan! Na turnieju w Daroce był giermkim Sulimy.

— Masz się nie ruszać z gospody. Jutro rano pojedziesz ze mną na zamek.

— Może być — wrzuciłem ramionami.

Tymczasem z czekającej o kilka kroków dalej grupy wysunął się jeszcze jeden jeździec. Wyróżniał się bogatszym ubiorem i jako jedyny nie miał na sobie kolczugi. Z powodu smagłej cery, wąskich ust i ostrego, wydatnego nosa mógłby uchodzić nawet za Saracena, gdyby nie oczy — koloru nieba, przenikliwe, chłodne. Widziałem już takie! U Margaridy, jasnowłosej niewolnicy Stickera. Ona też tak patrzyła, prosto w duszę.

Koń zatrzymał się na krok ode mnie, zatrzęsł łbem i zarżał, a jeździec przyglądał mi się z zainteresowaniem.

Z boku domu rozwarły się z łoskotem wrota prowadzące na podwórko.

— Joan! — zawołał na powitanie karczmarz.

— Bądź pozdrowiony, Martínie — odpowiedział żołnierz. — Objedziemy teraz pola i twoją winnicę. Ja wrócę, zanim zapadnie zmrok, i przenocuję u was. Takie mam rozkazy.

Martín skinął głową.

— Jutro do południa macie wszyscy wyjechać do Loarre za mury — w głosie Joana brzmiała nuta satysfakcji z władzy, jaką złożono w jego chłopskie ręce. — O trzy dni drogi stąd rozłożyli się obozem almogawarzy. Jest ich kilka setek. Jakież małe grupy mogą już tu się gdzieś pętać, więc czuwajcie. Powiedz ludziom w wiosce.

— Mamy zabierać wszystko? Na jak długo? Ile to potrwa? — karczmarz nie wyglądał na zaskoczonego. Plotki musiały już od paru dni krążyć po wiosce. — Zamówiłem już chłopów z Aniés i Bolei do orki.

— Cóż mnie pytacie, Martínie. Głupiś? Nie wiem, dzień, miesiąc, może rok. Miejcie ufność w Bogu!

Uniósł się w siodle i dał znak pozostałym żołnierzom. Ciężkie konie bojowe uderzyły kopytami w suchą ziemię przed karczmą. Podniósł się kurz, zamknąłem oczy, drobny kamyczek uderzył mnie w policzek.

María nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

— Zostanie na nocleg? — pytała męża podniesionym głosem, gdy

znaleźliśmy się ponownie w izbie. — Szkoda, że go nie zapytałeś, czy ma ze sobą zarcie. Przecież brzuch Joana nie ma dna. To on opiekl tego zająca razem z wnętrzościami i pożarł go całego. Z przypalonym futrem. Tak było? Sam mi opowiadałeś.

— Był pijany.

— Dzisiaj też będzie. I ty razem z nim. Zjedzcie sobie osła razem z uprzężą. Ostatnie kawałki ryby, jakie nam zostały, ugotuję dla mojego chłopca. — Tu uśmiechnęła się do mnie. — Przynajmniej zapłaci i jest miły.

Ugotuję? Wzdrygnąłem się. Nie znosiłem gotowanej ryby.

— Możesz ją, pani, dać temu żołnierzowi. Zjem chleba, mam jeszcze trochę w sakwach — zaproponowałem.

María skarciła mnie wzrokiem. Ostatecznie stanęło na tym, że się rybą podzielimy. Gospodyni nie wierzyła w te trzy dni. Oni zawsze straszą, mówiła, jeśli w ogóle się ktoś zjawi pod murami, to nie wcześniej niż za tydzień. Uspokojony udałem się do swojego pokoju. Uprzednio spałem w jakiejś małej izbie bez okien, ta pachniała świeżymi sosnowymi deskami i miała małe okienko wychodzące na podwórze z tyłu karczmy. Rzuciłem się na prycę i zasnąłem.

Obudziło mnie szarpanie za nogę. Ze świecą w rękę stał nade mną dwunasto-, może trzynastoletni chłopiec o jasnej cerze i czarnej bujnej czuprynie.

— Mama woła na rybę. A tata mówi, że będzie próbował waszego wina przy innej okazji.

Przeciągnąłem się na posłaniu, wypychając z głowy resztki snu. Tak, stary boi się, że Joan będzie bezstronnym sędzią... Przyjrzałem się chłopcu: postawa, spojrzenie i rysy twarzy nie pozostawiały wątpliwości, że był to syn Martina, nie mogłem za to dostrzec ani cienia podobieństwa do złotowłosej matki.

Gdy zasypiałem, szarzało, teraz za oknem panował już całkowity mrok. W izbie na dole, oświetlonej kilkoma grubymi świecami, siedział już Joan. Przy pustym stole. Musiał niedawno przyjechać, bo jeszcze ciężko oddychał i co chwیلę ocierał twarz i czoło z potu albo wieczornej mgły.

— No, Żydku, nie chcą podać mi jedzenia — zawołał na mój widok i odwrócił się zniecierpliwiony w stronę Marii stojącej w drzwiach do kuchni. Potem przywołał mnie ruchem ręki.

— Chodź, pomożesz mi zdjąć to żelastwo.

Teraz zobaczyłem, że wciąż ma na sobie kolczugę. Pochylił się przede mną, a ja włożyłem palce w kilka pierścieni na ramionach i pociągnąłem do siebie. Kolczuga zsunęła się wraz z kaftanem. Nie miałem dotąd okazji oglądania żołnierskich torsów. Półnagi Joan wyrósł przede mną niczym Samson. Rodrigo dorównywał mu wzrostem i masywnością, ale był otłuszczony, a Joan miał muskulaturę byka.

— To pomysł Miguela, naszego wielkiego dowódcy. Nie wolno nam wyjeżdżać poza mury bez kolczug, nawet na objazd pół — powiedział, chyba do mnie, przywdziewając wywleczony z kolczugi kaftan.

María stała oparta o framugę i przyglądała się nam. Wreszcie pojawił się Martín z dwoma dzbanami, które postawił na stole, usiadł na ławie i gestem polecił Marii podać nam jedzenie. Dopiero wtedy kobieta zniknęła w kuchni.

— Kapitan naprawdę boi się, że almogawarzy będą oblegać Loarre — podjął rozmowę Joan. — I nikt nam nie pomoże.

Martín pokręcił głową.

— Powiedziałem wszystkim. Nikt nie będzie się sprzeciwiał, lepiej stracić dom niż głowę — mówił zrezygnowany. — Wiesz, chłopcze — tu zwrócił się do mnie — że na wykup zamku sprzedano *censales*. Ludzie zastawili ziemię, wszystko, co mają, chcieli być wolni, pod opieką króla. I co im przyszło z tej wolności? Jeśli znów stracą plony i nie będzie z czego zapłacić rat, to zaczną im zabierać ziemię. Ci, co kupili nasze *censales*, nie będą mieli litości. Moja winnica też jest zastawiona.

— Wszyscy skamlą, ale bić się nie chcą — syknął żołnierz. — Wy, Martínie, jesteście kulas, nikt do was pretensji nie ma. Ale siedzi w chatkach, tu na dole i na górze pod zamkiem, kilka tuzinów upasionych byczków. Broń jest. Ale nie staną. Cóż, wolni chłopci, nie mamy prawa przymuszać.

— Chłop ma co innego do roboty — odparł Martín. — To wam płacą za wojowanie. Skoro Urríesowie tak pragną odzyskać Loarre, to odzyskają. Jak chcesz ludzi z wioski na almogawarów postać? Żaden nie wróci żywy. Ja ci powiem, nawet gdybym miał dwadzieścia lat mniej i zdrowe nogi, też bym nie poszedł. No i cóż nam przyszło z tego, żeśmy królewscy? O co się tu bić? Powiem ci, większość się już pogodziła z nowym panem. Król nas zostawił. Za Urríesów była niewola, to prawda, ale ludzie szli spokojnie spać, żadna banda nie ośmieliła się podejść.

Stary karczmarz chyba pomiarkował, że Joan nie jest właściwym kompanem do takiej rozmowy. Mógłby to wygarnąć kapitanowi, ale temu byłemu pachołkowi... Po co?

— Chłopi najwyżej stracą plony, ale pszenica odrośnie. Ucięta noga nie. Wiem sam, bo czekam już tyle lat i mi nie rośnie — zakończył winiarz i zmienił temat: — Mów lepiej, jak załoga. Różne nas słuchy dochodzą.

Polał wina aż po brzegi pękatych kubków. Joan wypił do dna, nie odrywając ust od naczynia.

— Wszystko się posypało. Miguel sobie nie radzi jako dowódca. Mnie tam ten stary kiep obchodzi tyle, co twój zdechły osioł, Martínie.

Przerwał, bo na stole pojawiły się trzy gliniane miski, a w nich kawałki ryby zatopione w ciemnym sosie. María podała też chleb, oliwę i kolejny dzban wina, stawiając go z braku miejsca tuż koło mnie.

Cieszyłem się potem, że nie zrezygnowałem z tego dania. Rybą okazał się dobrze znany w Saragossie morszczuk, ale nigdy jeszcze tak mi nie smakował. Od sosu aż zakręciło mi się w głowie: poczułem w nim przypieczony chleb, pietruszkę, ocet, jakieś słodziwo, korzenne przyprawy. Gdy María przyszła, by dołożyć na stół chleba, pochwaliłem ją za to danie.

— Sos przyniosłam z zamku — uśmiechnęła się do mnie ciepło. — Jutro poznasz kucharkę, która robi takie cuda.

Joan obrzucił nas szybkim spojrzeniem znad miski. Moi towarzysze przy stole, całkowicie pochłonięci jedzeniem, zaniechali rozmowy. W karczmie słychać było tylko mlaskania, siorbanie i głuche postukiwanie drewnianych łyżek o miski. W końcu Joan, jako ostatni, bo dostał największą porcję, głęboko westchnął, rozłożył ramiona na oparciu ławy i odchylił głowę do tyłu.

Czekałem na jakieś głośne beknęcie, ale zamiast tego Joan powrócił do przerwanego wątku:

— Jak tylko Miguel wrócił z Brugii, wszystko się zaczęło psuć. Przywieźli tego koguta... Sulimę. Pogańska jego mać! Przez niego Samper odchodzi — Joan pokręcił głową. — Trudno w to uwierzyć.

— To takie ważne? — zdziwił się karczmarsz.

— Żołnierze za Samperem nie przepadali, ale to rycerz sławnego rodu. Dobrze się zawsze bił. Jest tu potrzebny.

— Jak on wygląda? Ten Sulima — zapytałem.

— Widziałeś go — obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. — Gapił się na ciebie przed karczmą. Przez niego od czasu Daroki wszyscy nas mają za żydowskich pachółków. A co cię on obchodzi?

Wzruszyłem ramionami.

— Rodrigo i Bernat mi o nim opowiadali. Ciekaw byłem. Podobno byłeś jego giermkim...

— Ci durnie mają za długie języki!

Dziwnie to zabrzmiało w ustach Joana, który sam chyba nie grzeszył dyskrecją. Był wyraźnie zadowolony z uwagi, jaką przy kolacji darzył go karczmarsz, a zwłaszcza María, która wprawdzie nie siedziała z nami przy stole, ale stała w drzwiach między izbą gościnną a kuchnią i wszystkiemu się przysłuchiwała. Wino uderzyło mu już do głowy i coraz częściej spoglądał na nią przeciągle, nie bacząc na Martína.

— Jak chłopci z Loarre nie będą chcieli się bić i nie wyjdą za mury — analizował Joan — to mamy piętnastu żołnierzy z załogi, do tego turniejowi: Bask i Clavilla. Miguel jest już za stary, by stanąć w polu. Może dowodzić, ale do tego też się nie nadaje. No i jest ten przybłąda, ale z nim nie wiadomo. Może wywołać jeszcze większy ferment, bo teraz ma ludzi przeciwko sobie. Razem jest osiemnastu.

Joan obrzucił mnie nagle podejrzliwym spojrzeniem.

— A ty, po co tam znów jedziesz?

— Wiozę listy.

Potężna prawica Joana coraz wolniej się poruszała i opadała na stół, gdy sięgał po kubek.

— Polej nam, Żydku — rzucił w moją stronę i stuknął kubkiem o blat. Choć dzban miałem pod ręką, nie poruszyłem się. Drażniło mnie prostactwo tego byłego parobka, który poczuł się ważny, odkąd na plecach zaciążyła mu kolczuga, a u boku miecz. Ten barani łeb chyba sam nie zauważył w sobie tej przemiany.

Zapadło milczenie. Nagle Joan odwrócił się w moją stronę i potężnym kopniakiem wyrzucił mnie razem z taboretami na środek izby. Plecami i tyłem głowy uderzyłem w deski podłogi.

— Żydowskie ścierwo. Kazałem mu polać wina.

— Joan! — krzyknął Martín. — Nie pozwolę na to! Nie w moim domu!

Karczmarsz, krzycząc, musiał zachłysnąć się powietrzem, bo gdy wstał gwałtownie z ławy, wydobyło się z niego głośne czknięcie. To rozbawiło żołnierza.

— Nie w moim domu, nie w moim domu! Huuup! — przedrzeźniał starego

karczmarza i ryknął śmiechem. Potem sam sięgnął po dzban i napełnił kubki, lejąc przy tym obficie po stole. Sprawiał wrażenie, jakby zapomniał, co się przed chwilą wydarzyło, bo nawet na mnie nie spojrzął.

Pozbierałem się jakoś i czułem, że dla ratowania honoru powinienem rzucić się na tego pijanego chama, bez względu na konsekwencje. Ale nie zrobiłem tego — ze strachu przed nowym bólem i jeszcze większym upokorzeniem. Nie podniosłem na niego ręki. Trwałem tak bez ruchu, ogłuszony upadkiem, wstydzając się swego tchórzostwa. Z ulgą poczułem, że María ujęła moją dłoń.

— Chodź do kuchni. On jest pijany...

Podniosłem przewrócony taboret i usiadłem posłusznie tuż przy drzwiach do izby. W drugim kącie kuchni siedział synek Martína i nie odrywał ode mnie wzroku.

— Miałeś iść spać. Już! — rozkazała ściszym głosem María. Chłopak, prawie równy jej wzrostem, posłusznie odchylił grubą wełnianą zasłonę i zniknął za nią.

Kobieta w milczeniu sprzątała blat pieca i stół po kolacji. Przyglądałem się jej, nie rozumiejąc ani jednej czynności, którą wykonywała. Setki pomysłów, jak zemścić się za doznane upokorzenie, przelatowały mi przez głowę, wszystkie niedorzeczne. Karczmarz i Joan dalej pili wino i głośno rozmawiali, jakby nic się nie stało. Martíń tylko co jakiś czas spoglądał w moją stronę. W końcu, po kolejnych wynurzeniach pijanego Joana, machnął z rezygnacją ręką, co miało chyba znaczyć, że Loarre wraz z całym światem podąży ku zatraceniu, i bez słowa pożegnania ruszył chwiejnym krokiem na piętro.

Joan, gdy został sam, wyciągnął nogi przed siebie i zatopił się w pijackich myślach. Siedział do mnie bokiem, ale widziałem, że oczy ma otwarte. Zapanowała dziwna cisza, w której słychać było tylko kroki, a potem szurania starego karczmarza. Ledwo ucichły, dom wypełnił się piekielnym dźwiękiem, jakby jakiś demon, raz za razem, usiłował wessać przez nos cały świat. María, zdawała się tylko na to czekać: wytarła ręce w szmatę, odczekała chwilę, minęła mnie i weszła do izby.

— Joan, przygotowałam ci pokój. Możesz się obmyć na podwórzu — powiedziała, wpatrując się w brudną twarz żołnierza. Stała zbyt blisko jak na gospodynię, która ma tylko oznajmić, że nocleg gotowy.

A Joan nie kwapił się do mycia. Przyglądał się kobiecie, nie wstając. Potem pochylił się w jej stronę, jakby chciał ją objąć w pasie i przyciągnąć do siebie, ale zamarł w pół ruchu. Zerknął w moim kierunku i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Joan odwrócił głowę z obrzydzeniem, wstał powoli, dopił resztę wina z dzbanka i skierował się w stronę schodów. María poszła za nim.

Usłyszałem, jak na górze zamykają się drzwi. Mijały pełne napięcia chwile odmierzane równym chrapaniem Martína. Nasłuchiwałem bez ruchu. Ku mojemu zdziwieniu zamiast odgłosów miłości, dobiegł z góry stłumiony, podniesiony kobiecy głos, potem gwałtowne szuranie, huk przewracanego krzesła. Długo czekałem, zanim zaskrzypiały drzwi i na schodach pojawiła się María.

— Przygotować ci kąpiel? — zapytała ze ściśniętym gardłem, gdy zeszła już na dół.

Tak, bardzo potrzebowałem kąpeli. Chciałem zmyć z siebie te kilka dni

podróży. I to upokorzenie. Miałem na wozie nowe czyste ubranie, które Salomon kazał mi przywdziać na spotkanie z kapitanem de Lucio.

— Idź do pokoju. Przyślę Angela, jak zagrzeje się woda.

— Proszę go nie budzić. Zejdę za chwilę i poczekam, jak będzie trzeba.

Poczułem nieodparte pragnienie rozmawiania z nią.

— To pani syn? — spytałem, zbierając w sobie resztki odwagi.

— Nie, to syn Martína, ale... jest jak mój — odparła. — Dobrze, przyjdź do kuchni.

Gospodyni przygotowała mi kąpiel w niewielkiej drewnianej balii. Zrzuciłem z siebie ubranie. Musiałem podciągnąć kolana pod brodę, żeby się w niej zmieścić, ale i tak byłem wdzięczny tej kobiecie za wysiłek. Światło dwóch lamp, jakie się jeszcze tu paliły, z trudem przebijało się przez gęstą mgłę wypełniającą niewielkie kuchenne pomieszczenie. Woda okazała się chłodna. Na piecu stały dwa duże miedziane kotły i buchały parą. Zamierzałem sam się obsłużyć, gdy usłyszałem za sobą głos Marii:

— Po co wchodziłeś! Jeszcze nie gotowe, trzeba dolać gorącej wody — oznajmiła i podeszła do pieca.

Miała teraz na sobie lnianą białą koszulę, która sięgając ledwie kolan, odsłaniała zgrabne łydki i bosc stopy. Domyśliłem się, że tak ubrana chodziła spać. Jej szczupłe ramiona z zadziwiającą łatwością uniosły kocioł z gorącą wodą.

— Wstań — zarządziła, stanąwszy za mną. Kątem oka dostrzegłem, że unosi naczynie z parującą wodą. Nie miałem czasu na zastanowienie; wstałem szybko i poczułem, jak gorący strumień opływa mi stopy, a potem rozgrzewa nogi aż do kolan.

Gdy ponownie zanurzyłem się w balii, Maria namydliła mi plecy i ramiona. Jej dotyk sprawiał mi przyjemność. Pokręciłem głową, by rozmasować stłuczony upadkiem kark i kilka razy dotknąłem policzkiem jej dłoni.

— Joan tylko gada, że Miguel, ich dowódca, jest mu obojętny — powiedziała niespodziewanie Maria. — A nie jest. Nienawidzi go. Miguel jest teraz z Francescą, kucharką, to ona przyrządziła ten sos, który ci tak smakował. Joan jest o nią zazdrosny, dlatego tak gada. Pamiętaj o tym, jak już będziesz na zamku. Nie będzie ci tam łatwo tym razem.

Skończyła szorować mi plecy. Nie chciałem, żeby sobie poszła.

— Może mi pani powiedzieć coś jeszcze? — poprosiłem.

Kobieta przystawiła sobie naprzeciwko mnie taboret, ten sam, który przyniosłem wcześniej z izby, i usiadła na nim tak blisko, że gdyby nie dębowe deski balii, dotykałybyśmy się kolanami.

— Francesca cię zna. Służyła u jakiegoś Żyda w Saragossie i kilka razy byłeś u nich w domu. Rozpoznała cię ostatnim razem, kiedy spałeś na zamku. Zresztą, trudno cię nie zapamiętać...

Salomon wspominał mi, że w Loarre znalazła zatrudnienie dawna *barragana* Mossé Astrucha; trafiła tu zresztą dzięki Salomonowi, którego Astruch poprosił o znalezienie dla niej uczciwego zajęcia u chrześcijan, bo bardzo był do niej przywiązany i ubolewał szczerze, że musiał ją odprawić.

A więc wciąż tu jest! Czyżby wreszcie zaczęło sprzyjać mi szczęście? Kobiety w kuchni muszą być źródłem bezcennych informacji.

— Wiesz, co przeszła ta kobieta? — spytała María. Zanurzyła dłoń w wodzie.

— Nie jest za zimna?

Pokręciłem głową, co uznała za odpowiedź na pierwsze i drugie pytanie.

— Francesca Sancho pochodzi z Walencji. Miała duże gospodarstwo. Męża Bartomeu i parobka, Joana Berbegala, tego właśnie Joana, który cię tak potraktował. Joan podobał się wszystkim kobietom we wsi. Widziałeś go. Chłop jak skała. No więc gdy Bartomeu, jej mąż, nagle umarł na jakąś dziwną chorobę, wszyscy uznali, że go otruła, żeby móc się cieszyć kochankiem. Albo że razem go otruli.

María jeszcze raz zanurzyła dłoń w wodzie.

— Jest chłodna! — upierała się. — Kąpiel musi być gorąca, żeby ciało ożyło. Wstań, dolej wody.

Teraz odmówiłem bardziej stanowczo. Nocna pora, ciepła woda, bliskość tej kobiety, wszystko to sprawiło, że wezbrało we mnie nagłe i nieopanowane pożądanie. Przyznałem się, że nie mogę teraz wstać.

María roześmiała się.

— Jestem przyzwyczajona. Często pomagam na zamku przy kąpielach. Niejedno widziałam.

Nie dałem się przekonać.

— Jak chcesz, siedź w zimnej — zgodziła się. A potem opowiadała dalej. — Francesca była sądzona, ale na jej szczęście, poza donosami sąsiadów, nie znaleziono mocnych dowodów. Wybroniła się dzięki zeznaniom Cateriny, młodziutkiej służącej, która jest z nią teraz na zamku. Mówiła w Saragossie, że to jej córka, ale to nieprawda. Kocha ją jak córkę. To tak jak ja, też nie mam dzieci, muszę kochać cudze, i kocham. Angela wychowuję od małego i kocham ponad życie, choć nie ja go wydałam na świat. Ale jest mój.

Pomyślałem sobie, że chłopiec ma wielkie szczęście, i że chętnie bym się z nim zamienił.

— No więc nie skazano jej, ale gospodarstwo musiała zostawić i wyjechać. Caterina też nie miałaby tam życia. Wyjechały razem. I wzięły Joana.

— A co ty o tym myślisz, pani? — spytałem.

— Myślę, że Francesca miała Joana za kochanka. Ale już potem, jak się tułali. Ta kobieta nie otrula by swego męża. Uchodził za dobrego gospodarza i człowieka. Ale kiedy została sama, na tułaczce, co miała robić? Kobieta musi kogoś mieć. Potem Joan je zostawił i zaciągnął się jako żołnierz. A one dzięki dobrym ludziom trafiły do tego bogatego Żyda. Francesca to urodziwa i mądra kobieta, spodobała się Żydowi i ten zaproponował, że ją weźmie, ale na *barraganę*. Zgodziła się. Przeszła na waszą wiarę, żeby było prościej w kuchni i w łóżku. Nie wiedziałam, że u was to takie proste.

— Gdy się jest bogatym Żydem, to wszystko jest proste — potwierdziłem.

— Kiedy ją Żyd odprawił, trafiła do Loarre. No i teraz Joan i Francesca znów są blisko. Żołnierze śpią w zimnych koszarach, dostają marne jedzenie. A Francesca... można się u niej wyżywić, spać w czystym i ciepłym łóżku, w pościeli. Tyle że to wszystko ma teraz Miguel de Bernabé, a nie Joan. Dlatego chciałby mu wbić nóż w plecy. I pewno po pijaku to kiedyś zrobi.

— A wasz mąż, Martín? Jak się tu znalazł? — pytałem jeszcze, by kąpiel trwała jak najdłużej.

María oparła się łokciami o brzeg balii, a kilka kosmyków jej jasnych włosów położyło się na ciemnej tafli wody.

— Nie jest moim mężem... Martín Ortiz de Agoncillo przybył do Loarre z Logroño. Rozstał się z żoną. Synek, Angel, został z nim. Sprzedali majątek i podzielili się nim. Nie wzięli rozwodu. Szukał w Aragonii gościnnego miejsca do osiedlenia. W zamian dawał swój majątek do zainwestowania w ziemię i fach winiarski. A wiesz, jaką sławą cieszą się winiarze z Logroño, choć to Kastylia.

Tak, wino aragońskie uchodziło wprawdzie za lepsze od kastylijskiego, ale to z okolic Logroño cieszyło się wielką sławą. Salomon twierdził, że to wszystko przez szlak pielgrzymi, który tamtędy przechodził, że wyposzczeni i wysuszeni wędrowcy, gdy im wlano do ust darmowe wino, a mają go tam dużo, więc mogą je wlewać do byle gardła, tak byli w niebo brani, że przysięgali przed krucyfiksem sławić to wino i okolice wszędzie, dokąd zajdą. A że ludzie mają podniebienia wrażliwe niczym kopyta osła, więc sława czyni cuda.

— Przyjęto go tu, w Loarre — ciągnęła María. — Martín kupił pole i zaczął uprawiać wino.

— A ty, pani, jak... ty trafiłaś pod ten dach?

— Ja pochodzę z Bolei. To osiem mil stąd na wschód. Martín potrzebował ludzi do pracy w winnicy. W Loarre jest ich za mało, poza tym każdy ma co robić. Ściągał chłopów z Aniés i Bolei. Dalej przychodzą. Martín przyjął mnie jako pomoc domową. — Zaczęła się śmiać, patrzyła gdzieś poza mną. — Szybko zaczęłam grzać mu łóżko. A potem... Nie mógł się ze mną ożenić, ale spisaliśmy umowę, u notariusza, że weźmie mnie za żonę, jak tylko umrze ta pierwsza. Wy, Żydzi, możecie tak?

Nie wiedziałem.

— Ludzie tu życzliwi, uznali nas za małżeństwo i tyle... Resztę opowiem ci przy innej okazji.

María wyprostowała się na taborecie. Przez krótką chwilę patrzyła na mnie w zamyśleniu. Przeszła do pomieszczenia za zasłoną, gdzie zapewne spała z synem, i wróciła z dużym kawałkiem płótna.

— Osusz się tym. Jakbyś czegoś potrzebował, to jestem tu. Śpię w kuchni, z Anielem, nie mogę znieść tego chrapania.

Zasnąłem tamtego wieczoru jak kamień. Śniłem, że María przyszła do mnie w nocy: słyszałem szelest lnianej koszuli, pokój wypełnił się zapachem kobiecych włosów; poczułem na sobie nagie ciało i dziwiłem się, że jest takie lekkie.

III

Po skromnym śniadaniu, kawałku chleba i jednym plasterze sera, które ktoś zostawił mi na taborecie przy łóżku, wyszedłem na podwórze przygotować wóz do drogi. Winiarz krzątał się tu od jakiegoś czasu; wyglądał na otumanionego wczorajszym pijaństwem. Odwrócił powoli głowę i spojrzął w moją stronę z grymasem bólu na twarzy.

— Jak noc? — spytał nieco ochryplym głosem, po czym podszedł do mnie i powiedział już ciszej: — Ten Joan to gbur, ale nie bandyta. Nie miej mu za złe, nie skarż na zamku. Złość mu siedzi na piersi i chłop nie panuje nad sobą. Namawiam go, żeby rzucił służbę, zamieszkał z nami i został nadzorcą w winnicy. Werbowałby ludzi do pracy. Przydałby mi się.

Co miałem mu powiedzieć? Czuję się podle, w ustach miałem gorycz wstydu. Nie musiałem na szczęście nic odpowiadać, bo stary Martín zaczął mówić ni to do siebie, ni do mnie:

— Jak była wojna z Kastylią, mieszkaliśmy z żoną w Used pod Darocą. Ona stamtąd pochodziła, ja z Logroño. Daroca leżała na linii frontu. Miasto i wszystkie wsie były królewskie. Co chwilę przychodził rozkaz zaciągu, wtedy jak chłop był pod królem, to musiał stawać w polu. Jak się ociągałeś, to ci obcinali nos albo dłonie. Ja też bronilem z murów naszej wioski.

Winiarz cały czas przygotowywał się do wyjazdu, pakował skrzynie, które sobie wcześniej przygotował; były szczelnie wypełnione różnym dobytkiem, a w rogach wypchane słomą.

— Tak więc, Żydku, znam się na tym. Wtedy, jak szli Kastylijczycy, a ja przecież jestem Kastylijczykiem, więc się bałem podwójnie, że mnie za zdrajcę wezmą, jak wieś zdobędą, a ludzie by mnie zaraz wydali, żeby swoją głowę chronić, no więc jak szli Kastylijczycy, to nasz kapitan, co go nam przysłali, kazał wszystkim opuścić domy i iść za mury Daroki. Ale my mieliśmy swoje mury, Used. Nikt nie chciał zostawiać całego dobytku, bo ile weźmiesz na wóz?

To nie było chyba pytanie do mnie, ale ponieważ stary zawiesił głos, poczułem się w obowiązku odpowiedzieć.

— Niewiele, nic, trochę jedzenia.

— Tak, trochę zboża, kilka małych beczek, żonę i dzieci. To wszystko — rzekł stary winiarsz i jął zabezpieczać sznurem tył wozu i mocować skrzynie. — No to się zbuntowaliśmy. Odprawiliśmy kapitana. Król się wściekł, ale było za późno, bo Kastylijczycy już przyszedli.

— Obroniliście się?

— Wiesz, kto nas obronił? Almogawarzy. Że mieszkali w granicach Aragonii, to ich król na początku wojny przywołał do służby. W okolicy stanęły dwa oddziały, po osiemdziesiąt ludzi, no, ludzie to złe słowo, raczej bydłat. Każdy oddział miał swojego kapitana, nazywali go *adalidem*. Ten jako jedyny miał konia i z nim można się jeszcze było dogadać po ludzku, ale z resztą już nie. Można o nich powiedzieć wszystko co najgorsze, ale nie to, że nie potrafią

walczyć. Pierwszy raz widziałem, żeby jazda bała się piechoty, ale mówię ci, widziałem na własne oczy, jak zwalają rycerzy z koni. Mają swoje sposoby. Kastylijczycy się wycofali, nie był to duży oddział. Poculiśmy się silni jak lwy po tym zwycięstwie, choć tylko kilku naszych wyszło w pole, no i wpuściliśmy almogawarów za mury Used, bo wcześniej koczowali na błoniach. Jak się dorwali do wina i gorzałki i zaczęli rozrabiać, to chcieliśmy ich przywołać do porządku. I rozpętało się piekło — prawdziwe piekło, jakby diabły wylazły spod ziemi. Nikogo nie wypuszczali za mury przez trzy dni, kto się stawał, temu wypruwali flaki, odrąbywali ręce, nogi. Zgwałcili wszystkie kobiety, nawet dzieci, wiele razy. Trzy dni minęły, zanim przyszły oddziały królewskie z Daroki, z tym samym kapitanem, co go nie posłuchaliśmy. Te psy zwały, bo i tak ledwo trzymali się na nogach po tych orgiach i nie daliby rady królewskim.

— Ale ruszyli za nimi? Na pewno — sam sobie odpowiedziałem.

Karczmarz oparł się o wóz, pochylił do przodu i zaczął rozcierać kolano kikuta, do którego przymocowana była drewniana proteza.

— Kapitan dał jeden pacierz na zapakowanie rzeczy i wyjazd, po czym kazał podpalić chałupy, zboże, wszystko. Tylko beczki z winem, oliwą, solą wzięli na wozy. I powiem ci, że miał rację. Następnego dnia przyszła kastylijska armia, której byśmy się i tak nie oparli. Zastała same zgliszcza, i dobrze.

Martín spoglądał na mnie co jakiś czas. Był zadowolony, że ktoś go słucha; nie sprawiał wrażenia człowieka przybitego wspomnieniami.

— Czy ich ścigali? Tak, powiesili ich *adalida*, a resztę tych kozich synów posłali z powrotem na front. Wojna to taki czas, kiedy ze zwyrodniałców robi się bohaterów. I nikt mnie nie namówi na bitkę z nimi, i wszystkim to teraz w San Esteban powtarzałem. Almogawarzy to diabły w ludzkiej skórze i nic nam do nich. A wyobraź sobie teraz, że ci, co do nas idą, są dużo gorsi. Nazywają ich almogawarami, ale to już nie żołnierze, ale całkiem zdziczałe bandy. To są Saraceni — splunął pod nogi. — Żyją jak wilcy bez dachu na głowę, porywają ludzi i bydlę i sprzedają w Grenadzie. Albo biorą na powrót swoich, całe rodziny, i sprzedają jako niewolników Kastylijczykom albo Aragończykom. Siedzą gdzieś daleko na południu, za Orihuelą, za Crevillente. Skrzykują się do kupy, jak im ktoś zapłaci. Sami się tu na północ nie pchają [17](#).

Martín poklepał mnie po ramieniu, marszcząc przy tym twarz, bo musiał spojrzeć pod słońce. Potem zniknął w mroku izby.

— Do zobaczenia na zamku — usłyszałem za sobą cichy głos Maríi, gdy już wyprowadzałem wóz za ogrodzenie. — Szkoda, że nie przyszedłeś. Następnym razem się obrażę...

Zapłaciłem jej za nocleg i jedzenie. Dodałem jednego denara za kąpiel. Sporo za dużo. María nie podziękowała, ale kazała mi chwilę poczekać i wbiegła do izby. Po chwili wróciła i wsunęła mi w dłoń kawałek miękkiego grubego knota zakończonego miedzianą skuwką z malutkim zębatym kółkiem.

— Wiesz, jak to działa? Kciukiem mocno naciskasz na to kółeczko, które jak się przekręca, pociera o kamień, o ten mały tu, i lecą iskry na knot. Rozpalisz ogień nawet przy silnym wietrze. W Bolei wyrabiamy najlepsze *mecheros* w Aragonii. Daję ci taki z krótkim knotem, żebyś szybko wrócił po następny.

Joan, zgodnie z wczorajszą zapowiedzią, czekał na mnie przed karczmą. Ruszył pierwszy na swym potężnym siwym rumaku. Droga była pusta, większość mieszkańców San Esteban udała się na zamek wczesnym świtem, by zająć jak najwygodniejsze miejsca na ciasnym podzamczu. Po krótkim odcinku płaskiej drogi, gdzie dotrzymywałem kroku żołnierzowi i miałem niemal na wyciągnięcie ręki wielki zad jego ogiera, przyszła część bardziej stroma i szybko straciłem go z oczu. Po kilku zakrętach usłyszałem za sobą szybkie kroki i głośny oddech. Był to Angel. Przez plecy miał przewieszony łuk.

— Ojciec mi kazał iść wcześniej, mam mu wysłać dodatkowy wóz i już zostanę na górze — oznajmił, gdy odwróciłem głowę.

— Bardzo dobrze. Możesz wrzucić łuk na wóz — zaproponowałem.

Ale pokręcił głową. Kilka kroków szedł, kilka podbiegał, tak by nie zostawać w tyle. Mój leniwy osiołek szedł wolno, ale i tak nieco szybciej niż zwykły piechur. Angel starał się robić duże kroki. Był drobnym chłopcem, najpewniej nie osiągnie wzrostu Martina. Co chwilę podnosił głowę i uśmiechał się, gdy nasze spojrzenia się spotykały. Odziedziczone po ojcu gęste, zrosnięte brwi przydawały jego twarzy nienaturalnej powagi kontrastującej z dziecięcą posturą. Miał bystre, wesołe spojrzenie. W ogóle było w nim coś ujmującego. Nie spieszyło mi się, zsiadłem więc z osła i szliśmy razem.

— Gdzie masz strzały? — spytałem go po parku krokach.

— Jeden z żołnierzy uczy mnie strzelać — odpowiedział zadowolony, że go o to zapytałem. — Tylko nie daje mi strzał, żebym nie zrobił czegoś głupiego. Ale łuk każe nosić, żebym się z nim zaprzyjaźnił. Mam go dotykać co chwilę i wszędzie z nim chodzić.

— To nie ma sensu.

— Skąd wiesz, nie jesteś żołnierzem.

— Nie jestem. Gdybym był, zabiłbym wczoraj Joana.

— Nie musiałbyś. Joan nigdy by cię nie kopnął, gdyby wiedział, że mu oddasz. Tacy są żołnierze.

— Ty chcesz być łucznikiem? Walczyć w bitwach?

— Bernat mówi, że mam talent. Że umiem już więcej niż niektórzy żołnierze na zamku. Z łuku. Z kuszy idzie mi gorzej, za ciężka.

— Bernat? Barutell? — zawołałem. — Nie mogłeś lepiej trafić!

Angel wyraźnie się ucieszył, że znam jego nauczyciela. Przez następne dwa zakręty opowiadał mi, jakim niezwykłym łucznikiem jest Bernat.

— To czarodziej — wysapał, gdy wreszcie pokonaliśmy wzniesienie i zaczynał się krótki płaski odcinek. Z tego miejsca nie było widać ani dachów San Esteban, ani wież zamku.

Przy drodze stał Joan, o którym zdążyłem już zapomnieć. Jego koń skubał trawę kilka kroków dalej.

— Mały, zjeżdżaj do domu — warknął w stronę Angela. Gdy chłopiec zaczął protestować, żołnierz podniósł spory kamień i cisnął mocno pod nogi chłopca. Ten podskoczył, ledwo unikając okaleczenia.

— Następnym rozwalę ci tebie!

Angel zaczął się cofać w stronę wioski, nie spuszczając wzroku z Joana, aż zniknął za wzniesieniem.

Joan podszedł do mnie, chwycił za kaftan i włókł kilka kroków po trawie,

potem pchnął na wypiętrzoną nieopodal drogi skałę. Przez chwilę mi się przyglądał, jakby zastanawiał się, jaką śmierć mi zadać. Oparł nogę o nierówność kamienia, który miałem za plecami, i nachylił się nade mną.

— Słuchaj, żydowski parchu...

Wezbrała we mnie taka wściekłość, że przestałem go słyszeć. Namacałem prawą ręką kawałek obluzowanej skały, szarpnąłem, by uderzyć Joana w głowę. Zrobiłem to jednak za wolno — żołnierz instynktownie odchylił się do tyłu, a kamień w zaciśniętej dłoni minął jego twarz o włos. Poczułem uderzenie pięści w brzuch. Straciłem oddech, opadłem na kolana, jakby mi podcięto nogi. Miałem wrażenie, że cios przeszył mnie na wyłot. Nabrzmiały od bólu żołądek podszedł mi do gardła i zwymiotowałem.

Joan chwycił mnie pod ramiona i ponownie pchnął na skałę.

— Posłuchaj! — miałem zamknięte oczy, poczułem uderzenia w twarz otwartą dłonią. Bił lekko, chciał tylko wrócić mi przytomność. — Posłuchaj — powtórzył. Po odorze jego oddechu domyśliłem się, że znów się nade mną pochyla. — Kapitan zatrzyma Bernata i Rodriga na zamku. A samego cię nie puszczą. Wiesz, co to oznacza?

Czułem w ustach gorzki smak wymiocin, w brzuchu piekło mnie, jakby razem z pięścią wepchnięto mi tam rozżarzone węgle. Ale słyszałem, co mówił.

— Wiesz, co to znaczy? — powtórzył. — Że nie wyjedziesz. Ani jutro, ani pojutrze. Pan Bóg wie kiedy. Pewno nigdy, bo zamek padnie — mówił już nieco łagodniejszym tonem.

Bezwiednie uniosłem powieki.

— Jeśli Bernabé kogoś puści teraz za mury — mówił powoli — to tylko mnie. Chce się mnie pozbyć. Już z nim gadałem. Przekona kapitana, żebym to ja cię ochraniał w drodze. Wyjedziemy razem, ty i ja.

Joan wpatrywał się w moją twarz, szukając na niej jakichś znaków, że słyszę i rozumiem jego słowa. Chyba je wypatrzył, bo zdjął nogę z głazu i odszedł dwa kroki.

— Almogawarzy są nie o trzy, ale o dwa dni drogi stąd. Kapitan nie chciał wywoływać paniki. Nie mamy za wiele czasu — mówił już prawie łagodnym tonem. — Jak już tu przyjdą... Zamku nie ma kto bronić. Wszyscy mają dość. Załoga podda mury. Żołnierze wyjadą. Ale ludzie zostaną. Zanim się to stanie, mogą minąć miesiące. Nie mam ochoty tu dłużej gnić. Rozumiesz?

Odchyliłem głowę do tyłu i ciężko oddychałem, głębokie wdechy przynosiły mi ulgę.

— Rozumiesz?

Przytaknąłem, było mi już wszystko jedno.

— Masz tak ułożyć sprawy, żeby jutro rano być gotowym do drogi. Twoja w tym głowa.

— Ja muszę... muszę jutro wyjechać — wydusiłem. Schowałem dumę głęboko w trzewiach. Przyjdzie pora na zemstę. Nie teraz. Teraz ten bydlak mógł się okazać moim wybawcą, jeśli prawdą jest to, co mówi. Wiedziałem tylko jedno: muszę na Pesach wrócić do Saragossy, muszę przekonać Ayhe do ucieczki, wszystko inne było bez znaczenia.

Joan skinął głową. Kąciki ust zadrgały mu, jakby za chwilę miał się uśmiechnąć. Z jego twarzy biło zadowolenie. Zapewne uznał, że

potraktowanie mnie jak psa, którym trzeba rzucić kilka razy o ścianę, by słuchał, przyniosło zamierzony skutek.

— Oczyszczył się — rzucił mi już z siodła i odjechał.

Przetarłem trawą mokre od wymiocin plamy na kaftanie, ale na niewiele się to zdało, kwaśny smród wniknął głęboko w materiał. Angel, który całą awanturę przeczekał za skałą, teraz znów się przyczepił. Szliśmy pod górę w milczeniu, posłusznie mijając zakręt za zakrętem, aż wyrosły przed nami potężne mury osady. Za nimi, wyżej na wzgórzu, wznosiły się stromo do nieba ściany zamku — potężniejszego od skał, rozpartego na nich niczym mocarny król na tronie. Jak pyszni musieli być ludzie, którzy tę fortecę wzniesli i ją zamieszkiwali, widząc swoje dzieło większym od boskiego! Jakąż pogardę musieli czuć wobec ludzi takich jak ja, obleczonych w byle kaftany czy wełniane tuniki!

Udaliśmy się wzdłuż murów do głównej bramy Loarre, szerokiej tak, by mogły przez nią przejechać duże wozy. Po obu jej stronach wznosiły się potężne wieże, najwyższe w całym pasie umocnień. Bramy pilnowało dwóch strażników, ale widocznie Joan uprzedził ich o naszym rychłym nadejściu, bo tylko ciekawie mi się przyglądali, nie sprawdzając zawartości wozu. Angela dobrze znali i nawet na niego nie spojrzeli, gdy ich mijał.

Na dziedzińcu panował ruch i gwar, jakiego tu jeszcze nie widziałem. Kapitan zarządził, by każdy dom z podzamcza przyjął pod dach jedną rodzinę z San Esteban, ale ponieważ nikt nie ustalił odgórnie zasad ani porządku przenosin, dochodziło do kłótni. Ludzie podnosili głosy, dzieci wtórowały im płaczem, psy szczełyły jak oszalałe. Co chwilę jakaś kura z głośnym gdakaniem i trzepiąc skrzydłami, uciekała spod nóg ludzi albo zwierząt. Najgłośniej ryczało bydło spędzane w pośpiechu za mury i zaganiane do prowizorycznych ciasnych zagród. Po kilku tygodniach oblężenia stłoczone zwierzęta wydzielają odór nie do zniesienia, umieszczano je więc w zachodniej, najbardziej stromej części podzamcza, aby wschodnie wiatry, a takie wiały tu najczęściej, unosiły morowe powietrze za mury.

Droga wiodąca od głównej bramy w murze do wejścia do zamku dzieliła przestrzeń podzamcza na dwie części: północno-wschodnią, w miarę płaską, oraz znacznie obszerniejszą — południową, o dużym nachyleniu. W tej pierwszej znajdował się dom kowala, jego warsztat, stajnia dla koni, niewielki młyn oraz piec chlebowy. Tę drugą zajmowały chłopskie chaty wznoszone — ze względu na ukształtowanie terenu — w trzech pasach, na wyciętych w ziemi tarasach. Wzdłuż domów biegly równoległe bite drogi, połączone ze sobą prostopadłymi i stromymi ścieżkami.

Zaraz za bramą przystanęliśmy na chwilę oszołomieni panującym zamętem. Przed kuźnią dostrzegłem Bernata i Rodriga. Angel, widząc, że Bernat patrzy w naszą stronę, podniósł łuk na powitanie, po czym pobiegł załatwiać swoje sprawy. Ja ruszyłem z wozem w stronę przyjaciół.

— Twój uczeń jest w tobie zakochany — powiedziałem do Bernata, chwytając go za ramię na powitanie.

Oznajmili mi, że don Solsona czeka już na mnie od rana i polecił, bym wszedł na zamek razem z wozem, na którym miałem między innymi beczki z winem i skrzynię z dokumentami od mojego wuja.

Weszliśmy w ścianę zamku i ruszyliśmy szerokimi schodami, tak zaprojektowanymi, że gdy konieczne było wtoczenie wozu na wewnętrzną dziedzińiec, na płytkich środkowych stopniach mocowano deski. Z boku, z prawej i lewej strony, biegly wąskie schody dla prowadzących zwierzęta. Po pokonaniu kilkunastu stopni jeden z żołnierzy przejął ode mnie wóz, a ja udałem się za Rodrigiem do gabinetu don Solsony. Mieścił się on teraz w niskim budynku wciśniętym pomiędzy dwie wysokie wieże.

Wszedłem sam. Don Francisco Solsona stał na środku sali, z rękami założonymi za plecy. Było to duże jak na gabinet pomieszczenie, pogrążone w półmroku, bo choć miało po dwa wąskie okna w każdym z dłuższych boków, to położenie niskiego budynku za katedrą i między wieżami skazywało go na wieczny cień. Nie było tu jednak chłodno. Na tylnej ścianie w dużym kominku płonęły olbrzymie kłody. Podłoga wyłożona była grubymi matami ze słomy.

— Mój drogi Aaronie! — zawołał na mój widok — pokój niech będzie z tobą.

Cofnąłem się o dwa kroki i złożyłem mu ukłon.

— Słęskniłem się za tobą, chłopcze, naprawdę. Masz w sobie dar rozjaśniania świata. Bóg dał ci światło, które innym odebrał. A tych ponuraków mam ostatnio najwięcej wokół siebie — przygnieciony swoim garbem patrzył na mnie spod wysoko uniesionych brwi. — Naprawdę się cieszę.

Pierwszy raz widziałem go w tak dwornym stroju: zielonych wąskich nogawicach, opiętych na szczyplych nogach, trzewikach z noskami niewiele krótszymi niż te, które tak śmieszyły mnie u Dolza, i ledwie sięgającym bioder kaftanie. Ten kusy, przesywany złotymi nićmi szkarłatny kaftan uwypuklał kalectwo don Solsony. Przez uderzający brak proporcji pomiędzy długimi nogami a kalekim tułowiem jego postać sprawiała wrażenie, jakby sklejoną ją z dwóch niepasujących do siebie posągów.

— I ja się cieszę, don Francisco — jeszcze raz się skłoniłem, po czym podałem mu niewielką skrzynię z listami i dokumenty od Salomona.

Garbus natychmiast zasiadł za dużym dębowym stołem i począł przeglądać pisma. Gestem zaprosił mnie do zajęcia miejsca naprzeciw. Przez dłuższą chwilę wodziłem wzrokiem po tkaninach zdobiących ścianę za jego plecami.

— Tak, poprzednim razem pracowaliśmy w innej izbie — oznajmił, nie podnosząc wzroku znad listu — ale tamtą musiałbym dzielić z gośćmi, a tę mam już tylko dla siebie. Dobrze mi tu, choć nawet w dzień muszę pisać i czytać przy świecach.

Przeniosłem wzrok z kilimów na Solsonę. Starałem się to zrobić jak najdyskretniej, choć pewno i tak wyczuł, że mu się przyglądam. Gęste, ściągnięte w zamyśleniu brwi, prosty nos, surowe, grube usta — w ciepłym świetle oliwnej lampy ta skupiona, pochylona nad dokumentami twarz wydała mi się urodziwa i szlachetna. Od poprzedniej wizyty wiele się o tym człowieku dowiedziałem. Don Francisco de Solsona wojnę między Kastylią i Aragonią, podobnie jak kapitan de Lucio, rozpoczął w służbie króla Kastylii Piotra Okrutnego. Należał do elitarnej kilkunastoosobowej grupy tak zwanych fałszerzy monet. Takie grupy działały po obu stronach konfliktu. Ich zadaniem było wybijanie i wprowadzanie do obiegu na terenie wroga monet o zaniżonej próbie, ale w taki sposób, by dla przeciętnego mieszkańca, nawet

kupca, były one nie do odróżnienia. Falszowy pieniądz czynił większe spustoszenie niż cała armie ciężkiej jazdy. Mówiło się, że Aragonia, mając trzykrotnie mniejszą liczbę wojska, wygrała wojnę Dwóch Piotrów właśnie dzięki skuteczniejszemu paraliżowaniu pieniężnego systemu wroga. Pod koniec wojny król Kastylii wydał rozkaz wymordowania wszystkich swoich fałszerzy, tak by tajemnice ich działalności pogrzebać w ziemi na zawsze. De Lucio, działający już po stronie Aragonii, przeprowadził błyskotliwą operację na kastylijskim terytorium i wydobyl Solsonę ze szponów śmierci. Ten był kastylijski oficer wiedział, że don Solsona, kierując mennicą, w której wybijano fałszywe złote florena, wprowadził potajemnie do matrycy sobie tylko znany szyfr. Kastylia zalała Aragonię fałszywą monetą, powodując drastyczny spadek kursu florena, sięgający nawet pięćdziesięciu procent. Po wojnie w obiegu wciąż znajdowały się dziesiątki tysięcy fałszywych monet. Ten, kto potrafiłby odróżnić florena wysokiej próby od podrobionego, wart byłby tyle złota, ile sam ważył. Ponieważ oba miały tę samą wagę, a różniły się tylko próbą i zawartością złota, bez znajomości mincerskiego szyfru ukrytego w literach na rewersie odróżnienie ich było w zasadzie niemożliwe. Don Solsona klucz miał w głowie, nigdzie go nie zapisał ani nikomu nie zdradził. Długo dowożono mu do Fragi albo do Loarre worki pieniędzy, z których bezbłędnie odsiewał fałszywki. Kapitan de Lucio uratował garbusowi życie, dał bezpieczne schronienie, a ten odpłacał mu złotą wiedzą.

— Dobrze, że dojechałeś cały i w zdrowiu. Za kilka dni nie wiadomo, co nas czeka — don Solsona włożył wszystkie dokumenty z powrotem do skrzyni i cicho zamknął wieko. — Ciekaw jestem, co nam dziś powiesz. Jak naprawdę wygląda plan wielkiego Salomona Abnarrabiego. I co na to Aranda. Doszły mnie niepokojące słuchy, że podobno pogodził się już z bankructwem Loarre, że ma inny plan zatrzymania zamku przy królu niż wy, Żydki...

Spytałem go, czy wie, gdzie spędzę noc.

— Tak. Pamiętasz, gdzie jest kuchnia?

Skinąłem głową.

— Będziesz dzielił izbę nad kuchnią z naszym gościem z dalekich stron. Nie masz nic przeciwko temu?

Nie musiałem odpowiadać, bo don Francisco, jako człowiek spostrzegawczy, umiał czytać z oczu.

— Podobno Żydzi widzą w nim mściciela krwi. Ty też? — rzucił mi jeszcze jedno badawcze spojrzenie.

— Nie, to bzdura.

— Słusznie! Spędziłem z tym młodzieńcem wiele wieczorów na rozmowach i był mi wyborynym towarzyszem. Uchodzi za porywczego, ale ma otwartą głowę i dużo wie o świecie. To wstyd, że traktuje się go tu jak wroga.

— Don Francisco, jak to się stało, że on trafił do Loarre? — spytałem, chcąc skonfrontować moją wiedzę z tym, co mówi się tu, na zamku.

Przechrzta chwilę milczał, patrząc spod zmarszczonego czoła. Potem wstał, podeszedł do mnie.

— Sam go zapytaj — pchnął mnie w pierś wyprostowanym palcem. — Mówi biegle po łacinie, lepiej ode mnie, więc się łatwo porozumiecie. Potrzebny jest ktoś, kto go wprowadzi do naszego świata. Jest tu gościem. Czasy nie sprzyjają

wyszukanej gościnie, ale w końcu to chrześcijanin...

— Don Francisco, ja jutro wracam do Saragossy. Tylko na kilka dni. To bardzo ważne. Salomon...

— Może i ważne — przerwał mi garbus, wyraźnie zaskoczony — ale ważniejsza jest teraz twoja głowa. Nie możemy ryzykować, że ci ją ktoś odrąbie. Za dużo wiesz. Sam nie pojedziesz, a nie sądzisz chyba, że kapitan pozwoli któremuś z żołnierzy opuścić zamek? Widzisz, co tu się dzieje.

Powiedziałem mu o Joanie. Przemilczałem jedynie incydent przy skale, prosząc go jednocześnie o zachowanie wszystkiego w tajemnicy.

— Aaronie — krzyknął zduszonym głosem — nie daj się w to wciągnąć! Nie bierz sobie za współnika tego... rzeźnika. On już dość napsuł tu powietrza. Wiem, o co mu chodzi. Zostawi cię za pierwszym zakrętem. Albo sam cię pchnie nożem. Co za pomysł!

Don Solsona znów popatrzył na mnie uważnie.

— Chłopcze, wyjazd to szaleństwo, nawet z eskortą. Ale będziesz miał okazję pomówić z kapitanem. Jeśli się zgodzi... nie mnie tu rozkazywać.

I tak stąd jutro wyjadę, pomyślałem, żaden kapitan mnie tu nie zatrzyma.

— Chodźmy. Masz jakieś rzeczy?

Wskazałem na podróżny worek, w którym były ubrania i skrzynka z pamiętnikiem. Udaliśmy się do mojej kwatery. Mieściła się w wieży, którą nazywano tu północną. Jej parterową część zajmowała sypialnia dla kobiet pracujących w przyległej do wieży kuchni. Jakiś czas temu, by położyć kres czystem zaczepekowi, a nawet gwałtom, kapitan polecił wybić przejście pomiędzy tymi pomieszczeniami, dzięki czemu kobiety mogły udawać się na nocleg, nie wychodząc na dziedziniec. Zamurowano pierwotne wejście, tak więc dostać się do sypialni można było tylko przez kuchnię, zabezpieczoną solidnymi dębowymi drzwiami. Pod sypialnią kucharek znajdowały się piwnice, gdzie dawniej przetrzymywano więźniów, a teraz mieściła się podręczna spiżarnia.

Tak więc jedyne wejście, jakie pozostało w wieży północnej, prowadziło do naszej kwatery. Po pokonaniu kilkunastu wąskich kamiennych schodów znaleźliśmy się w obszernej, ale dość niskiej izbie. Jak oznajmił don Solsona, jedną jej część, powiedzmy prawą, jeśli patrzeć od strony schodów, ogrzewało powietrze z nad kuchennych pieców, dzięki czemu przez większą część dnia i nocy miała ciepłą podłogę, rzecz bezcenna podczas chłodnych miesięcy; druga część, lewa, była lepsza na letnią porę. Wąskie okna, po dwa z każdej strony, wychodziły na północną i południową stronę.

— Kto tu wcześniej sypiał?

— Odkąd zamek objął de Lucio i jego ludzie, nikt na stałe. Wchodziły tu czasami kobiety z kuchni, jak już się domówiły z którymś z żołnierzy.

Don Solsona podszedł do mnie tak blisko, że ledwo zdołał spojrzeć mi w oczy.

— Nasz gość będzie zapewne zadowolony, że mu tu kogoś dokwaterowano. Szybko dogadał się z dwórką naszej pani. Powinien się dowiedzieć, że napytał sobie tym wielu wrogów... Zostawiam to tobie — powiedział Solsona i wrócił na środek izby. — Nad wami — wyciągnął rękę w kierunku stropu — jest już szczyt wieży. A tu — teraz wskazał na prostokątny obrys klapy w drewnianej

podłozie — jest przejście do kuchni. Ale drabinę mają kobiety i przystawia ją tylko wtedy, kiedy mają ochotę. Trzeba się postarać...

Don Solsona zrobił kilka kroków w stronę wyjścia, ale zawrócił.

— Posłuchaj — rzekł, ciężko wzdychając — już zapewne słyszałeś o tym zamieszaniu, o tej bójce z Samperem i w ogóle... Wyrobisz sobie własne zdanie na temat naszego gościa, ale musisz zrozumieć pewne rzeczy.

Przerwał, rozejrzał się wokół, podrapał w czubek nosa, jakby niepewny, czy to właściwe miejsce i czas na taką rozmowę.

— Wplątali go w ten pojedynek sądowy, słyszałeś?, a on boi się o swoje młode życie. To rozumiałe. Przysyłają mu nauczycieli fechtunku, którym nie daje rady, a wie, że ten, który będzie go chciał pozbawić życia, potrafi znacznie więcej od nich.

W uszach dzwięczały mi słowa mojego wuja, że ten pojedynek zadecyduje o naszej przyszłości... Co miałem o tym wszystkim myśleć?

— Poza tym — ciągnął don Solsona — ten Sulima... on tu widzi miasta, porty, statki, zamki, bogactwa, jakich w jego kraju nie ma... Widzi, że między naszymi światami stoi mur. Bóg tak rozdał karty, nic z tym nie zrobisz. Słyszałem od kupców, którzy bywali w tamtych stronach, że to przepaść nie do zasypania, nigdy. Jeden czy stu rycerzy tego nie zmieni... To dumny młodzieniec, on to tu zrozumiał i cierpi na swój sposób. Tak to widzę, chłopcze...

Garbus obiecał jeszcze przysłać kogoś z pościelą i wyszedł. Rzuciłem worek pod ścianę i wyciągnąwszy się na pusty ramię jednego z łózek, zapadłem w drzemkę. Na tyle lekką, że usłyszałem skrzyknięcie drzwi i zaraz potem, za głową, odgłos bosych stóp na surowych deskach podłogi. Obok łóżka przemknęła jakaś kobieca postać — zobaczyłem tylko jej ciemne włosy wylewające się spod czepka, jasną suknię z krótkimi rękawami i różowe pięty. Powoli, żeby nie narobić hałasu, położyła na podłozie siennik, a na nim kilka skór. Odwróciła się przez ramię i spojrzała w moją stronę. Sądząc po jej gładkiej okrągłej buzi o delikatnych rysach, nie miała więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Minęła chwila, zanim jej wzrok przebił się przez promienie słońca lejące się z okien; gdy dostrzegła, że mam otwarte oczy, dygnęła i szybko ruszyła do wyjścia, zaciskając wargi, żeby się nie roześmiać.

Chwilę później zasnąłem już na dobre, bo gdy gwałtownie przebudzony ze złego snu usiadłem na łóżku, w izbie panował półmrok. Z ulgą wróciłem na jawę; śniło mi się, że Joan trzyma mnie za włosy nad jakimś strumieniem, krzyczy coś o zemście i napiera z góry, by mnie utopić.

W rogu izby, pochylony nad miednicą, stał nagi mężczyzna i ochlapał się wodą. Zobaczył, że wstałem, i rzucił mi coś niezrozumiałego na powitanie. Potem wciągnął na siebie czystą koszulę i podszedł do mnie. Poznałem go. Na koniu, w obszernej przeszywanicy wyglądał potężniej. Choć wyższy ode mnie, nie miał postury atlety. Jedynie dłonie, duże, z postronkami żył, sprawiały wrażenie silnych.

— Ty jesteś Aaron? W moich stronach twą mnie Zawisza, *Zawissius* — odezwał się po aragońsku, z tym samym twardym akcentem, który słyszałem u Stickera. Tamten mówił jednak płynniej. — Tu wołają na mnie *Polono*, albo Sulima, ale w końcu się nauczają.

Potem dziwną mieszanką łaciny i aragońskiego oznajmił, że czekają na nas z wieczerzą. I że był już tam, w sali, przyszedł jedynie się przebrać i wskazać mi drogę. Powiedziałem mu, że znam łacinę i jeśli mu tak wygodniej, możemy rozmawiać w tym języku. Wyraźnie się ucieszył.

Wielka sala, gdzie odbywały się najważniejsze narady, biesiady, i gdzie kapitan de Lucio sprawował sądy, mieściła się w głównej, najwyższej wieży zamku. Prowadził Zawisza. Przeszedłszy wewnętrzny dziedziniec, weszliśmy po drewnianych schodach na poziom dawnych murów zamku, jeszcze sprzed wielkiej przebudowy, która miała tu miejsce, jak twierdził don Solsona, wieki temu. Na przedpiersiu starego muru opierał się kamienny mostek prowadzący wprost do wejścia do wielkiej sali. Pod nią, w dolnej części wieży, pozbawionej okien i drzwi, znajdował się główny spichlerz; można było do niego zejść po wąskich schodach wykutych w grubych ścianach. Nad wielką salą mieściła się prywatna komnata księcia, gdzie sypiał i przyjmował gości na poufne rozmowy. Ze szczytu wieży otoczony blankowanym murem rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na bezkresną dolinę. Przy dobrej pogodzie i sokolim wzroku można było podobno dostrzec rozbłyśki światła odbijającego się w kopule saragoskiej katedry la Seo.

Gdy weszliśmy do sali, przerwano rozmowy. Za stołem na długiej ławie przy ścianie siedział don Solsona, kapitan de Lucio oraz dwóch dostojników, których wcześniej nie widziałem. Byli to mężczyźni w podobnym, dojrzałym wieku. Różnili się powierchownością: siedzący po prawej miał szczuplejszą twarz, starannie ułożone włosy i znacznie bogatszy ubiór. Mężczyzna po lewej sprawiał wrażenie niechlujnego; spod okrągłej nalanej twarzy rozlewała się na wszystkie strony gruba szyja. Chyba właśnie mówił coś ważnego, gdy weszliśmy, bo patrzył teraz na nas z otwartą gębą, a w kącikach drobnych ust zalegały krople spienionej śliny.

Kapitan de Lucio wstał.

— Witaj, drogi Aaronie! Cieszę się, że cię widzę w zdrowiu. Siadajcie.

Wyciągnął ramię w naszą stronę.

— Oto i nasz Aaron Abnarrabí, kancelista i prawa ręka wielkiego Salomona Abnarrabiego.

Zaledwie zajęliśmy miejsca po przeciwnej stronie stołu, gdy zjawiła się ta sama dziewczyna, która przyniosła mi siennik. Tym razem zachowywała śmiertelną powagę i nawet na mnie nie spojrzała. Postawiła na stole dwa duże dzbanki wina i szklane puchary. Przy takim stole, a w zasadzie dwóch złączonych ze sobą długich deskach opartych na kozłach, zazwyczaj siadało się tylko z jednej strony, plecami do ściany, tak by łatwiej było służbie serwować dania. Gdy teraz siedzieliśmy naprzeciwko siebie, miałem wrażenie, że przy odrobinie nieuwagi możemy zderzyć się czołami.

— Aaronie, zanim przyniosą wieczerzę, poznaj naszych gości.

De Lucio wskazał na szczuplejszego z dwójki mężczyzn.

— Oto don Francisco de Aranda. Don Francisco zna bardzo dobrze saragoską *aljamę*, i jak mi wyznał, słyszał o tobie wiele dobrego.

Skloniłem mu się nisko, a on odpowiedział ledwie zauważalnym

skinieniem głowy. Zaskoczyła mnie jego miła powierzchowność i łagodne spojrzenie. Nie tak go sobie wyobrażałem.

Następnie de Lucio przedstawił drugiego z dostojników — jurystę Eximeno Dostę, *oidora*, członka Rady Królewskiej, oznajmiając przy tym, że nie ma w Aragonii oficjalnego pisma, do którego ów Eximeno nie miałby dostępu. To przez jego ręce przechodzą wszystkie dokumenty podsuwane królowi do podpisu.

Tuż potem do sali wkroczyły dwie kucharki, niosąc na półmiskach pierwsze dania: pieczone na ruszcie kurczaki, miski z sosami oraz duży okrągły bochen chleba. Każdy z gości dostał naczynie, łyżkę oraz szpikulec. Danie odstawiono na kredens, by cieszyło już nasze oczy, i podano miski z wodą i ręczniki. Rozdano też lniane chusty do ocierania ust podczas posiłku.

Gdy wszyscy umyli ręce, półmiski ustawiono na stole. Pierwszy raz zasiadałem do posiłku w towarzystwie hrabiego oraz członków dworu królewskiego, czekałem więc na rozwój wypadków.

— Caterino — de Lucio zwrócił się do mojej znajomej, jak zacząłem w myślach nazywać tę młodziutką dziewczynę — przynieś nam lżejszego wina, to jest za mocne, a mamy dziś trudne sprawy do omówienia... — spojrzał na Arandę, jakby szukał w jego oczach aprobaty. — Nie będziemy się też objadać. To, co przyniosłaś, wystarczy. Niech Francesca przygotuje jeszcze tylko twaróg z miodem i przynieś go nam, gdy skończymy mięso.

— Widzę, kapitanie, że nas nie utuczysz — rzekł Aranda, udając rozczarowanie.

— Tak, zachowamy wstrzeмиęźliwość — odparł de Lucio. — Ale specjalnie na twój przyjazd, don Francisco, poleciłem mojej kucharce przygotować sosy, którymi się tak zachwycałeś ostatnim razem. Jedna miska jest wyłącznie dla ciebie.

Kurczaki na półmisku były już pokrojone. De Lucio nabił na szpikulec ćwiartkę, na talerzu porozcinał nożem na drobniejsze kawałki, potem kilka razy nabierał łyżką sos i polewał obficie mięso. Wreszcie ujął porcję mięsa w dwa kawałki chleba i unióśł do ust.

— Bóg mi zesłał tę kobietę — powiedział po przełknięciu kęsa. Po czym zachęcił wszystkich do jedzenia, poruszając dłońmi, jakby chciał pchnąć w nasze nozdrza zapach parującej potrawy.

Wszyscy poszli w jego ślady. Szpikulec okazał się niezwykle poręcznym narzędziem, odkryłem, że można nim łatwo nakładać mięso z misy bez brudzenia rąk, a potem przytrzymać je podczas krojenia.

Rozdrobniony i polany sosem drób brano do ust za pomocą chleba. Nie było to proste. Starałem się naśladować siedzącego naprzeciw mnie Arandę, ale sos mi wyciekał i brudził stół. Mając na uwadze zadanie, jakie mnie czekało, nie chciałem ryzykować poplamienia ubrania i poprzestałem na jednej ćwiartce kurczaka.

Przez dłuższą chwilę jedzono w milczeniu.

— Nigdy nie miałem w ustach tak wybornego sosu, kapitanie — w końcu odezwał się Aranda. — To prawdziwe arcydzieło. Ręczę ci, że nie ma przy królu ani w całej Saragossie nikogo, kto równałby się z twoim kucharzem.

— To kucharka. Pochodzi z Walencji, jesteście tu wszyscy od dwóch lat na

katalońskiej diecie.

Aranda nie odpowiedział. Wytarł usta i dłonie w chustę i sięgnął po raz pierwszy tego wieczoru po wino, upił drobnym łyk, po czym przytknął jedno oko i wykrzywił twarz.

— Wino jest nieco... surowe w smaku. To z naszej winnicy, pierwszy rocznik, pracujemy nad nim — pospieszył z wyjaśnieniem de Lucio.

Aranda zignorował tłumaczenie gospodarza. Do sali wkroczyły znów kobiety, aby pozbierać brudne naczynia i podać zapowiadany deser. Nie mogłem oderwać oczu od twarzy Francisca de Arandy. W całej jego postaci, ruchach, mimice było coś pociągającego. Wzbudzał zaufanie i sympatię. Jego powierzchowność, barwa głosu, uprzejmy ton, wesołe oczy nie odpowiadały obrazowi człowieka z legendy, jaka go otaczała. Nagle zawołał w moją stronę:

— Aaronie Abnarrabí! Przechodzimy do naszych spraw.

Bezwiednie poderwałem się z ławy.

— Nie musisz wstawać, chłopcze — zaśmiał się de Lucio.

— Tak, możesz siedzieć! Ja wstanę, rozprostuję nogi — Aranda gestem nakazał mi pozostanie na miejscu. — Wolę słuchać na stojąco. A ty, gospodarzu, postaraj się o lepsze wino. Będziemy pić z umiarem, nie obawiaj się. A waszego winiarza skróć o głowę.

— Mam beczkę, którą przywiózł z Saragossy ten młodzieniec — odparł de Lucio, wskazując mnie brodą. Widać było, że niespecjalnie przejął się słowami gościa.

— To z waszych winnic? — spytał mnie Aranda.

— Tak, panie.

— Znam bardzo dobrze twojego wuja i żywię dla niego ogromny szacunek. A ciebie zapytam, czy warto postać po to wino.

— Warto, panie.

Don Solsona, ponieważ siedział najbliżej wyjścia, nie czekając na polecenie, ruszył w stronę drzwi i krzyknął coś z mostku w stronę kuchni.

— Aaronie — Aranda stał koło mnie, ale mówił głośno, aby wszyscy słyszeli — Eximeno Dosta jest moją prawą ręką i nieocenioną pomocą w królewskiej kancelarii. Od niedawna wie o naszych zamiarach względem rodziny Urríesów. Będzie uważnie słuchał tego, co mówisz, i zadawał pytania. Chciałbym też — dodał, patrząc w stronę Zawiszy — aby nasz gość pozostał z nami. Jeśli ma ochotę, rzecz jasna. Pragnę, aby wiedział, że darzymy go zaufaniem.

De Lucio nie zdołał ukryć niezadowolenia. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i odwrócił głowę. Zawisza tego nie zauważył; zrozumiał zaproszenie i podziękował Arandzie ukłonem.

— Rano opuszczam Loarre. Musimy do tego czasu podjąć wszelkie decyzje. Pijcie więc, jak radzi gospodarz, z umiarem — dodał dworzanin, widząc, jak dziewczka wnosi dzban.

— *Délicieux!* — oznajmił po chwili, upiwszy spory łyk z podanego pucharu. — Przekaż, chłopcze, uznanie twojemu wujowi.

— Przekażę, choć to jego synowie prowadzą winnicę.

— Koszerne?

— Tak, to tak. Tylko część naszej produkcji jest koszerna. Żydowski robotnik

jest bardzo drogi. Rodzina Abnarrabich zatrudnia głównie muzułmanów.

Francisco de Aranda kłasnął w dłonie na znak, że czas przejść do rzeczy. Przynusiałem się do Zawiszy, aby mu tłumaczyć trudniejsze fragmenty.

— Aragońskie rody, Urríes, Urrea, Luna, Beregua, Híjar, Cornel, wszystkie — zaczął — rozpychają się, bo król jest słaby. Teraz jest tak w Aragonii, że gdzie postawią nogę, ziemia jest ich. Do tego spieszą im, bo boją się Kastylii jak pies burzy, a słyszą, że gdzieś daleko już grzmi. Kastylijski król ma silną rękę i bierze *nobles* na powrót, takie tam mają na zachodzie dobre zwyczaje!

Rękę w tuż w twarz kapitanowi, którego żona, z rodu Urrea, wniosła mu wianem upragniony awans do wysokiej szlachty, do *nobleza*.

— Dla nas, dziś — ciągnął Aranda — najgroźniejsi są Urríesowie, bo zamierzają się na królewskie domeny powierzone w opiekę panu de Lucio: Loarre i Fragę. Zrobią wszystko, by powrócić tu, na zamek. Mają już Ayerbe, Aniés i żeby zamknąć całą dolinę w swoich kleszczach, Loarre jest im niezbędna. Wtedy i Bolea szybko się im podda i zapanują nad najbardziej żyznymi ziemiami północnej Aragonii. Będzie już dziesięć lat, jak król odkupił od starego Urríesa Loarre i ten od tego czasu wije się jak żmija, której ucięto ogon.

— Urríesowie coraz głośniejszą mówią, że chcą sądu, bo król odkupił Loarre dzięki sztuczkom swych jurystów — dodał de Lucio.

— Tak, ale to było za króla Piotra. Króla! A teraz miłościwie panujący nam jego syn ma w skrzyniach myszy zamiast złota i jest gotów wyprzedawać, co się da — Aranda mówił podniesionym głosem. — W sądach Urríesowie nie mają szans. Ale wystarczy, że pojawią się straty, grąbca bankructwa. Byle pretekst, a król natychmiast sprzeda Loarre. W Roussillon sprzedał już prawie wszystkie zamki!

— Od trzech lat nie przysyłasz, panie, sprawozdania z finansów. Robię co mogę, by jakoś to tuszować, ale już dłużej nie dam rady — rzekł Eximeno, odwracając głowę w stronę kapitana. Jego głos brzmiał nadspodziewanie mocno, nie pasował do tego otyłego dworzanina o twardszym dziecku.

— Gdy królewski skarbnik w końcu dostanie to sprawozdanie i król dowie się, jak zadłużona jest Loarre, sprzeda ją — dodał Aranda. — Jak długo zamierzasz ratować Fragę kosztem Loarre? Loarre ma tak wysokie *censales* do spłaty, że wystarczy jeszcze jeden rok złych plonów, a Eximeno już nie ukryje twojego bankructwa, kapitanie!

Kapitan Gonzalo González de Lucio nie odpowiedział. Chyba nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków. Napierano na niego. W jak trudnym musiał znajdować się położeniu, że znosił taki ton, zwłaszcza z ust Eximeno Dosty?

— Wierność Koronie, miłość do Aragonii każe nam walczyć o zachowanie Loarre przy królu. — Aranda podszedł do Zawiszy, wyraźnie kierując te słowa w jego kierunku. — W zeszłym roku przez Loarre przechodziły bandy gorsze od zarazy. Kapitan de Lucio przy naszej pomocy musi dać im odpór w tym roku i zrobić wszystko, by nie wróciły w przyszłym. Ale jak to zrobić, skoro cała jego siła to tych kilkuset żołnierzy, których widziałeś na zamku, i klejnoty na szyi pięknej żony...

— *Non marte sed arte*¹⁸ — rzekł spokojnie Zawisza.

— W tym cała sprawa! Urríesowie mają wszystko. My nie mamy nic. Więc

nie czas na otwartą wojnę!

Aranda podszedł teraz do mnie i uderzył dłonią w stół:

— A teraz, Aaronie, mów, co masz do powiedzenia. Zdradź wreszcie zamysły wielkiego Salomona Abnarrabiego!

Serce zabiło gwałtownie, jakby mi ktoś wlaź do piersi i zaczął walić w bęben. Wzięłem kilka głębokich wdechów, ale nie pozbyłem się zacisku na gardle. Na moim miejscu usiadł don Solsona, by w razie konieczności służyć Zawiszy za tłumacza.

— Urríesowie czerpią dochody z dwóch głównych źródeł — zacząłem niepewnym, zduszonym głosem. — Pierwsze z nich to dochody z ziemi, renty, dzierżawy, królewskie nadania. Wymieniać je?

— Nie — pierwszy odpowiedział Aranda — nie trzeba. Teraz nas nie zamęczaj. Ile tego jest łącznie?

— Szacujemy, że w przybliżeniu 34 tysiące soldów rocznie. To mało. Tylko na utrzymanie zamku Ayerbe wydają ponad 40 tysięcy. Do tego dochodzą olbrzymie koszty utrzymania własnego wojska. Juan de Urríes, który ma odziedziczyć Ayerbe, walczy o królewskie łaski i stanowiska na dworze. Dlatego od dwóch lat utrzymuje pięćdziesiąt kopii na wojnę, jaką toczy król z hrabią d'Armagnac. Każdemu rycerzowi płaci rocznie około 2 tysięcy *maravedís*. Oprócz tego utrzymują załogę zamku, trzydziestu żołnierzy. A ze swoich wsi, w ciągu kilku dni, mogą uzbroić setkę piechoty. Tym chłopom, za gotowość, nie płacą gotówką, ale ulgami w podatkach, więc nie liczę — mówiłem coraz płynniej, na szczęście pamięć mnie nie zawodziła. Otuchy dodawało mi skupienie, jakie widziałem na twarzach słuchaczy. — Do tego dochodzą koszty najemników. Almogawarom średnio płaci się jednego solda dziennie na głowę. Nie mamy jednoznacznych dowodów, że koszty ich zaciągu pokrywa skarbiec Urríesów...

— Mając takie siły na miejscu, po cóż ściągali by te bandy z południa? — przerwał mi Eximeno.

— To oczywiste, że nie mogą deptać królewskiej ziemi kopytami swoich koni — zachnął się Aranda — Przecież Urríesowie zabiegają u króla o urzędy! Te urzędy dają im wielkie profity. Mylę się, Aaronie?

— Nie, panie, nie mylisz się — odparłem. — Dzięki urzędom utrzymują w miastach wierne im stronnictwa. Tak jest w przypadku Walencji. Drugim i znacznie ważniejszym źródłem dochodów jest właśnie Walencja.

— Aaronie, zanim przejdziemy do Walencji. Co z zadłużeniem Urríesów? Mają zaciągnięte kredyty? Udało się to wyśledzić? — spytał Aranda.

— Tak, panie, ustaliliśmy, że są zadłużeni w kompanii Mayra. I co roku uzyskują nowe pożyczki, które regularnie spłacają.

— Kompania Mayra? Rabiego Mayra, tego kastylijskiego Żyda? — zdziwił się Eximeno.

— Tak, to grupa bankierów z Rabím Mayrem na czele, którzy mają w kieszeni króla i cały dwór Kastylii... w zasadzie to oni rządzą Kastylią — wtrącił don Solsona.

— Przesada! — skrzywił się Aranda. — Ale na pewno, gdy oni mają kłopoty, król nie sypia po nocach... Na jakie kwoty są zadłużeni?

— Na ponad 120 tysięcy soldów.

— Jesteś pewien tej sumy? — zapytał Aranda, po chwili ciszy.

— Tak, panie. Informacje były zbierane przez ponad rok, z najbardziej zaufanych źródeł.

Widziałem, z jakim przejęciem Salomon przeglądał różne zapiski, księgi, notatniki, kupowane za ciężkie pieniądze u zaprzyjaźnionych bankierów, jurystów i urzędników. Nie było to łatwe. Salomon zbierał informacje o obiegach weksli z kilkudziesięciu banków i najważniejszych kantorów całej Aragonii.

— Bywało, że kompania Mayrów ograniczała pożyczki dla króla i jego rodziny, żeby mieć gotówkę dla Urríesów — mówiłem dalej. — Najważniejszy jest zawsze przełom roku... Od października gromadzą środki, żeby na początku stycznia pożyczać Urríesom od 160 do 180 tysięcy soldów. I tak od wielu lat...

— Zdumiewające... — powiedział cicho Aranda. — Zapytam jeszcze raz: jesteś pewien tych liczb?

Ponownie skinąłem głową.

— Mów o Walencji.

— Miasto nie prowadzi własnej hodowli bydła, całość pochodzi z importu. Roczne zapotrzebowanie Walencji to 65 tysięcy sztuk. Tyle się tam zjada mięsa i to niemal wyłącznie baraniny. Rada Miasta nie nakłada podatków bezpośrednich, a tylko pośrednie, które nazywają *sisa*. Największe wpływy do kasy miasta uzyskuje się z podatku od spożycia mięsa, *sisa de la carn*. Ten podatek w tym roku to trzy denary od funta sprzedanego mięsa. Przy aktualnej cenie za funt baraniny, dziewięć denarów, daje to trzydzieści trzy procent. Co roku, pod koniec grudnia rozstrzygany jest przetarg na dzierżawę tego podatku. I od wielu lat przetargi te wygrywają ludzie podstawieni przez Urríesów.

— Dzieje się tak — przerwał mi Aranda i skinął na dziewczę, by połała wszystkim wina — odkąd rządzi w Walencji rodzina Centelles, blisko zaprzyjaźniona z Urríesami. W naszym interesie jest, by do władzy w mieście wróciła rodzina Vilaragut. I do tego musimy doprowadzić!

Od dwudziestu lat Walencję rujnowała wojna pomiędzy stronnikami rodzin Centelles i Vilaragut. Jak już pisałem, Aranda wplątał się w głośny romans z Carrozą de Vilaragut, kobietą o ciężkim charakterze i lekkich obyczajach, była kochanką króla Jana. Teraz za wszelką cenę pragnął pomóc jej rodzinie opanować Radę Miasta w Walencji, licząc nie tylko na wdzięczność damy senerca, ale i na bardziej wymierne korzyści.

— W ubiegłym roku — ciągnąłem — koszt dzierżawy *sisa de la carn* wyniósł 178 tysięcy soldów. Rok wcześniej 165 tysięcy. Tyle musi wyłożyć zwycięzca przetargu. To w przybliżeniu takie właśnie sumy pożyczają Urríesowie od kompanii Mayra... Szacujemy, że wpływy z tego podatku sięgają rocznie 320 tysięcy soldów. Odejmując wszystkie koszty poboru, zostaje jakieś 90 tysięcy czystego zysku. Z tego połowę dostają kastylijscy finansiersi, druga połowa trafia do kufurów w Ayerbe.

De Lucio i Aranda musieli zdawać sobie sprawę, że dysponując takimi funduszami, Urríesowie mogli przekupić całą Aragonię. Przeplukałem gardło winem i mówiłem dalej.

— To są zyski tylko z dzierżawy podatku od sprzedaży mięsa. Do tego dochodzi zysk z dostawy bydła. Bo trzeba wiedzieć, że dzierżawca podatku na dany rok zyskuje nie tylko prawo, ale też i obowiązek zapewnienia miastu odpowiedniej ilości mięsa. Co roku, jak mówiłem, jest to około 65 tysięcy sztuk bydła, które Urríesowie są zobowiązani dostarczyć do miejskich rzeźni.

Po twarzach słuchaczy poznałem, że nikt nie zdawał sobie sprawy ze skali tego przedsięwzięcia.

— Z tych dostarczanych co roku 65 tysięcy sztuk tylko 9 tysięcy pochodzi od okolicznych hodowców: z Villahermosy, Morvedre, Montcady, Albalatu, Vallady, Benifaíó, Alpuente, Chelvy, Cullery, Chivy, Segorbe, Siete Aguas, Foios, Sueki, Alginetu, L'Alcúdi, Fortaleny, Miralcampu, El Puig, Alfafaru, La Yesy, Aresu i Quartu.

Wszyscy, poza Zawiszą, wybuchnęli śmiechem. Wbrew zapewnieniom pito dużo mocnego wina Abnarrabích.

— Jesteś pewni, że niczego nie pominąłeś — powiedział już poważnym tonem Aranda.

— Pozostałe 56 tysięcy pochodzi z Kastylii — mówiłem niezrażony. — Z Kastylii do Aragonii, a dokładnie z Moliny do Albarracín, co roku, pod kontrolą Urríesów, przechodzi 56 tysięcy owiec. Ale ani jedna sztuka nie trafia do punktów celnych i nie otrzymuje stosownych certyfikatów. Nie ma po nich żadnego śladu w dokumentach granicznych. To przemyt.

Słowo „przemyt” zrobiło wrażenie na wszystkich i sprawiło, że don Eximeno zacisnął usta w grymasie niedowierzania.

— Długo szukaliśmy miejsca, w które moglibyśmy uderzyć. Finansowa twierdza Urríesów wydawała się nie do zdobycia. Aż trafiliśmy na ten właśnie trop.

— Chłopcze — wtrącił się *oidor* — nie mogę sobie wyobrazić przemytu na taką skalę. Nie da się przepędzić 56 tysięcy owiec z Kastylii do Walencji po kryjomu. Mamy dziurawe granice, ale nie aż tak... Po drodze są wodopoje, wypasy, płaci się mostowe... Jesteś pewien, że to jest 56 tysięcy? I to co roku?

— Bo było nie jest pędzone „po kryjomu”, ale po najwygodniejszych szlakach, z prawem pierwszeństwa do wodopoju i innymi przywilejami, jakie wywalczyli sobie hodowcy z Albarracín... To było jest po prostu pędzone jako aragońskie.

— Tego się nie da zrobić! Po drodze są sprawdzane dokumenty, nie jest możliwe przekupienie wszystkich urzędników na szlaku. Nie, fałszerstwo jest oczywiście możliwe, ale nie na taką skalę.

— Tyle, że to nie jest fałszerstwo — odparłem z satysfakcją, widząc niedowierzanie w oczach Eximeno. — To znaczy jest, ale praktycznie nie do wykrycia. Wpadliśmy na ten ślad przypadkiem. Jakiś czas temu Salomon spotkał znajomego rabina z Albarracín, który bawił w Saragossie przejazdem. To on poskarżył się, że przegrał dzierżawę *peaje*, opłat drogowych, z Juanem de Urríes, bo ten zaproponował królowi wyższą stawkę. *Peaje* obejmowało wszystkie drogi, mosty i... granicę w prowincji Albarracín. Prowincji, która od północy graniczy z kastylijską Moliną. Jak się dowiedzieliśmy, Juan de Urríes płaci królowi co roku 15 tysięcy soldów, podczas gdy normalna stawka wynosiła 10 tysięcy rocznie. Gdy okazało się, że od kilku lat Urríes świadomie

traci na tej dzierżawie, bo wpływy nie przekraczają 11 tysięcy, zaczęliśmy tam szukać...

Widząc, że Eximeno gwałtownie coś tłumaczy Arandzie, przerwałem na chwilę.

— Mów dalej — rzucił w moją stronę Aranda.

— Juan de Urríes jako dzierżawca cła obsadza granicę swoimi ludźmi. To proste. Ma dość pieniędzy i sprytu, żeby rada miasta Albarracín robiła, co jej każe. I w ten sposób kilka mil za granicą byłoby otrzymuje certyfikat pochodzenia z aragońskiego Albarracín i już jako aragońskie rusza w dół. Za darmo albo z dużymi ulgami korzysta z pastwisk, wodopojów, mostów itd. Takie tanie kastylijskie bydło, przepędzone niemal bez kosztów, sprzedawane jest potem rzeźnikom w Walencji po cenach rynkowych. Zysk na jednej sztuce sięga nawet trzech soldów. Co daje dodatkowe 168 tysięcy. Oczywiście należy od tego odjąć koszty pasterzy, ochrony, ale to nie więcej niż 13, 14 tysięcy soldów.

— Dlaczego nikt wcześniej tego nie robił? — pytał dalej niedowierzającym tonem Eximeno Dosta.

— A skąd wiadomo, że nikt na to wcześniej nie wpadł? Kastylia od lat ma nadwyżki bydła. Prześledziliśmy tylko jeden szlak dostaw, do jednego miasta. Należałoby zbadać dzierżawców opłat celnych wszystkich przygranicznych prowincji. Katalonia to nie tylko Walencja, jest jeszcze Barcelona, Alicante, Orihuela...

— Zablockowanie przemytu jest możliwe — nie dawał za wygraną *oidor*. — Można uszczelnić granicę, ale po pierwsze, znajdą inną drogę, po drugie, mogą sprowadzić mięso z innych rynków. Cios dotkliwy, na pewno, ale w skali ich zysków...

— Jak się domyślam, nie o to chodziło twojemu wujowi — wtrącił Aranda, przemierzając salę szybkimi krokami. — Chwilowe uszczuplenie dochodów Urríesów nic by nam nie dało. Sprowokowałyby do zemsty i wzmocniło ich determinację. Mamy tylko jedną próbę, możemy zadać tylko jeden cios, i on musi być śmiertelny, prosto w serce. Na drugi by nam nie pozwolili. Jestem ciekaw, co wymyślił nasz Salomon. Mów! — rzucił w moją stronę.

— Znaliśmy dokładnie datę przepędu bydła przez granicę z Moliny do Albarracín. Tym razem był to ostatni tydzień października. Ustawiliśmy na szlakach przemytu wiarygodnych obserwatorów, którzy potem podpisali swoje zeznania. I na ten tydzień, z kilkudniowym zapasem, sporządziliśmy dekret o zakazie importu bydła. Król wprowadzał już wcześniej takie obostrzenia, nie było w tym nic niezwykłego. Dekret przeszedł przez kancelarię praktycznie niezauważony. Zakaz obowiązywał przez krótki czas i wygasł kilka dni po tym, jak przemycane bydło znalazło się w Aragonii. Bez tego dekretu Urríesowie, przy swoich koneksjach na dworze, mogliby się łatwo wyłgać od konsekwencji, twierdząc, że to był import, i cały plan wzięłby w łeb.

Aranda i Eximeno Dosta wymienili spojrzenia.

— Jak rozumiem, to ja mam teraz sprawić, by król podpisał dekret, bo wam się to udało, tak? — mówił Aranda, który stał obok mnie ze zwieszoną głową, jakby pilnował każdego mojego słowa. — A dostojny Eximeno ma przypilnować, aby dokument nie zaginęł, ale też nie był zbyt

eksponowany. A potem, w odpowiednim momencie, ma go podsunąć królewskim prawnikom pod nos, tak?

— Tak — odparłem — taka, w istocie, jest do was prośba, panie, ze strony mojego wuja, Salomona Abnarrabiego.

— Kto wprowadził ten dokument do kancelarii tak, że ja o tym nie wiem? — spytał Aranda.

Zawahałem się. Powiedzieć prawdę? Tego nie omówiłem z Salomonem.

— Mówże! — rzucił w moją stronę de Lucio. — Nie może tu być tajemnic.

Wszyscy czekali, zapanowała nieznośna cisza. Odchrząknąłem.

— Samuel Bienvenist.

— Don Eximeno! Żydzi buszują po naszej kancelarii, jak myszy po dziurawym spichlerzu! No dobrze — Aranda zwrócił się teraz do mnie — pogratuluj wujowi i don Samuelowi. Choć nie wszystko się wam udało... Co dalej?

— Zimą stanęliśmy przez podstawionych ludzi do przetargu na dzierżawę *sisa de la carn* w Walencji — kontynuowałem — i licytowaliśmy tak, że kwota sięgnęła 210 tysięcy soldów. I za tyle kupili ją ludzie Urriesów. Wiadomo było, że im wyżej wylicytujemy, tym bardziej ich zabolą. Mój wuj, Salomon Abnarrabí, ma bardzo dobre kontakty z Żydami w Morverde. To specjaliści od przetargów, potrafią je tak rozgrywać, by przegrać, a jednocześnie wpędzić w kłopoty konkurencję. Bardzo dobrze znają walenczką społeczność, a przy tym stanowią zamknięte środowisko. Ich licytacja nie wzbudziła żadnych podejrzeń.

Skupienie wyostrzyło rysy twarzy Arandy. Wiedziałem, że nadchodzi decydująca chwila. W ustach miałem sucho. To dobrze, słowa nabiorą właściwego kształtu i barwy. Oto rozstrzyga się mój los. Boże! Bądź mi łaskaw!

— Teraz dochodzimy do sedna sprawy — mówiłem powoli, patrząc mu w oczy, mimo że dzieliła nas odległość ledwie dwóch kroków. — Jak wspominałem, na dzierżawcy spoczywa przywilej zapewnienia dostaw mięsa. Ale jest to też obowiązek. Bardzo poważny obowiązek. Walencja to codziennie 35 tysięcy ludzi do wykarmienia. Zdarzały się okresy spadku dostaw mięsa, co powodowało drożyznę i niemal natychmiast rozruchy w mieście. Teraz jest jeszcze gorzej. Po wielkiej, kosztownej przebudowie sprzed paru lat miasto jest zadłużone, ludzie są wyczerpani podatkami. Nagła, duża podwyżka cen mięsa zmiecie każdą władzę. Żadna, nawet najbardziej skorumpowana rada nie wytrzyma głodowych rozruchów. Opozycja stanie na ich czele i przejmie władzę. Bywało już tak w przeszłości. Dlatego w kontraktach na dzierżawę *sisy* wprowadzono już dawno bardzo wysokie kary za ewentualne niedotrzymanie dostaw. To dotyczy także zboża, oczywiście, ale nas interesuje mięso.

— Jakiej wysokości są te kary? — zapytał Aranda.

— Pięćdziesiąt procent wartości dzierżawy, jeśli ubytek w dostawie wyniesie jedną czwartą. Jeśli więcej niż połowę, dzierżawca traci prawo do poboru podatku i nie jest mu zwracana zapłacona kwota. Do tego musi pokryć uzupełnienie dostaw po cenach, jakie miasto wynegocjuje u obcych dostawców.

— Czy dobrze rozumiem, że chcemy... — zaczął powoli don Eximeno, ale Aranda mu przerwał:

— Zgodnie z prawem przemycone bydło podlega konfiskacie i przechodzi na własność króla. Ale Żydzi nie mogli tego zrobić za wcześniej, by nie dać Urríesom czasu na zorganizowanie awaryjnych dostaw. Ci ruszyliby niebo i ziemię! Użyliby swych wpływów na dworze. *Perfecte!* — Aranda kilka razy klasnął w dłonie i spojrzał na mnie z uznaniem. — Nie miało sensu zajmowanie stad na granicy, kiedy były przemycane. To oczywiste! Chcicie zrobić to teraz, tuż przed rozpoczęciem pierwszych dostaw do Walencji. Dobrze mówię? Zajmiecie całe 56 tysięcy sztuk. Wybornie!

— Mylił się panie, panie — znów zabrałem głos. — Konfiskata tylu tysięcy sztuk bydła oznacza, że Urríesowie stracą wpłaconą do kasy miasta opłatę za dzierżawę, czyli równe 210 tysięcy, i poniosą koszty awaryjnych zakupów. Niewyobrażalne koszty. Wartość skonfiskowanego stada można szacować na 750 do 800 tysięcy soldów. Razem z utratą dzierżawy... to daje okrągły milion. Takich strat nikt nie wytrzyma, ruszy fala bankructw. Zatopi Urríesów, przeleje się przez granice i podmyje kompanię Rabiego Mayra. Nawet królowi Kastylii będzie mroko.

— Do kroćset, Żydku! — zakrzyknął Aranda. — To mi się naprawdę podoba!

— Urríesowie staną na głowie, żeby sprowadzić bydło, wydobędą je choćby spod ziemi — rzekł *oidor*, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Nie zdążą. Bydło pod ziemią nie rośnie — odparłem coraz pewniejszy siebie. — Muszą w ciągu czterech miesięcy od umówionego terminu pierwszej dostawy złożyć w Radzie Miasta potwierdzone dokumenty na resztę dostaw. Zgodnie z umową całe 65 tysięcy ma być dostarczane do czterech głównych punktów, terminali: Segorbe, Chelva, Chiva oraz Siete Aguas do końca lipca. Nie zdążą — powtórzyłem. — Nawet gdy będą już wiedzieli o aresztowaniu stad, to i tak nic nie zrobią. Po pierwsze, to my zakontraktowaliśmy wcześniej te 9 tysięcy lokalnego bydła. Ponadto zapasy wojskowe na odparcie inwazji hrabiego d'Armagnac są na wyczerpaniu.

Tu znów się zawahałem. Salomon nie chciał, bym ujawniał aż tak szczegółowo naszą wiedzę. Ale byłem pewny swego, czułem, że panuję nad słuchaczami. Mówiłem więc dalej.

— Kilka tygodni temu, za twoim wnioskiem panie — pozwoliłem sobie nawet na ukłon w stronę Arandy — Rada Wojenna uznała, że zagrożenie ze strony hrabiego d'Armagnac nie minęło i wystąpiła do króla o przedłużenie na przyszły rok dekretu dla wojska o prawie pierwokupu każdego barana i każdej kury w Katalonii.

Aranda wybuchnął śmiechem.

— Eximeno, oni wszystko wiedzą!

— Sprowadzą bydło z zagranicy — upierał się *oidor*.

— Skąd? W tak krótkim czasie? — spytałem z wyraźną irytacją w głosie, którą na szczęście mi wybaczone. — Na granicy z Francją stoi kilka tysięcy głodnych Gaskończyków i Anglików hrabiego d'Armagnac. Nie przepuszczą jednego kurczaka, a co dopiero całego stada. Majorka? Statkami? 56 tysięcy? Zostaje południe Kastylii. Ale tam już będzie o sprawie głośno, jak mówiłem, postaramy się o to. Musieliby kupować drogo i za gotówkę. Skąd ją wezmą?

— Na dworze rozpęta się piekło! Pójdą do króla.

— Na niewiele im się to zda, drogi Eximeno — wyręczył mnie Aranda. — Ci

Żydzi działają w interesie Korony Aragonii i w interesie samego króla. Jak zapewne wiesz, król jest w konflikcie z władzami Walencji, poza tym też czerpie zyski z przemytu, tyle że z większym umiarem. Jego Królewska Mość chętnie pobędzie się konkurencji, o której nawet nie wiedział.

Aranda wziął głęboki wdech, wydał policzki i długo wypuszczał powietrze.

— Zakomunikujesz dostojnemu Salomonowi, że akceptuję jego plan!

Podziękowałem głębokim ukłonem. Poczulem wielką ulgę. To już, koniec? Zwycięstwo?

— Co z tym aresztowanym byłem? Rozumiem, że zostanie sprzedane do Walencji. Jak szybko będziemy mogli nim handlować? — zapytał kapitan de Lucio.

— Od razu — odparłem. Nie umiałem zetrzeć tryumfalnego uśmiechu z twarzy. — Chcemy...

— Nie! — przerwał mi Aranda. — Musi zostać powołana komisja, ruszy proces, to wszystko potrwa kilka miesięcy...

— A Walencja? Nie możemy pozbawić miasta żywności — spytał *oidor*.

— Plan przewidywał, że od razu zaczniemy sprzedawać zajęte bydło — dodałem.

— Mówiłem ci już chłopcze, że nie! — Aranda mówił podniesionym głosem. — Nie od razu. Musi minąć pół roku. To jest jedyna modyfikacja planu, którą musicie wprowadzić, jeśli chcecie liczyć na moją pomoc i moje pieniądze. Wykupicie to zakontraktowane bydło, te dziewięć tysięcy, o których mówiłeś. Nie można się tu ociągać. Możemy wywołać chwilową drożyznę, ale nie wolno nam sprowadzać na miasto głodu. Nie chcę mieć na sumieniu śmierci setek biedaków i rewolty w mieście.

Oblał mnie zimny pot. Salomon był przekonany, że aresztowane stada od razu ruszą do miasta. To prawda, że zawarł kontrakty z lokalnymi hodowcami, ale już sprzedał to bydło do Nawarry! Co teraz? Powiedzieć o tym Arandzie? Nie, niech zdecyduje Salomon! Coś trzeba wymyślić... Ale na Boga, co? Sam przed chwilą udowadniałem, że w całej Katalonii za chwilę nie będzie można kupić nawet kury. Skąd weźmiemy 9 tysięcy owiec?

— Nawet jeśli przez jakiś czas ludzie będą jeść chleb zamiast mięsa, nie pomrą... — powiedziałem tonem tak lekkim, na jaki tylko było mnie stać.

— To nie jest tak, Aaronie — odparł twardo Aranda. — Bogatsi, gdy nie będą mieli mięsa, będą jeść więcej chleba, którego szybko zabraknie dla biednych. Nie chcę, i chyba twój wuj także, by za naszą sprawą ludzie umierali z głodu. W końcu patrzy na nas ten sam Bóg!

Obraz masowych grobów nagle stanął mi przed oczami i przeraził. Radość ze zwycięstwa gdzieś się ulotniła. Musiałem jak najszybciej porozmawiać o tym z Salomonem.

Zwróciłem się do kapitana de Lucio:

— Chciałbym wyjechać już jutro, świtem, jak tylko don Solsona przygotowuje dla mnie wszystkie pisma.

Garbus milczał i czekał, jak na moje słowa zareaguje de Lucio. Ale ten go rozczarował.

— Dobrze, ruszysz z Joanem. Dam mu rozkazy, by dostarczył cię całego do samej Saragossy. Bandy idą z północnego zachodu. Droga na południe

powinna być jeszcze jutro bezpieczna. Ale nie zwlekajcie, wsiadajcie na koń skoro świt. — Teraz przywołał do siebie don Solsonę: — Przygotujcie na rano wszystkie pisma i jak najszybciej zwolnijcie chłopaka.

Garbus skłonił się kapitanowi na tyle, na ile pozwalało mu jego kalectwo.

— Mój drogi przyjacielu — Aranda, rozochocony wypitym winem, wyciągnął ramię w kierunku Zawiszy — mów, czyś zrozumiał coś z tego. Cóż nam powiesz? Może masz dla nas jakąś radę?

Zawisza milczał przez większą część wieczoru, ale nie wyglądał na znudzonego. Miałem wrażenie, że dzięki tłumaczeniu don Solsony rozumiał, o czym jest mowa, i słuchał z zaciekawieniem. Teraz znów siedziałem obok, pochylił się więc do mnie.

— Wasz zamiar jest przemyślany, ale doprowadzić do końca będzie go trudno — mówił moimi ustami. — Wątpię, by sprawę udało się utrzymać w tajemnicy wystarczająco długo.

— Dlaczego tak myślisz? — spytał Aranda.

— Gdzie tyle złota i polityki na stole, zawsze się zdrajca jakiś dosiędzie. Tak jest w moim kraju i w waszym, i wszędzie.

— Wypijmy zdrowie gościa i za pomyślność sprawy — zawołał Aranda, nie odpowiadając Zawiszy. Opróżniwszy puchar do dna, mocno postawił go na stole. Reszta poszła w jego ślady i po chwili dały się słyszeć jeden po drugim głucho uderzenia grubego szkła o deski. Ostatni odstawił swój puchar don Solsona, zrobił to jednak zbyt mocno albo puchar wadliwie był wykonany, bo rozległ się dźwięk pękającego szkła, a zaraz potem przechrsta zasyczał z bólu.

Dziewka, która stała przez cały wieczór w kącie sali w roli podczaszeka, szybko podbiegła do Solsony i jednym z ręczników owinęła krwawiącą dłoń.

Aranda i don Eximeno odjechali następnego dnia wczesnym rankiem. Ja z powodu wypitego wina i w ogóle wyczerpującego wieczoru obudziłem się zdecydowanie za późno. Nie mogłem się wyzwolić od sennych koszmarów: całą noc potykałem się o trupy, ludzie w Walencji umierali z głodu, z zemsty mordowano Żydów, kobiety zjadały swoje dzieci, a dzieci pożerały swoje matki, a wszyscy okrwawionymi ustami przeklinali moje imię; duch Salomona unosił się nade mną i szeptał mi na ucho, że tak trzeba było, to dla ratowania naszej rodziny...

Wybiegając na dziedziniec, potknąłem się o wysoki kamienny próg, do którego nie zdążyłem jeszcze przywyknąć, i omal nie wpadłem na młodą kobietę przechodzącą właśnie pod naszymi drzwiami. Ta przytomnie zatrzymała się w pół kroku, a potem podtrzymała mnie za rękę, ale i tak upadłem na kolana u jej stóp. Nie widziałem koloru ani kroju jej sukni, ani butów, nakrycia głowy, ani żadnej z ozdób, które tego dnia miała na sobie. Pamiętam do dziś, jak wszystko nagle wokół przycisnęło, tylko jej twarz była niczym płomień, bez skazy, rozpalony na boskie podobieństwo: jak wstążeczka purpury wargi twe, miodem najświeższym ociekają... miód i mleko pod twoim językiem... Kobieta pochyliła się nade mną, jakby chciała usłyszeć, co szepczę. Szybko wstałem z kolana i przeprosiłem za nieporadność.

Tuż przed wejściem do komnaty don Solsony złapał mnie Joan; był wściekły

na mnie za spóźnienie. Czekał od świtu, gotowy do drogi. Wyrwałem ramię z uścisku i wszedłem do środka.

— Widziałem hrabinę! — oznajmiłem na powitanie, bo nie miałem wątpliwości, kim była spotkana na dziedzińcu kobieta.

— Nie krzycz tak! — skrzywił się przechrzta. — Ach, no tak, pierwszy raz... — posłał mi uśmiech. — Trudno pozbierać myśli, prawda? Popatrz sobie na książki, to ochłoniesz.

Przy ścianie stał pokaźnych rozmiarów regał zбитy z grubych desek, wyłożonych sukmem; stało na nim kilka rzędów ksiąg. Było tego może z pięćdziesiąt woluminów.

— To mój łup wojenny — oświadczył z dumą don Solsona. — Podczas wojny służyłem przez jakiś czas w oddziale, który szedł przed wojskiem i zajmował księgi rachunkowe, dokumenty, kradliśmy też co cenniejsze książki. Udało mi się ocalić dla siebie dwie skrzynie. To cały mój majątek. Wiem, że cenisz książki. Możesz tu przychodzić i czytać, kiedy zapragniesz.

Miałem nadzieję, że nie tym razem.

— I jak? Serce się uspokoiło? Wszyscy mówią, że doña Violante to najpiękniejsza kobieta w Aragonii, ale kto jej nie widział, nie wie, o czym mówi. Przyzwyczajasz się. Choć za pierwszym razem też mi odebrało dech...

Westchnął.

— No dobrze. Przyjmij moje gratulacje. Mówiłeś znakomicie. Masz świetną pamięć i oratorski talent. Pokłoń się nisko twojemu wujowi. Przygotowałem dla niego listy. Droga do Saragossy jest teraz niebezpieczna, lepiej, by nie znaleziono ich przy tobie. Schowaj je dobrze. Powiem ci jeszcze kilka słów, które przekażesz Salomonowi.

Nie zdążył rozpocząć wywodu, gdy doszły nas z zewnątrz odgłosy nienaturalnego poruszenia. Na dziedzińcu podniósł się gwar, potem zaczęto coś wykrzykiwać. W wąskich prześwitach okien kwatery don Solsony mignęły cienie biegnących postaci. Garbus wyszedł bez słowa, by wrócić po chwili i oświadczyć spokojnym tonem:

— Almogawarzy minęli Anies i są dwie mile od Loarre. Kapitan kazał zamknąć bramy. Chyba jednak zostaniesz z nami dłużej...

Na widok panującego na podzamczu zamieszania złapało mnie za gardło uczucie szczególnego podniecenia, ale i grozy, że nie wrócę na czas do Saragossy. Żołnierze wchodzili na mury i przeganiali ze szczytu mieszkańców wioski — mężczyzn, kobiety i dzieci — którzy powspinali się tam, by wypatrywać nadciągających almogawarów. Spodziewano się ich zarówno od południa, od strony San Esteban, jak i od północnego wschodu, od strony głównej drogi wiodącej do bram Loarre.

Mury były solidne, utrzymane w należyтым porządku; miały około trzech, czterech łokci grubości, a wysokie były na co najmniej szesnaście; kilka lat temu uzupełniono wszystkie ubytki. Dałyby odpór każdemu szturmowi, a już na pewno zatrzymają bandę almogawarów. Nikt zresztą nie zakładał, że oddział najemników porwie się na bezpośredni szturm. Jeszcze nikomu w ten sposób nie udało się zdobyć twierdzy, nawet potężnym saraceńskim armiom w zamierzczłych czasach. Z uwagi na pochyłość terenu od południa i naturalną zaporę ze skał do północy i zachodu podczas oblegania Loarre nie korzystano nigdy z machin. Od strony głównej bramy płaski grunt pozwalał na użycie tarana, ale olbrzymie wieże strzegące bramy dawały możliwość prowadzenia skutecznej obrony.

Podczas mojego pierwszego pobytu w Loarre don Solsona pokazał mi dwie bombardy podarowane zamkowi przez Arandę. Bombardy z powodzeniem instalowano już na bojowych galeriach i Aranda zakupił swego czasu dwie na próbę dla korsarskiej floty, którą zarządzał w imieniu młodszego brata króla, Marcina. Wynalazek ten jednak się nie sprawdził. Już podczas pierwszego rejsu korsarze Arandy zaatakowali jakiś statek handlowy i wypalili do niego z działa, by dodać sobie animusza i odebrać zaatakowanym ochotę do bitwy. Kula została wystrzelona tak celnie, że przebiła pokład, a potem dno statku i ten w kilka minut zatonął, pociągając za sobą w otchłań morza cały towar. Ocalało zaledwie kilku żołnierzy i trzech kupców, których korsarze, wściekli na taki obrót sprawy, nawet nie podjęli z wody. Potem, bojąc się powtórzenia podobnego nieszczęścia, nie wystrzelono z bombard już ani razu. Aranda przewiózł je więc do zamku. Ale tu z kolei kapitan de Lucio nie kwapił się do ich użycia; duże armie zamkowi już nie zagrażały, a na mniejsze watahy grasantów szkoda było kul. Tak więc bombardy, kamienne kule i kilka beczek prochu zalegały w piwnicach.

W pierścieniu murów znajdowało się dziesięć wież kolistych i jedna czworoboczna. To w nich żołnierze zajmowali pozycje do obrony. Wzdłuż muru od wewnętrznej strony biegło drewniane rusztowanie, którym można było szybko się przemieścić i w razie konieczności prowadzić z niego ostrzał. Wieże od strony podzamcza nie miały ścian: widać było drewniane podesty, dzielące każdą z nich na trzy kondygnacje; wchodziło się na nie po drabinie. W wieżach, a także we fragmentach pomiędzy nimi, znajdowały się co kilka

kroków strzelnice – czyli wąskie prześwity w murze mocno rozszerzające się do wnętrza. Jedna linia strzelnic biegła nad drewnianym rusztowaniem, w połowie muru, druga jakieś trzy łokcie na ziemią.

Bramę główną zamknięto już dawno, teraz kilku żołnierzy podpierało belkami ogromne skrzydła zbite z szerokich płazów i wzmocnione żelaznymi okuciami.

Zafascynowany przyglądałem się tym wojennym przygotowaniom. Zapomniałem o Ayhe, Salomonie, o Joanie i jego groźbach. Pierwszy raz poczułem taką więź z innymi ludźmi. Pomyślałem przez chwilę, że jestem gotów oddać życie w obronie tych chrześcijan, a oni są gotowi oddać życie za mnie. Jakie to czyste i proste! Jakże śmieszni wydawali mi się talmudowi mędracy, ich zawile rozważania o powinnościach, o ludzkiej kondycji. Oto całe dobro, mądrość i wiara: gruby mur, żelazo, ludzka odwaga. Tylko tak ocaleję. Bóg jest zawsze po stronie silniejszego.

Poczułem nagle szarpnięcie za rękę. Stała koło mnie Maria, blada, trzęsła jej się broda.

— Angel i Martín... zostali... nie wrócili z San Esteban... — wydusiła przez zaciśnięte gardło. — Martínowi żal było wina, chciał przywieźć jeszcze kilka beczek — zasłoniła usta dłonią i wybuchnęła płaczem.

Podbiegło do nas kilku wieśniaków. Okazało się, że więcej ludzi zostało na dole. Nikt się nie spodziewał, że almogawarzy tak szybko nadciągną. Dlaczego już zamykają bramy?

Podszedł do nas don Solsona i wszyscy odwrócili głowy w jego stronę, słusznie uznając, że stary majordomus może więcej zdziałać. Poczęli do niego wykrzykiwać, jeden przez drugiego, że Martín zaklinał się, że na pewno zdążą, a jak on ruszył w dół z synem, to wielu innych też poszło.

Solsona nakazał mi zostać z tymi ludźmi, wysłuchać każdego i zbierać informacje. Skinął ręką na Marię, by z nim poszła, i oboje zniknęli w wejściu do zamku.

Gdy wszyscy się rozeszli, uznając, że niczego ze mną nie załatwią, podszedł jakiś mężczyzna w średnim wieku.

— Bardzo mu zależało, żeby ta winnica się sprawdziła — powiedział, kręcąc głową. — Mówił, że żal tak dobrego wina... Jeszcze ten mały się uparł, że skoro załatwił wozy, to też musi jechać. Świata poza ojcem nie widział... Święta Maryjo! Miej ich w opiece!

Od strony bramy zaczęły dobiegać głuche walenia młotami.

— Zabijają belki do bramy. To koniec! — zawołałem.

— W murach jest jeszcze jedna wąska furta, taka że człowiek przejdzie, nawet na koniu się zmieści. Tam — chłop wskazał na prostokątną wieżę w połowie południowej linii obwarowania. — Wozem nie przejdzie, ale jakby zdążyli, to przejdą i konie mogliby wziąć.

Mój rozmówca był niskim, grubym mężczyzną; na twarzy, wysoko aż po oczy, i na co najmniej trzech podbródkach sterczał kilkunasty zarost. Odziany był znacznie lepiej niż przeciętny mieszkaniec Loarre, ale wszystko, od trzewików po skórzany fartuch narzucony na grubą i kiedyś białą koszulę, było oznaczone nigdy nie usuwanymi plamami. Mimo zaniedbanego wyglądu na pierwszy rzut oka budził sympatię. On też przyglądał mi się uważnie.

— To ty jesteś ten Żyd od Salomona Abnarrabiego? — zapytał w końcu.

— Nazywam się Aaron Abnarrabí — przedstawiłem się, skinąwszy przy tym głową.

— A ja Domingo Vinyoles — podał mi rękę. — Jestem alkaadem¹⁹ Loarre. Maria dobrze o tobie mówiła... Mieli zamieszkać u nas, cała trójka — mówił, pociągając głośno nosem. — W jednej izbie by się z nami nie zmieścili, ale mam mały warsztat, zajmuję się nożami — wskazał niedbale ręką drewnianą chatę na wyplaszczeniu przy stajni. — Moja córka, Mercedes, pracuje w kuchni, zna dobrze Marię, to dlatego ich wzięliśmy.

Z mroku bramy zamku wyszła zapłakana Maria i zbiegła stromymi ścieżkami w stronę murów.

— Kapitan nie zgodził się wysłać ludzi do San Esteban — oznajmił don Solsona, który też się pojawił. — Ale pozwolił jej — wskazał podbródkiem biegnącą kobietę — wyjść na mury. Jeśli ktoś z naszych się pojawi, otworzy im się tę wąską furtę...

— Almogawarzy mieli być dwie mile od zamku — wtrącił alkad — a skoro ich jeszcze nie ma, to może...

— Zwiadowca widział tylko jakiś oddział — przerwał mu don Solsona. — Może czekają na resztę, na wozy, broń, ludzi. Zresztą, skąd do kroćset mogą wiedzieć! Nie ma ich tu jeszcze, wszystko w rękę Boga!

Maria tymczasem przeszła do najbliższej wieży i wspięła się na sam szczyt murów. Tym zwieńczeniem chodziły patrole, ale nigdy w czasie zagrożenia, gdyż szczyt obwarowań Loarre nie był chroniony od zewnątrz blankowanym parapetem i każdy, kto się tam znalazł w trakcie oblężenia, był łatwym celem dla łuczników. Wpatrywałem się w kobietę z nadzieją, że podniesie rękę i zacznie wymachiwać w stronę ścieżki. Ale stała bez ruchu jak posąg i tylko wiatr targał jej włosy. To uzmysłowiło mi, że jak dotąd nie przeżyłem w Loarre ani jednego bezwietrznego dnia. Przeklęte miejsce!

Wokół nas zaczęli gromadzić się wzburzeni ludzie. Kilka kobiet płakało. Don Solsona uspokajał wszystkich i kazał sobie powtarzać po kilka razy imiona osób, które jeszcze nie wróciły z San Esteban. Trwało to dłuższą chwilę. Wyglądało na to, że za murami pozostało siedem kobiet, dwunastu mężczyzn, winiarz Martín i Angel. Don Solsona oznajmił wszystkim, że almogawarzy idą od wschodu i coś najpewniej ich zatrzymało, więc jest nadzieja, że ci nieszczęśnicy jeszcze zdążą schronić się w zamku; potem polecił wszystkim rozejść się do domów. Gestem przywołał do siebie jednego z żołnierzy.

— Macie nikogo nie wpuszczając na mury — rozkazał, a żołnierz posłusznie skinął głową. — Tę kobietę już zostawcie, ale nikogo więcej!

Powoli docierało do mnie, że zostałem tu uwięziony na tygodnie, może miesiące. Opadła mnie głucha rozpacz.

— Kapitanowi potrzebni byli męczennicy, ale nie tylu — oznajmił niespodziewanie don Solsona, gdy zostaliśmy sami. — Dlaczego Miguel de Bernabé udawał, że nie wie, gdzie naprawdę są almogawarzy? Dlaczego pozwolił strażą puścić rano tych ludzi do San Esteban? — mówił głośno, nie zważając na mijających nas ludzi.

— Co macie na myśli, don Solsono?

Stary przechrta nie odpowiedział, bo kilku żołnierzy zaczęło krzyczeć

i gestykulować. Ludzie podbiegali do murów i starali się coś zobaczyć przez wąskie otwory strzelnicze umieszczone nad ziemią. Podniosły się krzyki i zawodzenia. Tylko Maria stała bez ruchu.

Wszyscy żołnierze zajęli pozycje w blankach wieży. Jeden z nich zszedł na szczyt murów i zbliżył się do Marii, coś do niej mówił, potem pchnął lekko w kierunku najbliższej wieży.

— Obawiam się, że mamy już gości — oświadczył spokojnie don Solsona i splunął pod nogi.

W tej chwili kilku mężczyzn i kilka kobiet ruszyło spod muru w naszą stronę.

— Nic tu po nas! — Solsona skrzywił się na ich widok i pociągnął mnie w kierunku schodów prowadzących na dziedziniec zamku.

— Don Solsono! — ktoś krzyknął. — Te niewierne psy... mają ich! Prowadzą przed sobą. Chyba wszystkich. Chcemy rozmawiać z kapitanem!

— Właśnie do niego idę! — wrzasnął w odpowiedzi garbus. — Wracajcie do chat, czy gdzie tam wasze miejsce. Trzeba było wcześniej mieć rozum... Był zakaz wychodzenia poza mury? Był, czy nie było? Sami jesteście sobie winni! Kiepy... — dodał już ciszej.

Poleciał żołnierzom stojącym u wejścia na zamkowe schody, by nie wpuszczali wieśniaków. Zatrząśnięto za nami bramę. Ruszyliśmy stromymi schodami na dziedziniec zamku. O ile można jeszcze sobie było wyobrazić zajęcie podzamcza, to właściwego zamku nie zdobyłby sam Almanzor z całą armią Afryki. Tu zabić obrońców mógł tylko czas.

— Żal Marii! — odezwał się don Solsona, a jego głos zabrzmiał niespodziewanie mocno i dźwięcznie w ciszy, jaka panowała na korytarzu sklepionym wysokimi łukami. — Serce ściska, bo choć to nie jej dziecko, ale kochała jak swoje. Dobra kobieta. Jak się miłuje kogoś... i stracić w taki sposób...

— Nie mówcie tak, don Solsono, może ocaleje!

— Ci algogawarzy to nie ludzie, a demony prosto z piekła, z gęby im siarką cuchnie. Najbliższe dni będą straszne. Miałem jeszcze nadzieję, że część z tych wieśniaków uciekła. Ale widać, tępe pachotki... Nie żal mi ich. Ale chłopca szkoda... — powtórzył. — De Lucio będzie musiał coś zrobić. Dwa tuziny ludzi... Bernabé powinien za to wisieć!

Wyszliśmy na dziedziniec. Don Solsona zatrzymał się na widok trzech młodych mężczyzn idących szybkim krokiem w kierunku głównej baszty. Wszyscy mieli na sobie kolorowe spodnie, krótkie kaftany i skórzane buty o wysokiej cholewie. Gdy nas zobaczyli, jeden z nich podszedł.

— Don Solsono, macie się stawić teraz u kapitana — oznajmił stanowczym tonem. Potem spojrzął na mnie. — Ty poszukaj Sulimy i każ mu przyjść.

Don Solsona założył ręce za plecy i przyglądał się rycerzowi spod zmarszczonego czoła, dając do zrozumienia, że nie podoba mu się ton rozkazu. Młodzieniec, nie doczekawszy się ani ode mnie, ani od Solsony żadnej odpowiedzi, odwrócił się na pięcie i podążył za kompanami, którzy szli już kamiennym mostkiem prowadzącym do wieży kapitana de Lucio.

— Wiesz, dlaczego nienawidzę wojen? Obojętne, małych czy dużych? — spytał.

— Wiele jest powodów... Ludzie cierpią — odpowiedziałem, mając przed

oczami skuloną z rozpaczy postać Marii.

— Nie, to nie to, ludzie zawsze cierpią, czy jest pokój, czy wojna. Podczas wojen cierpienie dzieje się przynajmniej nie z twojej winy, więc łatwiej je znieść. Poza tym wojenne cierpienia szybko przychodzą i szybko odchodzą. Nie, to nie cierpienie. — Na twarzy Solsony pojawił się grymas obrzydzenia: — Ja nie znoszę rycerzy, żołnierzy i tych wszystkich ciurów snujących się za wojskiem, w ogóle wszystkich, którzy noszą broń, tych psich synów, obojętne jakiej rasy, szczeniaków, którzy jak tylko dostaną szarże, wymądrzają się, rozkazują, popychają. Taki Samper, niby rycerz, kilka dni temu grzecznie się kłaniał i prosił o to, o tamto. Wystarczy, że jacyś zasańcy podeszli pod mury, a ten już przybiera bezczelny ton. Wiesz, zawsze bardziej nienawidziłem własnych żołnierzy niż wrogów. Nie potrafię znieść upokorzenia od swoich.

— To był ten słynny Samper?

— Nie poznałeś go? A tak, nie mogłeś go widzieć ostatnim razem. Tak, to właśnie Jimeno de Samper. Jego ojciec był wielkim przyjacielem naszego kapitana, tak wielkim, że po śmierci starego Sampera kapitan zaopiekował się jego żoną i synem. Żoną za bardzo, synem za mało i teraz chce to jakoś ponaprawiać, ale mu nie wychodzi... Aaronie, muszę iść, wzywają mnie, jak słyszałeś — don Solsona uśmiechnął się kwaśno.

Odszedł parę kroków, po czym — jak to miał w zwyczaju — zawrócił i dodał:

— Młody Samper jest waleczny i świetnie włada mieczem, ale nie aż tak, jakby wszyscy chcieli, i on sam, chyba, nie wiem, nie znam się. Mówią, że nie ma takiego talentu do szermierki, jak twój Sulima...

— Dlaczego ciągle nazywacie go moim?

Solsona poklepał mnie po ramieniu i ruszył w stronę głównej wieży.

Sulimę zastałem w naszej izbie. Był ubrany w tę samą błękitną przesywanicę, w której widziałem go przed domem winiarza. Powiedziałem mu o naradzie i o jeńcach.

— Aż tyłu złapali? — przerwał wciąganie butów. — Ktoś ruszył ich odbić?

— Za późno. Almogawarzy są już pod murami. Brama zamknięta...

Ubiierał się dalej w milczeniu.

— Zobaczmy, co powie kapitan — odezwał się w końcu. — Nie wszystko zrozumiałem z wczorajszej wieczery... Masz mi tłumaczyć różne rzeczy, tak? Po to cię tu przysłali? Niech będzie. Może mi jakoś umilisz gnienie w tej dziurze. Tylko musisz odpowiadać, jak pytam. Wy, Żydzi, jesteście dobrymi nauczycielami. Macie dużo cierpliwości. Mam rację? — spytał Sulima, spinając pas wielką ozdobną klamrą. — Mów coś — rzucił w moją stronę, gdy ociągałem się z odpowiedzią. — Uchodzę w moim kraju za niemowę, a mówię więcej od ciebie. Jesteś nierozgarnięty czy boisz się mówić?

— Milczenie przystoi mędrcom...

— Ale nie nauczycielom. Poza tym nie wyglądasz na mędrca, raczej na głupca...

— Głupcom tym bardziej przystoi milczenie.

Sulima skrzywił się na te słowa i dokończył upinanie włosów.

— No więc co to za psy ci...

— Almogawarzy — dokończyłem i opowiedziałem to, co wiedziałem i usłyszałem od Martín'a przed jego domem.

- Czyli to chłopci? Saraceni, ale zwykłe chamy? — pytał z niedowierzaniem.
- Ilu?
- Mówią, że nie więcej jak dwie setki.
- Sulima nic nie odpowiedział.
- Chcesz iść ze mną? — zapytał, a gdy pokręciłem głową, ruszył szybkim krokiem przez izbę i zniknął w głębi schodów.

Zszedłem na dziedziniec chwilę później. Nie wiedziałem, co z sobą począć, chciałem zejść na podzamcze, by zapytać o nowiny, gdy usłyszałem podniesione głosy dochodzące z kuchni, w tym głos Bernata:

— Kobyły jesteście, nie baby!

Ciężkie dębowe drzwi otwarte były na oścież, zajrzałem do środka.

— To nakładaj blachy i ruszaj! — zobaczyłem, jak wysoka kobieta o jasnych włosach, niestarannie upiętych pod płóciennym czepcem, krzyczy na mojego przyjaciela. — I nie wrzeszcz tu na nas!

Spojrzała na mnie nad ramieniem małego żołnierza.

— Chodź, wejdz! — zawołała.

Była Francesca, przypomniałem ją sobie. Ona chyba też mnie rozpoznała. Widziałem ją kilka razy w Saragossie, u Astrucha. Wyglądała wówczas starzej, teraz jej oblicze nabrało rumieńców.

Wszedłem do kuchni. Uderzył mnie duszący smród moczonych we wrzątku ptaków. W powietrzu unosiły się kłęby pary i strzępy pierza, co przypominało śnieżycę, jaką kiedyś widziałem w Saragossie. Jak opowiadali mi Bernat i Rodrigo, kiedyś w Loarre żołnierzy karmiono bardzo dobrze: codziennie dostawali mięso, do tego chleb i wino bez ograniczeń. W piątki kupcy dowozili świeżą rybę z Jaki. Od roku mięso — głównie ptactwo: bażanty, kuropatwy oraz hodowane na potrzeby załogi kury — jedzono bardzo rzadko. Tego dnia jednak kapitan postanowił dobrym posiłkiem dodać animuszu załodze. Przy dwóch kobietach piętrzył się stos gołych bezgłowych kurzych korpusów.

— To jest ten Żydek? — zapytała najstarsza z kucharek na mój widok.

— Tak, to on — odpowiedziała dziewczyna, którą widziałem wczoraj.

Kobiety z ciekawością mi się przyglądały. Dwie młodsze siedziały nad cebrami z wrzątkiem, stara kucharka stała przy osobnym małym stole, gdzie oprawiała kurze zwłoki: tasakiem odrąbywała im łapy i wywlekała wnętrzności. Musiała mieć w tym wielką wprawę, bo wpatrując się we mnie, nie przerywała patroszenia.

— Aaronie — na twarzy Bernata wciąż malowało się oburzenie — nawet baby w kuchni się poddają. Zawsze były najodważniejsze.

Machnął ręką na kobiety.

— Tak, to jest ten słynny Aaron Abnarrabí, nasz wybawiciel — oświadczył i pchnął mnie w stronę dużego stołu. — Dajcie nam coś do misek.

Z ciekawością rozglądałem się po kuchni. Wydała mi się znacznie mniejsza niż podczas pierwszej wizyty w Loarre. Nie mogłem oprzeć się pokusie i zerknąłem na drewniany strop. Garbus nie kłamał: wypatrzyłem prostokątny obrys kłapy; po jej podniesieniu można było dostać się do naszej izby. Pod ścianą leżała drabina. Wspomnienia Saragossy, mojej izby w domu wuja, okna, przez które Ayhe wychodziła na schadzki, runęły na mnie jak lawina kamieni.

Dostaliśmy duże porcje gotowanej baraniny z jarzynami i po kawałku chleba. Domyśliłem się, że są to resztki z pańskiego stołu. Bernat jadł szybko, nerwowo, był naprawdę wzburzony. Czekał tu, bo wezwał go kapitan, zapewne chodziło o rozmieszczenie kuszników na murach, ale najpierw przywołał do siebie rycerzy. Bernat twierdził, że turniejowi już pogodzili się z kłeską Loarre. Samper wypowiedział służbę i gdyby nie oblężenie, odszedłby od razu. Zapewne trafi do Urríesów, kto wie, czy nie jest już z nimi po słowie. Młody Clavilla jako syn burmistrza Fragi, którą też zapewne przejmą Urríesowie, zawsze spadnie na cztery łapy, ba, nawet zyska, gdy zapanuje tu wysoka szlachta. Kapitan może liczyć jedynie na Fernanda Véleza de Guevara, Baska, ale ten z kolei da mu jedynie wsparcie ramieniem, na jego głowę nie można było liczyć. Ma siłę wołu i tyle samo rozumu.

Najgorsza w tym wszystkim była utrata autorytetu wśród żołnierzy przez Miguela de Bernabé. Duża w tym zasługa don Solsony, który robił co mógł, by osłabić pozycję starego dowódcy. Teraz stary Bernabé był skończony — z jego winy prawie jedna piąta ludności Loarre znalazła się w niewoli.

— Francesco, słyszysz? Twój Miguel jest skończony, jeśli nie odbijemy tych ludzi! — zawołał do kobiety, chyba nawiązując do kłótni, którą przerwało moje przyjście. A potem zwrócił się do mnie: — Aaronie, wypada, byś poznał nasze damy.

Odrzucił tyżkę na stół i otarł usta rękawem.

— Ta duża baba, o zadzie jak u klaczy, pięknej klaczy, muszę przyznać, to Francesca. A nasz dowódca, Miguel de Bernabé to jej wielbiciel i kochanek. A więc uważaj i nie mów o naszym Miguelu źle przy Francesce. Jest zakochana po uszy i może ukąsić! Jest stara, więc to już jej ostatni mężczyzna i musi o niego zadbać!

O dziwo, Francesca nie sprawiała wrażenia poruszonej, pokręciła tylko głową. Bernat, jak sam mówił, był tu częstym gościem i widocznie kobiety nauczyły się go znosić.

— Tę młodą łanię już poznałeś — Bernat wskazał teraz siedzącą najbliżej nas kucharkę. — Cały czas tu o tobie gada, jaki jesteś ładny.

— Nieprawda! — zawołała dziewczyna i pokryła się rumieńcem, który wypłynął jej aż na dekolci.

— Ma na imię Caterina — mówił dalej żołnierz — i z tego co wiem, jest do wzięcia... Ja nie mogę, bo jestem po słowie z tą tam — wskazał podbródkiem na siedzącą w kącie dziewczynę, która co jakiś czas przerywała skubanie, by posłać memu przyjacielowi szybki uśmiech. — Rodzice dali jej na imię Mercedes. Jest tak gruba, że jej nie obejmę. No, musiały mi kat ręce sznurami powyciągać. Ale to dobra dziewczyna. Mamy obiecanych kilka akrów ziemi tu, pod San Esteban. Jej ojciec jest alka-dem Loarre, więc mam nadzieję, że mi się ten ożenek opłaci.

U Mercedes rzeczywiście tusza rzuciła się w oczy, ale nie odejmowała jej uroku. Siedziała na niskim taborecie i trzymała między kolanami spory cebrzyk, w którym oparzała kury; do tej pracy zadarła koszulę nieprzystwoicie wysoko, tak że mogliśmy podziwiać jej łydki, grube jak maczugi, i potężne, jędrne uda. Szerokie stopy o krótkich palcach sprawiały wrażenie umęczonych dźwiganiem takiego ciężaru.

— Została nam ta stara... — powiedział Bernat i uczynił gest, który miał pokazać, jak bardzo się jej boi, a potem wyszczerzył zęby w kierunku kobiety z tasakiem. — To Aldonza Romero, najbardziej wredna i kłótniwa baba, z jaką miałem do czynienia, i założę się, że ty też nie spotkałeś w życiu niczego podobnego. Nikt jej nie lubi, wszyscy się jej boją. Do tego, uważaj!, nienawidzi Żydów, nie może znieść, że pracuje w kuchni z dwoma Żydówkami...

— Zamknij się! — wrzasnęła kucharka, którą Bernat przedstawił mi jako Aldonzę. — Mamy cię już dość! Dość! Wynoś się stąd!

— Prawdę mówię, babo! — odwrknął jej Bernat. — A niby skąd się tu wzięłaś, co? — pytał zaczepnie. — Ludzie we Fradze mieli cię już tak dość, że cię przegonili. Nie było tak? Kapitan ma miękkie serce, to cię przygarnął. Aaronie, uważaj, bo co tu powiesz, to ta starucha wszystko naszej kapitanowej doniesie. W ogóle to chodźmy stąd, nie da się z tym pierzem wytrzymać!

Wyszedłem za nim niechętnie.

— Nie bierz tego na poważnie — mówił Bernat już na dziedzińcu. — Nawet ta stara jęcza nic do mnie nie ma. Ale co o niej mówiłem, to prawda. Uważaj na nią. Kapitan przyjął ją na szefową kuchni, bo umie pisać i czytać i jest dość bystra, dobrze prowadzi zaopatrzenie, dogaduje się z Solsoną, bo ona też jest przechrztą. Mówię poważnie. Mieszkała we Fradze, ale tak załazła za skórę sąsiadkom, że doniosły na nią do inkwizycji... Musiała uciekać pod opiekę de Lucio, jak jeszcze rządził we Fradze.

Z poziomu dziedzińca nie widać było wschodniej części murów, nie widzieliśmy więc, jak wygląda obóz almogawarów. Bernat nie chciał schodzić niżej, gdyż lada chwila spodziewał się wezwania do kapitana.

— Te baby wiedzą, zresztą już wszyscy w Loarre, że jesteś od Salomona Abnarrabiego — oznajmił Bernat. — Wiesz, jak trwoga, to do Żyda. Ludzie wiedzą, że tylko pieniądze nas mogą uratować. Mówią, że przyjechałeś tu, żeby je pożyczyć kapitanowi.

Bernat ruszył w stronę komnat kapitana, a ja ośmielony jego słowami chętnie przystałem na ponowne zaproszenie Franceski i znów znalazłem się w kuchni.

— Ten barbarzyńca jada z turniejowymi i kapitanem w dużej sali — niespodziewanie odezwała się do mnie stara Aldonza, mając na myśli Sulimę, jak przypuszczałem. — Ty będziesz jadł z nami, tam w kącie, dostaniesz dobre jedzenie, w miarę możliwości, tak zarządził don Solsona, więc się zachowuj. Podobno zamieszkasz tu, na górze. Może wpłyniesz na tego przybłądę? Żeby się trochę przyzwyczaję zachowywał nocami i przestał stukać w tę ladacznice jak jakiś... pomyłony dzięcioł.

Caterina nie zdołała stłumić wzbierającej w niej wesołości i zasyczała ze śmiechu.

— Przesadzasz, Aldonzo! — powiedziała Francesca, której też trzęsły się ramiona. — Zazdrość, zazdrość. Ja tam lubię takich rzeczy posłuchać...

Chleb dla wszystkich wypiekano w piecu na podzamczu, ale w kuchni gotowano strawę dla całej załogi i bez jednej przerwy trwało wydawanie kolejnych porcji. Każdy coś mówił, przynosił nowe wieści. Zajrzał też do nas

Bernat już po narodzie z kapitanem de Lucio.

Wbrew pierwszemu informacjom od zwiadowców banda almogawarów liczyła mniej ludzi niż przed rokiem, bo niecałe dwie setki. To poprawiło nastroje wśród obrońców. Większość żołnierzy gotowa była zaryzykować życie dla odbicia jeńców. Mówiono, że głównie ze względu na Angela, który zżył się z załogą i żołnierze traktowali go jak jednego ze swoich; Bernat twierdził, że niektórych ruszyło też sumienie za przyprawianie rogów Martínowi i teraz chcieli go ratować, by zmyć winę. Ataku domagali się również mieszkańcy Loarre; wielu miało kogoś bliskiego za murami. Kilka razy alkad Loarre rozmawiał z kapitanem, ten jednak stanowczo odmawiał wysłania wojska. Mimo iż almogawarów było mniej, niż się spodziewano, to i tak jakakolwiek próba odbicia jeńców musiała zakończyć się klęską.

De Lucio musiał jednak coś zrobić. Ludźmi zawładnęło przerażenie, ale i wściekłość, że załoga dała się tak zaskoczyć. Dziesięć mil stąd leżało Ayerbe, siedziba Urríesów, wszyscy wiedzieli, że jest tam dość siły w ludziach, by roznieść saracenską bandę. Nie wszyscy wierzyli słowom kapitana, że to Juan de Urríes opłacił najemników, by nękali Loarre. Wielu chłopów, w tym sam alkad Vinyoles, ojciec Mercedes, uparcie twierdziło, że te bandy wybierają na ofiary tylko słabo bronione osady. To, że Loarre to tłusty niedźwiedź, ale bez pazurów, było powszechnie wiadomo — nig-dy nie dozbrojono tu chłopów, a załoga była nieliczna. Rok temu także mówiono, że za napaścią stali Urríesowie, ale nikt nie zdobył dowodów. Saraceni nakradli bydła, złupili San Esteban do ostatniego ziarna i poszli dalej. Teraz będzie to samo. Kto wie, może wezmą jeńców aż do Granady i tam sprzedadzą jako niewolników? Za dwa tuziny kobiet i mężczyzn w sile wieku dostaną fortunę.

Kapitan de Lucio także rozumiał, że wyzwolenie musi nadejść z Ayerbe, ale wcześniej liczył na to, że gdy Aranda dotrze do Saragossy, podejmie odpowiednie działania na dworze i skłoni króla do interwencji, czyli zwrócenia się do Urríesów z prośbą o pomoc. Takie rozwiązanie miało wiele zalet: Urríesowie nie mogliby odmówić królewskiej prośbie, a gdy już uderzą i przepędzą almogawarów, zrobią to w imieniu króla, który udowodni tym samym, że potrafi zapewnić swym dominiom bezpieczeństwo. I taki plan nakreślili zapewne wspólnie Aranda i de Lucio. Nie przewidzieli jednak, że ludzie z Loarre trafią do niewoli i interwencję trzeba będzie podjąć tak szybko! Teraz droga była każda godzina. Ale prośba o pomoc skierowana do Urríesów poczytana zostałaby za uległość i dawałaby im silny argument do przejęcia Loarre. W tej sytuacji jedynym dogodnym dla kapitana rozwiązaniem byłaby akcja Urríesów podjęta z ich własnej woli. De Lucio mógłby wówczas twierdzić, że nie była potrzebna, bo i tak poradziłyby sobie sam. Ale jak ich do tego skłonić?

Wykorzystałem przeciągającą się naradę do uzupełnienia mojej kroniki. Wieczniłem dla potomności krótką rozmowę z Zawiszą. W pierwotnej wersji zapisałem wiernie jego słowa, jednak po przeczytaniu całości przedarłem kartkę na kilka części i cisnąłem w palenisko. Staralem się tego nie robić, zapas pergaminu szybko się kończył, a niełatwo go tu uzupełnić. Nasza pierwsza rozmowa toczyła się po aragońsku i w rzeczywistości Zawisza nie mówił „nierozgarnięty” ani „głupiec”. Użył wulgarnych słów, które zasłyszał

od żołnierzy. Język aragoński w jego wydaniu był szorstki nie tylko w dźwiękach (już pisałem, że przypominał w sposobie mówienia Tidemana Stickera), ale i w treści. Słowa dziwne, wyszukane, zawieszane w znaczeniu pomiędzy łaciną a aragońskim, mieszały się z wulgaryzmami, potocznym językiem żołnierskim, nielicującym z rycerskim stanem. Odtąd w moich zapiskach, gdy posługiwałem się aragońskim, postanowiłem nie cytować go dosłownie, bo jego wypowiedzi mogłyby stać się niezrozumiałe, a co gorsze — źle mogłyby o nim zaświadczyć. Starłem się jak najwierniej oddać intencje i sens tego, co mówił, ale jednocześnie nadać tym niezdarne kleconym zdaniom w miarę poprawną formę. Napisałem więc wszystko jeszcze raz.

Po tym pisarskim wysiłku poczułem znużenie. Godziny ciągnęły się jak dni. Nie po raz pierwszy zawiesiłem wzrok na skrzyni, w której Zawisza trzymał swoje rzeczy. Nie było w niej nic nadzwyczajnego — wykonana z prostych dębowych desek pociągniętych smołą, za jedyną ozdobę miała metalowe okucia na narożnikach. Tylko uchylone wieko kusiło, by zajrzeć do środka. I w końcu tej pokusie uległem.

Wszystko było tu ugniecione i zmieszane: kalessy, krótki płaszcz, kaftan, kilka jedwabnych koszul, para trzewików o długich spiczastych nosach, jedna rękawica, wąskie spodnie w szkaradne fioletowo-niebieskie pasy i zapewne wiele innych rzeczy upchanych gdzieś na dnie. Pogrzebałem chwilę i nie znalazłszy nic ciekawego, odszedłem zniechęcony. Niezaspokojona ciekawość kazała mi jednak wrócić. Zanurzyłem ramiona w tym kłębie szmat tak głęboko, że musiałem przekręcić na bok głowę, by móc złapać oddech. Posuwałem dłońmi po dnie, aż natrafiłem na przedmiot kształtem przypominający sakwę. Z niemalym trudem wywlokłem ją na powierzchnię. Rozsuplałem i zajrzałem do środka. Było tam krótkie pióro, słoik z inkaustem, zwitki czystego pergaminu oraz... kilkanaście otwartych listów. Z dat wynikało, że Zawisza otrzymywał tu korespondencję! I zapewne też ją stąd wysyłał. Większość listów opatrzona była tą samą, niewielką i prawie nieczytelną szlachecką pieczęcią; jedyny element, który na niej rozpoznałem, to bojowy topór o krótkiej rękojeści. Rozwinąłem kilka pergaminów: były zapisane niezrozumiałym językiem. Jedynie dwa listy zamknięto inną pieczęcią, o wyraźnie kupieckim charakterze, i te zawierały treść po łacinie. Oba pochodziły od tego samego nadawcy, poznałem po kształcie liter, i przypominały listy załadunkowe. Opatrzono były datami, nazwą portu, chyba, bo nazwa „Anklam” nic mi nie mówiła, potem szły towary i ceny: miedź, żelazo, olów, wosk, sól...

Na odgłos szybkich kroków przerwałem lekturę, upchałem wszystko do sakwy, a tę wsunąłem pod ubrania. Ledwo zdążyłem zamknąć wieko, gdy w izbie rozległ się głos Zawiszy:

— Umiesz zakładać blachy?

— Nigdy tego nie robiłem... — wydusiłem przez ściśnięte gardło.

— No to będziesz się musiał nauczyć. Zawsze rzemienie do zbroi dociągał na mnie Joan, ale teraz wszyscy są na murach. Bądź gdzieś w pobliżu, bo w każdej chwili możesz być potrzebny — rzucił jak do służącego i wyciągnął się na pryczy.

Te pierwsze godziny dzielenia izby z Zawiszą nie należały do przyjemnych.

Potwierdziło się to, co mówili o nim Bernat i Rodrigo: wynosił się ponad wszystkich; te wielkopańskie gesty, ton poleceń, ostentacyjne lekceważenie... Myślałem sobie wówczas, że jeśli musiałbym przyłożyć rękę do pozbycia się tego człowieka, w ten czy inny sposób, to ani Aragonia, ani ja nie odczulibyśmy bólu po stracie.

Ja też położyłem się na łóżku, zastanawiając się, czy Zawisza dostrzegł, że grzebałem w jego rzeczach. Chwilę potem rozległo się wołanie. Nie dosłyszałem słów. Wstaliśmy niemal równocześnie, by wyrzucić przez okienne szpary. Na dziedzińcu stał de Lucio i kilku żołnierzy. Ktoś do nich podbiegał.

— Idź, dowiedz się, o co chodzi — polecił mi Sulima.

Gdy zszedłem na dół, zastałem już tylko Jimena de Sampera. Wedle jego słów u bram czekał saraceński poseł i domagał się rozmowy z kapitanem.

— Chyba nasz kapitan nie spodziewał się takiego prezentu — zaśmiał się Sulima, gdy przekazałem mu tę informację.

Na podzamczu, wokół głównej bramy, zebrał się tłum mieszkańców. Wszyscy na wieść o poselstwie wylegli z chat i teraz wpatrywali się w zatrzaśnięte i zabite belkami ciężkie podwoje. Gdy wreszcie jeden z żołnierzy otworzył wąską furtę i wszedł przez nią almogawar, zapanowała cisza. Ukazał się wszystkim wysoki, stary Saracen. Trzymał się dumnie, prosto. Potoczył wzrokiem po zgromadzonym tłumie, a gdy dostrzegł kapitana, zatrzymał na nim wzrok.

— Wasza miłość — odezwał się dźwięcznym mocnym głosem po aragońsku — dzieckiem byłem, gdy walczyłem dla naszego króla, dobrze waszą mowę znam. Przyszedłem tu, by przekazać propozycję, jaką ma dla was, panie, i waszych ludzi, nasz *adalid*...

— Służyłeś, chamie, królowi — przerwał mu de Lucio — gdy ci płacił, teraz występujesz przeciw jego ziemiom, bo płaci ci ktoś inny. Zdechniesz jak pies. Zamknijcie bramę!

Do zaskoczonego Saracena przyskoczyło dwóch żołnierzy i wykręciło mu ręce do tyłu; gdy zwolnili uścisk, szybkim krokiem podszedł do niego Rodrigo i uderzeniem pięści zwałił z nóg. Saracen, oszołomiony, z trudem się podniósł. Ale zaraz drugi cios rzucił nim o ziemię. Długo trwało, nim wstał. Gdy Rodrigo wbił pięść w chwiejącego się Saracena raz jeszcze, ludzie na podzamczu zamarli z przerażenia. Tłum ruszył, by zapobiec katowaniu posła. Wszyscy spodziewali się pertraktacji i próby ocalenia jeńców. Natychmiast kilkunastu żołnierzy z obnażonymi mieczami uformowało mur, uniemożliwiając chłopom postąpienie w stronę podnoszącego się z ziemi almogawara.

— Będziesz mówił do wszystkich, wieprzu — donośny głos de Lucio niósł się po całym podzamczu.

Saracen stał już pewniej i starał się wierzchem dłoni otrzeć krew napływającą mu do ust, ale uderzenie musiało rozciąć mu wargi, bo krew napływała nieprzerwanie i kilkoma strumyczkami ściekała po brodzie.

— Kto was przysłał? — pytał de Lucio.

Poseł zadarł wyzywająco głowę.

— Ilu was jest?

Znów odpowiedziało mu milczenie.

— Co zrobiliście z porwanymi ludźmi?

— Jeszcze nic. — Saracen splunął krwią przed siebie. — Ale za to, coś zrobił...

Kapitan dał znak głową i Rodrigo jeszcze raz podszedł do algogawara. Ten starał się zachować czujność, ale nie zdążył się uchylić przed zręcznie wyprowadzonym ciosem i runął na wznak. Rodrigo przygniótł mu pierś kolanem, chwilę się w niego wpatrywał, a potem szybkimi cięciami topora dobytego zza pasa odrąbał mu obie dłonie. Przerażony Saracen poderwał się gwałtownie, zrzucając z piersi żołnierza, zaczął się miotać, wrzeszczeć, podnosić na zmianę zakrwawione kikuty do przerażonych oczu, jakby nie rozumiejąc tego, co mu uczyniono. Jego krzyki rozsadały mi głowę. Na szczęście szybko opadł z sił: osunął się na kolana, a potem padł twarzą na piach.

Jeden z żołnierzy obwiązał linę wokół nóg nieprzytomnego Saracena i powłókł go w stronę jednej z przybramowych wież. W kilku ludzi wyciągnęli go najpierw na pierwszy, potem na drugi podest. Tam, obwiązawszy sznur wokół kamienia blanki, wyrzucili nieprzytomnego pośła za mury. Sądząc po długości sznura, wisiał teraz głową w dół w połowie wysokości wieży. Uderzenie krwi do głowy musiało przywrócić mu przytomność, bo znów dobiegły nas przeraźliwe, nieludzkie jęki.

Na podzamczu zapanowała najpierw trwożliwa cisza, gdy mieszkańcy Loarre z niedowierzaniem przyglądali się krwawej scenie, potem tłumem targnęła wściekłość. Podniosła się wrzawa, zaczęto napierać na żołnierzy, którzy ponownie zbili się w ciasny szereg oddzielający tłum od kapitana i jego rycerzy. Ja i don Solsona oglądaliśmy całe zajście ze stopni przy drzwiach prowadzących do zamku.

— De Lucio zrobił to, co musiał, choć ja nie miałbym odwagi... — odezwał się garbus. — Czekają nas ciężkie godziny.

Kapitan kilka razy unosił ręce w górę, starając się uciszyć wzburzony tłum, ale na nic się to zdało. W końcu kazał przepuścić alkada Vinyolesa. Weszliśmy na zamek. Zatrzaśnięto za nami drzwi i na wszelki wypadek założono żeliwny rygiel.

Na dziedzińcu Vinyoles trząsł się cały z przerażenia i nie mógł wymówić słowa; kilka razy otwierał usta, ale tylko łapał w nie powietrze.

— Uspokój się, Domingo — przemówił kapitan. — Zrobiłem to, by ocalić ludzi, nie żeby ich stracić!

— Panie, po tym... czeka ich straszna śmierć, zemsta, jak może być inaczej — wydusił w końcu alkad. — To nawet chrześcijanin po czymś takim rzuci się do zemsty, a co dopiero ta dzicz? Panie, cóżś zrobił?!

Kapitan de Lucio rozejrzał się po placu, jakby chciał wyczytać z oczu zgromadzonych, czy rozumieją, co się stało, a jednocześnie dając znak, że przemawia do wszystkich.

— Powtarzam: to Urríesowie zapłacili tej bandzie, żeby nas nękała. Zaręczam, że w Ayerbe już wiedzą, co się tu przed chwilą wydarzyło. I są równie przerażeni jak ty, Domingo. Tak samo boją się, że te niewierne psy zaczną się mścić. A wiesz, co oznaczałaby ich zemsta? Wiesz, czym grozi wymordowanie tylu ludzi z królewskiej własności? Tego by nie puszczono

płazem. Król musiałby ścigać te sucze syny aż do piekła. I wszcząć śledztwo. A na to Urríesowie nie mogą sobie pozwolić, bo wyszłoby, kto watahę opłacił!

De Lucio przerwał na chwilę, by wyrównać oddech, a potem wykrzyczał pełną piersią:

— Urríesowie uderzą jutro wieczorem! A teraz złotem przekupują algogawarów, żeby nie krzywdzili jeńców.

— Dostojny panie... to szalone! A jeśli nie jest, jak mówicie!? — zawołał chrapliwie Vinyoles.

Kapitan machnął zniecierpliwiony ręką i gestem pokazał stojącemu najbliżej żołnierzowi, by wyprowadził alkada z zamku.

Wróciłem do kuchni, gdzie już dotarły wieści o zabiciu posła. Panowało przygnębienie. Francesca miała twarz barwy popiołu. Wszyscy winili Miguela de Bernabé, że jako dowódca nie zapobiegł wyjściu ludzi poza mury, a potem ich nie sprowadził, gdy jeszcze był na to czas. Nie wierzyłem w przeprowadnie kapitana de Lucio. Powoli godziłem się z myślą, że zostanę tu na długo. Po raz pierwszy poczułem, że miłość do Ayhe jest dla mnie ciężarem nie do zniesienia.

Wcześniej nie wiedzieliśmy, co dzieje się poza murami, teraz nie wiedzieliśmy nawet, co dzieje się na podzamczu.

Każdy szukał sobie jakiegoś zajęcia. Bernat musiał już powiedzieć kobietom o moim pamiętniku i jego mocy czynienia ludzi nieśmiertelnymi, bo nagle, w obliczu nadciągającej katastrofy, jedna przez drugą ofiarowały mi pieniądze, bylebym tylko zapisał coś z ich życia. Pierwsza usiadła koło mnie Mercedes. Obiecałem, że co do słowa zapiszę jej historię. A oto, co mi powiedziała.

Jej ojciec Domingo Vinyoles pragnął dla córki lepszego życia niż to, na które skazana była w Loarre jako pomocnica w małym warsztacie produkującym noże. Podczas jednej z podróży do Saragossy poznał niejakiego Juana Bruna — młodego, ale już posiadającego swój warsztat i zarabiającego na życie farbiarza. Juan Brun szukał żony i nie krył, że im młodsza będzie kandydatka, tym lepiej. Domingo Vinyoles zaprosił go do Loarre. Tu młodzieniec poznał Mercedes. Szybko doszedł z ojcem dziewczynki do porozumienia. Tak, dziewczynki, bo Mercedes miała wówczas jedenaście lat! Ojciec chciał dla niej jak najlepiej, tak kazała mi napisać. Zamieszkała w Saragossie. Juan Brun od pierwszego dnia bił ją i poniżał. Przez cztery lata podejmował niezliczone próby skonsumowania małżeństwa, ale zawsze kończyło się tym samym: miękki robak ślizgający się po jej udzie, a potem grad ciosów pięściami, łokciem, pogrzebaczem. Dzięki dobrym ludziom, których nie brakowało nigdy w Saragossie, udało się wytoczyć proces temu straszному człowiekowi. Potem jeszcze przez dwa lata musiała żyć z nim pod jednym dachem i spać w jednym łożu. Aż wreszcie uwolniła się od męża potwora. Wyjechała z Saragossy. Rodzice ją przyjęli, znów jest w Loarre. Dzięki starej Aldonzie znalazła zajęcie w kuchni. Tu szybko doszła do siebie, wyleczyła się z ran na duszy i ciele. Poznała Bernata. Młody żołnierz obudził w niej kobietę, zapragnęła go i pokochała. A Juan Brun musiał zgodzić się na rozwód; to jedyna kara, jaka go spotkała. Nie szukałaby zemsty, wybaczyłaby mu wszystko, gdyby nie to, że ją bił.

Mercedes umiłka. Otrzymałem pocałunek w policzek, szybki i suchy, kropkę zamykającą opowieść. „Juan Brun”, powtórzyła jeszcze kilka razy i prosiła, bym dobrze i wyraźnie zapisał to nazwisko. Tak, żeby za pięćset lat można je było odczytać bez pomyłki.

Następna w kolejności miała być Francesca, ale co chwilę ktoś do kuchni przychodził i nam przerywał. W końcu stara Aldona poleciała Mercedes, by posłała na podzamcze i jako córka alkada czegoś się tam dowiedziała, a sama udała się z Cateriną przygotować zapasy na wieczorny posiłek.

Zostałem sam z Francescą. Prosta sukienka podkreślała jej masywną postać i szerokie biodra. Miała duże czarne, nieco skośne oczy i wystające kości policzkowe, jakie czasami można było zobaczyć u niewolnic z Krymu. Miał rację Bernat, że to dzika uroda, choć mnie nie pociągała. Jaką dziwną parę musieli kiedyś tworzyć z drobnym, brzydkim Astruchem. Pieniądze czynią cuda. Nie dziwiłem się Joanowi, że nie mógł się pogodzić z utratą takiej kobiety. W ciągu dnia kilka razy zaglądał do kuchni. Zawsze w jakiejś sprawie, ale widziałem, jak wodził oczami za Francescą.

Nalała nam wina.

— To jeszcze z zapasów Martína. Wino tego biedaka nie jest takie złe — chciała to powiedzieć spokojnie, ale rozpląkała się. — Kapitan wybrzydzał, ale da się pić... Co w ogóle będzie — spojrzała mi w oczy. — Co będzie, Aaronie? Przychodzisz do nas z jakąś obietnicą? Jest jakaś nadzieja?

A potem wysłuchałem jeszcze raz historii Franceski od chwili, gdy została oskarżona o otrucie męża. Mówiła wszystko i chyba szczerze, od serca. Obiecałem, że gdy tylko wrócę do swojej izby, wszystko dokładnie spiszę, a jej niewinność zostanie obwieszczona przyszłym pokoleniom.

Mercedes nie przyniosła dobrych wieści. Wśród chłopów panowało wzburzenie, nie wierzyli słowom kapitana; prości ludzie nie rozumieli tego, co się stało, tych zawyłych kalkulacji. Spodziewali się, że almogawarzy lada chwila rozpoczną rzeź. Ludzie rzucali się na żołnierzy, wyzywali ich od tchórzy. Podobno z obozu Saracenów dochodziły już krzyki maltretowanych ludzi i gwałconych kobiet. Chłopi żądali wydania im broni, grozili siłowym przejściem arsenału; jeśli kapitan czegoś nie zrobi, na podzamczu wybuchnie bunt.

Almogawarzy zaczęli już podpalać pola; płonęły uprawy szafranu; to samo działo się w San Esteban, świadczyły o tym słupy dymu. Wszyscy czekali na pierwsze egzekucje zakładników.

Na zamku też zapanowała nerwowość. Przez otwarte na oścież drzwi do kuchni widzieliśmy, co dzieje się na dziedzińcu. Rycerze, w tym Sulima, niemal nie wychodzili z głównej wieży. Większość żołnierzy coraz bardziej skłaniała się do negocjacji. To bezkarne niszczenie pól oznaczało koniec, klęskę, bankructwo Loarre. Co im z ziemi w osadzie nękaney przez niespłaconych wierzycieli.

Na jedną z narad, jaka odbyła się już po egzekucji posła, wkroczyła żona kapitana, Violante de Urrea, i oznajmiła, że zamierza napisać list do Juana de Urríes. W końcu łączy ich równość krwi i winni sobie pomoc w takich okolicznościach. Nie miała zamiaru z nikim konsultować jego treści. Zażądała wydania rozkazu jednemu z żołnierzy, by przedarł się w nocy przez linie Saracenów i dostarczył list do Ayerbe. Oczywiście listu nie posłano, ale widziałem oczyma wyobraźni, jak to zajście upokorzyło jej małżonka.

Nie rozumiałem polityki kapitana. Było mi wszystko jedno, co stanie się z tymi ludźmi, tu czy za murami. Miałem jedno pragnienie — wy dostać się stąd jak najszybciej, być już w Saragossie. Żyłem nadzieją, iż Estera wie, jak mi zależy, jakie tu przeżywam męki, i że zatrzyma Ayhe te kilka dni dłużej.

Wieczorem, gdy leżałem już w łóżku, do naszej izby przyszła Dolores z dzbanem i koszykiem. Mijając moje łóżko, rzuciła mi szybkie spojrzenie. Nasze oczy spotkały się, więc wiedziała, że nie śpię. Na płótnie przegrody, która symbolicznie dzieliła naszą izbę na dwie sypialnie, widziałem jej cień, jak schyla się, zapewne by odstawić dzban i pakunek, a potem jak ściąga przez głowę suknię, omal się nie wywracając. Nigdy nie widziałem, by ktoś tak szybko zrzucił z siebie odzienie. W przypadku niewiast wydawało mi się to niemożliwe. Zobaczyłem jej nagi cień z wyraźnie zarysowanymi piersiami i uniesione ramię Zawiszy. Potem któreś z nich przygasiło lampę.

Miłosne westchnienia trwały krótko: znów pojawiło się światło i usłyszałem ściszone głosy. Zawisza chyba kopnął w przegrodę, bo ta zwała się z hukiem, i zaprosił mnie do wspólnego nocnego posiłku. Chętnie się zgodziłem. Koszyk przyniesiony przez dziewczynę zawierał słodkie placki i owoce.

Po śniadaniu, które Zawisza zjadł w towarzystwie rycerzy, kapitana de Lucio i doñi Violante, a ja w kuchni, ruszyliśmy razem na podzamcze. Tam mój towarzysz polecił mi rozglądać się za Bernatem, bo chciał wejść z nim na mury, a wiedział, że ten jest mi przyjacielem. Przy okazji wypowiedział kilka pochlebnych słów o jego strzeleckim kunszcie.

Gdy w końcu odnalazłem Bernata, Zawisza kazał się zaprowadzić na szczyt jednej z wież bramowych. Stamtąd widać było almogawarów jak na dłoni. Cały ich obóz stanowiło zaledwie kilka wozów, kilkanaście ognisk i dwa duże namioty: jeden, jak się domyślaliśmy, przeznaczony był dla *adalidów* (wedle naszego rozeznania było ich trzech), w drugim trzymano zapewne jeńców.

Przez prześwit między blankami przewleczony był powróż. Pchany ciekawością położyłem się na szerokim murze, by spojrzeć w dół, nie zważając na sznur pod moim brzuchem. Zrobiłem to jednak tak energicznie, że głowa pod wpływem rozmachu opadła nieco niżej i niespodziewanie uderzyłem ustami o coś twardego i szorstkiego — były to szerniane od słońca pięty nieszczęsnego posła.

— Co za czułość! — zaśmiał się Bernat, widząc całe zajście. — Mieli go trochę podciągnąć, bo wilki zaczęły w nocy podgryzać ściervo i hałasować, ale nie wiem, po co tak wysoko, przecież on cuchnie.

Nie zdołałem powstrzymać wymiocin. Za jednym wyrzutem zwróciłem całe śniadanie.

— Do którego miejsca możecie razić kuszami? — pytał Sulima łucznika, spoglądając jednocześnie z grymasem niedowierzania i odrazy na ciemnożółtą gęstą kałużę u moich stóp.

— Z wież przy bramie to do tych krzewów — Bernat wskazał linię wysokiej na dwa łokcie ciemnej zieleni, wyraźnie odcinającej się na tle świeżej trawy.

— Zostały specjalnie zasadzone.

— A z łuków?

— W zbrojowni mamy kilka mocnych angielskich łuków, niosą dalej, ale nie mamy dobrych łuczników.

— Poza tobą...

— Tak, panie, poza mną.

— Jak daleko pošlesz strzałę?

— Celną? Jakies dwadzieścia kroków poza krzewy.

Zawisza przywołał ręką jednego z żołnierzy, a Bernat opisał mu szczegółowo, co ma przynieść.

— Widzisz tych dwóch przy wozie?

— Jak na dłoni — oczy Bernata zabłysły pożądliwością.

Spojrzałem w stronę obozu. Jeszcze zbierało mi się na wymioty. Przy jednym z wozów, reperując go albo przygotowując do oblężenia, pracowało dwóch almogawarów. Byli nadzy od pasa w górę, odwrócony do nas plecami. Dzieliło ich od krzewów nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia kroków. Reszta kręciła się przy ogniskach już znacznie dalej.

— Trafisz?

Bernat nie odpowiedział od razu. Podszedł do nas żołnierz z olbrzymim cisowym łukiem i kilkoma strzałami.

— Ludzie by mnie zlinczowali, boją się o swoich...

— Saraceńska mać! Odpowiadaj, czy trafisz! — Zawisza huknął na niego zduszonym głosem.

Teraz wszyscy żołnierze na murach spoglądali w naszą stronę. Bernat rozglądał się na boki, jakby szukał podpowiedzi, co ma zrobić. W końcu kiwnął głową. Wziął łuk z rąk żołnierza, napiął go z zadziwiającą łatwością i szybko uniósł wysoko, jakby mierzył gdzieś ponad linię lasu otaczającą saraceński obóz. Strzała ze świstem pomknęła najpierw w kierunku nieba, a potem, odwieziona stamtąd diabelską ręką, powoli obniżała lot, by ze straszliwą mocą wbić się w płuca stojącego przy wozie almogawara. Rozległ się głuchy trzask, jakby ktoś ze złością wbił gwóźdź w suche drzewo. Nieszczęśnikowi ugięły się nogi, ale nie upadł na ziemię — zawisł w półkłęku przytwierdzony strzałą do wozu. Przez chwilę poruszał rozpaczliwie ramionami, jakby chciał dokończyć pracę, nim ujdzie z niego życie. Na ten widok żołnierze stojący koło mnie wybuchnęli śmiechem. Te gwałtowne ruchy konającego przepłoszyły jakieś ptaki, które znalazłszy na wozie resztki ziarna, ufnie posilały się w towarzystwie ludzi. I dopiero trwożliwy trzopot ich skrzydeł uzmysłowił drugiemu Saracenowi, że coś się stało, bo odwrócił się gwałtownie w stronę towarzysza. Wtedy kolejna strzała wypuszczona z murów rozłupała mu czaszkę.

Zawisza odwrócił się w stronę Bernata i pochylił głowę z uznaniem.

Przy ogniskach zawrzało. Kilkunastu almogawarów, porwawszy łuki i kusze, pobiegło w kierunku murów z dzikim wrzaskiem. Zasłaniając się dużymi tarczami, usiłowali odpowiedzieć na ten niespodziewany atak, ale ich strzały nie mogły wyrządzić nam krzywdy. Nasi żołnierze bucznieniem zagłuszyli ich wycie i wykrzykiwane pogróżki.

— Właściwie to trzeba było strzelać w konie. Większy pożytek — powiedział

Zawisza i splunął za mur. — Mówiliście, że ci Saraceni mają tylko trzech konnych.

— Tak chyba jest — odparł Bernat. — Przy namiotach widziałem trzy bojowe konie. Przy wozach, za obozem, jest ich więcej, ale to raczej juczne. Ale, panie, ci ludzie to świetni piechurzy, szybko biegają i nigdy się nie męczą. Jazda może im nie dać rady w polu. Dlatego kapitan boi się uderzyć konno.

— Nie tłumacz decyzji kapitana, żołnierzu, nikt cię nie pyta o zdanie — skarcił go Sulima. — Co to za zwyczaj?

A potem przez długą chwilę tłumaczył coś Katalończykowi, pokazując na obóz Saracenów i linię krzewów.

— Nie mogę się przyzwyczaić do tych jego wytrzeszczonych ślepi — oświadczył z niesmakiem, gdy już zostaliśmy sami. — Najchętniej bym mu je wylupał. Ale łucznik z niego wyborny. A ty? Jak się czujesz? Nie przejmuj się, wszystkiego trzeba w życiu spróbować... nawet pięty saraceńskiego trupa — i ryknął śmiechem.

Podczas powrotu do zamku na jednej ze ścieżek minęliśmy grupę miejsowych mężczyzn. Odprowadziły nas wrogie spojrzenia. Wieść o zabicu kolejnych almogawarów zapewne szybko rozeszła się po podzamczu.

— Oby rachuby kapitana okazały się trafne — mruknął Sulima. — Ci ludzie za chwilę rzucą się nam do gardeł...

To był najtrudniejszy dzień oblężenia. W każdej chwili mieszkańcy spodziewali się egzekucji swoich bliskich pod murami, a żołnierze przygotowywali się na atak chłopów. Przed buntem powstrzymywali ich ksiądz z Loarre i *fray* Pedro, którzy na zmianę odprawiali msze za porwanych i wygłaszali kazania, zapominając na ten czas o wzajemnej niechęci.

Zmrok zapadł nagle. Znikł horyzont i niebo zespoliło się z ziemią w jedną czarną nicość, nie było księżycy ani gwiazd. Ucichł gwar osady na podzamczu, uspokoiło się bydło, nie szczekał żaden pies. Nadeszła pora na modlitwę. Stałem chwilę oparty o ścianę chrześcijańskiej kapliczki, a potem osunąłem się na kolana, błagając Boga, by zatrzymał Ayhe w moim domu, tam w Saragossie, jeszcze kilka dni.

Chmury powoli się rozsuwały i poczęły rozbłyskiwać gwiazdy, wysypywały się bez końca. Za każdym razem, gdy zadarłem głowę, było ich więcej; wyszły chyba wszystkie, jakie Bóg stworzył, jakby każda chciała zobaczyć, co zdarzy się tej nocy. Wtem, gdzieś daleko, przysiągłbym, że na niebie, pojawiły się ruchome świetliste punkty: najpierw kilka, potem było ich coraz więcej, układały się jeden za drugim, jakby jakiś gwiazdzysta wąż wynurzał się spod nieba i sunął w naszą stronę.

Dobiegł mnie odgłos szybkich kroków i nim zdążyłem się odwrócić, usłyszałem syczącego z wściekłości Zawiszę:

— Co się gapisz w gwiazdy! Miałeś być przy mnie.

A potem chwycił mnie za ramię i pchnął w stronę naszej kwatery, tak że omal się nie wyrzuciłem.

— Zaciągasz pasek tak samo na obu nogach. Mocniej — wydawał polecenia, patrząc na mnie z góry przez ramię, gdy klęczałem już w izbie i zapinałem nagolennice.

— Chyba mogę zapytać, co się dzieje...

— Z Ayerbe ruszyła kolumna jeźdźców. My uderzymy z zamku, gdy Urríesowie wjadą w obóz od południa. Pójdziemy we czterech konnych, a za nami piechota. Teraz to — wskazał mi dużą wypukłą blachę, którą przyłożył sobie do piersi, a ja miałem umocować ją pasami biegnącymi przez plecy. — Bierzemy słoje z prochem. Poślemy tych dzikusów prosto panu Bogu pod nogi... Chcesz popatrzeć? Niech cię Bernat weźmie na mury.

Poruszenie nastąpiło również w obozie almogawarów. Okrzyki, zamieszanie, snopy iskier unoszące się z gwałtownie gaszonych ognisk — wyglądało na to, że kolumna wojsk nadciągająca od Ayerbe i dla nich była zaskoczeniem.

Po naszej stronie wszystko odbyło się w takiej ciszy, że nawet ludzie na podzamczu nie zauważyli, jak czterej jeźdźcy przejeżdżają pochyleni przez południową boczną furtę i znikają w mroku. W obozie Saracenów pogaszono większość ognisk i szykowano się w niemal całkowitej ciemności. Dla tych nocnych zbójców był to chleb powszedni.

Nagle, niemal w tym samym momencie, gdy świetlisty wąż dopęłzył do szczytu wzniesienia i pierwsze pochodnie ukazały się naszym oczom, na płaszczyźnie pod murami, w samym środku obozu almogawarów, rozległy się krzyki przerażenia, a zaraz potem pierwszy grzmot. Słup ognia wystrzelił z ziemi ku niebu, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, jakby jakaś potężna burza rozpętała się pod ziemią, a pioruny, zmyliwszy kierunek, biły ku górze, wrywając z ziemi do nieba wozy i ludzi. Wyplaszczenie wokół drogi pojaśniało czerwonym blaskiem, zapłonął namiot *adalidów*. Dzikie wrzaski almogawarów poczęły mieszać się z echem grzmotów powtarzanych przez okoliczne skały. Na tle krwistej łuny można było dostrzec czterech jeźdźców, jak ściągając gwałtownie wodze, rzucali się to w jedną, to w drugą stronę, dopadali oszołomionych almogawarów i cięli szybkimi uderzeniami z wysokości rumaków. Te, podniecone ogniem i walką, wydobywały z siebie ogłuszające rżenie. A gdy raz za razem stawały dęba, rozłupując kopytami ludzkie czaszki, jawiły się naszym bestie piekielne i przysiąc by można, że to one potoczyły z pysków tę niszczącą ścianę ognia.

Tymczasem otwarto furtę w głównej bramie i wysypało się z niej kilkunastu piechurów z nagimi mieczami w rękach, wszyscy w zbrojach i pełnych hełmach, na których rozbłysły fałszywe języki ognia. Żołnierze uformowali szyk w kształcie klina i ruszyli biegiem w stronę obozu, wbijając się weń tak, by ostrze dosięgło największego namiotu.

Doszły nas krzyki mężczyzn i kobiet, a potem z namiotu zaczęli wydostawać się uwolnieni jeńcy. Ludzie, chronieni z trzech stron przez żelazny szpaler tarcz i mieczy, rzucili się do ucieczki w kierunku zamku. Ale Saraceni, gdy minęło pierwsze zaskoczenie, natarli z furią na żołnierzy i szybko rozbili ochronny szyk. Przedarli się do środka klina, poczęli siekać uciekających wieśniaków. Dostrzegłem co najmniej kilku mężczyzn i jedną kobietę, którzy padli pod ciosami. Widząc niepowodzenie planu, czterej jeźdźcy zawrócili, by ponownie uderzyć na Saracenów. Ci, zmuszeni teraz do ratowania życia, zaniechali łatwych ofiar i zwrócili oręż w stronę rycerzy. Ludzie w tym czasie parami lub pojedynczo dopadali murów i przeciskali się przez furtę ocalenia.

Odwrót rozpoczęli też piechurzy; zbijali się w małe grupki i powoli cofali się

z pola walki. Na pomoc ruszyli im żołnierze z murów; kusznicy, widząc, że zaporowy ostrzał, do którego byli przygotowani, nie jest możliwy w panującym na placu boju chaosie, uzbroili się w tarcze i miecze i wyszli poza mury, dając wsparcie cofającym się kompanom.

Od południa, od strony San Esteban, rozegrała się druga bitwa: almogawarzy, zdeorientowani atakiem załogi Loarre, skierowali broń przeciwko jeździe prowadzonej przez Juana de Urríes; a ta, rozwścieczona niespodziewanym oporem, natarła bez litości. Saraceńscy najemnicy potrafili walczyć z jazdą, ale nie na tak małej przestrzeni; zmiażdżeni nawałnicą koni i żelaza rzucili się do rozpaczliwej ucieczki.

Oblężenie zostało zniesione.

Za murami radość mieszała się ze smutkiem; mieszkańcy Loarre brali w ramiona ocalonych albo rozpaczali, nie mogąc odnaleźć wśród nich swoich bliskich. Żołnierze poklepywali się po ramionach; podniesionymi głosami wymawiali imiona tych, którzy powrócili cali. Ludzie na podzamczu utworzyli wielką rodzinę witającą żywych i oplakującą zmarłych. Przypomniał mi się epizod z dzieciństwa, gdy nad Saragossą rozpętała się potężna burza z piorunami i gradem; z ulicy na podwórko naszego domu wbiegali po kolei mały Dolz, potem Vidal, potem Salomon i Jamila, a ja i stary Azmel staliśmy w progu, witając każdego jak bohatera, który uszedł niebiańskiemu pogromowi.

Kapitan de Lucio tryumfował. Towarzyszył mu Miguel de Bernabé. To on wymyślił, by dać rycerzom specjalnie przygotowane słoje z prochem, a potem kierował atakiem. Obaj rozmawiali z chłopami i żołnierzami; uszło gdzieś napięcie i wzajemna wrogość.

Po niespełna godzinie rozeszła się wieść, że zginęło trzech żołnierzy i pięciu mieszkańców Loarre. Trupy napastników postanowiono policzyć dopiero z nastaniem dnia.

Wedle pierwszych relacji winiarz Martín został zabity jeszcze w San Esteban. Angel żył, ale almogawarzy poważnie go okaleczyli; zaniecono go do chaty *fraya* Pedra. Podobno do San Esteban wkroczył niewielki, kilkunastoosobowy oddział. Ale zaskoczeni chłopci nie podjęli walki. Tylko Martín i Angel zdążyli zabarykadować się w karczmie. Chłopiec wlaź na dach i stamtąd z łuku zranił kilku Saracenów. Ale w końcu napastnikom udało się podpalić chatę: Martín spłonął w środku, a chłopak zeskoczył z dachu wprost w ich ręce. Ci, których poranił strzałami, zamknęli się z nim w jednym z domów i kilka godzin sycili się zemstą. Ludzie albo nie wiedzieli, albo nie chcieli mówić, do czego tam dochodziło. Saraceni musieli kilka razy łaćtać chłopcu ręce, bo gdy w końcu wywlekli go na ulicę, ręce miał jakby posklejane z różnych niepasujących do siebie kawałków. Już w obozie, pod zamkiem, gdy ich dowódca dowiedział się o wydarzeniach w San Esteban, kazał Angela wbić na pal i umieścić na widoku pod bramą, obrońcom ku przestrodze. Ale wtedy na murach zaważił ich poseł, a niedługo później do obozu przyjechali jacyś posłańcy z rozkazami z Ayerbe i almogawarzy odstąpili od jeńców.

Nie wrócił jeszcze Sulima, który ruszył za uciekającymi almogawarami; razem z nim poszedł Fernando Vélez de Guevara, Bask.

Dwaj rycerze pojawili się kilka godzin później, tuż przed świtem. Najpierw przez bramę wszedł Bask prowadzący bojowego ogiera, za nim, utykając, pojawił się Sulima. Na głowie miał tylko pikowany czepek, hełm zwiślał mu na plecach, przewieszony przez ramię na łańcuchu umocowanym do napierśnika. Zobaczywszy mnie wśród dużej grupy zgromadzonej przy bramie, skinieniem ręki kazał iść za sobą.

— Ciesz się, że mnie widzisz, Żydku.

— Cieszę się...

— Doszedłem jednego z *adaliarów* — mówił wolno — zwałem go z konia, ale potem on mnie. Mało brakowało... Ledwo chodzę.

— Uciekł?

Sulima zaprzeczył ruchem głową. Miałem wrażenie, że nawet się uśmiechnął.

W izbie zdejmowałem mu po kolei wszystkie części zbroi. Bił od niego odorzący smród potu, krwi, moczu i strachu. Po zdjęciu blach musiałem porozpinać guziki przesywanego kaftana i rozsypać węzły u nogawic. Potem lniane gacie. W końcu stanął przede mną nagi, na drżących nogach, wyglądał, jakby bolała go każda kość. Pomyślałem, że tym powinny zajmować się kobiety, przywykłe do brudnych i cuchnących odchodami niemowląt.

Sulima, widząc grymas obrzydzenia na mojej twarzy, zaczął się śmiać.

— Musisz przywyknąć. Koń się na mnie zwałił i wszystko ze mnie wycisnął — powiedział ochryplym ze zmęczenia głosem. — Patrz, jak mi ręce drżą. Pierwszy raz spojrzałem śmierci w oczy z tak bliska. W kuchni śpią?

— Nikt w Loarre nie śpi...

— Niech mi przygotowują kąpiel — rzucił szybko. — Idź. Gorąca woda ma być!

Łaźnia przylegała do północnej wieży. W kuchni gotowano wodę w miedzianych kotłach i potem w zakrywanych cebrach noszono ją do łaźni. W pomieszczeniu stały dwie duże balie trwale przytwierdzone do kamiennego podłoża. W rogu izby znajdował się ceglany piec wyłożony płaskimi kamieniami, które polewano wodą, aby wypełnić wnętrze gorącą parą. Prawo do korzystania z łaźni przysługiwało tylko rycerzom i znamienitszym gościom. Spośród kobiet na zamku korzystały z niej tylko doña Violante i Dolores. Obsługą łaźni zajmowały się dziewczki z Loarre albo nawet z San Esteban; uprzedzono je wcześniej, tak by mogły przyjść na umówioną porę. Na ogół były to wdowy lub samotne kobiety. Często w łaźni pomagała też Maria, konkubina winiarza, mimo iż kobietom jej stanu to zajęcie nie przystawało, mężczyźni bowiem rozdzielali się do naga i bywało, że poza myciem całego ciała domagali się cielesnych przyjemności. Bernat twierdził, że łaźnie raczej nie odmawiały: robiły to dłonią, za drobną opłatą, ustami, za znacznie większą, lub wchodziły nagie do balii, co kosztowało najwięcej. Ale rzadko się to zdarzało. W Saragossie chrześcijanie traktowali łaźnie jak domy publiczne, tu jednak, w Loarre, kąpiel miała przede wszystkim za zadanie usunąć brzydkie zapachy, odświeżyć ciało po podróży i oczyścić skórę, by móc jak najkorzystniej wypaść na wieczornej uczcie. Jedynie don Solsona, który brał kąpiel raz w tygodniu, zawsze szedł do zamkowej łaźni z kilkoma monetami w garści.

Tym razem przygotowaniem łaźni zajęła się Francesca z pomocą Cateriny, bo w takim rozgardiaszu trudno było wzywać dziewczki z wioski.

Księżyc świecił wyjątkowo jasno i noc wydawała się dniem. Z podzamcza dochodził głośny gwar: pijackie krzyki mieszały się ze śmiechem i zawodzeniem. Także na dziedzińcu zamku panował ruch. Przed koszarowym

budynkiem rozpalono duże ognisko, wytoczono beczki z winem i wódką. Widziałem, że trzech rycerze turniejowi stali pośród żołnierzy i razem z nimi wybuchali co jakiś czas salwami śmiechu. Usłyszałem głos Baska i podszedłem kilka kroków.

— Myślałem, że już po Sulimie — mówił Bask. — Leżał pod koniem i się nie ruszał, a ten *adaliđ*, suczy syn, lezie do niego, żeby go dobić. Nóż w zębach, na czworakach, jak pies.

Bask zachwiał się na nogach; wyciągnął kubek w stronę jednego z żołnierzy, który z przewieszzonej przez szyję małej beczki nalał mu gorzałki.

— Ale Sulima jakoś się wygrzebał spod konia — mówił dalej — i się szcepili, jak zbóje, tylko noże błyskały. W końcu to śmierdzące saraceńskie bydłę... — upił łyk — ten skurwiel gębę rozdziawił, wywalił gały jak dwa księżyce, no i tyle, więcej już nie zgrzeszy.

Bask odchylił głowę, przymknął oczy i pił długo. Gdy skończył, otrzymał gromkie brawa.

— Mówię wtedy Sulimie... — z trudem wydusił z siebie przez ściśnięte od wódki gardło — że na południu jest zwyczaj, że się uszy tym wieprzom obcina i idzie się do najbliższego alkada. Gaspar, ile teraz płacą?

— Rok temu dawali dziesięć florenów za parę — odparł żołnierz wywołany przez Baska jako Gaspar.

— No. Nie wiedziałem, ile, ale mu mówię, żeby obcinał, a te kilka monet co dostanie niech, jak już wróci do siebie, gdzieś tam w jakimś kościele ofiaruje. U was...

— Jak naród pogański, to skąd mają mieć kościoły?

— Pierdolisz, Gaspar! — prychnął Bask w stronę żołnierza. — U was — wrócił do przerwanej myśli — to by było coś, mu mówię, prawdziwy Saracen, pies jak malowany, takich tam nie macie.

Jeden z żołnierzy odwrócił się plecami do ogniska, odszedł parę kroków, by nic nie stracić z opowieści, i zaczął sikać. Gdy podniósł głowę, zobaczył mnie.

— Nasz Żydek! Chodź do nas! — zawołał, nie przerywając sikania. Wszyscy odwrócili głowy w naszą stronę. — No, chodź! — powtórzył i wyrzucił biodra do przodu, tak że strumień moczu niemal spadł mi na buty. Potem podszedł, objął mnie ramieniem i pociągnął w stronę ogniska. Cuchnącą mokrą ręką podniósł mi podbródek.

— Patrzenie, kogo mam! Właśnie o tobie myślałem... — zawołał i potoczył mętym wzrokiem po twarzach kompanów, a ci ryknęli śmiechem. — Już od dawna o tobie myślimy.

Stanął z tyłu i przywarł do mnie, obejmując za ramiona. Poczułem jego kłującą brodę na policzku.

— Tu baby mają nas gdzieś, to my je też. Ale w coś trzeba wsadzać. Mamy dla ciebie propozycję... Wiesz, jak się chce po bitwie...

— Ja już z nim gadałem i prawie się zgodził — zadudnił głos Joana. Olbrzym podszedł do nas, odepchnął żołnierza, zrobił przysiad, po czym chwyciwszy mnie w pół, podniósł wysoko. — Patrzenie, jaki ładny!

Ale zaraz wbił wzrok gdzieś w ciemność, daleko poza jasnym kręgiem wokół ogniska; odruchowo spojrzałem w tamtą stronę, a za mną jeszcze kilku żołnierzy. W świetle księżycy rozpoznałem Francescę, która wyszła z łaźni

i zmierzała w stronę kuchni. Posypały się wulgarnie zaczepki. Teraz rozumiesz, dlaczego kuchnia miała tak solidne drzwi. Francesca przypomniała kroku i zatrzasnęła je za sobą.

— Zostaw go! — usłyszałem głos Bernata. Stanął tak blisko, że prawie dotykał Joana; chwiał się na krzywych nogach z głową zadartą do góry.

— Nie popuszczę ci, Żydku. Jesteś mi winien pieniądze i tyłek — wydyszał mi do ucha Joan i uwolnił z uścisku.

Bernat był jednym z bohaterów tamtej nocy. Nie zszedł wprawdzie z odsieczą razem z innymi kusznikami, ale dobrze nimi dowodził i popisywał się celnością: jako jedyny posłał z łuku kilka dalekich, śmiertelnych strzał. Nawet Joan to docenił. Teraz z kolei Bernat mnie objął.

— Ocaliłem dziś życie twojemu panu. Dwa razy zachodzili go od tyłu, a ja te dwa razy trafiłem...

— On nie jest moim panem — zaprzeczyłem.

— Wiedzieliśmy, że wziął cię do odpinania blach. To jakbyś się dał osiąść. Będiesz mu już posłuszny na zawsze — zaśmiał się. — Nieważne! — Bernat machnął ręką. — Wiesz, co się liczy... — mówił mi do ucha, ale był pijany i zamiast szeptać wrzeszczał — Angel, mój Angelito żyje...

Wszyscy mieli już mocno w czubach, ogień nieco przygasł i nikt nie zauważył, że jakiś mężczyzna w ciemnej koszuli dołączył do kręgu żołnierzy wokół ogniska.

Bask tymczasem skończył opowieść.

— No więc mówię Sulimie, żeby obciął te uszy, może kapitan kupi. A on, że dobrze, kazał mi go posadzić i zaczął ścierwu skórzany hełm zdzierać, żeby się dostać do tych świńskich uszu, ale rzemyki trzymały, plątały się. Zaczął furczeć, szarpać, warczeć pod nosem, buchało od niego, jakby go wrzątkiem polali... w końcu wykopał mi trupa z rąk, i patrzę, a on bierze miecz i walnął truchło w szyję, aż łeb odciął razem z tymi obsranymi rzemykami. I mówi do mnie, że może kapitan kupi całą głowę, a jak nie, to się dowiesi na ozdobę do tego trupa na wieży...

Znów rozległ się wybuch śmiechu. Bask z trudem zachował poważną minę i mówił dalej:

— Tego jeszcze nie widziałem, żeby się tak zapiec na trupa. No, wściekły pies go musiał kiedy poszarpać. Potem mi ten łeb do siodła przytroczył, a ta parszywa saraceńska morda miała wystające zęby i przez całą drogę gryzła mnie w udo. Psia mać, gryzła jak żywa.

— On jest mocno pomyłony — odezwał się jeden z młodszych żołnierzy. — Nie mogę, jak ten Sulima gada. To „prrimero, perrr favorrr”, na kurwę jego matkę, nie da się tego słuchać, jakbyś kamienie do wiadra sypał. Kiedyś mu wbiję nóż w gębę i wytnę język.

— No to dam ci teraz szansę — rozległ się znajomy głos. Wszyscy odwrócili głowy w stronę, skąd dochodził. Nikt nie zauważył, że Sulima od dłuższego czasu stoi przy ognisku. — Z chamami się nie zadaję, ale dziś wyjątkowa noc... Wszyscyśmy braćmi. Pierwszy wyzywam i nikt cię nie będzie po sądach włościł. Stawaj!

Młody żołnierz poderwał się z ziemi i nim reszta kompanów zdążyła zareagować, porwał jeden z mieczy porzuconych przy ognisku.

— Bierz! — rzucił do Zawiszy, wskazując mu żelazny stos.

Ale ten wyciągnął z ognia na wpół palącą się żagiew, kilka razy zakręcił nią w powietrzu, by zgasić pełzający płomień, i stanął naprzeciw żołnierza.

— Masz świadków, wyzwał cię — powiedział ten, którego zwano Gasparem — załatw go teraz, skoro się prosi.

Żołnierz był jednak zbyt pijany i przed jego sygnalizowanymi ciosami nawet ja zdołałbym się uchylić. Po jednym z zamachów, gdy miecz zarył w ziemię i Aragończyk stracił równowagę, Sulima chwycił kłodę oburącz i uderzył z taką siłą, że ta złamała się na głowie żołnierza, a snop iskier wystrzelił na wszystkie strony. Rozszedł się smród palonej skóry i włosów. Aragończyk upadł na plecy. Sulima przygniótł mu pierś kolanem, wyszarpnął nóż zza pasa, zawiesił na chwilę nad twarzą powalonego i wbił w ziemię aż po rękojeść, tuż przy uchu przerażonego żołnierza. Ten kopnął konwulsyjnie nogami, jakby otrzymał cios prosto w serce; potem odwrócił się na bok, podkurczył nogi i zwymiotował wypite wino i wódkę. Zawisza podniósł go bez trudu za skórzany kaftan i chciał pchnąć w ognisko, ale przeszkodził mu Bask.

— Po co ci to? — chwycił Zawiszę za przedramię. Przewyższał go o głowę. — Mało krwi na dzisiaj?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Sulima szarpnięciem wyzwolił się z uścisku i odszedł.

Chłopak miał przypaloną skroń i wyglądało na to, że stracił jedno oko; zobaczyłem po twarzach żołnierzy, że niechęć do Sulimy zamieniła się tej nocy w nienawiść. Znając Aragończyków, nie zapomną mu tego i któryś z nich gotów wbić mu nóż w plecy.

Sprawozdanie, jakie o świcie Bask i Zawisza zdali kapitanowi, potwierdziło, że za napadem na Loarre stał Juan de Urríes. Jego ludzie prowadzili pościg niemrawo; noc była tak jasna, że nie można tego tłumaczyć porą. Nie podjęto nawet próby walki. Poza *adalidem*, który zginął z ręki Sulimy, almogawarzy nie ponieśli żadnych strat podczas ucieczki i rozproszyli się po okolicy.

Głowa okazała się wielce ważnym dowodem. Kapitan polecił ją oczyścić z ziemi i krwi, by przywrócić jak najbardziej naturalny wygląd. Zawezwano owego Gaspara, który wcześniej wiele lat służył na zamku w Orihueli i znał wszystkich ważniejszych *adalidów* z południa. Tam do potyczek z saraceńskimi bandami dochodziło niemal codziennie. Walczono z nimi, ale też często wykorzystywano do patrolowania pogranicza z dziką i wyludnioną Murcją, która stanowiła wygodny korytarz dla wszelkiego rodzaju zbrojeckich band z Granady najeżdżających południową Aragonię. W zabitym przez Sulimę *adalidzie* Gaspar rozpoznał Mahomata Alahieniego. Kapitan, Miguel Bernabé i don Solsona na przemian po kilka razy pytali Gaspara, czy jest tego pewien. Mahomat Alahieni był zaufanym almogawarem hrabiego Denii, możnowładcy, z którym Urríesowie utrzymywali bliskie kontakty. Mógłby to więc być znaczący dowód przeciwko Urríesom. Sporządzono naprędce dokument potwierdzający zeznania Gaspara, opisano charakterystyczne rysy twarzy zabitego, w tym wystające jak u bobra przednie zęby. Dokument z formułą przysięgi na Biblię podpisali kapitan, don Solsona, ksiądz i Gaspar.

Do południa uporano się z zebraniem i pogrzebaniem wszystkich saraceńskich trupów; naliczono ich aż dwadzieścia siedem. Wielkim sukcesem, choć okupionym stratami i po naszej stronie, okazało się uderzenie na wrogi obóz dokładnie w chwili nadciągnięcia pod mury kolumny z Ayerbe. Wycieczka z zamku całkowicie zdezorientowała Saracenów i ci wzięli pozorowany atak jazdy Juana de Urríes za prawdziwy i podjęli walkę. Wojsko z Ayerbe, zapewne w większości najemnicy ze świeżego zaciągu, zaskoczone oporem, dobyło mieczy i plan łatwego przegrania almogawarów skończył się krwawą jatką. Dopiero podczas pościgu dowodzący wyprawą Juan de Urríes opanovał sytuację.

Jak wściekły na taki obrót sprawy był Juan de Urríes, mieliśmy się przekonać już wkrótce. Około południa do bram Loarre podjechał jeden z giermków młodego barona i oznajmił, że jego pan pragnie zawitać na zamek na wieczerzę. Będzie szedł prosto z pościgu, prosi więc o przygotowanie kąpieli. O czyste szaty mamy się nie troszczyć, bo już posłano po nie do Ayerbe.

W kuchni od razu zabrano się do pracy. Po przejrzeniu zapasów Aldonza Romero uznała, że jedynym daniem możliwym do szybkiego przyrządzenia w wystarczającej ilości, i odpowiednim do rangi gościa, będzie gotowana baranina z ziołami. Z podziwem przyglądałem się pracy kucharek. Do kuchni

przyniesiono w koszach mięso, które Francesca od razu zaczęła kroić w kawałki, a potem pietruszkę, szalwię, miętę, majeranek, jajka, kilka bochenków chleba i worek cebuli.

Zapach zwabił do kuchni dziwacznie wyglądającego psa, o którym mi już opowiadano. Pokraczna istota, pies, ale jakby wydany na świat przez maciorę: płaski pysk, łapy tylne dłuższe od przednich, żuchwa szeroka jak sierp, wysunięta do przodu. Pies należał do alkada Vinyolesa, ojca Mercedes; ona jako jedyna kochała to stworzenie. Bernat stwierdził kiedyś, że to wskutek łączącego ich podobieństwa, co wszyscy uznali za paskudny żart. Wabił się Ladrón, gdyż kradł i szcekał bez opamiętania²⁰.

Już w kilka dni po zamieszkaniu w domu alkada Ladrón przejął psią władzę nad całym podzamczem: w kilka dni podusił wszystkie odporne psy, a resztę sobie podporządkował. Te, które pozostały, żyły z nim w chłodnej zgodzie, usuwając mu się z drogi. Ojciec Mercedes otrzymał psa jako zapłatę za kilka noży od pewnego angielskiego kupca, który błędząc po okolicy, trafił do Loarre. Jak twierdził ów kupiec, był to rasowy buldog: pies szkolony do walk z bykami, rozrywki bardzo popularnej w tym dzikim północnym kraju (w ich śmiesznym języku *bull* znaczy byk, a *dog* – pies). Walka polegała na tym, że pies zaciskał mocarne szczęki na szyi byka i nie puszczał, aż ten padał bez tchu. W Aragonii na taką zabawę by mu nie pozwolono. Na czas oblężenia zamknięto Ladróna w budzie i przykuto łańcuchami.

Choć kapitan de Lucio lubił psy, wierzył, że przynoszą zamkowi szczęście (wyrity w kamieniu wizerunek jednego z poprzedników Ladróna zdobył główną salę), to Ladróna się brzydził, właśnie ze względu na wygląd. Ladrón z kolei nie znosił psów i na przekór wszystkiemu łaścił się do ludzi, zabiegając o ich względy.

O ile Mercedes psa kochała, to męską przyjaźnią obdarzył go jedynie Zawisza. Tu wszyscy byli zgodni, że połączyło ich podobieństwo charakterów i losów. Obaj byli cudzoziemcami, przebywali w Loarre wbrew własnej woli, nie byli tu zbyt lubiani, do tego słabo, lub bardzo słabo, posługiwali się aragońską mową. Spędzali całe dnie na wspólnych wyprawach poza mury. Mercedes zdradziła mi kiedyś, że gdy tylko łóżko Zawiszy opuszczała Dolores, na górze rozlegał się stukot pazurów o deski, a potem ciężkie westchnienie kładącego się psa. Odkąd ja zamieszkałam z Zawiszą, Ladrón przestał przychodzić.

Późnym popołudniem, po niesporach, straż zameldowały wreszcie, że zbliża się kilku jeźdźców z proporcem Urríesów. Na wieść o tak sławnym gościu ludzie wylegli przed domy i tłoczyli się wzdłuż drogi prowadzącej od bramy do zamkowych wrót. Wszyscy chcieli zobaczyć sławnego Juana de Urríes. Jedni go nienawidzili za klęski, jakie sprowadzał na ich domy, inni po cichu go podziwiali i widzieli już w roli nowego pana Loarre.

Juan de Urríes robił to, co wszyscy mogli w Aragonii: jak dziki zwierz starał się utoczyć krwi z najbliższej położonego królewskiego *dominium*, by łatwiej je pożreć. Brak rąk do pracy w polu doskwierał całej Aragonii, przenosiny nawet kilku rodzin do sąsiedniej miejscowości mogły zdecydować o przyszłości

osady. Taki bój toczył się między Ayerbe, siedzibą Urríesów, a królewską Loarre. Głównym orężem w tej wojnie było nakłanianie ludzi — siłą lub przywilejami — do przenosin na swoje włości. Osiemnaście lat temu, gdy Loarre na powrót stała się królewska, napłynęło tu wielu mieszkańców znęconych sławą osady. Teraz rodzina Urríesów miała więcej argumentów. Mieszkańcy Loarre nosili w sercu nienawiść do sąsiadów, ale nadstawiali ucha, gdy mowa była o żyznych ziemiach dawanych w Ayerbe w dożywotnią dzierżawę, zwolnieniach z podatków, tanich kredytach. A teraz doszło do tego poczucie bezpieczeństwa, którego król nie potrafił zapewnić. Juan de Urríes, na przemian okrutny i hojny, fascynował tych prostych ludzi.

Ale był jeszcze jeden powód zainteresowania młodym arystokratą i to zarówno ze strony kobiet, jak i mężczyzn. O tej osobliwości powiedział mi kiedyś Bernat. Aby to wyjaśnić, muszę opisać pewien dziwny element stroju rozpowszechniony w wyższych sferach, a mianowicie *taparrabos* zwany też *braguette*. Był to rodzaj mieszka przywiązywany w pasie, okrywający krocie. Mieszki były bogato zdobione, a przede wszystkim przybierały fantazyjne rozmiary. W dobrym guście było wypychanie ich kawałkami skóry, wełną lub czymkolwiek, co zapewniwszy komfort strojnisiowi, podkreślało rozmiar jego przyrodzenia. W Saragossie widywano ten strój u bogatszych mieszczan: na obcisłe rajtuzy zakładano wypchany miś, by robić wrażenie na kobietach i budzić zazdrość u mężczyzn. Juan de Urríes słynął z ogromnych i finezyjnie zdobionych *taparrabos*. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie plotka głosząca, że młody baron nie korzysta z żadnych wypełniaczy i wszystko, co rozpycha nieprzyzwoicie jego miś, otrzymał od Boga w niezwykle hojnym darze.

Na wieść o tym, że Juan zażyczył sobie kąpieli, w kuchni zapanowało gorączkowe podniecenie. Pomogliśmy z Bernatem ustawić na piecach miedziane kotły do podgrzania wody. Gdy tylko stara Aldonza udała się do kapitana, aby ustalić szczegóły wieczery, kobiety, nie zważając na naszą obecność, zaczęły planować podglądanie łazienkowej ceremonii. Było to możliwe, gdyż pomieszczenie sypialne dzieliła od łaźni wąska ściana, z jednej warstwy cegieł, w której znajdowało się kilka zamaskowanych prześwitów. Bernat nie był ani zaskoczony, ani oburzony faktem, że w tym podglądaniu zamierza uczestniczyć Mercedes. Była to jedna z niewielu rozrywek dla kucharek i nie miał zamiaru swojej narzeczonej tego zakazywać. Tym bardziej że kierowała nimi zwykła ciekawość, a nie brudne żądze. Ciekawość aż paliła w przypadku Juana de Urríes. Oto będzie można na własne oczy potwierdzić legendę lub zadać jej kłam!

Powitanie barona zakłócił przykry incydent. Samego zdarzenia nie widziałem, znam je tylko z późniejszej relacji. Otóż wraz z Juanem de Urríes i jego dwoma francuskimi wasalami na podzamcze wjechało też dwóch służących, którzy przywieźli odzienie. Towarzyszyły im dwa duże charty, ulubione psy myśliwskie Juana. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił na nie uwagi, a alkad, nie spodziewając się takich gości, nie zamknął Ladróna. A ten korzystał właśnie z odzyskanej wolności i nerwowo biegał po

podzamczu, tropiąc ślady niedawnej bytności obcych psów przyprowadzonych tu na czas obłędzenia przez swych właścicieli z San Esteban. Gdy nagle wyczuł nowe osobniki wkraczające na teren podzamcza, rzucił się na nie bez żadnego ostrzeżenia. Złapał za gardło pierwszego charta i powalił na ziemię. Drugi pies zaczął wściekle ujadać. Jeden z Francuzów natychmiast spiął konia, podjechał do walczących zwierząt; zawiesił nad nimi miecz w oczekiwaniu na odpowiednią chwilę, a potem opuścił ramię, tnąc Ladróna przez grzbiet. Cios prawie przeciął buldoga na pół i ten zdechł kilka chwil później. Nie było jednak sposobu, by oswobodzić charta z morderczego uścisku. Nim wreszcie sam Vinyoles za pomocą noża rozwarł martwe szczęki, pies Juana de Urríes wyzionął ducha.

Martwe zwierzęta wywleczono za mury i szybko o nich zapomniano. Jedynie Mercedes na wieść o śmierci ukochanego Ladróna osunęła się na ziemię i siedziała na podwiniętych nogach przez długą chwilę.

Wieczерę podano w tej samej sali, gdzie odbyła się narada. Stół, tym razem dużo szerszy, był ustawiony na środku; pokryto go białym lnianym obrusem, a podłogi zaślano kobiercami. Do stołu mieli zasiąść trzej goście oraz de Lucio z dołą Violante, Dolores, czterej rycerze turniejowi, Miguel de Bernabé oraz don Solsona. Mnie zaproszono, bym służył Zawiszy jako tłumacz. Na każdego biesiadnika czekał głęboki talerz o błękitnej barwie z naniesionym herbem rodu Urrea (czyżby Joshua mówił prawdę?!), dwa szklane puchary, na wodę i na wino, oraz duża serweta do wycierania ust i dla ochrony szat przed zabrudzeniem. Na środku stołu leżały dwa wielkie podłużne bochny chleba. Ponieważ kąpiel Juana się przedłużała, co przyjęto z rozbawieniem, postanowiono, że najpierw — wbrew regule — podane zostaną wędliny i sosy; Francesca przystąpiła do krojenia chleba. Wszyscy zasiedli do stołu. Caterina i Mercedes podchodżyły do każdego z wodą do obmycia rąk i ręcznikiem.

Kapitan de Lucio i doña Violante podjęli uprzejmą rozmowę z francuskimi rycerzami, wypyując o ludzi i miejsca, które nic mi nie mówiły. W roli podczaszego wystąpił don Solsona: rozlewał biesiadnikom wino i wodę lub mieszał je w pucharach wedle życzenia. Po smaku poznałem, że znów podawane będzie wino Dolza i Vidala, które już kilka razy pokazało swoją moc. Poinstruowany wcześniej przez don Solsonę zacząłem przekazywać dyskretne uwagi dotyczące zachowania przy stole, tak aby Sulima mógł wypaść przed gościem jak najkorzystniej. A zatem należało nie trzymać łokci na stole, nie garbić się, nie przysuwać zastawy zbyt blisko siebie i tak dalej. Gdy wspomniałem, że wypada brać kawałki potraw takich rozmiarów, by mieściły się w ustach i resztki nie spadały na talerz, Sulima zaczął się śmiać, a potem na oczach wszystkich przyłożył mi szpikulec do szyi. Nie zrobił mi krzywdy, bo otwarły się drzwi i wszystkie rozmowy ucichły.

Gdy Juan de Urríes wszedł do sali, zauważyłem, że doña Violante i Dolores zamiast na oblicze gościa mimowolnie spojrzęły w pierś poniżej szerokiego złotego pasa, który spoczywał na biodrach młodego barona. Nie tylko one zresztą.

Mieszek, uszyty z delikatnej, barwionej na czerwono skóry, zdobiony

w winne motywy, przyciągał wzrok wszystkich. Wypukłość, podkreślona jeszcze przez obciste spodnie, opięte na szczupłych, mocnych udach, była tak nienaturalnych rozmiarów, że wszystko w komnacie wydało się nagle delikatne, drobne i pospolite.

W ogóle gdy Juan de Urríes zasiadł już do stołu pomiędzy swoimi rycerzami, błyszczał niczym paw wśród podwórkowego drobiu — blaskiem stroju i oblicza nie zdołał przyćmić jedynie olśniewająco pięknej doñi Violante.

De Lucio grał rolę troskliwego gospodarza; prezentował pogodne oblicze. Juan de Urríes, odświeżony, z puszczonymi na plecy jasnymi lokami, zachowywał powściągliwą uprzejmość. Z upływem czasu i wypijanego w dużej ilości wina powietrze tężało od napięcia. Narastało zmęczenie blahymi pytaniami i nic nie znaczącymi odpowiedziami.

Juan i de Lucio coraz częściej wymieniali długie spojrzenia. W końcu odezwał się ten pierwszy:

— Milczałem do tej pory, czekając na słowa podziękowań za uwolnienie twego zamku, panie, od tych wszawczych psów — jego mocny głos wybił się ponad gwar toczonych rozmów i te natychmiast ucichły. — Ale widać, muszę się sam upomnieć. Upominam się zatem. — Juan z trudem utrzymał na twarzy uprzejmy uśmiech.

— To jakbym miał dziękować hultajowi, że wyciągnął mi z brzucha nóż, który sam wcześniej tam wepchnął... — odparł kapitan i podniósł puchar. — Za wasze zdrowie, Juanie de Urríes. Juanie Wybawco!

Juan nie podniósł swojego kielicha, jego twarz stała się zimna, bez śladu sztucznej uprzejmości sprzed paru chwil.

— Mówcie jaśniej, de Lucio — rzucił twardo.

Kapitan klasnął w dłonie i do sali wszedł żołnierz z dużą tacą przykrytą cynowym kloszem. Postawił ją na stole przed Juanem i odkrył. Dwaj Francuzi odrzucili głowy, jakby ich ktoś z tyłu szarpnął za kołnierze; doña Violante krzyknęła i gwałtownie wstała z krzesła. Na tacy spoczywała głowa adalida: jakimś sposobem uniesiono powieki, przymknięto posiniałe już usta, ale widocznie języka nie udało się wepchnąć do środka, bo zwiotczały i nienaturalnej długości wylewał się na zewnątrz. Rzadkie włosy lepiły się do czaszki tak, iż widać było zakrzepłe rany po obciętych uszach. Juan jako jedyny zachował kamienny wyraz twarzy.

— Choć głód mi doskwiera, nie liczcie, drogi gospodarzu, że to zjem. To danie cuchnie...

— Będzicie musieli, baronie de Urríes! Choć ciężko wam to będzie przełknąć — de Lucio wstał, wychylił się przez stół i przesunął sztucce bliżej talerza Urríesa. — Zapewne ta piękna głowa jest wam znajoma, ale podpowiem, bo jej właściciela widzieliście z nieco weselszym obliczem. Należała do Mahomata Alahieniego, waszego zaufanego Saracena. Nie wyprzecie się go. Wy, baronie, wasi bracia i wasz ojciec. Wszyscy w Aragonii wiedzą, że jest bliski waszemu domowi. Znalazł się na tym stole dzięki... staraniom tego oto rycerza, naszego gościa — kapitan wskazał ramieniem na siedzącego koło niego Zawiszę.

Juan nie spojrzał w naszą stronę.

— Zginęło wielu mieszkańców Loarre — kapitan mówił coraz głośniejszym głosem.

Z rąk tych pogańskich wieprzy, które wy sprowadziliście! Król wam tego nie daruje.

— Chcecie mnie przestraszyć? — spytał Juan, siłąc się na uśmiech. — Czy ta głowa wam to powiedziała? To jakieś przedstawienie? Jeśli tak, to czemu ona teraz nie gada?

— Albo nie tańczy... — wtrącił ośmielony dobrym humorem swego pana jeden z Francuzów.

— Jesteście pijani, kapitanie, odpowiecie za te oszczerstwa — w głosie młodego barona więcej było pogardy niż groźby.

— To wy, Urríesowie — ciągnął de Lucio — utrzymujecie te bandy, dajecie im schronienie, żywicie. Za te morderstwa czeka was sąd!

Spodziewałem się gwałtownej reakcji barona, on tymczasem oświadczył:

— Wasze szaleństwo, hrabio!, to wasz kłopot, nie mój — lekceważący ton, przez podkreślenie słowa „hrabio”, zabrzmiał jeszcze wyraźniej. — I nie liczcie, żeście mi odebrali apetyt. Jestem tu gościem. Czy poza tym szkaradztwem coś nam podacie? Nie lubię włosów w jedzeniu.

Potem odwrócił się na krześle.

— Zanieś to myśliwemu, który sobie to upolował — powiedział do stojącego za nim żołnierza.

Żołnierz wziął tacę i spojrzął na kapitana, nie wiedząc, co ma z nią począć. Ten ruchem głowy nakazał mu wyjść z sali.

— Porozmawiajmy poważnie, kapitanie de Lucio — odezwał się młody baron. — Bez mojego wojska nie dacie rady. Te wieprze, jak ich nazwaliście, siedzą teraz w lasach, przy drogach. Nie przedostanie się tu żaden kupiec, żaden chłop. Wydacie majątek na eskorty. Będą wam podpalać pola, przyjdzie głód. Czym spłacicie obligacje?

De Lucio założył ręce na piersi. Jego blada twarz stężała gniewem.

— Odeślij ich tam, skąd przyszli, a...

— Mam inną propozycję — przerwał mu Juan — ale nie mogę złożyć jej w tak szerokim gronie.

— Do diabła z waszymi propozycjami... — odparł twardo de Lucio.

— Wysłuchacie jej! — wykrzyknął Juan i poderwał się z krzesła. — Po to tu przyjechałem. Chcecie publicznie, to słuchajcie! — Urríes wsparł się na ramionach, wbijając knykcie w blat stołu. — Wystąpicie do króla, bym to ja, moim wojskiem, oczyścił te ziemie. Potem poprzecie wniosek o włączenie Loarre do naszej baronii. Jeśli to zrobicie, otrzymacie zamek w dożywotnią dzierżawę, wasi ludzie dostaną po kawałku ziemi i będą mogli zostać — przerwał, potoczył wzrokiem po zgromadzonych, a potem dodał: — Czekam na odpowiedź do jutra. I na Boga!, na przyszłość ważcie słowa! Po żołniersku tu dziś jestem i wybaczam, boście też krew przelewali.

Usiadł, rozparł się wygodnie na krześle. Widać było, że i on, i jego dwaj francuscy wasale poczuli się pewniej. Zapadła cisza. Czekaliśmy w napięciu na słowa kapitana. Butna propozycja młodego barona była jak plunięcie w twarz.

— Pozwól, panie, że ja zawiozę im odpowiedź, bo mam sprawę z tymi ludźmi — rozległ się spokojny głos Sulimy, który wyciągnął przed siebie wyprostowane nogi i osunął się nieco na krześle. — To ty zabiłeś psa? — wskazał szpikulcem siedzącego najbliżej Francuza. — Czy ty? — spojrzął na

drugiego. Obaj młodzieńcy nie wiedzieli, jak zareagować, nie umieli ukryć zmieszania. W Daroce przebywała cała francuska drużyna, byli więc naczynymi świadkami śmierci Jacques'a de Villaines. — Czy może... wy, panie? — skierował ostrze na Juana de Urríes.

Odruchowo poprawiłem się na krześle. Żaden szlachcic w Aragonii nie ośmieliłby się w taki sposób zwrócić do barona. Nawet król odnosił się z kurtuzją do przedstawicieli prastarego aragońskiego rodu. Już kapitan de Lucio pozwałał sobie na zbyt wiele, ale on nosił tytuł hrabiego. Pełną napięcia ciszę przerwało wejście Cateriny i Francescy z półmiskami z parującym mięsem. Po sali rozszedł się ostry zapach baraniny. Juan zadarł głowę, by spojrzeć na kobietę, która stanęła tuż obok niego.

— Nareszcie! Mam nadzieję, że to... — wskazał palcem na kawałki mięsa — z innego polowania...

Można było odnieść wrażenie, że Juan nie usłyszał słów Zawiszy, bo jeszcze ani razu podczas wyliczery na niego nie spojrział.

— Ej, młody myśliwy! Czy tam, skąd pochodzisz... jecie ludzi? — zwrócił się nagle w naszą stronę, a jego francuscy kompani parsknęli wymuszonym śmiechem. — Skoro na nich polujecie... Nie pamiętam, jak się twoja kraina nazywa, ale mój ojciec był w tamtych stronach. Zbawiał tam duszę — mówił nienaturalnie głośno i powoli, jakby chciał podkreślić, że ma do czynienia z obcokrajowcem. — Po niemiecku te msze nazywały się... [reise](#)²¹.

Szybko przetłumaczyłem Zawiszy te słowa.

Dostrzegłem, że twarz Juana ubarwiły silne rumieńce. Wino, które przywoziłem, musiało posiadać jakąś szczególną moc, bo wystarczyło kilka pucharów, by zawrócić ludziom w głowach.

— Pytałem o psa — teraz Zawisza ignorował słowa młodego barona — ponieważ był mi przyjacielem. Tego, kto to zrobił...

— A! Przypomniałem sobie, gdzie mój ojciec zbawiał duszę — zawołał Juan, przykładając dłoń do czoła w błazeńskim geście. — Ta kraina nazywa się Lituania. Wielkie ciemne lasy, a w nich stada pogan, brzydszych od czartów. Na nich właśnie się poluje, by przypodobać się Panu. A twój kraj nazywa się Polonia, tak, Polonia. Kraj też dziki, i równie paskudni ludzie, tyle że niewiasty trochę urodziwsze i lepiej odziane niż te litewskie maciory. No i nie trzeba ich brać siłą... Nie patrz tak na mnie, nie byłem — podniósł ręce z dłońmi zwróconymi w stronę Zawiszy — mówię, co słyszałem... Wygląd masz jak na barbarzyńcę, muszę przyznać, dość gładki, wątpię, by spłodził cię któryś z tamtejszych waszących ponuraków... — teraz mówił niewyraźnie, z ustami pełnymi mięsiwa. Tłumaczyłem słowo w słowo. — Mój ojciec był tam ostatni raz jakieś dwadzieścia lat temu. Na tyle mi wyglądasz, to może się zgadzać. My, Urríesowie, mamy zwyczaj sadzenia drzew tam, gdzie docieramy.

— Pedro Jordán de Urríes? To wasz ojciec? — spytał Zawisza. — Wiecie, panie, że był w niewoli? U tych czartów? Przyznał się po powrocie?

Dwaj Francuzi przestali przeżuwać mięso, żeby mlaskaniem nie zagłuszyć sobie dalszych słów.

— Wspominamy go do dziś, bo rycerzy z waszych stron nigdy na rejsach nie widziano. Mówiło się, że to dlatego, że macie krucjatę na własnej ziemi. Jakież więc było rozczarowanie... — Sulima mówił w połowie po aragońsku,

w połowie po łacinie. Łacińskie *frustratio* zrozumieli wszyscy.

— Zważ o kim i do kogo mówisz! — zasyczał ze złości Juan.

— ... jakież więc było rozczarowanie — powtórzył Zawisza — gdy tak wyczekiwany rycerz, z kraju tak zasłużonego dla chwały Pana, okazał się tchórzem i ciemięgą, którego Litwini najpierw pojмали, a potem musieli bez okupu wygnać precz, bo skamleniem o litość odbierał im apetyt...

— Jak śmiałeś, de Lucio, posadzić mnie przy jednym stole z tym prostakiem! — Juan de Urríes, purpurowy na twarzy, krzyczał na kapitana. Ten wybuch wściekłości zaskoczył nawet jego kompanów. — Widać, że mu animuszu dodała ta historia o bękartach — szybko się opanował, mówił już ciszej — ale niech sobie nie robi nadziei, to był żart...

Sulima wykonał ruch, jakby chciał wskoczyć na stół i rzucić się na Juana. Francuzi poderwali się na nogi; jedno z krzeseł ciężkim oparciem huknęło o podłogę. Wstała też doña Violante; jej surowa postawa zatrzymała wszystkich na swoich miejscach.

— Będziesz za to wisiał — wysapał Juan w stronę Zawiszy i wstał od stołu. Odwrócił się na pięcie, kopnął w drzwi, a za nim wyszli dwaj Francuzi.

Potrzebuję pomocy w kancelarii. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezwę cię, byś mi pomagał z papierami — oznajmił don Solsona, gdy po przedwcześnie zakończonych wieczerzy zaprosił mnie do swego gabinetu.

— Z przyjemnością zajmę czymś myśli... — odparłem.

— Kapitan zapowiadał jeszcze przed twoim przybyciem, że zaopiekujesz się naszym gościem... Już ci mówiłem. Dobrze by było, żeby lepiej rozumiał, co się tu dzieje. Przyłóż się bardziej.

Don Solsona wyglądał na bardzo zmęczonego. Na czole perlił mu się pot, ciężko oddychał. Pomyślałem, że kapitan nie powinien był powierzać mu roli podczaszego, to niegodne jego pozycji i wieku.

— Jesteś bystry, znasz łaćnę, choć przyznam, dziwię się, że powierzyli to zadanie Żydowi, ale niech będzie. Musisz się postarać... Ten młody człowiek, zdaje się wiele znaczący u siebie, jest tu... delikatnie mówiąc... lekceważony — mówiąc to, stary garbus rozcierał sobie ramiona i ruszał nimi, kręcąc w powietrzu koślawe koła. — Drętwieją mi ręce — dodał na usprawiedliwienie.

Jakiś czas milczał i tylko grymasy bólu wykrzywiały mu twarz.

— Aragończycy uważają się za pępek świata — ciągnął — mają w pogardzie Genueńczyków, Katalończyków, Niemców, wszystkich, a co dopiero kogoś z krańca świata. Ty musisz to zrozumieć i jakoś wpłynąć na tego... *Polono*, by zachowywał się rozważniej. Juan de Urríes go nienawidzi, bo ośmieszył jego rycerzy i baron czuje się tak, jakby któryś z jego chłopów smagnął go biczem. Nie może tego puścić płazem. Będzie szukał zemsty. Ta cała Polonia to jakiś półpogański kraj. Nawet te ciury na zamku nie mogą się pogodzić, że ktoś stamtąd wywyższa się ponad nich, a co dopiero baron. No, ty jako Żyd powinieś to rozumieć...

Tej nocy siedzieliśmy w poprzek łóżka Sulimy. Dolores znów przyniosła jakiś placek i napitek. Usnęła szybko między nami, a mój towarzysz, wypiwszy już sporo, z nutą tęsknoty w głosie począł opowiadać o swoim kraju.

— U takiego pana służę, Aaronie — mówił na koniec — u takiego mocarza, że ten wasz piękny Juan de Urríes mógłby tam być stajennym.

— To cud, panie, że słyszeliście tam o jego ojcu...

Zawisza skrzywił się z niesmakiem.

— Nigdy nie słyszałem, by któryś Urríes był na rejzie... Może był, może nie. Tak mi się powiedziało. Wiesz, jak to jest, Aaronie, widzisz jakąś gębę i masz ochotę w nią napluć. Tak mam z tym waszym baronem. Dolores dużo mi o tym kurwim synu opowiadała...

Objął ramieniem śpiącą dziewczynę.

— Niedługo wyjadę... Żal mi będzie ją zostawić, ale chcę już wracać! Jak

widzę te gęby na zamku, i jak mi który lypnie okiem, to mówię ci, coraz ciężej się powstrzymać. I mam dość tego waszego gęgania, za ludzką mową tęsknię!

Zapytałem go, jak długo jeszcze zostanie. Odpowiedział, że do pojedynku sądowego. Potem, jak Bóg da zwycięstwo, od razu rusza w drogę do kraju. Gdy wspomniał o rychłym wyjeździe do Saragossy, nadstawiłem uszu. Korzystając z niezwykłych okoliczności naszej rozmowy, zacząłem się przymawiać o wspólną podróż. W grupie bezpieczniej. Zawisza lekko uchylił głowę Dolores, by na mnie spojrzeć:

— Co cię tam tak gna do tej Saragossy? Wszyscy mówią, że od pierwszego dnia tylko się gapisz z murów na południe... Kogo tam masz?

Wziąłem głęboki wdech, a potem długo, o wiele za długo, opowiadałem o Ayhe. Zawisza cierpliwie słuchał. Gdy wreszcie mogłem powiedzieć komuś, jak bardzo kochałem tę Saracenkę, poczułem ulgę. Oto cud spowiedzi, choć nie nosiłem w sobie grzechu, tylko tajemnicę. Na jedno wychodzi.

O poranku zszedłem do kuchni. Francesca ugotowała dla Angela rosół z najlepszej kury, jaką znalazła. Ponieważ żaden z żołnierzy nie wybierał się tego dnia do San Esteban, zaproponowałem, że zawiozę zupę. Chłopiec miał się już lepiej, *fray* Pedro dokonywał cudów, ale i tak, z tego co mówiono, Angel pozostanie kaleką.

Dostałem osiołka i gliniany garnek, wcześniej ogrzany na piecu, o grubych ściankach i szczelnej pokrywie, tak aby rosół po dotarciu na miejsce nadawał się od razu do jedzenia.

Gdy po przebyciu mniej więcej mili biegnącej stromo w dół drogi znalazłem się na płaskim odcinku, usłyszałem tętent konia. Odetchnąłem z ulgą na widok żołnierza z Loarre. Okazał się nim Joan. Nie odpowiedział na powitanie. Chwilę jechał koło mnie.

— Wreszcie mamy okazję pogadać... — rozległ się nade mną jego mocny głos.

— O czym? — spytałem.

Joan zeskoczył z konia i zatrzymał osiołka.

— Jesteś mi winny dużo pieniędzy, Żydku. — Mimo że siedziałem w siodle, a on stał na ziemi, górował nade mną. — Czekala na mnie robota, za którą miałem dostawać dziesięć soldów dziennie. Przez ciebie nie wyjechałem z tej dziury i siedzę tu już dwa tygodnie. To sobie policz... Jesteś mi winien sto czterdzieści soldów. Do tego procenty, jeszcze nie wiem, jakie ci naliczę... — patrzył na mnie bezczelnym wzrokiem. — To zależy, jak się będziesz zachowywał.

— Nie dam ani solda...

— Dasz. Była umowa, a ja mam świadka.

— Oszalałeś, Joan — chciałem to powiedzieć twardym tonem, ale głos mi zdradzał. Był w nim jakiś prymitywny upór i spryt, którego się bałem. Popelnilem wielki błąd, że wtedy w San Esteban, pozwoliłem sobą pomiatać.

— I jeszcze jedno — przybliżył twarz — przez ciebie w głowie mi się płacze z braku baby. Na pieniądze poczekam, aż wrócisz do Saragossy. Ale to dasz mi teraz!

Złapał mnie za rękę i mocno pociągnął. Zwałem się na ziemię pomiędzy kopyta osła a jego buty. Chwycił mnie pod ramiona, przeciągnął w poprzek kamienistej drogi i cisnął na pobocze. Rozejrzał się szybko po okolicy, potem rzucił się na mnie. Lewym przedramieniem wgniół mi twarz w trawę; z trudem przekręciłem głowę na bok, by móc złapać oddech. Kolanami uderzył mnie w uda tak mocno, że prawie straciłem w nich czucie. Potem z łatwością rozwarł mi nogi i całym swym ciężarem przygniótł do ziemi. Gdy leżałem całkowicie bezradny, Joan prawą ręką zdarł ze mnie spodnie, potem coś szarpał przy swoich, dysząc mi do ucha. Nie mogłem ruszyć żadną częścią ciała nawet o cal.

Wtedy pod wciśniętym w ziemię policzkiem poczułem drżenie.

— Ktoś jedzie — zdołałem wydusić, wypluwając z ust trawę i piasek.

Joan zamarł i zaczął nasłuchiwać; nie zwalniał żelaznego uścisku, uznając zapewne, że to tylko moja rozpaczliwa próba ratowania godności.

— Na chwilę przerwa — wydyszał, gdy tętent był już wyraźnie słyszalny, i uwolnił mnie od swego ciężaru. — Doprowadź się do porządku. Masz tyłek jak dziewczka, sporo dobrego mógłbyś zrobić na zamku... — zaśmiał się. — Jak wygadasz, to cię wypatroszę — zagroził, z trudem upychając w spodniach nabrzmiały członek.

Na drodze pojawił się Zawisza.

— Ty gdzie? — rzucił ostro do żołnierza.

— Do San Esteban, mam sprawę i nic wam do tego — odparł hardo Joan, ale szybko spuścił wzrok.

— Wracać do zamku albo cię na powróż wezmę i każę powiesić za dezercję —

Sulima ruszył powoli w stronę Joana.

— Nie wy rozkazujecie — warknął żołnierz, ale na widok zbliżającego się potężnego rumaka splunął tylko w trawę, gdzie przed chwilą mnie dusił, i wsiał na konia. Zebrał wodze i oddalił się kłusem w stronę zamku.

— Czego on od ciebie chce?

Niepomny na pogróżki Joana opowiedziałem epizod sprzed paru dni i żądania w sprawie pieniędzy.

— Będę go miał na oku — powiedział Zawisza, patrząc w stronę zakrętu drogi, gdzie przed chwilą zniknęła zwałista postać żołnierza. — Wziąłem go na giermka kilka razy na turnieje. Bije się jak trzeba. Dębowy chłop, dobry żołnierz. Ale bardziej wilkiem niż człowiekiem patrzy.

— Jadę do San Esteban, do Angela.

— Wiem, mówiła mi Francesca.

Zawisza wodził po mnie wzrokiem.

— To ona kazała za tobą ruszać, bo widziała Joana. Powinieneś jej podziękować — dodał, wciąż uważnie mi się przyglądając. — Masz ziemię i trawę we włosach... Następnym razem mów, że się gdzieś wybierasz.

Gdy wytrzepałem głowę i oczyściłem ubranie, Zawisza pochylił się z konia i wręczył mi kamień w kolorze żywicy, wielkości kurzego jaja.

— To bursztyń. Powiedziałem kiedyś Angelowi, że to czarodziejski kamień z mojego morza, że daje siłę. Podaruj mu go ode mnie. Mały w to wierzył, teraz mu się przyda. Albo... jedźmy razem.

Zakonnik, wprowadziwszy nas do środka, odstawił garniec z rosółem na piec i bez słowa wrócił do swoich zajęć przed domem. W chacie panował przyjemny zapach ziół i lekarskich mikstur. Rzucił się w oczy porządek i czystość.

Izba podzielona była drewnianą przegrodą na dwie części — większą, z wygodnym, szerokim łóżkiem dla chorych, przysuniętym jednym bokiem do ściany, oraz mniejszą, z wąskim słomianym siennikiem na drewnianej podłodze, zapewne dla *fraya* Pedro. Angel leżał w bawełnianej koszuli pod warstwą cienkich skór; wyciągnięte wzdłuż tułowia ręce miał usztywnione patykami i obwiązane bandażami aż pod barki. Dzięki cieplej, bezwietrznej pogodzie wszystkie okna mogły być otwarte. Chłopiec spojrział na nas.

— Przywzimy pozdrowienia od wszystkich na zamku — podniosłem rękę na powitanie — Bernat będzie mógł cię odwiedzić dopiero jutro.

Angel energicznie skinął głową.

— I podarek — dodał Zawisza.

— Kamień? — spytał żywo chłopiec i uniósł głowę.

— Skąd wiedziałeś? — Zawisza włożył Angelowi bursztyn w prawą dłoń, a ten mocno ją zacisnął. Oczy błyszczały mu ze szczęścia.

— Słyszałem, że dobrze się znacie — powiedziałem do pacjenta i wskazałem na Zawiszę.

— Bardzo dobrze — przytaknął mi chłopiec. — Señor Sulima często przyjeżdżał z Peritem do San Esteban. Brali wtedy też mnie. Ćwiczyliśmy walkę na miecze.

— Umiesz?

— Lepiej niż Perito. To była zawsze tajemnica — dodał chłopiec. — Ale już chyba nie jest. Teraz wszystko się zmieniło.

— Chyba już nie jest — przyznał Zawisza. — Ale teraz, jak masz kamień, to szybko wstaniesz na nogi.

— Muszę! — odparł chłopiec. — Możesz mi go, señor, przełożyć do drugiej ręki, od ściany? Jak zasną, żeby mi nie wypadł.

Fray Pedro płukał bób tuż przy domu. Był jego wielkim amatorem, chętnie częstował nim dzieci. Odradzał wszystkim jedzenie mięsa, od którego sam też stronił. Żywił się głównie chlebem. Jak wszyscy w San Esteban, wypiekał go na podzamczu, ze swojego ciasta; jego kwadratowe bochny znaczone z wierzchu krzyżem uchodziły za najlepsze. Można je było dostać tylko jako dodatek do wynagrodzenia za pracę na jego polu²².

Fray Pedro jako jedyny w całym Loarre pił więcej piwa niż wina. Wody nie brał do ust; tym, którzy musieli ją pić, zalecał gotowanie, by się nie psuła i nie szkodziła. Mimo podeszłego wieku trzymał się prosto, był energiczny w ruchach i pogodny w charakterze. Nosił zawsze ten sam wełniany szary habit (on sam mówił o nim, że jest biały) z narzuconym czarnym szkaplerzem. Zawsze miał przy sobie zatkniętą za płuścienny pasek olbrzymich rozmiarów

chustę do nosa („przedmuchany nos to podstawa zdrowia i wyraźnej mowy”). Nikt nie widział go w innym stroju.

Zaraz po przybyciu do osady zakonnik usłyszał od miejscowego księdza z podzamcza, że ten nie będzie się z nim dzielił tak małą owczarnią. Podobno na dwustu mieszkańców Loarre i San Esteban tylko dwudziestu jest głęboko religijnych; kolejnych dwudziestu to prawie poganie, a reszta — różnie, chodzili do spowiedzi wielkanocnej i nic ponadto; na mszach rozmawiają albo się śmieją, bluźnią bez opamiętania. Szkoda gadać. Na religijność tutejszej ludności *fray* Pedro machnął więc ręką i pozostawił ją księdzu. Stał się dla rolników technicznym i ekonomicznym doradcą, a jak trzeba było, to i prawnikiem, i pisarzem. Kobiety nauczył wydajnie prowadzić warzywne i ziołowe przydomowe ogródki. Tu, w Loarre, znakomicie udawały się kapusta, cebula, rzepa, marchew, szczaw, buraki, a także mięta, szałwia, koper, lubczyk.

Na medycynie znał się słabo, ale i tak lepiej niż ktokolwiek w promieniu stu mil, więc zdrowie mieszkańców San Esteban i Loarre złożono w jego ręce. Leczył, jak umiał, głównie białym albo czerwonym winem. Wyrabiał z niego najróżniejsze lecznicze napoje. Z moszczu produkował słodki syrop winny, który nazywał *alfaxor*. Uwielbiały go dzieci. Dorosłym podawał najczęściej gorzkie od korzeni *vino pimente*. Wszyscy tak mocno wierzyli w skuteczność tych napitków, że zakonnikowi udawało się utrzymywać społeczność Loarre w jako takim zdrowiu. Pomagały też w tym zasady higieny, które wyniósł z klasztoru: mycie rąk, częste kąpiele, strzyżenie i mycie głowy. Sam golił się brzytwą i mydłem dwa razy w tygodniu. Cięższe przypadki okaleczeń czy chorób leczył modlitwą. Wtedy o wyzdrowieniu lub śmierci decydowała opatrzność.

— Jak oceniasz stan tego chłopca, ojcze? — zapytałem prawie szeptem, obawiając się, że Angel usłyszy przez otwarte okno.

— Nie musisz mówić tak cicho, Aaronie — odparł tubalnym głosem zakonnik. — Po pierwsze, słabo słyszę, po drugie, nie mam tajemnic przed moimi pacjentami. Angel to dzielny młodzieniec i wszystko wie. Będzie miał koślawe ręce, ale dość sprawne, by utrzymać w nich pióro. Dużo z nim o tym rozmawiam. Jest mądry i wie, że więcej pożytku w San Esteban będzie z Angela pisarza niż Angela łucznika.

— Chętnie pomogę, ojcze, w uczeniu...

— Ty lepiej wracaj do Saragossy! I niech twoi Żydzi nie skąpią grosza... Ja już go tu nauczę pisać i czytać.

Klasztor Santa María de Varuela, z którego pochodził brat Pedro (później dowiedziałem się, że w dokumentach klasztornych widniał jako Pedro Caverro), należał do cystersów. Mój wuj wyrażał się o tych zakonnikach zawsze z wielkim uznaniem. W klasztorze w Verueli na kapitułach generalnych spotykali się cystersi z najdalszych zakątków Europy; wymieniali się doświadczeniami, przeróżnymi informacjami, nowymi odkryciami. Mnisi dzięki świetnej organizacji, wysokiej kulturze i technice produkowali więcej, niż konsumowali, musieli więc rozwinąć umiejętność handlu, składowania, transportu. To wzbudzało podziw mojego wuja — bogacili się (i to jak!) poniekąd „przy okazji” tego, do czego zostali powołani, czyli modlitwy. Bogactwo to prawdziwy powód do dumy, gdy pojawia się jako dar od Boga nie

tyle za ciężką pracę, bo taka nagroda i osła może być udziałem, ile za uczciwe i godne życie.

— Weźmiesz ten mały słoik szafranu w prezencie dla twego wuja — powiedział zakonnik i wręczył mi ostrożnie szklane naczynie. — Sam przesypywałem. To nasz szafran, z Loarre, najlepszy w całej Aragonii!

To *fray* Pedro zaraz po przybyciu do Loarre zaczął namawiać do uprawiania tej rośliny. Kapitan de Lucio szybko dał się przekonać; zakonnik jako najbardziej świątły człowiek we wsi otrzymał od kapitana rolę głównego nadzorczy. Szafran to prawdziwe złoto. Mój wuj zachwycał się nim jako smakosz, ale przede wszystkim jako kupiec. Każdy szanujący się człowiek interesów w Królestwie Aragonii o szafranie wiedział wszystko. Aby otrzymać dwa funty szafranu gotowego do handlu, trzeba zebrać od 70 do 140 tysięcy kwiatów; przy ziemi, tuż po wschodzie słońca. Wymagało to ogromnego nakładu pracy. Ale tu pojawiała się wielka zaleta tej uprawy: zbiór odbywał się na przełomie października i listopada, nie zakłócał więc tradycyjnych żniw; dawał zajęcie ludziom w czasie, kiedy często go nie mieli i gotowi byli przystać na mniejsze wynagrodzenie. Z dwóch akrów uzyskiwano około miliona kwiatów, z których zbierano sto funtów świeżych znamion; z tego, po wysuszeniu, zostawało dwadzieścia funtów. Za taką ilość szafranu można było na barcelońskim targu dostać około tysiąca soldów barcelońskich. Z takiego samego kawałka pola uzyskiwano przeciętnie około dwadzieścia trzy fanegi pszenicy o wartości od stu dziesięciu do stu czterdziestu soldów. To prawie dziesięć razy mniej! Do tego transport i przechowywanie szafranu było wielokrotnie tańsze. Podobno w pasie ziemi między Loarre i Boleą występowały idealne warunki do uprawy tej rośliny. Na niej w dużej mierze opierała się teraz nadzieja na finansowe odrodzenie Loarre. Rąk do pracy nie brakowało. Zbyt był zapewniony. Za takiej jakości szafran włoscy, niemieccy i francuscy kupcy gotowi byli dużo płacić i na pewno też sporo zaliczkować.

Fray Pedro złapał mnie za rękaw i odciągnął nieco od okna. I nawet zaczął mówić ciszej.

— Maria, jego matka, wraca do San Esteban. I chwala Najwyższemu! Chłopiec jej tu potrzebuje. Ona przychodzi do niego codziennie, ale mały ozdrowieje dopiero, gdy z nią zamieszka. Dom nie zniszczony. Winnice prawie nie tknięte. Kiedyś to się od chłopów nie mogła opędzić... Teraz by jej się choć jeden porządny przydał. A te kiepy jak ją widzą, to tylko wzrok w ziemię wbijają.

— Czemu mi to mówicie, ojczu?

— Myślisz, że Bernat...? Sam go nie chcę pytać, a wiem, że wy gadacie razem dużo...

— Ma narzeczoną...

— Eee, narzeczone to i ja mam. Kocha tę Mercedes?

Wzruszyłem ramionami.

— No widzisz! Pogadaj z nim... Angel go lubi. Tu czeka kawał ziemi, winnica, duży dom, baba jak namalowana... No! Pogadaj z nim. Mówią, że to dobry chłop.

Wysiąkał kilka razy nos, łypiąc przy tym na mnie.

— I posłuchaj no... Joan tu zagląda, często. A ona jakaś taka zawsze przy nim

jak wosk była. Trzeba coś zrobić, żeby się tu teraz nie załągł, bo będzie z krzywdą dla chłopca. Widzę, żeś się pod rękę wziął z tym narwańcem — tu spojrzal w kierunku Zawiszy — może by on mu... nagadał, co? Ja o to nie poproszę, bo duchownemu się nie godzi, a tyś Żyd, i tak do piekła pójdziesz... Co?

Gdy skinąłem głową, jeszcze raz mnie złapał za rękaw:

— I może masz rację? Ja go tu z podstaw przyuczę, i pošlę ci go na solidną naukę do Saragossy. Przyda ci się pomocnik, a przy okazji dobry uczynek zrobisz.

Ponieważ nie zaprotestowałem, machnął ręką w kierunku Zawiszy.

— A ty chodź ze mną do stodoły! — zawołał — mam coś dla ciebie... Jak ci smakował poprzedni gąsiorek?

Wrócili po chwili. Zawisza w jednej ręce trzymał duży dzban, a w drugiej butelkę z grubego szkła gęsto oplecioną sznurem.

— Wiesz, chłopcze — zwrócił się do mnie — za co lubię tego poganina? Tylko on tu pije chętnie moje piwo.

— Mówiłem już, ojczu, że u mnie lepsze warzą — powiedział Zawisza.

— Lepsze, bo tu sam muszę wszystko robić i nie mam już sił tego wszystkiego doglądać jak należy.

Piwo, *cerevisia*, jak je nazywał *fray Pedro*, było ciężkim, ciemnym napojem uzyskiwanym ze sfermentowanego owsa, z dodatkiem chmielu. Mnich pijał go zamiennie z winem, od którego było ponoć zdrowsze. W Loarre nikomu jednak nie smakowało; dopiero w Zawiszy *fray Pedro* znalazł kompana do wypitki.

— Ten poganin przyjeżdżał tu z tym małym Peritem z zamku, wypijał zawsze garniec piwa i nigdy ani *maravedí* nie zapłacił.

— Bo zawsze się napraszaliście z tym piwem! A ja wam za to Angela potem brałem na naukę...

— Nie gadaj, piwożłopie, boś się tu opić za darmo przyjeżdżał... A potem, prawda, brałeś Angela... Ale mi mówił chłopak, że oni się sami tłukli kijami po lesie, a ty żeś spał pijany pod drzewem.

— Raz tak było — zaśmiał się Zawisza — boście mi kazali piwo z gorzałką pomieszać...

— Kazali...! — obruszył się *fray Pedro*. — Niech ci będzie, że ci kazałem, opoju.

Gdy siedzieliśmy już w siodłach, mnich wskazał na butlę wystającą z sakwy Zawiszy.

— To macie na drogę, dla obu, nalewka, moja, z wiśni. Tylko uważajcie, pacholki, bo mocna wyszła jak sto diabłów.

W drodze powrotnej spytałem o te lekcje szermierki. Zawisza opowiadał, jak zjeżdżał z Peritem do San Esteban i stąd ruszali konno w pola, by z dała od ciekawskich oczu odbywać szkolne pojedynki. Kiedyś zobaczył na zamku Angela, jak ćwiczył z Bernatem strzelanie z łuku. Już wtedy przewyższał kunstem większość żołnierzy. zaproponował chłopcu, że weźmie go na próbę. I już tak zostało, odtąd ćwiczył ich obu. Zabronił jednak, pod karą chłosty, komukolwiek o tym wspomnieć. Peritem zajmował się na prośbę hrabiny

Violante i nie chciał, by ta wiedziała o brataniu się jej syna z wiejskim chłopcem. I widać groźba podziałała, bo obaj słówkiem nie pisnęli.

— Angel to piękny talent. Do konia, do łuku, do miecza. Szkoda.

— Wiecie, panie, że María nie jest jego matką? — I opowiedziałem mu historię Angela.

— Daje mu jeść, dach nad głową, kocha go, widziałem — odparł. — No to jak matka!

Gdy dojechaliśmy do znajomej skały w połowie drogi, Zawisza zarządził przerwę. Wyciągnął z sakwy oplecioną sznurem butelkę od *fraya* Pedro.

— Spróbujmy tego cudu.

Napitek miał wyraźny owocowy smak, był ciepły, słodki, oleisty. Od razu rozpałił żołądek. Myślałem, że wódka zawsze smakuje tak jak u Stickera. Opowiedziałem przy okazji Zawiszy o Niemcu. Zainteresował się jego gdańskim pochodzeniem, ale nie wypytywał za wiele.

— To nie jest gorzałka — stwierdził za to. — Ta jest za słodka. Ale już wolę to niż wino. Po winie mi kwaśno. — Zawisza upił jeszcze trochę i podał mi nalewkę. — Wypij do końca.

Gdy po kilku łykach chciałem odstawić butelkę na trawę, podbił mi ją czubkiem buta.

— Pij! Do dna!

Rozkaz do rozkaz. Wypełniwszy go, usiadłem pod skałą, twarzą do słońca. Moc zawarta w napitku sprawiła, że już po chwili słodkie ciepło rozeszło się po całym ciele, wypełniło głowę, weszło pod oczy, rozsadało dłonie i stopy. Upojenie winem smakuje inaczej! Po winie, przynajmniej po pierwszych kilku kubkach, pragnąłem odmiany losu. Chciałem działać! Po tej słodkiej gorzałce poczułem, że jestem gotów pogodzić się ze światem. Niech trwa w tym doskonałym kształcie, nadanym mu przez Stwórcę. To mocowanie się z Nim, walka o inne, lepsze życie, może Go rozgniewać. Tak zrodził się grzech i wszelkie ludzkie cierpienie — z niezgody na boskie zamiary. Jakież to oczywiste!

— I jak? — zapytał Zawisza, a widząc, że próbuję wstać, położył mi dłoń na ramieniu. — Nigdzie nam się nie spieszy. Dopiero wieczorem ruszam do Lupiñén. Przyjeżdża ktoś z Saragos-sy, proszą o eskortę.

Ale sam podniósł się z ziemi. Stał nade mną na lekko rozstawionych nogach, ręce założył za plecy. Chwilę przyglądał mi się z góry, a ja nie umiałem powstrzymać uśmiechu. Słońce raziło, mrużyłem oczy.

— Dlaczego wypytyujesz o mnie? — runęło na mnie pytanie. — Dlaczego czytasz moje listy?

— Z ciekawości... — odpowiedziałem po długiej chwili.

— Czyjej?

— Własnej! Żydzi uważają cię, panie, za mściciela krwi...

— Za kogo?

— Mściciela żydowskich krzywd... — i wyjaśniłem mu w kilku słowach nienawiść Żydów do drużyny Juana de Urríes i co się mówi o nim w Saragossie. Mówiłem z zamkniętymi oczami.

— Co za bzdury! Łiesz! — usłyszałem z góry. W głosie Zawiszy wyczułem nutę rozbawienia. — Szpiegujesz, a się do tego nie nadajesz. Kto ci kazał?

— Nie nadaję się — przyznałem i skinąłem zamaszycie głową, podbródkiem dotykając piersi.

Było już jasne, dlaczego kazał mi opróżnić butelkę.

— Do diabła z tobą, Aaronie! Jak mi Bóg miły, wypruję ci flaki.

W zasadzie to powiedział „wysuszę ci flaki”. Znów mówił po aragońsku, jak zawsze źle. Poprawiłem go. Aż przekręcił głowę ze zdziwienia. Nie czułem lęku. Namacałem w kieszeni kaftana nóż od Ayhe. Jeśli mnie tknie, wbiję mu go w brzuch, i to ja mu wypruję flaki.

— Co jeszcze o mnie wiesz? — spytał, ale nie wykonał żadnego ruchu, jakby się zląkł moich myśli.

Zamiast zabijać, postanowiłem go zadziwić. Niech wie, z kim ma do czynienia.

— Byłeś, panie, w Brugii, z kupcami z twego kraju, i tam, w karczemnej bójce, zginął z twej ręki niejaki Pieter Howoschild. Don Francisco de Aranda uratował cię od szubienicy... A potem papiescy juryści przysłani z Awinionu zakneblowali usta wszystkim, którzy coś mogli przeciwko wam zeznać — podniosłem głowę, by zobaczyć jego reakcję. Zawisza, w przeciwieństwie do mnie, chyba nadawał się na szpiega, bo nie dostrzegłem na jego twarzy nawet śladu emocji.

— Kto ci to wszystko powiedział?

— Pewna kobieta, najpiękniejsza Żydówka Saragossy — kpiłem, czerpiąc z tego wielką przyjemność.

— Kto jeszcze o tym wie?

— Ona, mój wuj, Salomon Abnarrabí, biskup Saragossy, i jeszcze kilku Żydów... Nikt więcej. No i ja!

Byłem tak pijany, że okrasilem te ostatnie słowa nutą dumy. „I ja!”, „ja”, ja!”, mój wuj, biskup, najbogatsi Żydzi, i ja, Aaron Abnarrabí — oto ludzie, którzy teraz coś znaczą w Saragossie.

Zapadło milczenie. Kręciło mi się w głowie, nie czułem skrępowania ani lęku. Nalewka cienkimi jak włos niciami wspięła się po brzuchu, plecach, wzdłuż ramion, zanosząc z mrówczym mozołem drobinki szczęścia od żołądka do głowy, a w niej z tych nici powstawał kolorowy splot, puszysty kobierzec — leżałem na nim i rozkoszowałem się pięknem świata.

— Kto cię tu wysłał?

— Mój wuj... Salomon Abnarrabí. Bez jego pieniędzy Loarre by nie przetrwała. Przejęcie tych stad była to ostatnia szansa...

— Czego chcesz ode mnie? — przerwał mi.

— Mówiłem już... jesteś dla nas, panie, mścicielem krwi...

Usiadł koło mnie.

— Poopowiadasz mi trochę.

Znów powolnym, ale stanowczym ruchem skinąłem głową. Jął mnie wypytywać o ludzi i sprawy, a ja ochoczo i prawdziwie mu odpowiadałem. Mówiłem o kapitanie de Lucio, o roli don Solsony, mówiłem wszystko, co wiedziałem o Saragossie i interesach prowadzonych przez mojego wuja, dużo o sobie, czym się zajmuję i jak dobrze znam saragoską *aljame* (byłem pijany, miałem jednak dość rozsądku, tak przynajmniej mi się wydawało, by nie zdradzać spraw poufnych). Dziwiłem się, że tak bardzo go to interesuje.

Zawisza wypytywał potem szczegółowo o Arandę, o podejrzenia ciąży na nim w sprawie otrucia infanta i relacje dworzani na z żydowskimi ludźmi interesu (także i tu dbałem, by zachować ostrożność).

Na koniec zapytał, co sądzę o doñi Violante, po czyjej jest stronie, co mówi się o niej w Saragossie. Nalewka namąciła mi już w głowie na tyle, że mogłem mówić tylko o tym, jak piękna jest hrabina, i jakie budzi żądze. I jakie nadzieje — przecież wiadomo było powszechnie, że od dawna nie dzieli łoża ze swym mężem. Mówiłem niewyraźnie i coraz wolniej, jakby mi język oblezono w szańskie jelito. Wspomniałem o odkryciu dokonanym przez Joshuę w kwestii kobiet, które przez długi czas nie obcują z mężczyznami, o oparach nasienia osiadających w głowach takich kobiet i tak dalej. Pobudzony słodką gorzałką dużo dodałem od siebie. Nie mogłem nie wspomnieć o przechwałkach Joshuy co do księżnej. I o przewagach żydowskich kochanków nad chrześcijańskimi.

Zawisza przyglądał mi się z coraz większym rozbawieniem w oczach. Machnął niecierpliwe ręką, bym się już zamknął, i chciał wstać, gdy przytrzymałem go za ramię.

— Panie, czy w twoim kraju... czy tam kobiety równie chętnie kładą się z Żydami?

— U nas niewiasty są bardzo tolerancyjne, traktują żydowskich mężów na równi z chrześcijańskimi — odparł poważnym tonem. — To znaczy chłodno. Wkrótce się tam udasz, sam zobaczysz.

„Wkrótce się tam udasz...” Boże Wszchemogący! Wziąłem te słowa za żart. Do głowy mi nie przyszło, że to najważniejsze proroctwo mego życia.

Nie wiem, jak długo spałem. Po przebudzeniu twarz piekła mnie od słońca. W drodze do zamku nie padło już ani jedno pytanie ze strony Zawiszy, ja zaś, by nawiązać jakoś do rozmowy pod skałą, opowiedziałem mu o propozycji zakonnika w związku z Marią. Mówiłem, że czuję się zagubiony, że żal by mi było Mercedes, ale chcę też jak najlepiej dla Angela, do tego Bernat to mój przyjaciel, chciałbym, aby żył w szczęściu, a nie wiem, czy ta kobieta... Zawisza mnie nie słuchał i nie odzywał się do końca drogi.

Po dotarciu do zamku wciąż czułem w brzuchu i pod powiekami miłe ciepło. Obudziły się we mnie pragnienia, których nie doznawałem od chwili rozstania z Ayhe. Pożegnawszy Zawiszę, skierowałem kroki w stronę kuchni. Nie miałem żadnego planu, ale wiedziałem, za kim będę się rozglądał, czułem gorący wiatr w plecach.

Zastałem Caterinę przygotowującą kąpiel dla hrabiny. Musiała zdążyć przed wieczrą. Uśmiechnęła się, gdy zaproponowałem jej pomoc. Nosiliśmy razem wodę do łaźni. Przy trzecim cebrze zapytałem, czy pozwoli mi podglądać.

— Lepiej nie — zaśmiała się.

— Czemu nie? — zapytałem. Co ją tak rozbawiło? Czyżby należała do tych nierozgarniętych dziewcząt, które każde zdanie kończą nerwowym chichotem?

— Bernat raz widział hrabinę i mu się pomieszało we łbie.

— Co to znaczy?

Dziewczyna zmarszczyła czoło, udając z troską.

— Bernat jest chory. Rzuciła na niego czar... Nie wiedziałeś?

Skrzywiłem się z niesmakiem.

— Jaki czar?

— Nie wiem jaki — przybrała poirytowany ton. — Babski! Rzuciła go na wielu, ale tylko Bernat się tak pochorował. Jest gotów zabić...

— Bernat? Zmyślasz. Nic nie zauważyłem.

Wzruszyła wolnym ramieniem, nie obciążonym cebrem.

— Łóżka z nim nie dzielisz, to skąd masz wiedzieć! Mercedes płacze po nocach, spać się nie da. Ty też, jakbyś ją zobaczył, nie chciałbyś już żadnej innej — wysapała, unosząc wiadro nad balią. Buchnęła para. — Po co masz się męczyć? Nie tobie do naszej pani.

— Skąd wiesz, że mi nie do niej? Potrafię uwieść każdą kobietę.

— Aaa? — odstawiła wiadro. — Jak się to robi?

Czytałem kiedyś o tym. Pamięć nigdy mnie nie zawodziła, nawet gdy krew mieszałem z winem.

— Najpierw trzeba ukochanej powiedzieć, jak bardzo się ją kocha. To w ogóle początek wszystkiego. Od razu, trzeba śmiało, prosto w oczy.

— Och!

— Potem... bywać w tych miejscach co ona. Niby przypadkiem, oczywiście, a nie łazić za nią krok w krok.

— To nietrudne...

— Trzeba się w towarzystwie damy pięknie wystawiać, używać błyskotliwych porównań, do tego czarować ukochaną gestami, bo te mają wyrażać uwielbienie — mówiłem z pamięci. — Winno się okazywać jej zawsze wesołe oblicze, bo niewiasty stronią od ponuraków i melancholików...

— Mało...

— Często wzdychać w obecności ukochanej, z miłości. Poskromić gadulstwo. Nie kłamać. Być dowcipnym, zabawnym, kiedy są po temu okoliczności, rzecz jasna, bo nie ma nic gorszego dla niewiasty niż nadgorliwy trefniś. Okazywać bystrość! Uważnie słuchać i błyskotliwie odpowiadać.

— Mało, Aaronie, żeby zdobyć naszą panią...

— Dbać o szaty...

— Widziałeś Juana? — przerwała mi Caterina. — Tak się trzeba nosić!

— Sprawiać wrażenie delikatnego i troskliwego opiekuna.

— Pięknie! No, a jeśli...

— A jeśli dama odrzuci takie zaloty — teraz ja jej przerwałem — to nie zwieszać głowy, ale stanowczo, choć z taktem i roztropnie, ponownie przystąpić do uwodzenia.

— I to wszystko? — odgarnęła włosy z twarzy i wpatrywała się we mnie.

— Nie zrobiłem na tobie wrażenia?

— Nie. Nie chcę Żyda — pchnęła mnie palcem w pierś.

Ścisnąłem go w dłoni.

— Przecież sama jesteś Żydówką!

— Chwilowo.

— Przyjdź dzisiaj. Będę sam.

Nachyliłem się, by ją pocałować, ale gwałtownie cofnęła głowę.

— Mówiłam ci, że nie — i powoli wysunęła palec z mojej dłoni. — Śmierdzisz gorzałką.

Wiśniowe nici, z których splecione było owo szczęśliwe popołudnie, poczęły się rwać. Miałem wrażenie, że do głowy i pod powieki sypnięto mi piasku. Poczułem wstyd, że brałem się za Caterinę jak byle chłystek.

Gdy wszedłem do izby, zakręciło mi się w głowie, przestraszyłem się, że pijany zapomnę, co mówiły mi kobiety, więc walcząc z ociężałą głową, spałem ich opowieści ze szczegółami. I wtedy stanął mi przed oczami obraz nagiej dońi Violante. Za podszeptem diabła i ku swojej zgubie rozciągnąłem na kolanach tę samą kartkę pergaminu i jąłem przelewać nań wszeteczne myśli, a każde słowo wpychałem tak mocno w pergamin, że pióro raz po raz przebijało kartkę i raniło mnie do krwi. A ja za każdym ukłuciem pisałem śmieiej. W końcu opadła na mnie przemożna potrzeba snu. Zawisza był już w drodze do Lupiñén, skrzynię zostawił znów otwartą. Runąłem na siennik jak pchnięty nożem.

Obudziłem się z wyschniętym, obolałym gardłem, bez kropli śliny w ustach; nie mogłem oddychać przez nos, jakby ktoś zacisnął mi go palcami. Otworzyłem oczy, była już noc, nie świeciła ani jedna gwiazda. Nie obudziłem się przypadkiem: po chwili ciszy znów rozległo się skrzyknięcie, jakiego jeszcze w tej izbie nie słyszałem. Otaczająca mnie czerni nocy pękła gdzieś pode mną krótką świetlistą linią.

— Śpisz? Pomóż mi — rozległ się szept. — Przytrzymaj klapę.

Zerwałem się na nogi i podszedłem do złotego światła. Jedną ręką przytrzymałem ciężkie deski, drugą odebrałem kaganek z delikatnej dziewczęcej dłoni. Potem ta sama dłoń podała mi dzbanek z wodą. Uniosłem klapę do pionu. Caterina wspięła się po ostatnich szczeblach drabiny i cicho zamknęła wejście w podłódze.

Odstawiłem kaganek i przytknąłem dzban do ust. Dziewczynie śmiały się oczy.

— Pomyślałam, że potrzebujesz wody... pijaku.

Stała naprzeciw mnie boso w cienkiej jasnej koszuli. Nikły płomień kaganka rozświetlał zaledwie mały krąg, rzucając nasze wydłużone cienie głęboko w mrok kątów. Caterina rozejrzała się szybko po izbie i pocałowała mnie w usta.

— Nie ma go? Na pewno?

I nie czekając na odpowiedź, zrzuciła z siebie ubranie.

— Matko Przenajświętsza, jak ty mi się podobasz! — mówiła, ściskając mnie w ramionach z całych sił, gdy leżeliśmy już nadzy na sienniku.

Caterina okazała się bardziej spragnioną miłości i doświadczoną kochanką, niż mogłem sobie wyobrazić. Naciągnęła mnie na siebie i mocno oplotła nogami, jakby bała się, że ucieknę. Miała wprawę w zachowywaniu ciszy, co przy jej gwałtownych ruchach było nie lada sztuką. W pewnej chwili wetknęła sobie do ust gałganek z płóciennej chustki i zacisnęła go zębami.

Gdy skurcze i napięcie ciała minęły, Caterina wysunęła się spode mnie i położyła obok, ale za nisko, by mogła mi coś powiedzieć na ucho albo o coś

zapytać, jak zazwyczaj robiła to Ayhe. Poczułem na brzuchu miły ciężar dziewczęcej głowy. Zobaczyłem, jak szybkim ruchem odgarnęła włosy i osunęła się jeszcze niżej. Poczułem dziwne, ale przyjemne ciepło. Wsparłem się na łokciach, by zobaczyć, czy to dzieje się naprawdę. Pomyślałem wówczas, że to taka miłosna zabawa, jak głośne cmoknięcie w ucho albo łaskotanie w stopy, i że Caterina zaraz ją przerwie. Ale nie przerywała. Przeszedł w końcu moment, gdy poczułem, że jeszcze kilka jej ruchów, a nastąpi nieszczęście i dziewczyna nigdy mi tego nie wybaczy. Chciałem ją jakoś ostrzec, ale głos uwiązł mi w gardle, a potem było już za późno.

Caterina nie sprawiała wrażenia poruszonej tym, co się stało. Położyła się na boku i gładziła mnie dłonią po piersi. Złożyła mi na skroni kilka czułych pocałunków. Chwilę później wstała. Poprosiła, bym przytrzymał klapę. Zdmuchnęła lampę i zesła w całkowitej ciemności. Usłyszałem, jak odstawia drabinę.

Długo leżałem z otwartymi oczami. Gdy w końcu zasnąłem, przyśnił mi się Ladrón, który cudownie ożył; przerażający, przerażający niemal na pół tułów utrudniał mu chodzenie; zobaczywszy mnie, doskoczył bez uprzedzenia i wyrwał mi z uda kawał mięsa, a potem przywarł do rany i chleptał krew.

Była jeszcze noc, gdy na dziedzińcu rozległy się podniesione głosy. W świetle porozpalanych ogni zobaczyłem kilku mężczyzn, którzy szybkim krokiem przecinali dziedziniec, zmierając do głównej wieży. Rozpoznałem wśród nich sylwetkę Zawiszy: odłączył od grupy, by po chwili stanąć w drzwiach z pochodnią w ręku.

— Ruszaj się, Żydku. Idziesz ze mną. Są dla ciebie wieści z Saragossy.

Mimo wczesnej pory wszyscy wydawali się rozbudzeni i skupieni. Sprawy musiały być pilne, skoro podróżnicy nie udali się nawet na krótki odpoczynek. W sali jadalnej siedzieli za stołem: kapitan de Lucio, don Solsona, gość, w którym rozpoznałem *oidora* Eximeno Dostę, oraz Miguel de Bernabé.

Najpierw *oidor* potwierdził decyzję króla w sprawie pojedynku sądowego: odbędzie się on w drugą niedzielę lipca, w Perpignan, przy okazji uroczystości związanych z zawarciem rozejmu z hrabią d'Armagnac. Na uroczystości miał zawitać również król Sycylii Marcin. Pojedynek będzie się toczył zatem w obecności dwóch monarchów. Francisco de Aranda wskazał na Zawiszę jako tego, który wystąpi w obronie jego honoru. Potwierdził tym samym to, co wszyscy wiedzieli już od dawna. Decyzja hrabiego de Prades, kto stanie w kole w jego imieniu, miała być ogłoszona na dwa dni przed pojedynkiem, choć wszyscy w Saragossie już wiedzieli, że będzie to Bells hom Affrahim.

Don Francisco de Aranda życzył sobie pilnego przyjazdu Sulimy do Saragossy. Kapitan de Lucio polecił Miguelowi de Bernabé tak rozplanować zadania, by pięciu ludzi było gotowych do wymarszu jutro rano.

— Weźmiecie dokumenty i pozew przeciwko Urríesom za napaść na królewskie ziemie. Don Francisco de Solsona wyposażył was w odpowiednie pisma. Głowy tego algogawara nie bierzcie... — próbował żartować. A potem poszukał wzrokiem mnie. — Ty też pojedziesz do Saragossy.

Nareszcie! Fala gorąca wybiła mi na twarz.

— Przekażesz twojemu wujowi ze szczegółami wszystko, co zostało tu powiedziane w sprawie przemytu. Straciliśmy dużo czasu! Ale może dobrze się stało, bo pojawiły się nowe okoliczności...

Przerwał, bo do komnaty weszła Caterina z miską jakiejś parującej potrawy, kawałkiem chleba i dzbanem wina. Za nią pojawiła się Mercedes z wodą i ręcznikiem. *Oidor* umył ręce i sięgnął po łyżkę. Jadł w milczeniu przez dłuższą chwilę nieskrępowany naszą obecność i wyczekującymi spojrzzeniami.

Caterina zrobiła krok w tył i stała za nim, dolewając mu wina i czekając, aż skończy, by podać następne danie. Co jakiś czas zerknęła w moim kierunku. Irytowało mnie, że robiła to tak często. Bałem się, że ktoś to zauważy. *Oidor* w końcu odłożył łyżkę, rozparł się wygodnie na krześle i gestem odmówił kolejnego dania, każąc jednocześnie dziewczynie opuścić salę.

— Urríesowie wiedzą już o naszym planie — oznajmił. — Nie znają dość szczegółów, by mu zagrozić, ale ryją w kancelarii jak odyńce. W końcu coś

wykopią.

Znów spojrzął na mnie.

— Dowiedzieli się jakoś, że Żydzi krążą wokół króla, że chcą przejąć stada. Urríesowie nie wiedzą jeszcze tylko, jak Salomon Abnarrabí chce to przeprowadzić. Znają nazwiska wszystkich Żydów, łącznie z twoim, ale tylko Żydów...

Wedle słów *oidora* Juan de Urríes wie o planach mojego wuja już od miesiący. I działa. Poszukał wsparcia u samego archidiakona z Écija, Ferrána Martíneza, a ten natychmiast rozpuścił plotkę, że Żydzi planują wywołać głód w największych miastach Kastylii i Aragonii, by potem dla zysku sprzedawać tam swoje mięso. Podczas kazań nawołuje wiernych do zrywania kontraktów na sprzedaż bydła żydowskim pośrednikom. To szaleństwo, większość hodowców go nie słucha, ale prości ludzie wpadli w panikę. Na rynku mięsa zapanował chaos. Ceny skoczyły, za funt baraniny trzeba już w Barcelonie zapłacić czternaście denary. W Sewilli podobno doszło kilka dni temu do zamieszek i prób podpalenia żydowskiej dzielnicy. Już od dawna Żydzi mówili, że w całej Hiszpanii narasta wobec nich nienawiść, jakiej tu jeszcze nie widziano. Teraz Ferrán Martínez jeszcze bardziej ją podsycał. Trzeba działać, nim obudzi się bestia.

Z sali jadalnej wyszliśmy tuż po wschodzie słońca. W białym świetle poranka zobaczyłem, jak *oidor* i Bernat odchodzą na bok i dyskutują jeszcze o czymś zawzięcie. Sprawa była poważna, zdradzały to ich twarze. Tymczasem żołnierze, klnąc zapewne pod nosem na brak odpoczyнку, zebrali się na dziedzińcu gotowi do wymarszu w kierunku Bolei. Ku mojemu zaskoczeniu Bernat nie ruszył z nimi, gdy *oidor* dał znak do wyjazdu.

— Aaronie, przyjdź do mnie, jak tylko będziesz mógł — powiedział don Solsona, gdy zostaliśmy sami na dziedzińcu. — Mam dużo papierów do przygotowania. Będziesz pisał. Ja nie utrzymam nawet pióra. Skoro pojedziesz pod eskortą, chciałbym, byś wziął jak najwięcej dokumentów.

Obiecałem poświęcić mu cały dzień. Skinął głową na swój nieudolny, kaleki sposób.

— Zazdrozczę ci, że opuścisz to sępie gniazdo... — dodał, ściskając mnie za rękę na pożegnanie.

Nim słońce nabrało ciepłej żółtej barwy, we wszystkich zakątkach Loarre i San Esteban wiadzano już, że przyszły niepomyślne wieści. Nikt oczywiście nie znał szczegółów, ale domyślano się, że obecność wysłannika Arandy jest w jakiś sposób związana z przyszłością Loarre.

Bóle rąk stały się dokuczliwe do tego stopnia, że don Solsona rzeczywiście nie był zdolny do napisania ani jednego słowa. Na jego biurku spoczywał stos nierozpieczętowanych pism. Czekala nas praca do późnej nocy. Najpilniej należało opracować dokumenty z Fragi. Miasto od wielu lat zżerała korupcja i sprawy wyglądały tam bardzo źle.

Dopiero teraz, od don Solsony, dowiedziałem się, że wojna z Urríesami toczyła się nie tylko o Loarre, ale także o Fragę! Przy odrobinie wysiłku można by uczynić z tego miasta na drugim krańcu Aragonii, przy granicy z Katalonią,

prawdziwą żyłę złota. Najpierw należało obsadzić tamtejszą radę swoimi ludźmi, a potem przejąć od króla dzierżawę ceł. I tak zamierzali uczynić Urríesowie. Wszystko szło w dobrym kierunku, gdy nagle, w 1387 roku, zmarł król Piotr, a władzę po nim objął jego pierworodny syn Jan. Król Jan, całkowicie pochłonięty organizowaniem balów i polowaniami, sporą część władzy oddał w ręce swoich doradców, w tym Francisco de Arandy. A ten robił co mógł, by zatrzymać proces wyzbywania się królewskich domen, bo przecież w jego rękach — jeśli doprowadzi do skutku swe polityczne plany — miały one spocząć w przyszłości. Świadomy strat, jakie królewskiemu skarbcowi przyniosłaby utrata kontroli nad Fragą, udzielił wsparcia de Lucio, który już wtedy z ramienia króla zarządzał tym przygranicznym miastem, i razem utracili plan Urríesów przejęcia dzierżawy ceł. Urríesowie, którzy wydali fortunę na korumpowanie radnych i sędziów, zapłonęli żywą nienawiścią do de Lucio i Arandy.

Królowa, do której należała baronia Fragi, mianowała Gonzalo Gonzáleza de Lucio swym specjalnym namiestnikiem; miał nadzorować przede wszystkim pracę królewskiego intendenta (był nim Simón Martín Clavilla), odpowiedzialnego za finanse miasta, oraz naczelnego sędziego Fragi odpowiedzialnego za sądownictwo. Tę funkcję sprawował Guillem Borreda, Katalończyk, najbardziej przekupny sędzia w dziejach Fragi. Sprawy finansowe w mieście były zaniechywane od lat, a kapitan de Lucio zamiast zaprowadzić porządek, sam pogrążył się w bagnie korupcji. Tak przynajmniej twierdził mój wuj. Swe grzechy chciał odpokutować w obszarze spraw sądowych i starał się jak mógł uchylić niesprawiedliwe wyroki. Od czasu gdy został kapitanem Loarre i musiał większość czasu spędzać na zamku, setki mil od Fragi, stało się to trudniejsze. Zarządził, by te najcięższe wyroki — kary śmierci, chłosty, amputacji kończyn, wygnania — były zawieszane na sześćdziesiąt dni, a odpis akt przesyłany do Loarre do zatwierdzenia. Wyrok mógł zostać wykonany, jeśli w ciągu tego czasu de Lucio nie zwrócił sentencji do ponownego rozpatrzenia. Jednak przez ostatnie dwa miesiące, z powodu napiętej sytuacji w Loarre, ani on, ani don Solsona nawet nie zerknęli na przesłane dokumenty, tak więc wszystkie wyroki z tego okresu zyskały moc prawną. Teraz należało je tylko opisać i złożyć raport w królewskich archiwach.

W bieżących dokumentach przysłanych z Fragi znalazły się aż cztery wyroki śmierci. Gdy zabraliśmy się do opisywania ostatniego z nich, dotyczącego niejakego Johana, don Solsona aż podskoczył na krześle.

— Co z tym? — spytałem.

— Ha! — powtórzył okrzyk. — Nie wiedziałem, że już go skazali... Powieszono niewinnego człowieka! Szkoda, że nie mieliśmy czasu się tym zająć. Kolejne łajdactwo Guillem Borredy! To stara sprawa, jakoś sprzed roku...

— O co chodziło? — spytałem.

— Ten Johan to włóczęga, w sądzie zeznał, że jest Niemcem, i że pracował w kopalniach w okolicach Pampeluny. Pełno tam jest niemieckich górników. Potem uciekł od ciężkiej pracy i włóczył się po Hiszpanii, aż trafił do Fragi. Tu znalazł sobie dość osobliwy sposób na życie: chodził jak kot po dachach

i włamywał się do zamożnych domów, kradł jedzenie i kosztowności, a gdy nadarzyła się okazja, gwałcił szacowne obywatelki. Jak łatwo się domyślić, ofiarami były wdowy albo kobiety, które wyprowadziły się z sypialni męża. Nie uwierzysz, ale zyskał swego rodzaju, no nie powiem, że przychylność, ale... tak, coś na kształt sławy... Wiele małżeństw powróciło do dzielenia wspólnego łóżka. Nikt nie złapał go na gorącym uczynku, żadna z kobiet nie złożyła skargi, więc chodził po ulicach bezkarnie. Był ponoć miłym w obejściu i postawnym młodzieńcem. Pewnego poranka do sądu zgłosiła się niejaka Caterina Conques, żona rajcy Guillermo Conquesa. Zeznała, że ów Johan wszedł do jej sypialni przez remontowany własnie dach, i zamierzał pościć ją cielesnie, a gdy jej mąż obudzony wołaniem ruszył na ratunek, gwałticieli pchnął go nożem.

— Dlaczego mówicie, że był niewinny?

— Nie powiedziałem tego. Mówiłem, że winy mu nie dowiedziono. Znałem natomiast tego rajcę i jego żonę. Miała dużo powodów, by się pozbyć męża... Jednym z powodów był pewien zamożny mieszkaniec Fragi.

— To ciekawe... — odrzekłem raczej z uprzejmości. I nagle przed oczami stanął mi list do sądu we Fradze od Tidemana Stickera. Wręczył mi go tamtej pijackiej nocy przez pomyłkę, a ja go nie zwróciłem. Nie byłem pewien, ale tamten list też chyba dotyczył sprawy jakiegoś Johana... Sticker tak bardzo chciał potem odzyskać ten dokument.

— O! Bardzo — zawołał don Solsona. — Johan przedstawił w sądzie dowody i świadków, że nie było go wtedy we Fradze. Ale ktoś zapłacił duże pieniądze, żeby chłopaka skazano. Jeśli sprawa ci interesuje, znajdziesz w Saragossie sporo dokumentów. On składał do tego bardzo ciekawe zeznania.

— Jakie na przykład?

— Podobno nie uciekł sam z tej kopalni. Miał współnika. Johan, aby uzyskać złagodzenie wyroku, oskarżył swego kompana o morderstwo, którego tamten miał się dopuścić gdzieś w Walencji, też na jakimś Niemcu. Ale nikt się tym nie zainteresował i nie złagodzili mu wyroku, jak widać.

Przerwał, bo za oknem zobaczył Zawiszę, który niósł na ramionach małego Perita.

— Udało mu się — stwierdziłem.

— A, tak. Ten twój Sulima to przyjaźni się albo z psami, albo z dziećmi. Sam jest jak dziecko.

— Miałem na myśli to, że chłopcu się udało, że trafił pod opiekę doñi Violante.

— To też... tak, bardzo. Pod opiekę? Doña Violante chce go adoptować!

— Skąd on się wziął?

— Pytasz o dziecko? Urodziła go dawna dwórka hrabiny jeszcze we Fradze, nie pamiętam, jak na nią wołano. Dwórka, ale szlachetnie urodzona. Ojcem był jeden z młodych rycerzy wysokiego rodu na służbie księcia Denii. Miłość, miłość. Ale rycerz poległ na jednej z wypraw, jeszcze przed urodzeniem syna. Tyle wiem. Matka zmarła przy porodzie, więc młoda hrabina zajęła się niemowlęciem, jak przystało na chrześcijankę... Łatwo pokochać dziecko, nawet jeśli się go nie urodziło. Doña Violante nie może mieć dzieci, jak ci już zapewne doniesiono.

— Chłopiec wie?

— Nie wiem. A jakie to ma znaczenie? Jego matką jest teraz doña Violante. I nic lepszego mu się nie mogło przytrafić.

Późnym wieczorem, gdy wracałem od Solsony, przyszło mi na myśl, że powinienem odszukać pobrudzony wymiocinami dokument. Zakiełkowała we mnie nadzieja, że to nie przypadek, ale ręka opatrności skierowała mnie do komnaty don Solsony i podsunęła sprawę Johana. A jeśli tym drugim Niemcem był...

Zatrzymałem się na chwilę, by spojrzeć na Ayerbe. Kilka razy dostrzegłem błysk światła z odległego zamku. Święto Pesach już tak dawno minęło! Estera czekała na mnie, czy oddała już Ayhe Stickerowi? A on... może przywiózł ją właśnie do Ayerbe? Przeprowadził do komnaty starego Urríesa? Może po to rozpalono tam te lampy — żeby w blasku światła stary baron mógł ocenić urodę świeżo ochrzczonej niewolnicy?

Na pograżonym już w mroku dziedzińcu usłyszałem kroki, a potem dostrzegłem postać Zawiszy, jak zmierzał do komnaty kapitana, zapewne na późną wieczerzę i odprawę przed jutrzejszą podróżą. Z małych okien sali jadalnej dochodził gwar rozmów.

Nagle dał się słyszeć przeciągły kobiecy krzyk, kilka razy ostro przeciął ciszę. Rozpoznałem głos Cateriny. Puściłem się biegiem w stronę, skąd dochodził. Przed drzwiami do komnaty don Solsony tłoczyli się już żołnierze, ale wyraźnie ociągali się z wejściem. Za progiem, w środku, stała Caterina; zastaniała usta dłońmi. Zawołałem ją. Na dźwięk mojego głosu gwałtownie się odwróciła i precyzyjnie się między mną a żołnierzami, pobiegła w stronę kuchni.

Na podłodze wyłożonej dywanami, na środku izby, leżał don Solsona. Podciągnięta wysoko aż po garb koszula odsłaniała jego szczupłe nogi i drobne pośladki. Stary przechrzta miał ciało kilkunastoletniego chłopca. Leżał na prawym boku, twarzą do ziemi, lewą nogę miał wysoko podciągniętą, co dodatkowo podkreślało kaleką linię pleców. W kominku strzelał ogień. Głowa don Solsony spoczywała w olbrzymiej kałuży krwi, która nie zdążywszy jeszcze wsiąknąć w gęste sploty dywanu, odbijała na purpurowo i zadziwiająco wiernie płomienne języki.

Zapanowało niedowierzanie i przygnębienie. Każdy zadawał sobie pytanie, jak, dlaczego, ale przede wszystkim — kto to zrobił?

Należało jak najszybciej dotrzeć do Saragossy i zawiadomić o morderstwie służby finansowe króla. Jednak w obawie przed almogawarami nie posłano gońca nocą. Dopiero o świcie kapitan de Lucio wysłał trzech ludzi do Hueski, gdzie urzędował *sobrejuntero*, urzędnik sprawujący z ramienia króla sądowniczą władzę nad Loarre.

W każdej chwili mógł paść rozkaz do naszego wyjazdu. Kilka razy sprawdziłem, czy spakowałem wszystkie dokumenty przygotowane przez don Solsonę. Korzystając z zamieszania, postanowiłem jeszcze zabrać pergaminy

związane ze sprawą Johana. Wczoraj, po odkryciu zwłok, za dużo ludzi kręciło się po komnacie don Solsony i nie miałem po temu okazji. Teraz się udało.

Gdy szybkim krokiem przecinałem dziedziniec z pergaminami ukrytymi pod kaftanem, podbiegła do mnie Caterina i siłą zaciągnęła do kuchni. Byliśmy sami.

— Niedługo wyjeżdżasz... Muszę ci coś powiedzieć...

— Caterino, przyjdę później, teraz muszę iść.

Nie przypominała tej świeżej, kuszącej dziewczyny sprzed kilku dni. Twarz miała surową, wydawała się dużo starsza. Sprawiała wrażenie, jakby spodziewała się końca świata i chciała koniecznie mi coś przekazać, zanim on nastąpi.

— Chcemy ci coś powiedzieć. Coś ważnego...

— My?

— My, ja i Francesca... zanim wyjedziesz..

Pociągnęła mnie jeszcze dalej w głąb kuchni, gdzie panował chłód i przyjemny dla oczu półmrok. Ciepłe poranne powietrze jeszcze tu nie dotarło.

— Wczoraj byłeś inny...

Caterina chciała chyba usłyszeć coś miłego, ale nie mogłem znaleźć słów.

— To o don Solsonie... — oznajmiła w końcu. — On nie żyje, świeć Panie nad jego duszą, ale musisz wiedzieć, że on nas upokarzał... Każda kobieta, każda, Aaronie, która chciała zostać w Loarre, musiała z nim iść, rozumiesz, zwywał co jakiś czas... To było okropne...

— Nie jestem księdzem, nie odpuszczę mu tych win...

— Nawet Francesca była z nim, ale tylko na początku — mówiła dalej Caterina — potem znalazła sobie Miguela, to ją chroniło, ale za to don Solsona go znienawidził. On był... okropny, Aaronie. Każda bała się, że zrobi jej dziecko... Co wtedy? Mnie wołał najczęściej. Wczoraj... też po to do niego poszłam. Robiłam to dla Franceski, żeby nas nie wyrzucił...

— Caterino, dlaczego mi to mówisz? — nie umiałem ukryć zniecierpliwienia w głosie. — Co ja mam z tym zrobić? Przecież nikt cię nie podejrzewa... To mnie będą przesłuchiwać, bo to ja widziałem go ostatni...

— Już raz... zrobił dziecko... — przerwała mi. Wyglądało na to, że sprawa morderstwa jej nie obchodziła. — Poprzedniej dwórcy doñi Violante... jeszcze we Fradze...

— Jakie to ma teraz znaczenie?

— To dziecko... to... Perito!

— Oszalałaś, dziewczyno?!

— Jestem pewna... jak się przyjrzyysz...

— To szaleństwo — powtórzyłem głośniej.

— Posłuchaj — chwyciła mnie za tunikę i przywarła do mnie z taką siłą, jakby chciała ze mną walczyć. — Mają te same oczy! Nie zauważyłeś? Uśmiech, miny. Boże, wszystko! Poza tym... jest znak, znamię, tam, gdzie ty nigdy byś nie zajrzał, a ja musiałam! To znamię ma też chłopiec. Kapałam go. Potem don Solsona też je dostrzegł, i zakazał nam już go rozbierać!

— Doña Violante o tym wie?

— Na pewno! Bo to z nią trzymał don Solsona przez te wszystkie lata i jej

służył wiernie jak pies, a nie kapitanowi, jak się wam wszystkim wydawało — Caterina była śmiertelnie poważna. — Mówimy to tobie, bo... Miałam nadzieję, że mi uwierzysz... Zrób z tym, co będziesz uważał. Tylko nie mów, skąd to wiesz...

W tym momencie do kuchni weszła stara Aldonza. Odkoczyliśmy od siebie, jakby nas przyłapano na całowaniu.

Sobrejuntero, w asyście kilkunastu swoich żołnierzy, przyjechał z Hueski jeszcze tego samego dnia. Wedle prawa ten wysoki urzędnik królewski egzekwował wyroki sędziów, ale ich nie wydawał. W tym jednak przypadku, z uwagi na ciężar sprawy, obwieścił, że sam przeprowadzi dochodzenie i zakazał opuszczania zamku oraz osady. Jego ludzie stanęli na warcie przy głównej bramie zamku i bramie wjazdowej na podzamcze. Stało się jasne, że przez najbliższe dni to on będzie sprawował władzę w Loarre.

Przygnębiony odwołaniem wyjazdu do Saragossy wróciłem do swojej kwatery, wyjąłem ze skrytki pod podłogą skrzynkę z kroniką i chwyciłem za pióro, by spisać chaotyczne myśli, które kłębiły mi się w głowie po słowach Cateriny.

A zatem Perito miałby być synem Solsony... Czy to możliwe? O upodobaniach starego przechrzty wspominał już Salomon. Opowiadał mi o tym z rozbawieniem, ale i niesmakiem: oto lubieżny kaleka, diabelski uwodziciel o niespożytych siłach, jak pajak oplatał bezbronne niewiasty, by potem wpychać w ich ciała swe żądło. Wówczas wydało mi się to niegroźne, nie zastanawiałem się nad krzywdą kobiet. Bardzo możliwe, że jeszcze we Fradze zmusił do uległości jedną z dwórek doñi Violante.

Przypomniałem sobie też, jak wstrząsał starym przechrztą dreszcze na każdą wzmiankę o inkwizycji, antyżydowskich rozruchach, jak nienawidził aragońskiej szlachty za jej obsesję czystości krwi... Zresztą, sam się przyznawał, że nienawiści do Żydów bał się bardziej niż sami Żydzi, a jego pochodzenie ciążyło mu jak młyńskie koło. Przyjęcie chrztu niewiele zmieniło. W wielu sprawach pogorszyło: inkwizycja miała teraz nad nim pełną władzę. Wystarczył jeden donos, że oddaje się żydowskim praktykom, a mógł do końca życia gnąć w lochach. A zawistników i wrogów miał wielu, jak każdy, kto często dotyka pieniądza. I teraz oto jego syn, Perito, który wyrastał na pięknego i zdrowego chłopca, miał otrzymać hrabiowskie nazwisko, a don Solsona mógł wyzwolić jego krew po wsze czasy z pamięci o żydowskiej skazie...

Ale dlaczego hrabina na to przystała? Dlaczego zgodziła się przyjąć Perita do swego rodu, rozgłaszać legendę o jego rycerskim ojcu? Jakiej ceny zażądała? Po zastanowieniu doszedłem do przekonania, że i jej taka transakcja przynosiła korzyść. Małżeństwo z kapitanem de Lucio traktowała jak dopust boży. W Saragossie plotkowano od dawna, że hrabina chce poślubić barona Juana de Urríes, by w ten sposób połączyć dwa silne rody. Najlepszym sposobem na uwolnienie się od męża nie było wcale jego uśmiercenie (łatwiejsze do przeprowadzenia, ale bardziej skomplikowane politycznie). Jako znacznie korzystniejsze jawiło się wepchnięcie go w ręce sędziego, pognębnienie oskarżeniami, wtrącenie do więzienia... Może taki warunek przed połączeniem rodów postawili jej Urríesowie, którzy od dawna polowali na kapitana? Tak długo, jak kapitan de Lucio cieszył się monarszą łaską,

hrabina nie mogła liczyć na wolność i zgodę władcy na nowy ślub. Ale mogła pograżyć de Lucio w oczach króla, wyciągając na światło jego sekrety i grzechy, a nikt nie znał ich lepiej niż jego sekretarz don Solsona! On je nie tylko znał, ale potrafił udokumentować przed sądem.

Do tego dochodziła jeszcze jedna sprawa: doña Violante nie miała dzieci, plotkowano o jej bezpłodnym łonie, a ta adopcja pozwoliłaby jej poczuć się matką, ale co ważniejsze — posiadanie potomka dawałoby jej szansę na odzyskanie rozległej i zasobnej baronii Bioty, którą, z uwagi na bezdzietność hrabiny, przejęła walencka gałąź jej rodu.

Zdrada don Solsony mogłaby też tłumaczyć, skąd Urríesowie wiedzieli o naszym zamiarze przemytu bydła. Stary przechrzta uczestniczył w każdej naradzie w tej sprawie, znał jej każdy szczegół! Nadzorował pocztę, wszystkich kurierów wychodzących z Loarre. Jeśli, jak twierdziła Caterina, służył doñi Violante, a nie kapitanowi, bez żadnych przeszkód mógł informować o wszystkim Juana de Urríes. Ale dlaczego Urríesowie znali tylko część naszych planów? I to można wyjaśnić: don Solsona aż do mojego wystąpienia nie znał całego planu. Poza tym, skoro hrabina planowała połączenie obu rodów, musiała tak prowadzić grę, by jej przyszły małżonek nie popadł w ruinę, ale z drugiej strony nie mogła dopuścić, aby przez bezwarunkowe przejście Loarre oraz Fragi nazbyt urosł w siłę; wtedy przestałby potrzebować jej majątku i wpływów jej rodziny. Nie mówiła więc Juanowi wszystkiego...

Kto zatem zamordował don Solsonę. Z czyjego rozkazu? Doñi Violante? Kapitana de Lucio?

Odłożyłem pióro, bo usłyszałem za oknem głos *fraya* Pedro. Nim zszedłem na dziedziniec, by zaprosić go do siebie, ściągnąłem z prowizorycznego skryptorium najświeższe zapiski i schowałem do skrzyni, którą umieściłem starannie w schowku pod jedną z desek podłogi.

Fray Pedro z ciekawością dziecka rozglądał się po izbie. Nigdy wcześniej nie zwiędzał zamkowych komnat Loarre. Wezwano go do *sobrejuntero* zaraz po tym, jak przesłuchani zostali kapitan de Lucio i doña Violante. Zbadał zwłoki i potwierdził, że don Solsona został ponad wszelką wątpliwość zamordowany: nożem albo krótkim mieczem poderżnięto mu gardło. Zakonnikowi, choć nie miał tu już nic więcej do zrobienia, nakazano pozostać na zamku. Martwił się o Angela, który został w chacie. Może ktoś z wioski zajrzy do niego.

Byłem przekonany, że porozmawiamy o zabójstwie, ciekawiło mnie, czy *fray* Pedro ma jakieś przemyślenia w tej sprawie, a może kogoś już podejrzewa. Tymczasem on z uporem starego człowieka znów zaczął rozwodzić się nad zaletami szafranu i namawiał do rozwinięcia jego uprawy. Oświadczył nawet, widząc moją źle skrywaną obojętność, że gdybym miał problemy z pieniędzmi na inwestycje, to podpowie, jak — przy odrobinie odwagi — zdobyć ich dowolną ilość. Dobrze zapamiętałem tę obietnicę.

Przyznałem, że nie udało mi się dotąd porozmawiać z Bernatem w wiadomej sprawie. Zresztą po tym, co ostatnio usłyszałem, nie miałem ochoty przykładać ręki do pogńębienia Mercedes. Ale okazało się, że Bernat wcale nie potrzebował moich podpowiedzi. *Fray* Pedro zacierał ręce, bo jak policzył, Katalończyk odwiedził wdowę już trzy razy i w końcu coś się między nimi wydarzyło. Zakonnik rozpoznał to po spojrzeniu, rumieńcach,

dźwięczniejszym niż zwykle głosie i tym wszystkim, co kobieta nieświadomie objawia światu, gdy ma na kim zaplatać nogi.

Sobrejuntero z Hueski zajął izbę po don Solsonie. Nie przeszkadzał mu zapach krwi, którą nasiąkł dywan i ułożona pod nim słoma. *Fray Pedro* zdradził mi, że ten wysoki urzędnik jest dobrym znajomym młodej hrabiny. Nazywał się Juan Caverro. Uchodził za osobę bliższą rodzinie Urrea niż królowi, który go na tę funkcję mianował. Wszystko za sprawą gorącego procesu, jaki się rozegrał wiele lat temu pomiędzy nim, gdy był jeszcze notariuszem królewskim, a notariuszami powołanymi przez Radę Miasta, zrzeszonymi w drapieżnym cechu zwalczającym wszelką konkurencję. Gdy król, jeszcze Piotr IV, zaniechał obrony swego urzędnika, któremu na skutek przegranego procesu groziło więzienie, pomocną dłoń do Juana Caverro wyciągnął ojciec dońi Violante, Pedro de Urrea.

Po posiłku *sobrejuntero* wezwał do siebie wszystkich, którzy mieli styczność z nieżyjącym przechrztą tuż przed lub tuż po jego śmierci. I tak na ławach pod kilimami (ledwie tydzień temu podziwiałem je w towarzystwie don Solsony!) zasedli oprócz mnie czterej żołnierze, którzy jako pierwsi widzieli zwłoki, oraz Caterina. Aż do wieczora nie pozwolono nam wychodzić, nie dano nam nic do jedzenia ani picia. *Sobrejuntero* większość czasu spędził poza izbą, a gdy w niej przebywał, nie odzywał się do nas zajęty spisywaniem zebranych na kartkach zeznań do zeszytu. Żołnierze twierdzili, że przesłuchuje po kolei każdego, kto tamtego wieczora przebywał na zamku.

Zajął się nami dopiero następnego dnia rano. Najpierw przesłuchał żołnierzy, nie dbając przy tym o dyskrecję. W ogóle sprawiał wrażenie nieudolnego śledczego: zadawał proste, naiwne pytania, sam często podsuwał w nich odpowiedzi, których potem nie słuchał. Nie miałem wątpliwości, że przesłuchanie jest formalnością. Gdy skończył z żołnierzami, przywołał kilku swoich ludzi i polecił zaprowadzić Caterinę, nie zadawszy jej ani jednego pytania, do celi w podziemiach głównej wieży. Teraz mieścił się tam spichlerz, ale wcześniej, gdy zamkiem władali Urríesowie, było to więzienie: kilka małych pomieszczeń bez okien wychodzących na schodkowy korytarz zwieńczony ciężkimi drzwiami.

Chwilę potem *sobrejuntero* gestem znużonego urzędnika przywołał mnie. Podniosłem się z ławy i zsiadłem naprzeciw. Był człowiekiem o miłym, niskim głosie, ale odpychającym wyglądem: zapamiętałem rzadki siwy wąs, zwieszający się poza obrys brzydkiej, nalanej twarzy. Wszystkie pytania prowadziły do tego najważniejszego: kto kazał mi zamordować don Francisca Solsonę i ile mi zapłacił. Byłem tak zaskoczony, że nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczałem już do końca przesłuchania. Urzędnik wydawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy. Zaintrygowało go, że jestem Żydem. Długo trwało, zanim zakończył pisanie raportu.

Mnie również wyprowadzili jego ludzie. Nie zostałem jednak odesłany do podziemnej celi, jak Caterina, ale do izby położonej u szczytu środkowej wieży. Wchodząc w asyście dwóch żołnierzy po wąskich schodkach wykutych w ścianie, minąłem komnatę hrabiny. Tuż nad nią kończyły się schodki: żołnierz idący jako pierwszy uniósł ciężką klapę zabezpieczoną żeliwną zasuwą. Wszedłem za nim. Izba, gdzie miałem spędzić czas do zakończenia

śledztwa, była rozległa, ale niska, tak że idąc wyprostowany, niemal tarłem czubkiem głowy o powałę. W ścianach wschodniej i zachodniej wybito po dwa wąskie prześwity. Dawały wystarczająco dużo światła, ale grubości murów uniemożliwiała dojrzenie, co dzieje się na dziedzińcu. Wszystkiego musiałem się domyślać na podstawie dochodzących z dołu odgłosów. Żołnierz wyszedł bez słowa i zamknął za sobą wejście.

Obolały od siedzenia na twardej ławie przez tyle godzin położyłem się na wąskim łóżku ze słomianym materacem — jedynym meblu w pomieszczeniu. To niespodziewane aresztowanie nie obudziło we mnie strachu. Liczyłem dni, jakie upłynęły od święta Pesach. Jeśli Estera dotrzyma obietnicy, Ayhe będzie jeszcze w naszym domu przez trzy dni. Ucieczka do Walencji nie była już możliwa, ale zaplanuję inną. Byle tylko wziąć niewolnicę w ramiona. Jeśli wyjedziemy jutro, jeszcze zdążę.

Umieszczono mnie nad komnatą pięknej doñi Violante. Dlaczego? Tuż przed zaśnięciem przysłała mi nawet do głowy absurdalna myśl, że gdy zapadnie zmrok, poszukam jakiejś szpary w podłodze i może uda mi się podejrzeć piękną hrabinę.

Obudziłem się na odgłos kroków. Potem usłyszałem szcęk zasuw, skrzywienie unoszonej kłapy i głos Bernata.

— Żarcie!

Uniosłem się na posłaniu i zobaczyłem, że żołnierz postawił na podłodze ciężki garniec podobny do tego, w którym zawiozłem rosół Angelowi.

— Mięso z jarzynami. Tu masz wino i chleb.

Bernat rozejrzał się wokół. Jak zawsze wyglądał na zdziwionego.

— Masz tu jakieś wiadro? Odlać się możesz przez okno... Szeroki mur, ale dasz radę. Ale srać gdzieś musisz, bo tu posiedzisz parę dni...

— Nie, nie ma tu wiadra — odparłem, otrząsając się z resztek snu. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedział. — Parę dni!?! Przecież miałem jechać do Saragossy! Co się dzieje?

— Nikt nie wie. Miało być zwykłe śledztwo, tak się nawet zaczęło... Nagle doña Violante wpadła w szał. To ona podobno wymusiła na *sobrejuntero*, żeby was aresztował, ciebie i Caterinę... — mówił, cały czas wodząc oczami po murach i stropie. — Wejścia do wieży pilnują jego ludzie. — Teraz spojrzął na mnie. — Na razie to Caterina jest główną podejrzaną.

— Co za bzdura! — aż usiadłem na pryczy. — Ona tego nie zrobiła!

— Jeśli nie ona, to ty.

— Musiałbym być idiotą...

— Aaronie! — przerwał mi Bernat. — Myślisz, że taki *sobrejuntero* nie ma co robić u siebie w Huesce? Pewno tropi tam przekręty, sam je robi, ściga bandy, rajfurów, opozycję. Wiesz, jakie to podłe zajęcia? Każde miasto w Aragonii to teraz pole bitwy. Myślisz, że on tu przyjechał, żeby rozmyślać nad tą sprawą? Zabito ważnego człowieka, król jest wściekły, żąda ukarania winnego. *Sobrejuntero* też jest wściekły, bo traci tu czas. Ma w celu Caterinę, którą zastano nad trupem, i jeszcze przyznała się, że Solsona ją zmuszał do nierządu, a ona go nienawdziła. Czego jeszcze chcesz? Dziewczyny nie ma kto

broniec. Stryczek i po sprawie. A w zapasie ma ciebie. To ty spędziłeś z Solsoną cały dzień. Może ukradłeś mu jakieś dokumenty i chciałeś zatrzeć ślady... Mnie byś nawet bardziej przypasował do roli mordercy niż jakaś mściwa dziewczka.

Poczułem, że krew odpłynęła mi z twarzy, zrobiło się nagle zimno, zdrząły mi wargi: zabrałem dokumenty dotyczące Johana... Ale to przecież nic nie znaczące pergaminy! Powiem, że Solsona mi je dała...

— Aaronie, wyglądasz tak, że gdybym to ja prowadził śledztwo, już byś wisiał. Opanuj się, poćwicz trochę przed następnym przesłuchaniem — mówił ściszym głosem Bernat.

— Nie mam żadnych dokumentów...

— No, myślę. Ten brzydal już wie, że Caterina też jest Żydówką, malowaną, ale zawsze. Jeśli szuka czegoś, co by was jakoś łączyło, no to ma.

Serce waliło mi jak młotem. Bernat uniósł brwi i wgąpiał się we mnie swymi wylupiastymi oczami.

— Mam nadzieję, że... nic więcej, co, Aaron? Przyznaj się! Ta dziewczka śliniła się na twój widok od pierwszego dnia...

Mimo wysiłków nie umiałem powstrzymać drżenia brody i warg.

— Ooo... coś jest na rzeczy — powiedział Bernat. — *Sobrejuntero* posłał przed chwilą gońca do Saragossy, do sądów chyba, po jakieś informacje o tobie. Mówię ci, żebyś wiedział... Ale spokojnie — pocieszał, widząc moją przerażoną twarz. — Ty masz nazwisko!

— Ale ona tego nie zrobiła — wydusiłem przez zaciśnięte gardło.

— Więcej tego nie powtarzaj! Już ci powiedziałem, ten urzędas oskarży albo ją, albo ciebie. I ręczę ci: żaden sędzia w Saragossie nie będzie mu w tej sprawie mieszał, bo zabito człowieka, który wiedział dużo o królewskich kufach. Co z tego, że poprzedniego króla. Część dworu została. To jest zawsze śmierdzące jajo. Rozumiesz? Wszyscy będą szczęśliwi, jeśli sprawa ucichnie. Trzeba tylko szybko kogoś powiesić. Znam się na sądach, bo od lat walczę o nazwisko, jak wiesz.

Bernat przeniósł garnek bliżej pryczy. Rozejrzał się, chyba za jakimś stołem, albo przynajmniej taboretem.

— Wyglądasz, jakbyś nie był głodny... — kucnął nad garnkiem, nabrał mięso z sosem i podniósł ostrożnie do ust. — Mam tylko jedną łyżkę, zaraz ci dam.

Jadł przez dłuższą chwilę ze smakiem. W końcu wyciągnął w moim kierunku łyżkę, ale pokręciłem głową. Wypiłem za to kilka głębokich łyków wina.

— Zajrzę do ciebie jutro. Trochę ci zostawiłem — oznajmił, ocierając dłonią usta i rozglądając się po izbie. — Wiesz, że to doña Violante nalegała, żeby cię zamknąć właśnie tu? — Ruszył do wyjścia, nie czekając na odpowiedź. — A, zapomniałem! — odwrócił się jeszcze. — Kiedy byłem w Saragossie, twój wuj chciał ci coś przekazać, bo aż przyszedł do koszar, gdy dowiedział się, że wracam do Loarre, chyba ważne, bo kilka razy do mnie podchodził, ale na Boga!, bełkotał, był tak pijany, że nie rozumiałem ani słowa... — i wyszedł.

Rzuciłem się na wąską pryczę, miałem tak ściśnięty żołądek, że nie było mowy o jedzeniu. Czego chciał Salomon? Nieważne! Lęk przed prawdziwą więzienną celą i przesłuchaniem rozsadał mi głowę. Będą mnie torturować?

Nie przeżyłbym ani chwili... Powiem wszystko, zanim mnie zapytają. A jeśli z dokumentów z Saragossy *sobrejuntero* dowie się o śmierci Izaaka? I o oskarżeniach o rajfurstwo? Co, jeśli Caterina przyzna się do naszej schadzki? A przyzna się, bo ludzie podobno na przesłuchaniach mówią wszystko... Poczulem takie mdłości, że musiałem usiąść na pryczy, by nie zwymiotować.

Dopiero po kilku godzinach napięcie w brzuchu nieco zelżało, byłem wycieńczony. Potrzebowałem teraz wiadra, Bernat chyba zapomniał. Podeszedłem do klapy i uderzyłem dłonią w podłogę. Nikt nie przychodził, waliłem więc coraz mocniej. Dopiero po dłuższej chwili pojawiła się Dolores.

— Nie wolno mi tu wchodzić! — powiedziała ściszym głosem — pilnują cię żołnierze z Hueski. Kazali mi się wynieść do kuchni, razem z Peritem. Przyszłam tylko po swoje rzeczy.

Wyznałem jej moją prośbę bez skrępowania. Jeszcze niedawno to ona bez cienia wstydu zrzucała z siebie ubranie na moich oczach.

Skinęła głową i wyszła. Po chwili jeden z wartowników przyniósł wiadro. Odwrócił się plecami i czekał, aż skończy. Gdy mu je oddałem, przyłożył drewnianą szczelną pokrywę i splunął na podłogę, jakby to miało odmienić powietrze, które zrobiło się aż ciężkie od smrodu.

Zimny wiatr wpychał się do izby przez niczym nie osłonięte okienne szczeliny. Pod wieczór znów zazgrzytała zasowa i jeszcze raz pojawiła się Dolores. Przyniosła naręczę skór i cisnęła je w kąt.

— To od mojej pani, żebyś w nocy nie zmarł. — Podeszła do mnie szybkim krokiem i kucnęła przy pryczy. — Więcej już tu nie przyjdę. Zawisza powiedział, że cię stąd wyciągnie...

Na dole rozległy się mocne kroki, Dolores odwróciła głowę w stronę wejścia.

— Moja pani chce z tobą rozmawiać. Wezwie cię wieczorem do siebie.

— Ty będziesz?

Pokręciła głową.

— Nie, mam spać z kobietami w kuchni — nie uśmiechała się, ale oczy jej błyszczały. Wiedziałem, na co się tak cieszy.

Wstała.

— Czego ona ode mnie chce?

— Nie wiem — powiedziała poważnym tonem i pochyliła się, by pocałować mnie w policzek.

Dzięki tym kilku wspólnym wieczorom w izbie nad kuchnią powstała między nami uczuciowa więź, staliśmy się sobie bliscy, jak brat i siostra śpiący w jednym łóżku.

Nadszedł wieczór, moja cęła pogrążyła się w mroku. Mimo wyczerpania napięciem całego dnia nie mogłem zasnąć; wyobrażenia podsuwała mi coraz straszniejsze obrazy. Na szcęk otwieranej zasuwę poderwałem się na pryczy, serce załomotało mi w piersi. Panowała ciemność, zimno przeciskające się przez okienne szpary wnikało pod cienką warstwę skór. Minęła chwila, nim wróciła mi pamięć. Usłyszałem męski głos nakazujący mi zejście do komnaty hrabiny. Po omacku odszukałem buty, wzułem je i podszedłem do klapy. Nieznany mi żołnierz, zapewne jeden z tych przybyłych z *sobrejuntero*, czekał kilka schodów niżej. Poczulem na twarzy ciepłe powietrze i delikatny zapach pomarańczy. W komnacie hrabiny paliło się kilka oliwnych lamp, które dawały miłe, ale słabe światło. Hrabina musiała dodawać do oliwy aromatyczne olejki; tak pachniała Dolores, gdy nocami odwiedzała Zawiszę.

Doña Violante siedziała, a w zasadzie pólleżała, na dużym krześle z szerokimi, bogato zdobionymi podłokietnikami i wysokim, odchylnym do tyłu oparciem. Gestem odprawiła żołnierza a potem, widząc, że zatrzymałem się w połowie schodów, zwróciła się do mnie:

— Proszę, wejdz. Usiądz — wyprostowała się na krześle i wskazała mi krótką sofę naprzeciwko.

Złożyłem głęboki ułkon na powitanie i usiadłem we wskazanym miejscu. Doña Violante długo mi się przyglądała. Zapanowała kłopotliwa cisza.

— Aaronie, wiem, że spisujesz różne historie, ludzie ci mówią, co myślą, co czują, a ty przenosisz to na pergamin.

Chłód nie chciał wyjść spod skóry i co chwilę wstrząsały mną dreszcze, zajęty staraniem, by nad tym zapanować, nie domyśliłem się niczego.

— Kobiety powierzają ci swoje tajemnice. Każda chce, byś był po jej stronie. Jak ty to robisz? — Słowa nie brzmiały przyjaźnie, a w jej twarzy dostrzegłem chłodne skupienie. — Ale ja nie zamierzam powierzać ci tajemnic. Chcę, byś ty mi zdradził swoją.

— Nie rozumiem, pani — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Zostałem zaproszony do jej komnaty w środku nocy; to przytłumione ciepłe światło oneśmieliłoby każdego.

— Jak można być tak naiwnym, żeby zapisywać te wszystkie rzeczy! — Hrabina wstała, zaplotła dłonie i uniosła je do ust. Nie umiała ukryć zdenerwowania.

Starałem się opanować myśli. Bezwiednie zacząłem wodzić oczami po komnacie. Czwarta część pomieszczenia, gdzie zapewne sypiali Dolores i Perito, była wydzielona przegrodami takimi samymi, jak te z izby Zawiszy. Na wszystkich ścianach wisiały malowane płótna, w półmroku rozpoznałem przedstawione na nich ogrody pełne kolorowych kwiatów i zwierząt. Pod ścianami stało kilka, pięć, może sześć dużych skrzyń bogato zdobionych kością słoniową, a na nich niezliczone mniejsze kufry, puzderka i najróżniejsze

pojemniki. Najważniejszym meblem było tu ustawione na samym środku szerokie łóże, o wezglówiu prawie sięgającym stropu, zasłane barwnymi, zręcznie bezładnie kołdrami i co najmniej tuzinem mniejszych i większych poduszek.

— Jak można? Jak śmiałość? — powtórzyła.

— To moje słowa, tylko dla mnie, nikomu nie zamierzam ich pokazywać — odpowiedziałem powoli, przyduszonym głosem. — Poza tym to wszystko nieprawda, to... wymyślone historie...

— Kłamiesz! — krzyknęła. — Wiesz, jak się dowiedziałam o twoim pamiętniku? Od Aldonzy. Chyba nie jest tajemnicą, że ona o wszystkim mi donosi? Przecież mówili ci to. To dzięki niej wiem, że namawiałaś kobiety do zwierzeń i obiecywałaś, że to, co zapiszesz, przetrwa wieki!

— Same prosiły! Ja tylko obiecywałem im nieśmiertelność... To przecież wspaniale! Kto by pamiętał o takiej Mercedes za tysiąc lat, gdyby nie ja?

— A po co ktoś ma pamiętać o jakiejś wieśniaczce za tysiąc lat? — jej oczy zabłyły wściekłością — Że miała chama albo impotentą za męża? To niesprawiedliwe! Ktoś za tysiąc lat pomyśli, że w naszych czasach to była tak wyjątkowa sprawa, że aż trzeba było ją opisać. A co z resztą kobiet? Większość ma gorzej, jej przynajmniej udało się od tego uwolnić!

— Gdybyś, pani, to czytała...

— Dowiedziałabym się o twoich... sprawkach z Ayhe, Ceti, Cateriną, dobrze zapamiętałam imiona?, o prawdziwej twarzy Francisca de Arandy, o złodziejskich interesach twojego wuja, i tych wszystkich bogatych Żydach, którzy opisałeś. Mogłabym wsadzić pół Saragossy do więzienia! — mówiła podniesionym głosem. Miałem wrażenie, że w nocnej ciszy słyszy ją całe Loarre.

Przerwała, widząc moją pobladłą twarz.

— Chcesz wody? Wina?

— Nie powinnaś, pani, tego czytać... — wydusiłem.

— Nie pouczaj mnie! Gdyby te zapiski nie trafiły do mnie, miałby je teraz *sobrejuntero*. To on kazał przeszukać twoją komnatę. Uprowadziłam go, na twoje szczęście.

Jak mogłem być takim głupcem? Ale przecież zamykałem skrzynię z pamiętnikiem, chowałem w skrytce. Hrabina podeszła bliżej; palcami uniosła mi podbródek, potem położyła mi dłoń na policzku i kciukiem wodziła po ustach.

— Tylko tu nie mdlej.

Skinąłem posłusznie głową. Znów napełniła kielich. Byłem tak słaby, że musiałem go trzymać oburącz.

— Jak mogłeś... wymyślać o mnie te wszystkie rzeczy? — syknęła mi nad głową. — Zrównać mnie z tymi prostytutkami! Na jednej stronie pisałeś o mnie i o nich!

— Pisałem tylko, że jesteś najpiękniejszą kobietą na ziemi...

— Najpiękniejszą kobietą na ziemi... — powtórzyła drwiącym tonem. — Przypomnieć ci, co o mnie pisałeś?

Podeszła do stołu w kącie izby, otworzyła wieko tak dobrze znanej mi skrzyni i wyjmowała jedną kartkę za drugą. Wodziła po nich oczami.

Zatrzymała w rękach tę podziurawioną piórem. Otworzyła usta, by zacząć czytać.

— Gdy to pisałem — przerwałem jej, garbiąc się ze wstydu — byłem pijany.

Podniosła oczy, w jej pięknej, chłodnej twarzy dostrzegłem najwyższe napięcie. Odłożyła kartki do skrzyni, ostrożnie zamknęła wieko i podeszła do mnie. Wtedy zadała to najważniejsze pytanie:

— Kto jeszcze wie o Perito? Komu jeszcze mówiła o tym Caterina?

Stała tak blisko, że czułem bijące od niej ciepło.

— Nie wiem, chyba tylko mnie.

— Ja też o to zapytałem — pochyliła się nade mną, mówiła teraz znacznie ciszej. — Lepiej, żebyście oboje mówili prawdę. Caterina będzie jutro przesłuchiwana... Francesca też już jest w celi.

Znów chwyciła mnie pod brodę, tym razem mocno ścisnęła.

— Chłopcze... wiesz, że... — przerwała na chwilę, nie zwalniając uścisku — że nie będę miała litości. Jesteś mądry, ty wiesz... nie muszę ci niczego tłumaczyć. Czy muszę?

Pokręciłem głową.

— Znalezione u ciebie jeszcze jakieś dokumenty z pieczęcią mojego męża, sygnowane przez don Solsonę. Musiałeś mu je wykraść. Jeśli powiem o tym śledczemu, zawiśniesz tego samego dnia — doña Violante powiedziała to już prawie spokojnie. Zwolniła uścisk. — Zastanowię się, co dalej... A teraz wracaj do siebie.

Ale nie odsunęła się ode mnie, a ja nie wstawałem. Trwaliśmy tak bez ruchu. Nagle stanął mi przed oczami obraz z saragoskiej katedry, na którym jakiś chrześcijański święty walczył z bestią. Ksiądz powiedział mi wówczas, że na tym obrazie święty walczył z cielesnym pożądaniem, najstraszliwszą ziemską pokusą, z prawdziwym diabłem. Pamiętam każdy szczegół: jeździec z wysokości konia wbijał kopię w gady pysk, a bestia miała skrzydła tak duże i czarne, że przysłaniały niebo, paliła piekielnym ogniem, jej ryk rozsadzał uszy, bestia niszczyła, pożerała, co spotkała na swej drodze, i miała łuski twarde jak najtwardszy pancerz, pazury ostre niczym sztylety, i widać było, że wypruje nimi trzewia, gdy tylko dosięgnie ofiary. Oto pożądanie, mówił mi ksiądz, wskazując na szkaradnego stwora, trzeba wielkiego serca i świętej odwagi, by je zwyciężyć. Ja nie miałem tych cnót. Objąłem hrabinę w pasie i przyciągnąłem mocno do siebie. Nie opierała się.

Wróciłem do swojej celi, gdy czerń w szklanych taflach okien sypialni doñi Violante ustąpiła szarości. Całkowicie wyczerpany runąłem na prycze. Chłodny wiatr przynosił teraz ulgę. Myśli krążyły mi w głowie, ale były zwinne, nie mogłem złapać ani jednej, jakby mnie ktoś dla zabawy rzucił w ich środek z zawiązanymi oczami.

Niebo przybrało już jasnoblękitny odcień, gdy pod podłogą usłyszałem kobiecy śmiech i krótką rozmowę hrabiny z jakimś mężczyzną, ale nie dosłyszałem słów. Potem znów wszystko ucichło. Na wspomnienie nagiego ciała hrabiny zalała mnie fala wstydu i pożądania. Potem przyszedł głód. Nie wstając z pryczy, przysunąłem sobie garnek z resztkami mięsa.

Około południa z dziedzińca zaczęły dobiegać żołnierskie głosy. Miguel Bernabé i Zawisza wykrzykiwali jakieś rozkazy. Po chwili nasłuchiwanie nie miałem wątpliwości — czyniono przygotowania do wyjazdu. Serce zabiło mi szybciej: co się ze mną stanie, jeśli Zawisza wyprowadzi teraz żołnierzy poza mury i ruszy do Saragossy? Rozumiałem już, że doña Violante robi wszystko, żeby ukryć prawdziwe pochodzenie Perita. Jeśliby ta sprawa się wydała... ba!, wystarczy plotka, że ojcem chłopca jest kaleki przechrta, a szlachta nigdy nie zgodzi się na przyznanie mu praw do dziedziczenia. Ile wart jest majątek, który utraciłaby doña Violante? Nie miałem pojęcia, ale na pewno więcej niż moja głowa.

A gdyby spróbować ucieczki? Począłem przechadzać się po celi; zadarłszy głowę, szukałem wzrokiem przejścia na szczyt wieży. Ani śladu. Powtórzyłem tę samą drogę, przystając co chwilę i ramionami wypychając strop. W końcu natrafiłem na dobrze zamaskowany właz: deski puściły, uniosłem klapę, mocno odbiłem się nogami od podłogi i wsparty na ramionach precyzyjnie się przez otwór. Od wiatru i słonecznego blasku zażawily mi oczy. Gdzieś nade mną rozległ się krzyk orłów. Przypomniałem sobie, jak jesienią stałem na szczycie sąsiedniej wieży i w towarzystwie don Solsony podziwiałem masywne sylwetki tych pięknych ptaków. Szybowały wówczas bardzo wysoko, na tle bezchmurnego nieba wydawały się nieruchome, niczym srebrne ozdoby wpięte w błękitną szatę. Teraz nawet nie spojrzałem do góry; przekląłem je w duchu, bałem się, że swym krzykiem zwrócą uwagę strażnika. Główna wieża zamku, w której rezydował kapitan de Lucio, była znacznie wyższa, musiałem więc uważać, gdyż od czasu napaści almogawarów przywrócono na niej stałą wartę.

Wychyliłem się ostrożnie i spojrzałem w dół. Na dziedzińcu kręciło się kilku obcych żołnierzy; dwóch strażników pilnowało wejścia do wieży. Trzeba było poczekać na zapadnięcie zmroku... Ale i tak skok z tej wysokości na dach pomieszczenia, gdzie rezydował teraz *sobrejuntero*, nawet przy założeniu, że nikt mnie nie zobaczy ani nie usłyszy, oznaczał pewną śmierć. Bez liny nie było szans na ucieczkę.

Przywarłem plecami do muru i przez ramię obserwowałem fragment podzamcza oraz drogi wiodącej do głównej bramy. Łudziłem się jeszcze, że źle odczytałem hałas i pokrzykiwania na dziedzińcu; krótko jednak. Już po kwadransie dostrzegłem to, czego tak bardzo zobaczyć nie chciałem: grupa jeźdźców, w której rozpoznałem sylwetki Zawiszy, Bernata i Joana, opuszczała Loarre. Żołnierze na chwilę zatrzymali się przy bramie, dyskutując ze strażnikami, a potem Zawisza uniósł się w siodle, obejrzał za siebie i zamaszystym gestem ramienia dał znak do wymarszu. Bernat ruszył za nim jako pierwszy. Odprowadzałem ich wzrokiem, aż minęli bramę i zniknęli z wąskiego pola widzenia, jaki dawała mi przerwa między zębami blankowania. Co teraz? Na Boga, co teraz?

Usłyszałem nad głową rozmowę strażników. Stali na wyższej wieży za moimi plecami. Podciągnąłem nogi i jeszcze mocniej przywarłem do parapetu. Zastaniał mnie ząb muru, ale nie mogłem poruszyć się ani o włos. Czekałem, aż żołnierze przejdą w inną część wieży. Trwało to wieczność; wystające kamienie boleśnie wrzynały mi się w skórę. W końcu głosy umilkły.

Odczekałem jeszcze chwilę, po czym na czworakach jak pies rzuciłem się do włazu.

Leżąc na pryczy, przeklinałem swoją głupotę. Popełniłem straszliwy błąd mówiąc hrabinie prawdę. Nie powinna była wiedzieć, że Caterina o żydowskim pochodzeniu Perito powiedziała tylko Francesce i mnie, że to ja miałem wywieźć sekret poza mury. Don Solsona już nie żył. Śmierć obu kobiet i... moja pogrzebałaby niewygodną prawdę na zawsze.

Wstałem i podszedłem do klapy w podłodze, szarpnąłem, ale przytwierdzona od spodu żelazną sztabą ani drgnęła. Czuję, że prędzej czy później ktoś tu przyjdzie. Przyjdzie któryś z żołnierzy, żeby mnie zarżnąć jak prosię... pewno ten sam, który zabił Solsonę. Nie będę się bronił, nie umiem. Znam kilka cytatów z Talmudu, potrafię tak księgować, żeby ukrywać debet, żeby zawsze w pozycji „ma” było więcej niż w „winien”, tak, to umiem bardzo dobrze, ale to wszystko, czego nauczyłem się przez całe życie. Nie wiem, co mówi się do żołnierza, który idzie w twoją stronę z obnażonym mieczem? „Zatrzymaj się, nie rób tego! To grzech!”. A może ostrzej? „Bądź przekłęty!” Będę krzyczał czy zacisnę zęby i tylko zawyję ze strachu? A może przekupię mordercę, żeby mnie zaniechał? Zaproponuję mu tysiąc sztuk bydła — z tych, co mają trafić do Walencji. Nikt nie zauważy, to tylko jeden tysiąc z 56 tysięcy! Do odbioru w jednym z dowolnie wybranych terminali, pamiętałem je wszystkie bardzo dobrze: Segorbe, Chelva, Chiva oraz Siete Aguas...

Strach wypychał ze mnie rozum, ale słuch miałem tak wyostrzony, że po odgłosie kroków potrafiłem odczytać zamiary idącego. Co chwilę ktoś wchodził i wychodził z wieży. Żołnierskie buty, choć mocno bito nimi w kamienne stopnie, brzmiały obco i niegroźnie; ci, którzy w nich kroczyli, myślami byli daleko od tego miejsca. Tak, żołnierzy z Hueski nie musiałem się obawiać. Wiedziałem, że jeśli miałem spotkać tu śmierć, to przyprowadzi ją do mnie ktoś z Loarre.

Kobiece pantofle dońi Violante pocierały o kamień delikatnie, złowieszczo i zdecydowanie. Ona już wydała na mnie wyrok.

Po kilku godzinach nieustannego ruchu zapanowała cisza. Poczułem przypływ nadziei, że dożyję zmroku. Wtedy ze skór, a mam ich całe naręcze, splączę linę, przynajmniej niech zniesie mnie do połowy wieży, upadek będzie mniej bolesny. A potem wszystko w rękę Boga.

I wtedy usłyszałem... znajome kroki. Znów czułem i słyszałem jak zwierzę. Po kilku stopniach już wiedziałem, że ten człowiek zadawał innym śmierć, nie w bitwie, ale po cichu, w ciemnych komnatach, od tyłu, podrzynał gardła, wypychał ostrza w plecy. Uderzenia butów o kamień stawały się coraz szybsze i gwałtowniejsze. Nie zatrzymały się w komnacie hrabiny, minęły ją. Jeszcze tylko osiem stopni, ale on wbiegał na co drugi: raz, dwa, trzy, cztery. Rozległ się szczęk zasuwu. Zawylem ze strachu i popuściłem w spodnie.

W wejściu ukazała się głowa Bernata.

— Hrabina jest w kaplicy, mamy jeszcze kwadrans! Ruszaj dupę! — rzucił w moją stronę i zniknął.

Poderwałem się z pryczy. Nogi miałem zeszywniałe ze strachu, runąłem na podłogę. Doczołgałem się do włazu i jak wór rzepy stoczyłem po schodach do komnaty dońi Violante. Bernat nie był zjawą — żył, chodził od mebla do

mebla, brał do rąk przewieszane przez poręcz krzesła kobiece odzienie, przykładał je do twarzy, gładził pościel, dotykał kościanych zdobień na kufrach.

— Kość słoniowa — usłyszałem — ma sprawić, żeby baba nie zgiła się z kim popadnie... Wiedziałeś o tym? Ciekawe, dlaczego tu tego aż tyle!

— Bernat... jak tu wszedłeś!? — wydusiłem.

— Zaraz zobaczysz! Jesteś cały? Idziemy?

Podszedłem chwiejnym krokiem do kufra, w którym doña Violante schowała wczoraj moje zapiski. Był zamknięty.

— Daj nóż!

— Aaron, nie mamy czasu! To mocne zamki, nie otworzysz! Czego tam szukasz, pomyleńcu! — i spojrzał na moje mokre spodnie. — Chcesz się teraz przebierać!?

Ręce miałem słabe jak ze słomy. Bezskutecznie mocowałem się z pokrywą. Bernat syczał mi za plecami, bym się pospieszył. W końcu zniecierpliwiony podszedł do kufra i w niewielką szparę, którą uczyniłem nożem, wetknął miecz i podważył. Zamek puścił z trzaskiem, wypukła pokrywa odskoczyła. Zacząłem wyrzucać ze środka naręcza bielizny, koszul, sukni. Dotarłem do dna, ale pamiętnika nie było! Powiodłem wzrokiem po pozostałych kufrach.

— Nawet o tym nie myśl! — odezwał się Bernat, widząc, co zamierzam. Podszedł do okna i ostrożnie uchylił szklaną taflę. — Hrabina wychodzi z kaplicy!

Wiedziałem, że muszę uciekać, jeszcze była nadzieja, że Ayhe z Esterą czekały mojego powrotu, ale nie mogłem zostawić pamiętnika w rękach hrabiny... To pograży zbyt wielu ludzi. Bernat szarpnął mnie za rękę. Opierałem się.

— Idziemy! — chwycił mnie w pól i zwałókl po schodach do najniższej, podziemnej kondygnacji. Ledwo zamknął nad nami klapę, pograżając niewielkie pomieszczenie w całkowitej ciemności, gdy usłyszeliśmy nad głowami kroki. Hrabina szła sama. Zamarliśmy w bezruchu.

— Przecież znajdują nas tu! — mówiłem szeptem. — Nietrudno się domyślić...

— Pięść w gębę! — usłyszałem w odpowiedzi.

Po chwili syknęło iskrami i z mroku wyłoniły się nadęte policzki Bernata. Szybkimi dmuchnięciami rozżarzył końcówkę knota. Światła było niewiele, ale dość, by dostrzec, że znajdowaliśmy się w obszernej skalnej piwnicy, z której nie było innego wyjścia poza tym w drewnianym stropie.

— Dostałem od Marii — pochwalił się, jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie. — Masz — podała mi *mechero* — i dmuchaj mocno.

Bernat wydobyl z kaftana dwa krótkie pręty i wetknął je zadziwiająco łatwo w kamienną ścianę. Potem począł nimi delikatnie ruszać i po chwili rozległ się kamienny zgrzyt: płaski kamień wielkości dużej tarczy odpadł od ściany. Z wnętrza otworu buchnęło ciepłym powietrzem. W skąpym świetle żarzącego się *mechero* zobaczyłem, jak Bernat wsuwa nogę w kamienną gardziel, a potem, niczym duch, znika w niej cały.

— Właż za mną — dobiegł z czeluści stłumiony głos.

Korytarz, w którym się znalazłem, był nieco obszerniejszy niż wejście, ale i tak musiałem zgiąć się w pas, a ramionami dotykałem ścian.

— Idziesz powoli za mną. Ostrożnie.

— Gdzie jesteście? — zapytałem po paru krokach. Głos zabrzmiał głucho, nie miał jak rozbrzmieć w ciasnym korytarzu. Bernat był niski i tylko lekko uchylał głowę, ale ja na wszelki wypadek cały czas szedłem zgięty w pół.

— Przejdźcie pod zamkiem. W Loarre wie o nim tylko hrabina i ja. No, wiedział jeszcze don Solsona. Wyjdziemy w skałach pod północnymi murami.

— Hrabina je zna!? Każe nas ścigać! — mimowolnie spojrzałem za plecy.

— Nie, nie każe, nie teraz... Już pewno wie o twojej ucieczce, wywaliłeś te rzeczy z kufra... Za chwilę zejdzie do piwnicy i zobaczy, że kamień jest odsunięty... No i dowie się, że ją zdradziłem — Bernat mówił to wszystkim lekkim głosem, jakby wygłaszał jedno ze swych bluźnierstw — ale dopiero rano ogłosi, że uciekłeś. Powie, że uciekłeś nocą, coś wymyśli, wywiesi jakiś sznur, zwali winę na wartowników. Przecież sama tu nie wlezie, żeby nas gonić. A ujawnienie tego przejścia to byłoby dla niej samobójstwo.

— Skąd ty...

— Nosiłem tędy listy od hrabiny i don Solsony do Urríesów — odparł Bernat, nie czekając, aż dokończę pytanie. — Tak, tak, służyłem doñi Violante... I często przeprowadzałem ją tym tunelem na schadzki...

— Do kogo?

— Tylko nie mów, że twoi Żydzi o tym nie plotkowali!

— Juan de Urríes? U nas mówiło się, że to polityczna sprawa...

Bernat zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadłem na niego.

— Polityczna? Byłem z nią w Ayerbe wiele razy. Zamykali się w jego sypialni i się zaczynało. Darła się tak, że niosło po całej okolicy. Bałem się, że usłyszą to w Loarre, w końcu to tylko dziesięć mil! Jak wracaliśmy przed świtem, to tak jej się nogi plątały, że nie mogła iść. Obrzydliwe. Oczywiście w Ayerbe wszyscy myśleli, że sobie Juan jakąś dziwkę sprowadza. Nikomu do głowy nie przyszło, że to hrabina Violante de Urrea się tak drze! Taka to polityczna sprawa.

Bernat dmuchnął mocno w końcówkę knota i na chwilę osiadł na skale wokół nas jasnoczerwony pierścień światła.

— Zazdrosny? — spytał nagle.

Wpatrywałem się w niego, nie rozumiejąc.

— Aaron, czuć cię babą na milę! Byłeś z nią...

— Nie, Bernat, nie, ja...

— De Lucio kilka lat szukał tunelu — przerwał mi i odwrócił głowę. — Każdy zamek ma takie wyjście. Tego nie znalazł, bo jest wyjątkowo dobrze zamaskowane. Trzeba wiedzieć. To Urríesowie je odkryli, gdy kupili Loarre. Mieli więcej czasu! Tunel przebito przy budowie zamku. Na początku ta wieża była jedyną w murach. A ta druga, wyższa, stała za murami. Dlatego tunel wyprowadzono z tej. I dlatego księżna chciała ją dla siebie, bo wiedziała o tym przejściu od Juana. Rozumiesz?

Ruszyliśmy dalej. Posuwaliśmy się powoli, ostrożnie, mimo to co jakiś czas uderzałem barkiem lub głową o nierówności korytarza. Byłem zdany całkowicie na łaskę tego Katalończyka. Bernat jakoś znosił świadomość, że hrabina bierze między nogi barona Urríesa, ale ja... prosty Żyd...

— Nie masz tu już powrotu. Będą cię ścigać... — powiedziałem w plecy

Bernata, żeby przerwać upiorną ciszę.

— Ciebie też! Aaron, coś ty jej zrobił, co?

— Wiesz, że to nie ja zabiłem Solsonę, chyba wiesz...

— Wierzę ci! Na wszystkie kurwy tego świata, Aaron, przecież już ci to mówiłem! Wiem, że to nie ty! — Bernat znów się zatrzymał. Powoli odwrócił głowę. W świetle ledwo tłącego się knota nieruchoma, ściągnięta złością twarz wyglądała strasznie, jak portret diabła. — I nikt nie wie tego lepiej niż ja!

— Dlaczego? — nie zdołałem ukryć drżenia w głosie. Czułem, że się duszę, korytarz robił się coraz ciasniejszy.

— Dlaczego co? Dlaczego musiał zginąć? — spytał i od razu odpowiedział: — za dużo wiedział... Nie był już potrzebny. Przeszkadzał... ale nie powiem ci komu, sam się domyśl.

Kilka kroków dalej Bernat przystanął, opadł na kolana, wsparł się na ramionach.

— Jesteśmy w połowie drogi — wyciągnął język i dyszał na czworakach jak pies. — Musimy odpocząć, tu prawie nie ma powietrza, kręci mi się w głowie... Teraz zaczyna się tak ciasny odcinek, że będziemy się czołgać.

— Myślisz, że hrabina...

— Coś ty jej robił, co? — przerwał mi Bernat, kręcąc z niedowierzaniem głową. — Ale w ogóle... Aaron, jak to jest, że wszystkie baby w Loarre... — umilkł i zaczął nasłuchiwać. Przyłożył ucho do kamiennego podłoża.

— Coś za nami lezie! Ta twoja dziwka puściła za nami jakieś zwierzę! Zrzucaj kaftan, szybko! To go na chwilę zatrzyma! — wrzasnął, po czym padł na brzuch i zwinny niczym jaszczur wcisnął się w wąski otwór.

Strach pozbawił mnie rozumu. Zapomniawszy, gdzie jestem, poderwałem się na nogi, uderzyłem w strop tak mocno, że straciłem na chwilę czucie w nogach, ciepła strużka krwi popłynęła mi po plecach. Objając boleśnie dłonie o ściany wąskiego tunelu, zdarłem kaftan i cisnąłem za siebie na ziemię. Jarzący się punkt już dawno utonął w ciemności wraz z Bernatem. Otaczała mnie teraz nieprzenikniona czerń. Padłem na brzuch. Przeciskałam się przez coraz ciasniejszy korytarz, bijąc jak oszalały łokciami i kolanami o skalne podłoże. Płakałem, wylem ze strachu i bólu. Słyszałem za sobą coraz wyraźniej sapanie zwierza. Było tak ciasno, że nie mogłem nawet obrócić się na plecy, by walczyć nogami. Wreszcie dojrzałem na końcu tunelu jasną plamę światła, parłem do przodu, ocalenie było już na wyciągnięcie ręki, gdy poczułem, że bestia chwytła mnie za nogi i wciąga do gardzieli... A potem jasny punkt zgasł, rozległ się ryk tysiąca trąb i skały runęły mi na plecy.

XV

Wygładasz jak zdjęty z krzyża... — głos Bernata przebił się przez nicość i przywrócił mnie do rzeczywistości.

Leżałem na porośniętym trawą skalnym występie. Nad głową rozciągał się jasny błękit nieba. Przed wzrokiem strażników z zamku osłaniał nas las karłowatych sosen. Miałem na sobie tylko polepioną od krwi koszulę i buty.

Przypomniałem sobie wszystko. Zwymiotowałem zalegającym w trzewiach bólem i strachem. Bernat wybuchnął śmiechem.

— Przepraszam, Aaronie, przepraszam. Tam nic nie było, wydawało mi się... Mogłem cię uprzedzić. Zawsze tak jest na końcu tunelu. Gdy brakuje powietrza, roją się majaki... Ależ ty się boisz o tę swoją żydowską dupę!

Tacy są ci pieprzeni Katalończycy. Tylko tyle potrafią, mścić się! Mogłem się tego spodziewać. Obsrany kataloński pies. No, ale z drugiej strony... nie było tak źle, mógł mnie zarżnąć w tych ciemnościach, tak jak tego biednego przechrztę.

Wziąłem głęboki wdech i poczułem ból w piersi, cały byłem potłuczony.

— Ocaliłeś mi życie... — wydusiłem jakoś.

— Wykonuję rozkazy. To Sulima kazał.

Z trudem obróciłem się na bok, by spojrzeć na Katalończyka.

— Jesteś na jego rozkazy?

— Nie wiem, co łączy Zawiszę z Arandą, ale nie jest tak, jak mówią... Ty wierzysz? Że Aranda narażał się tak w Brugii dla jakiegoś chłystka? Zresztą, nie moja sprawa. Kazali mi słuchać Zawiszy, to słucham.

— Bernat, komu ty służysz?

— Służę każdemu, kto zapłaci... Ale gdy trzeba wybrać, to trzymam z silniejszym, jak każdy w tych parszywych czasach.

— Teraz się wszyscy dowiedzą o tym przejściu.

— Nie. Nikt się nie dowie. I ty też cicho, chłystku. Wygadasz, a skończysz jak don Solsona. — Przerwał, by czule poklepać mnie po ramieniu. — Wczoraj była narada u Zawiszy, jak cię z tego wyciągnąć, ale nikt nie miał pomysłu. Byłeś cały czas pilnowany. Hrabinie coś się stało. Oszałała na twoim punkcie... — Gdzieś ty jej wsadził ten swój żydowski nos, że cię tak kazała pilnować? — wyczułem w jego głosie nutę podziwu. — No więc obiecałem, że cię wydostanę, ale pod warunkiem że nikt nie będzie zadawał pytań.

Schodziłem po stromym zboczu skalistego wzgórza, z trudem pokonując ból podzieranych do kości kolan. Jakąś milę od zamku czekały na nas konie. Gdy dołączyliśmy do oddziału, Zawisza wziął mnie w ramiona, jakbyśmy byli braćmi. Reszta żołnierzy przyglądała mi się z obojętnością. Dano mi jakieś

ubrania.

Zawisza wszystko mi opowiedział. Na wyjazd z Loarre pozwolono tylko żołnierzom, którzy byli poza podejrzeniami: nie opuszczali podzamcza, a więc nie mogli wejść tamtego wieczora na teren zamku. Znalazł się wśród nich Joan.

Zawisza złożył na piśmie zobowiązanie, że stawi się przed sędzią, gdy tylko zostanie wezwany. Bernat natomiast miał od Arandy pisemne rozkazy, których urzędnik nie śmiał podważać. Ze mną się tak nie udało, bo ku zaskoczeniu wszystkich stałem się głównym podejrzanym. *Sobrejuntero* dowiedział się, że Caterina odwiedzała mnie nocami, i że kilka lat temu przyjęła wiarę mojżeszową. Podobno przyjął tezę, że zabójstwa dokonaliśmy razem. Orzekł, co nie było wielkim odkryciem, że mordercą był ktoś don Solsonie dobrze znajomy. Po pierwsze, nie było możliwości, by przeniknąć na zamek niezauważonym, po drugie, starego przechrztę znaleziono prawie nagiego, w koszuli nocnej; tuż przed zbrodnią ktoś przekroczył próg komnaty za jego przyzwoleniem, morderca i ofiara musieli się więc znać, najpewniej była to dziewczyna, na którą don Solsona czekał, co nie znaczy, że to ona utoczyła z niego krew. Ją zastano nad zwłokami, miała motyw, ale nóż mogłem trzymać ja.

Zawisza, zaniepokojony moim aresztowaniem, rycerskim słowem zobowiązał się, że będzie nade mną czuwał i doprowadzi mnie do sędziego, jeśli ten tylko wyrazi takie żądanie. Poświadczył również, że rozkazy Arandy stawiana się w Saragossie dotyczyły także i mnie, choć nie jest to jasno wyrażone na piśmie. Mimo takich deklaracji *sobrejuntero* nie zgodził się na mój wyjazd do Saragossy. Żaden z królewskich urzędników nie zaryzykowałby konfliktu z don Franciskiem de Arandą, zwłaszcza z tak błahego powodu. Juan Caverro musiał mieć rzeczywiście spory dług wdzięczności do splecienia wobec doñi Violante.

Pośród żołnierzy nikt nie wierzył w moją winę. Panowało powszechne przekonanie, że zbrodniczą ręką kierował de Lucio. Wielkimi i szybkimi krokami zbliżał się proces w sprawie defraudacji miejskiego majątku Fragi i don Solsona, jako skarbnik i prawa ręka kapitana we wszystkich działaniach finansowych, posiadał bardzo gorzką wiedzę. Nikt jednak nie odważył się mówić o tym głośno. Tak czy inaczej nadciągały ciężkie czasy dla kapitana. Król wciąż darzył go zaufaniem, ale brak sprawozdań finansowych z Fragi i Loarre w połączeniu z oskarżeniami o korupcję z pewnością to zaufanie nadwyreżyły. Na pewno doszły już do króla wieści z obłężenia: o śmierci mieszkańców Loarre, jego bezpośrednich poddanych, o zniszczonych polach. O braku zaufania do de Lucio świadczy też to, jak król zareagował na śmierć Solsony — przysłał swego urzędnika z Hueski zamiast powierzyć śledztwo kapitanowi.

Miguel de Bernabé, który miał poprowadzić eskortę do Saragossy, otrzymał zakaz opuszczenia murów zamku, wyznaczył więc w swe miejsce Zawiszę. Ten, podczas ekspedycji do Baskonii zeszłej jesieni, prowadził już samodzielnie małe grupy żołnierzy, poza tym od jakiegoś czasu pełnił funkcję zastępcy dowódcy w Loarre. Bernabé pomógł w zaplanowaniu drogi i przygotowaniu dwudniowych zapasów.

Zapowiedź Zawiszy, że dla oszczędności czasu nie będzie postojów w miastach czy osadach, nawet na nocleg, wywołała wściekłość żołnierzy. Bernat nieraz opowiadał, że dla załogi zamku takie wyprawy to jedyna rozrywka i okazja dotknięcia kobiety. Mogą nie pić wina i nie jeść mięsa po drodze, ale kobiet muszą zakosztować. Tanie przydrożne burdele, zwłaszcza na mniej uczęszczanych szlakach, były dla większości żołdaków jedyną po temu okazją. Zawisza nie zamierzał zmieniać zdania. Nie zgodził się na nocleg w karczmie, ale poprosił Bernabégo o zaplanowanie drogi tak, by nocny postój wypadł w pobliżu jakiejś osady. Żołnierze drogę do Saragossy znają na pamięć, wiedzą, co w każdej wiosce, w której chacie i za ile można dostać.

Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się na krótki popas. Zawisza i Bernat odjechali pół mili dalej, na lepszą łąkę, a ja zostałem z resztą żołnierzy. Gdy tylko zsiadliśmy z koni, Joan zastąpił mi drogę. Tym razem nie miałem szans. Wcisnął mi w usta jakąś szmatę, związał ręce, a potem zwałił się na mnie jak głąz. Pilnowało dwóch ludzi. Reszta udawała, że nie widzi. Joan wiedział, że się nie poskarżę, nawet mnie nie uderzył. Na koniec trącił mnie tylko czubkiem buta, żeby sprawdzić czy żyję, bo leżałem bez ruchu.

Na kolejny, tym razem nocny postój zatrzymaliśmy się nad skrajem szerokiego, stromego wąwozu, oddzielającego nas od małej wioski, której nazwy nie znałem; na jego dnie sunęła niemrawa rzeka, szeroka na cztery, pięć kroków.

Szybko zapadł zmrok. Zawisza, Bernat i reszta żołnierzy rozpostarli na ziemi koce i tak zamierzali przespać parę godzin. Ja jako jedyny zbudowałem sobie prowizoryczny szałas — poza żółtym kręgiem światła otaczającym ognisko, tak by ciemność chroniła mnie przed wzrokiem żołnierzy. Ci, gdy tylko któryś spojrzał w moją stronę, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia z Joaniem i parskali tłumionym śmiechem. Czułem piekący ból i nienawiść. Zawisza zgodził się pożyczyć mi swój sztylet; miałem go sobie wziąć na noc do obrony przed leśnym zwierzem. Nóż od Ayhe miał za krótkie ostrze.

Ustaliwszy porządek czuwania, Zawisza zawiązał się w skórę, odwrócił plecami do ogniska i szybko zasnął. Tak jak przypuszczałem, żołnierze po kolei podnosili się z postania i zamiast trzymać wartę, ruszali w dół jaru, przechodzili rzekę wąskim brodem i udawali się do wioski. Za każdym razem rozlegało się szczekanie psów, na krótki czas potrzebny do zaspokojenia żądzy nastawała cisza, by potem znów psy mogły ją zakłócić wściekłym ujadaniem. Po powrocie do obozu zapadali w kamienny sen. W końcu przyszła kolej na ostatniego z nich — Joana.

Gdy Joan zniknął w mroku, Aaron wysunął się z szałasu i podszedł do śpiącego Zawiszy. Wodząc dłońmi po trawie, bez trudu odszukał sztylet. Wyjął go z pochwy. Przytknął czubek długiego, cienkiego ostrza do pleców śpiącego. Jakież by to było proste!

Ruszył w dół jaru. Przed przejściem przez rzekę zdjął ubranie i przeszedł wodę nagi. Zobaczył światło przed jedną z chat — dwie kobiety stały z lampami

w ręku. Joan podszedł do nich, zamienili kilka słów i wszyscy troje weszli do środka.

Po jakimś czasie znów zaskrzypiały drzwi i na progu ukazała się ciężka sylwetka Joana. Oprócz kobiet musiał też skosztować wina albo innego napitku, bo wyraźnie się zataczał. Gdy schodził w dół parowu, poślizgnął się na wilgotnych liściach i wjechał nogami do rzeki aż po pas. Zaklął głośno. Stanął ponownie na nogi. Aaron był już za nim; wbił sztylet głęboko tam, gdzie spodziewał się, że Joan ma serce. Trafiał precyzyjnie, bo żołnierz zwałił się twarzą do wody, nie wydawszy nawet jęku. Aron odciągnął trupa kilkanaście kroków w dół rzeki, napchał kamieni pod koszulę i zatopił w nurcie. Wrócił do brodu, na umyte z błota ciało przywdział suche ubranie. Był gotów do poniesienia surowej kary. Oddał Zawiszy brudny nóż: to była jego spowiedź.

Zwinęliśmy obóz wczesnym świtem. Zawisza po krótkich nawoływaniach ogłosił Joana dezertorem i zarządził wymarsz. Żaden z żołnierzy nie ośmielił się zasugerować, by zapytać w wiosce.

Po przybyciu do Saragossy żołnierze pojechali do pałacu Aljafería, gdzie spodziewali się zastać Arandę i otrzymać dalsze rozkazy. Zawisza niechętnie, z uwagi na wydarzenia w Loarre, pozwolił mi udać się do dzielnicy żydowskiej. Obiecałem, że jak tylko załatwię swoją sprawę, a nie zajmie mi to więcej niż kilka godzin, stawię się w pałacu do dyspozycji don Arandy. Kłamałem. Nie zamierzałem się przed nikim stawiać. Niech mnie szukają.

Z bijącym sercem ruszyłem pieszo w kierunku domu Salomona. Nie spieszyłem się, wiedziałem, co czeka mnie na miejscu.

Na patio spotkałem Azmela — ucieszył się na mój widok. Padliśmy sobie w ramiona. Jego prawie ślepe oczy zalśniły radością.

I usłyszałem to, czego się tak obawiałem: Estera tydzień temu nagle zniknęła, a następnego dnia Sticker wywiózł gdzieś Ayhe.

Estera, widząc, co się dzieje z majątkiem Salomona, uciekła do Sewilli. Nie dotrzymała umowy. Nie powinienem był dawać jej tych dokumentów!

Azmel zaprowadził mnie do sypialni Salomona i bez słowa otworzył drzwi. Na łóżku, pośród zmiętych ubrań i resztek jedzenia leżał Salomon w samej koszuli. Z ust ciekła mu strużka śliny, przeraźliwe charczał. Na stole stało kilka dzbanów, domyśliłem się, że pustych. W izbie panował kwaśny smród potu i wymiocin.

— Tak jest codziennie, odkąd Estera wyjechała — oznajmił Azmel z troską w głosie. — Można z nim porozmawiać chwilę po południu, jak wstanie, ale wieczorami zawsze pada pijany.

W mojej izbie mieszkała teraz nowa służąca — kilkunastoletnia córka przyjaciela Salomona z Morverde, Atama Lobella, który kilka razy podnosił się po krachu banków, aż upadł tak nisko, że nie był w stanie wyżywić własnych dzieci. Dziewczyna była podobno bardzo miła i wykształcona. Potwierdzał to porządek, jaki panował w kuchni, i kilka ozdób zdradzających dobry gust młodej Żydówki. Moje łóżko dalej płakało żywicą. Wyobraziłem sobie, jak dziewczyna załamuje ręce nad kolejną poplamioną sukienką albo

stara się oczyścić łydki z żółtobrazowej klejącej mazi. Zajrzałem do kufra — moich rzeczy tam nie było. Zapytałem o nie Azmela.

— Wszystko, co zostało po was, przeniosłem do szopy, wiesz, gdzie — odparł sługa.

„Po was”. Pierwszy raz ktoś „nas”, Ayhe i mnie, połączył słowem. Poczułem wdzięczność dla tego poczciwego człowieka. W wiklinowym starym koszu znalazłem moją koszulę, modlitewnik, sandały Ayhe i zwinięte w kłęb purpurowe szaty, te, w których chodziła na targ.

— Azmelu, w mojej skrzyni, na dnie, był pergaminowy rulon... Pamiętasz?

— Tak, coś było... — odparł z namysłem stary sługa. — Wszystkie papiery zniosłem do gabinetu Salomona. Pewno są w tym samym miejscu, gdzie je zostawiłem... On już nie zamyka gabinetu. W ogóle mało czyta i pracuje.

Azmel wyglądał na poważnie zatroskanego. Trudno się było temu dziwić. Tuż nad grobem miał sobie szukać nowego domu? Kto mu da chleba?

— Źle z nim jest, Aaronie — mówił. — Może ty coś poradzisz... Odkąd wyjechała Estera, nie można się z nim porozumieć. Wiesz, co zrobiłem? Posłałem wczoraj chłopaka od sąsiadów po Dolza i Vidala. Może przyjadą. Ojciec utrzymywał ich przez całe życie, pora płacić długi.

Rulon znalazłem na stercie dokumentów czekających na otwarcie, przeczytanie i rozpatrzenie. Nie chciałem się nawet domyślać, ile z nich to pozwy, upomnienia, prośby o zapłatę. Podziękowałem Azmelowi i zapowiedziałem, że wrócę po południu.

Notariałem pergamin i przebiegłem po nim wzrokiem. Pisał je jakiś rotariusz, ale w imieniu Tidemanga Stickera, tak informował nagłówek. Adresatem pisma był sam Guillem Borreda, naczelny sędzia Fragi. Imię Johan powtarzało się kilka razy, wychwyciłem też kilka innych, nic mi nie mówiących, aż wreszcie natrafiłem na nazwisko brzmiące znajomo — Conques. Tak! Guillermo Conques! I dwa wersy niżej: Caterina Conques. Nie było wątpliwości, Sticker proponował sędziemu wpłacenie kau-cji za tego samego Johana, uwodziciela z Fragi! Co teraz? Kogo prosić o pomoc? Przychodził mi do głowy tylko jeden człowiek, do którego i tak musiałem się udać, zważywszy ma stan zdrowia mojego wuja. Był nim jurysta Enrique Cerdan. Za to, jak potraktował Ayhe, nienawidziłem go całym sercem.

Cerdan, odkąd pamiętam, pełnił funkcje zaufanego prawnika i notariusza rodziny Abnarrabích. Wiele razy, gdy już pracowałem jako kancelista u Salomona, przychodził do naszego domu, a ja gestami, słowami, grymasami twarzy dawałem wyraz swojej niechęci. Salomon, nie rozumiejąc powodów, miał do mnie o to duże pretensje.

Cerdan, jak przystało na jednego z najzamożniejszych jurystów Saragossy, posiadał dwupiętrową kamienicę w pobliżu kościoła San Pablo, prawie tak okazałą jak dom Stickera. Zajmował izby na pierwszym i drugim piętrze, a dół wynajmował na kantor Açachowi Almachuquíemu, byłemu szewcowi, a teraz bankierowi odnoszącemu niezwykle sukcesy na rynku kredytów.

Służący krzątający się na małym przydomowym ogródku wprowadził mnie na piętro. Cerdan nie ukrywał zaskoczenia.

— Aaronie, święty duch! Coś się stało?

Powiedziałem mu, że po dłuższej nieobecności zastałem Salomona

zmożonego chorobą, i chciałem zapytać, jak interesy wuja, czy nie ma czegoś pilnego do załatwienia.

— Problemów jest wiele, Aaronie, jest ich tyle, że musimy chyba poczekać, aż twój wuj... wyzdrowieje. Niech Bóg sprawi, by stało się to szybko.

— Czy wiecie coś, panie, o pieniądzach? 10 tysięcy soldów... miały pójść na wykup tych rezerw bydła... Nieprzewidziane okoliczności zatrzymały mnie w Loarre i...

— Don Francisco de Aranda pytał o to samo — przerwał mi jurysta — kilka dni temu. Obawiam się, że zastał dostojnego Salomona w takim stanie, jak ty dzisiaj. I przyszedł do mnie. Powiedziałem mu, że nie zajmuję się finansami. Myślę, że don Francisco de Aranda już wie wszystko... Podobno uruchomił całą swoją szpiegowską armadę, żeby zebrać informacje o twoim wuju. Trochę późno...

Poczułem ulgę. Teraz to Aranda musi coś zrobić. A potem niech mnie ukarze. Wolałem zgnić w więzieniu, niż sprowadzić głód na niewinnych ludzi.

Przez chwilę mierzyliliśmy się wzrokiem. Cerdan miał nade mną przewagę — byłem mu obojętny, jeśli czuł do mnie niechęć, to była ona wywołana moim zachowaniem. I teraz to ja przychodziłem żebrać o pomoc.

— Mam, don Enrique, jeszcze jedną ważną sprawę — podałem mu list od Stickera. — Mam podejrzenie, prawie pewność, że Tideman Sticker, ten prawdziwy, nie żyje, został zamordowany przez niemieckiego górniką, który teraz podszywa się pod niego.

— Mówisz o Stickerze, tym handlarzu? Co za bzdury, Aaronie — skrzywił się.

Powtórzyłem słowo w słowo to, co opowiedział mi don Solsona. Cerdan przejrzał list do sądu w sprawie kaucji.

— Takie oskarżenie na podstawie jednej kartki jest niepoważne, Aaronie, i to jeszcze wobec Tidemana Stickera. Co ty chcesz udowodnić? Nie masz teraz innych zmartwień?

— Pamiętacie, don Enrique, co mówił ten marynarz? Pamiętacie? Rok temu, był w Saragossie, gadał w karczmie. Prawdziwemu Stickerowi obcięto trzy palce. Nasz Sticker ma całe dłonie! Nie zna się na żegludze, nigdy nawet nie wsiadł na statek, żeby go nie zdemaskowano! Po co chciałby wpłacać kaucję do sądu za jakiegoś Johana?

— Aaronie, przecież wiesz, że twój wuj zbierał różne informacje na temat Tidemana, także przy mojej pomocy. Dużo wiem na jego temat. Zaręczam ci, że to jest ten sam.

— Możecie mi pomóc, don Enrique, w dotarciu do zeznań tego Johana?

— Nie — odparł sucho Cerdan. — Fraga jest w domenie królowej. Nikt ani mnie, ani tobie nie udostępni z sądów królewskich akt sprawy zakończonej wyrokiem śmierci.

— Sticker już ma problemy z prawem — nie ustępowałem. — A to...

— Tak — uciął Cerdan. — Zniknął na dobre z Saragossy. Ale to przez twego wuja, jeśli dobrze pamiętam sprawę tych przeklętych galer... Węszą za nim już nie prawnicy, Aaronie, ale łowcy niewolników, których Konsulat zatrudnia do ściągania długów. A z nimi nie ma żartów. Zresztą Sticker to wie, bo sam ich często wynajmował, kiedy mu towar uciekał...

Cerdan mlasnął z irytacją, wyraźnie zły na siebie, że poświęca mi tyle czasu

i uwagi.

— Aaronie, dom twojego wuja, twój dom... rozpada się, za chwilę nie będzie miał dachu nad głową. Tym się teraz zajmuj! Co się z tobą dzieje?

Czułem się przybity i upokorzony, skłoniłem się, by wyjść, gdy usłyszałem:

— Podobno spotkały was same nieszczęścia przez tę niewolnicę. Mówiono mi, że jesteś oskarżony o rajfurstwo. Naprawdę żałuję, że sprzedałem Ayhe Salomonowi i narobiłem wam kłopotu.

— To była dobra służąca — powiedziałem, odruchowo zaciskając pięści. — Salomon bardzo ją cenił.

— Tak, tak, dobra niewolnica, do tego piękna i gorąca, ale zawsze ściąga chmury nad dom, w którym mieszka. Przecież Salomon musiał przez tę diabolicę zamknąć interes! Ja też miałem z nią same kłopoty.

Ty wieprzu, wyszeptałem, ledwo poruszając wargami. Cerdan wrócił do swoich papierów i nie patrzył już na mnie.

— A! Powiedz wujowi... — dodał, nie podnosząc głowy — gdy się przebudzi... że właśnie dostałem pismo od zakonników, że to ostatni rok, kiedy trzeba łożyć na utrzymanie tego bachora, od przyszłego roku będzie mógł zostać w klasztorze już bez opłat. Sam zarobi na swoje utrzymanie.

— Jakiego bachora?

— No tej Saracenki.

Słowa Cerdana uderzyły mnie w pierś jak młotem. Poczułem suchość w ustach. Dziecko Ayhe, chłopiec, żyje! Ileż leż ona przy mnie wylała. Tyle razy prosiła, błagała Salomona, by powiedział choć słowo, co się stało z jej synkiem. A więc trafiła do chrześcijańskiego klasztoru! Został ochrzczony? Dlaczego stary Żyd to przed nią ukrywał? Kto był ojcem? Cerdan? Starałem się uspokoić oddech.

— W jakim jest klasztorze? — chciałem nadać pytaniu swobodny ton, ale gardło miałem ściśnięte.

— Co cię to obchodzi? — Cerdan podniósł głowę. Chyba wyczuł zmianę w moim głosie. — Twój wuj obiecał łożyć na jego utrzymanie, tak długo, jak będzie trzeba. Za miękkie ma serce nasz stary Żyd! No więc powiedz mu, że potrzebuję tych dziesięciu soldów. Już ostatni raz. Jak nie ma, to mogę ten jeden raz ja zapłacić. Pieniądze trzeba wysłać w tym tygodniu.

Muszę się dowiedzieć, gdzie trzymają chłopca! Teraz albo nigdy.

— Mój wuj, jak wiesz, panie, płaci drobne sumy różnym klasztorom — kłamałem, z trudem panując nad głosem. Nie miałem kropli śliny w ustach. — Widziałem, że w zeszyte zaznaczył kilka takich wypłat. Mógłbym sprawdzić...

Cerdan obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem. Ale błysk uwagi w jego oczach zgasł po krótkiej chwili. Zapewne wrócił myślami do sprawy, przy której go zastałem. Gdyby nie to, łatwo odkryłby kłamstwo. Nie wiem, dlaczego mi odpowiedział. Może uznał, że jeśli zechcę, sam się dowiem. Nie przypuszczał zapewne, że Salomon ukrywał przede mną wszystko, co dotyczyło przeszłości niewolnicy, a zwłaszcza losów jej dziecka. A może żał mu było dziesięciu soldów.

— W Verueli. Sprawdź, czy twój wuj zapłacił, i daj mi pilnie znać. A teraz idź już, mam dużo pracy — oddalił mnie gestem dłoni.

Gdy znalazłem się na ulicy, przyrzekłem sobie, że wyciągnę chłopca

z klasztoru. Zamieszka z nami... z Ayhe i ze mną. Boże, bądź mi łaskawy!

Wróciwszy do domu, znalazłem Salomona w całkiem dobrej kondycji i gdybym nie widział go rano kompletnie pijanego, pomyślałbym, że przekrwione oczy i napuchnięta twarz to efekt przemęczenia.

— Aaronie, wszystko wiem! — uściskał mnie serdecznie. — Co, chłopcze, myślisz zapewne, że przywozisz dobre nowiny, co? — wypuścił mnie z ramion.

Cuchnęło od niego starym winem, ale wydawał się trzeźwy. „Myślisz zapewne”? Co to znaczyło? Powiedziałem mu o zabójstwie don Solsony.

— Taki był ważny ten Solsona, powiadasz, że sam król zarządził dochodzenie? Tak to jest... Z wielkiej wysokości do dołu głębokiego... — machnął ręką. — Bóg z nim!

Staliśmy na patio oświetlonym słońcem. Salomon miał na sobie tę samą błękitną szatę co w dniu, w którym przekroczyłem próg jego gabinetu i jego tajemnic.

— Czy rozmawiałeś, ojcze, z don Arandą?

— Niestety, zmogła mnie choroba, Azmel mówił mi, że Aranda był tu kilka razy. Ale wcześniej przysłał pieniądze, wiesz? Równo 10 tysięcy soldów. Część w złocie, część w notach bankowych...

— Gdzie one są?

— To twoja zasługa, tak, tak, pamiętam o obietnicy... — widziałem, jak gasną mu oczy. — Wszystko już wydane.

Powiedziałem o zmianie w planach dostawy bydła. Patrzył na mnie obojętnym wzrokiem.

— Aaronie! Sam wiesz najlepiej, gdzie poszły te pieniądze. Nie udawaj świętego! Ale to już wszystko nieważne. Chodź, pokażę ci list od Arandy.

I tak jak wtedy, rok temu, gdy wydawało mi się, że słońce już zawsze będzie mi świecić na głowę, wskazał ramieniem na schody. Poszliśmy do jego gabinetu.

— Wiesz już, co się stało? Chciałem ci posłać wiadomość przez tego żołnierza, Bernata, ale nie wyglądał na bystrego i chyba nic nie zrozumiał — siedząc za stołem, cały czas pocierał twarz, jakby senność była pudrem, który można zetrzeć. Ale sam głos miał mocny, dźwięczny jak za najlepszych lat. — Daliśmy się ograć jak ślepy w kości!

Co jeszcze? Mówi się, że nowe nieszczęścia każą zapomnieć o starych. To nieprawda. Na kolejne złe wieści czekałem z obojętnością.

— Masz, czytaj!

Podał mi spory arkusz pergaminu, złożony na cztery części. Treść, w postaci drobnych, starannych liter, zajmowała jedną trzecią strony. Tyle potrzebował don Francisco de Aranda, by oskarżyć wuja o sprzeniewierzenie 10 tysięcy soldów i zagrozić sądem, oznajmić o utracie zaufania i wypowiedzeniu wszelkich dotychczasowych ustaleń poczynionych między nimi. Na koniec składał podziękowania, jako wierny sługa króla Aragonii, za wszelkie

informacje dotyczące przemytu bydła i zapewniał mego wuja, że sprawą zajmą się odpowiedni urzędnicy, a Salomon zostanie wynagrodzony wedle uznania samego monarchy.

— Oto jak robi się interesy z gojami! — Salomon wyrwał mi pergamin. — Od samego początku tak prowadził grę, by nas oszukać. Te 10 tysięcy... to była pułapka. On wszystko wiedział... Aranda chce być lisek, ale zapomina, że na lisy też się poluje! — zawołał Salomon. — Nie pytaj mnie, co teraz... Muszę się naradzić z Astruchem, Bienvenistem i Abencanyasem. Zainwestowaliśmy ogromne pieniądze w to przedsięwzięcie, położyliśmy wiele na szali. Dlatego mówiłem ci, że niepowodzenie tej operacji oznacza dla nas ruinę. Od początku byliśmy tego świadomi, ale nikt nie wziął pod uwagę zdrady. Widzisz, Aaronie, różnie o nas, Żydach, mówią... Tak, grzeszymy, ale znamy granice chciwości, poza którą człowiek niszczy sam siebie, popada w obłąd. Chrześcijanie jej nie znają i dla pieniędzy tracą rozum.

Widziałem w jego oczach lęk i przynębenie.

— Gdzie byłeś od rana? — zapytał, nalewając sobie pełen puchar. — Chcesz wina?

Pokręciłem głową. Pragnąłem się upić, ale nie teraz, nie w jego domu.

— U Cerdana.

— Czego od niego chciałeś?

— Zapytać, jak się mają sprawy, bo Azmel mówił mi, że jesteście, ojcze, chorzy — odparłem, żeby mnie przestał wypytывать.

— A, tak, źle się poczułem, to wiek — Salomon niedbale machnął ręką — będziesz miał tyle lat co ja, też się złamiesz w takie dni. Opowiedz mi o Loarre.

Opowiadałem powoli, dzień po dniu, jak mijał czas na zamku, i czego dowiedziałem się o Sulimie. Chciałem mu też powiedzieć o pamiętniku — Salomon musi wiedzieć, że wiele jego i nie tylko jego tajemnic znalazło się w obcych rękach — ale na samą myśl o tym strach dławił mi gardło. Postanowiłem, że zrobię to na sam koniec.

— No cóż, los tego cudzoziemca jest mi już obojętny — westchnął Salomon, gdy skończyłem. — Niech go Bells hom Affraham potnie na kawałki. Wszystko w rękę Boga, a On zna grzechy Arandy. Wiesz, że Aranda naprawdę otruił to dziecko?

Zabraliśmy się do pracy. Starłem się przy okazji wyciągnąć z Salomona jak najwięcej informacji o Ayhe, póki wino nie odebrało mu jeszcze rozumu, ale moje pytania zbywał pogardliwym wykrzywieniem ust. Omawialiśmy po kolei najpilniejsze sprawy związane z interesami, a te wyglądały coraz gorzej. Salomon popijał cały czas. Trwało to kilka godzin. Nie ośmieliłem się zwrócić mu uwagi, że tyle wypitego wina powaliłoby dziesięciu ludzi.

Ni stąd, ni zowąd, z pijaną satysfakcją opowiedział, jak to do Saragossy przybył niedawno Calema Xalafax z Nawarry, ten sam, który pożyczył pieniądze na ratowanie syna. Suma, jaką dostał, wystarczyła na kaucję i wyrok zamieniono na grzywnę, pierworodny został uratowany, żyje i ma się dobrze, jednak procent, jakiego zażądał Salomon, sprawił, że mimo wysiłków całej rodziny Calema Xalafax nie był w stanie zwrócić pożyczki w terminie. Salomon odmówił prolongaty i wszczął egzekucję zastawu — domu i ziemi, całego majątku Saracena.

Wreszcie na koniec, już ciężkim, ale jeszcze nie bełkotliwym głosem, oznajmił, że Ayhe była u nich na Pesach, a potem została kilka dni. Czekala na mnie, a potem Sticker zabrał ją prosto do Ayerbe.

— Sticker przechwalał się, że zbije teraz na Ayhe majątek. Sam Juan de Urríes chce ją od niego odkupić. Tak mu się spodobała, że podobno nie wypuszcza jej z łóżka. Dureń z tego Niemca... nawet nie wie, co go czeka... — grzmiał Salomon.

Przed oczami zawirowały mi czarne plamy.

— A ty coś tak zbladł? Co się stało?

— Przypomniałem sobie... — wydusiłem, żeby zyskać czas na dojście do siebie — *oidor* wspomniał... że Urríesowie pozyskali sojusznika, Ferrána Martíneza.

— Tak, wiemy już. To prawdziwe nieszczęście. Nasz przyjaciel z Daroki, Martín de Linsa, wysłał mi nawet list w tej sprawie. Jest blisko tego węża i mnie ostrzegał... To dobry chłopak... Wiesz, że zmarła ich córeczka? Bardzo to przeżył. Chciał nawet zrzucić sutannę, ale jego... ukochana jest znów przy nadziei, z czegoś musi ją utrzymać, no i jakoś odnalazł wiarę i służy nadal Kościołowi. Ciężko ma ten Bóg z takimi sługami!

— Jest jeszcze coś... — wziąłem głęboki wdech gotów wyznać wreszcie sprawę pamiętnika i uciec stąd, ale w tej samej chwili dały się słyszeć jakieś hałasy i głosy na patio. Salomon wyszedł na chwiejnych nogach z gabinetu na galeryjkę i przechylił się przez poręcz. Na wszelki wypadek przytrzymałem go za ramię. Pozdrowił kogoś.

— Bardzo pilnie? — spytał, nie mogąc powstrzymać pijackiego uśmiechu. Widać było, że myślami jest już na patio.

Pokręciłem głową.

— No to niech poczeka do wieczora. Teraz chodźmy na dół — zawołał wyraźnie ucieszony — Vidal i Flora. Kochane dzieci...

Vidal przywitał się ze mną chłodno, ale uprzejmie. Flora utraciła gdzieś dziewczęcy powab. Praca w winnicy, opieka na dzieckiem uczyniły z niej dojrzałą kobietę. Zawsze spoglądała na mnie zalotnie, teraz jej oczy wyrażały powagę. Przy powitaniu ścisnęła mnie mocno za ręce i przywarła na dłużej, niż wypadało. Chyba czuła na swój kobiecy sposób, co wkrótce miało się wydarzyć.

Zostawiłem ich pod pretekstem konieczności pilnego załatwienia spraw z moim gospodarzem. Po miesięcznej nieobecności z pewnością czekały do nadrobienia spore zaległości w buchalterii przybytków Juana Sáncheza. Nie miałem jednak sił na rozmowę z nim. Ten pogodny z natury, obdarzony lisim sprytem Katalończyk czuł do mnie niekłamaną sympatię, z pewnością będzie wypytywał o setki nieważnych spraw; nie chciałem go urazić milczeniem i ponurym obliczem. Serce biło mi z przerażenia na myśl o tym, co mogło dziać się na zamku w Ayerbe. Do głowy pchały mi się obrazy gwałtów, rozpustnych uczt, wielodniowych orgii, z których słynął zamek Urríesów. Zdrada Arandy nie zajmowała moich myśli ani przez chwilę.

Bezwiednie skierowałem kroki do domu Stickera. Margarida jest teraz

zapewne sama, pilnuje domu. Widywałem się z nią często, odkąd Ayhe zamieszkała u Stickera. Ja dopytywałem o Ayhe, a ona z ulgą otwierała się przede mną, gdy zrozumiiała, że jestem jej życzliwy. Dużo opowiadała o sobie. Pochodziła z kraju, który nazywał się w tamtejszym języku *Eesti*.

Ale zawróciłem z tej drogi. Wiedziałem, że nie znajdę u niej pocieszenia. Margarida od początku uważała Ayhe za dziewczkę, która bierze między nogi każdego, kto obiecuje jej wyzwolenie. Nie chciałem teraz tego słuchać.

Ruszyłem w stronę gospody Casa Ferriza z nadzieją na jakieś wieści od Joshua. Był zadowolony się! Karczmarz, gdy tylko mnie zobaczył, udał się na zaplecze i przyniósł zapisany po hebrajsku skrawek pergaminu. Poznałem pismo. Mój przyjaciel cały ten tydzień miał spędzić w Saragossie i prosił, by zostawić mu wiadomość. Co za ulga! Upiję się z Joshua! Napisałem na odwrocie, że będę czekał tego dnia wieczorem i następnego od rana. Uścisnąłem dłoń karczmarza i pobiegłem do synagogi. Tam uspokoiłem myśli i zaplanowałem najbliższe dni.

Wieczorem, gdy wszedłem do Casa Ferriza, Joshua już na mnie czekał. Od razu wyjawilem przyjacielowi swoją prośbę: chciałem, by pod byle pretekstem (niech weźmie nowe wzory swoich ceramik) udał się do Ayerbe i postarał się czegoś dowiedzieć o Ayhe. Niech siedzi tam jak najdłużej i zbiera informacje. Wszystko! Może uda mu się porozmawiać z Ayhe. Jeśli tak, niech powie, że wydostanę ją stamtąd! Nie mogłem mu towarzyszyć, jeszcze nie teraz. Joshua był zaskoczony takim powitaniem, ale zgodził się bez wahania. Obiecał wyruszyć już za parę dni.

Od razu zamówiłem garniec najlepszego wina. Zaszumiła mi w głowie. Poczułem ulgę. W przypiływie wdzięczności zaprosiłem przyjaciela do swojego pokoju w przybytku Juana Sáncheza. Po oczach poznałem, że nie mogłem mu sprawić większej przyjemności. Poderwał się z ławy i kazał na siebie poczekać. Wrócił po chwili z tajemniczą miną i jakimś pakunkiem przypominającym książkę. Wypiwszy ledwie kwartę wina, uciekliśmy z karczemnego gwaru.

Joshua nie umiał ukryć podniecenia, zachowywał się jak psie szczenię: wyprzedzał mnie, a potem czekał, aż się z nim zrównam, i znów przyspieszał kroku. Pierwszy raz miał przekroczyć próg chrześcijańskiego burdelu. Urosłem w jego oczach jeszcze bardziej, gdy sam właściciel, sławny Juan Sánchez, serdecznie się ze mną uściaskał. A potem był już tylko niemy podziw: każda mijana na wąskich korytarzach prostytutka rzucała mi się na szyję, albo przynajmniej, jeśli szła z klientem, serdecznie się do mnie uśmiechała.

Joshua kręcił głową z zachwytem. Sam też, jak oznajmił, nie marnował czasu. Tak jak zapowiadał wówczas pod szkołą, zaciągnął się jako cyrulik na galery. Nie było to trudne. Każdy, kto przeszedł krótki egzamin, mógł zostać pomocnikiem medyka na morzu. Miejsc zawsze było więcej niż chętnych, więc i na egzaminie nie wymagano zbyt wiele.

Joshua przeprowadzał setki szczerych rozmów z marynarzami o ich życiu, o radościach, kłopotach i kobietach. Z dumą opowiadał o swojej książce. Tytuł pozostawił: *Speculum al foder*²³. Pokazał mi stos kilkudziesięciu pergaminowych kart zapisanych drobnym pismem. Wziął je ze sobą, gdy dowiedział się, dokąd idziemy.

— Aaronie, zrobię dla ciebie kopię. Ty z twoją urodą i pozycją, jak jeszcze

dowiesz się wszystkiego o kobietach... będziesz królem!

Gdy weszliśmy do mojej izby, Joshua położył wszystko na łóżku.

— Napisałem to po hebrajsku, tylko tytuł jest po łacinie. Chcę sprzedać rękopis za pięćset soldów. Kto to kupi, dużo zarobi, może tłumaczyć na wszystkie języki.

— Nie boisz się?

— Oczywiście, że się boję, dlatego nie podaję swojego imienia... — odparł Joshua. — Traktat jest podzielony na dwie części. W pierwszej są porady, przepisy, jak wzmocnić chęć i siły, higiena, trochę o maściach, wiesz, czym się smarować, żeby zawsze działało, jak często się kłaść z kobietą, żeby nie umrzeć, bo można od tego się pochorować, no więc wszystko, co musisz wiedzieć o uprawianiu miłości z medycznego punktu widzenia. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową, choć nie miałem pojęcia, co można napisać na tylu kartkach.

— Druga część jest ciekawsza, bo więcej jest o kobietach: jak zachowują się w obliczu miłości, jak je uwodzić, żeby mogły udawać, że tego nie widzą, no i napisałem też, jak rozróżnić piękną niewiastę od brzydkiej. Niby wiadomo, ale jak posłuchasz stu marynarzy, to każdy mówi inaczej, w końcu jakoś to można zebrać do kupy, no i zebrałem. Potem spisałem dwadzieścia sposobów, jak odbyć miłosny akt...

Joshua patrzył na mnie w skupieniu.

— I co sądzisz?

Wyciągnąłem jedną kartkę, mniej więcej ze środka stosu. Zapisana była oczywiście po hebrajsku. Były na niej trzy akapity, a każdy zaczynał się od słów „A oto kolejny sposób”. Odczytałem jeden z nich: „A oto kolejny sposób: niech mężczyzna stoi, a kobieta niech obejmie go za szyję; niech on chwyci ją pod uda i uniesie, a potem wprowadzi w nią członek, i niech mocno do siebie przylegają. Kobieta musi cały czas mieć ręce zarzucone na szyi mężczyzny, bo inaczej nic z tego nie będzie”.

Joshua wpatrywał się we mnie, jak czytam, przenosił co chwilę wzrok z moich ust na kartkę. Wyciągnąłem jeszcze jedną. Zaczynała się od słów „... ważne zatem, by on znał wszystkie te sposoby zdobycia jej serca”, kończących myśl z poprzedniej strony. A potem szło tak: „Kobieta przechodzi przez pięć okresów w swoim życiu: pierwszy to dzieciństwo, aż do skończenia lat ośmiu; drugi okres trwa do dwudziestego roku życia; trzeci do trzydziestego roku życia; czwarty do skończenia lat czterdziestu; i piąty — aż do ustania miesiączek. I tak w pierwszym okresie życia mówi ona zawsze prawdę na każde zadane jej pytanie i niczego nie ukrywa, nie wstydzi się ani kobiet, ani mężczyzn. W drugim okresie jest bardziej wstydliva i lubi skrywać przed innymi to, co wie. W trzecim okresie jest już w pełni kobietą, umie i ma wszystko, czego potrzebuje. W czwartym okresie ciągnie ją bardzo do mężczyzn; znacznie wtedy łagodnieje w mowie i zachowaniu; lubi obserwować i czuwać nad wszystkim. W okresie piątym psuje się jej wzrok, traci ciepłość, ciało ma luźniejsze i służy mężczyźnie jak umie najlepiej. Kobietę, która przekroczy ten okres w życiu, uważa się za starą i nie powinno się kierować pożądaniami w jej stronę”.

— To wszystko... prawda? — spytałem, odkładając pergaminy w swoje

miejscu.

— Jedyna! I objawiona przez setki marynarzy, żony przyjaciół, żony wrogów, portowe dziewczki, młode wieśniaczki, stare mieszczyki, kobiety najwyższego i najniższego stanu — recytował zadowolony z pozytywnego wrażenia, jakie na mnie wywarł.

Do pokoju z dzbanem wina weszła jedna z prostytutek. Po chwili przyszła inna z dwoma miskami baraniny: zamówiłem posiłek, aby nie powtórzyła się sytuacja z naszego ostatniego spotkania. Joshua jadł z apetytem, popijając wino. Był wyraźnie rozczarowany, że dziewczki obsługują nas tak, jakbyśmy byli w karczmie, a nie w burdelu. Poruszyło go moje zapewnienie, że przyjaźnię się z większością kobiet pracujących u Juana Sáncheza, ale żadnej nie ciągałem do łóżka. A miałbym za darmo!

— Aaronie — odezwał się Joshua, gdy już zjedliśmy. Ton jego głosu się zmienił. — Tolosana i Ceti wiedzą, że wróciłeś, i chcą z tobą rozmawiać...

— W sprawie Salomona?

Joshua kiwnął głową

— Wszystko wiem od ojca... — zaczął nieśmiało. — Z Salomonem Abnarrabím jest źle. Z nim, z jego majątkiem, a przez to z całą naszą *aljama*... To już od dawna źle wygląda. Podobno Abram i Jacob, zanim zginęli, przyznali się po pijaku, że to Salomon ich nasłał na Ayhe, bo nie miał już wtedy ani jednego solda na pożyczki dla Arabów i szukał pretekstu, żeby się pozbyć tego interesu...

Wypite wino, które niczym fosa odgrodziło mnie na chwilę od upiornych myśli, wyparowało w mgnieniu oka. Wróciła ponura trzeźwość. Nie chciałem uwierzyć w tę plotkę.

— Twój wuj już od dawna się upijał i przegrywał majątek w kości... Ale teraz pije od rana, coraz więcej oszustów kręci się wokół niego. Nie kontroluje już finansów. To trzeba przerwać, Aaronie, jak najszybciej. Jego synowie to kiepy, a Estera wystraszona uciekła do Sewilli. Ona tu i tak była tylko dla pieniędzy — przerwał ten straszny potok słów. Po chwili dodał: — Chyba to widziałeś? Teraz taki zrujnowany Salomon nie był już jej do niczego potrzebny. Twój wuj, zdaje się, bardzo to przeżywa. Zawsze tak jest. Żona bogatego jest jak kozłátko, ale niech tylko mąż zbiednieje, to wyłazi z baby koza rogata...

Przerwał, bo w tym momencie rozległ się łomot do drzwi na dole, potem chyba zostały wyważone, bo coś runęło z łoskotem, aż zatrzęsły się ściany. Podkute żelazem buty zadudniły na schodach. Zastygliśmy w bezruchu. Z tego pokoju nie było ucieczki. Myśli miałem jasne: odkryto ciało Joana i ktoś doniósł na mnie albo doña Violante wysłała za mną morderców; jedno z dwóch. Ciężkie kroki zatrzymały się pod drzwiami. Na korytarzu usłyszałem głos Juana Sáncheza: „to ten pokój”. Potem ktoś mocno kopnął i drzwi z impetem rozwarły się do środka. Weszło trzech żołnierzy — uzbrojonych, ale bez oznaczeń na kolczugach.

— Aaron Abnarrabí? — spokojnym głosem zapytał jeden z nich, patrząc na mnie.

— Tak...

Dwóch pozostałych wykręciło mi ręce do tyłu; nim zarzucili mi worek na głowę, zobaczyłem, jak Joshua skulił się w kącie, błądy ze strachu. Żydom za

przebywanie w chrześcijańskich burdelach groziły ciężkie kary. Ale napastnicy nie zwracali na niego uwagi.

Spodziewałem się najgorszego. Ale najgorsze nie następowало. Poza gwałtownym wykręceniem rąk porywacze zachowywali się powściągliwie w zadawaniu bólu; powiedziałbym nawet, że starali się mi go oszczędzić: ktoś pochylił mi głowę podczas wpychania do zamkniętego wozu; gdy pomyliłem stopnie przy wysiadaniu — podtrzymano, bym nie upadł. W drodze, która trwała nieskończenie długo, nikt mnie nie uderzył, nie naciskał, nie popychał.

Nie wiedziałem ani dokąd, ani którędy jedziemy. Nic nie widziałem, nie czułem też zapachów, gdyż worek, który cały czas tkwił na mojej głowie, cuchnął zgniłymi jarzynami. Jedynie na samym początku po stukocie kół o brukową kostkę poznałem, że opuszczamy Saragossę północnym mostem.

Po przybyciu na miejsce dwóch ludzi wzięło mnie pod ramiona i sprowadziło po stromych schodach do jakiegoś chłodnego, wilgotnego pomieszczenia. Zostałem tam chyba sam. Przez związane z tyłu ręce nie mogłem usiąść. Po jakimś czasie usłyszałem kroki. Zdjęto mi worek z głowy. Zamrugąłem oczami, bo przez kurz z worka i ostre światło płomienia zabolaty mnie oczy. Naprzeciw mnie stał jakiś mężczyzna z pochodnią w ręku. Dopiero po chwili go poznałem — Francisco de Aranda ruchem ręki nakazał żołnierzowi, by przeciął mi więzy, a potem by się oddalił.

— Bardzo trudno cię było znaleźć — oznajmił na powitanie. — Mam nadzieję, że moi ludzie traktowali cię właściwie. Takie mieli rozkazy. Twój wuj został już powiadomiony, że jesteś bezpieczny.

— Jestem aresztowany? Za co? — spytałem, rozcierając obolałe od twardych sznurów nadgarstki.

Aranda uśmiechnął się nieznacznie.

— Muszę powiedzieć, że byłem wstrząśnięty, gdy dowiedziałem się o śmierci tego żołnierza.

Brakowało mi tchu, dusiłem się. Opadłem na kolana.

Aranda wybuchnął szczerym śmiechem.

— Ależ jemu się to należało! Tak należy traktować dezertów! Wstań — zawołał, wyciągając rękę w moją stronę.

Ten człowiek kpił sobie ze mnie. Nie wiedziałem, o co mu chodziło, ale poczułem ulgę, że nie znalazłem się tu z powodu morderstwa.

— Zawisza mówił mi, że nie dałeś po sobie poznać, ani śladu emocji... No, może to nie byłeś ty... Moi ludzie z kolei, jak słyszałem, dopadli cię w burdelu, z jakimś Żydem i kilkoma kurwami! Masz duszę ulicznika, a nie księgowego.

— Nie było dziewczek...

— A! Wyszły wcześniej? No to przepraszam.

Aranda krążył wokół mnie, jakbym był niewolnikiem, a on kupcem.

— Kim ty u diabła jesteś, Aaronie Abnarrabi?

W końcu stanął naprzeciw mnie. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Ale kimkolwiek byś był, jesteś mi potrzebny — oświadczył, patrząc mi

w oczy. — Doniesiono mi, że ktoś węszy za tobą, i to nie w przyjaznych zamiarach. Miałeś zostać uprowadzony lub zabity, jeślibyś stawiał opór. Postanowiłem ich uprzedzić i cię tu ściągnąć. Uratowałem ci życie!

Zapadła długa cisza.

— Nie jesteś ciekaw, któż to taki? Kto się tak za tobą stęsknił? — zapytał Aranda z wyrazem udawanego zdziwienia na twarzy.

— Nie — odparłem.

— Kłaaamiesz. Kłamiesz — powtórzył — więc ci powiem. Szukali cię lotrzykowie, których do załatwienia porachunków w mieście zwykle wykorzystują Urríesowie. Każda większa rodzina ma takich swoich oprychów. No więc za tobą szli ci właśnie, od Juana de Urríes.

Stałem niemal bez ruchu, bolały mnie ramiona, plecy, nogi, pragnąłem już usiąść albo się położyć. Nadchodził ten najgorszy czas po biesiadzie, kiedy ciało mści się za wypite wino, żąda pokuty za chwile beztroski. Przymknąłem powieki.

— Słuchaj dalej — znów zabrzmiał spokojny głos Arandy. — Dziś rano dostałem listy z Loarre. Te dwie dziewczki z kuchni, ta matka z córką...

— Caterina i Francesca — dopowiedziałem cicho.

— Tak, właśnie. Otóż znaleziono je martwe, w ich celach, powiesiły się...

— Niemożliwe! — krzyknąłem.

— Twoja ucieczka — Aranda mówił dalej beznamiętnym tonem — obudziła w dońi Violante prawdziwą lwicę. Chciała ślać pościg za wami, na szczęście ten Caverro zakazał żołnierzom opuszczenia Loarre. Zawisza wszystko mi opowiedział o zabójstwie don Solsony. Caverro uznał cię wszędzie za podejrzanego, ale to w żaden sposób nie tłumaczy paniki, tego, co się tam działo po waszym wyjeździe.

Aranda założył ręce za plecy i znów zaczął krążyć wokół mnie.

— Tak więc, zanim powiem, czego ja od ciebie oczekuję, musisz mi to wszystko wyjaśnić. Chcę ci pomóc.

— Gdzie jest Zawisza? — spytałem.

Aranda pomyślał zapewne, że chcę zyskać na czasie.

— Będzie tu za parę dni.

— Tu? To znaczy?

— Jesteś w mojej posiadłości, choć rzadko do tego pięknego miejsca zaglądam — na twarzy Arandy odmalowało się zniecierpliwienie. — Trzymam tu więźniów, których z różnych względów nie mogę przesłuchiwać w Saragossie. Tu mogę bez pośpiechu i bez świadków z nimi rozmawiać. — A potem prawie wesoło, ale władczo dodał: — Ty oczywiście nie jesteś więźniem i nasza rozmowa nie jest przesłuchaniem!

Nie odczułem w jego głosie tonu wrogości, raczej pełną napięcia ciekawość. To mnie uspokoiło. Ogarnęła mnie obojętność, powiedziałem wszystko: o nocy spędzonej z Cateriną, o jej podejrzeniach wobec Perita, dokumentach wyniesionych z gabinetu Solsony, zostawiając na później wyjaśnienie, dlaczego ich potrzebowałem, i na koniec o moim pamiętniku, który dostał się w ręce dońi Violante. Aranda ani razu mi nie przerwał i o nic nie pytał. Gdy zacząłem opowiadać o moich zapiskach, i co zawierały, odszedł parę kroków i oparł się o ścianę celi. Skrzyżował ramiona, twarz ściągnęła mu wściekłość.

— Wszystko? — zapytał, siląc się na spokojny ton. — Zapisywałeś wszystko?

— No, to byłoby niemożliwe, nie da się zapisać każdego słowa.

— Do diabła! — wrzasnął. — Wiesz, o czym mówię!

— Tak, wszystko...

— I chowałeś to w skrytce? Myślałeś, że ci ludzie nie znają wszystkich zamkowych schowków? Twój rozum ma jednak luk! — Aranda z trudem nad sobą panował. — Pisałeś o planach w sprawie bydła?

— Każde słowo z naszych rozmów...

— I o tym, co wiesz o Zawiszy?

— O jego bójce w Brugii, i skąd to wiem, i jak się dowiedziałem, wszystko.

Aranda podniósł brwi i kręcił z niedowierzaniem głową. Opowiedziałem mu także o Ceti.

— I oczywiście jest na tych kartach, że się z nią kładłeś? — pytał z urągliwym uśmiechem.

— Tak... że z nią, a potem z innymi — dodałem, nie zdając sobie sprawy, że brzmiało to jak szczeniacka duma. — Wszystko tam jest... A jak tylko dostanę pergamin i pióro, dopiszę, że spędziłem też noc z dołą Violante...

Aranda podniósł głowę.

— Łiesz!

— Bóg mi świadkiem!

— Który? — ale zaraz machnął ręką. — Ona cię dopadnie, trzeba z nią zawrzeć układ. Jak najszybciej. Nie wiem, coś wymyślę. Jutro pošlę do niej kogoś... Hrabina musi zwrócić te zapiski, całość, jak najszybciej.

— Myślicie, panie, że je komuś pokazała?

— Nie, myślę, że nie... Ale może to zrobić.

— Cóż z tego, że nam to zwróci, może zrobić kopie!

— W Loarre tego nie robi. Musiałaby przyjechać do Saragossy. Kopie musiałby potwierdzić notariusz, żeby mogły kiedykolwiek posłużyć za dowód. O takim zleceniu na pewno będę powiadomiony. Obojętnie do którego miasta by się udała. Ile jest tych kart?

— Nie liczyłem. Koło stu, zapisanych po obu stronach.

— Przepisanie potrwa kilka tygodni albo dłużej... Muszę to wszystko przemyśleć. Zostawmy to teraz.

Aranda milczał przez dłuższą chwilę.

— Twój wuj popełnił straszny błąd, okradając mnie z pieniędzy. Tobie pewno mówił, że to ja chciałem go oszukać — patrzył na mnie, czekając na potwierdzenie. — Stary Salomon... szkoda go — mówił głosem pełnym udawanego współczucia. — Podobno chciał się mnie pozbyć! Wiedzieliś o tym?

Milczałem.

— Stracił rozum... myślał, że jak mnie usunie, na stadach zarobi tylko on. I jaką lekką ręką skazał na głodową śmierć setki ludzi w Walencji! Dobrze wiedział, co się stanie w mieście, jeśli nie będzie dostaw mięsa na czas...

Aranda miał rację. To wszystko było bezmyślne, nieprzygotowane, nieudolne.

— I tak łatwo daliście się oszukać z tym pojedyńkiem? Naprawdę twoi Żydzi uwierzyli, że jestem na tyle szalony, by wystawiać Zawiszę do pojedynku na miecze przeciwko Bellsowi hom Affrahimowi? Mają mnie za takiego głupca?

No co tak patrzysz? Przecież kazali ci za nim łązić... — przerwał na chwilę. Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście czuł się urażony. — Bienvenista zawsze miałem za durnia. Ale twój wuj? Wielki Salomon Abnarrabi? Przyjacieli samego Hasdaya Crescasa? Wino musiało mu już wypłukać rozum do cna!

— Nie rozumiem, panie...

— Na życzenie władcy Sycylii, Marcina, który zaszczyli swą obecnością to wydarzenie, pojedynek odbędzie się... konno, na kopie! Król ogłosił to wczoraj — Aranda zaśmiał się, a potem rozkaszał. Długo trwało, zanim się uspokoił. — I gdzie jest teraz ten straszny Bells hom Affrahim?! Podkulił swój żydowski ogon i całuje w dupę jakiegoś kapitana, żeby go zabrał z powrotem na Majorcę — przetarł dłonią załzawione od kaszlu oczy. — Przepraszam, Aronie, za ten żydowski ogon...

Aranda jeszcze tego samego dnia kazał przynieść dla mnie wygodny gruby słomiany materac, kilka skór do przykrycia, stół i krzesło. Moja cela, choć Aranda wciąż zapewniał, że to nie więzienie, ale schronienie, nie miała okien, więc dostarczono mi świece, które rozjaśniły pomieszczenie ciepłym żółtym światłem i uczyniły go miłszym. Jakimś sposobem zaczęło docierać tu ciepłe powietrze, nie odczuwałem już takiego chłodu, a dym z pochodni i świec uchodził swobodnie i nie gryzł w oczy.

Dostawałem syte i smaczne posiłki. To one odmierzały czas.

Aranda schodził do mnie codziennie. Bardzo szczegółowo wypytywał o wszystko, co znalazło się w pamiętniku. Musiałem mu szczegółowo opisywać dzień po dniu. Zwracał oczywiście szczególną uwagę na te fragmenty, które dotyczyły jego osoby. Bywało, że chował twarz w dłoniach, przykładając pięści do uszu, żeby nie słyszeć; kilka razy przestraszyłem się, że nie wytrzyma i mnie uderzy. Chwilami wybuchał śmiechem.

W drugim lub trzecim dniu mojego pobytu w tym dziwnym areszcie Aranda zaczęła wypytywać o Zawiszę.

— Bardzo jestem rad — oświadczył, gdy opowiedziałem, ile zawdzięczam młodemu rycerzowi. — On też mówił o tobie w dobrych słowach. Przyjdzie wam spędzić razem wiele czasu, taką mam nadzieję...

— Wszystko zależy od tego, co stanie się z kapitanem de Lucio i samym Loarre.

— Wszystko zależy od ciebie — odparł Aranda. — Ale o tym za chwilę. Co do Loarre, to nie musisz się martwić. Zamek i osada pozostaną w domenię króla, już moja w tym głowa. A przyszłość kapitana de Lucio jest już przesądzona. Tak, słowo „przesądzona” pasuje tu doskonale — dodał.

Streścił mi historię upadku kapitana Loarre, częściowo pokrywało się to z tym, co mówił mi już Salomon, a częściowo potwierdzało słuszność moich domysłów. Nie spodziewałem się jednak, że tak głęboko w korupcję zanurzona jest też królewska para.

— No! — zawołał na koniec Aranda — poświęciłem ci wiele czasu, zdradziłem wiele tajemnic. Domyślasz się, że nie robię tego z... nudów, braku innych zajęć?

I nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Pora, byśmy porozmawiali poważnie. Tak jak ci zapowiadałem, oczekuję czegoś w zamian za uratowanie ci życia — przerwał na długą chwilę. Potem zapytał: — Wiesz, że znam Cerdana? Jurystę twego wuja?

Siedzieliśmy na niewygodnych taboretach przy małym, kwadratowym stole, tak blisko, że czułem na twarzy jego oddech. Nie znośm tego. Ludziom na ogół cuchnęło z ust.

— Pracuje dla mnie, jak większość notariuszy w Saragossie. Jesienią zeszłego roku doniósł mi, że twój wuj, Salomon Abnarrabí sporządził testament. Wiedziałaś o tym?

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, ale pytania o testament wydawały mi się niestosowne. Każdy majątny Żyd w pewnym momencie życia sporządza testament, cóż w tym nadzwyczajnego?

— Poza winnicami, które zapisał swoim synom, ty odziedziczysz cały jego majątek. Wszystkie nieruchomości i ruchomości, jakie posiada. Domy, statki, udziały w spółkach, wszystko. Sam wiesz najlepiej, ile tego jest.

Cóż ten człowiek chce osiągnąć przez wygadywanie takich rzeczy? Zbyt powoli zbierałem myśli, żeby zatuzować zaskoczenie.

— Salomon będzie żył jeszcze...

— Jeszcze kilka miesięcy — uciął Aranda. — Nie dłużej. Nie udawaj, że myślisz inaczej. Rozmawiałem z samym Astruchem Rimochem, to wasz lekarz, Żyd z Fragi. Zna się na takich pijakach, opiekuje się nimi. Umarło na jego oczach już wielu. Badał Salomona i to mi właśnie przepowiedział. — Aranda przybrał tak zatroškany wyraz twarzy, że znów pomyślałem, iż kpi ze mnie. — Sam się domyślasz, że w dniu jego śmierci, oby przyszła jak najpóźniej, staniesz się najbardziej wpływowym Żydem Saragossy. I... najbardziej zadłużonym. Dziesiątki procesów, wizyty wierzycieli, długi, nienawiść, podziw, miłość, zazdrość. Wszystko to cię spotka.

— Dlaczego? Po co to zrobił? Dlaczego mi nie powiedział?

— Nie powiedział ci, bo bał się, że uciekniesz. Że nie będziesz taki... bezkrytyczny w kryciu jego długów.

— Niczego nie ukrywałem!

— Ale prowadziłeś bardzo dziwną księgowość.

— Regułę podwójnego zapisu wprowadził Salomon!

— Żeby móc łatwiej fałszować księgi, bo niewielu się na tym wyrozumie! — wykrzyknął. — Ale TY jesteś wszędzie podpisany. TY, Aaronie.

— Do czego zmierzacie, panie?

— Wyjedziesz z Saragossy — odparł Aranda. — Najlepiej z Aragonii. Na rok, może dłużej. Salomon już nad niczym nie panuje, Cerdan przejmie jego sprawy.

— Co gdy wrócę?

— Gdy wrócisz, będziesz musiał stoczyć wojnę z Tolosaną de Caballería, tą piękną żydowską hieną. Zwietrzyła padlinę twego wuja. Tolosana liczy na to, że pozbędzie się was, Abnarrabích, z miasta na zawsze. Pamiętasz Judę Tuliego?

— Tak, był księgowym mojego wuja, zanim ja...

— Teraz jest księgowym Tolosany. Domyślasz się, co to oznacza.

— Tak — odparłem. — A co potem?

— A potem będziemy robić interesy. — Jediną oznaką wagi, jaką Aranda przykładał do tego fragmentu rozmowy, było szybkie przenikliwe spojrzenie, którym mnie obrzucił. — Ty i ja. Potrzebuję kogoś wpływowego w saragosskiej *aljama*. Wszyscy zyskają. Ty, ja, *aljama*, król. Postawiłem na twojego wuja, ale się pomyliłem. Ty jesteś inny... Mam nadzieję.

— Wiele żądasz, panie...

— Tak, sporo. Ale też dużo daję — mówił obojętnym tonem. — Jako mój człowiek w *aljama*, będziesz robił, co... o co cię poproszę... ale także korzystał z moich wpływów. Pamiętaj, że większość interesów robię w imieniu przysiężnego króla, Marcina. Zyskasz wielkie wpływy na dworze. Wszyscy Żydzi o to zabiegają.

Co sprawia, że ludzie mnie tak traktują? Obsypują pochwałami, by za chwilę zniewolić, potraktować jak psa, jucznego osła, jak niewolnika sprzedawanego z rąk do rąk.

Aranda wstał od stołu.

— Zostawię cię teraz, muszę wyjechać. Przemyśl to...

Jeśli się nie zgodzę, czy Aranda każe mnie bić, torturować? Mówią o nim, że jest zdolny do wszystkiego. Po co mi mówił te rzeczy o de Lucio, o królowej, o królu? Żebym nie miał złudzeń, że obciążając mnie taką wiedzą, puści mnie stąd wolno? Było mi to teraz obojętne.

— Nie boję się śmierci — powiedziałem do wychodzącego już z celi Arandy.

— Och, nic nowego... — powiedział Aranda, odwracając głowę. — Muszę ci powiedzieć, że większość więziennych bohaterów nie boi się śmierci, wręcz jej pragnie! Wierzę, że nie boisz się śmierci. Ale zaręczam ci: ścieżka, jaka z tego miejsca do niej prowadzi, jest tak straszna, że najwięksi bohaterowie zawracają już po pierwszych krokach. Ale! O czym my mówimy?

— Jaka jest pora dnia?

— Jest noc... no tak, prawda, ty nie wiesz...

— Panie! — usłyszałem swój głos. Wiedziałem, że i tak nie uzbieram w sobie dość odwagi, by odmówić. Odwlekanie tego nie miało sensu. — Zgodzę się, jeśli wyświadczysz mi pewną przysługę...

Aranda zawrócił i cicho zamknął za sobą drzwi do celi.

— Jeśli? — uśmiechnął się. — Chłopcze, już raz uratowałem ci życie. I zrobię to jeszcze raz... i do tego uczynię z ciebie bogatego i wpływowego Żyda. Dlaczego mówisz „jeśli”? — pytał, udając zdziwienie. I umilkł na chwilę. — Ale zgoda. Tylko proszę, byś nikomu nie mówił, że stawiałeś warunki Francisco de Arandzie. Jaką to przysługę mam ci wyświadczyć?

Wyjawiłem mu sprawę Stickera i moje podejrzenia co do jego prawdziwej tożsamości. Najpierw powiedziałem o statkach, przejętych nielegalnie w Barcelonie po przekupieniu urzędników królewskich, potem o sprawie Johana. Przyznałem mu się, dlaczego robię to wszystko. Słuchał uważnie, ani razu mi nie przerywając.

— Znowu mnie zaskakujesz! Straciłeś głowę dla saraceńskiej niewolnicy... Och, miłość to siła straszliwa — odniosłem wrażenie, że tym razem mówił szczerze, nie kąpił. — Jeszcze dziś wyślę ludzi po Stickera.

— Podobno zaszły się gdzieś...

— Aaronie, ten łajdak prowadzi interesy z połową dworu, znajdziemy go.

Sam chętnie się go pozbędę. Od dawna czułem odrazę do tego typu. Na początek wystarczy sprawa tych statków. I masz rację, po aresztowaniu król może zająć jego majątek, jeśli oczywiście sędzia na to pozwoli. A myślę, że pozwoli — roześmiał się. — No to... jesteśmy po słowie.

Tego dnia, o ile dobrze odczytywałem upływ czasu, Aranda już się nie pojawił. Cię nadziei na odzyskanie Ayhe przywrócił mi siły do życia, ponura cęła wydała mi się przytulniejsza.

Obudziły mnie głośne kroki na schodach. Od razu poznałem, że tym razem mój gnębićiel nie był sam. Otwarły się drzwi. Pierwszy do cęła wszedł... Zawisza! Zerwałem się z pryczy. Po raz pierwszy, schodząc do mnie, Aranda nie zamknął górnych drzwi i białe dżienne światło rozświetliło więzienny korytarz i sięgnęło progu cęła.

— Aaronie! — powitał mnie rycerz, ściskając za ramiona. — Cieszę się, że cię widzę w zdrowiu.

— I ja jestem rad, że cię widzę, panie.

Tryskał dobrym humorem. Spojrzał pytająco na Arandę.

— Zgodził się — potwierdził Aragończyk.

Sulima powiódł po mnie wesołymi oczami.

— Znakomicie! — zawołał, a potem zwrócił się do Arandy. — Wypuśćcie go!

Aranda skinął głową i jakby na potwierdzenie mojej wolności jeszcze szerzej otworzył drzwi do cęła. Nie mogłem w to uwierzyć! Można było odnieść wrażenie, że to Sulima wydaje rozkazy...

— Znakomicie — powtórzył młody rycerz. — Porozmawiamy w drodze do Perpignan.

A potem odwrócił się do Arandy:

— Bądźcie łaskaw, dostojny panie, ubrać do drogi i nakarmić tego młodzieńca. Jutro ruszamy! Weźmiemy trzech ludzi. Wybierzcie z tych, co ze mną przyjechali.

Wyruszyliśmy następnego dnia w sześć koni: ja, Aranda, Zawisza oraz trzech żołnierzy, którzy mieli pełnić funkcje giermków podczas pojedynku. Droga do Perpignan wiodła okrężną drogą przez Hueskę, gdzie Aranda odbył długą rozmowę z Juanem Caveró. Tylko Zawiszy wyjawiał treść spotkania. Stamtąd ruszyliśmy na Monzón.

To właśnie między Hueską a Monzón, mniej więcej w połowie drogi, Zawisza wstrzymał konia, tak że zostaliśmy nieco z tyłu.

Najpierw opowiadał mi o wojnie handlowej jego ojczyzny z krajem niemieckich zakonników, zwanym Prusami, by niespodziewanie przejść do talentów i politycznych koneksji Francisca de Arandy. Zdziwiło mnie bardzo, że Sulima tyle wie na jego temat, ale jeszcze bardziej — dlaczego łączy ze sobą te dwa wątki.

— Don Francisco jak pies rozwiera nozdrza, gdy wyczuje, że można coś zarobić — oświadczył niespodziewanie.

A potem opowiedział mi, jak to rok temu, w pierwszych dniach wiosny, tuż przed wyjazdem polskiej delegacji do Brugii, jeden z najbliższych doradców polskiego króla wysłał poufne listy do Arandy z wiadomością, że szykowane jest zamknięcie dróg handlowych do Prus. A to dla kupca odpowiednio wcześniej poinformowanego mogło być prawdziwą żyłą złota.

Dlaczego aragoński dworzanin otrzymał takie listy? Nie zdążyłem zadać tego pytania. Zawisza sam je postawił i od razu odpowiedział. To, co usłyszałem, uznałem początkowo za nieporozumienie wynikające z braków, jego lub moich, w łacinie. Prosiłem o powtórzenie po aragońsku, a potem jeszcze raz po łacinie, bo wciąż nie dawałem wiary własnym uszom. Długo trwało, nim przyjąłem do wiadomości, że don Francisco de Aranda już od kilku lat służył polskiemu królowi, a Polacy płacili mu pieniędzmi oraz cennymi informacjami, takimi jak choćby ta o handlowej wojnie z Prusami...

— Aaronie, bo mi spadniesz z konia! — Zawisza patrzył na mnie z rozbawieniem. — Polski dwór zna plany Francisco de Arandy. Już niedługo wasz tron ma objąć brat obecnego króla, Marcin, a papieżem w Awinionie zostanie aragoński kardynał Pedro de Luna. Aranda jadał z nimi z jednej miski. I wiemy to nie od niego. Płacimy mu dużo, ale uważamy, że warto.

— Po cóż waszemu królowi takie wsparcie? — wciąż nie mogłem w to wszystko uwierzyć. — Kto w waszych stronach wie o Aragonii? A tu? Polonia usłyszysz najwyżej z ust tych, co chcą powiedzieć Bolonia, a nie dojadają...

— Szykujemy się do długiej i krwawej wojny. Mój król potrzebuje politycznego poparcia na wszystkich dworach, nie tylko aragońskim, jak się domyślasz.

— Będziecie prosić króla, by przysłał rycerzy?

— Nie! Będziemy zabiegać o to, żeby ich nie przysyłał naszemu wrogowi. Ale nie tylko o to. Don Francisco napełnia z naszą pomocą swoje kufry, a my

dzięki niemu możemy liczyć na przychyłność króla Jana. W niektórych tylko sprawach... — Sulima uniósł rękę, jakby chciał powiedzieć „zaręczam, że Aranda nie działa na szkodę Aragonii”. — No i czekamy na jeszcze bardziej życzliwego nam króla Marcina i papieża Aragończyka.

Zdumienie ustępowało powoli ciekawości. Zaintrygowało mnie, w jaki sposób Aranda wzbogacił się na zamknięciu dróg handlowych do Prus. Zawisza postanowił mi to szczegółowo wyjaśnić. Kazał mi zsiąść z konia. Podeszwą wygładził piaszczysty kawałek drogi, i mówiąc, czynił rysunki podniesionym z pobocza patykiem. Oto jak przedstawiała się cała rzecz²⁴.

Polski król porozumiał się ze szczecińskim księciem Bogusławem tak, by cały handel przez Polskę do Flandrii szedł nie na Prusy, ale przez należące do pomorskiego księstwa zachodnie porty, a także Stralsund, Greiswald, Anklam... (Anklam! Przypomniałem sobie tę nazwę z listów znalezionych w kufrze Zawiszy). Taki był plan. Ta informacja szybko rozlała się po kupieckiej Europie. Ale większość kupców wątpiła, czy polski król zaryzykuje taką wojnę z Prusami. Żadna kompania handlowa w Brugii w to zamknięcie granic nie wierzyła... Na tym polegała istota sprawy. Każdy kupiec w Brugii musiał rozważyć, czy posyłać statki do tych nowych portów po towary i narazić się kupcom pruskim. Stawką były tysiące florenów, dziesiątki tysięcy... Kto pierwszy się zdecyduje, dużo zyska, bo ceny w północnych portach były niskie, a towary — głównie węgierskie żelazo i miedź — bardzo pożądane. Ale jeszcze więcej straci, jeśli to byłyby tylko plotki rozpущane przez polski dwór, jakies gry w jego negocjacjach z Prusami... co zresztą wszyscy w Brugii podejrzewali. Wszyscy oprócz Arandy, bo on wiedział dużo więcej niż inni.

Dlaczego kupcy w Brugii musieli domówić się z kupcami polskimi, skoro miedź i żelazo były węgierskie? Otóż wszystkie towary z Rusi i Węgier, żeby dotrzeć do Bałtyku, muszą iść przez Polskę. Innej drogi nie ma. Tu jest przewaga polskich kupców nad pruskimi. Polskie miasta mają prawo składu i przejmują towary. Wcześniej Polacy szli z nimi na północ, do Torunia, tam towary przejmowali kupcy pruscy i przez Gdańsk wysyłali do Flandrii. Ale teraz polscy kupcy chcą ominąć Prusy.

Aranda dostał od Polaków zapewnienie, że od końca sierpnia będą zamknięte granice z Prusami i cały towar z Węgier pójdzie przez zachodnie Pomorze. Bez pruskich narzutów. Zamiast do Gdańska Aranda posłał wszystkie statki po węgierskie towary do Anklam. Był pierwszy. Zapłacił tanio flandryjskimi postawami. Nie minął miesiąc, jak zarobił fortunę.

Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Sulima? Otóż będąc na służbie jednego z największych polskich możnowładców, brał udział w delegacji do Brugii — jako dowódca eskorty, ale także jako zaufany posłaniec swego pana, którego imienia jeszcze teraz nie chciał mi zdradzić. Miał następnie udać się do Saragossy, by czuwać nad przebiegiem handlowych operacji i realizacją wypłat dla Arandy. Nieszczęśliwe wypadki w Brugii zmusiły obie strony do zmiany planów.

To, co mówiła Ceti, okazało się więc prawdą. Teraz poznałem tylko więcej szczegółów. Dla pruskich kupców wojna handlowa z Polską oznaczała finansową katastrofę, dlatego usiłowali nie dopuścić do przyjazdu polskiej delegacji do Brugii. Gdy to się nie powiodło, chcieli ich wszelkimi sposobami

skompromitować. Udało się to dopiero po wielu dniach. Wtargnęli do karczmy, gdzie odbywała się wspólna wieczerza Polaków i Aragończyków, i sprowokowali bójkę. Rzeczywiście zginął w niej Pieter Howoschild, wnuk Lubertusa Howoschilda, jednego z najzamożniejszych Brugijczyków. Świadkowie wskazali, że to Sulima pchnął go sztyletem, choć nie było to prawdą. Ranił Brugijczyka, ale śmiertelny sztych zadał któryś z hanzeatów. Zanosilo się na poważny proces. Dlaczego Aranda go ratował, dlaczego tak ryzykował w Brugii? Bo musiał. Nie miał wyjścia. Aresztowanie kogoś z polskiej delegacji mogło mieć dla niego przykre konsekwencje. Odbyłaby się rozprawa, ci, co sprowokowali bójkę, zadbaliby o staranne przesłuchanie. Aranda, jako uczestnik wieczerzy, zostałby niechybnie wezwany na świadka. Mogłoby wyjść na światło wiele ciekawych rzeczy. Aranda już dużo wcześniej handlował z polskimi kupcami przez Gdańsk²⁵. Gdyby wyszło teraz na jaw, że dogadywał się z Polakami za plecami kupców pruskich... Mogłoby też się wydać jego kontakty z Hanżą, które trzymał w tajemnicy przed władzami Brugii... a Hanza przecież od dwóch lat bojkotuje Brugię... Na szczęście bójka rozegrała się w sobotę wieczorem, a urzędy i sądy otwierano dopiero w poniedziałek. Czasu nie było za wiele. Wchodziła w grę tylko ucieczka statkiem. Wykluczony też, przynajmniej na jakiś czas, był pobyt Zawiszy w Saragossie. Należało znaleźć jakieś inne, bardziej ustronne miejsce. Wybór padł na Loarre.

Zawisza początkowo nie zamierzał włączać się w tutejsze rozgrywki, został jednak do tego zmuszony, gdy intryga uknuta przez Urriésów, wsparta oskarżeniami aptekarza, doprowadziła do aresztowania Arandy. Gdyby odwrócić się od Arandy, przynajmniej na jakiś czas, byłoby to dla niego korzystne. Dopiero modlitwą i ciężkimi sakiewkami udało się przekonać królewski trybunał do oddania sprawy pod osąd boży.

— Dziwny jest ten świat, Aaronie. Wiedz, że staję do tego pojedynku z polecenia mojego króla...

Zawisza nasłuło się chmurami, powietrze poszarzało, jakby nagle nastał wieczór. Chwilę jechaliśmy w milczeniu. Przerwał je Zawisza.

— Aranda już ci wyznał, że potrzebuje teraz Żydów do wsparcia swoich interesów. Naszych interesów. Moja misja w Aragonii się kończy. Rad jestem, że będziesz z nami współpracował. Podobno zgodziłeś się od razu. Postąpiłeś mądrze. Z pomocą Arandy staniesz się najbogatszym Żydem Saragossy, bez jego pomocy trafiłbyś zapewne do więzienia. Nawet nie wiesz, jaką zaradę zostawił ci w spadku twój wuj — powiedział to głosem pełnym współczucia, przysięgłbym, że szczerego. — Aranda jest w konflikcie z katalońskimi kupcami, nie po drodze mu też z Genuą. Potrzebuje wsparcia saragosskich Żydów. Ty jako przedstawiciel gminy mu je dasz. Aranda ma wielkie plany. Jeśli się powiodą, uczyni Aragonię bogatą, i siebie przy okazji. I ciebie! Podniesiesz głowę wysoko, bardzo wysoko. Taka szansa trafia się raz w życiu.

Zawisza wtrzymał konia. Nagły podmuch potargał mu włosy.

— A teraz słuchaj! — przekrzykiwał wiatr. — Wiesz już, że musisz opuścić Aragonię. Aranda nie powiedział ci wszystkiego. W żadnym z królestw Hiszpanii nie będziesz bezpieczny. Chcemy... — przerwał, bo gwałtowne

zrywy wiatru dusiły słowa — chcemy... żebyś udał się do mojego kraju, przeczekasz tam, aż Aranda uporządkuje twoje sprawy, porozmawia z twoimi wierzycielami. Przemówi do nich chyba z ambony, bo tylu ich masz... No więc pojedziesz ze mną i poznasz ludzi, z którymi będziesz korespondował i handlował. To ważne, bo będzie potrzebne wzajemne zaufanie. Potem wrócisz.

Zawisza czekał, bym teraz ja się odezwał. Zamknąłem powieki, chroniąc oczy przed tumanami kurzu. Zacisnąłem usta.

— Trzyma cię tu ta dziewczka, ta niewolnica, tak? — krzyczał mi do ucha. — No to weźmiesz ją ze sobą. Takiej błyskotce nikt u nas krzywdy nie zrobi. A Żydzi mają lepiej niż tu, przekonasz się.

— Nie boisz się, panie, tego pojedynku? — nie wiem, dlaczego teraz o to zapytałem. Grzmoty niczym wielkie głązy potoczyły się nad naszymi głowami. Obaj spojrzeliśmy ku górze. — Kto ma słuszość przed Bogiem? Czy Aranda otruł tego chłopca?

— Nie wiem, Aaronie, nigdy go o to nie pytałem... Sąd boży to rozstrzygnie... A jakie to ma teraz znaczenie?

I spadły na nas wielkie krople deszczu, ciężkie jak ołów.

W Monzón zatrzymaliśmy się u stóp wzgórza zwieńczonego zamkiem należącym niegdyś do templariuszy. Jego mury były tak potężne, że wydawało się niemożliwością, by wzniosły je ludzkie ręce. To symboliczne miejsce dla wszystkich Żydów Aragonii. Gdy prawa i porządku pilnowali tu templariusze, zawiązała się między nimi i małą żydowską gminą w Monzón więź, jakiej już nigdy potem nie widziały chrześcijańskie ziemie. Zamek stał się schronieniem dla każdego dobrego Żyda. Nikt nie ośmielił się tu podnieść na nich ręki.

A potem gościli nas kolejne miasta: Lleida, Les Borges Blanques, Vinaixa, Valls, Vilafranca del Penedés, Sant Climent de Llobregat, Barcelona, La Roca del Valles, Sant Celoni, Sant Celoni, Hostalric, Girona, Figueres, La Jonquera i wreszcie Perpignan. Droga zajęła równie dziesięć dni.

Przed główną bramą opasanego podwójnym murem Perpignan tłoczyła się masa ludzi, koni, bydła i wozów. Najwidoczniej trafiliśmy na dzień targowy. Aranda i Sulima krzykami i kopniakami starali się przebić jakoś przez tę cizbę, ale było to niewykonalne. Posuwaliśmy się więc w szerokiej rzece ludzi, która bardzo powoli wlewała się do miasta. Strażnicy sprawdzali wszystkie wozy, szacowali wartość wwożonego towaru i od razu naliczali cło. Gdy przysła nasza kolej, Aranda rzucił jednemu z nich dokument z zaproszeniem na turniej. Mimo królewskiej pieczęci zdobiącej pergamin żołnierz obrzucił nas niechętnym spojrzeniem. Wjechaliśmy do miasta. Sulima przywdział wcześniej paradny rycerski strój, don Francisco najlepsze szaty, jakie miał ze sobą, ale nie wzbudzali takich zachwytów i podziwu, do jakich przywykli. Gdy przejeżdżaliśmy środkiem małego placu z kilkoma handlowymi budami, jakaś stara kobieta splunęła pod kopyta naszych koni. Wyjaśnił nam to później jeden z miejscowych rajców. To prości mieszkańcy Perpignan, poprzez ciężkie podatki, będą musieli pokryć koszty tej wielodniowej zabawy, krzywo więc patrzą na każdego obco wyglądającego rycerza, bo im więcej ich tu ściągnie, tym wyższe będą koszty. Jak zawsze przy takich okazjach — pieniądze popłyną szerokim strumieniem, ale tylko do kupców, hotelarzy, karczmarzy i kilku obrotnych rzemieślników. Ale te chamy, mówił rajca, jak rozpoczną się gonitwy, opiją się winem, będą się cieszyć, wiwatować i zapomną o podatkach. On sam zacierał ręce, bo miał warsztat stolarski i liczył na zarobek.

Pałac Królów Majorki znajdował się w samym centrum miasta, ale tylko Sulima i Aranda mieli go teraz zobaczyć. Dawna rezydencja królów Majorki podupadła, odkąd miasto znalazło się w granicach królestwa Aragonii. Przez ostatnie lata służyła tylko królowi i jego świcie podczas rzadkich wizyt w Perpignan. Przez najbliższe dni opuszczone przez większą część roku komnaty wypełnią goście, pałac zatętni życiem; szykowano się do hałaśliwych

zabaw. Liczni wybrańcy dostąpią zaszczytu przebywania i nocowania w towarzystwie monarszej pary.

Na mnie oraz trzech żołnierzy czekała skromna kwatery przy jednej z bocznych uliczek w południowej części miasta.

Właściciel domu, uprzedzony przez umyślnego kilka dni wcześniej, powitał nas z otwartymi ramionami. Należał do tych szczęśliwych mieszczan, którzy spodziewali się sutego zarobku z okazji festynu. Chudy, wysoki o szorstkiej cerze i grabiastych dłoniach przypominał uschłe drzewo. Co chwilę ostrzegał nas przed niskimi odzwiami; jak przyznał, sprowadził się tu kilka lat temu, ale do dziś bije w nie głową. Pochodził z Barcelony. Był starozem, dorobił się majątku w stoczniach, ale kryzys sprzed dziesięciu lat przepędził go z ojczyzno miasta. Teraz gościł głównie kupców z Katalonii. Pochwalił się, że piętro nad nami zajął właśnie jeden z nich — przyjechał z towarami dla samego króla! Gdy wymienił imię kupca, zabrzmiało mi znajomo: Lleó Marc. Tak przecież nazywał się ów kupiec, o którym opowiadał Mahabud! Zostawiasz żołnierzy, z którymi i tak nie miałem o czym rozmawiać, a na zapowiadane pijaństwo nie miałem ochoty, udałem się schodami na górę. Przedstawiłem się służącemu i zostałem natychmiast przyjęty.

— Ach! Słynny Aaron Abnarrabi! Mahabud wiele mi o tobie opowiadał — kupiec przywitał mnie serdecznie. — Jak się miewa twoja rodzina? Jak się ma twój wuj?

Namioty z jego niewolnikami, służbą i towarami przywiezionymi dla króla i kilku innych dostojników znajdowały się na perpignańskich błoniach, niedaleko zabudowań wzniesionych przez miasto na potrzeby zabaw i turniejów. Lleó Marc od namiotów wolał jednak miejską wygodę i wynajął sobie to skromne pomieszczenie na parę dni.

Bardzo się ucieszył, gdy powiedziałem mu, że przyjechałem w drużynie Arandy i że mieszkamy piętro niżej.

— To wielki człowiek — mówił kupiec. — Szczerze go podziwiam. Gdyby Katalonia miała takich ludzi... co to wiedzą, z kim trzymać, a komu poderżnąć gardło, to nie wyglądałibyśmy tak jak wyglądamy. — Kupiec zatarł ręce. — Gdybyście czegoś potrzebowali... Zostają tylko do jutra. No! Pojedynek z tym rycerzem ze wschodu to niezwykła rzecz. Ludzie o niczym innym nie gadają.

Jak ten Katalończyk był podobny do najszlachetniejszych żydowskich ludzi interesu, a oni do niego! To cecha wszystkich wielkich kupców — zawsze sprawiali wrażenie serdecznie usposobionych i gotowych nieść ludziom bezinteresowną pomoc.

Katalończyk opowiadał, jak to spotkał się niedawno z Mahabudem w Barcelonie. Podobno, wbrew przepowiedniom Salomona, korsarski interes rozkwitał; Mahabud okazał się znacznie sprawniejszym zbrojnym niż kupcem. Podobno wszedł w bliskie związki z korsarskim przedsiębiorstwem Arandy, i to — wedle słów Katalończyka — była najlepsza rzecz, jaka mogła spotkać Mahabuda.

Lleó Marc przywiózł dla króla wytworny namiot w darze od króla Cypru oraz wiele innych niezwykłych towarów, w tym leopardy, które król znów zamówił na Cyprze, specjalnie na ten turniej. W ostatnim dniu, jako zwieńczenie uroczystości, miało się odbyć polowanie na te dzikie bestie

z udziałem samego Jana.

Kupiec pokazał mi z dumą porcelanowy aptekarski słój wypełniony szarą maścią.

— Cypryjczycy twierdzą, że to skuteczniejsze niż balsam Fierabresa²⁶ — roześmiał się, a widząc, że ja uśmiechnąłem się tylko z uprzejmości, zapytał: — Nie czytałeś? No tak — machnął ręką z politowaniem — wy Żydzi, niby dużo czytacie, ale nic konkretnego. Chodzi o to, że możesz się tą maścią — podniósł słój ponad głowę — smarować przed bitwą, wtedy nie odniesiesz ran, albo po bitwie, a wówczas wyleczą ci się wszystkie w jedną noc. Gdyby to smarowidło okazało się skuteczne, mógłbym je sprowadzać z Cypru w nieograniczonych ilościach. Jego wytwórca zapewniał mnie, że jednym ze składników jest proszek z rogu jednorożca.

Spojrzałem na słój z nabożną czcią, pochyliłem się i wciągnąłem powietrze nosem: poczułem mdły zapach, podobny do bydłęcego łoju.

Róg jednorożca uchodził wówczas za specyfik leczący wszelkie schorzenia. Jednym z bezkrytycznie wierzących w jego cudowną moc był sam król Jan. To on, gdy był jeszcze diukiem Gerony, polecił sprowadzić maść z rogu jednorożca dla swej ciężarnej żony Marty d'Armagnac, aby wykluczyć ewentualne powikłania przy porodzie. Potem ludzie opowiadali, że pokazywał niedowiarkom jego skuteczne działanie na skazańcach: podobno po natarciu nim pewnego Żyda trzeba go było wieszać aż pięć razy, zanim wyzionął ducha. Lleó Marc znał bezgraniczną wiarę króla w moc rogu jednorożca, dlatego celowo przywiózł maść na ten turniej. Salomon wyśmiewał wiarę w ten specyfik. Takie zwierzę w ogóle nie istnieje. Salomon mówił, to szarlatani żerują na ludzkiej głupocie. To co, że Grecy i Rzymianie go malowali na ścianach, jaki to dowód? Chrześcijanie od wieków malują smoki, a widział ktoś jakiegoś?

Aranda wrócił z królewskiego pałacu już po kilku godzinach; był wyraźnie wzburzony. Nie spodziewał się, że turniej odbędzie się z takim rozmachem, że pojedynk sądowy obejrzy tak liczna publiczność. Było oczywiste, zważywszy na rodzaj oskarżenia, przed którym miał się bronić, że nie pragnął rozgłosu.

Na dodatek król zażyczył sobie, aby rycerze obu stron sporu wystąpili nazajutrz w potyczce, którą tu nazywano z francuska *mêlée*. Była to zbiorowa walka wręcz, przypominała prawdziwą bitwę, tyle że uczestników wyposażano w tępą broń. Walki toczyły się na błoniach, na nieograniczonym terenie, jednak zawsze tak, by publiczność mogła śledzić zmagania. Była to bardzo niebezpieczna zabawa, bywało, że jej uczestnicy tracili życie lub odnosili ciężkie obrażenia. Zwyciężała ta drużyna, która pierwsza wysadziła wszystkich przeciwników z siodła.

W potyczce zaplanowanej przez króla Juana, która miała symbolicznie przypieczętować zwycięstwo nad hrabią d'Armagnac, miały stanąć naprzeciw siebie dwie drużyny: pierwsza, złożona z przedstawicieli zasłużonych dla Aragonii i cieszących się królewską łaską największych rodów; w drugiej mieli się znaleźć do niewoli rycerze, którzy walczyli po stronie najeźdźcy, czyli hrabiego d'Armagnac. Aby nadać wydarzeniu właściwą dramaturgię i przysporzyć widzom emocji, król zapowiedział, że uwolni jeńców, jeśli okażą

się w potyczce zwycięzcami. Lecz gdy przegrają, zostaną straceni, niezależnie od proponowanego przez ich rodziny okupu. Na wszelki wypadek, aby uniknąć niemiłych niespodzianek, drużyna królewska miała być dwukrotnie liczniejsza.

Aranda protestował u samego króla, domagając się zwolnienia Zawiszy z uczestnictwa w ryzykownym *mêlée*, ale ten stanowczo mu odmówił, argumentując, że już zgoda na pojedynek sądowy była ustępstwem z jego strony, a przecież oskarżenie dotyczyło śmierci jego syna. Teraz żaden wypadek z ludzkiej przyczyny nie powinien się zdarzyć, skoro oddano sprawę pod osąd boży, a jeśliby się zdarzył, i kontuzję poniósłby któryś z dwójki powołanych do pojedynku rycerzy, to stanie się tak z woli Stwórcy. Nie powinien ani król, ani tym bardziej jego dworzanie tych wyroków podważać.

Tego samego wieczoru otrzymałem od Arandy wiadomość, która rozpałała mi głowę: Tideman Sticker został aresztowany. Rano kurier przywiózł listy od sędziego, któremu Aranda zlecił tę sprawę. Już pierwsze przesłuchanie przyniosło sensację. Tideman Sticker nie należał do bohaterów i od razu zaczął zeznawać. Nie chciał przyznać się do zabójstwa prawdziwego Stickera i mimo groźby tortur utrzymywał, że sam nim jest. Zdradził natomiast wiele szczegółów z przedsiębiorstwa górniczego, które przy pomocy niemieckich robotników rozpoczęło działalność w Nawarze, w okolicach Pampeluny, ale szybko przeniosło się też na ziemię aragońskie. Do nielegalnych kopalni w północnej Aragonii Sticker dostarczał niewolników, którzy — by nie wnosić stosownych podatków — nie byli rejestrowani. W szmuglowaniu ich na północ brali ponoć udział zakonnicy z klasztorów w Verueli i Poblet. Kopalnie na terenie Aragonii wydobywały głównie rtęć i niewolnicy marli tam jak muchy. Sprawa nie trafiła jeszcze do króla, ale to kwestia kilku tygodni. Istniało w Aragonii prawo, na mocy którego król pobierał pięćdziesiąt procent od zysków z kopalni wydobywanych na terenie królestwa. Nie było od tego ulg ani zwolnień, a król wykazał wyjątkową zaciętość w egzekwowaniu tego przywileju. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kopalnie znajdowały się na ziemiach północnej Aragonii dzierżawionych przez... Urríesów. Sprawa była rozwojowa i Aranda zapowiedział zajęcie się nią natychmiast po powrocie do Saragossy. Przez ten czas Sticker pozostanie w więzieniu. Sędzia zarządził konfiskatę majątku Niemca na poczet kar, grzywny i wszystkiego, co może go spotkać ze strony króla za nielegalny handel niewolnikami, bo na razie tylko takie postawiono mu zarzuty. Sprawa łapówek przy zakupie statków, oskarżenie o morderstwo oraz inne zarzuty pod adresem Stickera wymagały starannego, czasochłonnego przygotowania.

Gdy Aranda wyszedł, upadłem na kolana i dziękowałem Panu za okazaną łaskę. Nadzieja na odzyskanie Ayhe rosła z każdą chwilą, rozsadała mi serce.

Jeszcze tej samej nocy doszły nas wieści z pałacowej uczty. Rycerzem, który wystąpi na bożym sądzie w imieniu hrabiego de Prades i zmierzy się z Zawiszą, będzie Juan de Urríes.

Początek turniejowej potyczki, zbiorowego *mêlée*, wyznaczono w południe, ale już od rana, zaraz po porannej mszy, przy namiotach przeznaczonych dla rycerzy panował ruch. Zbroje, kopie, tarcze i broń przewożono na wozach, turniejowe wierzchowce nocowały już na błoniach w specjalnie na tę okazję wybudowanych stajniach. Rycerze udawali się tam piechotą. Tylko jeńcy zostali przywiezieni w dwóch więziennych wozach; zbroje (pełne lub tylko uzupełnienia), konie i broń fundował im król. Giermkami jenieckiej drużyny byli znający się na rycerskim rzemiośle mieszkańcy Perpignan, którym nakazano rzetelne i uczciwe przygotowanie drużyny do potyczki.

Sulima stanął przed sędziami jako ostatni. By na informacji o tym, że w szranki z Zawiszą stanie sam Juan de Urríes, starał się dowiedzieć jak najwięcej o planach przeciwnika. Usłyszał podczas wieczerzy, że na udział Zawiszy w *mêlée* naciskali właśnie Urríesowie. Aranda urósł w ostatnich latach do rangi głównego wroga tego rodu, należało się więc spodziewać, że w tak ważnym pojedynku użyją wszelkich środków, posuną się do wszystkiego, by go pokonać. Francisco de Aranda, jeśli zwycięży, ze zdwojoną mocą przystąpi do ograniczania przywilejów *nobles*, natomiast jeśli przegra, zostanie skazany na więzienie albo — co pewniejsze — na śmierć. Wszyscy jego ludzie, wszystkie sprzyjające mu dworskie frakcje, zostaną odsunięci od władzy na zawsze.

Potwierdzeniem tych podejrzeń okazała się ostateczna lista uczestników *mêlée*. Znalazło się na niej trzydziestu rycerzy, a wśród nich — Jimeno de Samper występujący teraz w barwach rodu Urríesów. Jeśli ktoś zaatakuje zdradziecko Sulimę podczas bitewnej kotłowniny, to będzie to właśnie Samper. Żył głęboki uraz do Zawiszy i zaprzysiął mu zemstę. Nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości. Sam młody baron raczej będzie unikał tak niehonorowego rozstrzygnięcia, choć i na niego należało uważać. Przez długą chwilę udzielano Sulimie rad, jak ma się ustawiać w tłumie, by uniknąć zdradzieckiego ciosu.

Gdy Zawisza z giermkami udali się do namiotu, by przywdziać zbroję, ja podszedłem do jednego z kramów ustawionych wokół turniejowego placu. Jedna jego połowa zastawiona była wazami, talerzami, miskami, a druga — częściami zbroi. Na ladzie z prawej strony ustawiono kilka hełmów na podporach imitujących ludzkie głowy. Ktoś dla dowcipu posmarował osadzone w blacie podstawy czerwoną farbą i głowy wyglądały jak świeżo odjęte od ciał. Tylko jedna rodzina mogła prowadzić ten interes.

Joshuy nie było, ale uściskałem jego młodszego brata. Przywitałem się też z jego ojcem, Joaniem Benetam, który wrócił niedawno z Sewilli, gdzie odbierał ostatnią ratę zapłaty za te nieszczęsne cukrowe młyny. Sewilla aż huczała od plotek o upadku saragoskiej *aljamy*. Podobno Estera opowiadała straszne rzeczy. Odeszła od Salomona na dobre. Ojciec Joshuy opuścił Sewillę na kilka dni przed strasliwymi pogromami, które zrównały z ziemią niemal całą żydowską dzielnicę. Niewiele wiedziano tu o tych wydarzeniach.

Na razie wszyscy żyli festywnie i jutrzejszym pojedynkiem pomiędzy Juanem de Urríes a Zawiszą. Dostanie się do pałacu bez specjalnego zaproszenia nie było łatwe. Ojciec Joshuy zapłacił sporą sumę za możliwość rozłożenia kramu na błoniach, dzięki czemu Benetowie wejście mieli

zapewnione.

Rozległ się dźwięk trąbek i rycerze ruszyli spod swych namiotów. W kierunku miejsca zbiórki rozwinął się wielobarwny kobierzec tunik, kropierzy, hełmów i najdziwniejszych w formie hełmowych klejnotów. Aby rozpoznać się w walce, wszystkim rycerzom hrabiego d'Armagnac kazano przywdziać brązowe tuniki, mające symbolizować pokorę i upadek — ze szczytów rycerskiej godności do jeńców wdeptanych w ziemię. Takiej samej brzydkiej barwy były kropierze okrywające ich konie. Wyglądali jak błotniste duchy. Obie drużyny ustawiły się w szykach bojowych.

Na sygnał dany przez sędziego drużyna brązowych nagle zrywem, ale zachowując idealny porządek szeregu, ruszyła ławą na pobliskie wzgórze. Ich strategia nawet dla mnie była czytelna. Na wzniesieniu uformowali klinowy szyk i ruszyli w dół, z każdym uderzeniem kopyt nabierając impetu. Wreszcie uderzyli w bezładną i niepotrafiącą się zorganizować tak szybko grupę królewską. W prawdziwej bitwie taki atak może miały szanse powodzenia, tu jednak uzbrojeni w tępe miecze i pałki nie zdołały przerwać obronnego szyku. Dwukrotnie liczniejsza chorągiew wchłonęła natarcie i rozpoczęły się chaotyczne walki małych grup rycerzy. Uderzenia mieczy i pałek o tarcze, zbroję i hełmy weszły w jeden przeciągły łoskot, jakby gdzieś nad głowami widzów schodziła lawina żelaznych kamieni. Co jakiś czas traciliśmy z oczu Zawiszę, który rozdzielał ciosy na lewo i prawo, choć nie było to łatwe, bo wszyscy starali się na oczach królewskiej pary zaprezentować swój kunszt, a przeciwnik bił się o życie. I wtedy stało się to, czego tak obawiał się Aranda. Jimeno de Samper wykorzystał chwilę, że jeden z odzianych na brązowo rycerzy znalazł się koń w koń z Zawiszą, wziął potężny zamach i udając, że koń się pod nim zerwał, spuścił maczugę na plecy Sulimy. Ten pod siłą ciosu uderzył głową o grzbiet konia. Nie zdążył się wyprostować, gdy drugie, jeszcze potężniejsze uderzenie runęło mu na kark. Polski rycerz osunął się bezwładnie z końskiego grzbietu i zniknął w ciżbie kotłującego się rycerstwa. Kilku królewskich, najbliższych walczących, gwałtownie szarpiąc wodzami, chciało uchronić leżącego przed stratowaniem, ale w zbitej masie koni byli bezradni.

Bitwa toczyła się jeszcze kilka pacierzy. Rycerze hrabiego d'Armagnac bronili się dzielnie. O wyniku przesądzili ostatecznie królewscy piechurzy, którzy niespodziewanie zaatakowali brązowych rycerzy, przecinając strzemięna tym, którzy jeszcze walczyli, i zwalając ich z koni. Drużyna królewska wydała okrzyk zwycięstwa i ruszyła w stronę łoża, by tam złożyć pokłony monarszej parze.

Większość z pozostałych na placu boju wstała o własnych siłach, kilku leżało bez ruchu. Z drużyny króla tylko dwóch zawodników odniosło rany. Zawisza miał liczne ślady wgnieceń, zmiażdżone nogi i nienaturalnie wykręcone ręce, zapewne obie złamane. Ciężko oddychał, ale zdeformowana kopytami blacha uniemożliwiała ściągnięcie hełmu. Żołnierze ułożyli rannego na noszach. Aranda, wściekły, rozkazał, by zanieść go do naszej kwatery, bo była bliżej niż pałac, i tam przyprowadzić medyka.

Podbiegłem do niesionego na noszach Sulimy. Zsunąłem delikatnie rękawicę i uściśnąłem mocną żylastą dłoń. Odwzajemnił uścisk i długo nie

puszczał, jakby chciał zaczerpnąć ode mnie sił do życia. Wyczułem kamień między palcami: to był bursztyn. Nie tak okazały, jak ten, który dostał Angel, ale jaśniejszy, szalchetniejszy w swej miodowej barwie. Schowałem go do kieszeni kaftana z postanowieniem, że zwrócę kamień Zawiszy, jak tylko medyk dokona oględzin.

Już na miejscu powiedziałem Arandzie o cudownej maści przywiezionej z Cypru przez katalońskiego kupca. Kazał mi ją przynieść. Nim nadszedł medyk, sprowadzono kowala, któremu polecono zdjąć powgniatane w ciało blachy, tak by sprawić rannemu jak najmniej bólu. Wszyscy zostaliśmy wyproszeni z izby.

Pod dom, gdzie mieściła się nasza kwatery, zaczęli schodzić się ludzie. W gęstniejącym tłumie rozpoznałem Abencanyasa, który jak się okazało, przebywał w Perpignan w sprawach związanych z operacją przeciwko Urríesom i gdy dowiedział się o pojedynku, postanowił zostać jeszcze kilka dni. Długo trzymaliśmy się w ramionach. Król przysłał też posłańca, który przyłączywszy się do grupy, czekał na wieści o rannym, by natychmiast zanieść je do pałacu.

W końcu wyszedł do nas miejscowy medyk, ale nie miał wesołej miny. Obrażenia były tak rozległe, że prędzej należało się spodziewać, że z rycerza ujdzie życie, niż stanie jutro do walki. Na wzmiankę o cudownej maści medyk podobno wrzusił ramionami, ale kazał swemu pomocnikowi posmarować okaleczone ciało.

Aranda trząsał się ze złości, a jego oliwkową twarz powlekała coraz ciemniejsza czerwień. Zaczął publicznie wyklinać na Urríesów za to, że przeciągnęli króla na swoją stronę. W końcu na oczach wszystkich cisnął jakimś szklanym pucharem o ziemię. Pierwszy raz dostrzegłem lęk w jego oczach. Przywołał proboszcza pobliskiego kościoła i polecił mu odprawić mszę za uzdrowienie Zawiszy.

— Cała nadzieja w twoich modlitwach, ojcze — zwrócił się do księdza. — I w miłosierdnym sercu Naszego Pana.

Jednego z żołnierzy Aranda wysłał jeszcze przed *mêlée* z listami do Saragossy, pozostałych dwóch, podobnie jak mnie, nie wpuszczono do izby. Noc spędziliśmy na placu nieopodal naszej kwatery, siedząc oparci o murek okalający niewielką studnię. W zamian za te niewygody Aranda wręczył mi zezwolenie na wejście do pałacu na pojedynek i polecił, bym stawił się tam już o świcie i badał nastroje wśród widzów.

Przed wejściem do Pałacu Królów Majorki spotkałem Abencanyasa. Razem udaliśmy się do ławek przygotowanych dla publiczności.

Zgodnie ze zwyczajem pojedynek miał odbyć się o poranku przed rozpoczęciem zabaw i turniejów na błoniach. Wieść o obrażeniach Zawiszy rozeszła się błyskawicznie, mimo to wszystkie ławy w pierwszych rzędach, przeznaczone dla najdostojniejszych gości, zostały zajęte. Wszyscy liczyli na cudowne ozdrowienie.

Dzielnice pałacu wypełnił się gwarem rozmów. Czekaliśmy. Wedle zwyczaju, jeśli któraś ze stron nie stawi się do południa, zostaje ogłoszona przegraną.

Najpierw do pałacu dotarła plotka, że Zawisza zmarł w nocy, a Aranda

zmierza już w stronę francuskiej granicy. Ale zaraz potem gruchnęła wieść, że dzięki modlitwom nastąpił cud i Zawisza wstał z łoża. Lleó Marc, który jeszcze godzinę temu z wielką powściągliwością odpowiadał na pytania o swoją maść, teraz chodził od jednego do drugiego i wychwalał ją na głos.

I rzeczywiście, na dwa pacierze przed południem orszak don Francisca de Arandy, z czarnym rycerzem na czele, wjechał na pałacowy dziedziniec. Zapanowało ogromne poruszenie.

Abencanyas powiedział mi na ucho:

— Nie wiem, jak Aranda postawił go na nogi, ale zrobił to, co powinien. Zawisza przegra, a Aranda wyciągnie coś przeciwko regulaminowi pojedynku, z dobrym jurystą zyska na czasie. Sędziowie będą rozpatrywać zarzuty, a Aranda w tym czasie zniknie. Lepsze to, niż gdyby w ogóle Zawisza się nie stawiał.

Zaległa cisza. Na honorowych miejscach zasiadało dwóch monarchów: Jan, król Aragonii, oraz Marcin, król Sycylii.

Najpierw, by dopełnić wymogów ceremonii, na arenę wyszedł hrabia de Prades i wskazał na Juana de Urríes jako swego zastępcę w pojedynku. Dla podkreślenia egzotyczności swego przeciwnika rycerz przybrał na tę walkę imię *Juan de Aragón*. Następnie na plac wyszedł don Francisco de Aranda i mocnym głosem przedstawił swojego rycerza: *Zawissius de Garbow*.

Główny sędzia odczytał formułkę sądu bożego. O wyniku pojedynku, walki z orężem w rękę aż do okazania swojej wyższości nad przeciwnikiem, zadecyduje Stwórca. Bo tylko on widzi ludzkie serca i jest jedynym sprawiedliwym sędzią.

Pozostali sędziowie przystąpili do sprawdzania zawodników. Dozwolony oręż to kopia, owalna, długa na dwa łokcie metalowa maczuga, oraz krótki miecz, ale w przeciwieństwie do wczorajszego *mêlée* miał on mieć pełną wartość bojową, czyli ostre krawędzie. Sędziowie sprawdzali, czy przy pasach nie tkwi niedozwolona broń krótka: noże, sztylety, mizerykordie, a także czy zbroje końskie nie posiadają ostrych wystających krawędzi, mogących zadać rany nogom przeciwnika lub jego wierzchowcowi.

Obaj rycerze wystąpili w zbrojach bojowych. Zasady ogłaszane teraz przez sędziego przewidywały trzy starcia na ostre kopie, a gdyby one nie wyłoniły zwycięzcy, rycerze mieli walczyć na miecze lub maczugi — do poddania lub śmierci.

Juan de Aragón demonstrował pewność siebie. Gdy składał ukłon królowi, zmusił swego konia do pochylenia łba i ugięcia przedniej nogi; znieruchomieli tak na chwilę — koń i jeździec w pięknym ukłonie — a dziedzińcem wstrząsnęły okrzyki podziwu, młoda żona króla Marcina zerwała się na nogi i długo klaskała.

Dziedziniec nie był zbyt obszerny, linię pojedynku wytyczono więc po jego przekątnej. Rycerze ustawili się na swoich miejscach. Na znak dany przez sędziego trębacz odegrali sygnał do rozpoczęcia pojedynku.

Ruszyli klusem. Juan nonszalancko trzymał kopię szpicą do góry, potem spiął konia tak gwałtownie, że ten aż przysiadł na tylnych nogach i dopiero wtedy, pochyliwszy kopie, ruszył cwałem. Zawisza w tej samej chwili ubódł wierzchowca ostrogami — w pełnym galopie uderzył w tarczę przeciwnika

z taką siłą, że widzowie na północnej galerii musieli zasłonić twarze przed drzazgami skruszonej kopii. Kopia Juana nie trafiła w cel, przecinając jedynie powietrze.

Przecierałem oczy ze zdumienia. Jak w ogóle można było wstać na nogi, będąc tak straszliwie okaleczonym? A dosiąść konia i walczyć? Abencanyas kręcił głową.

— Diabeł — powiedział do mnie. — Patrz na ten jego hełm. Ma wymalowane diabelskie pazury. Gdyby nie trzymał z szatanem, Urríes zwałiby go w piach.

Mimo pokazów sztuki ujeżdżania wykonanych przez Urríesa to Sulima szedł płynniej w ataku, jakby był zespolony z wierzchowcem w jedno ciało; przy drugiej gonitwie podbił nieco kopię Juana de Aragón, tak że ta znów chybiła celu, a kopia Zawiszy omal nie zwała barona na ziemię. Dziedzinięc rozbrzmiał okrzykami niedowierzania i ogromnego podniecenia. Większość widzów stanowili przedstawiciele możnych rodów. Nikt przed walką nie dopuszczał myśli o zwycięstwie Arandy, dobrze wiedzieli, jakie ten dworzanin stanowi dla nich niebezpieczeństwo, jednak zdarzenia przybrały tak niecodzienny obrót, że polityka zeszała na drugi plan. Wszyscy wstali z miejsc.

— Nie wiem, na czym to polega, nie znam się — mówił mi mój dawny mistrz, który też już nie siedział — ale jakby orzeł polował na zająca. Niewiarygodne, to przecież sam Juan de Urríes!

Zawisza zawsze żarliwie modlił się przed walką, tak twierdził, i to wiara niosła go do zwycięstwa. Doskonałe panowanie nad wierzchowcem, umiejętność prowadzenie kopii, w ogóle biegiłość w sztuce rycerskiej, panowanie nad umysłem i lękiem, właściwe odczytanie zamiarów przeciwnika, skupienie tuż przed atakiem, a na koniec mocne i celne pchnięcie — to, mówił mi kiedyś, wszystko na nic, jeśli nie ma głębokiej wiary. Może teraz któryś z aniołów skrywa się pod pancerzem i walczy w jego imieniu? Tak podobno już bywało u chrześcijan...

Hrabia de Prades jako jedyny siedział. Choć okrywał go cień, przysiągłbym, że twarz steżała mu z przerażenia. Mógł jedynie uchwycić się nadziei, że Zawisza osłabnie, wreszcie otworzą mu się rany, a wtedy młody baron zwał go z konia.

Obaj rycerze cofnęli się na swoje miejsca, by uderzyć po raz trzeci. Na znak dany przez sędziego pochylili kopie i ubodli konie ostrogami. Niespodziewanie, gdy dzieliła ich ledwie długość dwóch kopii, Juan szedł z linii ataku i skierował się wprost na wierzchowca Zawiszy. Konie zderzyły się łbami z taką siłą, że obaj rycerze wyrzuceni z siodeł runęli na piach dziedzińca. Teraz nawet królowie poderwali się z miejsc. Koń Zawiszy leżał bez ruchu, wydawał się martwy, drugi wierzchowiec rżał przeraźliwie, rył przednimi kopytami ziemię, zarzucał łbem, usiłował wstać, ale reszta jego olbrzymiego cielska pozostawała nieruchoma. Zawisza uniósł się na łokciach i z trudem przewrócił na bok. Mniej oszołomiony wydawał się Juan: szybko wstał i pośród ogłuszających krzyków widowni ruszył w kierunku Zawiszy. Ten, widząc nad sobą uniesiony miecz, zdołał jeszcze, półleżąc, sparować uderzenie. Rozgorzała walka. Abencanyas łapał się za głowę i wrzeszczał coś w kierunku areny. Zadawane na przemian ciosy miały taką siłę, że każdy

mógłby przerwać wołu na pół. Nie dostrzegałem w tej walce żadnego kunsztu, wydawało się, że to siła i szybkość przesądzą o zwycięstwie. Walczący nie mieli tarcz, ciosy przyjmowali na miecze.

Nagle Zawisza tak sparował uderzenie przeciwnika, że odbity miecz szarpnął barona w tył; polski rycerz chwycił lewą ręką głownię w połowie długości i trzymając miecz oburącz, jak krótką włócznię, zadał mocny sztych. Ostrze ześlizgnęło się po zbroi Juana i utkwilo pod obojczykiem. Juan, krwawiąc, zadał jeszcze jedno słabe uderzenie. Zawisza z łatwością odbił miecz i ponownie uderzył: tym razem ostrze nie ześlizgnęło się po napierśniku, ale też go nie przebiło. Młody baron zwałił się z nóg. Zawisza stanął nad nim okrakiem. Uniósł oburącz miecz i przyłożył ostrze do odsłoniętej szyi leżącego.

Rozległ się donośny głos króla, który wzniosłszy ramiona, oznajmił:

— Dosyć próby! Zaprzestańcie walki.

Król przywołał do siebie rycerza. Sędzia i giermek podeszli do Zawiszy. Giermek powoli zdejmował mu hełm.

Wszystkim to samo podejrzenie zakiełkowało w głowie.

Wreszcie rycerz został uwolniony z żelaza. To był Zawisza. Nie mogło być pomyłki. Rycerz pochylił głowę, a król z wysokości galerii wyciągnął przed siebie rękę w ojcowskim geście i ogłosił go zwycięzcą.

Dopiero po kilku godzinach, gdy widzowie i obaj królowie udali się na błonia, pozwolono mi wejść do przestronnej komnaty na piętrze, zajmowanej przez Zawiszę i Arandę. Był tam też *oidor* i dwóch żołnierzy. Aranda tryskał dobrym humorem.

— Bóg jest wszechmocny i miłosierny i stanął po mojej stronie — zawołał na mój widok. — Co za maść! Jednorożec czyni cuda! To twoja zasługa Aaronie, żeś dogadał się z tym kupcem. Ten Katalończyk będzie nam wdzięczny do końca życia! Cudowne wskrzeszenie! Wystarczyło posmarować i powiedzieć: „Zawiszo, tobie mówię; wstań!”. Powinniśmy upomnieć się o czwartą część zysku ze sprzedaży. Aaronie! — wyciągnął ramiona w moim kierunku — oddaję ten interes tobie!

Dostrzegłem Zawiszę, który siedział na sofie w kącie izby. Był już przebrany w wygodne szaty. Nie spojrział nawet w moją stronę. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Nie było śladu po jakichkolwiek obrażeniach.

— Co sądzisz, Aaronie? — pytał z błyskiem w oku Aranda. — Widziałeś *mêlée*, widziałeś, jak prawie uchodziło z niego życie...

— To cud! — przyznałem.

Zawisza wstał, jakby chciał pokazać, że naprawdę jest w pełni sił. Nalał sobie wina, lekko już chwiał się na nogach. Wszyscy chyba już tu tego popili, bo mieli twarze zastygłe w wyrazie pełnego zadowolenia, powieki zamykali rzadziej niż zwykle i bardzo powoli.

— Napij się z nami, Aaronie — rzekł ponurym tonem Sulima. Wyraźnie nie podzielał dobrego humoru Arandy. — Cała ta maskarada mnie upokorzyła. Nie dałbym się zejść od tyłu.

— Dałbyś się — uciął Aranda, najbardziej ożywiony z całego towarzystwa.

— Dwóch na ciebie polowało! Urríesowie są dzielni, ale też rozsądni!

— Co się tak gapisz, chłopcze. Pij za zwycięstwo! — rzucił w moją stronę rozbawiony dworzanin. — Na *mêlée* walczył Mateo, jeden z żołnierzy. Byłby z niego dobry rycerz, świetnie się trzyma w siodle, a posturą przypomina Zawiszę. To znaczy przypominał... Biedak ma przetrącony bark i połamane ręce i nogi, ale żyje. Zostanie sownie wynagrodzony.

Aranda podszedł do mnie i podniósł mi rękę z pucharem, tak że musiałem przelknąć wino.

— Pijże! — krzyknął mi prosto w twarz. — Zagięliśmy blachę hełmu jeszcze przed walką, żeby się nie wydało. Medyk dostał tyle pieniędzy, że zobowiązał się zapomnieć wszystko, nawet jak się nazywa. Musieliśmy tak zrobić — mówił Aranda. — Chyba rozumiesz. Wiedziałem, że Urríes będzie szukał rozstrzygnięcia wcześniej. To syczy syn. Bał się Zawiszy, i słusznie. To jednak wskazówka na przyszłość — Aranda podniósł palec do góry. — To człowiek pozbawiony honoru, ale bystry, umie właściwie ocenić swoje siły, to rzadka cecha, on jest nadal groźnym przeciwnikiem. Bardzo groźnym. Drugi raz już się nie da nabrać.

— Gdyby nie był przekonany, że załatwił sprawę z Zawiszą już w *mêlée* — odezwał się *oidor* — pokazałby dziś niejedną sztuczkę. Lwem to on nie jest, ale lisem owszem. Przynajmniej walczył dziś uczciwie... Na początku. A i tak... Widziałeś kiedyś coś takiego? Tak się wpakować z koniem? Cóż za desperat. Wyobraź sobie, co by było, gdyby wiedział, że Sulima jest cały i w pełni sił!

— Otrułby go wcześniej, ani chybi! — dopowiedział Aranda. — Otrułby go jak nic.

Potem odciągnął mnie na bok tak gwałtownie, że omal się nie wywróciliśmy.

— Był tu poseł, wczoraj, od doñi Violante. Hrabina chce rozmawiać. I to za plecami Urríesów. To dobry znak! Ma wyznaczyć miejsce i termin. I chce, żebyś ty też był — zaśmiał się. — Musisz ze mną jechać! Myślę, chłopcze, że jesteś pierwszym, który uciekł z jej łóżka. I jak to niewiasta, pewno jest ciekawa dlaczego...

— Na Boga! Chciała mnie powiesić!

— Och, to żadna wymówka...

Radość ze zwycięstwa trwała krótko. Jeszcze tego samego dnia wieczorem, już po zmierzchu, król niespodziewanie wyjechał do Saragossy. Niepokojące wieści nadciągały z południa. Podobno antyżydowskie rozruchy, o niespotykanych dotąd rozmiarach, przelały się przez granicę.

A dzień później przysły listy do Arandy. W jednym z nich sędzia donosił, że niewolnica o imieniu Ayhe, którą miał wywieźć z Ayerbe, nie żyje.

Mogę coś zrobić dla ciebie, chłopcze? — pytał kilka dni później Aranda, stojąc nad moim łóżkiem. — Dziś ruszam do Saragossy.

— Tak... — odparłem. — W Lupiñén, w chacie karczmarza, mieszka arabska dziewczyna, wołają na nią Magdalena, jest ochrzczona. Obiecałem sobie kiedyś, że ją stamtąd wydostanę. Niech zyska wolność, mam pieniądze, zapłacę...

To były moje pierwsze słowa wypowiedziane od kilku dni. Podobno na wieść o śmierci Ayhe padłem jak rażony gromem. Przyprawiony medyk załamał nade mną ręce, nie umiał pomóc. Nie mogłem ruszyć żadną kończyną. Nie piłem, nie jadłem. Zawisza opóźniał powrót do kraju, czekając na moje wyzdrowienie. Pierwsze oznaki życia zacząłem przejawiać dopiero niedawno; otworzyłem oczy, poruszyłem rękami. Na wieść o poprawie Francisco de Aranda postanowił przed odjazdem dodać mi otuchy. Obiecał wydobyć moje pamiątki z rąk doñi Violante.

Minęło jeszcze kilka dni. Miejscowy medyk orzekł w końcu, że będę żył. Miałem się tylko dobrze odżywiać i wychodzić na świeże powietrze. Po miesiācu słabość całkowicie ustąpiła. Zacząłem jeść, ale wciąż, mimo spożywanycy w coraz większej obfitości pokarmów, czułem się pusty w środku, jakby mi ktoś wyszarpał wnętrzności. Nie pytałem, jak to się stało, dlaczego Ayhe umarła.

Od jakiegoś czasu opiekowała się mną Magdalena przysłana przez Arandę z Lupiñén. Arabka nie została przez Arandę oficjalnie wyzwolona. Po prostu zażądał od gospodarzy jej wydania, grożąc, że w razie odmowy podzieli los Niemca. Była więc teraz moją niewolnicą. Na służbie w gospodzie nauczyła się języka aragońskiego i teraz bezustannie coś mówiła; najczęściej były to opowieści z jej czasów dziecinnych, o rodzicach, siostrach i braciach.

W Perpignan działało kilku lekarzy i wszyscy opiekowali się mną troskliwie. Żydowski lekarz, Leon Yosef de Carcasona, podobnie jak jego koledzy po fachu, nie znalazł przyczyny niedomagania, ale zadbał o koszerne i zdrowe jedzenie, które codziennie przynosiła mi jego niewolnica.

Perpignan okazało się nader gościnnym miastem również dla Zawiszy. Dzięki zwycięstwu nad Urríesem i cudownemu ozdrowieniu okrył się nieśmiertelną sławą. Pozwalał się zapraszać najzamożniejszym mieszkańcom Perpignan, spędzał czas na ucztach, zabawach i w ramionach miejscowych arystokratek. Nie spieszo mu więc było do wyjazdu, cierpliwie czekał, aż dam znać, że jestem gotów do drogi.

Przegnawszy niemoc z ciała, zacząłem dopytywać o wydarzenia, które sprawiły, że król przerwał uroczystości i powrócił do Saragossy. To, co usłyszałem od żydowskiego medyka, napełniło mnie przerażeniem.

W dzień pojedynku sądowego, 9 lipca, pożoga nienawiści obróciła w popiół żydowską dzielnicę Walencji. To wówczas król przestraszył się śmiertelnie,

choć wcześniej dochodziły do niego złe wieści z Kastylii: podobno w połowie marca nastąpiły pierwsze ataki na sewilską dzielnicę żydowską, szybko jednak to opanowano. Ale już 4 czerwca nikt szaleństwa nie powstrzymał, zamordowano w Sewilli setki Żydów, zabijano kobiety i dzieci, wielu z tych, co ocaleli, sprzedano muzułmanom jako niewolników. A wszystko to za sprawą tego szaleńca, archidiakona z Écija Ferrána Martíneza, który od piętnastu lat szączył w kazaniach jad nienawiści do Żydów. Wreszcie zatruł do szczytu rozumu prostych ludzi i diabeł w nich wstąpił. Płomienia, który wybuchł z taką siłą, nie dało się już ugasić. Wiatr szaleństwa przenosił go na następne miasta. Zapłonęły żydowskie dzielnice Kordoby, Andújaru, Montoro, Jaénu, Úbedy, Baezy. Potem stanęła w ogniu cała Kastylia. Archidiakon zawsze znajdował tam posłuch dla swych obłąkańczych wizji.

Król Aragonii, dobry dla Żydów Jan I, wiedział, co się dzieje w sąsiednim królestwie i — wydawało się — panował nad sytuacją u siebie w domu. Uprzedził wszystkich kościelnych hierarchów w Aragonii. Jak to się więc stało, że taki tragiczny los spotkał Walencję? Inspiratorzy pogromów, wedle słów medyka, przypłynęli na statku z Sewilli. Było ich niewielu. Jak się okazało, do rozniesienia zarazy wystarczyło kilkudziesięciu chorych Kastylijczyków. Kto ich szkolił? Kto ich opłacił? Skutki pogromów w Walencji były przerażające. Zamordowano ponad dwustu Żydów; niezliczone rzesze przyjęły chrzest. Potworne hasło „nawrócenie albo śmierć” zawisło jak katowski miecz nad całą Aragonią. Początkowo propagandzie przybyłych do Walencji podjudzacy uległy tylko portowe męty, żebracy, włóczędzy, ale bardzo szybko przyłączyli się do nich zamożni mieszczanie, mnisi, szlachta, wszyscy. Król spóźnił się z odsieczą. Królewska jazda wsparta przez piechotę obroniła następnego dnia dzielnicę arabską, ale trupów żydowskich już nie wskrzesiła. Potem była Orihuela, Jativa, Monzón. 4 sierpnia zapłonęła łuna nad żydowską dzielnicą Barcelony; tam szaleństwo osiągnęło apogeum, wielu Żydów, obleganych w domach i obronnych wieżach, popełniło samobójstwo, byle nie wpaść w ręce oszalałego tłumu. Palono domy, ludzi, notarialne archiwa. Ci, co ocaleli, byli zmuszani do przyjęcia chrztu. Medyk twierdził, że w Walencji i Barcelonie nie pozostał już ani jeden Żyd.

Od kilku tygodni nie było wieści z Saragossy, Żydzi nie mieli odwagi wyjść poza mury swych dzielnic, a listów nikt od nich nie brał. Kupcy i podróżnicy, którzy docierali do Perpignan, nie wiedzieli, co działo się w dzielnicy żydowskiej zamkniętej od czasów pogromów niczym twierdza. Relacje zdawały się potwierdzać to, co mówił mi medyk, że *aljama* saragoska nie podzieliła tragicznego losu innych żydowskich dzielnic Hiszpanii. Chociaż jakieś małe grupy podobno wdarły się przez bramy, kilka domów zostało splądrowanych, zabito kilkoro Żydów. Nie mogłem jednak się dowiedzieć niczego pewnego.

Pierwszym Żydem z Saragossy, który przekroczył bramy Perpignan, był Mossé Astruch, który udawał się do swej rodziny we Francji i po drodze złożył mi wizytę. Prosił go o to sam rabin, Hasday Crescas. Łatwo odszukał moją kwatere.

Mossé Astruch przyniósł mi wiadomość, której się bałem, a jednocześnie spodziewałem: Salomon Abnarrabí umarł. Astruch nie zamierzał niczego

przede mną ukrywać. Mój wuj zapisał się na śmierć, utopił się we własnych wymiocinach. Stało się to tuż przed tym, jak do zamkniętej dzielnicy przedostała się wiadomość o splądrowaniu wszystkich żydowskich posiadłości w okolicach Saragossy, w tym także winnic Dolza i Vidala. Obaj zostali zabici. Florę i jej synka ocalała w pogromu rodzina Hametów i inni arabscy robotnicy pracujący w winnicy.

Dzięki obecności króla w samej Saragossie nie doszło do poważnych rozruchów. Żydzi, w tym Abencanyas i sam Astruch, stracili sklepy, stragany, kantory — wszystko, co mieli w dzielnicach chrześcijańskich. Kilkunastu chłopów po dachach przedostało się do domu Samuela Bienvenista; najpewniej chodziło im o akty notarialne dokumentujące pożyczki. Pobili służbę, która stawiała opór, i pohańbili piękną Bonafillę. To były jedyne ofiary. Samuel Bienvenist, który przebywał wówczas w Kastylii, ocalał, bo schronił się w jednym z tamtejszych zamków.

Mossé Astruch wręczył mi testament wuja. Nie przyznałem się, że wiem, co zawiera. Nie miał dla mnie dużo czasu. Spędziliśmy razem tylko jedno popołudnie.

Niezależnie od tego, co znajdowało się w testamencie, byłem teraz, po śmierci Dolza i Vidala, jedynym prawnym spadkobiercą majątku Salomona. Wszyscy w Saragossie, mówił Astruch, wierzą, że odbuduję fortunę Abnarrabích. Mogłem liczyć na wsparcie całej gminy. Podobno sama Tolosana złożyła na ręce rabina zapewnienie że w rodzinie de Caballería nie będę już miał wrogów. Rabin oczekiwał ode mnie, że poślubię Florę, zaopiekuję się nią i jej dzieckiem.

Na szczęście dobre wieści napływały z królewskiego dworu. Astruch, Bienvenist i Abencanyas obawiali się, że w związku z pogromami, całkowitym zniszczeniem gmin w Barcelonie i Walencji, król zmieni zdanie i w ostatniej chwili odwoła konfiskatę bydła. Ale tak się nie stało. Lada dzień miały się rozpocząć dostawy mięsa z przejętych stad, mimo że po zamieszkach Walencja stanęła na skraju finansowej katastrofy. Król Jan, wrogo nastawiony do władz miasta, liczył, że ewentualne rozruchy głodowe pozwolą mu tam zaprowadzić swój porządek, niezbędny do odbudowania walenckiej gminy żydowskiej. Zgodnie z listem do Salomona całkowitą kontrolę nad skonfiskowanym bydłem przejął Francisco de Aranda. Wkrótce miało się okazać, jak hojną będzie miał rękę w dzieleniu się zyskiem.

Tak czy inaczej oznaczało to ocalenie Loarre. I odwleczenie w czasie bankructwa rodziny Abnarrabích, na której czele chciano mnie postawić. A więc jednak rzuciliśmy Urríesów na kolana!

Przy pożegnaniu Astruch przestrzegł mnie przed Arandą. To niebezpieczny człowiek, morderca, truciciel dzieci, mówił. Służył Francuzom za pieniądze; ma konta i spore majątki we Francji, o których Astruch wiedział od dawna²⁷. Aranda siecią agentów oplótł całą Aragonię, Kastylię, ma szpiegów na wszystkich dworach Europy. Chce doprowadzić do śmierci króla Jana i przejęcia władzy przez Marcina. Jan to może zły król dla Aragonii, ale dobry dla Żydów i jego śmierć nie leżała w naszym interesie.

— Wiem, że on udaje przed tobą przyjaciela! Ale pamiętaj, Aaronie: choćby wąż wydawał ci się najlepszym przyjacielem, zmiażdż mu głowę. A ty zamiast

tego służysz wężowi...

Na drogi całej Hiszpanii znów ruszyli żydowscy kupcy i kurierzy. Kilka dni później do rabina Perpignan przyszły listy. Jakież było moje zdziwienie, gdy do drzwi zapukał posłaniec od rabina. Jeden z listów zaadresowany był do mnie! Poznałem na zwoju pismo Joshuy. Cóż może zawierać? Opis śmierci Ayhe? Słowa pocieszenia? Nie chciałem go czytać. Wrzuciłem do skrzyni i zamknąłem wieko.

Wyszedłem przed dom. Podniosłem wzrok na zachmurzone ołowiane niebo. Wzbierało już deszczem, gdy nagle chmury rozstały się i droga do Boga stanęła otworem. Co robić? Długo stałem z zadartą głową, aż w końcu doczekałem się wypowiedzi.

Powróciwszy do izby, skreśliłem krótki list do *fraya* Pedro, że będę potrzebował pieniędzy i chętnie skorzystam z pomocy, którą tamtego dnia w Loarre mi zaferował. W zamian — wezmę Angela do Saragossy i wyuczę go na pisarza, a może nawet uczynię swoim kancelistą. Dopisałem jeszcze, by zjednać sobie jego przychyłność, że zamierzam rozwinąć w Loarre uprawę szafranu.

Drugi list napisałem do rabina, mądrego Hasdaya Crescasa. Godziłem się w nim na ślub z Florą i opiekę nad jej dzieckiem. Zapowiedziałem też, że przejmę sprawy rodziny Abnarrabich po śmierci mojego wuja. Na końcu opisałem wszystko, czego dowiedziałem się od ciotki Rachel na temat spadku. Nadeszła pora, oznajmiłem w liście, by tchnąć sprawiedliwość w tę sprawę.

Z Arandą postanowiłem porozmawiać osobiście, po przybyciu do Saragossy. Ale nie będę się spieszył do domu. Pozwolę najpierw dotrzeć listom.

Zawiszę o mojej decyzji chciałem powiadomić w dniu wyjazdu z Perpignan. Podróż do jego kraju zostanie odłożona. Na jak długo? Pewno na zawsze...

Dwa dni później spakowany przez Magdalenę wóz stał przed domem gotowy do drogi. Powrót do Saragossy napawał mnie przerażeniem. W obliczu tego, co się stało, nie mogłem postąpić wedle planu Arandy. Będę musiał sam otworzyć wszystkie cztery szuflady przeklętej komody, przeczytać wszystkie pozwy, stanąć twarzą w twarz z dłużnikami. Kłaniać się rabinowi i Tolosanie. O tak, pokłonię się głęboko Tolosanie de Caballería. Co kryje się za deklaracją, że nie będę miał już w niej wroga? Zapewne ta straszna kobieta oczekuje ode mnie posłuszeństwa, tak, uległości. Ona będzie królową. Zanim podniosę z ruin to, co zostało po Salomonie, jeśli w ogóle mi się to uda, będę zdany na łaskę moich braci w wierze... Gorzki to będzie czas!

Czekał mnie ślub z Florą. Dotąd tylko w złych snach nawiedzał mnie obraz życia z kobietą, której nie chciałem. Teraz stanie się to na jawie. Nie chciałem Flory. Czyż nie jest napisane, że kto ma nieodpowiednią żonę, tego Elias związuje, a Pan Bóg biczuje? Pisana jest mi kaźń do końca życia?

Zostałem sam w pustej izbie. Wchodząc tu za pierwszym razem, tak dawno temu, przyniosłem w sercu szczęście. Zostawiam je. Omiotłem wzrokiem ściany i sufit. Zatrzymałem wzrok na skrzyni. Pora już przestać być tchórzem. Podeszedłem powoli, uniosłem płaskie wieko. Rozwinąłem list. Na dużym kawałku pergaminu Joshua skreślił w pośpiechu, niestarannym pismem,

ledwie kilka krótkich zdań. Przeczytałem je wiele razy, nie rozumiejąc początkowo znaczenia słów.

Aaronie, mój przyjacielu!

Nie dawaj wiary temu, co ci powiedzą. Ostrzeżono Stickera. Sędziemu pokazali trupa jakiejś arabskiej dziewczki, aby nie zarządził pościgu. Widziałem wszystko. Sticker ucieka z Ayhe na północ, do Baskonii, a stamtąd do swego kraju. Dobre to i złe wieści. Mam nadzieję, że list ten dotrze przed innymi, byś oczu nie wyplakiwał i poczynał, co trzeba.

Niech Bóg będzie z tobą. Joshua

Zbiegając po schodach, omal nie połamałem nóg. Poleciałem Magdalenie ruszać na ulice Perpignan i odszukać Zawiszę. Modliłem się, by jeszcze nie odjechał. Gdy wróciła z adresem, pod którym aktualnie przebywał, kazałem się do niego prowadzić. I wstrzymać listy do Loarre i Saragossy.

WYBRANE POSTACIE HISTORYCZNE

W krótkich notkach przedstawione zostały główne postacie historyczne będące pierwowzorami bohaterów powieści. Więcej informacji na ich temat oraz pełną listę postaci historycznych znajdzie czytelnik na: www.ZawiszaCzarny.eu

Abencanyas Abraham. Pierwsza o nim wzmianka pochodzi z 1388 roku. Jako jeden z nielicznych Żydów posiadał stragan na chrześcijańskim placu Albarderos. Mieszkał i prowadził warsztat tkacki przy callizo de Arco w nowej dzielnicy żydowskiej.

Abnarrabí Aaron. Trzeci syn Salomona Abnarrabiego. W rzeczywistości nosił imię Samuel. Imię Aaron zostało mu nadane przez autora, aby ułatwić lekturę powieści.

Abnarrabí Dolz. Drugi syn Salomona Abnarrabiego.

Abnarrabí Salomon. Jedna z najważniejszych postaci żydowskiej Saragossy końca XIV wieku. Wybitny kupiec, bankier, przedsiębiorca, działacz społeczny i polityczny. Zachowało się ponad sto aktów notarialnych, w których figurował jako kredytodawca.

Abnarrabí Vidal. Najstarszy syn Salomona Abnarrabiego.

Aranda Francisco de. Dworski urzędnik, w wieku piętnastu lat został paziem na służbie króla Piotra IV. Od roku 1380 przebywał w otoczeniu infanta Marcina. Od 1387 był doradcą króla Jana I. Pod koniec roku 1388 został oskarżony przez hrabiego de Prades o otrucie infanta Jaime'a. Aranda z braku dowodów został oczyszczony z zarzutów, wówczas hrabia de Prades zażądał rozstrzygnięcia tej kwestii w pojedynku sądowym.

Astruch Mossé. Żyd z Carcassone. W drugiej połowie XIV wieku mieszkał w Geronie, potem w Barcelonie.

Ayhe. Arabka z Manises o wyjątkowej urodzie, skazana w roku 1384 roku na niewolę za przestępstwa, o których źródła milczą. Wykupiona za 110 florenów została zmuszona przez swego pana, niejakiego Felipa Boila, do prostytucji.

Barutell Bernat. Syn Berenguerra Barutella, szwagra Sybilli de Fortià, czwartej żony króla Aragonii Piotra Ceremonialnego.

Bells hom Affraham. Żydowski mistrz szermierki, osobisty nauczyciel króla Jana I. Po przejściu na chrześcijaństwo w roku 1393 przyjął imię Luis Vidal.

Berbegal Joan. Parobek w gospodarstwie małżeństwa Franceski i Bartomeu Sancho. Oskarżony wraz z Franceską o otrucie Bartomeu.

Bienvenist Samuel. Rodzina Bienvenist (w źródłach występuje również jako Benvenist) należała do najznakomitszych żydowskich rodów XIV i XV wieku. Samuel Bienvenist był wybitnym saragoskim kupcem, bankierem

i przedsiębiorcą.

Caterina. Służąca w gospodarstwie rodziny Sancho; dzięki jej zeznaniom Francesca Sancho została uniewinniona w procesie o otrucie męża i cudzołóstwo z parobkiem Joanem Berbegalem.

Cebada Ceti. Jedyna odnotowana w historycznych źródłach Żydówka zajmująca się handlem suknem w czternastowiecznej Saragossie.

Cervera Rodrigo. Syn Rodriga Cervery, wasala Alfonsa d'Aragó, markiza Villeny.

Dosta Eximeno. *Oidor*, członek Rady Królewskiej.

Faquim Mahabud. Kupiec z Majorki.

Galip Faraig de. Syn Juce'a de Galip, przedstawiciel znienawidzonej przez arabską społeczność Saragossy rodziny de Galip.

Guevara Fernando Vélez de. Rycerz baskijski, syn Beltrána Véleza de Guevara, wasala króla Nawarry Karola II.

Linsa Martín de. Kleryk kościoła San Andres w Daroce.

Lucio Gonzalo González de. Kastylijski szlachcic, podczas wojny Dwóch Piotrów przeszedł na stronę Aragonii, poddając Tarrazonę. W uznaniu swych zasług został przez króla Aragonii Piotra IV hojnie wynagrodzony: otrzymał 40 tysięcy florenów oraz rękę doñi Violante de Urrea.

Marc Lleó. Barceloński kupiec, z którego usług korzystała rodzina królewska.

Martínez Ferrán. Archidiakon z Écija. Jego działalność i podsycone nienawiścią do Żydów kazania były jedną z głównych przyczyn wybuchu pogromów antyżydowskich w 1391 roku.

Solsona Francisco. Wysokiej rangi kastylijski urzędnik odpowiedzialny za zwalczanie fałszywej monety (*veedor de la moneda*).

Sticker Tideman. Niemiecki kapitan przewożący pielgrzymów z Gdańska do Composteli. W roku 1378 jego statek został napadnięty przez angielskich piratów. Kapitanowi obcięto wszystkie palce, na których miał pierścienie, a jego samego wrzucono do morza.

Caballería Tolosana de. Przedstawicielka jednej z najzamożniejszych rodzin żydowskiej Saragossy – Caballería. Od chwili choroby męża, Vidala de Caballería, przejęła rodzinne interesy i stała się jedną z najbogatszych Żydówek Saragossy przełomu XIV i XV wieku.

Urrea Violante Ximénez de. Córka Juana Jiméneza de Urrea, przedstawicielka jednego z najzamożniejszych rodów Aragonii. Decyzją króla Piotra IV została wydana za Kastylijczyka Gonzalo Gonzáleza de Lucio w zamian za jego przejście na stronę Aragonii.

Urríes Juan de. Otrzymał od króla Jana dzierżawę *peaje* w prowincji Albarracín. Członek sławnego rodu Urríesów, który osiadłszy w Ayerbe, kupił od króla Piotra IV zamek Loarre w roku 1357. W roku 1381 król odkupił zamek,

a Urrfiesowie nigdy nie pogodzili się z jego stratą.

Władcy:

Piotr I Okrutny. Król Kastylii (1350–1369)

Piotr IV Ceremonialny. Król Aragonii (1336–1387)

Jan I Myśliwy. Król Aragonii (1387–1396)

Marcin I Ludzki. Król Aragonii (1396–1410)

Marcin I Sycylijski (zwany również Młodszym). Syn Marcina Ludzkiego, król Sycylii (1390–1409).

SŁOWNICZEK

adaliid – tu: dowódca almogawarów.

alhondiga – tu: otoczona murami enklawa kupców z Korony Aragonii na terenie Maghrebu. Pełniła funkcję hotelu i magazynu; znajdowała się tu kaplica, tawerna i dom publiczny, do którego przywożono prostytutki z Korony Aragonii, aby uchronić kupców przed kontaktami z muzułmankami.

aljama – dzielnica żydowska i zamieszkująca ją społeczność.

aroba – jednostka masy, równa w przybliżeniu 12,5 kg, i objętości – ok. 16 litrów.

barragana – konkubina, nałożnica wiążąca się z mężczyzną na warunkach ściśle określonych przez prawo.

bayle general del reino – wysoki urzędnik królewski odpowiedzialny za monarszy skarbiec. Pełnił też funkcję zaufanego doradcy króla i często występował jako jego namiestnik.

censal – rodzaj obligacji wieczystej, której emitent (na przykład miasto) zobowiązuje się płacić jej nabywcy stały dochód przez nieograniczony czas.

coca – jednomasztowy statek żaglowy.

corredores – tu: handlarze niewolnikami.

de buena guerra – dosł. „z dobrej wojny”, określenie świadczące o zgodnej z prawem drodze pozyskania niewolników.

fray (skrót od hiszp. *fraile*) – brat zakonny.

hamin (czulent) – tradycyjne danie kuchni żydowskiej spożywane w szabat, przyrządzane na bazie duszonego mięsa i jarzyn z dodatkiem przypraw.

hammam – arabska łaźnia i salon piękności.

magid – w judaizmie wschodnioeuropejskim: wędrowny kaznodzieja, mówca, nauczyciel.

matatoros – wędrowni zapaśnicy uczestniczący w zabawach i walkach z bykami.

mechero – rodzaj zapalarki złożonej z bawełnianego knota i ręcznego mechanizmu do wytwarzania iskier.

mêlée – rodzaj zabawy turniejowej na otwartym terenie, walka wręcz pomiędzy dwoma drużynami wyposażonymi w tępą broń.

merino – wysoki urzędnik powoływany przez króla do rozstrzygania spraw administracyjnych, podatkowych i sądowych. Jurysdykcji merina, jako wyższej instancji, podlegały też spory pomiędzy członkami mniejszości

żydowskiej lub arabskiej. Działo się tak, gdy strony wyraziły taką wolę lub sąd właściwy dla tych mniejszości nie był zdolny do wydania wyroku.

morería – dzielnica muzułmańska i zamieszkująca ją muzułmańska społeczność (terminy: Arab, Saracen, Maur używane są na kartach tej powieści wymiennie).

oidor – wysokiej rangi urzędnik sądowy wchodzący w skład Sądu Królewskiego Korony Aragonii

pañero – sukiennik.

peaje – tu: myto obejmujące również opłaty celne.

*sis*a – podatek pośredni od sprzedaży dóbr konsumpcyjnych.

*sis*a *de la carn* – podatek od sprzedaży mięsa.

sobrejuntero – urzędnik powoływany przez króla do egzekwowania wyroków sądowych w swoim dystrykcie. Królestwo Aragonii było pod koniec XIV w. podzielone na pięć dystryktów: Saragossa, Hueska i Jaca, Sobrarbe i las Valles, Ejea de los Caballeros i Tarazona.

Przelicznik najważniejszych monet będących w obiegu na obszarze Korony Aragonii pod koniec XIV wieku:

1 funt (*libra*) = 20 soldów jakeańskich (*sueldos jaqueses*) lub 18 soldów barcelońskich (*sueldos barceloneses*)

1 złoty floren (*florín de oro*) = 10 soldów jakeańskich lub 11 soldów barcelońskich

1 sold jakeański = 12 denarów jakeańskich (*dineros jaqueses*)

1 denar = 1,5 *maravedí*

- 1 Zob. *Z mądrości Talmudu*, wybór, tłum. i oprac. S. Datner i A. Kamieńska, Warszawa 1988, s. 226. W powieści wykorzystano także fragmenty ze stron: 99, 118, 154, 177, 230, 231, 238, 248, 253, 272, 297, 301.
- 2 Terminem „Hiszpania” określa się tu obszar całego Półwyspu Iberyjskiego.
- 3 Specjalność krakowskich szewców to „ciżmy bardzo spiczaste, o wydłużonych nosach, tzw. *poulaines* lub krakowskie. Nosili je raczej mężczyźni; długa suknia kobieca i tak nie pozwalała eksponować obuwia. Trzewiki te znane były również za granicą, w Anglii, Francji, trafiły nawet do Hiszpanii. Zwłaszcza w Anglii obuwie zwane *cracowes* rozpowszechniło się bardzo i ściągnęło na siebie gromy ze strony Kościoła [...]. Sam John Wycliffe w r. 1380 określił *cracowes* jako dzieło diabła. Niemniej rozpowszechniły się one tak dalece, że nosili je nie tylko eleganci, ale i ludzie należący do szerokich warstw społeczeństwa”. A. Jelicz, *Życie codzienne w średniowiecznym Krakowie*, Warszawa 1966, s. 91.
- 4 Wojna kastylijsko-aragońska toczona ze zmiennym szczęściem dla obu stron w latach 1356–1369. Nazwano ją wojną Dwóch Piotrów, gdyż starli się w niej aragoński król Piotr Ceremonialny z Piotrem Okrutnym, królem Kastylii.
- 5 Por. I. Abrahams, *Życie codzienne Żydów w średniowieczu*, Warszawa 1996, s. 106–107.
- 6 Por. tamże, s. 232–233.
- 7 W źródłach występuje również aragońska wersja tego toponimu: *callejón* albo *calleja*.
- 8 Na podstawie zachowanych aktów notarialnych w archiwach Walencji z lat 1375–1399 można oszacować, że niewolnicy ze Wschodu stanowili w tym okresie aż 57% wszystkich niewolników sprowadzonych do miasta, a Saraceni tylko 34%. Wśród niewolników wschodniej proveniencji, dostarczanych głównie z Krymu, najliczniejsi byli Tatarzy (60%) i Rusini (34%); biorąc pod uwagę płeć – aż 81% to kobiety, a tylko 19% mężczyźni.
- 9 Por. I.A. Mazahéri, *Życie codzienne muzułmanów w średniowieczu (wiek X–XII)*, Warszawa 1972, s. 146–152.
- 10 Por. tamże, str. 50–51.
- 11 Król Cypru Piotr I przybył do Krakowa we wrześniu 1364 roku; celem podróży po Europie miało być skłonienie chrześcijańskich władców, w tym polskiego króla, do poparcia idei kolejnej krucjaty.
- 12 Zob. A.F. Grabski, *Polska w opiniach Europy Zachodniej XIV–XV w.*, Warszawa 1968, s. 102–104, 114–118.
- 13 Fiasta w Daroce z okazji narodzin infanta w rzeczywistości odbyła się rok wcześniej, w 1389.
- 14 Ta oraz inne uwagi i opisy dotyczące przebiegu i organizacji turniejów rycerskich: por. J. Szymczak, *Pojedynki i harce, turnieje i gonitwy*, Warszawa 2008.
- 15 Opisany tu hełm garnczkowy stosowany był pod koniec XIV wieku już niemal wyłącznie na turniejach; na bitewnych polach został zastąpiony przez przyłbicę.
- 16 W interesującym nas okresie papieża w Awinionie popierały królestwa

hiszpańskie, poza tym Francja, Burgundia, Cypr, Sabaudia, Szkocja i Zakon Joannitów. Pozostałe kraje katolickie, w tym Polska (wraz z Litwą), uznawały papieża w Rzymie.

17 U schyłku XIV wieku algmogawarzy żyli już tylko na granicy muzułmańskiego i chrześcijańskiego świata. Utrzymywali się z kradzieży bydła i porwań ludzi. W swe szeregi rekrutowali także muzułmanów; często całymi oddziałami przechodzili na islam.

18 (łac.) „Nie siłą lecz sposobem”.

19 (hiszp. *alcalde*), tu: osoba stojąca na czele osady, sołtys.

20 *Ladrón* (hiszp.) – złodziej; *ladrar* (hiszp.) – szczekać.

21 (pol.) *rejza*. Tu: krzyżacka wyprawa łupieżcza na ziemi zamieszkałe przez pogan, Prusy i Litwę. W rejsach uczestniczyli rycerze z całej chrześcijańskiej Europy. Wyprawy te stanowiły jedno z głównych źródeł dochodu krzyżackiego państwa zakonnego.

22 Uwagi na temat życia zakonników: por. L. Moulin, *Życie codzienne zakonników w średniowieczu*, Warszawa 1986.

23 *Speculum al foder* – anonimowy traktat medyczno-erotyczny z końca XIV wieku; zachowało się jego katalońskie tłumaczenie; oryginał powstał prawdopodobnie w języku hebrajskim lub arabskim. Tłumaczenie fragmentów za wydaniem hiszpańskim: *Speculum al joder*, Barcelona 2000.

24 Por. S. Kutrzeba, *Finanse i handel średniowiecznego Krakowa*, Kraków 2009, s. 206–213.

25 Gdańsk był wówczas miastem hanzeatyckim.

26 Fierabras to mityczny bohater saraceński obecny w licznych poematach *chansons de geste*. Według legendy Fierabras, po zdobyciu Rzymu, wykradł resztki oliwy, którą balsamowano ciało Jezusa. Substancja ta miała cudowną moc leczenia ran.

27 Aranda był oskarżany przez niechętnych mu członków dworu o słuzenie obcym królestwom, przede wszystkim Francji, gdzie miał zgromadzić spory majątek; nie dowiedziono mu jednak niczego. Nie został też nigdy formalnie oskarżony o otrucie infanta Jaime'a, syna króla Jana, choć i taki zarzut przeciw niemu wysuwano.